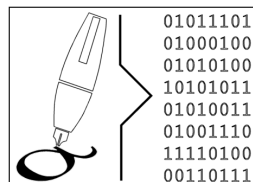


# ROBERT JORDAN

## Triumf chaosu

szósty tom z cyklu „Koło Czasu” cz. 1

Przełożyła: Katarzyna Karłowska



Tytuł oryginału:

*Lord of Chaos. Vol. 1*

Data wydania polskiego: 1998 r.

Data pierwszego wydania oryginalnego: 1995 r.

*Dla Betsy*

*Śpiewają lwy, góra skrzydeł dostaje.  
Księżyc o poranku, słońce nocą wstaje.  
Ślepa matka, głuchy ojciec i zakuty łeb,  
Niechaj Władca Chaosu zapanuje wnet.*

Fragment dziecięcej wyliczniki  
zastyszanej w Wielkim Aravalonie,  
Czwarty Wiek

# PROLOG

## PIERWSZA WIADOMOŚĆ

Demandred wyszedł na czarne zbocza Shayol Ghul; brama, otwór w materii rzeczywistości, zamigotała i przestała istnieć. Niebo nad jego głową zasnuwały spiętrzone szare chmury — odwrócony ocean z falami barwy popiołu — które ospale kłębiły się wokół ukrytego wśród nich szczytu góry. Przez pustą dolinę rozpościerającą się u stóp wzniesień pomykały dziwaczne błyski spranych błękitów i czerwieni, nie rozpraszając wszelako mętnych ciemności, które spowijały ich źródło. Smugi błyskawic mknęły nie w dół, a w górę, w stronę chmur, przy akompaniamencie wolno przetaczających się grzmotów. Z lejów w zboczu, rozrzuconych w rozmaitych odległościach, jednych małych jak ludzka dłoń, innych tak wielkich, że wchłonęłyby dziesięciu ludzi, dobywały się kłęby pary i dymu.

Natychmiast uwolnił Jedyńą Moc i wraz ze słodyczą odeszło charakterystyczne spotęgowanie wrażliwości zmysłów, od którego wszystko stawało się bardziej wyraziste, czystsze. Bez *saidina* czuł czczość, ale tutaj tylko dureń zdradziłby bodaj gotowość do przenoszenia. I tylko dureń zresztą pragnąłby w tym miejscu przyglądać się czemukolwiek dokładniej, zgłębiać istotę rzeczy, odczuwać.

Kiedyś, w czasach zwanych obecnie Wiekiem Legend, w tym miejscu znajdowała się sielankowa wyspa, oblana zewsząd wodami chłodnego morza. Miłośnicy wiejskich krajobrazów uwielbiali tu przyjeżdżać. Teraz, mimo unoszących się wokół kłębow pary, panował dojmujący ziąb; Damodred nie poczuł go — nie pozwolił sobie na to — jednak instynkt nakazał mu otulić się szczelniej podbitą futrem jedwabną pelisą. Ślad jego oddechu znaczyły w powietrzu pierzaste obłoczki, ale wątle, przezroczyście, szybko pozbywały się zawartej w nich wilgoci. Mimo iż w odległości kilkuset lig stąd, na północy, świat przemieniał się w lity lód, w Thakan'dar, nieodmiennie ściśniętym w okowach zimy, królowała susza — jak na pustyni.

Woda wszakże tu była, czy raczej podobna do niej ciecz atramentowej barwy, która ściekała cienką strużką w dół skalistego zbocza, mijając po drodze zbudowaną z ciosanych kamieni, krytą szarym dachem kuźnię. Z jej wnętrza dobywał się brzęk młotów, każdemu uderzeniu towarzyszyła łuna białego światła, która

rozświetlała zmętniałe szyby okien. Pod ścianą kuźni przycupnęła kobieta w łachmanach, kupka nieszczęścia tuląca w ramionach niemowlę, w jej spódnicach zaś kryła buzię dziewczynka o przerażająco cienkich nóżkach i rączkach. Bez wątpienia byli to jeńcy pojmani podczas rajdu na Ziemię Graniczne. Ale tylko garstka, Myrddraale zapewne zgrzytały zębami ze złości. Ostrza ich mieczy zawodziły po jakimś czasie i wymagały wymiany, niezależnie od ograniczeń, jakim poddane zostały wyprawy na Ziemię Graniczne.

Z budynku wyszedł jeden z kowali, ociężała, człekokształtna postać, jakby wyciosana z materii samej góry. Kowale tak naprawdę nie zaliczali się do żywych istot — zagnani na dalszą odległość od Shayol Ghul zamieniali się w kamień albo pył. Nie byli też zresztą kowalami z prawdziwego zdarzenia, gdyż nie wytwarzali nic prócz mieczy. Ten obiema rękami trzymał długie szczypce, a w nich ostrze, już zahartowane, białe niczym śnieg oświetlony srebrem księżyca. Następnie zanurzył połyskliwy metal w czarnych wodach strumienia, bardzo ostrożnie, każde bowiem, nawet najmniejsze zetknięcie z płynącą w nim cieczą mogło pozbawić go choćby resztek podobieństwa do żywej istoty. Wyciągnięty metal stał się czarny jak śmierć. Ale nie był to jeszcze koniec całego procesu. Kowal poczłapał z powrotem do wnętrza kuźni i nagle rozległ się stamtąd donośny, rozpaczliwy krzyk mężczyzny.

— Nie! Nie! Nie...! — W tym momencie krzyk przeszedł w przeraźliwy wrzask, który niki stopniowo, nie tracąc jednocześnie na intensywności, jakby krzyczący został porwany w jakąś niewyobrażalną dal. I dopiero wówczas ostrze było gotowe.

Z kuźni wyłonił się następny kowal — może był to zresztą ten sam — i pode-rwał siedzącą pod ścianą kobietę z przytulonymi do niej dziećmi na nogi. Wszyscy troje zaczęli płakać; niemowlę zostało wyrwane z objęć kobiety i wciśnięte w ramiona dziewczynki. Kobieta nareszcie zdobyła się na śladowy chociaż opór. Łkając, kopała jak oszalała nogami, drapała paznokciami powłokę ciała kowala. Kamień zwróciłby tyleż samo uwagi. Krzyki kobiety ucichły, kiedy zawleczono ją do wnętrza kuźni. Po chwili na nowo rozległ się brzęk młotów, całkiem zagłuszając szloch dzieci.

Jedno ostrze już wykute, jedno w robocie i dwa jeszcze do wykonania. Demandred nigdy przedtem nie widział, by mniej niż pięćdziesięciu jeńców czekało na swoją kolej, by złożyć ofiarę Wielkiemu Władcy Ciemności. Myrddraale naprawdę musiały zgrzytać zębami ze złości na tak lichy wynik polowania.

— Zostałeś zawezwany przez Wielkiego Władcę, a ośmielasz się mitrzyć czas? — Brzmienie tego głosu przypominało chrzęst przegniłej skóry.

Demandred obrócił się powoli — Półczłowiek, a ośmiela się przemawiać takim tonem? — ale słowa reprimendy zamarły mu w ustach. Nie przez ten bezoki wyraz ciastowatej twarzy; spojrzenie Myrddraala wywoływało strach u każdego, on jednak dawno wypleniał z siebie wszelkie resztki trwogi. Chodziło raczej o syl-

wetkę obleczonego w czerni stwora. Myrddraale, wszystkie tak podobne do siebie, jakby je odlano z jednej formy, stanowiły zniekształconą imitację ludzi, dorównując wzrostem najwyższym spośród nich. A tymczasem ten był wyższy przeszło o głowę.

— Zaprowadzę cię do Wielkiego Władcy — powiedział. — Jestem Shaidar Haran. — Odwrócił się i zaczął wspinać w górę zbocza, robił to tak zwinnie, że przywodził na myśl wijącego się z gracją węża. Atramentowej barwy płaszcz zwisał nienaturalnie nieruchomo, bez jednej fałdy.

Demandred zawahał się, zanim ruszył jego śladem. Półludzie zawsze brali swe imiona z narzecza trolloków, na którym ludzie wyłamywali sobie język. „Shaidar Haran” natomiast pochodziło z ludzkiej odmiany języka, zwanej obecnie Dawną Mową; tłumaczyło się jako „Ręka Ciemności”. Kolejna niespodzianka, a Demandred nie lubił niespodzianek, zwłaszcza w Shayol Ghul.

Wejście do wnętrza góry wyglądało tak samo jak inne rozsiane w zboczu leje, z tą różnicą, że nie dobywały się zeń para ani dym. Przejście było dostatecznie szerokie, by pomieścić dwóch mężczyzn idących pierś w pierś, a jednak Myrddraal nadal szedł przodem. Droga prawie natychmiast zaczęła opadać w dół, przekształcając się w tunel o ścianach tak gładkich, jakby wyłożono je ceramicznymi płytkami. Chłód ustępował, wypierany przez żar, który potęgował się, w miarę jak Demandred, wbijając wzrok w szerokie barki Shaidara Harana, postępował naprzód; schodzili coraz niżej. Czuł narastający żar, ale postanowił nie okazywać tego. Tunel wypełniało bijące od kamienia blade światło, jaśniejsze niżli ten wiekiusty zmierzch, który panował na zewnątrz. Ze sklepienia wystawały poszarpane kolce, niczym kamienne szczęki gotowe w każdej chwili się zewrzeć, kły Wielkiego Władcy, które mogły rozdrzeć na strzępy niewiernego bądź zdrajcę. Choć nie prawdziwe, ale równie skuteczne.

Nagle coś dotarło do jego świadomości. Za każdym razem, kiedy odbywał tę wyprawę, kolce ocierały się o czubek jego głowy. A teraz nawet od głowy Myrddraala dzieliła je odległość dwóch dłoni, może nawet większa. Zdziwił się. Nie faktem, że zmieniła się wysokość tunelu — dziwniejsze rzeczy były w tym miejscu na porządku dziennym — lecz tą dodatkową przestrzenią łaskawie ofiarowaną Półczłowiekowi. Wielki Władca udzielał napomnień nie tylko ludziom ale również Myrddraalom. To wyższe sklepienie było więc wskazówką godną zapamiętania.

Tunel zniecka zmienił się w szeroki występ, z którego roztaczał się widok na jezioro stopionego kamienia, czerwieni skłębionej z czernią, gdzie po powierzchni tańczyły płomienie wysokości człowieka, tańczyły, umierały i na nowo powstawały. Nie było tam dachu, tylko wielki otwór na przestrzał całej góry, ziejący ku niebu, które nie było niebem Thakan'dar. W porównaniu z nim niebo Thakan'dar wyglądało normalnie, z jego dzikimi strzępiastymi chmurami mknącymi tak chyżo, jakby napędzały je najszybsze wiatry świata. To miejsce ludzie nazwali

Szczeliną Zagłady, mało kto jednak wiedział, jak trafna to była nazwa.

Demandred tyle już razy odwiedzał to miejsce — pierwszą wizytę złożył przed ponad trzema tysiącami lat — a mimo to wciąż czuł przepęniającą go grozę. Tutaj zdawało mu się czuć niemalże namacalną bliskość Szybu, otworu wybitego, jakże dawno już temu, do tego miejsca, w którym od momentu Stworzenia więziono Wielkiego Władcę. Tutaj nurzał się we wrażeniu obecności Wielkiego Władcy. Tak naprawdę, to miejsce wcale nie znajdowało się bliżej Szybu niżli jakiegokolwiek inne na świecie, niemniej jednak był on tu znacznie lepiej wyczuwalny, a to za sprawą rozluźnienia Wzoru.

Demandred omal się nie uśmiechnął, miał na to ochotę jak nigdy dotąd w życiu. Jakimż to głupcami są ci, którzy sprzeciwiają się Wielkiemu Władcy! To prawda, Szyb jest nadal zablokowany, znacznie jednak luźniej niż wtedy, gdy Demandred przebudził się z długiego snu i wyrwał na wolność z własnego, tamże umieszczonego więzienia. Zablokowany, a mimo to coraz szerszy. Wciąż jeszcze nie tak, jak wtedy, gdy wraz ze swymi towarzyszami został doń zapędzony pod koniec Wojny o Moc; jednak od czasu przebudzenia, przy każdej kolejnej wizycie stawał się wyraźnie bardziej przestronny. Już niedługo blok przestanie istnieć i Wielki Władca Ciemności na powrót zagarnie świat. Już niedługo nastanie Dzień Powrotu. A wtedy on przejmie władzę nad światem i będzie ją sprawował po wszeczasz. Pod Wielkim Władcą Ciemności, ma się rozumieć. I oczywiście razem z innymi Wybranymi, przynajmniej tymi, którzy pozostaną przy życiu.

— Możesz już odejść, Pólczłowieku. — Nie chciał, by ten stwór zauważył narastającą w nim ekstazę. Ekstazę i ból.

Shaidar Haran nie drgnął nawet.

Demandred otworzył usta. . . i wtedy pod jego czaszką eksplodował głos.

— DEMANDREDZIE!

Nazywać to głosem, to jak określić górę mianem kamyczka. Omal nie startł na proch myśli tłukących się po głowie, samej jaźni; przepęlnił go uniesieniem. Demandred osunął się bezwładnie na kolana. Myrddraal stał i obserwował go obojętnie. Głos wypełniający najgłębsze zakamarki jestestwa Demandreda sprawiał, że tylko niewielką cząstką swej istoty w ogóle uświadamiał sobie obecność tamtego.

— DEMANDREDZIE. CO SŁYCHAĆ NA TYM ŚWIECIE?

Nigdy nie zdawał sobie do końca sprawy, ile Wielki Władca wie o rzeczach świata. Ignorancją zaskakiwał go w równym stopniu, co przenikliwość. Nie miał jednak wątpliwości, o czym Wielki Władca chce usłyszeć teraz.

— Rahvin zginął, Wielki Władco. Wczoraj. — Ból. Euforia często szybko przeradzała się w ból. Dostał skurczy w nogach i rękach. Pocił się już. — Lanfear zniknęła bez śladu, podobnie Asmodean. A Graendal twierdzi, że Moghedien nie stawiała się na umówione spotkanie. To wszystko stało się wczoraj, Wielki Władco. Nie wierzę w zbiegi okoliczności.



— LICZBA WYBRANYCH ZMNIEJSZA SIĘ, DEMANDREDZIE. SŁABI ODPADAJĄ. TEN, KTO MNIE ZDRADZI, UMRZE ŚMIERCIĄ OSTATECZNĄ. ASMODEAN SPACZONY PRZEZ WŁASNĄ SŁABOŚĆ. RAHVIN ZABITY PRZEZ WŁASNĄ PYCHE. SŁUŻYŁ JAK NALEŻY, ALE NAWET JA NIE MOGŁEM GO URATOWAĆ PRZED OGNIEM STOSU. NAWET JA NIE MOGĘ OPUŚCIĆ CZASU.

Przez chwilę straszliwy gniew przepełniał ten wszechwładny głos, gniew, a także... czy mogła to być rozpacz? Trwało to jednak tylko krótką chwilę.

— SPRAWCĄ TEGO WSZYSTKIEGO JEST MÓJ ODWIECZNY WRÓG, TEN, KTÓRY ZWIE SIĘ SMOKIEM. CZY UWOLNISZ OGIEŃ STOSU W MOIM IMIENIU, DEMANDREDZIE?

Demandred zawahał się. Po skroni spływała mu strużka potu, zdawała się tak toczyć już od godziny. Podczas Wojny o Moc był taki rok, kiedy obie strony do woli wykorzystywały ogień stosu. Obie przekonały się na własnej skórze, jakie są konsekwencje. Bez żadnej ugody czy zawieszenia broni — nigdy nie doszło do żadnego zawieszenia broni, podobnie jak nikomu nigdy nie darowano życia — obie strony najwyczejniej przestały go stosować. Tamtego roku od ognia stosu wyginęły całe miasta, z Wzoru wypaliły się setki tysięcy wątków; mało co, a sama rzeczywistość byłaby się spruła, świat i wszechświat omal nie wyparowały niczym mgła. Gdyby znowu doszło do uwolnienia ognia stosu, a nuż zabrakłoby świata, którym przecież miał władać?

Jeszcze jedna rzecz dotknęła go boleśnie. Wielki Władca wiedział już, że Rahvin zginął. Najwyraźniej również lepiej zdawał sobie sprawę z kolei losów Asmodeana.

— Jak rozkażesz, Wielki Władco, tak się też i stanie. — Jego mięśniami targały drgawki, ale mówił głosem pewnym i niewzruszonym. Od zetknięcia z rozpalonym kamiennym podłożem kolana miał już pokryte pęcherzami, ale jego ciało równie dobrze mogło teraz należeć do jakiejś innej osoby.

— OKAŻ ZATEM POSŁUSZEŃSTWO.

— Wielki Władco, Smoka da się zniszczyć. — Martwy człowiek nie mógł władać ogniem stosu i może wówczas Wielki Władca nie będzie już widział takiej potrzeby. — On niczego nie wie, jest słaby, rozprasza swą uwagę, kierując ją jednocześnie na kilkanaście spraw. Rahvin był próżnym głupcem. Ja...

— CZY CHCIAŁBYŚ ZOSTAĆ NAE'BLIS?

Demandred poczuł, jak drętwieje mu język. Nae'blis. Ten, który stanie zaledwie stopień niżej u tronu Wielkiego Władcy i będzie rozkazywał innym.

— Chcę ci tylko służyć, Wielki Władco, jak tylko mogę. — Nae'blis.

— SŁUCHAJ ZATEM I SŁUŻ. USŁYSZ, KTO UMRZE, A KTO BĘDZIE ŻYŁ.

Demandred krzyknął przeraźliwie, gdy brzmienie słów runęło na niego niczym lawina. Zalał się łzami radości.

Myrddraal przyglądał mu się, żadnym ruchem nie zdradzając swych myśli.

\* \* \*

— Przestańcie się wiercić! — Nynaeve gniewnym ruchem przerzuciła warkocz na plecy. — Nic z tego nie wyjdzie, jeśli nie skończycie z tymi podrygami. Zupełnie jak dzieci, kiedy coś je swędzi.

Żadna z kobiet siedzących po drugiej stronie rozchybotanego stołu nie wyglądała na starszą, mimo iż miały po dwadzieścia z okładem więcej lat niż ona, i żadna wcale się nie wierciła, jednak przez ten upał Nynaeve zaczynała już wychodzić z siebie. W tej niewielkiej, pozbawionej okien izbie niemal brakowało już powietrza. Ona cała ociekała potem, a tymczasem te dwie były świeże, jakby w pomieszczeniu panował miły chłód. Leane, ubrana w suknię z Arad Doman, uszytą z o wiele za cienkiego, niebieskiego jedwabiu, nieznacznie wzruszyła ramionami; wysoka kobieta o miedzianej karnacji najwyraźniej dysponowała nieskończonymi zapasami cierpliwości. Natomiast Suan, o jasnej cerze i krzepkiej budowie, chyba całkiem była jej pozbawiona.

Suan mruknęła coś niewyraźnie i z irytacją poprawiła fałdy sukni; przeważnie nosiła się dość pospolicie, tego ranka wszakże przywdziała cienki żółty len z taireniańskim haftem przy dekolcie, któremu niewiele brakowało do miana zbyt głębokiego. Niebieskie oczy były zimne jak woda w bardzo, bardzo głębokiej studni. To znaczy, porównanie to byłoby trafne, gdyby ta pogoda nie oszalała. Suknie Amyrlin mogła zmieniać, ale nie potrafiłaby tego zrobić z wyrazem oczu.

— Tak czy siak, nic z tego nie wyjdzie — warknęła. Nie zmieniła też stylu wyrażania się. — Nie łąta się kadłuba, jeśli spłonęła cała łódź. Dlatego jest to strata czasu, no ale skoro już obiecałam, to w takim razie weźmy się do rzeczy. Leane i mnie czeka jeszcze robota.

Obie kierowały siatkami szpiegowskimi, pracującymi dla Aes Sedai zgromadzonych tu, w Salidarze, zawiadując poczynaniami agentów, którzy nadsyłali raporty, donoszące o faktach, a także i plotkach z całego świata.

Żeby odzyskać panowanie nad sobą, Nynaeve zaczęła wygładzać spódnice. Suknię miała ze zwykłej białej wełny, z siedmioma barwnymi paskami przy rąbku, oznaczającymi poszczególne Ajah. Suknia Przyjętej. Trudno jej było sobie wyobrazić, co innego mogłoby ją mocniej zezłościć. O wiele bardziej wolałaby ten zielony jedwab, który musiała schować na dnie skrzyni. Była wprawdzie gotowa przyznać, przed sobą przynajmniej, że nabyła upodobania do pięknych strojów, ale tę suknię wybrałaby wyłącznie dla wygody — była cienka i lekka — a wcale nie dlatego, że zieleń należała do ulubionych kolorów Lana. Wcale

nie. Jałowe marzenia najgorszego rodzaju. Przyjęta, która włożyłaby coś innego prócz bieli ozdobionej różnokolorowymi paskami, rychło dowiedziałyby się, że bardzo, ale to bardzo dużo brakuje jej jeszcze do pełnej Aes Sedai. Jedną stanowczą decyzją przepędziła te myśli z głowy. Nie znalazła się w tym miejscu po to, by deliberować nad fatałaszkami. Błękit też lubi. Dosyć!

Posługując się Jedyłą Mocą, zaczęła delikatnie sondować, najpierw Suan, potem Leane. Poniekąd to nie ona przenosiła. Nie potrafiła przenieść nawet strzępka, jeśli nie była dostatecznie rozwścieczona; teraz nie czuła nawet Prawdziwego Źródła. A mimo to rezultat był taki sam. Cienkie włókienka *saidara*, żeńskiej połowy Prawdziwego Źródła, przeciekały przez obie kobiety jak przez sito. Ale to nie ona tknęła te sploty.

Na lewym nadgarstku Nynaeve nosiła cieką bransoletę wykonaną z prostych srebrnych detali. Przeważnie srebrnych, przy czym srebro pochodziło ze specjalnego źródła, niczego to jednak ostatecznie nie zmieniało. Była to jedyna ozdoba, jaką nosiła, wyjąwszy pierścień z Wielkim Wężem — Przyjętym stanowczo odradzano obwieszanie się zbyt dużymi ilościami biżuterii. Identycznej roboty naszyjnik opinał szyję czwartej kobiety, która siedziała na zydlu pod niestaranie otynkowaną ścianą, z dłońmi splecionymi na podołku. Odziana w przasną, wieśniaczą wełnę brunatnej barwy, miała pospolitą, zniszczoną twarz, na której nie znać było choć kropelki potu. Nie poruszała ani jednym mięśniem, ale ciemne oczy rejestrowały wszystko. Otaczała ją luna *saidara*, widoczna jedynie dla Nynaeve, która modelowała przenoszoną Moc. Bransoleta i naszyjnik tworzyły między nimi więź, niemalże identycznej natury, jak ta, która powstawała wówczas, gdy Aes Sedai dokonywały połączenia, by wzmóc swe siły. Opierało się to na jakichś „absolutnie identycznych matrycach”, według Elayne, ale dalsze jej wyjaśnienia były już całkiem niezrozumiałe. Zdaniem Nynaeve, sama Elayne też tylko udawała, że to rozumie; a naprawdę nie rozumiała nawet połowy. Sama nie pojmowała nic prócz tego, że czuje wszystkie emocje drugiej kobiety, że czuje ją samą, upchniętą do jakiegoś zakamarka umysłu; wiedziała też, że ma kontrolę nad panowaniem tamtej nad *saidarem*. Czasami zdawało jej się jednak, że byłoby lepiej, gdyby siedząca na zydlu kobieta umarła.

— Tam jest coś rozdartego albo uciętego — mruknęła Nynaeve, machinalnie ocierając pot z twarzy. Było to tylko niejasne wrażenie, ledwie obecne, ale z kolei po raz pierwszy wyczuła coś więcej niż pustkę. Może zresztą dopomogła jej w tym wyobraźnia, a także rozpaczliwe pragnienie znalezienia czegoś, czegokolwiek.

— Odcięcie — wyjaśniła siedząca na zydlu. — Tak to się właśnie nazywa, to, co wy nazywacie ujarzmianiem w przypadku kobiet i poskramianiem w przypadku mężczyzn.

Trzy głowy obróciły się gwałtownie w jej stronę; trzy pary oczu rozjarzyły się z furją. Suan i Leane były Aes Sedai, zanim je ujarzmiono podczas zamachu stanu w Białej Wieży, w wyniku którego na Tronie Amyrlin zasiadła Elaida. Ujarz-

mione. Słowo, które przyprawiało o dreszcz. Bezwrotnie pozbawione zdolności przenoszenia. Na zawsze jednak obarczone pamięcią i wiedzą o tym, co utraciły. Na zawsze zdolne wyczuwać Prawdziwe Źródło i skazane na świadomość, że już go nigdy nie dotkną. Ujarzmienia nie dawało się Uzdrowić, podobnie jak śmierci.

Tak myślała każda z Aes Sedai, ale zdaniem Nynaeve, prócz oczywiście śmierci, Jedyłą Mocą dawało się Uzdrowić wszystko.

— Gadaj, pod warunkiem, że do powiedzenia masz coś sensownego, Marigan — zgań kobietę ostrym tonem. — Jeśli nie, to zamilcz.

Marigan skuliła się pod ścianą, załśniło spojrzenie jej oczu wbite w Nynaeve. Przez bransoletę przelewały się fale strachu i nienawiści, ale to akurat nie było nic nowego; w mniejszym lub większym natężeniu czuło się je przez cały czas. Pojmani do niewoli rzadko kiedy kochają tych, którzy ich pojмали, nawet wtedy — a może zwłaszcza wtedy — kiedy do nich dotrze, że zasłużyli sobie na gorszy nawet los. Cały problem polegał na tym, że również Marigan twierdziła, że odcięcia — ujarzmienia — nie dawało się Uzdrowić. Zapewniała wprawdzie, że w Wieku Legend dawało się Uzdrowić wszystko prócz śmierci, zaś to, co Żółte Ajah nazywały obecnie Uzdrawianiem, daje się porównać co najwyżej z zabiegiem, jaki podówczas wykonywano pośpiesznie w ogniu bitwy. Ale jak się ją przycisnęło do muru, by podała jakieś szczegóły czy chociaż wskazówki odnośnie do stosowanych wówczas metod, to ze zdziwieniem można się było przekonać, że tamta w istocie nic nie wie. Marigan tyle się znała na Uzdrawianiu, co Nynaeve na kowalstwie, odnośnie do którego wiedziała, że polega na wkładaniu metalu do rozżarzonych węgli i waleniu weń młotkiem. Taka wiedza z pewnością nie mogła wystarczyć do wykonania podkowy. A w przypadku Uzdrawiania zapewne nie podołałaby niczemu więcej niż zwykłemu stłuczeniu.

Wykręciwszy się w krzesło, Nynaeve przyjrzała się badawczo Suan i Leane. Tyle zmarnowanych dni; korzystała z każdej chwili, kiedy tylko mogła oderwać je od ich pracy, a jak dotąd nie dowiedziała się absolutnie niczego. Zauważyła nagle, że obraca bransoletę na przegubie dłoni. Niezależnie od korzyści, jakie dawał przyrząd, nie cierpiała łączyć się z tą kobietą. Tak intymny kontakt sprawiał, że cierpła jej skóra.

„Może przynajmniej jednak czegoś się dowiem” — pomyślała. — „A poza tym nie grozi mi większe fiasko niżli w przypadku wszystkich poprzednich prób”.

Ostrożnie odpięła bransoletę. — żeby to zrobić, trzeba było wiedzieć, gdzie jest zapinka — i wręczyła ją Suan.

— Włóż ją. — Poczowała gorzki smak, jak zawsze, gdy przerywała kontakt z Mocą, ale to trzeba było zrobić. Za to spokój, jaki nastąpił po przewalających się falach emocji, przypominał efekt wywierany przez kąpiel w czystym strumieniu. Marigan, jak zahipnotyzowana, wodziła wzrokiem za kawałkiem srebra.

— Po co? — spytała ostrym tonem Suan. — Sama twierdziłaś, że ten przedmiot działa jedynie...

— Po prostu ją włóż, Siuan.

Siuan przez chwilę wpatrywała się w nią nieustępliwie — Światłości, ależ ta kobieta potrafiła być uparta! — zanim zapięła bransoletę na nadgarstku. Na jej twarzy natychmiast odmalowało się zdziwienie, po chwili spojrzała z ukosa na Marigan.

— Ona nas nienawidzi, ale to żadna niespodzianka. Czuję jeszcze strach i... szok. Na twarzy ani śladu, ale jest wstrząśnięta do szpiku kości. Też chyba nie wierzyła, że i ja mogę się posłużyć bransoletą.

Marigan poruszyła się niespokojnie. Dotychczas tylko dwie z tych, które wiedziały, kim ona jest, posługiwały się bransoletą. Jeżeli ich liczba wzrośnie, mogą zacząć się pytania. Pozornie wyglądało, jakby w pełni współpracowała, ale ile tak naprawdę ukrywała? W przekonaniu Nynaeve tyle, ile tylko była zdolna.

Siuan westchnęła i pokręciła głową.

— Bo też rzeczywiście nie mogę. Powinam dotknąć Źródła za jej pośrednictwem, nieprawdaż? A niestety nie mogę. Prędeż chrząkacz wspiąłby się na drzewo. Zostałam ujarzmiona, koniec i kropka. Jak się to zdejmuje? — Zaczęła majstrować przy bransolecie. — Jak się to, do cholery, zdejmuje?

Nynaeve delikatnie nakryła dłonią dłoń Siuan szarpiącą bransoletę.

— Nie rozumiesz? Bransoleta, podobnie jak naszyjnik, nie będzie działać w przypadku kobiety, która nie potrafi przenosić. Nie byłaby niczym innym, jak zwykłą ozdobą, gdybym ubrała w nią którąś z kucharek.

— Kucharki kucharkami — odparła beznamytnym głosem Siuan — a ja już nie potrafię przenosić. Zostałam ujarzmiona.

— Ale w tobie jest coś, co da się Uzdrowić — upierała się Nynaeve — bo inaczej nie czułabym nic przez bransoletę.

Siuan wyswobodziła dłoń i podsunęła nadgarstek.

— Zdejmij to.

Nynaeve usłuchała, kręcąc głową. Siuan potrafiła czasami być uparta, zupełnie jak mężczyzna!

Wyciągnęła bransoletę w stronę Leane, która skwapliwie podała swój nadgarstek. Leane udawała, zresztą podobnie jak Siuan, pełnię optymizmu mimo ujarzmienia, ale nie zawsze z równym powodzeniem. Przypuszczano, że ujarzmiona kobieta tylko wtedy zdolna będzie się utrzymać przy życiu, jeśli znajdzie sobie w nim jakiś nowy cel, który pomoże wypełnić lukę powstałą po Jedynej Mocy. W przypadku Siuan i Leane taką rolę zapewne odgrywała walka z Białą Wieżą, organizacja siatek szpiegowskich i, co najważniejsze, działanie na rzecz tego, by Aes Sedai, zgromadzone tu, w Salidarze, uznały Randa al'Thora jako Smoka Odrodzonego. Wszystko to robiły w taki sposób, by pozostałe Aes Sedai nie zorientowały się, do czego one zmierzają. Pytanie jednak, czy to mogło wystarczyć. Gorycz w twarzy Siuan i zachwyt rozbłyskujący na obliczu Leane, w momencie

kiedy bransoleta zatrzasnęła się z hałasem, raczej skłaniały do wniosku, że być może niczego nigdy nie będzie dosyć.

— O tak! — Leane miała zwyczaj wypowiadać się szybkimi, urywanymi frazami. Z wyjątkiem rozmów z mężczyznami, w każdym razie; ostatecznie pochodziła przecież z Arad Doman, zaś ostatnimi czasy konsekwentnie chyba nadrabiała czas stracony w Wieży. — Rzeczywiście jest oszołomiona. Ale już odzyskuje panowanie nad sobą. — Przez kilka chwil siedziała w milczeniu, przyglądając się kobiecie przycupniętej na zydlu. Marigan odpowiedziała jej czujnym spojrzeniem. W końcu Leane wzruszyła ramionami. — Ja też nie jestem w stanie dotknąć Źródła. A poza tym starałam się, by ona odniosła wrażenie, jakoby pchła ukąsiła ją w łydke. Zdradziłaby się w jakiś sposób, gdyby mi się udało.

Na tym właśnie polegała druga sztuczka, której można było dokonać z pomocą bransolety — sprawić mianowicie, że druga kobieta odbierała wrażenia cielesne. Tylko wrażenia — albowiem ich iluzoryczna przyczyna nie zostawiała ani śladu prawdziwych obrażeń — a jednak już samo wrażenie, że słyszy świst szpicruty, wystarczało, by przekonać Marigan, że najlepiej zrobi, współpracując. Alternatywą zresztą był natychmiastowy proces, a zaraz po nim egzekucja.

Mimo porażki Leane przypatrywała się uważnie, jak Nynaeve zdejmuje bransoletę i ponownie zapina ją na własnym przegubie. Przynajmniej ona chyba nie porzuciła do końca nadziei, że któregoś dnia będzie znowu przenosić.

Odzyskanie Mocy było dla nich zapewne czymś cudownym. Nie tak wspomniałbym, bez wątpienia, jak czerpanie prosto z samego *saidara*, jak napełnianie się nim, ale nawet dotknięcie Źródła za pośrednictwem drugiej kobiety musiało wywoływać wrażenie takie, jakby w żyłach popłynęła podwójna porcja sił żywotnych. Kiedy się miało w sobie *saidara*, to chciało się śmiać i tańczyć z czystej radości. Przypuszczała, że któregoś dnia przyzwyczai się do tego; taki był warunek stania się pełną Aes Sedai. Łączenie się z Marigan stanowiło niewygórowaną cenę, gdy rzucić to właśnie na drugą szalę.

— Teraz, kiedy już wiemy, że istnieje jakaś szansa — powiedziała — myślę...

Drzwi otworzyły się z rozmachem i Nynaeve odruchowo poderwała się na równe nogi. Ani przez chwilę nie pomyślała, by użyć Mocy; krzyknęłaby przerażliwie, gdyby gardło nie zacisnęło jej się kurczowo. Nie ona jedna zresztą, choć ledwie była zdolna zauważyć, jak Siuan i Leane podskakują na swoich miejscach. Strach przelewający się kaskadą przez bransoletę stanowił jakby echo jej strachu.

Młoda kobieta, która zamknęła za sobą drzwi z nie heblowanego drewna, nie zwróciła uwagi na spowodowaną przez siebie panikę. Wysoka i szczupła, w białej sukni Przyjętej, ze złotymi lokami opadającymi na ramiona, sprawiała wrażenie gotowej zionąć ogniem z wściekłości. Twarz miała wykrzywioną złością, lecz mimo to grymas w niczym nie umniejszał jej urody; Elayne jakoś się to zawsze udawało.

— Wiecie, co one chcą zrobić? Ślą misję poselską do... do Caemlyn! I nie

pozwalają, żebym ja się z nią zabrała! Sheriam zabroniła mi więcej o tym wspominać! Zabroniła mi w ogóle o tym mówić!

— Czy ty się nigdy nie nauczysz pukać, Elayne? — Nynaeve postawiła przewrócone krzesło i z powrotem usiadła. Czy raczej osunęła się: nagła ulga sprawiła, że zmiękły jej kolana. — Przestraszyłam się, myślałam, że to Sheriam. — Na samą myśl, że wszystko mogłoby się wydać, czuła, jak zamiera jej serce.

Elayne, co należało jej oddać, zaczerwieniła się i natychmiast przeprosiła. Ale zaraz wszystko zepsuła, dodając:

— Kiedy ja w ogóle nie rozumiem, dlaczego tak się spłoszyłaś. Birgitte nadal czuwa na zewnątrz i wiesz, że ostrzegłaby cię, gdyby szedł ktoś inny. Nynaeve, one muszą mnie puścić.

— Wcale nie muszą robić nic takiego — odburknęła Siuan. Ona i Leane też zdążyły już usiąść. Siuan siedziała jak zwykle prosto, ale Leane opadła bezwładnie w krzesło, zapewne nie była w lepszym stanie niż Nynaeve. Marigan opierała się o ścianę, ciężko oddychając, z zamkniętymi oczyma i dłońmi wpitymi w tynk. Przez bransoletę przepływały na przemian gwałtowne porywy ulgi i śmiertelnego strachu.

— Ale przecież. . .

Siuan nie pozwoliła jej wypowiedzieć następnego słowa.

— Uważasz, że Sheriam albo któraś z pozostałych pozwolią, by Dziedziczka Tronu Andoru wpadła w ręce Smoka Odrodzonego? Twoja matka nie żyje, więc. . .

— Nie wierzę w to! — warknęła Elayne.

— Ty nie wierzysz, że zabił ją Rand — ciągnęła bezlitośnie Siuan — a to co innego. Ja też w to nie wierzę. Ale gdyby Morgase żyła, wówczas publicznie uznałyby go za Smoka Odrodzonego. Względnie zorganizowałyby ruch oporu, gdyby wbrew oczywistym świadectwom uważała jednak, że jest fałszywym Smokiem. Żadna z moich agentek nie słyszała pogłosek ani o jednym, ani o drugim. Nie tylko w Andorze, ale również tutaj, w Altarze, jak również w Murandy.

— A właśnie, że coś słyszeli — wtrąciła Elayne. — Na zachodzie wybuchła rebelia.

— Przeciwno Morgase. Przeciwno, powtarzam. I to nie są żadne pogłoski. — Głos Siuan był bezbarwny, pozbawiony emocji. — Twoja matka nie żyje, dziewczyno. Lepiej pogódź się z tym wreszcie, opłacz ją raz na zawsze i koniec.

Elayne, zgodnie ze swoim irytującym wszystkich zwyczajem, zadarła podbródek, stając się istnym wcieleniem lodowatej arogancji. Z jakiegoś niewiadomego powodu nawet tak wyglądając, zdawała się ponętna w oczach większości mężczyzn.

— Stale biadolisz, że tyle ci czasu zajmuje nawiązanie kontaktu ze wszystkimi agentami. . . — zauważyła chłodno — ale mnie nie interesuje, czyś usłyszała

wszystko, co należało usłyszeć. Niezależnie od tego, czy matka żyje czy nie, moje miejsce jest teraz w Caemlyn. Jestem Dziedziczką Tronu.

Nynaeve aż podskoczyła, usłyszawszy głośnie parsknięcie Siuan.

— Dostatecznie długo byłaś Przyjętą, żeby mieć więcej oleju w głowie.

Od tysiąca lat nie słyszano, by pojawiła się kobieta o takich możliwościach, jakimi dysponowała Elayne. Może nie były one aż tak wielkie jak u Nynaeve, pod warunkiem, że ta wreszcie nauczy się przenosić siłą własnej woli, ale wciąż było tego dość, by każdej Aes Sedai zaświeciły się oczy. Elayne zmarszczyła nos — wiedziała znakomicie, że gdyby już teraz zasiadła na Lwim Tronie, to wówczas Aes Sedai skłoniłyby ją do zarzucenia nauk, prośbą w miarę możliwości, albo wpychając ją do beczki, gdyby było to konieczne — po czym otworzyła usta, ale Siuan na moment nie przerwała.

— To prawda, nie będą miały nic przeciwko, żebyś to ty, prędzej czy później, zasiadła na tronie. Od dawna już nie zasiadała na nim królowa, która byłaby jednocześnie jawną Aes Sedai. Ale nie wypuszczą cię z rąk, dopóki nie zostaniesz pełną siostrą, a nawet wtedy, jako że jesteś Dziedziczką Tronu oraz że niebawem będziesz miała zostać królową, nie pozwolą ci się zbliżyć do przekłętogo Smoka Odrodzonego, dopóki nie upewnią się, do jakiego stopnia mogą mu zaufać. Zwłaszcza teraz, kiedy zarządził tę swoją... amnestię. — Przy wymawianiu tego słowa wydeła z niesmakiem usta, zaś Leane skrzywiła się.

Nynaeve też poczuła jakiś gorzki smak na języku. Wychowano ją w strachu przed mężczyznami, którzy potrafili przenosić, mężczyznami nieuchronnie skazanymi na obłęd, mężczyznami, którzy potrafili sterroryzować całe swoje otoczenie, zanim wreszcie zabiła ich w straszliwy sposób skażona przez Ciebień męska połowa Źródła. Niemniej jednak, Rand, którego znała ostatecznie od dzieciństwa, był Smokiem Odrodzonym. Jego przyjście na świat stanowiło znak, że nadchodzi Ostateczna Bitwa, podczas której będzie uczestniczył w pojedynku z Czarnym. Smok Odrodzony — jedyna nadzieja ludzkości, ale jednocześnie mężczyzna, który potrafił przenosić. Co gorsza, donoszono, że próbuje zebrać wokół siebie więcej takich jak on. Rzecz jasna nie mogło ich być wielu. Aes Sedai polowały na takich — Czerwone Ajah zajmowały się mało czym innym ponadto — z raportów wynikało, że było ich coraz mniej, znacznie mniej niż w przeszłości.

Elayne nie zamierzała jednak zrezygnować. Jedna rzecz w niej była godna podziwu; nie poddałaby się nawet wtedy, gdyby jej głowa spoczywała na pniaku i właśnie opadał topór. Stała tam z zadartym podbródkiem, butnie odwzajemniając spojrzenie Siuan, co nawet samej Nynaeve niekiedy przychodziło z pewnym trudem.

— Istnieją dwa oczywiste powody, dla których powinnam jechać. Po pierwsze, niezależnie od tego, co się stało z moją matką, w każdym razie zaginęła, a ja — jako Dziedziczka Tronu — mogę uspokoić ludzi i zapewnić ich, że sukcesja pozostała nie naruszona. Po drugie, ja akurat mogę zbliżyć się do Randa. On mi



ufa. Byłabym o niebo lepszą kandydatką niż jakakolwiek inna osoba wybrana przez Komnatę.

Przebywające w Salidarze Aes Sedai wybrały już własną Komnatę Wieży, Komnatę Na Wygnaniu. Jej członkinie rzekomo obradowały nad wyborem nowej Zasiadającej na Tronie Amyrlin, prawowitej Amyrlin, która podważyłaby roszczenia Elaidy do tytułu i władzy nad Wieżą, ale Nynaeve raczej nie dostrzegła żadnych widomych oznak, by istotnie oddawały się temu zajęciu.

— Jakże szlachetnie z twojej strony, że tak się poświęcasz, dziecko — odrzekła sucho Leane. Wyraz twarzy Elayne nie uległ zmianie, ale poczerwieniła ze wściekłości. Nynaeve nie wątpiła, iż pierwszą rzeczą, jaką Elayne zrobi w Caemlyn, o czym mało kto poza tą izbą wiedział, a już z pewnością żadna Aes Sedai, będzie dopadnięcie Randa na osobności i zacałowanie na śmierć. — Twoja matka... zaginęła... gdyby więc Rand al'Thor zdobył i ciebie, i Caemlyn, to zajęłby wówczas Andor, a Komnata nie dopuści, by on przejął władzę w Andorze ani też nigdzie indziej, jeśli można przeciwko temu zaradzić. Al'Thor ma w kieszeni Łzę i Cairhien, a także Aielów, jak się zdaje. Dodaj do tego Andor, Murandy i Altarę... z nami na jej terenie... i już będziesz mogła padać na kolana, gdy choćby skinie dłonią. On staje się nazbyt potężny. Może wkrótce dojdzie do wniosku, że wcale nas nie potrzebuje. Moiraine nie żyje, więc nie mamy przy nim nikogo, komu można zaufać.

Słyszając to, Nynaeve skrzywiła się. Moiraine była tą Aes Sedai, która wyciągnęła ją i Randa z Dwu Rzek, całkiem odmieńając ich życie. Ją, Randa, Egwene, Mata i Perrina. Od tak dawna pragnęła zmusić Moiraine, by zapłaciła za to, co im zrobiła, że utrata jej była porównywalna z utratą części samej siebie. Ale Moiraine zginęła w Cairhien, zabierając z sobą Lanfear; błyskawicznie stawała się legendą wśród tutejszych Aes Sedai, była bowiem jedyną spośród nich, która pokonała jedno z Przeklętych. Jedyną dobrą rzeczą, jaką Nynaeve potrafiła w tym wszystkim odnaleźć, mimo że doszukiwanie się jej było bolesne, był fakt, że Lan nie musiał już być Strażnikiem Moiraine. Nie wiadomo tylko, czy ona go kiedykolwiek odnajdzie.

Siuan natychmiast podjęła temat, dokładnie w miejscu, w którym Leane przerwała.

— Nie możemy dopuścić, by ten chłopiec zaczął żeglować sam, bez niczyich wskazówek. Kto wie, do czego jest zdolny? Tak, tak, wiem, że jesteś zawsze gotowa wstawić się za nim, ale nie mam ochoty słuchać twoich argumentów. On próbuje pocałować żywą srebrawę, dziewczyno. Nie możemy dopuścić, by za nadto urósł w siłę, zanim nas zaakceptuje, choć jednocześnie nie odważymy się nazbyt gwałtownie wystąpić przeciwko niemu. Poza tym ja staram się utrzymać Sheriam i pozostałe w przekonaniu, że powinny go wesprzeć, mimo iż jedna połowa Komnaty w skrytości ducha nie chce z nim mieć nic wspólnego, a druga połowa w głębi serca uważa, że powinno się go poskromić, Smok Odrodzony czy

nie. W każdym razie, niezależnie od twoich argumentów, sugeruję, byś strzegła się Sheriam. Nie wpłyniesz na niczyje decyzje i nie zapominaj, że Tiana ma tutaj zbyt mało nowicjuszek, więc brak jej zajęcia.

Twarz Elayne ściągnęła się z gniewu. Tiana Noselle, Szara siostra, była Mistrzynią nowicjuszek w Salidarze. Wykroczenie Przyjętej musiało być gorsze niż jakiejś nowicjuszki, żeby odesłano ją do Tiany, niemniej jednak dokładnie z tego powodu taka wizyta była zawsze o wiele bardziej hańbiąca i bolesna. Tiana potrafiła okazać odrobinę życzliwości nowicjuszce, uważała wszak, że Przyjęta powinna mieć więcej rozumu i każdorazowo dawała jej to odczuć o wiele wcześniej, nim ta mogła opuścić małą klitkę służącą jej za gabinet.

Nynaeve od dłuższego czasu przypatrywała się Siuan, w tej chwili coś jej przyszło do głowy.

— Ty wiedziałas o tej... misji czy cokolwiek to jest... nieprawdaż? Wy dwie często konferujecie z Sheriam i otaczającą ją gromadką.

Komnata być może była w posiadaniu tytularnej władzy, przynajmniej do czasu wyboru Amyrlin, ale nadal kontrolę nad wszystkim miała Sheriam wraz z garstką tych Aes Sedai, które od samego początku uczestniczyły w organizacji zgromadzenia w Salidarze.

— Ile ma zostać wysłanych, Siuan? — spytała bez tchu Elayne. Jej to najwyraźniej nie przyszło wcześniej do głowy, co stanowiło dowód, jak bardzo dała się wytrącić z równowagi. Zazwyczaj to ona dostrzegała niuanse, które uchodziły uwagi Nynaeve.

Siuan niczemu nie zaprzeczyła. Od czasu, gdy ją ujarzmiono, potrafiła kłamać jak kupiec, ale kiedy decydowała się na otwartość, to była otwarta niczym policzek wymierzony w twarz.

— Dziewięć.

„Dość, by okazać szacunek Smokowi Odrodzonemu...”

— Na rybie bebechy! Misje wysyłane do królów rzadko kiedy liczą więcej niż trzy!...

„... ale nie aż tyle, by go przestraszyć”. O ile on nabył już dość doświadczenia, by dać się zastraszyć.

— Lepiej na to liczcie — powiedziała chłodno Elayne. — Bo jeśli nie, to wtedy dziewięć może oznaczać osiem za dużo.

Niebezpieczną liczbą było trzynaście. Rand był silny, być może silniejszy niżli jakikolwiek mężczyzna od czasów Pęknięcia, niemniej jednak trzynaście połączonych ze sobą Aes Sedai mogło go pokonać, odgrodzić tarczą od *saidina* i pozbawić zdolności przenoszenia. Trzynaście było liczbą, jaką wyznaczano do poskramiania, aczkolwiek Nynaeve od dawna uważała, że to bardziej obyczaj niż wymóg. Aes Sedai robiły całe mnóstwo rzeczy tylko dlatego, że tak się postępowo z dawien dawna.

Uśmiechowi Siuan brakowało wiele do miana przyjemnego.

— Ciekawa jestem, dlaczego nikt inny na to nie wpadł? Myślę, dziewczyno! Sheriam myśli, Komnata też myśli. Na samym początku będzie z nim rozmawiała tylko jedna, a potem tyle tylko, ile będzie jemu odpowiadało. Dowie się jednak, że przybywa do niego dziewięć posłanek i ktoś z pewnością mu wyjaśni, jaki to zaszczyt.

— Rozumiem — odparła cichym głosem Elayne. — Powinnam była przewidzieć, że któraś z was o tym pomyśli. Przepraszam.

Miała jeszcze jedną dobrą cechę. Potrafiła być uparta jak zezowaty muł, ale kiedy stwierdziła, że popełniła błąd, to przyznawała się do niego z prostotą wieśniaczki. Niezwykle, jak na arystokratkę.

— Min też jedzie — dodała Leane. — Jej... talenty mogą się przydać Randowi. Rzecz jasna siostry o niczym nie wiedzą, więc Min może zatrzymać swoje sekrety dla siebie.

Jakby to było istotne.

— Rozumiem — powtórzyła Elayne, tym razem jej głos był bez wyrazu. Wyraźnie starała się nadać mu nieco życia, jednak efekt był żalospny. — No cóż, rozumiem, że jesteście zajęte... pracą z Marigan. Nie chciałam wam przeszkadzać. Proszę, nie przeszkadzajcie sobie. — I nim Nynaeve zdążyła otworzyć usta, wyszła, głośno zatrząskując za sobą drzwi.

Nynaeve natarła ze złością na Leane.

— Wiedziałam, że z was dwóch Siuan jest tą wredną, ale to już była istna nikczemność!

Odpowiedziała jej Siuan:

— Kiedy dwie kobiety kochają jednego mężczyznę, zapowiada to kłopoty, a kiedy na dodatek tym mężczyzną jest Rand al'Thor... Światłość jedna wie, do jakiego stopnia zachował jeszcze zdrowe zmysły albo co mu one mogą podszeptać. Jeśli ma dojść do wyrywania włosów albo drapania paznokciami, to lepiej niech ma to miejsce tu i teraz.

Nynaeve, nie zastanawiając się nawet, machinalnie, znalazła swój warkocz i gwałtownym ruchem przrzuciła go przez ramię.

— Powinnam... — Cały szkopał tkwił w tym, że mogła zrobić niewiele, a już zupełnie nic takiego, co by cokolwiek zmieniło. — Zaczniemy od miejsca, w którym skończyłyśmy, kiedy przyszła Elayne. Ale, Siuan... Jeżeli jeszcze kiedyś zrobisz jej coś takiego...

„Albo mnie”, dodała w myślach.

— ...to sprawię, że pożałujesz... Dokąd się wybierasz?

Siuan odsunęła krzesło. Leane, spojrzawszy w jej stronę, zaraz zrobiła to samo.

— Czeka nas praca — odparła zwięźle, zmierzając już do drzwi.

— Obiecałyście, że oddacie się do dyspozycji, Siuan. Sheriam tak wam przykazała. — Wcale to wprawdzie nie znaczyło, by Sheriam w mniejszym stopniu

niż Siuan uważała całą rzecz za stratę czasu, ale ona i Elayne zasłużyły sobie przecież na jakąś nagrodę, a przynajmniej pewną pobłażliwość. Choćby, na przykład, żeby Marigan została ich służebną, dzięki czemu będą miały więcej czasu na nauki, które pobierały jako Przyjęte.

Siuan, stojąca już w drzwiach, spojrzała na nią z rozbawieniem.

— To może jej się poskarżysz? I zdasz jej dokładne sprawozdanie z wyników swoich badań? Dziś wieczorem chciałabym spędzić trochę czasu z Marigan; mam jeszcze kilka pytań.

Po wyjściu Siuan Leane smutnym głosem powiedziała:

— Byłoby miło, Nynaeve, ale musimy robić coś, co przynosi wymierne efekty. Może spróbujesz z Logainem? — I to rzekłszy, również wyszła.

Nynaeve nachmurzyła się. Obserwując Logaina, nauczyła się jeszcze mniej niż w trakcie badań z obiema kobietami. Nie była już pewna, czy w ogóle jeszcze dowie się czegoś. Tak czy inaczej, Uzdrawianie poskromionego mężczyzny było ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. A poza tym stawała się przy nim nerwowa.

— Gryziecie się jak szczury w zalakowanej skrzynce — odezwała się Marigan. — Sądząc po wynikach, nie masz dużych szans na powodzenie. Może powinnaś się zastanowić nad... innymi możliwościami.

— A ugryź ty się w ten swój plugawy język! — Nynaeve spiorunowała kobietę wzrokiem. — Ugryź się, obyś szczała w Światłości! — Przez bransoletę nadal sączył się strumyczek strachu, a także coś innego, coś zbyt słabego, by to wychwycić. Błada iskierka nadziei, być może. — Obyś szczała w Światłości — mruknęła.

Kobieta tak naprawdę nie miała na imię Marigan lecz Moghedien. Była jedną z Przeklętych, złapaną w pułapkę z powodu swej nadmiernej pychy i utrzymaną w niewoli pośród Aes Sedai. Tylko pięć kobiet na całym świecie — w tym żadna Aes Sedai — wiedziało, kim ona jest, ale utrzymywanie tożsamości Moghedien w tajemnicy było podyktowane jedynie koniecznością. Zbrodnie Przekłętej były do tego stopnia ogromne, iż jej egzekucja stanowiłaby rzecz tak oczywistą jak wschód słońca. Siuan również popierała taki stan rzeczy: na każdą Aes Sedai, która doradzałaby zwłokę, o ile w ogóle taka by się znalazła, dziesięć zażądałoby natychmiastowego wymierzenia sprawiedliwości. I wówczas — wraz z Moghedien — powędrowałaby do nie oznakowanego grobu cała jej wiedza Wieku Legend, kiedy to Mocą dokonywano takich rzeczy, o jakich dzisiaj nikomu już się nawet nie śniło. Nynaeve nie była pewna, czy wierzy w połowę tego, co ta kobieta opowiadała jej o tamtych czasach. Z pewnością rozumiała mniej niż połowę.

Wywlekanie informacji z Moghedien nie było łatwym zadaniem. Niekiedy przypominało to Uzdrawianie. Niestety, Moghedien była tylko wówczas czymkolwiek zainteresowana, jeśli mogła odnieść jakąś korzyść, i to najlepiej natychmiastową. Ponadto nie była chętna wyjawić prawdę. Nynaeve podejrzewała, że jeszcze zanim zaprzysięgła duszę Czarnemu, oszukiwała wszystkich dookoła. Cza-

mi ona i Elayne nie wiedziały, jakie pytania zadawać. Moghedien rzadko mówiła coś z własnej woli, to nie ulegało wątpliwości. A mimo to nauczyły się mnóstwa rzeczy i większość przekazały Aes Sedai — jako rzekome efekty własnych badań i studiów w charakterze Przyjętych, rzecz jasna. Wszystko to zyskało im sporo uznania.

Razem z Elayne zachowałyby tę wiedzę dla siebie, gdyby mogły, ale Birgitte wiedziała o wszystkim od samego początku, a Suan i Leane trzeba było powiedzieć. Suan wiedziała dość na temat okoliczności, w jakich doszło do pojmania Moghedien, by zażądać pełnych wyjaśnień, a poza tym wiedziała, jak należy na obie wpłynąć, by uzyskać stosowne wyjaśnienia. Nyaeneve i Elayne znały część tajemnic Suan i Leane; tamte zaś znały wszystkie sekrety jej i Elayne, z wyjątkiem prawdy o Birgitte. Tworzyło to razem kruchą równowagę, z lekką przewagą po stronie Suan i Leane. Ponadto strzępki rewelacji Moghedien zawierały informacje o rzekomych spiskach knutych przez Sprzymierzeńców Ciemności, a także aluzje odnośnie do zamierzeń innych Przeklętych. Jedynym sposobem bezpiecznego przekazania tych informacji było udawanie, że ich źródłem są agenci Suan i Leane. Nic na temat Czarnych Ajah — pochowały się gdzieś głęboko, a poza tym od dawna dementowano fakt ich istnienia — aczkolwiek Suan to właśnie interesowało najbardziej. Sprzymierzeńcy Ciemności budzili jej odrazę, ale sama idea Aes Sedai składających przysięgę Czarnemu wystarczała, by jej gniew potęgował się do lodowatej wściekłości. Moghedien twierdziła, że boi się podejść blisko do jakiegokolwiek Aes Sedai, w co akurat można było uwierzyć. Strach stanowił nieodłączną cechę charakteru tej kobiety, toteż nie dziwiło, że ze względu na swe zdolności prowadzenia mrocznych knowań zasłużyła na miano Pajęczycy. Jak to wszystko podsumować, była znaleziskiem zbyt cennym, by przekazywać ją w ręce kata, aczkolwiek większość Aes Sedai zapewne nie miałyby co do tego najmniejszych wątpliwości. Większość z nich zapewne nie zechciałaby także skorzystać z tego, czego by się od niej dowiedziała, ani też dać temu wiary.

Nynaeve — nie po raz pierwszy — poczuła ukłucie winy zmieszanej z odrazą. Czy wiedza, ile by jej nie było, rzeczywiście usprawiedliwiła ochronę Przekłętej przed sprawiedliwością? Wydanie jej równałoby się karze, straszliwej zapewne, która spotkałaby wszystkie osoby zaangażowane w spisek, nie tylko ją, również Elayne, Suan i Leane. Wydanie jej równałoby się wyjawieniu sekretu Birgitte. I tyle wiedzy by przepadło. Moghedien mogła nie wiedzieć nic o Uzdrawianiu, ale udzieliła Nynaeve kilkanaście wskazówek odnośnie do rozmaitych splotów Mocy, a w głowie musiała skrywać znacznie więcej: Do czego mogła w końcu dojść, posiłkując się tym wszystkim?

Nynaeve nabrała wielkiej ochoty na kąpiel i nie miało to nic wspólnego z upałem.

— Porozmawiamy o pogodzie — oznajmiła zrzędlwym tonem.

— Na kontrolowaniu pogody znasz się lepiej niż ja. — W głosie Moghedien

pobrzmiwało znużenie; jego echo przemknęło również przez bransoletę. Na temat pogody padło już dość pytań. — Ja wiem tylko, że to, co się teraz dzieje, to dzieło Wielkiego... Czarnego. — Miała dość tupetu, by to przejęzyczenie pokryć przymilnym uśmiechem. — Żaden śmiertelnik nie jest tak silny, by do tego stopnia zmienić klimat.

Nynaeve musiała się mocno starać, żeby nie zazgrzytać zębami. Elayne знаła się lepiej na pracy z pogodą niż ktokolwiek w Salidarze i twierdziła dokładnie to samo. Również to o Czarnym, aczkolwiek musiało to być jasne dla każdego durnia, skoro w czasie, gdy powinien dawno już spaść śnieg, panował taki upał, nie spadła nawet kropla deszczu i strumienie wysychały.

— To w takim razie porozmawiamy o stosowaniu różnych splotów przydatnych do Uzdrawiania chorób.

Kobieta twierdziła, że kiedyś trwało to dłużej niż w obecnych czasach, za to cała niezbędna siła brała się z Mocy, nie zaś z chorego i przenoszącej kobiecy. Utrzymywała oczywiście, że mężczyźni dysponowali wtedy większą wprawą w niektórych odmianach Uzdrawiania, ale Nynaeve oczywiście nie miała zamiaru jej uwierzyć.

— Musiałaś przynajmniej raz widzieć, jak to robiono.

Zabrała się za wyplukiwanie samorodków złota z tego potoku nieczystości. Część tej wiedzy była bardzo cenna. Żeby tak jeszcze pozbyć się tego wrażenia, jakby się grzebało w szlamie.

\* \* \*

Elayne nie przystanęła, gdy już się znalazła na zewnątrz; zamachała tylko do Birgitte i poszła dalej. Birgitte, ze złotymi włosami zaplecionymi w skomplikowany warkocz sięgający pasa, bawiła się z dwoma małymi chłopcami, nie przestając jednocześnie obserwować wąskiej alejki; jej łuk stał obok, wsparty o zawałający się płot. Albo raczej próbowała się z nimi bawić. Jaril i Seve patrzyli tylko szeroko rozwartymi oczyma na kobietę odzianą w dziwaczne, szerokie żółte spodnie i kusy ciemny kaftanik, i nie sposób było wymusić na nich żadnej innej reakcji. W ogóle się nie odzywali. Byli rzekomo dziećmi „Marigan”. Birgitte była szczęśliwa, bawiąc się z nimi, i jednocześnie odrobinę smutna; zawsze lubiła bawić się z dziećmi, zwłaszcza z małymi chłopcami, i zawsze tak się wtedy czuła. Elayne wiedziała o tym równie dobrze, jakby to były jej własne uczucia.

Gdyby uznała, że Moghedien odpowiedzialna jest za ich stan... Ale tamta twierdziła, że tacy już byli wtedy, gdy wyszukała ich — uliczne sieroty — w Ghealdan, po to, by stanowili część jej legendy, zaś niektóre z Żółtych sióstr mówiły,

że chłopcy widzieli za dużo okropności podczas zamieszek w Samarze. Elayne dawała temu wiarę, bo sama widziała tam zbyt wiele. Żółte siostry twierdziły, że czas i należyta opieka ich uleczy. Elayne miała nadzieję, że to prawda. Miała nadzieję, że tym sposobem nie pozwala osobie odpowiedzialnej umknąć przed sprawiedliwością.

Nie chciała teraz myśleć o Moghedien. Matka. Nie, o niej z pewnością nie chciała myśleć. Min. I Rand. Musi istnieć jakiś sposób, żeby się z tym wszystkim uporać. Ledwie zerknąwszy na Birgitte, która odpowiedziała na pozdrowienie skinieniem głowy, popędziła w górę alejki i wybiegła na główną ulicę Solidaru prążącą się pod bezchmurnym niebem południowych godzin.

Salidar opuszczony został wiele lat wcześniej, nim Aes Sedai, zmuszone do ucieczki w wyniku zamachu stanu dokonanego przez Elaide, zaczęły się w nim osiedlać, ale już nowe strzechy wieńczyły domy noszące ślady rozlicznych napraw i łatań, również te trzy duże kamienne budynki, w których w przeszłości mieściły się gospody. Jeden, ten największy, niektórzy nazywali Małą Wieżą; to w niej właśnie spotykała się Komnata. Oczywiście zrobiono tylko to, co niezbędne; szyby w wielu oknach były popękane, często w ogóle ich brakowało. Ważniejsze sprawy czekały na załatwienie niżli wypełnianie ubytków w ścianach czy malowanie. Nie brukowane ulice wyglądały tak, jakby zaraz miały się rozjeść w szwach, taki bowiem panował na nich tłok. Mijała nie tylko Aes Sedai, lecz również Przyjęte w sukniach z kolorowymi lamówkami i śmigłe nowicjuszki w czystej bieli, Strażników, którzy poruszali się ze śmiertelną gracją lampartów, zarówno ci szczupli jak i ci zwaliści, służbę, która w ślad za Aes Sedai uciekła z Wieży, nawet kilkoro dzieci. Oraz żołnierzy.

Tutejsza Komnata przygotowywała się do narzucenia swoich żądań Elaizie, siłą w razie konieczności, natychmiast po wybraniu nowej Zasiadającej na Tronie Amyrlin. W pomruk tłumów wcinał się daleki szczeł młotów dobiegający z kuźni za wsią, oznajmiając o podkuwanych koniach i naprawianych zbrojach. Ulicą przejechał wolno mężczyzna o kwadratowej twarzy, o ciemnych włosach gęsto przyprószonych siwizną, w kolorowym kaftanie i wyszczerbionym napierśniku. W trakcie torowania sobie drogi przez ciżbę lustrował wzrokiem grupki mężczyzn z długimi pikami albo łukami przewieszonymi przez ramię. Gareth Bryne zgodził się zorganizować pobór i przejąć dowództwo armii Solidaru; Elayne żałowała, że nie wie dokładnie, ani jak do tego doszło, ani też dlaczego. Miało to coś wspólnego z Siuan i Leane, ale nie umiała rozwikłać tej zagadkowej sytuacji. Mężczyzna poniewierał obiema kobietami, zwłaszcza Siuan, rzekomo egzekwując jakąś przysięgę, której treści Elayne nie znała. Dotarły do niej jedynie gorzkie utyskiwania Siuan, że na domiar wszystkiego musi utrzymywać w czystości jego izbę i odzienie. Skarżyła się, a jednak robiła to; przysięga musiała być zaiste bardzo wiążąca.

Bryne omiół wzrokiem Elayne, zdradzając jedynie nieznaczne wahanie. Od czasu jej przybycia do Solidaru traktował ją z chłodną uprzejmością, mimo że

przecież znał ją od kołyski. Jeszcze niecały roku temu, kiedy był Kapitanem-Generałem Gwardii Królowej w Andorze, sprawy miały się inaczej. Kiedyś Elayne myślała, że on i jej matka pobiorą się. Nie, nie będzie myślała o swojej matce! Min. Musi znaleźć Min i z nią porozmawiać.

Nim jednak zaczęła się przeciskać przez zatłoczoną błotnistą ulicę, dopadły ją dwie Aes Sedai. Nie miała innego wyboru jak tylko zatrzymać się i dygnąć, a tymczasem nieprzerwana rzeka przechodniów opływała je dookoła. Obie kobiety promieniały. Na ich twarzach nie było ani kropli potu. Wyciągnąwszy chusteczkę z rękawa, by otrzeć twarz, Elayne pożałowała, że jeszcze jej nie przekazano, na czym polega ów szczególny element całej wiedzy Aes Sedai.

— Dzień dobry, Anaiya Sedai, Janya Sedai.

— Dzień dobry, dziecko. Masz dla nas dzisiaj jakieś nowe odkrycia? — Janya Frende jak zwykle przemawiała w taki sposób, jakby brakowało jej czasu na dobór słów. — Razem z Nynaeve czynicie takie niezwykle postępy, zwłaszcza jak na Przyjęte. Nadal nie pojmuję, jak Nynaeve to robi, skoro ma takie trudności przy korzystaniu z Mocy, ale muszę stwierdzić, że jestem zachwycona. — W odróżnieniu od Brązowych sióstr, często roztargnionych od nawału lektury i badań naukowych, Janya Sedai nosiła się całkiem schludnie. Jej bardzo krótkie ciemne włosy okalały twarz nie naznaczoną śladami upływu lat, znamionującą Aes Sedai, która od bardzo dawna parała się Mocą. Niemniej jednak było w wyglądzie tej szczupłej kobiety coś, co mówiło wyraźnie, do jakich Ajah należy. Suknię miała uszytą ze zwykłej szarej wełny — mało która z Brązowych traktowała ubiór jako coś więcej niżli wymagane przez przyzwoitość okrycie — podczas rozmowy zaś nieznacznie marszczyła czoło, zupełnie jakby myślała o czymś zupełnie innym. Bez tego grymasu byłaby piękna.

— Ten sposób na spowijanie się w światło, by stać się niewidzialną. Osobliwe. Jestem przekonana, że ktoś wynajdzie sposób na przeciwdziałanie tworzących się fal, a wtedy będzie można również się poruszać. Carennę zaś zafascynowała ta odkryta przez Nynaeve sztuczka z podsłuchiowaniem. Paskudny to pomysł, jak się nad tym zastanowić, ale użyteczny. Carenna uważa, że będzie wiedziała, jak przystosować ten wynalazek do rozmów na odległość. Pomyśl tylko. Rozmowa z kimś, kto jest milę dalej! Albo nawet dwie czy wręcz... — Anaiya dotknęła jej ramienia i wtedy Janya urwała, mrugając do drugiej Aes Sedai.

— Robisz wielkie postępy, Elayne — rzekła spokojnie Anaiya. Ta obdarzona pospolitą urodą kobieta była zawsze opanowana. Zazwyczaj potrafiła dodać człowiekowi otuchy, i mimo iż nie dawało się określić jej wieku za sprawą charakterystycznych dla Aes Sedai rysów twarzy, najlepiej opisywało ją słowo „macierzyńska”. Należała ponadto do tego niewielkiego kręgu otaczającego Sheriam, który dysponował w Salidarze niejaką władzą. — Większe niżli któraś z nas się spodziewała, a spodziewałyśmy się wiele. Pierwsza, która wykonała *ter'angreal* od czasów Pęknięcia. To niezwykle, dziecko, i chcę, byś o tym wiedziała. Powin-



naś być z siebie bardzo dumna.

Elayne wbiła wzrok w ziemię. Z tłumu wyskoczyło dwóch małych chłopców, sięgających jej zaledwie do pasa; bardzo głośno się z czegoś śmiali. Nie podobało jej się, że w pobliżu jest tylu słuchaczy, mimo iż żaden z przechodniów nie spojrział na nie więcej niż dwa razy. W wiosce zamieszkało tyle Aes Sedai, że nawet nowicjuszki nie dygały, o ile któraś nie zwróciła się do nich bezpośrednio, a poza tym wszyscy mieli na głowie jakieś swoje sprawy, zazwyczaj do wykonania na wczoraj.

Wcale nie czuła się dumna. Na pewno nie z tych wszystkich odkryć, których źródłem była Moghedien. A nazbierało się ich już całkiem sporo — począwszy choćby od „nicowania”, dzięki któremu nikt nie widział splotu oprócz tkającej go kobiety — a przecież nie wszystko ujawniły. Nie ujawniły przede wszystkim sposobu na ukrywanie umiejętności przenoszenia. Gdyby nie to, Moghedien zostałaby zdemaskowana w przeciągu kilku godzin — każda Aes Sedai z odległości dwóch albo trzech kroków wyczułaby, że ta kobieta potrafi przenosić — i gdyby Aes Sedai nauczyły się tego sposobu, to wtedy również potrafiłyby dociec, kto się nim posługuje. I nie zdradziły również sposobu na przybieranie innego wyglądu; dzięki przeniecowanym splotom „Marigan” zupełnie nie przypominała Moghedien.

Z kolei część posiadanej przez tę kobietę wiedzy była zwyczajnie nazbyt odstręczająca. Przymus, na przykład, czyli naginanie woli innych ludzi, albo metoda takiego zaszczepiania instrukcji, by ich odbiorca nawet nie pamiętał rozkazów w trakcie ich wykonywania. I gorsze jeszcze rzeczy. Zbyt odstręczające, a i być może zbyt niebezpieczne, by je komuś powierzać. Nynaeve twierdziła, że muszą się ich uczyć, żeby potem umieć im przeciwdziałać, ale Elayne wcale tego nie chciała. Tyle utrzymywały w tajemnicy, okłamały tak wielu przyjaciół oraz sprzymierzeńców, że niemalże pragnęła już, zaraz, złożyć Trzy Przysięgi na Różdżkę Przysięg, nie czekając nawet wyniesienia do godności Aes Sedai. Jedna z tych przysięg zabraniała wypowiadać bodaj słowo, które nie byłoby prawdą, i wiązała tak silnie, jakby stanowiła część ciała.

— Nie spisałam się z tym *ter'angrealem* tak dobrze, jak bym mogła, Anayia Sedai.

Tego odkrycia przynajmniej nie zawdzięczała nikomu innemu, tylko sobie. Zaczęło się od bransolety i naszyjnika — fakt okryty ścisłą tajemnicą, nie trzeba dodawać — jednakże były to tylko kopie *a'dam*, paskudnego wynalazku, który został po inwazji Seanchan na Falme, kiedy przegnano ich na morze. Zwykły zielony krążek, który pozwalał, komuś skądinąd niedostatecznie silnemu, posłużyć się sztuczką z niewidzialnością — a tak naprawdę, to mało która była wystarczająco silna — wymyśliła całkiem samodzielnie. Nie dysponowała ani *angrealem* ani *sa'angrealem*, które mogłaby zbadać, dlatego więc ich wykonanie było niemożliwością, i mimo sukcesu ze skopiowaniem seanchańskiego urządzenia, okazało

się, że z *ter'angrealem* też nie jest tak łatwo, jak się początkowo spodziewała. Dlatego zamiast go wzmacniać, wykorzystywały, w tym specyficznym celu, Jedyną Moc. Niektóre z tych jej *ter'angreali* mogły być nawet używane przez ludzi, którzy nie potrafili przenosić, a nawet przez mężczyzn. I na pewno były mniej skomplikowane — w działaniu, gdyż ich wykonaniu towarzyszył wielki trud.

To skromne oświadczenie rozpętało burzę słów.

— Bzdury, dziecko. — Mówiła Janya. — Kompletne bzdury. Cóż, nie mam wątpliwości, że po powrocie do Wieży, kiedy będę mogła cię poddać należytym sprawdzianom i włożyć ci Różdkę Przysięg do ręki, zostaniesz wyniesiona do szala i do pierścienia. Już spełniasz wszystkie te obiecujące zapowiedzi, które w tobie dostrzeżono. A nawet i więcej. Nikt by się nie spodziewał... — Anayia znowu dotknęła jej ręki; wyglądało to jak jakiś umówiony sygnał, ponieważ Janya zamilkła i zamrugła.

— Nie przeciążaj tak umysłu tego dziecka — rzekła Anayia. — Elayne, nie chcę żadnych dąsów z twojej strony. Już dawno temu powinnaś z nich wyrosnąć. — Ta matka tkwiąca w niej potrafiła być nie tylko dobrotliwa, ale również stanowcza. — Nie życzę sobie, byś tak wydymała usta z powodu kilku porażek, zwłaszcza że przecież tak wiele już osiągnęłaś.

Elayne poczyniła pięć prób z kamiennym dyskiem. Dwie nie powiodły się zupełnie, a przy dwóch innych odniosła wrażenie, że jej ciało jest jakby rozmazane, nie mówiąc już o tym, że robiło jej się mdło. Udał się tylko ten wykonany za trzecim razem. Porażek na koncie Elayne było więc więcej niż tylko kilka.

— Wszystkie twoje dzieła są wspaniałe. Twoje, a także Nynaeve.

— Dziękuję — odparła Elayne. — Dziękuję wam obu. Postaram się nie dąsać. — Kiedy jakaś Aes Sedai mówiła ci, że się dąsasz, to żadną miarą nie należało zaprzeczać. — Czy wybaczycie mi teraz? Jak rozumiem, misja poselska wyjeżdża dzisiaj do Caemlyn. Chciałabym pożegnać się z Min.

Puściły ją, naturalnie, ale gdyby nie było Anayi, Janya potrzebowałaby na to pół godziny. Anayia zmierzyła Elayne ostrym spojrzeniem — z pewnością wiedziała o jej sprzeczce z Sheriam — ale nic nie powiedziała. Czasami milczenie Aes Sedai brzmiało równie donośnie jak słowa.

Gładząc kciukiem pierścień na trzecim palcu lewej dłoni, Elayne pospieszyła przed siebie, niemalże biegnąc, z oczyma utkwionymi w dal, by dzięki temu móc w razie czego twierdzić, że zwyczajnie nie zauważyła już nikogo, kto próbował ją zatrzymać i złożyć jej gratulacje. Co mogło jej się udać, względnie zakończyć wizytą u Tiany; pobłażliwość w nagrodę za osiągnięcia w pracy miała swoje granice. W danym momencie wolałaby już, żeby Tiana chwaliła ją za to, co nie było jej zasługą.

Złoty pierścień miał kształt węża pożerającego własny ogon, Wielkiego Węża, który stanowił symbol Aes Sedai, ale nosiły go także Przyjęte. Kiedy wdzięwały szal z frędzlami w barwie wybranej przez siebie Ajah, wkładały go na ten palec,

który chciały. W jej przypadku z konieczności muszą to więc być Zielone Ajah, tylko bowiem Zielone siostry miały więcej niż jednego Strażnika, a ona pragnęła mieć Randa. Albo przynajmniej tyle z niego, ile będzie w stanie zdobyć. Cała trudność polegała na tym, że już była połączona więzią z Birgitte, pierwszą kobietą, jaka kiedykolwiek została Strażnikiem. Dzięki temu właśnie wyczuwała to, co czuła Birgitte, wiedziała, że tego ranka Birgitte ukuła drzazga w rękę. Tylko Nynaeve wiedziała o tej więzi. Strażnicy przysługiwali dopiero pełnym Aes Sedai; żadna pobłażliwość na świecie nie zbawiłaby skóry Przyjętej, która przekroczyła to ograniczenie. Obie zrobiły to powodowane koniecznością, a nie jakimś kaprysem — Birgitte nie przeżyłaby, gdyby Elayne postąpiła inaczej — niemniej jednak, jej zdaniem, to nie czyniło żadnej istotnej różnicy. Naruszenie jakiejś zasady dotyczącej użycia Mocy mogło się okazać fatalne w skutkach dla ciebie i innych, aby więc mocno ci wryć to w pamięć, Aes Sedai rzadko kiedy pozwalały, by takie naruszenie, niezależnie od powodu, uszło komuś na sucho.

Tyle tych matactw, tu w Salidarze. Nie tylko w związku z Birgitte i Moghedien. Jedna z Przysiąg zabraniała Aes Sedai kłamać, ale z kolei przemilczenie czegoś wcale jeszcze nie musiało równać się kłamstwu. Moiraine potrafiła utkać płaszcz, dzięki któremu stawała się niewidzialna; chyba tej samej sztuczki nauczyły się od Moghedien — Nynaeve widziała raz, jeszcze przez dowiedzeniem się czegoś na temat Mocy, jak Moiraine to zrobiła. A w Salidarze żadna inna jej nie znała. W każdym razie żadna się nie przyznała, że ją zna. Birgitte potwierdziła to, co Elayne zaczęła podejrzewać. Większość Aes Sedai, być może wszystkie, utrzymywały w sekrecie przynajmniej część swojej wiedzy. Większość miała swoje własne, sekretne sztuczki, które mogły stać się elementami wiedzy powszechnej, przekazywanymi nowicjuszkom albo Przyjętym, gdyby nauczyła się ich dostateczna liczba Aes Sedai — albo mogły umrzeć razem z daną Aes Sedai. Dwa, może trzy razy wydawało jej się, że dostrzeża w czyichś oczach błysk, kiedy coś demonstrowała. Carena na przykład podejrzanie szybko pojęła sztuczkę z podsłuchiwaniami. Niemniej jednak Przyjęta raczej nie mogła wystąpić z oskarżeniem tego rodzaju przeciwko pełnej siostrze.

Znajomość tych faktów nie sprawiała wprawdzie, by jej oszustwa stały się bardziej strawne, ale nieznacznie pomagała. Pomagało także pamiętanie o konieczności. Żeby jeszcze przestały tak ją wychwalać za coś, czego nie zrobiła.

Była przekonana, że wie, gdzie szukać Min. Rzeka Eldar płynęła w odległości zaledwie trzech mil na zachód od Salidaru; za lasem wpadał do niej biegnący skrajem wioski wąski strumień. Większość drzew rosnących w środku miasteczka została ścięta po przybyciu Aes Sedai, ale na brzegu strumienia pozostawiono niewielką kępę, na skrawku ziemi zbyt wąskim, by mógł się do czegoś przydać. Min twierdziła, że bardziej lubi duże miasta, a mimo to często przychodziła, żeby posiedzieć wśród tych drzew. Był to sposób na chwilowe przynajmniej uwolnienie się od towarzystwa Aes Sedai i Strażników, które dla Min bywało naprawdę

uciażliwe.

I rzeczywiście, kiedy obeszła róg kamiennego domu, by wejść na wąski pas gruntu ciągnący się równolegle do niewiele odeń szerszej niteczki wody, zobaczyła Min. Siedziała tam, wsparta plecami o pień drzewa, zapatrzona w strumień. Czy raczej to, co z niego zostało; żalosne resztki jego nurtu sączyły się po korycie z wyschłego błota, dwakroć od nich szerszym. Na drzewach pozostały jeszcze jakieś liście, jednak większa część okolicznego lasu zaczynała już robić się naga, nawet dęby.

Pod kamaszem Elayne trzasnęła gałązka i Min poderwała się na równe nogi. Jak zwykle ubrana w szary chłopięcy kaftan i spodnie, ale na wyłogach, a także wzdłuż obcisłych nogawek miała wyhaftowane małe niebieskie kwiatki. Co dziwiło, bo Min, która twierdziła, że wychowywały ją trzy ciotki, szwaczki z zawodu, zdawała się nie odróżniać jednego końca igły od drugiego. Wbiła wzrok w Elayne, a potem skrzywiła się i przeczesła palcami ciemne, sięgające do ramion włosy.

— Wiesz już. — Tylko tyle powiedziała.

— Uznałam, że powinniśmy porozmawiać.

Min znowu przesunęła dłonią po włosach.

— Siuan wcale mnie nie uprzedziła, o wszystkim dowiedziałam się dopiero dzisiaj rano. Próbowalam właśnie zdobyć się na odwagę, by ci powiedzieć. Ona chce, żebym ja go szpiegowała, Elayne, i o wszystkim donosiła kobietom z tej misji poselskiej. Poza tym podała mi nazwiska różnych ludzi w Caemlyn, ludzi, którzy mogą przesyłać wiadomości do niej.

— Ale ty oczywiście nie będziesz tego robiła — powiedziała Elayne, bez śladu pytania w głosie, za co Min obdarzyła ją spojrzeniem pełnym wdzięczności. — Dlaczego bałaś się do mnie przyjść? Przecież jesteśmy przyjaciółkami, Min. I obiecałyśmy sobie, że nie pozwolimy, by jakiś mężczyzna stanął między nami. Nawet gdybyśmy obie go kochały.

Śmiech Min zabrzmiał nieco ochryple; Elayne podejrzewała, że wielu mężczyzn uznałoby ten śmiech za pociągający. Poza tym była piękna, obdarzona urodą, w której było coś psotnego. I miała kilka lat więcej; czy dawało jej to jakąś przewagę?

— Och, Elayne, to sobie obiecałyśmy, kiedy on znajdował się w bezpiecznej odległości od nas. Utrata ciebie byłaby tym samym co utrata siostry, ale co będzie, jeśli któraś z nas zmieni zdanie?

Lepiej było nie pytać, która to będzie. Elayne usiłowała nie myśleć o tym, że gdyby związała i zakneblowała Min Mocą, a potem przenicowała splot, to może udałoby jej się ukryć ją w jakiejś piwnicy do czasu wyjazdu misji.

— Nie zmienimy zdania — odparła po prostu. Nie, nie mogłaby tego zrobić Min. Pragnęła mieć Randa wyłącznie dla siebie, ale nie mogłaby wyrządzić krzywdy Min. Może zamiast tego zwyczajnie poprosić, by tamta nie wyjeżdżała aż do czasu, kiedy obydwie będą mogły wyjechać? Ale przegnała tę głupią myśl

i spytała tylko: — Czy Gareth zwolni cię z przysięgi?

Tym razem śmiech Min przypominał kaszel.

— Raczej nie. Twierdzi, że zmusi mnie, bym ją prędzej czy później odpracowała. Ale tak naprawdę to on chce zatrzymać Suan, Światłość jedna wie, z jakiego powodu. — Lekkie napięcie w jej twarzy sprawiło, że Elayne pomyślała, iż idzie tu o jakąś wizję, ale o nic nie spytała. Min nigdy nie mówiła o swoich wizjach, dopóki nie dotyczyły osoby rozmówcy.

Jej talent znany był w Salidarze tylko nielicznym. Elayne i Nynaeve, Suan i Leane, na tym koniec. Birgitte o niczym nie wiedziała, ale z kolei Min nie miała pojęcia o Birgitte. Albo o Moghedien. Tyle tych tajemnic. Ale Min sama dla siebie stanowiła tajemnicę. Czasami widziała obrazki albo aury otaczające ludzi i czasami wiedziała, co one oznaczają. Kiedy wiedziała, miała zawsze rację; na przykład, jeśli twierdziła, że jakiś mężczyzna i kobieta się pobiorą, to ci prędzej czy później pobierali się, nawet jeśli w danej chwili wyraźnie się nie lubili. Leane nazywała to „odczytywaniem Wzoru”, ale to nie miało nic wspólnego z Mocą. Większości ludzi te wizje towarzyszyły jedynie sporadycznie, jednak Aes Sedai i Strażników otaczały zawsze. Min uciekała do tego miejsca po to, by nie musieć na nie patrzeć.

— Czy zawieziesz Randowi list ode mnie?

— Oczywiście.

Przyjaciółka zgodziła się tak szybko, jej twarz była tak szczera, że Elayne aż się zaczerwieniła i dalej mówiła już bardzo szybko. Nie była pewna, czy sama by się zgodziła w odwrotnej sytuacji.

— On się nie może dowiedzieć o twoich widzeniach, Min. To znaczy o tych, które dotyczą nas. — Jedną z pierwszych rzeczy, jakie Min zobaczyła odnośnie do Randa, było to, że trzy kobiety nieszczęśliwie się w nim zakochają, zwiążą się z nim na zawsze i że wśród nich będzie również ona sama. Drugą okazała się Elayne. — Jeśli się dowie, może dojść do wniosku, że to nie my tego chcemy, tylko Wzór, albo że wynika to z faktu, że jest *ta'veren*. Najpewniej uzna, że postąpi szlachetnie i że nas uratuje, jeśli nie dopuści żadnej z nas blisko siebie.

— Może — odparła Min bez przekonania. — Mężczyźni są dziwni. Bardziej prawdopodobne, że jeśli do niego dotrze, iż obie przybiegniemy, kiedy tylko kiwnie palcem, to tym palcem kiwnie. Nie będzie umiał się powstrzymać. Nieraz widziałam, jak oni coś takiego robią. To chyba ma coś wspólnego z tymi włosami, które im rosną na brodach.

Na twarzy miała wyraz takiego zadziwienia, że Elayne nie była pewna, czy to dowcip czy nie. Min zdawała się dużo wiedzieć o mężczyznach; dotychczas wprawdzie pracowała przeważnie w stajniach — lubiła konie — ale raz napomknęła u usługiwaniu w jakiejś tawernie.

— W każdym razie nic nie powiem. Podzielimy go między siebie jak placek. Może pozwolimy tej trzeciej wziąć sobie okruszek, jeśli się wreszcie ujawni.

— Co my zrobimy, Min? — Wcale nie chciała tego powiedzieć, z pewnością nie tym płaczącym tonem. Coś w niej pragnęło stwierdzić z absolutnym przekonaniem, że nigdy by nie pobiegła na widok kiwającego na nią palca; coś innego pragnęło, by on jednak nim kiwnął. Część niej pragnęła także powiedzieć, że ona nigdy nie podzieli się Randem, w żaden sposób, z nikim, nawet z przyjaciółką, a widzenia Min mogą sobie powędrować do Szczeliny Zagłady; inna część pragnęła wytargać Randa za uszy za to, co zrobił jej i Min. Było to tak dziecinne, że miała ochotę schować gdzieś głowę, ale nie potrafiła rozplątać tego węzła, w jaki skłębiły się jej uczucia. Uspokoiwszy głos, ubiegła Min, sama odpowiadając na swoje pytanie.

— Posiedzimy tu chwilę i porozmawiamy. — Na poparcie tych słów zaraz wybierała miejsce, gdzie uschłe liście utworzyły szczególnie grubą warstwę ściółki. Drzewa stanowiły znakomite oparcie dla pleców. — Tylko nie na temat Randa. Będę za tobą tęskniła, Min. Tak przecież dobrze mieć przyjaciółkę, której można zaufać.

Min usiadła obok niej ze skrzyżowanymi nogami; zaczęła bezmyślnie wygrzebywać kamyczki z ziemi i ciskać je do strumienia.

— Nynaeve jest twoją przyjaciółką. Ufasz jej. I Birgitte zdaje się nią być; z nią spędzasz więcej nawet czasu niż z Nynaeve. — Przez jej czoło przebiegł lekki mars. — Czy ona naprawdę wierzy, że jest tą Birgitte z legend? Chciałam spytać, ten łuk i warkocz... występują we wszystkich opowieściach, chociaż jej łuk wcale nie jest srebrny... ale jakoś nie mogę pojąć, że nosi to imię od urodzenia.

— Nosi je od urodzenia — powiedziała ostrożnie Elayne. Co, do pewnego stopnia, było prawdą. Lepiej skierować rozmowę na inny tor. — Nynaeve nie umie zdecydować, czy jestem jej przyjaciółką, czy raczej kimś, na kim należy wymusić, by robił to, co jej zdaniem jest słuszne. A poza tym ona znacznie lepiej ode mnie pamięta, że jestem córką jej królowej. Moim zdaniem niekiedy wywleka to jako argument przeciwko mnie. Ty tego nigdy nie robisz.

— Może na mnie to nie robi aż takiego wrażenia. — Min uśmiechnęła się szeroko, ale powiedziała to poważnym tonem. — Ja urodziłam się w Górach Mgły, Elayne, tam, gdzie są kopalnie. Tak daleko na zachodzie rozporządzenia twojej matki docierają w mocno rozrzedzonej formie. — Uśmiech zniknął z jej twarzy. — Przepraszam, Elayne.

Opanowawszy przelotne oburzenie — Min w takim samym stopniu była poddana Tronu Lwa jak Nynaeve! — Elayne wsparła głowę o pień drzewa.

— Porozmawiajmy o czymś miłym.

Za konarami drzew rozlewały się promienie słońca, niebo przypominało płachtę czystego błękitu, nie skażone bodaj jedną chmurą mającą na horyzoncie. Wiedziona nagłym impulsem otwarła się na *saidara* i pozwoliła, by ten ją przepelnił, poczuła, jakby cała radość życia — wydestylowana ze świata — w postaci esencji zastąpiła każdą kroplę krwi płynącej w jej żyłach. Żeby tak udało

jej się sprawić, by uformowała się chociaż jedna chmura, to otrzymałaby znak, że wszystko się dobrze skończy. Że jej matka żyje. Że Rand będzie ją kochał. I że z Moghedien... że coś się z nią zrobi. Jakoś. Korzystając z Powietrza i Wody, utkała skomplikowaną sieć biegnącą przez niebo, tak daleko, jak sięgała okiem, szukając wilgoci, z której mogłaby uformować chmurę. Gdyby się dostatecznie mocno wysiliła... Słodycz prędko nagromadziła się w takiej ilości, że niemalże bolała, ostrzegając o niebezpieczeństwie; zaczerpnie jeszcze więcej Mocy i dokona auto-ujarzmienia. Tylko jedna mała chmurka.

— Miłym? — spytała Min. — Cóż, wiem, że nie chcesz rozmawiać o Randzie, ale nie licząc już ciebie i mnie, on jest obecnie najważniejszą istotą żyjącą na świecie. A także najmilszą. Przekłęci padają trupem, kiedy on się pojawia, a narody ustawiają się w kolejce, by się przed nim pokłonić. Aes Sedai są gotowe go wesprzeć. Wiem, że tak jest, Elayne; one muszą go poprzeć. No jakże, w następnej kolejności Elaida odda mu Wieżę. Ostatnia Bitwa będzie dla niego jak przechadzka. On wygra, Elayne. Wygramy.

Uwolniwszy Źródło, Elayne opadła w tył, wpatrując się w niebo, równie puste jak jej wyprana z emocji dusza. Nie potrzeba umiejętności przenoszenia, by dostrzec dzieło ręki Czarnego, a skoro Czarny potrafił oddziaływać na świat do tego stopnia, skoro w ogóle był w stanie nań wpłynąć...

— Czyżby? — spytała, ale zbyt cicho, by Min mogła ją usłyszeć.

\* \* \*

Wnętrze dworu jeszcze nie zostało całkiem wykończony, wysokie, drewniane panele boazerii największej komnaty były jasne i niczym nie zaplamione, ale Faile ni Bashere t' Aybara udzielała tu audiencji każdego popołudnia, jak przystało na żonę lorda, zasiadając na masywnym krześle z wysokim oparciem, rzeźbionym w smoki, a ustawionym przed kominkiem zbudowanym z kamieni, który stanowił lustrzane odbicie drugiego, znajdującego się po przeciwnej stronie izby. Puste krzesło u jej boku, rzeźbione w wilki i ozdobione wielkim łbem lwa na samym szczyście oparcia, powinien zajmować jej mąż, Perrin t' Bashere Aybara, Perrin Żółte Oko, Lord Dwu Rzek.

Rzecz jasna, dwór ten stanowił jedynie rozbudowane chłopskie domostwo, największa komnata nie miała nawet piętnastu kroków szerokości — ależ ten Perrin wytrzeszczył oczy, kiedy uparła się, że komnata ma być taka duża; nadal zwykł myśleć o sobie jako o kowalu czy wręcz czeladniku kowalskim — a imię, jakie nadano jej przy narodzinach, brzmiało Zarine, nie Faile. To wszystko nie miało znaczenia. Zarine było imieniem w sam raz dla słabej kobietki, która wzdychała

i drżała, słysząc wiersz skomponowany na cześć jej uśmiechu. Faile, imię, które obrała po złożeniu przysięgi myśliwej, biorąc udział w Polowaniu na Róg Valere, oznaczało w Dawnej Mowie sokoła. Nikt, kto dobrze się przyjrzał jej twarzy, z tym wydatnym nosem, wystającymi kośćmi policzkowymi i ciemnymi, skośnymi oczyma, które iskrzyły się, kiedy coś ją rozzłościło, nie mógł wątpić, które z imion bardziej do niej pasuje. Zaś w związku z całą resztą liczyły się przede wszystkim intencje. A także to, co słuszne i obyczajne.

W tym momencie jej oczy iskrzyły się i nie miało to nic wspólnego z uporem Perrina, a niewiele z upałem, całkiem nienaturalnym dla tej pory roku. Ale z kolei daremne wymachiwanie wachlarzem z bażancich piór, by osuszyć pot spływający jej po policzkach, bynajmniej nie studziło jej usposobienia.

Tak późnym popołudniem mało już kto pozostał z tłumu tych, którzy przybyli, by rozsądziła ich spory. W rzeczy samej przybywali po to, by wysłuchał ich Perrin, jednakże Perrina przerażał już sam pomysł wydawania wyroków na ludzi, wśród których się wychował. Jeśli więc Faile nie udało się go wcześniej złapać za rękaw, to zniknął niczym wilk we mgle, gdy nadchodziła pora codziennych audyencji. Na szczęście ludziom nie przeszkadzało, że to lady Faile ich wysłuchiwała zamiast lorda Perrina. Czy raczej przeszkadzało tylko nielicznym, ale ci mieli dość rozumu, by milczeć.

— I wy przyszłyście z tym właśnie do mnie — powiedziała obojętnym tonem. Dwie kobiety pocące się przed jej krzesłem niespokojnie przestępowały z nogi na nogę, wbijając wzrok w wypolerowane deski podłogi.

Pulchne krągłości miedzianoskórej Sharmad Zeffar były okryte, ale bynajmniej nie zamaskowane, wyposażoną w wysoki karczek, a za to prawie całkiem przezroczystą suknią typową dla Arad Doman, z bladozłotego jedwabiu wytartego przy rąbku i mankietach, upstrzoną ponadto plamami po podróży, które za nic nie dawały się szczyścić; niemniej jedwab to ostatecznie jedwab i mało kto nosił go w tych okolicach. Patrole zapuszczające się w głąb Gór Mgły, które poszukiwały pozostałości po letniej inwazji trolloków, samych trolloków widywały niewiele — i żadnych Myrddraali, dzięki Światłości! — natomiast prawie codziennie znajdowały uchodźców, dziesięciu tu, dwudziestu tam, pięciu jeszcze gdzie indziej. Większość pochodziła z Równiny Almoth, ale całkiem sporo z Tarabonu, a także, jak na przykład Sharmad, z Arad Doman; wszyscy bez wyjątku byli uciekinierami z ziem wyniszczonych przez anarchię wojny domowej. Faile wołała się nie zastanawiać, ilu ich zginęło w górach. Brak dróg czy nawet zwykłych ścieżek sprawiał, że przez góry nie podróżowało się łatwo w najspokojniejszych czasach, a tym daleko było do spokojnych.

Rhea Avin nie należała do uchodźców, mimo iż nosiła kopię taraboniańskiej sukni z delikatnej szarej wełny, pełnej miękkich fałd, które sklejały się i podkreślały prawie tyle samo, co cieńszy przyodziewek Sharmad. Ci, którzy przeżyli długą przeprawę przez góry, przynosili pogłoski bardziej niż niepokojące,



umiejętności uprzednio w Dwu Rzekach nieznane oraz ręce do pracy na farmach spustoszonych przez trolloki. Rhea była piękną, krągłolicą kobietą, urodzoną niecałe dwie mile od miejsca, w którym obecnie stał dwór; włosy miała zaplecione w gruby na pięć warkocz sięgający pasa. Dziewczęta z Dwu Rzek nie spletały włosów, dopóki Koło Kobiet nie orzekło, że są dostatecznie dojrzałe do zamążpójścia, niezależnie od tego, czy miały piętnaście czy trzydzieści lat, aczkolwiek tylko w przypadku nielicznych było to więcej niż dwadzieścia. W rzeczy samej Rhea była o dobre pięć lat starsza od Faile, włosy zaplatała już od czterech, ale w danym momencie wyglądała tak, jakby wciąż jeszcze nosiła je rozpuszczone na ramionach i właśnie sobie uświadomiła, że to, co kiedyś mogło się wydawać najwspanialszym pomysłem, jest najgłupszą rzeczą, jaką mogła zrobić. Sharmad wyglądała na jeszcze bardziej zawstydzoną, mimo iż była zaledwie rok, może dwa, starsza od Rhei; dla mieszkanki Arad Doman znalezienie się w takiej sytuacji musiało być upokarzające. Faile miała ochotę tak je obie spoliczkować, żeby dostały zeza — ale niestety damie coś takiego nie uchodziło.

— Mężczyzna — powiedziała najbardziej obojętnym tonem, na jaki ją było stać — to nie koń czy pole. Żadna z was nie może go posiadać, a pytanie mnie, która ma do niego prawo... — Wolno nabrała powietrza do płuc. — Gdybym uznała, że Wil al'Seen zbałamucił was obie, to może coś bym miała na ten temat do powiedzenia.

Wil robił oko do obu kobiet, a one do niego — miał wyjątkowo kształtne łydki — ale niczego im nigdy nie obiecywał. Sharmad była wyraźnie gotowa zapaść się pod ziemię; ostatecznie to kobiety z Arad Doman miały reputację takich, które owijają sobie mężczyzn wokół palca, a nie na odwrót.

— Takie jest więc moje zdanie. Obie udacie się do Wiedzącej i wyjaśnicie jej całą sprawę, niczego nie tając. Ona się zajmie resztą. Jeszcze przed zapadnięciem zmroku oczekuję, że doniesie mi, iż złożyłyście jej wizytę.

Obie wzdrygnęły się. Daise Congar, Wiedząca z Pola Emonda, nie będzie tolerowała tego typu nonsensów. Najpewniej posunie się jeszcze dalej, okazując coś ponad nietolerancję. Obie jednak dygnęły, mamrocząc żalobnym unisono:

— Tak, pani.

Jeśli jeszcze nie zaczęły, to już niebawem miały zacząć żałować, że marnują czas Daise.

„I mój”, pomyślała surowo Faile. Wszyscy wiedzieli, że Perrin raczej rzadko uczestniczy w audiencjach, bo w przeciwnym przypadku te dwie nigdy by nie przyszły z tym ich głupim problemem. Gdyby był, gdzie jego miejsce, zapewne wymknęłyby się ukradkiem, wstydząc się wywlekać wszystko w jego obecności. Faile miała nadzieję, że upał mocno dopiekl Daise. Szkoda, że nie było sposobu do zmuszenia Daise, żeby wzięła się za Perrina.

Miejsce obu kobiet zajął Cenn Buie, bardzo prędko, że ledwie zdążyły usunąć mu się z drogi. Wsparty na lasce niemalże tak samo powykręcanej jak on,

mimo to zdobył się na zamaszty ukłon, którego efekt jednakowoż zepsuł, przeczesując rzędzące włosy kościstymi palcami. Jego zgrzebny kaftan zwyczajowo już wyglądał tak, jakby w nim spał.

— Oby cię Światłość opromieniła, moja lady Faile, a także twego czcigodnego męża, lorda Perrina. — Dworskie słowa brzmiały dziwacznie przy akompaniamencie jego ochryplego głosu. — Pozwól, że do życzeń nieustającego szczęścia, jakie przesyłają ci członkowie Rady, dołączę swoje życzenia. Twoja inteligencja i uroda, podobnie jak twe sprawiedliwe wyroki, sprawiają, że nasze życie stało się jaśniejsze.

Faile nie udało się pohamować i zabębniła palcami po oparciu krzesła. Kwieciste pochwały zamiast zwykłego zgryźliwego zręczenia. Zamiast przypominania jej, że to on zasiada w Radzie Wioski Pola Emonda, a zatem jest człowiekiem wpływowym, któremu należy się szacunek. I zamiast grania na współczuciu za pomocą tej laski; strzecharz tak naprawdę był zwinny jak ludzie mający połowę jego lat. Najwyraźniej chciał czegoś.

— Z czym dziś do mnie przychodzisz, panie Buie?

Cenn wyprostował się, zapominając wesprzeć na lasce. I zapomniawszy najwyraźniej o przegnaniu kwaśnej nuty ze swego głosu.

— Idzie o tych cudzoziemców, którzy tu przybywają całymi rzeszami, sprowadzając wszystko to, czego my tu nie chcemy. — Jakby nie pamiętał, że ona też jest cudzoziemką; większość mieszkańców Dwu Rzek o tym zapomniała. — Dziwaczne zwyczaje, moja pani. Nieobyczajne odzienie. Dowiesz się od kobiet, jak te ladacznice z Arad Doman się ubierają, jeśli jeszcze nie słyszałaś.

Tak się złożyło, że słyszała z ust niektórych, aczkolwiek przelotny błysk w oku Cenna zdradził jej, że jeśli ona ostatecznie ulegnie ich żądaniom, on będzie pierwszym, który tego pożałuje.

— Obcy kradną nam strawę od ust, bo odbierają nam pracę. Tamten jegomość z Tarabonu i to jego głupie układanie dachówek, na przykład. Odbiera ręce, które można by zaprzęgnąć do jakiego użytecznego zajęcia. Jego nie obchodzą dobrzy ludzie z Dwu Rzek. I na domiar wszystkiego. . .

Wachlując się, przestała słuchać, jednocześnie sprawiając pozory, jakby cała zamieniła się w słuch; była to umiejętność, której nauczył ją ojciec, niezbędna przy takich okazjach. No jasne. Dachówki pana Hornwala mogły swobodnie rywalizować ze strzechami Cenna.

Nie wszyscy podzielali zdanie Cenna odnośnie do nowo przybyłych. Haral Luhhan, kowal z Pola Emonda, wszedł w spółkę z nożownikiem z Arad Doman i blacharzem z Równiny Almoth, a pan Aydaer najął trzech mężczyzn i dwie kobiety, którzy znali się na robieniu mebli i rzeźbieniu, a także pozłacaniu, mimo iż bez wątpienia nie było skąd brać złota w tych okolicach. Krzesła jej i Perrina były ich dziełem, równie piękne jak te, które widywała w innych miejscach. Zresztą sam Cenn przyjął pół tuzina pomocników i to wcale nie wyłącznie spośród ludzi

z Dwu Rzek; sporo dachów spłonęło podczas napaści trolloków i wszędzie budowano nowe domy. Perrin nie miał prawa zmuszać jej, by sama wysłuchiwała tych bzdur.

Ludzie z Dwu Rzek ogłosili go swym lordem — po tym, jak pod jego dowództwem odnieśli zwycięstwo nad trollokami — a do niego być może powoli docierało, że już tego nie zmieni — z czego powinien zdawać sobie sprawę, kiedy tamci tak się kłaniali i nazywali go w twarz lordem Perrinem, mimo iż mówił im, że mają tego nie robić — a mimo to pakował się po uszy w pułapki, które wynikały z bycia lordem, w to wszystko, czego ludzie spodziewali się po swych lordach i lady. Co gorsza, dał się wciągnąć w obowiązki lorda. Faile znała się dokładnie na tych sprawach jako najstarsze, pozostałe przy życiu dziecko Davrama t’Ghaline Bashere, lorda Bashere, Tyru i Sidony, Strażnika Granicy Ugoru, Obrońcy Ziemi Serca, Marszałka-Generała królowej Saldaei, Tenobii. Później uciekła, by wziąć udział w Wielkim Polowaniu na Róg — a potem zrezygnowała z tego na rzecz męża, co niekiedy jeszcze do teraz ją dziwiło — ale pamiętała. Perrin słuchał, kiedy wyjaśniała, a nawet kiwał głową w odpowiednich momentach, ale próba zmuszenia go, by wreszcie coś z tego zrozumiał, przypominała próbę zmuszenia konia, by odtańczył sasarę.

Wzburzony Cenn zaczął coś bełkotać, bryzgając śliną; pamiętał tylko o przełykaniu inwektyw, które pieniły się za jego zębami.

— Perrin i ja zdecydowaliśmy się na strzechę — odparła spokojnie Faile. Kiedy Cenn jeszcze z satysfakcją kiwał głową, dodała: — A ty jej jeszcze nie skończyłeś. — Wzdrygnął się. — Jak się zdaje, wzięłeś na siebie więcej dachów, niż możesz poradzić, panie Buie. Jeżeli nasz nie zostanie prędko skończony, to obawiam się, że będziemy musieli poprosić pana Hornwała o jego dachówki. — Cenn poruszał gwałtownie ustami, ale milczał; gdyby nakryła dwór dachówkami, wówczas inni poszliby w jej ślady. — Rozmowa z tobą przysporzyła mi moc przyjemności, panie Buie, jestem jednak pewna, że wolałbyś zająć się moim dachem zamiast mitrzyć czas na jałowe konwersacje, choćby nie wiem jak były przyjemne.

Cenn zacisnął usta i przez chwilę patrzył na nią spode łba, po czym wykonał coś na kształt ukłonu. Mruczając całkiem niezrozumiale, wyjąwszy zduszone „moja pani” na samym końcu, wymaszerował, łomocząc laską o nagą posadzkę. I właśnie czymś takim ludzie marnowali jej czas. Perrin będzie w tym uczestniczyć, choćby musiała go związać.

Reszta nie była już taka irytująca. Niegdyś krzepka kobieta, w połatannej, haftowanej w kwiaty sukni, wiszącej na niej teraz niczym worek, która przyjechała aż z Głowy Tomana, zza Równiny Almoth, chciała zajmować się ziołami i lekarstwami. Zwalisty Jon Ayellin, gładzący się stale po łysinie i kościsty Thad Torfinn, skubiący wyłogi kaftana, ze sporem o granicę między ich połami. Dwóch ciemnoskórych górników Domani, w długich skórzanych kamizelach, z bródka-

mi przystrzyżonymi tuż przy skórze, którzy uważali, że znaleźli w górach ślady złota i srebra, a także żelaza, aczkolwiek tym metalem byli mniej zainteresowani. I na koniec żyłasta Tarabonianka, w przezroczystym welonie zakrywającym twarz i z jasnymi włosami zaplecionymi w mnóstwo cienkich warkoczyków, która twierdziła, że była kiedyś mistrzynią tkania dywaników i zna się na konstrukcji krosien.

Kobietę zainteresowaną ziołami Faile odesłała do lokalnego Koła Kobiet; jeśli Espara Soman rzeczywiście wiedziała, czego chce, to one znajdą dla niej miejsce u którejś z wioskowych Wiedzących. Tylu nowych ludzi przybywało, pośród nich wielu w złym stanie po ciężkiej podróży, że w całych Dwu Rzekach nie było Wiedzącej, która nie miałaby jednej albo dwu uczennic, a wszystkie szukały następnych. Może to nie było dokładnie takie rozwiązanie, jakiego oczekiwała Espara, ale przynajmniej miałyby od czego zacząć.

Kilka pytań wykazało jasno, że ani Thad, ani Jon tak naprawdę nie pamiętali, którędy przebiega granica — najwyraźniej zaczęli się o to kłócić jeszcze przed narodzinami Faile — kazała im więc iść na kompromis i podzielić cały teren na dwie połowy. Dokładnie takiej samej decyzji, jak się zdawało, obaj oczekiwali od Rady Wioski i chyba dlatego tak długo trzymali swój spór w tajemnicy.

Pozostałym udzieliła zezwoleń, o które ją prosili. Tak naprawdę to wcale nie potrzebowali żadnych zezwoleń, ale lepiej było dać im od samego początku do zrozumienia, kto tu sprawuje władzę. W zamian za swoją zgodę oraz ilość srebra wystarczającą na kupno narzędzi, wymogła na dwóch Domani, że będą oddawać Perrinowi dziesiątą część tego, co znajdą i że będą też szukali tego żelaza, o którym napomknęli jej mimochodem. Perrinowi mogło się to nie spodobać, ale w Dwu Rzekach nie obowiązywało nic takiego jak podatki, a wszak od lorda oczekiwano, że będzie robił i dostarczał rzeczy, które wymagały nakładów finansowych. A żelazo byłoby równie przydatne jak złoto. Co zaś do Liale Mosrara, to jeśli Tarabonianka przechwalała się tylko swymi umiejętnościami, to jej warsztat nie mógł się długo utrzymać, ale jeśli mówiła prawdę... Wprawdzie troje tkaczy zdążyło już zapewnić Faile, że kupcy, którzy w następnym roku przyjadą z Baerlon, znajdą w Dwu Rzekach coś więcej oprócz zgrzebnej wełny, niemniej jednak porządne dywany mogły stanowić kolejny towar, dzięki któremu przybyłyby pieniądze. Liale obiecała, że pierwszy i najwspanialszy dywan, wykonany na jej krośnie, ofiaruje dworowi, a Faile skinęła głową na znak, że łaskawie przyjmie dar; mogła dać więcej dopiero wtedy, kiedy dywany się pojawiają, o ile w ogóle się pojawiają. Zaiste, te posadzki należało czymś nakryć.

Ostatecznie, wszyscy wyglądali zasadniczo na zadowolonych. Nawet Jon i Thad.

Kiedy Tarabonianka wychodziła już, cały czas dygając i cofając do wyjścia, Faile wstała, zadowolona, że to już koniec, po czym znieruchomiła, bowiem przez jedno z dwu wejść oskrzydających kominek weszły cztery kobiety, wszyst-

kie spocone, w ciemnych grubych wełnach z Dwu Rzek. Daise Congar, wysoka jak większość mężczyzn, a za to o wiele tęższa (przewyższała wzrostem inne Wiedzące) wysunęła się na czoło ich pochodu, by tu, na obrzeżach własnej wioski, przejąć nad nimi dowodzenie. Szczupła Edelle Gaelin, ze Wzgórza Czat, z siwym warkoczem, wyprostowanymi sztywno plecami i zaciętą twarzą, która dawała jasno do zrozumienia, że jej zdaniem to ona powinna zająć miejsce Daise, choćby z racji wieku oraz długich lat spędzonych na tej posiadzie, czy może jeszcze z jakiego innego powodu. Elwinn Taron, Wiedząca z Deven Ride, najniższa, pulchna kobieta o miłym macierzyńskim uśmiechu, który przywoływała na twarz nawet wtedy, gdy zmuszała ludzi do robienia czegoś, na co nie mieli ochoty. Ostatnia, Milla al'Azar z Taren Ferry, wlokła się z tyłu. Była najmłodsza, prawie tak młoda, że mogła być córką Edelle, zawsze trochę niepewna w obecności innych.

Faile nadal stała, leniwie się wachlując. Naprawdę żałowała, że nie ma tu teraz Perrina. Bardzo żałowała. Te kobiety w ich wioskach dysponowały taką samą władzą co burmistrz — a pod pewnymi względami nawet większą — i należało traktować je z ostrożnością, właściwym szacunkiem i godnością. Co znacznie wszystko utrudniało. W obecności Perrina zachowywały się jak młode dziewczęta, wdzierając się głupawo, żeby go zadowolić, przy niej natomiast... W Dwu Rzekach od wieków nie było arystokracji; od siedmiu pokoleń nie widziano nikogo wyżej postawionego prócz przedstawiciela królowej z Caemlyn. Wszyscy uczyli się dopiero, jak się zachowywać w obecności lorda i lady, w tym również te cztery. Czasami zapominały, że ona jest lady Faile i widziały w niej jedynie tę młodą kobietę, której Daise udzieliła ślubu zaledwie przed kilkoma miesiącami. Potrafiły dygać bez ustanku, powtarzać „tak, oczywiście, moja lady” i dokładnie w samym środku tego wszystkiego mówić jej dosadnie, jak należy postąpić, nie widząc w tym niczego niestosownego.

„Już więcej nie pozwolę się tym obarczać, Perrinie”.

Dygały teraz, z różną wprawą, i jedna przez drugą mówiły:

— Oby cię Światłość opromieniła, moja lady.

Kiedy uprzejmościom stało się zadość, do dzieła ruszyła Daise, nie zdążywszy się nawet na powrót wyprostować.

— Znowu uciekło trzech chłopców, moja lady. — Ton jej głosu był czymś pośrednim między szacunkiem a zwrotem „to teraz mnie posłuchaj, młoda kobieto”, którego zdarzało jej się nadużywać. — Dav Ayellin, Ewin Finngar i Elam Dowtry. Uciekli, by zwiedzić świat po wysłuchaniu opowieści lorda Perrina o tym, jak tam jest.

Faile zamrugnęła ze zdziwienia. Ci trzej prawie już przestali być chłopcami. Dav i Elam byli rówieśnikami Perrina, a Ewin miał tyle lat co ona. I ostatnimi czasy raczej nie tylko z opowieści Perrina, które ten zresztą snuł rzadko i niechętnie, młodzieńcy z Dwu Rzek poznawali świat.

— Jeśli chcecie, to poproszę Perrina, żeby z wami porozmawiał.

Tymi słowami wywołała wśród nich poruszenie; Daise rozejrzała się z nadzieją, że go zobaczy, Edelle i Milla automatycznie zabrały się za wygładzanie spódnic, Elwinn równie nieświadomie przerzuciła warkocz przez ramię, po czym starannie go ułożyła. A potem, gdy nagle do nich dotarło, co właściwie robią, zastygły w miejscu, nie patrząc na siebie. Ani też na nią. Jediną korzyścią, jaką Faile czerpała ze spotkań z nimi, była wiedza o wpływie, jaki miał na nie jej mąż. Tyle już razy widziała, jak któraś z nich pomstuje po spotkaniu z Perrinem, najwyraźniej przysięgając sobie, że nie dopuści, by coś takiego się powtórzyło; tyle razy widziała, jak to postanowienie ulatuje za okno na jego widok. Żadna nie była tak naprawdę pewna, czy woli mieć do czynienia z nim czy z nią.

— To nie będzie konieczne — odparła po jakiejś chwili Edelle. — Uciekający chłopcy to kłopot, ale tylko kłopot. — Ton jej głosu był jeszcze dalszy od „moja lady” niż ton Daise, a pulchna Elwinn dorzuciła uśmiech, który bardziej by pasował do twarzy matki zaangażowanej w rozmowę z córką.

— A skoro już tu jesteśmy, moja droga, to mogłybyśmy też wspomnieć o innych sprawach. Woda, na przykład. Rozumiesz, ludzie się niepokoją.

— Nie padało od wielu miesięcy — dodała Edelle, a Daise przytaknęła.

Tym razem Faile nawet nie zamrugnęła. Były zbyt inteligentne, by uważać, że Perrin mógłby coś z tym zrobić.

— Ze źródeł nadal płynie woda, a Perrin kazał wykopać więcej studni. — Co prawda, tylko to zasugerował, ale w końcu wyszło na jedno. — A kanały irygacyjne z Wodnego Lasu będą ukończone na długo przed planem. — To było jej dzieło; w Saldaei połowę pól nawadniano w taki sposób, a tutaj nikt nie słyszał o takich praktykach. — W każdym razie deszcze muszą spaść, prędzej czy później. Kanały są tylko na wszelki wypadek.

Daise znowu przytaknęła po namyśle, podobnie Elwinn i Edelle. Ale wiedziały o tym wszystkim równie dobrze jak ona.

— Tu nie idzie o deszcz — mruknęła Milla. — W każdym razie nie wyłącznie. To wszystko nie jest zgodne z naturą. Widzisz, żadna z nas nie potrafi Słuchać, co niesie Wiatr. — Zgarbiła się pod wpływem groźnych marsów, które się pojawiły na czołach pozostałych Wiedzących. Najwyraźniej powiedziała za dużo, na dodatek zdradzając jakieś tajemnice. Rzekomo wszystkie Wiedzące potrafiły Słuchać, co niesie Wiatr, dzięki czemu mogły przepowiadać pogodę; tak przynajmniej same utrzymywały. Milla brnęła uparcie dalej. — No przecież nie potrafimy! Ale za to obserwujemy chmury, a także zachowanie ptaków, mrówek, gąsienic i... — Zrobiła głęboki wdech, wyprostowała się, ale nadal unikała wzroku pozostałych Wiedzących. Faile zastanawiała się, jak jej się udają kontakty z Kołem Kobiet w Taren Ferry, nie mówiąc już o Radzie Wioski. Rzecz jasna, oni wszyscy tam byli równie nowi jak Milla; cała ludność wioski wyginęła po przyjsciu trolloków i każdy, kto tam w niej teraz mieszkał, był nowy. — To nie jest naturalne, moja lady. Pierwsze śniegi powinny tu spaść już wiele tygodni temu, a równie dobrze

mógłby to być środek lata. My się nie niepokoiimy, moja lady, jesteście przerażeni! Jeśli nikt inny się do tego nie przyznaje, to ja się przyznam. Prawie w ogóle nie mogę spać. Od miesiąca ani razu nie wyspałam się porządnie i... — Zawiesiła głos i poczerwieniały jej policzki, gdy dotarło do niej, że chyba się zagalopowała. Od Wiedzącej wymagano, by cały czas się pilnowała; nie wolno jej było głosić wszem i wobec, że się boi.

Pozostałe przeniosły wzrok z Milli na Faile. Nic nie mówiły, twarze tak nieodgadnione jak u Aes Sedai.

Faile zrozumiała wreszcie. Milla po prostu powiedziała prawdę. Ta pogoda nie była naturalna; była w pełnym tego słowa znaczeniu — nienaturalna. Faile często sama leżała bezsennie, modląc się o deszcz, albo wręcz o śnieg, starając się nie myśleć o tym, co czai się za tym upałem i suszą. A mimo to Wiedząca powinna dodawać innym otuchy. Do kogo miała udać się Milla, skoro sama potrzebowała otuchy?

Te kobiety mogły nie zdawać sobie sprawy z tego, co robią, ale przyszły we właściwe miejsce. Umowa między arystokratami a gminem, którą Faile nosiła w sobie od urodzenia, polegała częściowo na tym, że arystokraci zapewniali bezpieczeństwo i ochronę. A z kolei udzielanie ochrony polegało częściowo na przypominaniu ludziom, że złe czasy nie będą trwały wiecznie. Jeśli dzisiaj było złe, to jutro miało być lepsze, a jeśli nie jutro, to dzień następny. Żałowała, że sama nie jest pewna takiego obrotu spraw, ale nauczono ją, że należy dodawać siły tym, którzy stoją niżej od niej, nawet wtedy gdy sama jej nie posiadała, że należy uśmierzać ich lęki, zamiast zarażać własnymi.

— Perrin opowiadał mi o swoich ziomkach, zanim tu przyjechałam — powiedziała. Nie był człowiekiem skorym do przechwałek, ale różne rzeczy czasami wychodziły na jaw. — Kiedy grad kładzie wam zboże, kiedy zimowe mrozy wybijają połowę waszych owiec, bierzecie się w garść i trwacie. Kiedy trolloki chciały zagarnąć Dwie Rzeki, stawiliście opór, a kiedy ich pokonaliście, zabraliście się za odbudowę, nawet nie gubiąc kroku. — Nie uwierzyłaby w to, gdyby sama tego na własne oczy nie widziała. Ci ludzie znakomicie by sobie poradzili w Saldaei, gdzie napaści trolloków były rzeczą na porządku dziennym, przynajmniej na północy kraju. — Nie mogę wam powiedzieć, że jutro pogoda będzie taka jak powinna. Mogę wam tylko zapewnić, że Perrin i ja zrobimy to, co należy zrobić. Wszystko, co będzie można zrobić. I chyba nie muszę wam mówić, że macie brać to, co przynosi każdy dzień, cokolwiek to jest, i być gotowi stawić czoło następnemu porankowi. Taka właśnie jest rasa ludzi, którzy mieszkają w Dwu Rzekach. Tacy właśnie jesteście.

Naprawdę były inteligentne. Jeśli wcześniej nawet przed sobą nie przyznały się, po co przyszły, to musiały to zrobić teraz. Gdyby były mniej inteligentne, to mogłyby się poczuć obrażone. Ale te słowa, które zapewne wcześniej pojawiły się w ich myślach, wywarły pożądaną efekt, gdy wypowiedział je ktoś inny. Wywo-

łując jednakże zażenowanie, które znalazło wyraz w lekkim zamieszaniu, kiedy to z purpurowymi policzkami i nie wypowiedzianym, ale widocznym na twarzy pragnieniem, by w danej chwili znajdować się gdziekolwiek, byle nie tu, kobiety nie wiedziały, co odpowiedzieć.

— No cóż, to oczywiste — odparła Daise. Wsparłszy grube pięści na obfitych biodrach, wbiła prowokujący wzrok w pozostałe Wiedzące, czekając, czy jej zaprzeczą. — Tyleż samo powiedziałam, nieprawdaż? Ta dziewczyna mówi do rzeczy. To samo orzekłam, kiedy po raz pierwszy tu przyjechała. Ta dziewczyna ma głowę na karku, tak mówiłam.

Edelle pociągnęła nosem.

— Czy ktoś powiedział, że ona nie ma głowy na karku, Daise? Ja tego nie słyszałam. Radzi sobie znakomicie. — I, zwracając się do Faile, dodała: — Doprawdy, radzisz sobie znakomicie.

Milla dygnęła.

— Dziękuję ci, lady Faile. Ja to samo mówiłam pięćdziesięciu ludziom, ale z twoich ust to jakoś... — Głośne chrząknięcie ze strony Daise kazało jej umilknąć; tym razem posunęła się za daleko. Milla poczerwieniała na twarzy.

— Znakomicie uszyte, moja lady. — Elwinn pochyliła się do przodu, by przejechać palcem po wąskiej, dzielonej spódnicy do konnej jazdy, ulubionej przez Faile. — Jest jednak w Deven Ride pewna taraboniańska szwaczka, która potrafiłaby uszyć dla ciebie coś jeszcze lepszego. Nie masz chyba nic przeciwko, że to mówię. Zamieniłam z nią słowo, więc teraz szyje same przyzwoite suknie, chyba że idzie o mężatki. — Na jej twarzy znowu pojawił się macierzyński uśmiech, pobłażliwy, a jednocześnie twardy jak stal. — Albo dla tych, które mają zalotników. Piękne rzeczy szyje. No jakże, dla niej praca u ciebie, z twoją karnacją i figurą, byłaby przyjemnością.

Na twarzy Daise wykwitł uśmiech pełen samozadowolenia, jeszcze zanim tamta skończyła mówić.

— Therille Marza, z Pola Emonda, już szyje pół tuzina sukien dla lady Faile. A także przepiękną szatę.

Elwinn zeszywniała, a Edelle wydeła wargi; nawet Milla wyglądała na zaszępioną.

Jeśli chodzi o Faile, to audyencja dobiegła końca. Szwaczki Domani wymagały stanowczej ręki i stałego nadzoru, bo inaczej ubrałyby ją jak na dwór w Ebou Dar. Ta szata to był pomysł Daise, która wystąpiła z nim zupełnie zniecka, i nawet jeśli została uszyta w saldaeańskim stylu, a nie na modłę obowiązującą w Arad Doman, to Faile i tak nie miała pojęcia, gdzie właściwie miałyby ją nosić. Jeszcze dużo czasu musiało upłynąć, zanim w Dwu Rzekach zaczęły się odbywać bale albo parady. Jeśli ona zostawi Wiedzącym wolną rękę, to zapewne po krótkim czasie zaczną z sobą rywalizować o to, która wioska ma ją ubierać.

Zaproponowała im herbatę, dodając zdawkowym tonem, że mogłyby poroz-



mawiać o tym, jak uspokoić nastroje ludzi w kwestii pogody. Tą propozycją ostudziła je chyba trochę zbyt brutalnie po ekstazie, w jaką wpadły podczas tych ostatnich kilku minut; wychodziły, omal nie potykając się o siebie wzajem, jedna przez drugą wymawiając się obowiązkami, które nie pozwalają im zostać.

Zamyślona odprowadziła je wzrokiem; Milla jak zwykle zamykała pochód, niczym mała dziewczynka, która się wlece w ślad za starszymi siostrami. Być może uda się zamienić dyskretnie parę słów z członkiniami Koła Kobiet w Taren Ferry. Wszystkie wioski potrzebowały silnych burmistrzów i silnych Wiedzących, które by wspierały ich interesy. Dyskretnie i z zachowaniem wszelkich ostrożności. Kiedy Perrin odkrył, że rozmawiała z ludźmi z Taren Ferry przed wyborami na burmistrza — znalazł się człowiek z kroplą oleju w głowie, silny zdaniem jej i Perrina, więc czemu ludzie, którzy zamierzali na niego głosować, mieli nie wiedzieć, że ona i Perrin odwdzięczą się za poparcie? — kiedy odkrył. . . Był spokojnym mężczyzną, nieskorym do gniewu, ale na wszelki wypadek zabarykadowała się w sypialni, dopóki nie ostygł. Co nastąpiło dopiero wtedy, gdy obiecała, że już więcej nie będzie się „wtrącać” do wyborów na burmistrza, ani otwarcie, ani za jego plecami. To ostatnie zastrzeżenie było z jego strony już wybitną niesprawiedliwością. A także mogło okazać się kłopotliwe. Skoro jednak nie przyszło mu do głowy, by wspomnieć o głosowaniu w Kole Kobiet. . . Cóż, tylko mu wyjdzie na dobre, jeśli czegoś nie będzie wiedział. Korzystne się to okaże również i dla Taren Ferry.

Myślenie o nim przypomniało jej, co sobie obiecała. Ręka, w której trzymała wachlarz z piórek, zaczęła poruszać się szybciej. Pod względem liczby bzdurnych spraw ten dzień wcale nie zaliczał się do najgorszych; nie najgorzej też poszło z wizytą Wiedzących — nie padły pytania o to, kiedy lord Perrin może się spodziewać potomka, Światłości bądź błogosławiona! — ale być może to ten nieustępliwy upał rozdmuchał jej irytację aż do granic wytrzymałości. Perrin spełni swój obowiązek albo. . .

Nad dworem przetoczył się grzmot, okna rozświetliła błyskawica. Zakiełkowała w niej nadzieja. Gdyby tak spadł deszcz. . .

Biegła bezgłośnie dzięki nadzwyczaj miękkim trzewikom, szukając Perrina. Pragnęła dzielić z nim ten deszcz. A oprócz tego zamierzała powiedzieć kilka ostrych słów. Więcej niż kilka, jeśli to się okaże konieczne.

Perrin był tam, gdzie spodziewała się go znaleźć, aż na drugim piętrze, na zadaszonym balkonie od frontu; kędzierzawy mężczyzna o potężnych barkach i ramionach, ubrany w zwykły bury kaftan. Odwrócony do niej szerokimi plecami wspierał się o jedną z kolumn balkonu. Wpatrzony w ziemię, nie w niebo. Faile przystanęła na progu.

Znowu zagrzmiało i niebo powtórnie przeszyła niebieska smuga błyskawicy. Upalnej błyskawicy na tle bezchmurnego nieba. Nie zwiastowała deszczu. Deszczu, który zakończyłby suszę i może spadłyby śniegi. Zadygotała, mimo że po

twarzą ściekały jej paciorki potu.

— Audiencja się skończyła? — spytał Perrin, a ona aż podskoczyła. Nie podniósł głowy. Czasem trudno było pamiętać, jaki ma wyczulony zmysł słuchu. Mógł zresztą poczuć także jej zapach; miała nadzieję, że woń perfum, a nie potu.

— Myślałam, że znajdę cię raczej z Gwilem albo Halem. — To była jedna z jego najgorszych wad; ona próbowała wyszkolić służących, a dla niego byli to tylko mężczyźni, z którymi można się było pośmiać i wypić kufel *ale*. Dobrze chociaż, że oczy mu tak nie błędziły jak tyłu innym mężczyznom. W ogóle do niego nie dotarło, że Calle Coplin przyszła na służbę we dworze, bo miała nadzieję, że będzie robiła dla lorda Perrina coś więcej niż tylko słała mu łóżko. W ogóle nie zauważył, kiedy Faile przegnała Calle bierwionem.

Podeszła bliżej i wtedy zobaczyła, co go tak zaciekawiło. Na dole dwóch mężczyzn rozebranych do pasa ćwiczyło walkę na drewniane miecze. Tam al'Thor był krzepki i już siwiejący, Aram szczupły i młody. Aram szybko się uczył. Bardzo szybko. Tam był kiedyś żołnierzem i mistrzem miecza, ale teraz młodzieniec zażwiędził go atakował.

Odruchowo powędrowała wzrokiem w kierunku grupki namiotów, rozbitych pod Zachodnim Lasem w odległości połowy mili od domu, na środku pola otoczonego kamiennym ogrodzeniem. Pozostali Druciarze rozbili obóz we wnętrzu kręgu utworzonego z budowanych właśnie wozów przypominających małe domki na kółkach. Natychmiast przestali uznawać Arama za jednego ze swoich, od czasu, kiedy wziął do ręki ten miecz. Tuathaanowie nigdy nie dopuszczali się gwałtu, z żadnego powodu. Ciekawa była, czy rzeczywiście pojedą tam, dokąd zaplanowali, gdy już zastąpią wozy spalone przez trolloki nowymi. Po skrzyknięciu wszystkich, którzy ukryli się w zaroślach, nadal było ich nieco więcej niż setka. Pewnie pojedą, a Arama zostawią — jego własny wybór. W życiu nie słyszała o Tuathaanie, który by osiadł na stałe w jednym miejscu.

Ale z kolei ludzie w Dwu Rzekach zwykli powtarzać, że nic nigdy się nie zmienia, a wszak mnóstwo rzeczy uległo zmianie od czasu najazdu trolloków. Pole Emonda, położone na południe od dworu, w odległości zaledwie stu kroków, było teraz większe niż wtedy, gdy je zobaczyła po raz pierwszy. Odbudowano wszystkie spalone domy, powstawały także nowe, w tym niektóre z cegły, czego dotąd nie bywało. I niektóre nakryto dachówkami. Przy takim tempie, z jakim je wznoszono, dwór miał niebawem się znaleźć w samym środku wioski. Mówiło się nawet o budowie muru, na wypadek powrotu trolloków. Zmiana. Po jednej z ulic wioski gromadka dzieci goniła ogromną sylwetkę — Loial. Zaledwie przed kilkoma miesiącami na widok ogira, z jego uszami zakończonymi kępkami i szerokim nosem niemalże tej samej szerokości co twarz, połowę wyższego od normalnego człowieka, zlatywały się wszystkie dzieciaki z wioski, a za nimi ich panicznie przerażone matki pragnące je bronić. A teraz marki posyłały dzieci do Loiala, by ten im poczytał. Inni obcy przybysze w ich dziwnie skrojonych kaftanach

i sukniach także wyróżniali się wśród rdzennych mieszkańców Pola Emonda, niemalże tak samo jak Loial, a mimo to nikt nie spojrział na nich nawet dwa razy, podobnie zresztą jak na troje Aielów mieszkających w wiosce, dziwnych, roślących ludzi odzianych w brązy i szarości. Jeszcze przed kilkoma tygodniami były tu również dwie Aes Sedai, ale nawet ich widok nie prowokował do niczego więcej prócz pełnych szacunku ukłonów i dygnięć. Zmiana. Nad dachami widać było dwie flagi powiewające na drzewcach wkopanych na Łące, w pobliżu Winnej Jagody; na jednej widniał wilczy łeb w czerwonej obwódce, który stał się herbem Perrina, na drugim zaś purpurowy orzeł w locie oznaczający Manetheren. Manetheren zniknęło z powierzchni ziemi podczas Wojen z trollokami, przed jakimiś dwoma tysiącami lat, ale te tereny stanowiły jego część i mieszkańcy Dwu Rzek wywiesili tę flagę niemalże przez aklamację. Zmiana, ale oni tu nie mieli pojęcia jak wielka, jak konieczna. Ale Perrin ich przez nią przeprowadzi ku temu, co za nią czekało. Na pewno ich przeprowadzi, z jej pomocą.

— Kiedyś polowałem z Gwilem na króliki — powiedział Perrin. — On ma zaledwie kilka lat więcej ode mnie i zabierał mnie czasem na polowania.

Dopiero po chwili przypomniała sobie, o czym on mówi.

— Gwil uczy się na stangreta. Nie pomożesz mu, jak będziesz go zapraszał na wspólne palenie fajki w stajniach i rozmowy o koniach. — Powoli wciągnęła powietrze. To nie będzie łatwe. — Masz obowiązki względem tych ludzi, Perrin. Jakby nie było ci ciężko, jakbyś tego nie chciał, musisz te obowiązki wypełniać.

— Wiem — odparł cicho. — Czuję, jak on mnie przyciąga.

Mówił głosem tak dziwnym, że aż chwyciła go za krótką bródkę i zmusiła, by na nią spojrział. W złotych oczach, jak zawsze dziwnych i tajemniczych, czał się smutek.

— O czym ty mówisz? Możesz lubić Gwila, ale on...

— Tu idzie o Randa, Faile. On mnie potrzebuje.

Supel sprzecznych emocji w jej wnętrzu, którego istnieniu starała się zaprzeczyć, zacisnął się jeszcze mocniej. Wmówiła sobie, że niebezpieczeństwo odeszło wraz z Aes Sedai. Głupota. Wyszła za męża za *ta'veren*, mężczyznę zmuszonego naginać żywoty ludzi z jego otoczenia, by nabrały takiego kształtu, jakiego wymagał Wzór; wyszła za męża za *ta'veren*, który wychowywał się razem z dwoma innymi *ta'veren*, przy czym jeden z nich był Smokiem Odrodzonym. Tą właśnie jego częścią musiała się dzielić. Nie lubiła się dzielić nawet drobiną nie większą niż włos, ale w tym przypadku musiała.

— Co zamierzasz zrobić?

— Jechać do niego. — Na moment przeniósł wzrok w inne miejsce, a ona podążyła spojrzeniem za nim. Pod ścianą stał ciężki kowalski młot, a obok topór ze złowieszczym ostrzem w kształcie półksiężyca i styliskiem długości połowy kroku. — Nie wiedziałem... — Zniżył głos niemalże do szeptu. — Nie wiedziałem, jak ci to powiedzieć. Wyjadę dzisiejszej nocy, kiedy wszyscy będą spali. Moim

zdaniem czasu nie zostało już wiele, a droga może się okazać daleka. Pan al'Thor i pan Cauthon pomogą ci w kontaktach z burmistrzami w razie potrzeby. Rozmawiałem z nimi. — Usiłował mówić bardziej beztróskim głosem, ale efekt był żalospny. — W każdym razie nie powinnaś mieć kłopotów z Wiedzącymi. Zabawne, kiedy byłem mały, Wiedzące wydawały mi się zawsze takie groźne, a one są przecież całkiem ustępliwe, jeśli postępować z nimi stanowczo.

Faille zacisnęła usta. A więc rozmawiał z Tamem al'Thorem i Abellem Cauthonem, a z nią nie? I z Wiedzącymi! Chętnie by go zmusiła, żeby choć jeden dzień pochodził w jej butach i sam się przekonał, jakie ustępliwe potrafią być Wiedzące.

— Nie możemy wyjechać tak szybko. Trzeba czasu na zorganizowanie odpowiedniej wyprawy.

Perrin zmrużył oczy.

— My? Ty przecież nie jedziesz! To będzie...! — Zakasłał, a dalej mówił łagodniejszym tonem. — Będzie lepiej, jeśli jedno z nas tu zostanie. Jak lord wyjeżdża, to lady powinna zostać i mieć nad wszystkim pieczę. To ma sens. Z każdym dniem przybywa coraz więcej uchodźców. Ktoś musi rozsądzać spory. Jeśli ty też wyjedziesz, sytuacja robi się gorsza nawet, niż gdyby wróciły trolloki.

Jak on mógł myśleć, że ona nie zauważy tej niezręcznej ucieczki ze stanowiska, jakie zajmował w przeszłości? Stale kiedyś powtarzał, że to a tamto będzie niebezpieczne. Dlaczego robiło jej się w środku tak ciepło i jednocześnie była taka zła, kiedy on pragnął ją chronić przed niebezpieczeństwem?

— Zrobimy to, co twoim zdaniem będzie najlepsze — odparła łagodnym tonem, a on zamrugnął z podejrzliwą miną, podrapał się po brodzie, a potem przytaknął.

Teraz należało sprawić, by zrozumiał, co tak naprawdę będzie najlepsze. Przy najmniej nie powiedział od razu, że ona nie może jechać. Jak już raz się zaparł, to równie dobrze mogła próbować ruszyć z miejsca spichlerz z ziarnem, ale postępując odpowiednio ostrożnie można było zazwyczaj tego uniknąć. Zazwyczaj.

Znienacka zarzuciła mu ramiona na szyję i przytuliła twarz do jego szerokiej piersi. Poglądził delikatnie jej włosy swymi silnymi rękoma; pewnie uważał, że tak przejmuje się jego wyjazdem. No cóż, do pewnego stopnia martwiła się. Nie tym, że ją zostawi; jeszcze się nie nauczył, co to znaczy mieć Saldaeankę za żonę. Tak im się dobrze wiodło z dala od Randa al'Thora. Do czego Smok Odrodzony potrzebował teraz Perrina, tak bardzo, że aż Perrin odczuwał to przez setki dzielących ich lig? Dlaczego tak mało czasu zostało? Dlaczego? Nienaturalny upał sprawiał, że Perrinowi koszula przylgnęła do spoczonej piersi, a jej coraz więcej potu spływało po twarzy. Mimo to dygotała.

\* \* \*

Gawyn Trakand po raz kolejny wyprawił się na obchód swoich ludzi, sprawdzając ich stanowiska rozstawione wokół zalesionego na czubku wzgórza; jedną dłoń wsparł na rękojeści miecza, w drugiej podrzucał mały kamyczek. Suchy gorący wiatr, niosący pył nad porośniętymi zbrązowiałą trawą równinami, rozwiewał polity prostego zielonego płaszczka, który zarzucił na ramiona. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, straszły uschła trawa, rzadkie zagajniki i przeważnie zwiędłe krzaki. Za mało ludzi, by obsadzić tak rozległy front, gdyby miało dojść do walki. Podzielił ich na oddziały, złożone z pięciu żołnierzy, pieszych, ale z mieczami; łuczników ustawił na zboczu, w odległości pięćdziesięciu kroków. Dodatkowych pięćdziesięciu czekało z lancami i końmi blisko obozowiska na szczycie, gdzie w razie konieczności mieli zapewnić wsparcie. Miał nadzieję, że tego dnia taka konieczność nie nastąpi.

Na samym początku Młodych było mniej, jednak rozgłos przyciągał dalszych rekrutów. Dodatkowe szeregi mogły się okazać przydatne; z Tar Valon nie wypuszczano żadnego rekruta, dopóki nie odpowiadał surowym wymogom. Nie znaczyło to bynajmniej, że tego dnia bardziej niż innego spodziewał się, iż dojdzie do walk, ale z doświadczenia już wiedział, że do walki dochodzi wtedy, kiedy się człowiek najmniej spodziewa. Tylko Aes Sedai potrafiły czekać do ostatniej minuty, zanim poinformowały o wszystkim swego dowódcę, tak właśnie jak to miało miejsce dzisiaj.

— Wszystko w porządku? — zapytał, przystając obok grupy ludzi z mieczami. Mimo upału niektórzy nosili zielone kaftany z wyhaftowanym na piersi szarżującym dzikiem, godłem Gawyna.

Jisao Hamora był najmłodszy, nadal uśmiechał się niczym mały chłopiec, mimo to należał do tych pięciu zaledwie, którzy na kołnierzu mieli malutką srebrną wieżę, wyróżniającą weteranów walk w Białej Wieży.

— Jak najbardziej, mój panie.

Młodzi zasługiwali na swoje miano. Sam Gawyn, który miał zaledwie dwadzieścia kilka lat, zaliczał się do najstarszych. Zgodnie z przyjętą przez nich zasadą nie brali nikogo, kto wcześniej służył w wojsku, był członkiem ochrony jakiegoś lorda czy lady, względnie pracował jako strażnik kupiecki. Pierwsi Młodzi, chłopcy i młodzi mężczyźni, udawali się do Wieży, by szkolić się u Strażników, wojowników, którzy na całym świecie najlepiej władali mieczem, a ci teraz kontynuowali tę tradycję, albo raczej jej część, jako że Strażnicy przestali ich już nauczać. Nie dalej jak przed tygodniem zorganizowali skromną uroczystość na cześć Benji Dalfora, który po raz pierwszy zgolił bokobrody nie przypominające meszku. Przez twarz Benjiego biegła blizna, pamiątka po walkach w Wieży;

w dniach, które nastąpiły po obaleniu Siuan Sanche, Aes Sedai były zbyt zajęte Uzdrawianiem. Być może Siuan byłaby nadal Zasiadającą, gdyby Młodzi nie zmierzli się ze swymi byłymi nauczycielami i nie pokonali ich w komnatach Wieży.

— Czy jest w tym jakiś sens, mój panie? — spytał Hal Moir. Był dwa lata starszy od Jisao i podobnie jak wielu innych, którzy nie nosili srebrnej wieży, żałował, że go tam wtedy nie było. Jeszcze się nauczył. — Po Aielach ani widu, ani słychu.

— Tak uważasz? — Gawyn bez ostrzeżenia cisnął z całej siły kamieniem w jedyny krzak w zasięgu jego rzutu. Jedynym dźwiękiem, jaki się rozległ, był szelest uschłych liści, ale krzak zatrząsł się nieco gwałtowniej niż powinien, jakby ukryty za nim człowiek został uderzony w jakieś czułe miejsce. Niedawno zwerbowani wzniesli okrzyki; Jisao tylko wyswobodził miecz.

— Hal, taki Aiel potrafi ukryć się w bruzdzie w ziemi, o którą ty nawet byś się nie potknął. — Co wcale nie znaczyło, by Gawyn wiedział o Aielach więcej, niż wyczytał w książkach, ale przeczytał wszystkie książki, jakie był w stanie znaleźć w bibliotece Białej Wieży, napisane przez ludzi, którzy rzeczywiście z nimi walczyli, wszystkie zapiski żołnierzy, którzy zdawali się wiedzieć, o czym mówią. Mężczyzna powinien być gotów na to, co ma przynieść przyszłość, a najwyraźniej przyszłością świata była wojna. — Ale jeśli to miłe Światłości, dzisiaj do walki nie dojdzie.

— Lordzie Gawynie! — dobiegł go okrzyk ze szczytu wzgórza; zwiadowca wypatrzył to samo, co on przed chwilą: trzy kobiety, które wyłoniły się z kępy zarośli, oddalonej o kilkaset kroków na zachód i teraz wędrowały w stronę wzgórza. Przybywały z zachodu — niespodzianka. Ale Aielowie zawsze lubili sprawiać niespodzianki.

Czytał o kobietach Aielów, które walczyły u boku mężczyzn, ale te kobiety nigdy nie dałyby rady się bić w tych ciemnych, baniastych spódnicach i białych bluzkach. Mimo upału ramiona miały okutane szalami. A tak nawiasem mówiąc, jakim cudem dotarły do tych zarośli i nikt ich nie zauważył?

— Miejcie oczy otwarte i to wcale nie o nie chodzi — powiedział, po czym sam nie usłuchał własnego rozkazu, tylko z zainteresowaniem zapatrzył się na trzy Mądre, emisariuszki Aielów Shaido. Tutaj nie mogło być innych.

Szły statecznym krokiem, jakby wcale nie zbliżały się do sporego oddziału zbrojnych mężczyzn. Miały długie włosy, sięgające im do pasa — a wyczytał, że Aielowie strzygą włosy na krótko — i związane złożonymi chustami. Nosiły tyle bransolet i długich naszyjników ze złota, srebra i kości słoniowej, że ich błysk mógł zdradzać ich obecność z odległości mili.

Trzy kobiety, sztywno wyprostowane, z dumnymi minami, minęły mężczyzn trzymających obnażone miecze, prawie na nich nie patrząc, po czym ruszyły w górę zbocza. Ich przywódczynią była złotowłosa kobieta w luźnej bluzce; rozwią-

zane tasiemki ukazywały głęboki rowek między piersiami. Pozostałe miały siwe włosy i skórzaste twarze; musiała być o połowę od nich młodsza.

— Z ochotą poprosiłbym ją do tańca — oznajmił jeden z Młodych z podziwem w głosie, kiedy kobiety poszły dalej. Miał dobre dziesięć lat mniej niż złotowłosa.

— Na twoim miejscu nie robiłbym tego, Arwin — odparł sucho Gawyn. — To by mogło zostać źle zrozumiane. — Czytał, że Aielowie nazywali bitwę „tańcem”. — Zjadłaby twoją wątrobę na kolację. — Dostrzegł błysk jej jasnozielonych oczu; nigdy w życiu nie widział twardszego spojrzenia.

Obserwował Mądre, dopóki nie wspięły się na szczyt, gdzie czekało pół tuzina Aes Sedai w towarzystwie swoich Strażników. To znaczy te, które ich miały; dwie należały bowiem do Czerwonych Ajah, a Czerwone nie nakładały na mężczyzn zobowiązań. Kiedy kobiety zniknęły we wnętrzu jednego z wysokich białych namiotów, a Strażnicy stanęli przy nim na warcie, wznowił obchód wzgórza.

Młodzi stali się czujni, odkąd rozeszła się wieść o przybyciu Aielów, co wcale go nie zachwyciło. Już wcześniej powinni być ostrożni. Ostatecznie większość tych, którzy nie nosili srebrnej wieży, była świadkami walk wokół Tar Valon. Eamon Valda, lord-kapitan Białych Płaszczy, dobry miesiąc temu ściągnął stąd na zachód prawie wszystkich swoich ludzi, ale ta garstka, którą zostawił, próbowała utrzymać razem wszystkich tych włóczęgów i chłopców od krów, których uprzednio zgromadził Valda. Aż wreszcie rozgonili ich Młodzi. Gawyn żałował, że nie może chlubić się tym, iż przepędzili także samego Valdę — Wieża nie pozwalała swoim żołnierzom wdawać się w utarczki, mimo że wiadomo było, iż jedynym powodem pobytu Białych Płaszczy jest sprawienie jak największych przykrości Wieży — podejrzewał jednak, że Valda kierował się własnymi powodami. Były to najpewniej rozkazy Pedrona Nialla, i Gawyn dałby wiele, by poznać ich treść. Światłości, jak on nie znosił niepełnej wiedzy. Czuł się wówczas, jakby błądził w ciemnościach.

Był zirytowany, ale potrafił się do tego przed sobą przyznać. Nie tylko z powodu Aielów czy też faktu, że o tym spotkaniu powiedziano mu dopiero dziś rano. Nie uprzedzono go również, jaki jest cel tej wyprawy, póki nie odciągnęła go na bok Coiren Sedai, Szara siostra, która przewodniczyła grupce Aes Sedai. Elaída zasługiwała na miano skrytej i wyniosłej, kiedy była doradczynią jego matki w Caemlyn; od czasu jej wyniesienia na Tron Amyrlin ta dawna Elaída wydawała się przy obecnej otwarta i pełna ciepła. Naciskała na niego, by sformował tę eskortę, bez wątpienia po to, by odciągnąć go od Tar Valon, ale na pewno też i z innych powodów.

Młodzi stali po jej stronie podczas walk — Komnata odebrała dawnej Amyrlin Laskę i Stułę, a próba jej uwolnienia stanowiła bunt przeciwko prawu, jawny i oczywisty — ale Gawyn żywił wątpliwości odnośnie do wszystkich Aes Sedai dużo wcześniej, zanim usłyszał zarzuty, jakie postawiono Sivan Sanche. Że to one pociągają za sznurki i sprawiają, iż trony tańczą tak, jak one chcą, było stwierdzenie

niem powtarzającym tak często, że ledwie zwracał na nie uwagę, ale z kolei sam, na własne oczy, widział, jak za te sznurki pociągano. Czy raczej widział efekty tego pociągania, a tańczącą osobą była jego własna siostra Elayne, którą nie dość, że stracił zupełnie z oczu, ale która w ogóle zniknęła, przynajmniej na ile mu było wiadome. Ona i jeszcze ktoś. Bił się, by Sivan nie odzyskała wolności, a potem zmienił zdanie i pozwolił jej uciec. Gdyby Elaida to odkryła, korona matki nie pomogłaby mu ująć z życiem.

A mimo to postanowił zostać, ponieważ jego matka zawsze wspierała Wieżę, a jego siostra chciała zostać Aes Sedai. I dlatego, że jeszcze jedna kobieta chciała nią zostać. Egwene al’Vere. Nie miał prawa nawet o niej myśleć, ale porzucenie Wieży równałoby się porzuceniu także i jej. Z takich właśnie błahych powodów mężczyzna wybierał swój los. Ale świadomość, że są one błahie, bynajmniej niczego nie zmieniała.

Wędrował długimi krokami od jednego stanowiska do drugiego, wpatrzony pełnym nienawiści wzrokiem w owiewane przez wiatr, zwarzone suszą łąki. I takim to sposobem znajdował się teraz tutaj, licząc, że Aielowie nie zaatakują mimo — albo właśnie dzięki temu, o czym Mądre Shaido rozmawiały z Coiren i pozostałymi. Podejrzał, że są ich w okolicy rzesze, dostatecznie duże, by go pokonać, nawet przy wsparciu Aes Sedai. Miał się udać do Cairhien i nie potrafił określić swego stanowiska względem tego rozkazu. Coiren wymogła na nim przysięgę, że zachowa swą misję w tajemnicy, a nawet wówczas wyglądała, jakby strachem przejmowały ją własne słowa. Cóż, być może się naprawdę bała. Zawsze należało starannie zbadać to, co powiedziała Aes Sedai — nie mogły kłamać, ale potrafiły nadzwyczaj zręcznie naginać prawdę — a jednak nie wychwylił żadnych ukrytych znaczeń. Sześć Aes Sedai jechało do Smoka Odrodzonego z prośbą o towarzyszenie im do Wieży, wraz z Młodymi — którymi miał dowodzić syn królowej Andoru — w charakterze gwardii honorowej. Mógł istnieć tylko jeden powód, który najwyraźniej wstrząsnął Coiren do tego stopnia, że ledwie o nim napomknęła. Dla Gawyna też było to szokujące: Elaida zamierzała obwieścić całemu światu, że Biała Wieża popiera Smoka Odrodzonego.

Wprost nie potrafił uwierzyć. Elaida należała do Czerwonych, zanim została Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Czerwone nienawidziły już samej idei mężczyzn przenoszących Moc; zresztą skoro już o tym mowa, to nie miały zbyt wysokiego mniemania w ogóle o mężczyznach jako takich. Niemniej, z upadku niegdyś niezwyciężonego Kamienia Łzy, który oznaczał spełnienie proroctw, wynikało, że Rand al’Thor to Smok Odrodzony i nawet sama Elaida twierdziła, że zbliża się Ostatnia Bitwa. Gawyn ledwie potrafił pogodzić wspomnienie o tamtym przestraszonym młodym wieśniaku, który, dosłownie, wpadł do pałacu królewskiego w Caemlyn, z człowiekiem opiewanym w plotkach, które spływały wodami Erinin do Tar Valon. Mówiono, że wieształ Wysokich Lordów Łzy i że pozwolił Aielom złupić Kamień. Z pewnością to on sprowadził Aielów z za Grzbietu Świata — co



nastąpiło dopiero drugi raz od czasu Pęknięcia — by spustoszyli Cairhien. Być może to było jego szaleństwo. Gawyn polubił Randa al'Thora; żałował, że ten człowiek okazał się kimś zupełnie innym.

Kiedy wrócił do grupy Jisao, na zachodzie pojawił się jeszcze ktoś inny, handlarz w miękkim kapeluszu; prowadził muła o zapadniętych bokach. Mężczyzna wędrował prosto w stronę wzgórza; widział ich.

Jisao przestąpił z nogi na nogę, po czym na powrót znieruchomiał, gdy Gawyn dotknął jego ramienia. Nietrudno było zgadnąć, o czym myśli młodszy mężczyzna, ale jeśli Aielowie postanowili zabić tego osobnika, to oni nie mogli nic zrobić. Coiren raczej nie byłaby zachwycona, gdyby wszczął bitwę z ludźmi, z którymi ona prowadziła rozmowy.

Niepomny niczego handlarz przeszedł powłóczącym krokiem obok krzewu, w który Gawyn cisnął kamieniem. Muł zaczął leniwie skubać zbrązowiałą trawę, kiedy jego właściciel ściągnął kapelusz z głowy, wykonał pobieżny ukłon, którym ogarnął ich wszystkich, a potem zaczął wycierać pobrużdżoną twarz brudną chustką zdjętą z szyi.

— Oby was Światłość opromieniła, moi panowie. Każdy by widział, że jesteście dobrze przygotowani do podróży w tych jakże ciężkich czasach, ale jeśli potrzebujecie jakich drobiazgów, to stary Mil Tesen na pewno je ma w swoich sakwach. Niższych cen nie znajdziecie w promieniu dziesięciu mil, moi panowie.

Gawyn wątpił, by w promieniu dziesięciu mil znajdowała się bodaj jakaś farma.

— Istotnie, ciężkie czasy, panie Tesen. A nie boisz ty się Aielów?

— Aielów, mój panie? Toż oni wszyscy zgromadzili się pod Cairhien. Stary Mil wyczuje Aiela. Po prawdzie to szkoda, że nie ma tu jakich. Z Aielami dobrze się handluje. Oni mają huk złota. Z Cairhien. I nie nękają handlarzy. Każdy o tym wie.

Gawyn powstrzymał się od pytania, dlaczego ten człowiek nie kieruje się na południe, skoro z Aielami w Cairhien tak dobrze się handluje.

— Jakie masz wieści ze świata, panie Tesen? Jesteśmy z północy i może wiesz coś, co do nas jeszcze nie dotarło z południa.

— O, na południu moc zdarzeń, mój panie. Słyszałeś o Cairhien? O tym człowieku, co to zowie się Smokiem i w ogóle? — Kiedy Gawyn przytaknął, mówił dalej: — No to więc on teraz zdobył Andor. A w każdym razie jego większą część. Ich królowa nie żyje. Niektórzy powiadają, że on zawładnie całym światem, zanim... — Dopiero kiedy mężczyzna urwał ze zduszonym jękiem, do Gawyna dotarło, że to on sam chwycił go za klapy.

— Królowa Morgase nie żyje? Gadaj, człowieku! Prędko!

Tesen potoczył wzrokiem w krąg w poszukiwaniu pomocy, ale mówił dalej, w pośpiechu połykając słowa.

— Tak powiadają, mój panie. Stary Mil nie wie na pewno, ale sądzi, że tak jest.

Wszyscy to mówią, mój panie. Wszyscy mówią, że Smok to zrobił. Mój panie? Kark starego Mila, mój panie! Mój panie!

Gawyn oderwał dłonie, jakby się poparzył. Miał wrażenie, że w środku cały płonie. Innego karku pragnął dopaść swymi rękoma.

— A Dziedziczka Tronu? — Własny głos dobiegał go jakby z daleka. — Czy są jakieś wieści o Dziedziczce Tronu, Elayne?

Odzyskawszy wolność, Tesen natychmiast dał długi krok do tyłu.

— Staremu Milowi nic nie wiadomo. Niektórzy powiadają, że ona też nie żyje. Inni zaś mówią, że ją też zabił, ale stary Mil nic nie wie na pewno.

Gawyn powoli skinał głową. Trudno mu było zebrać myśli, jakby musiał je wyciągać z samego dna głębokiej studni.

„Moja krew rozlana przed jej krwią; moje życie oddane przed jej życiem”.

— Dziękuję ci, panie Tesen. Ja. . .

„Moja krew rozlana przed jej krwią. . .”

Taką przysięgę złożył, gdy dostatecznie urósł, by móc zajrzeć do kołyski Elayne.

— Możesz handlować z. . . Niektórzy z moich ludzi mogą potrzebować. . . — Gareth Bryne musiał mu objaśnić, co to oznacza, ale już wtedy wiedział, że musi dotrzymać tej przysięgi, nawet gdyby przez całe życie zawodził we wszystkim innym. Jisao i inni patrzyli na niego z troską. — Zajmijcie się tym handlarzem — rzucił szorstkim tonem i odwrócił się.

Jego matka nie żyje. I Elayne także. Tylko plotka, ale plotki powtarzane przez wszystkich czasami okazują się prawdą. Zrobił kilka kroków w górę zbocza, w stronę obozowiska Aes Sedai, zanim się połapał, co właściwie robi. Bolały go dłonie. Musiał na nie spojrzeć, by się zorientować, że złapał je skurcz od uścisku na rękojeści miecza i musiał się zmusić, żeby ją puścić. Coiren i pozostałe chciały zabrać Randa al'Thora do Tar Valon, ale jeśli jego matka nie żyła. . . Elayne. Jeśli one obie nie żyły, to on sprawdzi, czy Smok Odrodzony potrafi żyć z ostrzem miecza w sercu!

\* \* \*

Poprawiwszy szal z czerwonymi frędzlami, Katerine Alruddin uniosła się z poduszek w tym samym momencie, w którym uczyniły to inne kobiety zgromadzone w namiocie. Mało co, a byłaby pociągnęła nosem, kiedy Coiren, tłusta i nadęta, zaintonowała:

— Tak się stanie, jak zostało uzgodnione.

Było to spotkanie z dzikusami, a nie zawarcie traktatu między Wieżą i jakimś

władcą.

Ani reakcje, ani wyraz na twarzach kobiet Aiel nie były teraz żywsze niż wtedy, gdy je zobaczyła zaraz po ich przybyciu. Co zaskakiwało, ponieważ królowie i królowe zdradzali wewnętrzne odczucia, kiedy stali naprzeciw zaledwie dwóch albo trzech Aes Sedai, a nie aż połowy tuzina. Do tej pory przedstawicielki zbydłconego, barbarzyńskiego narodu powinny już w widoczny sposób dygotać. A może w ogóle nie powinny reagować. Ich przywódczyni — nazywała się Sevanna, któremu to imieniu towarzyszyły jeszcze jakieś bzdury, w rodzaju „szczep”, „Aielowie Shaido” oraz „mądra”, teraz powiedziała:

— Tak pozostanie uzgodnione, pod warunkiem, że będzie mi dane zobaczyć jego twarz. — Miała ponure usta i nosiła tasienki przy bluzce rozwiązane, żeby przyciągać wzrok mężczyzn; fakt, że Aielowie wybrali właśnie taką na swą przywódczynię, wskazywał dobitnie, jacy są nieokrzesani. — Chcę go widzieć, a on ma widzieć mnie, w chwili swej kłeski. Tylko pod takim warunkiem wasza Wieża wejdzie w sojusz z Shaido.

Ślad podniecenia w jej głosie sprawił, że Katerine musiała stłumić uśmiech. Mądra? Ta Sevanna była autentycznie głupia. Biała Wieża nie miała żadnych sojuszników; jedni służyli jej celom dobrowolnie, drudzy bez udziału własnej woli. Innych nie było.

Nieznaczne wygięcie kącików ust Coiren zdradziło jej irytację. Szara siostra była dobrą negocjatorką, ale nie lubiła niczego robić byle jak. Każda stopa miała stawać dokładnie tam, gdzie zaplanowano.

— Bez wątpienia to, o co prosisz, stanowić będzie zasłużone wynagrodzenie za wasze usługi.

Jedna z siwowłosych kobiet Aiel — Tarva czy jakaś tam — zmrużyła oczy, ale Sevanna skinęła głową, usłyszawszy to, co miała zgodnie z życzeniem Coiren usłyszeć.

Coiren wyszła z namiotu, by odprowadzić kobiety Aiel aż do samych stóp wzgórza, razem z Erian, Zieloną, Nesune, Brązową oraz pięcioma Strażnikami. Katerine wyszła na skraj lasu, by ich stamtąd obserwować. Przed spotkaniem tym kobietom pozwolono wejść na szczyt samotnie, jak przystało petentkom, ale teraz obdarzono je wszelkimi honorami, żeby się poczuły jak prawdziwe przyjaciółki i sojuszniczki. Katerine zastanawiała się, czy są dostatecznie cywilizowane, by rozpoznawać takie subtelności.

Wypatrzyła Gawyna; siedział na samym dole zbocza, na kamieniu, z wzrokiem wbitym w trawiastą dal równiny. Co by ten młody człowiek sobie pomyślał, gdyby się dowiedział, że jemu i jego chłopcom kazano się tutaj stawić po to tylko, by ich odciągnąć od Tar Valon? Ani Elaidzie ani Komnacie nie podobało się, że mają obok siebie stado młodych wilków, które nie dają się wziąć na smycz. Być może uda się nakłonić Shaido, żeby wyeliminowali również i ten problem. Elaida dała coś takiego do zrozumienia. Tym sposobem jego śmierć nie obciąży Wieży,

jego matka nie będzie mogła im nic zarzucić.

— Jeśli będziesz się wpatrywała w tego młodzieńca jeszcze dłużej, Katerine, to gotowam pomyśleć, że powinnaś zostać Zieloną.

Katerine ugasiła nagłą iskrę gniewu i z szacunkiem skłoniła głowę.

— Ja tylko się zastanawiałam, o czym on myśli, Galina Sedai.

Szacunku jej gest zawierał tyle, ile należało okazywać w miejscu publicznym, a może nawet odrobinę więcej. Galina Casban wyglądała na młodszą od Katerine, choć w rzeczywistości miała dwa razy tyle lat co ona; od osiemnastu lat ta obdarzona krągłą twarzą kobieta przewodziła Czerwonym Ajah. Co, ma się rozumieć, stanowiło fakt znany jedynie Czerwonym; takie informacje pozostawały wewnątrz danej Ajah. Nie była nawet jedną z Zasiadających z ramienia Czerwonych w Komnacie Wieży; a przecież wcześniej Katerine myślała, że znaleźć tam można główne postacie wszystkich Ajah. Elaida sama mianowałaby się przewodniczącą tej delegacji, w miejsce przekonanej o własnej wyższości Coiren, gdyby Galina słusznie nie wskazała na fakt, że obecność Czerwonej mogłaby wzbudzić podejrzenia Randa al'Thora. Zasiadająca na Tronie Amyrlin zgodnie z tradycją należała do wszystkich Ajah i jednocześnie do żadnej, oczekiwano więc, że zrezygnuje z dawnych powiązań, ale jeśli Elaida istotnie była skłonna komuś ustąpić — o co można się było sprzeczać — to na pewno tym kimś byłaby Galina.

— Czy zgodnie z przewidywaniami Coiren on przybędzie dobrowolnie? — spytała Katerine.

— Być może — odparła sucho Galina. — Każdy król poniósłby swój tron do Tar Valon na własnych plecach, w podzięce za zaszczyt, jaki mu sprawiła taka delegacja.

Katerine nie raczyła przytaknąć.

— Sevanna go zabije, jeśli będzie miała okazję.

— W takim razie nie wolno jej dawać ku temu sposobności. — Głos Galiny był zimny, pulchne usta miała zaciśnięte. — Zasiadająca na Tronie Amyrlin nie byłaby zadowolona, gdyby coś pokrzyżowało jej plany. A ty i ja przed śmiercią spędziłybyśmy wiele dni, krzycząc wniebogłosy.

Odruchowo naciągnąwszy szal na ramiona, Katerine zadygotała. W powietrzu było mnóstwo kurzu; wyciągnie swój lekki płaszcz. To nie wściekłość Elaidy by je zabiła, aczkolwiek jej furia byłaby straszna. Katerine do godności Aes Sedai została wyniesiona przed siedemnastu laty, ale dopiero tego ranka, na chwilę przed wyjazdem z Tar Valon, dowiedziała się, że łączy ją z Galiną coś więcej niżli przynależność do Czerwonych Ajah. Od dwunastu lat była Czarną Ajah, nie wiedząc wcale, że Galina też do nich należy, i to o wiele dłużej. Czarne siostry kryły z konieczności swoją tożsamość, nawet przed sobą wzajem. Podczas rzadkich spotkań miały twarze zakryte i mówiły zniekształconymi głosami. Przed Galiną Katerine dane było poznać tylko dwie. Rozkazy pozostawiano jej na poduszce albo w kieszeni kaftana, spisane atramentem, który zniknął, jeśli papieru

dotknęła inna dłoń. Wyznaczono jej sekretne miejsce, w którym miała pozostawić odpowiedź, a straszliwe w wymowie rozkazy zabraniały podpatrywania, kto pojawi się po nią. Ani razu nie okazała nieposłuszeństwa. Wśród tych, które miały z nimi wyruszyć następnego dnia, mogły być Czarne siostry, ale nie było jak tego sprawdzić.

— Dlaczego? — zapytała. Rozkaz, by zachować Smoka Odrodzonego przy życiu, nie miał najmniejszego sensu, nawet jeżeli w dalszej części nakazywał dostarczenie go bezpośrednio do rąk Elaidy.

— Zadawanie pytań jest niebezpieczne dla tego, kto przysięgał ich nie zadawać.

Katerine znowu zadrżała i w ostatniej chwili powstrzymała się, by nie dygnać.

— Tak, Galina Sedai.

Ale nie mogła przestać się zastanawiać. Dlaczego?

\* \* \*

— Nie znają ni szacunku, ni honoru — warknęła Therava. — Pozwalają nam wejść do swego obozu, jakbyśmy byli bezzębnymi psami, a potem wyprowadzają pod strażą niczym podejrzane o kradzież.

Sevanna nie obejrzała się. Nie zamierzała tego zrobić, dopóki nie znajdą się pod bezpieczną osłoną drzew. Aes Sedai mogły je obserwować, wypatrując oznak zdenerwowania.

— Zgodziły się, Therva — odparła. — To na razie wystarczy. — Na razie. Któregoś dnia Shaido złupią te ziemie. Łącznie z Białą Wieżą.

— To wszystko zostało źle pomyślane — powiedziała trzecia kobieta ściśniętym głosem. — Mądre unikają Aes Sedai, zawsze tak było. Może w twoim przypadku jest to słuszne, Sevanna. . . jako wdowa po Couladinie i Suldriku, przemawiać będziesz w miejsce wodza klanu, póki nie pošlemy następnego mężczyzny do Rhuidean. . . jednak my nie powinniśmy brać w tym udziału.

Sevanna zmusiła się do milczenia; nic nie powiedziawszy, szła dalej. Desaine głosowała przeciwko jej wyborowi na Mądrą, mówiąc wszem i wobec, że nie odebrała stosownych nauk i nie odwiedziła Rhuidean, a jej pozycja, odpowiadająca godności wodza klanu, dyskwalifikuje ją. Poza tym jako wdowa, nie po jednym, a po dwóch wodzach, mogła przynieść pecha. Na szczęście miała poparcie dostatecznie licznych Mądrych Shaido, które słuchały tego, co mówi Sevanna, a nie Desaine. Z drugiej jednak strony liczba nadstawiających chętnie ucha słowom Desaine była zbyt wielka, by dało się z nimi raz na zawsze uporać. Wobec Mądrych honor nie zezwalał na użycie przemocy — co więcej, te, które wcześniej należały

do szeregów zdrajców i głupców, a obecnie przebywały w Cairhien, miały prawo swobodnego odwiedzania i gwarantowaną nietykalność wśród Shaido — jednak Sevanna zamierzała jakoś temu zaradzić.

Therava, która chyba się zaraziła wątpliwościami Desaine, zaczęła coś mruzczyć, tylko z pozoru mówiąc do siebie.

— Każdy zły uczynek jest występkiem przeciwko Aes Sedai. Służyliśmy im przed Pęknięciem i zawiedliśmy; dlatego właśnie zostaliśmy wypędzeni do Ziemi Trzech Sfer. Jeśli znowu je zawiedziemy, to zostaniemy zniszczeni.

W to właśnie wszyscy wierzyli; był to wątek wielu dawnych opowieści, niemalże część obyczaju. Sevanna nie miała takiej pewności. Te Aes Sedai, jej zdaniem, były słabe i głupie, skoro podróżowały z eskortą złożoną z kilkuset mężczyzn przez ziemie, na których tysięczne rzesze prawdziwych Aielów, Shaido, mogły je dosłownie stratować.

— Nastały nowe czasy — odparła ostro, powtarzając część jednej ze swych przemów, które zwykła wygłaszać na użytek Mądrych. — Nie jesteśmy już związani z Ziemią Trzech Sfer. Każdy, kto ma oczy, widzi, że to, co było dotąd, teraz uległo zmianie. My też więc musimy się zmienić, albo przestaniemy istnieć, jakby nas nigdy nie było. — Oczywiście wcale im nie powiedziała, jak wielkich zmian zamierzała dokonać. Mądre Shaido nigdy już nie pošłą mężczyzny do Rhuidean, jeśli uda jej się postawić na swoim.

— Nowe czasy, stare czasy. . . — burknęła Desaine — Co zrobimy z Randem al'Thorem, jeśli uda nam się odebrać go Aes Sedai? Lepiej, a z pewnością łatwiej byłoby wepchnąć mu nóż między żebra, gdy będziemy go wiozły na północ.

Sevanna nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Na razie. Wiedziała tylko, że jak już będzie miała tego tak zwanego *car'a'carna*, wodza wodzów wszystkich Aielów, a on spętany łańcuchami będzie wył przed jej namiotem niczym wściekły pies, wówczas ta ziemia będzie naprawdę należała do Shaido. I do niej. Wiedziała o tym, jeszcze zanim ten dziwny mieszkaniec mokradeł znalazł ją jakimś sposobem w górach, które ci ludzie nazywali Sztyletem Zabójcy Rodu. Dał jej małą kostkę z jakiegoś twardego kamienia, zawile rzeźbioną w dziwne wzory, i powiedział jej, co ma z nią zrobić, z pomocą jakiejś Mądrej, która potrafi przenosić, jak już al'Thor znajdzie się w jej rękach. Odtąd zawsze nosiła tę kostkę w mieszk u pasa; nie postanowiła jeszcze, co z nią robi, ale jak dotąd nie opowiedziała nikomu ani o niej, ani o wizycie mężczyzny. Maszerowała dalej, z zadartą głową, pod słońcem prażącym z jesiennego nieba.

\* \* \*

Pałacowy ogród dawałby może przynajmniej złudzenie chłodu, gdyby rosły w nim drzewa, ale najwyższymi roślinami były wymyślnie przyszyte krzewy, storturowane w formy cwałujących koni albo niedźwiedzi wykonujących koziołki, sztuczki i tym podobne. Ogrodnicy w samych koszulach pomykali z wiadrami pełnymi wody, dobywając z siebie siódme poty w żarze palącego popołudniowego słońca, rozpaczliwie próbując ratować swoje dzieła. Dawno już zrezygnowali z hodowli kwiatów, zniknęły wzorzyste rabaty, które obsadzono darnią, też zresztą już pożółkła od upału.

— Co za potworny upał — poskarżył się Ailron. Wyciągnawszy koronkową chusteczkę z obrzeżonego koronkami kaftana z żółtego jedwabiu, delikatnie otarł nią twarz, po czym cisnął na ziemię. Sługa w złoto-czerwonej liberii prędko porwał ją ze zwirowanej ścieżki i natychmiast ponownie wtopił się w tło; inny, również odziany w liberię, włożył do ręki króla świeżą chusteczkę. Ailron rzecz jasna tego nie zauważył; nawet nie udał, że zauważył. — Tym ludziom zazwyczaj udaje się utrzymać wszystkie przy życiu aż do wiosny, ale tej zimy chyba stracę część roślin. Zwłaszcza, że wcale nie zanoszą się na zimę. Rośliny lepiej znoszą zimno niżli suszę. Czy twoim zdaniem nie są wspaniałe, moja droga?

Ailron, Pomazaniec Światłości, Król i Obrońca Amadicii, Strażnik Południowej Bramy, nie był tak przystojny, jakim kreowały go pogłoski, ale Morgase, już kiedy spotkała go po raz pierwszy, przed wieloma laty, nabrała podejrzeń, że to on sam jest źródłem tych plotek. Ciemne włosy miał długie i falujące — ale głębokie zakola zdecydowanie powiększały czoło. Nos nieco za długi, uszy odrobinę za duże. Całość rysów twarzy niejasno przywodziła na myśl miękkość charakteru. Któregoś dnia będzie musiała zapytać. Południowa Brama dokąd?

Wachlując się wachlarzem wyrzeźbionym z kości słoniowej, zmierzyła wzrokiem jedną z... konstrukcji wykonanych przez ogrodników. Były to bodajże trzy ogromne nagie kobiety rozpaczliwie zmagające się z gigantycznymi węzami.

— Zaiste godne uwagi — powiedziała. Kiedy zjawiasz się gdzieś jako żebrak, mówisz to, czego od ciebie oczekują.

— O tak. Godne uwagi, to prawda. Ach, zdaje się, wzywają mnie sprawy państwowe. Obawiam się, że nie ścierpią żadnej zwłoki. — Na niskich marmurowych schodkach przy przeciwległym krańcu chodnika pojawiło się kilkunastu mężczyzn, odzianych tak barwnie jak barwne musiały być te kwiaty, które już tam nie rosły; czekali pod grupą kanelurowanych kolumn, które stanowiły jedynie ozdobę, niczego nie wspierając. — Do wieczora, moja droga. Odbędziemy wtedy dłuższą rozmowę o twoich straszliwych kłopotach i o tym, jak można by im zaradzić.

Sklonił się nad jej ręką, kończąc ukłon w momencie, gdy już miał ją ucałować, a ona lekko dygnęła, mrużąc stosowne grzeczności. Potem oddalił się dostojnym krokiem, pociągając za sobą stado służących; odeszli wszyscy, co do jednego. Najwyraźniej wlekli się tak za nim, dokądkolwiek szedł.

Kiedy zniknął jej z oczu, Morgase jąta wachlować się energiczniej, niż mogła to czynić w jego obecności — tamten udawał, że ledwie odczuwa upał, mimo iż pot spływał mu z twarzy niemal strumyczkami — po czym skierowała się w stronę swych apartamentów. Przyjętych z taką samą pokorą, z jaką przyjęła tę jasnobieską szatę, którą miała teraz na sobie. Wbrew pogodzie uparła się na wysoki karczek; jej stanowisko w kwestii głęboko wyciętych dekoltów zostało raz na zawsze wyraźnie sprecyzowane.

Za nią szedł samotny sługa, trzymając się w niewielkiej odległości. I rzecz jasna Tallanvor, który deptał jej po piętach, nadal uparcie odziany w ten sam zgrzebny zielony kaftan, w którym tu przyjechał, z mieczem przy biodrze, jakby się spodziewał ataku na Pałac Seranda, oddalony nawet nie dwie mile od Amadoru. Starła się nie zauważać tego wysokiego młodzieńca, ale on jak zwykle nie pozwalał na to.

— Powinniśmy pojechać do Ghealdan, Morgase. Do Jehannah.

Dopuszczała, by niektóre sprawy wymknęły się jej spod kontroli. Aż spódnice jej zaświstały, kiedy obróciła się gwałtownie, by z płonącymi oczyma spojrzeć mu w twarz.

— Podczas naszej podróży pewne środki dyskrecji były niezbędne, ale ci, którzy nas teraz otaczają, wiedzą, kim jestem. Ty też to sobie przypomnij i okaż swej królowej należny szacunek. Na kolana!

Ku jej zaskoczeniu Tallanvor ani drgnął.

— Jesteś moją królową, Morgase? — Przynajmniej zniżył głos, dzięki czemu sługa nie mógł wszystkiego podsłuchać i rozgłosić, ale jego oczy... Omal nie cofnęła się, przed ukrytym w nich czystym pożądaniem. A także gniewem. — Nie opuszczę cię po tej stronie śmierci, Morgase, ale to ty sama wyrzekłaś się wielu rzeczy, gdy zrezygnowałaś z Andoru na rzecz Gaebriła. Kiedy na nowo go odzyskasz, uklęknię u twych stóp i będziesz mogła ściąć mi głowę, jeśli taka będzie twoja wola, ale do tego czasu... Powinniśmy byli jechać do Ghealdan.

Ten młody głupiec z chęcią by poległ w walce z uzurpatorem nawet teraz, po tym jak przekonała się, że nie wesprze jej żaden andorański Dom. Jednakże z każdym dniem, z każdym tygodniem, od momentu gdy stwierdziła, że jedynym wyjściem jest szukanie pomocy za granicą, stawał się coraz bardziej bezczelny i krnąbrny. Mogła poprosić Ailrona o głowę Tallanvora i otrzymałaby ją, nie napotykając na żadne pytania. Niemniej jednak, fakt, że nie zostałyby zadane, nie oznaczał ich nieobecności w myślach Ailrona. Tutaj była tylko żebraczką i nie mogła prosić nawet o jedną przysługę więcej ponad to, co absolutnie konieczne. A poza tym nie byłoby jej tutaj, gdyby nie Tallanvor. Byłaby więźniem — jeśli



nie czymś gorszym — lorda Gaebriła. I takie właśnie były powody, dla których Tallanvor miał zachować głowę.

Jej miniaturowa armia strzegła zdobnie rzeźbionych drzwi wiodących do apartamentów. Basel Gill był człowiekiem o różowych policzkach, z siwiejącymi włosami, które na próżno zaczesywał w taki sposób, by ukryć łysinę. Nosił skórzaną kamizelę z naszytymi stalowymi krążkami, ciasno opiętą pasem, a także miecz, którego nie tknął od dwudziestu lat, póki na nowo go nie przytroczył, kiedy do niej przystał. Lamgwin był potężnie umięśniony i zwalisty, opadające, ciężkie powieki nadawały mu widok człowieka zaspanego. On także nosił miecz, ale blizny na twarzy oraz nos złamany więcej niż jeden raz dawały jasno do zrozumienia, że nawykł do posługiwania się pięściami albo pałką. Reasumując, oberżysta i uliczny rozrabiaka; oprócz Tallanvora to była cała armia, za pomocą której miała odebrać Gaebriłowi Andor oraz tron.

Obaj wykonali niezdarne ukłony, ale ona przemknęła obok nich, a potem trzasnęła drzwiami, prosto przed nosem Tallavora.

— Świat — obwieściła warknięciem — byłby o wiele lepszym miejscem, gdyby nie było w nim mężczyzn.

— Z całą pewnością bardziej pustym — powiedziała stara piastunka Morgase, usadowiona na krześle stojącym pod oknem przesłoniętym aksamitnymi draperiami. Siwy koczek Lini, pochylającej głowę nad tamborkiem do haftowania, drżał, jakby w podmuchach wiatru. Cienka jak trzcina, a mimo to wcale nie taka krucha, na jaką wyglądała. — Zakładam, że Ailron nie był dzisiaj bardziej przystępny? A może to przez Tallanvora, dziecko? Naucz się wreszcie nie dopuszczać do tego, by mężczyźni wyprowadzali cię z równowagi. Od złości dostajesz plam na twarzy. — Lini, która była także piastunką Dziedziczki Tronu, wciąż nie chciała przyjąć do wiadomości, że Morgase już dawno temu opuściła dziecięcy pokój.

— Ailron był czarujący — powiedziała ostrożnie Morgase. Trzecia kobieta w izbie, na klęczkach wyjmująca złożone pościela z szafki, głośno pociągnęła nosem i Morgase opanowała się z wysiłkiem, żeby nie spiorunować jej wzrokiem. Breane była... towarzyszką Lamgwina. Ta niska opalona kobieta szła wszędzie tam gdzie on, ale dawała jasno do zrozumienia, że jest Cairhienianką, więc nie Morgase winna jest wierność. — Jeszcze dzień, może dwa — ciągnęła Morgase — i chyba uzyskam jego rękojmię. Dzisiaj zgodził się nareszcie, że potrzebuje żołnierzy z zewnątrz, by odbić Caemlyn. Jak już Gaebrił zostanie przegnany z Caemlyn, to arystokraci znowu mnie obstąpią. — W to właśnie wierzyła; trafiła do Amadicii, ponieważ wcześniej dała się omamić Gaebriłowi i na jego rozkaz potraktowała niegodnie nawet najstarszych przyjaciół z najznamienitszych Domów.

— „Powolny koń nie zawsze dociera do kresu podróży” — zacytowała Lini, nadal zaabsorbowana swoją robótką. Bardzo lubiła stare porzekadła; niektóre, Morgase podejrzywała, wymyślała na poczekaniu.

— Ten dotrze — upierała się Morgase. Tallanvor mylił się odnośnie do Ghe-

aldan; według informacji Ailrona ten kraj znajdował się na krawędzi anarchii wywołanej obecnością w nim tego Proroka, o którym szeptała cała służba, człowieka, głoszącego wiarę w Odrodzonego Smoka. — Chętnie napiłabym się ponczu, Breane. — Kobieta tylko patrzyła na nią, dopóki nie dodała: — Gdybyś była taka miła. — Nawet wtedy tamta zabrała się za nalewanie z nadąsaną, niechętną miną.

Wino zmieszane z sokami owocowymi było zmrożone i przynosiło ochłodę w tym upale; przyjemnie było przyłożyć srebrny puchar do czoła. Ailron sprowadzał śnieg i lód z Gór Mgły; zapewne potrzebny był nieustający strumień wozów, by zagwarantować ciągłość dostaw.

Lini też przyjęła puchar.

— A mówiąc o Tallanvorze... — zaczęła, upiwszy łyk.

— Zamilcz, Lini! — zachnęła się Morgase.

— I co z tego, że jest młodszy od ciebie? — powiedziała Breane. Sobie też nałafa. Co za afront! Miała być służącą, niezależnie od tego, kim była w Cairhien. — Jeśli go chcesz, to go sobie bierz. Lamgwin powiada, że on jest ci wierny na śmierć i życie, a ja nie raz widziałam, jak na ciebie patrzy. — Zaśmiała się ochryple. — Nie odmówi ci. — Cairhienianie byli obrzydliwi, ale przynajmniej większość nich skrywała swe rozwiązłe obyczaje.

Morgase już miała jej rozkazać, żeby wyszła z izby, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Do środka, nie czekając na pozwolenie, wszedł siwowłosa mężczyzna, cały jakby składający się ze ścięgien i kości. Na piersiach śnieżnobiałego płaszcza jarzyło się promieniste, złote słońce. Miała nadzieję, że uniknie spotkania Białych Płaszczy, dopóki nie zdobędzie pieczęci Ailrona na umowie. Chłód wina zniemacka przeniknął ją do samych kości. Gdzie jest Tallanvor i pozostali, skoro ten tak swobodnie mógł wejść do środka?

Wykonał zgoła symboliczny ukłon, z miejsca wbijając w nią ciemne oczy. Twarz miał sędziwą, skórę mocno napiętą na czaszce, ale czuć w nim było siłę, jakby się patrzyło na kowalski młot.

— Morgase z Andoru? — zapytał dźwięcznym, głębokim głosem. — Jestem Pedron Niall. — Nie jakiś tam byle Biały Płaszcz; Lord Kapitan Komandor Synów Światłości we własnej osobie. — Nie obawiaj się. Nie przybywam po to, by cię aresztować.

Morgase wyprostowała się.

— Aresztować? Mnie? Pod jakim zarzutem? Przecież nie potrafię przenosić. — W chwili gdy te słowa opuściły jej usta, z rozdrażnieniem oblizła wargi. Nie należało wspominać o przenoszeniu; zajęcie defensywnego stanowiska od razu zdradzało jej wzburzenie. Ale powiedziała prawdę. Pięćdziesiąt prób dotknięcia Prawdziwego Źródła skończyło się pojedynczym sukcesem, po którym dwadzieścia razy próbowała otworzyć się na *saidara*, by raz tylko schwytać jakąś nędzną kroplę Mocy. Brązowa siostra o imieniu Verin oświadczyła jej, że Wieża raczej nie widzi konieczności jej przetrzymywania, jak to czyniono w przypadku innych,

które trzeba było nauczyć panowania nad ich umiejętnościami. Jej są bowiem na-  
zbyt mierne, by móc komuś zagrozić. I rzeczywiście, pozwolono jej ostatecznie  
opuścić Wieżę. A mimo to, nawet tak skromne zdolności były w Amadicii wyjęte  
spod prawa, karane śmiercią. Pierścień z Wielkim Wężem na jej palcu, który tak  
zafascynował Ailrona, teraz zdawał się palić jej skórę, jakby zaraz miał wybuch-  
nąć płomieniem.

— Wyszkolona przez Wieżę — mruknął Niall. — To też jest zabronione. Ale  
jak powiedziałem, przybywam nie po to, by aresztować, ale by pomóc. Odeślij  
swoje kobiety, to porozmawiamy. — Rozgościł się, przysuwając sobie wysoki  
wyściełany fotel i przerzucając płaszcz przez oparcie. — I niech mi należą tego  
ponczu, zanim odejdą.

Ku niezadowoleniu Morgase Breane natychmiast przyniosła mu puchar, ze  
spuszczonymi oczyma i twarzą zupełnie pozbawioną wyrazu.

Morgase opanowała się z wysiłkiem.

— One zostaną, panie Niall. — Nie zamierzała dać mu satysfakcji, używając  
stosownego tytułu. Czym w najmniejszej mierze nie wyprowadziła go z równo-  
wagi. — Co się stało z moimi ludźmi przy drzwiach? Ciebie obciążę winą, jeśli  
wyrządzono im krzywdę. I na jakiej podstawie przypuszczasz, że potrzebuję two-  
jej pomocy?

— Twoim ludziom nic się nie stało — zbył ją, nawet nie odrywając spojrzenia  
od pucharu z ponczem. — Myślisz, że Ailron da ci to, czego potrzebujesz? Je-  
steś piękną kobietą, Morgase, Ailron ceni zaś kobiety o włosach złotych niczym  
słońce. Z każdym dniem będzie coraz bardziej skłonny podpisać umowę, do któ-  
rej dążysz, nigdy ostatecznie jej wszak nie podpisując, aż wreszcie stwierdzisz,  
że być może... za sprawą niewielkiej ofiary, gotów jest ulec twoim prośbom. Ty  
się oczywiście nie zgodzisz, a więc ostatecznie do niczego nie dojdzie. Motłoch  
od tak zwanego Proroka pustoszy północne terytoria Amadicii. Od zachodu masz  
Tarabon, rozdartą wojną domową, w której bierze udział dziesięć partii, pełen  
bandytów zaprzysięgłych temu tak zwanemu Smokowi Odrodzonemu, krążą tak-  
że pogłoski o Aes Sedai i fałszywym Smoku. Dość, by nastraszyć Ailrona. Da  
ci żołnierzy? Zastawiłby własną duszę, gdyby w ten sposób potrafił zdobyć dzie-  
sięciu ludzi na każdego z tych, których ma teraz pod bronią. Ja natomiast mogę  
wysłać pięć tysięcy Synów Światłości do Caemlyn, z tobą na czele, jeśli tylko  
poprosisz.

Powiedzieć, że Morgase poczuła się oszołomiona, byłoby za mało. Z nale-  
żytych majestatem podeszła do krzesła, które stało naprzeciwko jego siedziska  
i osunęła się, zanim zdążyła usiąść na nim z własnej woli.

— Dlaczego chcesz mi pomóc w obaleniu Gaebriła? — spytała podniesionym  
głosem. Najwyraźniej wiedział wszystko; bez wątpienia miał szpiegów wśród  
służby Ailrona. — Nigdy nie dałam Białym Płaszczom w Andorze takiej swo-  
body, jakiej sobie życzyli.

Tym razem to on się skrzywił. Białe Płaszczce nie lubiły, jak je określano tym mianem.

— Gaebri! Twój kochanek nie żyje, Morgase. Fałszywy Smok, Rand al'Thor, włączył Caemlyn do kolekcji swoich podbojów.

Lini wydała cichy okrzyk, jakby się ukłuła, ale on nie oderwał oczu od Morgase.

Morgase musiała się uchwycić poręczy krzesła, żeby nie przycisnąć dłoni do brzucha. Gdyby drugą ręką nie przytrzymała pucharu ustawionego na poręczy, poncz wylałby się na dywan. Gaebri! nie żyje? Otumaniał ją, zamienił w marionetkę, przywłaszczył sobie jej tron, w jej imieniu władał całym krajem, a na koniec koronował siebie królem Andoru, Andoru, którym nigdy nie rządili królowie. Skąd więc, po tym wszystkim, ten niejasny żal, że już nigdy nie poczuje dotyku jego dłoni? To zakrawało na szaleństwo; gdyby nie wiedziała, że to niemożliwe, musiałaby przyjąć, że stosował przeciwko niej Jedyńą Moc.

A więc al'Thor miał teraz Caemlyn? To mogło zmienić wszystko. Raz go kiedyś widziała, przestraszonego, młodego wieśniaka z zachodu, który robił, co mógł, żeby okazać należyty szacunek królowej. Tylko że ten wieśniak nosił ostrze mistrza miecza, ostrze ze znakiem czapli. I Elaida uważała, że należy się go strzec.

— Dlaczego nazywasz go fałszywym Smokiem, Niall? — Jeśli zamierzał zwracać się do niej po imieniu, to obejdzie się nawet bez używanego przez gmin tytułu „pan”. — Kamień Łzy padł, tak jak przewidziały Prooctwa Smoka. Sami Wysocy Lordowie Łzy ogłosili go Smokiem Odrodzonym.

Niall uśmiechnął się drwiąco.

— Wszędzie tam, gdzie się pojawia, są także Aes Sedai. To one przenoszą za niego, zważ moje słowa. Nie jest niczym więcej jak zwykłą kukielką Wieży. Mam przyjaciół w wielu miejscach... — chciał powiedzieć: szpiegów — ... a oni mi donoszą, że istnieją dowody na to, iż Wieża do podobnych machinacji chciała wciągnąć także Logaina, ostatniego fałszywego Smoka. Ale on, jak mi się zdaje, przecenił własne siły, toteż ostatecznie musiano go usunąć.

— Nie ma na to żadnych dowodów. — Cieszyła się, że głos jej nie drży. Słyszała pogłoski, jakoby Logain znajdował się w drodze do Amadoru. Ale to były tylko pogłoski.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

— Wierz, w co chcesz, ja wolę prawdę od wymysłów wyssanych z palca. Czy prawdziwy Smok Odrodzony postępowałby tak jak ten? Wysocy Lordowie go uznali, powiadasz? Ilu najpierw powiesił, zanim reszta się pokłoniła? Pozwolił Aielom złupić Kamień i całe Cairhien. Twierdzi, że Cairhien będzie miało nowego władcę, którego zresztą osobiście mianuje, ale to on teraz sprawuje wyłączną władzę nad nim. Twierdzi, że w Caemlyn też będzie nowy władca. Ty nie żyjesz; dotarło to już do ciebie? Mówi się bodajże o lady Dyelin. Podczas audyencji zasiadał na Tronie Lwa, ale, jak sądzę, ów mebel był dla niego za ciasny, wyko-

nano go bowiem dla kobiety. Wystawił go więc na pokaz, niby trofeum zdobyte podczas podboju, i zastąpił własnym tronem, który kazał ustawić w Sali Wielkiej królewskiego pałacu. Rzecz jasna, nie wszystko mu się udało. Niektóre andorańskie Domy uważają, że to on cię zabił; współczują ci teraz, kiedy nie żyjesz. Tylko że, niestety, on trzyma wszystko, co zagarnął z Andoru w żelaznym uścisku, do spółki z hordą Aielów i armią awanturników z Ziem Granicznych, których Wieża zwerbowała w jego imieniu. Jeśli jednak uważasz, że powita cię z radością w Caemlyn i zwróci tron...

Zawiesił głos, ale ten potok słów spadł na Morgase niczym grad. Dyelin była następna w sukcesji do tronu tylko w tym przypadku, gdyby Elayne umarła bezpotomnie. Och Światłości, Elayne! Czy nadal przebywa bezpiecznie w Wieży? Dziwnie było pomyśleć, że żywiła dotąd taką antypatię do Aes Sedai, głównie dlatego, że na jakiś czas straciły Elayne z oczu — aż zażądała wtedy jej powrotu, podczas gdy nikt nigdy, w żadnych okolicznościach, nie żądał niczego od Wieży — teraz zaś miała już tylko nadzieję, że dokładnie strzegą jej córki. Przypomniała sobie jedyny list, jaki Elayne napisała po powrocie do Tar Valon. Czy były też inne? Tyle zdarzeń, jakie nastąpiły w czasie, kiedy Gaebriel trzymał ją w niewoli, zatarło się w jej pamięci, pozostawiając wyłącznie niejasne wspomnienia. Elayne na pewno jest bezpieczna. Powinna się także martwić o Gawyna i Galada — Światłość jedna wie, gdzie oni są — ale to Elayne była jej dziedziczką. Pokój w Andorze zależał od ciągłości sukcesji.

Trzeba to dokładnie przemyśleć. Wszystko pasowało do siebie, ale tak jest zawsze z dobrze sprokurowanymi kłamstwami, a siedzący przed nią człowiek był mistrzem w tym fachu. Potrzebowała faktów. Nie zaskoczyło jej, że w Andorze są przekonani o jej śmierci; musiała uciec ze swego królestwa potajemnie, by uniknąć zakusów Gaebriela oraz tych, którzy mogli ją przed nim zdradzić, względnie zemścić się na niej za jego nikczemności. Jeśli to stąd brało się jego współczucie, ona je wykorzystała, ale dopiero, gdy powstanie z martwych. Fakty.

— Potrzebuję czasu na zastanowienie — odparła.

— Oczywiście. — Niall powstał zgrabnym ruchem; sama też by wstała, aby tak nie patrzył na nią z góry, jednak nie była pewna, czy nogi ją utrzymają. — Wróć za kilka dni. A tymczasem chciałbym zadbać o twoje bezpieczeństwo. Ailron jest tak pochłonięty własnymi strapieniami, że doprawdy nie wiadomo, kto może się tu zakraść i w jak niecnym zamiarach. Pozwolę sobie ustawić na straży kilku Synów. Wszystko zostało uzgodnione z Ailronem.

Morgase od niepamiętnych czasów słyszała, że to Białe Płaszczki sprawują rzeczywistą władzę w Amadicii, teraz chyba otrzymała tego dowód.

Wychodząc, Niall zachował się nieco bardziej ceremonialnie niż wówczas, gdy wtargnął do komnaty, wykonał ukłon należny osobie równej mu pozycją. Jednak, tak czy inaczej, dał jej do zrozumienia, że nie ma właściwie wyboru.

Gdy tylko wyszedł, Morgase poderwała się na równe nogi, ale Breane wcze-

śniej niż ona zaczęła biec do wejścia. Nim jednak któraś zdążyła zrobić trzy kroki, drzwi otworzyły się z rozmachem i do środka wpadł Tallanvor z dwoma pozostałymi mężczyznami.

— Morgase — wydyszał Tallanvor, patrząc, jakby chciał ją pożreć swym wzrokiem. — Bałem się. . .

— Bałeś się? — spytała z pogardą. Tego już było za wiele; on się chyba nigdy nie nauczył. — Tak właśnie mnie chronisz? Małego chłopca stać byłoby na tyleż samo! Ale, jako żywo, tak to właśnie jest: chroni mnie mały chłopiec.

Przez chwilę jeszcze czuła na sobie jego płonące spojrzenie, po czym Tallanvor odwrócił się i wyszedł, roztrzając na boki Basela i Lamgwina, żeby utorować sobie drogę.

Były oberżysta stał i załamywał ręce.

— Było ich co najmniej trzydziestu, królowo. Tallanvor chciał walczyć, próbował krzyczeć, ostrzec cię, ale oni zbili go rękojęściami mieczy. Ten stary powiedział, że nie zamierzają ci nic zrobić, ale prócz ciebie nikt nie jest im potrzebny, więc jeśli będą zmuszeni nas zabić. . . — Jego wzrok powędrował ku Lini i Breane, która przypatrywała się Lamgwinowi badawczo, jakby się chciała upewnić, czy jednak nie odniósł jakichś obrażeń. Lamgwin zdawał się równie zaniepokojony stanem Morgase. — Moja królowo, gdybym uważał, że na coś się przydamy. . . Wybacz. Zawiodłem cię.

— Właściwe lekarstwo zawsze ma gorzki smak — mruknęła Lini. — Zwłaszcza w ustach dziecka, które się dąsa. — Przynajmniej raz nie powiedziała tego dosyć głośno, by wszyscy w izbie mogli usłyszeć.

Miała rację. Morgase potrafiła jej to przyznać. Wyjawszy te dąsy, ma się rozumieć. Basel chyba z pokorą powitałby topór kata, tak nieszczęśliwą miał minę. — Nie zawiodłeś mnie, panie Gill. Może któregoś dnia poproszę cię, byś za mnie poległ, ale nastąpi to dopiero wówczas, gdy wyniknie z tego jakiś pożytek. Niall chciał tylko porozmawiać. — Basel natychmiast się ożywił, ale Morgase czuła na sobie wzrok Lini. Wzrok pełen goryczy. — Poproś Tallanvora, żeby do mnie przyszedł. Chcę. . . chcę go przeprosić za pochopne słowa.

— Najlepszy sposób na przeproszenie mężczyzny — powiedziała Breane — to zwabić go do jakiegoś odludnego miejsca w ogrodzie.

W Morgase coś się załamało. Nim się zorientowała, co robi, cisnęła w nią pucharem, rozlewając poncz po dywanie.

— Wynoś się! — krzyknęła. — Wszyscy się wynoście! Możesz przekazać moje przeprosiny Tallanvorowi, panie Gill.

Breane spokojnie starła poncz z sukni, po czym wcale się nie śpiesząc, podeszła do Lamgwina i ujęła go pod ramię. Basel aż przestępował z nogi na nogę, starając się jak najszybciej wypełnić jej rozkaz.

Ku zdziwieniu Morgase Lini też wyszła. To było do niej niepodobne; powinna zostać i zbesztać dawną pupilkę, jakby ta nadal miała dziesięć lat. Morgase wprost

nie pojmowała, dlaczego się na to wszystko godzi. Omal nie poprosiła Lini o pozostanie. Wszyscy jednak wyszli, drzwi zostały zamknięte — miała ważniejsze powody do zmartwień niż to, czy przypadkiem nie zraniła uczuć Lini.

Spacerowała po dywanie, usiłując pozbierać myśli. Ailron zażąda koncesji handlowych — i może również tej „ofiary”, o której mówił Niall — w zamian za pomoc. Na udzielenie koncesji była skłonna się zgodzić, jednak Niall zapewne ma rację co do liczby żołnierzy, jaką Ailron skłonny był jej użyczyć. W pewnym sensie łatwiej byłoby spełnić żądania Nialla. Który zapewne zażąda wpuszczenia do Andoru nieograniczonej liczby Białych Płaszczy. A także przyznania im wolnej ręki w procederze wypleniania Sprzymierzeńców Ciemności, których potrafili znaleźć na każdym strychu, zgody na bezkarne podburzanie motłochu przeciwko kobietom, które oskarżali o bycie Aes Sedai, przymknięcia oczu, gdy będą mordować prawdziwe Aes Sedai. Niall mógł nawet zażądać banicji kobiet zamierzających studiować w Białej Wieży.

Białe Płaszczki zapewne uda się potem jakoś przegnać, choć będzie to zadanie trudne i krwawe w skutkach, zwłaszcza gdy już zdążą na dobre osiąść w Andorze, ale czy w ogóle trzeba ich wpuszczać? Rand al'Thor był Smokiem Odrodzonym — w to nie wątpiła, niezależnie od tego, co mówił Niall; przynajmniej jej wątpliwości były w tej kwestii doprawdy nieznaczące — na ile się jednak orientowała, Proroctwa Smoka nie mówiły nic o jego władzy nad narodami świata. A zatem Smok, Odrodzony czy fałszywy, nie mógł zdobyć Andoru. Tylko jak to sprawdzić?

Ciche skrobanie do drzwi kazało jej się odwrócić.

— Wejść! — powiedziała ostrym tonem.

Drzwi otworzyły się powoli, by wpuścić szeroko uśmiechniętego młodzieńca w złoto-czerwonej liberii, z tacą w rękach, na której stał świeży dzban ze zmrożonym winem; srebro zdążyło już zgromadzić paciorki chłodu. Spodziewała się raczej Tallanvora. Spostrzegła, że na straży w korytarzu stoi samotny Lamgwin. Stał, ale oparty niedbale o ścianę, niczym jakiś zabijaka z tawerny. Machnęła ręką na znak, że młodzieniec ma postawić tacę.

Gniewnie — Tallanvor powinien był przyjść, powinien był przyjść! — zaczęła znowu przemierzać komnatę. Basel i Lamgwin usłyszą może jakieś plotki w najbliższej wiosce, ale to będą tylko plotki i całkiem możliwe, że posiane przez Nialla. To samo dotyczyło pałacowej służby.

— Czy wolno mi coś rzec, moja królowo?

Morgase odwróciła się, zdumiona. Andorański akcent. Młody człowiek klęczał z uśmiechem, który z niepewnego stawał się zawadiacki i na odwrót. Byłby przystojny, gdyby nie nos, kiedyś złamany i niewłaściwie nastawiony. Lamgwinowi taki nos, nawet jeśli wskazywał na niskie pochodzenie, dodawał groźnego wyrazu; ten chłopiec zaś wyglądał tak, jakby się o coś zwyczajnie potknął i upadł, kalecząc sobie buzię.

— Kim jesteś? — spytała podniesionym tonem. — Jak tu wszedłeś?

— Jestem Paitr Conel, moja królowo. Z Market Sheran. W Andorze? — zawiesił głos pytająco, jakby ona o tym nie wiedziała. Zniecierpliwiona dała znak, że ma mówić dalej. — Przybyłem do Amadoru z moim wujem Jenem. Jest kupcem z Czterech Króli i myślał, że znajdzie tu jakieś taraboniańskie barwniki. Są kosztowne, przez te wszystkie niepokoje w Tarabonie, a przypuszczał, że tu mogą być tańsze. . . — Zaciśnęła usta, więc pospiesznie mówił dalej: — Usłyszeliśmy o tobie, moja królowo, że jesteś tutaj w pałacu, że w Amadicii udzielono ci schronienia, że cię szkolono w Białej Wieży i w ogóle, pomyśleliśmy, że mogliśmy ci pomóc. . . — Z trudem przełknął ślinę i dokończył szeptem: — Pomóc ci w ucieczce.

— I jesteście gotowi pomóc mi. . . w ucieczce? — Plan nie najlepszy, ale zawsze mogłaby pojechać na północ, do Ghealdan. Ale ten Tallanvor będzie się pysznił. Nie, wcale nie będzie, co ostatecznie będzie jeszcze gorsze.

Ale Paitr pokręcił głową z nieszczęśliwą miną.

— Wuj Jen miał plan, ale teraz w całym pałacu pełno jest Białych Płaszczy. Nie wiedziałem, co jeszcze mogę zrobić, jak tylko przyjść do ciebie, zgodnie z tym, co mi doradził wuj. On coś wymyśli, moja królowo. To sprytny człowiek.

— Nie wątpię — mruknęła. A więc Ghealdan znowu tylko mignęło jej w przełocie. — Kiedy wyjechaliście z Andoru? Przed miesiącem? Dwoma? — Skinął głową. — A zatem nie wiesz, co się dzieje w Caemlyn — westchnęła.

Młody człowiek oblizał usta.

— Ja. . . Mieszkamy razem z człowiekiem z Amadoru, który ma gołębie. To kupiec. On dostaje wieści zewsząd. Z Caemlyn też. Ale słyszałem same złe wieści, królowo. Może to potrwa dzień albo dwa, ale mój wuj wymyśli jakiś inny sposób. Chciałem tylko, żebyś wiedziała, że pomoc blisko.

No cóż, niech tak będzie. Wyścig między Pedronem Niallem a wujem tego Paitra, Jenem. Żałowała, że nie bardzo lubi się zakładać.

— Tymczasem możesz mi powiedzieć, jak źle stoją sprawy w Caemlyn.

— Królowo, miałem ci tylko powiedzieć, że otrzymasz pomoc. Mój wuj będzie zły, jeśli zostanie i. . .

— Jestem twoją królową, Paitr — oświadczyła stanowczo Morgase — a także twojego wuja Jena. On nie będzie miał nic przeciwko, jeśli odpowiesz na moje pytania. — Paitr miał taką minę, jakby miał zaraz rzucić się do ucieczki, ale ona usadowiła się w krześle i zaczęła docierać do prawdy.

Pedron Niall był w zupełnie niezłym nastroju, kiedy zsiadał z konia na głównym dziedzińcu Fortecy Światłości i rzucał wodze w stronę stajennego. Morgase została wzięta w karby, a on nie musiał ani razu skłamać. Nie lubił kłamać. Przedstawił wprawdzie własną interpretację zdarzeń, niemniej był przekonany o jej prawdziwości. Rand al'Thor to fałszywy Smok i narzędzie w rękach Wieży. Świat jest pełen durniów, którzy nie potrafią myśleć. Ostatnia Bitwa nie bę-



dzie jakąś tytaniczną walką między Czarnym a Smokiem Odrodzonym, zwykłym przecież człowiekiem. Stwórca już dawno temu porzucił ludzkość na pastwę jej własnych wynalazków. Nie, gdy nadejdzie Tarmon Gaidon, będzie jak podczas Wojen z Trollokami, dwa tysiące albo i więcej lat temu, kiedy to z Wielkiego Ugoru wylały się hordy tych odrażających stworów i innego Pomiotu Cienia, a następnie przedarły się przez Ziemie Graniczne i niemalże zatopiły ludzkość w morzu krwi. Nie zamierzał dopuścić, by tym razem świat musiał stawić temu czoło, podzielony i nie przygotowany.

Przez całą drogę po zamkniętych wśród kamiennych murów korytarzach Fortecy, aż do jego prywatnej komnaty audiencyjnej, towarzyszyła mu fala ukłonów odzianych w białe płaszcze Synów. W przedśionku poderwał się na równe nogi Balwer, jego sekretarz o wynędzniałej twarzy, i marudnym tonem jął recytować długą listę dokumentów oczekujących na podpis lorda kapitana, ale Niall całą swoją uwagę skierował na wysokiego mężczyznę, który uniósł się zgrabnie z jednego z krzeseł stojących pod ścianą; na tle złotego słońca wyszytego na płaszczu widniała laska pasterska, a jeszcze niżej trzy węzły świadczące o wysokiej randze.

Jaichim Carridin, inkwizytor Ręki Światłości, był dokładnie tak bezwzględny, na jakiego wyglądał, ale jego skronie znaczyło więcej siwych włosów niż ostatnim razem, kiedy Niall go widział. Ciemne, głęboko osadzone oczy patrzyły z niepokojem, i nic dziwnego. Ostatnie dwie misje, jakie mu poruczono, zakończyły się klęską, co nie wróżyło dobrze człowiekowi, który chciał któregoś dnia zostać Najwyższym Inkwizytorem, a może nawet Lordem Kapitanem Komandorem.

Cisnąwszy płaszcz w stronę Balwera, Niall dał znak Carridinowi, by ten poszedł za nim do właściwej komnaty audiencyjnej, gdzie na ciemnych panelach ścian wisiały trofea należące do jego niegdysiejszych wrogów, a w posadzce osadzone było ogromne słońce, wykonane z takich ilości złota, że większości ludzi oczy wyszłyby z orbit na ten widok. Poza tym była to zwykła żołnierska izba, odzwierciedlająca charakter samego Nialla. Usadowił się w krześle z wysokim oparciem, wykonanym ze smakiem, ale pozbawionym jakichkolwiek ozdób. Długie, bliźniacze paleniska po obu stronach pomieszczenia były zimne i wymiecione, mimo iż o tej porze roku powinien buzować na nich ogień. Dostateczny dowód, że zbliżała się Ostateczna Bitwa. Carridin skłonił się nisko i ukląkł na słońcu, wytartym na gładź przez całe pokolenia stóp i kolan.

— Czy domyśliłeś się, dlaczego po ciebie posłałem, Carridin? — Po wydarzeniach na Równinie Almoth i w Falme, po Tanchico, nie należało się dziwić, jeśli ten człowiek był przekonany, iż zaraz zostanie aresztowany. Niemniej jednak, nawet jeśli podejrzewał taką możliwość, to nie zdradził tego tonem głosu. Jak zwykle natomiast, za wszelką cenę chciał dowieść, że wie więcej niż inni. Zdecydowanie więcej, niż mu było wolno.

— Aes Sedai w Altarze, Lordzie Kapitanie Komandorze, tuż za naszym progiem. Szansa wyniszczenia połowy tych wiedźm z Tar Valon. — Przesada: w Sa-

lidarze była ich może jedna trzecia, na pewno nie więcej.

— I spekulowałeś o tym na głos, w towarzystwie znajomych? — Niall wątpił, by Carridin miał jakichkolwiek przyjaciół, ale znajdował sobie ludzi, z którymi pijał. Czy raczej, jak to miało miejsce ostatnimi czasy, upijał się do nieprzytomności. Niemniej, ten człowiek dysponował pewnymi umiejętnościami, bardzo przydatnymi umiejętnościami.

— Nie, Lordzie Kapitanie Komandorze. Umiem trzymać język na wodzy.

— To dobrze — odparł Niall — albowiem nie zbliżysz się do Salidaru i nie uczyni tego żaden z naszych Synów. — Nie miał pewności, czy cień, który przemknął przez twarz Carridina, to na pewno była ulga. Jeśli tak, to zupełnie nie licowała z jego charakterem, nigdy nie zbywało mu na odwadze. Z pewnością inna też była intencja jego odpowiedzi.

— Ależ one same się proszą o kłopoty. Dowód na to, że plotki mówią prawdę: w Wieży zapanował rozłam. Możemy zniszczyć całe to ohydne towarzystwo, albowiem te drugie nawet nie kiwną palcem. Wieżę można osłabić do tego stopnia, by bliższy stał się dzień, gdy wreszcie runie.

— Tak sądzisz? — spytał sucho Niall.

Splótł dłonie na brzuchu, nadal mówił łagodnym głosem. Śledczy... Ręka Światłości nie znosiła tego określenia, ale nawet on się nim posługiwał... Śledczy nigdy nie potrafili niczego dostrzec, jeśli nie podetknęło się im tego pod sam nos.

— Nawet Wieża nie może się jawnie opowiedzieć po stronie tego fałszywego Smoka, al'Thora. No bo cóż się stanie, jeśli je oszuka, jak Logain? Co innego w przypadku zbiorowego buntu... Mogą go teraz wesprzeć, a dalej spódnice Białej Wieży pozostaną czyste, cokolwiek się zdarzy. — Był przekonany, że tak właśnie jest. Jeśli nawet nie, znajdą się inne sposoby na wykorzystanie jakiegoś rzeczywistego rozłamu, które jeszcze mocniej osłabiłyby wiedźmy. Wierzył jednak, że ma rację. — W każdym razie liczy się to, jak rzeczy widzi świat. Nie pozwolę, by dostrzegał jedynie kłótnię między Synami a Wieżą. — Dopóki świat nie zrozumie, czym tak naprawdę jest Wieża: gniazdem Sprzymierzeńców Ciemności zadających się z mocami, których ludzkość nie miała dotykać; siłą odpowiedzialną za Pęknięcie Świata. — W tej walce świat występuje przeciwko fałszywemu Smokowi, al'Thorowi.

— W takim razie, jak brzmią twoje rozkazy, Lordzie Kapitanie Komandorze, skoro nie pojedę do Altary?

Niall opuścił głowę z westchnieniem. Nagle poczuł się zmęczony. Czuł, jak ciężą mu brzemieniem wszystkie przeżyte lata.

— Ależ pojedziesz do Altary, Carridin.

Z imieniem Randa al'Thora i jego wizerunkiem zapoznał się wkrótce po rzeckiej inwazji na Falme zza morza, w istocie będącej rezultatem knowań Aes Sedai, w wyniku której Synowie stracili tysiąc ludzi, a po całym Tarabonie i Arad Doman rozpełzli się Zaprzysiężeni Smokowi i idący w ślad za nimi chaos. Wie-

dział, jaką rolę odgrywa al'Thor i wierzył, że potrafi wykorzystać jego osobę jako pretekst do zjednoczenia narodów. Raz skupione pod jego przywództwem, pokonają wkrótce al'Thora i staną się zdolne do stawienia czoła hordom trolloków. Rozesłał emisariuszy do władców wszystkich krajów, by zwrócić ich uwagę na niebezpieczeństwo. Ale al'Thor działał szybciej, niż on zakładał, nawet teraz go wyprzedził. Wściekły lew miał krążyć po ulicach dostatecznie długo, aż wszystkich zdejmie trwoga, jednak ten lew niepostrzeżenie stał się gigantycznym potworem, szybkim jak błyskawica.

Jednak jeszcze nie wszystko było stracone, należało o tym stale pamiętać. Dobre tysiąc lat temu Guaire Amalasan, fałszywy Smok, który potrafił przenosić, obwołał się Smokiem Odrodzonym. Amalasan podbił więcej ziem niż al'Thor, zanim pewien młody król, Artur Paendrag Tanreall, nie stanął do walki z nim, stawiając tym samym pierwszy krok na drodze do własnego imperium. Niall nie uważał siebie za kolejnego Artura Hawkwinga, ale świat nie mógł liczyć na nikogo innego. Nie zrezygnuje więc, póki starczy życia.

Już zaczął przeciwstawiać się rosnącej potędze al'Thora. Oprócz emisariuszy do władców wysłał również posłańców do Tarabonu i Arad Doman. Kilku, ale zdolnych znaleźć właściwe uszy, do których można szepnąć, że wszystkie kłopoty należy złożyć na karb Zaprzysięgłych Smokowi, głupców, oraz Sprzymierzeńców Ciemności, którzy się opowiedzieli za Randem al'Thorem. A także na karb Białej Wieży. Z Tarabonu już dochodziły liczne pogłoski o zaangażowaniu Aes Sedai w walki, pogłoski, które miały przygotować grunt podatny na przyjęcie jedynej właściwej prawdy o Randzie. A teraz nadeszła pora na zrealizowanie następnej części jego nowego planu — wskazanie siedzącym okrakiem na płocie, któredy mają z niego zejść. Czas. Tak mało czasu. A mimo to nie potrafił się powstrzymać od uśmiechu. Byli tacy, obecnie już martwi, którzy kiedyś powiadali: „Kiedy Niall się uśmiecha, wkrótce skoczy komuś do gardła”.

— Altara i Murandy — powiedział Carridinowi — niech nęka je plaga Zaprzysięgłych Smokowi.

\* \* \*

Komnata przypominała pałacową bawialnię — sklepiony sufit ozdobiony sztukateriami, przednie dywany na posadzce wyłożonej białymi płytkami, zdobnie rzeźbione panele na ścianach — a jednak daleko jej było do prawdziwego pałacowego wnętrza. W rzeczy samej, jej wnętrze zdziwiłoby niejednego przypadkowego gościa. Mesaana, szeleszcząc suknią z szarego jedwabiu, krążyła wokół stolika intarsjowanego lazurytem i zabawiała się układaniem z kostek domina

skomplikowanej wieży, w której każde kolejne piętro było większe od poprzedniego. Szczyciła się, że robi to wyłącznie w oparciu o swoją wiedzę o naprężeniach i dźwigniach; ani źdźbła Mocy. Ułożyła już dziewiąte piętro.

Tak naprawdę, to nie tyle chodziło jej o zabawę, co raczej unikała rozmowy ze swą towarzyszką. Semirhage siedziała na krześle z wysokim oparciem i czerwonym obiciem. Szyła; długie, szczupłe palce wykonywały zręcznie miniaturowe szwy splatające się w misterny labirynt drobnych kwiatków. Zawsze była zaskoczona, widząc tę kobietę przy zajęciach tak... prozaicznych. Czarna suknia mocno kontrastowała z obiciem krzesła. Nawet Demandred nie odważyłby się powiedzieć Semirhage prosto w oczy, że tak często wkłada czerni, ponieważ Lanfear lubuje się w bieli.

Mesaana po raz tysięczny usiłowała dociec, dlaczego czuje się skrępowana w obecności tej kobiety. Mesaana знаła własne siły i słabości, zarówno jeśli szło o Jedyną Moc, jak i w innych kwestiach. Na wielu polach bez trudu potrafiłaby dorównać Semirhage, jeśli zaś chodzi o talenty, którymi operowała mniej sprawnie, to kompensowała je zdolnościami, których brakowało z kolei Semirhage. Nie o to jednak chodziło. Semirhage rozkoszowała się okrucieństwem, znajdowała najczystsza przyjemność w zadawaniu udręki, ale z pewnością i nie na tym polegał problem. Mesaana potrafiła być w razie konieczności okrutna i nie dbała o to, co Semirhage robiła drugim. Musiał zatem istnieć jeszcze powód, ale ona nie potrafiła się go doszukać.

Zirytowana położyła kolejną kostkę i w tym momencie cała wieża runęła z hałasem, rozsypując się po podłodze. Gniewnie cmoknąwszy językiem, odwróciła się od stołu, krzyżując ręce na piersiach.

— Gdzie jest Demandred? Minęło siedemnaście dni, odkąd odwiedził Shayol Ghul, a zwlekał do dzisiaj z poinformowaniem nas o wieściach, a na dodatek jeszcze każe teraz na siebie czekać.

Sama w tym czasie dwukrotnie odwiedziła Szczelinę Zagłady, wykonała ten szarpiący nerwy spacer pod kamiennymi kłami, które ocierały się o jej włosy. Po to tylko, by spotkać tam dziwnego, nazbyt wysokiego Myrddraala, który nie chciał niczego powiedzieć. Szyb był, z całą pewnością, ale Wielki Władca nie reagował. Za każdym razem nie zabawiła tam długo. Przedtem uważała, że niczego się nie boi, a w każdym razie na pewno nie spojrzenia Pólczłowieka, a jednak dwukrotne milczące, bezokie wejście Myrddraala zmusiło ją do odejścia. Pamiętała, jak szła coraz szybciej, tylko dzięki niezłomnej woli nie zaczynając biec. Gdyby przenoszenie w tym miejscu nie było niezawodnym sposobem spotkania własnej śmierci, zniszczyłaby natychmiast tego potwora, albo przynajmniej całą drogę powrotną Podróżowała.

— Gdzie on jest?

Semirhage podniosła oczy znad robótki — nigdy nie mrugające czarne oczy osadzone w gładkiej, opalonej twarzy — po czym odłożyła swoje hafty i wstała

z gracją.

— Przybędzie w swoim czasie — odparła spokojnie. Zawsze była spokojna, nigdy też nie brakowało jej wdzięku. — Jak nie chcesz czekać, to sobie idź.

Mesaana mimo woli uniosła się na palce, ale i tak nadal musiała zadzierać głowę. Semirhage przewyższała wzrostem większość mężczyzn, aczkolwiek miała tak doskonałe proporcje, że nie zauważało się tego, dopóki nie stanęła przy tobie i nie spojrzała na ciebie z góry.

— Iść sobie? A właśnie, że odejdę. A on może. . .

Rzecz jasna, ostrzeżenia nie było. Jak zawsze, gdy przenośli mężczyzn. W powietrzu pojawiła się jaskrawa pionowa linia, która zaczęła się rozszerzać i po chwili gotowa brama obróciła się w taki sposób, by Demandred mógł przez nią przejść, jednocześnie kłaniając się im obu. Tego dnia był odziany wyłącznie w ciemne szarości, z odrobiną jasnej koronki przy szyi. Łatwo się dostosowywał do mód i tkanin tego Wieku.

Jego orli profil był niemalże przystojny, aczkolwiek nie do tego stopnia, by serce kobiety zabiło szybciej na jego widok. Pod pewnymi względami takie „prawie” albo „nie całkiem” towarzyszyły Demandredowi przez całe życie. Miał pecha, bo urodził się jeden dzień później niż Lews Therin Telamon; Telamon został Smokiem, a tymczasem on, wtedy jeszcze jako Barid Bel Medar, przez całe lata prawie dorównywał osiągnięciom Lewsa Therina i nie całkiem jego sławie. Gdyby nie Lews Therin, byłby najbardziej znaną postacią tamtego Wieku. Czy stałby tu dzisiaj, gdyby to jemu pozwolono wtedy dowodzić, a nie temu człowiekowi, którego uważał za intelektualnie gorszego od siebie, temu durniowi ostrożnemu do przesady, któremu zbyt często dopisywało szczęście? Teraz były to próżne spekulacje, aczkolwiek Mesaanie zdarzało się już wcześniej nad tym zastanawiać. Nie, liczyło się to, że Demandred gardził Smokiem, a teraz, kiedy się Odrodził, przeniósł nań w całości swoją pogardę na jego obecne wcielenie.

— Dlaczego. . . ?

Demandred podniósł rękę

— Zaczekajmy, aż będą tu wszyscy, Mesaano, to nie będę się musiał powtarzać.

Poczuła pierwsze zawirowanie *saidara* na chwilę przed pojawieniem się świetlistej kreski, która po chwili stała się bramą. Wyszła z niej Graendal, przynajmniej raz bez towarzystwa półnagich służących; utworzony przez nią otwór zniknął równie szybko jak brama Demandreda. Była pulchną kobietą o czerwono-żółtych włosach utrefionych w skomplikowane sploty. Gdzieś udało jej się zdobyć prawdziwy *streith* do sukni z wysokim karczkiem. Przezroczysta jak mgła tkanina odzwierciedlała jej nastrój. Mesaana czasami zastanawiała się, czy Graendal rzeczywiście dostrzega cokolwiek poza okazją do zażycia zmysłowych przyjemności.

— Ciekawa byłam, czy was tu zastanę — rzekła beztroskim tonem nowo przy-

była. — Wszyscy troje byliście tacy tajemniczy. — Wybuchnęła wesołym, nieco głupawym śmiechem. Nie, sądzenie Graendal na podstawie pozorów byłoby straszliwą pomyłką. Większość tych, którzy wzięli ją kiedyś za idiotkę, którzy ją zlekceważyli, już od dawna nie żyła.

— Czy spodziewamy się Sammaela? — spytał Demandred.

Graendal machnęła lekceważąco upierścienioną dłonią.

— Och, on wam nie ufa. Moim zdaniem ten człowiek nie ufa już nawet same-mu sobie. — *Streith*, maskująca mgła, pociemniała. — On porządkuje swe armie w Illian, uskarżając się, że brak mu lanc szturmowych do ich pełnego uzbrojenia. A jak nie robi tego, to szuka jakiegoś *angreal* albo *sa'angreal* nadającego się do użytku. Czegoś dostatecznie silnego, ma się rozumieć.

Oczy ich wszystkich powędrowały ku Mesaanie, która zrobiła głęboki wdech. Każde z nich oddałoby... cóż, prawie wszystko... za jakiś godziwy *angreal* albo *sa'angreal*. Każde z nich było silniejsze od tych niedouczonek dziewczątek, które nazywały się dzisiaj Aes Sedai, ale takie niedouczone dziewczątka, połączone ze sobą w dostatecznej liczbie, mogły ich wszystkich zmiażdżyć. Tyle że oczywiście nie wiedziały już, jak to się robi, ani też nie dysponowały do tego odpowiednimi środkami. Do połączenia więcej niż trzynastu potrzebny był mężczyzna, a więcej niż jeden, by udało się to z dwudziestoma siedmioma. Po prawdzie, te dziewczątka — najstarsze sprawiały na niej wrażenie nastolatek (przeżyła ponad trzysta lat, nie licząc czasu, który odsiedziała za pieczęciami Szybu, a uważano ją za osobę, która właśnie wkroczyła w wiek średni) — nie stanowiły realnego zagrożenia, ale to bynajmniej nie umniejszało pragnienia nikogo z tu obecnych do posiadania *angreal* albo, jeszcze lepiej, bardziej potężnego *sa'angreal*. Dzięki tym pozostałościom z ich własnego czasu, mogliby przenosić takie ilości Mocy, które w innym przypadku spaliłyby ich na popiół. Każde z nich zaryzykowałoby wiele, by posiadać któryś z tych skarbów. Jednak nie wszystko. Nie bez prawdziwej potrzeby, której brak wszakże nie unicestwiał pragnienia ich zdobycia.

Mesaana automatycznie uderzyła w ton stosowny dla wykładu.

— Biała Wieża otoczyła swoje skarbcze strażami i zabezpieczeniami, zarówno od wewnątrz, jak i od zewnątrz, a poza tym liczą wszystko cztery razy dziennie. Wielka Przechowalnia w Kamieniu Łzy jest także otoczona zabezpieczeniami, czymś paskudnym, co byłoby mnie schwytało jak w potrzask, gdybym spróbowała przez to przejść albo to rozwiązać. Moim zdaniem tylko ten, kto utkał to zabezpieczenie, jest je w stanie znieść, jednak do tego czasu będzie to pułapka na każdą kobietę, która potrafi przenosić.

— Słyszałem, że to tylko lamus pełen zakurzonych, bezużytecznych śmieci — oświadczył z pogardą Demandred. — Tairianie gromadzili wszystko, co miało bodaj domniemane powiązanie z Wieżą.

Mesaana podejrzewała, że miał coś więcej do przekazania niż jakieś plotki. Podejrzewała ponadto, że wokół Wielkiej Przechowalni została utkana pułapka

na mężczyzn, bo inaczej Demandred miałby już swój *sa'angreal* i dawno temu użyłby go przeciwko Randowi al'Thorowi.

— Bez wątpienia w Cairhien i Rhuidean są jakieś skarby, ale nawet jeśli uda się nie wpakować prosto na al'Thora, wszędzie tam aż roi się od kobiet, które potrafią przenosić.

— To ignorantki. — Graendal pociągnęła nosem.

— Jeśli dziewczka kuchenna wbije ci nóż w plecy — rzekła chłodno Semirhage — to będziesz mniej martwa niż w wyniku pojedynku shaje w Qal?

Mesaana przytaknęła.

— A zatem pozostaje tylko kopać w jakichś starożytnych ruinach albo szukać wśród rzeczy porzuconych na strychach. Jeśli chcecie zdać się na przypadek, to proszę bardzo. Chyba, że ktoś zna miejsce, w którym znajduje się jakaś szkatuła stagnacyjna. — To ostatnie stwierdzenie zostało wypowiedziane nieco oschłym tonem. Szkatuły stagnacyjne rzekomo przetrwały Pęknięcie Świata, jednak w wyniku wstrząsów najprawdopodobniej tkwiły teraz wryte w dno oceanu albo pogrzebane pod górami. Oprócz paru nazw i legend, niewiele zostało z tego świata, który kiedyś był im bliski.

Uśmiech Graendal wprost ociekał słodyczą.

— Zawsze uważałam, że powinnaś zostać nauczycielką. Och, przepraszam, zapomniałam. . .

Twarz Mesaany pochmurniała. Na swoją drogę do Wielkiego Władcy wkroczyła, ileż to już lat temu, kiedy odmówiono jej miejsca w Collam Daan. Nie nadała się do prowadzenia badań naukowych, tak jej powiedziano, ale pozwolono nauczać. No i cóż, nauczała, aż wreszcie odkryła, jak udzielić lekcji im wszystkim!

— Wciąż czekam, by usłyszeć, co powiedział Wielki Władca — mruknęła Semirhage.

— Tak. Czy mamy zabić al'Thora? — Mesaana zorientowała się nagle, że wpija obie dłonie w fałdy spódnicy. Natychmiast rozgięła palce. Dziwne. Nigdy nikomu nie pozwalała zależeć sobie za skórę. — Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to za dwa, najwyżej trzy miesiące, on, całkiem bezbronny, znajdzie się w miejscu, do którego będę mogła bezpiecznie się dostać.

— Gdzie będziesz mogła bezpiecznie się dostać? — Graendal pytająco wygięła brwi. — Czy to tam, gdzie urządziłaś swe leże? Nieważne. To i tak najlepszy plan, jaki ostatnimi czasy słyszałam, mimo że tak ubogi w szczegóły.

Jednak Demandred nadal milczał, stał tylko i przyglądał się im. Nie, on nie przyglądał się Graendal. Przyglądał się Semirhage i jej. A kiedy wreszcie przemówił, to na poły do siebie, na poły do nich.

— Kiedy tak na was patrzę i powoli dociera do mnie, jakie obie zajmujecie stanowisko, to wprost nie mogę się nadziwić. Ile wie Wielki Władca? Od jak dawna? Ile z tego, co się ostatnio zdarzyło, stanowi przez cały czas rezultat jego

zamysłów? — Te pytania nie doczekały się odpowiedzi. W końcu stwierdził: — Chcecie wiedzieć, co mi powiedział Wielki Władca? Proszę bardzo. Ale to pozostanie między nami, w tajemnicy. Sammael nie dowie się niczego, ponieważ postanowił się odciąć. Ani też pozostali, nieważne, czy żyją czy umarli. Pierwsza część przesłania Wielkiego Władcy jest prosta. Ma zapanować Władca Chaosu. Tak dokładnie brzmiały jego słowa. — Kąciki jego ust zadrgały; jak nigdy dotąd bliskie uśmiechu, zauważyła Mesaana. A potem opowiedział im całą resztę.

Mesaana poczuła dreszcz i nie wiedziała, czy wziął się z podniecenia czy ze strachu. To się mogło udać; tym sposobem może wreszcie wezmą sprawy w swoje ręce. Ale do tego potrzebowali szczęścia, a ona nie lubiła hazardu. Demandred był hazardzistą. Miał rację co do jednej rzeczy: Lews Therin stwarzał swoje szczęście, tak jak mennica bije monetę. Jej zdaniem, Rand al'Thor jak dotąd robił to samo.

Chyba że... Chyba że Wielki Władca miał jeszcze jakiś inny plan poza tym, który im ujawnił. A to ją przerażało bardziej niż wszystkie inne możliwości.

\* \* \*

Wnętrze izby odbijało się w lustrze ujętym w złoczone ramy, ściennie mozaiki o niepokojących wzorach, połączane meble i wspaniałe kobierce, kolejne lustra i gobeliny. Pałacowa komnata bez okna — ani drzwi. Lustro ukazywało kobietę chodzącą tam i z powrotem w sukni barwy ciemnej krwi, z twarzą, na której malowała się kombinacja wściekłości i niedowierzania. Wciąż było to niedowierzanie. Lustro odbijało także jego twarz, a ta interesowała go w znacznie większym stopniu niż kobieta. Nie mógł się powstrzymać i po raz setny dotykał nosa, ust i policzków, by się upewnić, że są prawdziwe. Nie młoda, ale młodsza od tamtej twarzy, którą przywdział po pierwszym przebudzeniu z długiego snu, z jego wszystkimi, nie kończącymi się koszmarami. Twarz pospolita, a on nie cierpiał być pospolity. Zorientował się, że dźwięk, który nabrzmięwa w jego gardle, to śmiech, chichot, więc stłumił go. Nie popadł w obłąd. Wbrew wszystkim przesłankom nie był obłąkany.

Podczas tego drugiego, znacznie bardziej potwornego snu, zanim przebudził się z tą twarzą i w tym ciele, nadano mu imię. Osangar. Imię nadał mu głos, który był mu znajomy i którego nie ośmielił się nie usłuchać. Dawne imię, nadane z pogardą i przyjęte z dumą, na zawsze przepadło. Przemówił głos jego pana i tak się stało. Kobieta nazywała się Arangar; nie była już tą samą, co kiedyś, już nie.

Interesująca sprawa, te imiona, ciekawy wybór. *Osangar i arangar* to były słowa, którymi określano lewo- i praworęczne sztylety używane w trakcie pewnej odmiany pojedynków, popularnych w okresie długiego budowania, począwszy od



dnia powstania Szybu aż do faktycznego początku Wojny o Moc. Jego wspomnienia były niekompletne — tak wiele ich przepadło podczas długiego snu, a także tego krótszego — ale te pojedynki sobie przypominał. Cieszyły się krótką popularnością, ich uczestnicy bowiem przyplacali je życiem. Ostrza sztyletów pokrywano wolno działającą trucizną.

W lustrze coś mignęło i wtedy odwrócił się, niezbyt gwałtownie. Musiał zapamiętać, kim jest i dopilnować, by zapamiętali to inni. W komnacie nadal nie było drzwi, ale razem z nimi w jej wnętrzu znajdował się teraz jakiś Myrddraal. W tym miejscu nic nie dziwiło, ale ten Myrddraal był wyższy od wszystkich, jakich Osangar kiedykolwiek widział.

Nie spieszył się, każąc Półczłowiekowi czekać na znak, że go zauważono, ale nim zdążył otworzyć usta, Arangar wybuchnęła:

— Dlaczego mi to zrobiono? Dlaczego zostałam umieszczona w tym ciele? Dlaczego? — To ostatnie pytanie zostało niemalże wyskrzeczane.

Osangar mógłby pomyśleć, że bezkrwiste wargi Myrddraala zadrgały w uśmiechu, tyle że to było niemożliwe, zarówno tutaj, jak i w każdym innym miejscu. Nawet trolloki miały poczucie humoru, nikczemne i brutalne wprawdzie, jednak nie Myrddraale.

— Dostałaś wszystko najlepsze z tego, co można zdobyć w Ziemiach Granicznych. — Jego głos przypominał szelest podstępного węża sunącego przez uschłą trawę. — To wspaniałe ciało, silne i zdrowe. I lepsze niż jego alternatywa.

Oba stwierdzenia jak najbardziej słuszne. Ciało było znakomite, jak u tancerek *daien* z dawnych czasów, lśniące i bujne w kształtach, z harmonijnym, jego zdaniem, owalem twarzy, zielonymi oczyma i karnacją barwy kości słoniowej, oraz połyskliwymi, czarnymi włosami. Wszystko zresztą było lepsze niż ta druga opcja.

Może Arangar nie patrzyła na to w taki sposób. Jej urodziwa twarz pokryła się plamami wściekłości. Zamierzała najwyraźniej postąpić nierozważnie. Osangar wiedział o tym; zawsze był to problem. W porównaniu z nią Lanfear zdawała się ostrożna. Sięgnął po *saidina*. Przenoszenie w tym miejscu mogło być niebezpieczne, ale nie tak jak pozwolenie jej na zrobienie czegoś naprawdę głupiego. Sięgnął po *saidina* — i nic nie znalazł. Nie został otoczony tarczą; poczułby ją i wiedział, jak ją obejść albo rozbić, o ile nie byłaby zbyt silna. To było tak, jakby został odcięty. Szok sprawił, że zamarł jak wryty.

W odróżnieniu od Arangar. Może dokonała tego samego odkrycia, ale podziała na nią inaczej. Wrzeszcząc jak kotka, rzuciła się na Myrddraala z wystawionymi paznokciami.

Daremny atak, oczywiście. Myrddraal nawet nie zmienił pozycji. Schwycił ją zwyczajnie za gardło, po czym podniósł wyprostowaną ręką wysoko, aż jej stopy oderwały się od posadzki. Wrzask przemienił się w charkot; wczepiła się obiema dłońmi w nadgarstek Półczłowieka, który nie zwolniwszy uścisku, przeniósł

bezokie spojrzenie na Osangara.

— Nie zostałeś odcięty, ale nie będziesz prznosił, dopóki nie usłyszysz, że ci wolno. I nigdy mnie nie zaatakujesz. Jestem Shaidar Haran.

Osangar próbował przełknąć ślinę, ale zaschło mu w ustach. Ten stwór z pewnością nie miał nic wspólnego z przemianami, jakim go poddano. Myrddraal dysponował pewnymi umiejętnościami, ale nie takimi. A jednak ten stwór wiedział o takich sprawach. Nigdy nie lubił Półudzi. Pomagał przy tworzeniu trolloków, przy mieszaniu ludzkiej i zwierzęcej rasy — był z tego dumny, z zaangażowania własnych umiejętności, z trudności jakie nastęrczało zadanie — ale ten przypadkowy produkt uboczny sprawiał, że nawet w najlepszych momentach swego życia czuł się nieswojo.

Shaidar Haran przeniósł ponownie uwagę na kobietę szarpiącą się w jego uścisku. Twarz zaczynała jej purpurowieć, a stopy podrygiwały bezsilnie.

— Przyzwyczaisz się. Ciało ulega duszy, ale z kolei ciała ulega umysł. Już się zaczęłaś przyzwyczajać. Niebawem będzie tak, jakbyś nigdy nie była inna. Ale możesz także odmówić. Inna wówczas zajmie twoje miejsce, a ty zostaniesz oddana. . . moim braciom, taka zablokowana. — Cienkie usta znowu zadrgały. — Im bardzo brakuje ulubionych rozrywek na Ziemiach Granicznych.

— Ona nie może mówić — powiedział Osangar. — Ty ją zabijasz! Czyżbyś nie wiedział, kim jesteśmy? Postaw ją, Pólczłowieku! Okaż mi posłuszeństwo! — Ten stwór miał okazywać posłuszeństwo Wybranym.

Ale Myrddraal przez długą chwilę przypatrywał się obojętnie ciemniejącej twarzy Arangar, zanim pozwolił jej stopom dotknąć dywanu i poluźnił uścisk.

— Ja jestem posłuszny tylko Wielkiemu Władcy. Nikomu innemu.

Arangar wisiała dalej, słaniając się, kaszląc i łapczywie chwytając powietrze. Gdyby odjął rękę, byłaby upadła.

— Czy poddasz się woli Wielkiego Władcy? — Nie było to żądanie, tylko pytanie zadane zdawkowo charakterystycznym, zgrzytliwym głosem.

— Poddam — wykrztusiła ochryple i Shaidar Haran puścił ją.

Zachwiała się, masując gardło, a Osangar podszedł, żeby jej pomóc, ale zagroziła mu ponurym spojrzeniem i pięścią, zanim ją dotknął. Cofnął się z uniesionymi rękoma. Tego konfliktu akurat nie potrzebował. Ale to ciało zaprawdę było wspaniałe, żart zresztą również. Zawsze się chępił własnym poczuciem humoru, jednak ten dowcip był zaiste przedni.

— Nie jesteście wdzięczni? — spytał Myrddraal. — Byliście martwi, a żyjecie. Pomyślcie o Rahvinie, którego dusza jest nie do odratowania, ciśnięta poza czas. Macie szansę znowu służyć Wielkiemu Władcy i oczyścić się ze swoich błędów.

Osangar pospiesznie zapewnił, że jest wdzięczny, że nie pragnie niczego więcej, jak tylko służyć i uzyskać rozgrzeszenie. Rahvin nie żyje? Jak to się stało? Nieważne: jeden Przekłety mniej oznaczał więcej szans na zdobycie prawdziwej

władzy, kiedy Wielki Władca odzyska wolność. Czuł, jak go drażni fakt, że płaszczy się przed tworem, można by rzec, w równym stopniu jego, jak i trolloków, jednak zbyt wyraźnie pamiętał śmierć. Będzie się płaszczył przed robakiem, byle tylko uniknąć jej po raz kolejny. Arangar, mimo gniewnych oczu, była nie mniej szybka, zauważył. Zapewne też pamiętała.

— W takim razie pora, byście odeszli w świat, raz jeszcze w służbie Wielkiemu Władcy — oznajmił Shaidar Haran. — Nikt prócz mnie i Wielkiego Władcy nie wie, że żyjecie. Jeśli wam się powiedzie, będziecie żyli wiecznie i zostanieie wyniesieni ponad wszystkich. Jeśli zaś sprawicie zawód... Ale wy nie sprawicie zawodu, prawda?

I Półczłowiek naprawdę się wtedy uśmiechnął. Jakby się patrzyło na uśmiech śmierci.

# LEW NA WZGÓRZU

Koło Czasu obraca się, a Wieki nadchodzą i mijają, pozostawiając wspomnienia, które stają się legendą. Legenda staje się mitem, ale nawet mit jest już dawno zapomniany, kiedy znowu nadchodzi Wiek, który go zrodził. W jednym z Wieków, zwanym przez niektórych Trzecim Wiekem, Wiekem, który dopiero nadejdzie, Wiekem dawno już minionym, w Górach Mgły podniósł się wiatr. Wiatr ten nie był prawdziwym początkiem. Nie istnieją początki ani zakończenia w obrotach Koła Czasu. Niemniej, był to jakiś początek.

Dął zachodni wiatr nad opustoszałymi wioskami i farmami, z których wiele przemieniło się w zwałowiska zwęglonego drewna. Wojna przeczesła Cairhien, wojna i wewnętrzne rozgrywki, inwazje i chaos, i teraz, kiedy to się skończyło, o ile rzeczywiście się skończyło, do domów wracali jedynie nieliczni. Wiatr nie niósł wilgoci, a słońce jakby starało się wypalić do ostatka to wszystko, co jeszcze pozostało na tych ziemiach. W miejscu, gdzie miasteczko Maerone stało naprzeciw większego Aringill, na przeciwnym brzegu Erinin, wiatr wpadał do Andoru. Oba miasta piekły się na tym skwarze i nawet jeśli więcej modlitw o deszcz wznoszono w Aringill, w którym uchodźcy z Cairhien tłoczyli się niczym ryby w beczce, to również żołnierze upakowani w Maerone zanosili do Stwórcy kilka słów, czasami po pijanemu, czasami z głębi duszy. Zima już dawno temu winna była rozesłać swe wici, dawno temu winny spaść pierwsze śniegi, toteż ci, którzy się pocili, obawiali się powodu, z jakiego tak się nie działo, aczkolwiek mało kto się ważył wypowiadać swe obawy na głos.

Wiejący w kierunku zachodnim wiatr podrywał ze sobą skurczone od suszy liście i marszczył powierzchnię kurczących się strumieni, ograniczonych pasami zapieczzonego błota. W Andorze nie było zgliszczy po pożarach, ale mieszkańcy wioski popatrywali nerwowo na obrzmiałe słońce, a farmerzy starali się nie przyglądać polom, które nie wydały jesiennych plonów. Wiejąc wciąż na zachód, wiatr wreszcie przelatywał nad Caemlyn, targając dwoma sztandarami zatkniętymi nad królewskim pałacem, w samym sercu pobudowanego przez ogirów Wewnętrznego Miasta. Jeden sztandar łopotał krwistą czerwienią, na której widniał krąg przecięty falistą linią, w połowie wypełniony bielą, a w połowie czernią równie głęboką jak jasna była biel. Drugi sztandar przecinał niebo śnieżną plamą, a umieszczony

na nim stwór, dziwaczny, czteronożny wąż ze złotą grzywą, słonecznymi oczyma i purpurowo-złotymi łuskami, zdawał się dosiadać tego wiatru. Można było się zastanawiać, który z tych dwu sztandarów wywołuje większy lęk. Bywało, że w tej piersi, w której krył się lęk, rodziła się też nadzieja. Nadzieja na zbawienie i lęk przed zniszczeniem, jedno i drugie z tego samego źródła.

Wielu powiadało, że Caemlyn to drugie z kolei najpiękniejsze miasto świata, a nawet, nie tylko Andoranie, często wymieniali je na pierwszym miejscu, stawiając wyżej od samego Tar Valon. Wysokie okrągłe wieże maszerowały wzdłuż wielkiego zewnętrznego muru z szarego kamienia przetykanego srebrnymi i białymi żyłkami, a w jego obrębie wznosiły się jeszcze wyższe wieże i kopuły połyskujące w tym niemiłosiernym słońcu bielą i złotem. Samo miasto pięło się po wzgórzach ku swemu centrum, starożytnemu Wewnętrznemu Miastu, opasanemu kolejnym lśniącym białym murem, za którym stały jego własne wieże i kopuły, purpurowe, białe i złote, połyskujące mozaikami, górujące nad Nowym Miastem, które liczyło sobie ponad dwa tysiące lat.

Jak Wewnętrzne Miasto stanowiło serce Caemlyn i to nie tylko jako jego centrum, tak sercem Wewnętrznego Miasta był pałac królewski, niby prosto z opowieści barda, o śnieżnobiałych iglicach, złotych kopułach i kamiennych prześwitach podobnych do koronek. Serce, które bilo w cieniu tych dwu sztandarów.

Obnażony do pasa, balansując swobodnie na palcach, Rand w tym momencie nie pamiętał, że znajduje się na wyłożonym białymi kafelkami dziedzińcu pałacu, podobnie zresztą, jak nie pamiętał o tłumie gapiów zgromadzonych pod kolumnadą. Pot przemoczył mu włosy, spływając z ich końców strumyczkami w dół piersi. W połowie zaleczona owalna blizna w boku bolała nieznośnie, ale i tego nie chciał przyjąć do wiadomości. Ramiona miał oplecione wizerunkami takich samych stworzeń jak to, które powiewało nad jego głową na białym sztandarze, metalicznie połyskując czerwienią i złotem. Smoki — tak je nazywali Aielowie, a inni przejmowali tę nazwę. Czuł niewyraźnie piętna czapli odcisnięte we wnętrzu obu dłoni, ale tylko dlatego, że dotykał nimi długiej rękojeści drewnianego miecza ćwiczebnego.

Stał się jednym z mieczem, bez udziału myśli przechodził od jednej formy do drugiej, cicho szurając podszwami po jasnych płytkach. Lew na Wzgórzu stał się Łukiem Księżyca, który z kolei przeobraził się w Wieżę Poranka. Bez udziału myśli. Otaczało go pięciu spoconych, również obnażonych do pasa mężczyzn, przytomnie zmieniających pozycję, przekładających miecze ćwiczebne z ręki do ręki. Ich obraz był wszystkim, co do niego docierało. Ci mężczyźni, o twardych obliczach i absolutnie pewnych ruchach, byli najlepszymi, jakich dotąd znalazł. Najlepszymi, odkąd zabrakło Lana. Bez udziału myśli, tak jak uczył go Lan. Stał się jednym z mieczem, jednym z pięcioma mężczyznami.

Gdy zniemacka wybiegł do przodu, osaczający go przeciwnicy zareagowali błyskawicznie, starając się zatrzymać go w samym środku ich kręgu. Dokładnie

w momencie, gdy równowaga sił zaczęła się chwiać, co najmniej dwóch bowiem wykonało ruch, który groził jej załamaniem, Rand obrócił się nagle w pół kroku i pobiegł w drugą stronę. Usiłowali zareagować, ale było za późno. Rozległ się głośny trzask, gdy odparował uderzenie miecza ćwiczebnego swoim ostrzem z powiązanych różg, jednocześnie prawą stopą kopiąc szpakowatego mężczyznę w brzuch. Kopnięty stęknął głucho i zgiął się w pół. Zablokowawszy swym ostrzem miecz przeciwnika, Rand zmusił go do zwrócenia się przodem i kiedy razem wykonywali obrót, raz jeszcze kopnął zgiętego wpół mężczyznę. Szpakowaty padł, z trudem łapiąc powietrze. Przeciwnik Randa próbował się cofnąć, by móc użyć broni, ale tylko uwolnił ostrze Randa, które dzięki temu mogło zawiązać wokół jego miecza — Gałązki Winorośli — a potem z całej siły pchnęło go w pierś, z impetem, który zwałił go z nóg.

Minęło kilka chwil, krótkich jak mgnienie oka, i już osaczali go pozostali trzej. Pierwszy, szybki, przysadzisty i niski, dowiódł, jak mylące wrażenie sprawia jego postura, z głośnym okrzykiem przeskakując nad padającym właśnie swoim poprzednikiem. Miecz ćwiczebny Randa trafił go w goleń, przez co omal nie runął jak długi, a potem jeszcze uderzył go przez plecy, tym razem na dobre powalając na posadzkę.

W tym momencie zostało już tylko dwóch do pokonania, ale ci byli najlepsi, jeden chudy jak tyka, jego miecz poruszał się niczym język węża, oraz zwalisty jegomość z ogoloną głową, który nie popełniał żadnych błędów. Natychmiast się rozdzielili, by zająć Randa z dwu stron, ale on nie czekał. Prędko zaatakował chudego; miał tylko kilka chwil, zanim drugi zdąży obejść leżących.

Chudy był szybki i wprawiony w walce; ci ludzie zjawili się, kiedy Rand zaoferował złoto dla najlepszego. Wysoki, jak na Andoranina, aczkolwiek Rand przewyższał go o dłoń, tyle że wzrost miał niewielkie znaczenie w walce na miecze. Czasami wystarczała sama siła. Rand natarł na niego z całą zajadłością, na jaką go było stać; pociągła twarz mężczyzny skurczyła się, kiedy musiał ustąpić pola. Dzik Zbiega z Góry roztrzaskał się o Głaskanie Jedwabiu, przerwał Błyskawicę Trzech Rzemieni i wiązka różg z pełnym rozmachem uderzyła mężczyznę w skroń. Padł ze zduszonym jękiem.

Rand przypadł natychmiast do ziemi i przeturlał się w prawo, po czym podniósł na klęczki; ostrze wykonujące Rzekę Która Podmywa Brzeg zamieniło się w smugę. Mężczyzna z ogoloną głową nie był szybki, ale jakimś sposobem przewidział jego zamiar. W chwili gdy ostrze Randa otarło się o jego brzuch, ostrze mężczyzny roztrzaskało się na głowie Randa.

Rand chwiał się przez chwilę, widząc jedynie rozmazane czarne plamy. Potrząsnawszy głową, by oczyścić wizję, wsparł się na mieczu i podźwignął na nogi. Mężczyzna, dysząc ciężko, przypatrywał mu się czujnie.

— Zapłać mu — powiedział Rand i wyraz czujności zniknął z twarzy mężczyzny. Zupełnie niepotrzebnie na niej zagościł, gdyż Rand obiecał dodatkową

zapłatę dla każdego, komu się uda go trafić, a potrójnej dla tego, kto go pokona w walce jeden na jeden. Tym sposobem zyskiwał pewność, że żaden nie będzie się hamował, by schlebić próżności Smoka Odrodzonego. Nigdy ich nie pytał o nazwiska, a jeśli mieli mu to za złe, to tym lepiej, bo wtedy byli bardziej bezwzględni. Chciał, by jego przeciwnicy wystawiali go na próbę, a nie stawiali się przyjaciółmi. Miał już swoich przyjaciół, a ci mogli któregoś dnia przekląć godzinę, w której go poznali, o ile już tego nie zrobili. Uczestnicy ostatniej walki zaczynali powoli zdradzać oznaki życia; „zabity” mężczyzna miał aż do jej końca leżeć tam, gdzie upadł, stanowiąc przeszkodę, jaką mógłby stanowić prawdziwy trup, szpakowaty musiał przy wstawaniu skorzystać z pomocy krępego, który sam miał kłopoty z wyprostowaniem się. Chudy ćwiczył ruchy głowy, mocno się przy tym krzywiąc. Tego dnia nie miało być już więcej ćwiczeń. — Zapłać im wszystkim.

Ze strony tłumu obserwatorów, lordów i lady w wielobarwnych jedwabiach suto zdobionych skomplikowanymi haftami i plecionkami, zgromadzonego pod wąskimi kaneluowanymi kolumnami, napłynęła fala oklasków i pochwalnych okrzyków. Rand skrzywił się i cisnął swój miecz na bok. Całe to towarzystwo płaszczyło się przed lordem Gaebrilem, kiedy królowa Morgase — ich królowa — była kimś niewiele więcej jak zwykłym więźniem w tym pałacu. W swoim własnym pałacu. Ale Rand ich potrzebował. Na razie.

„Chwyć jeźnię, to się pokłujesz” — pomyślał. Przynajmniej miał nadzieję, że to jego własna myśl.

Sulin, żyłasta, siwowłosa dowódczyni eskorty Randa, złożonej z Panien Włóczni, przywódczyni Panien po tej stronie Grzbietu Świata, wyciągnęła złotą markę z mieszka przy pasie, po czym cisnęła ją z grymasem, który uwydatnił szpetną bliznę z boku twarzy. Pannom nie podobało się, kiedy Rand brał do ręki miecz, nawet jeśli był to tylko miecz ćwiczebny. Nie lubiły żadnych mieczy. Żaden Aiel ich nie lubił.

Mężczyzna z ogoloną głową złapał monetę w locie, a w odpowiedzi na niebieskookie spojrzenie Sulin starannie się uklonił. Wszyscy bardzo się pilnowali w obecności Panien odzianych w swe kaftany, spodnie i miękkie, sznurowane buty, utrzymane w różnych odcieniach szarości i brązów, dzięki którym wtapiały się w ponury krajobraz Ugoru. Niektóre zaczęły też dodawać odcienie zieleni, by dopasować przyodziewek do ziem zwanych przez nie mokradłami, mimo iż od dłuższego czasu panowała na nich drakońska susza. W porównaniu z Pustkowiem Aiel była to nadal mokra kraina; przed opuszczeniem Pustkowiecia niewielu Aielów widziało wodę, której nie mogliby pokonać jednym krokiem, a zażarte waśnie krwi toczyły się z powodu byle kałuż nie większych niż dwa albo trzy kroki.

Wzorem wszystkich wojowników Aiel, podobnie jak dwadzieścia innych jasnoookich Panien otaczających dziedziniec, Sulin strzygła włosy krótko, pozostawiając jedynie niedługą kitę nad karkiem. Nosiła trzy krótkie włócznie oraz okrą-

głą tarczę z byczej skóry, przypasaną do lewej ręki, a za pasem nóż o ciężkim ostrzu. I tak jak wszyscy wojownicy Aielów, łącznie z rówieśnikami szesnastoletniej Jalani, o ciągle jeszcze dziecięco pyzatyh policzkach, Sulin znakomicie potrafiła posłużyć się tą bronią i posłużyłaby się nią w odpowiedzi na najłżejszą prowokację; tak przynajmniej uważali ludzie po tej stronie Muru Smoka. Pozostałe Panny obserwowały każdego z obecnych, każdy fragment ażurowych okien i balkonów z jasnego kamienia, każdy cień. Niektóre miały krótkie zakrzywione łuki z rogu ze strzałami nasadzonymi na cięciwy, a znacznie więcej drzewc jeżyło się w pogotowiu z kołczanów noszonych u pasa. *Far Dareis Mai*, Panny Włóczni, świadczyły o honorze ich *car'a'carna* z prorocstw, niekiedy zresztą na swój własny, osobliwy sposób, a każda bez wyjątku oddałaby swe życie, byle tylko uratować życie Randa. Pod wpływem tej myśli żołądek mu się gotował we własnych kwasach.

Uśmiechnięta szyderczo Sulin dalej rzucała złote monety — Rand z przyjemnością wydawał monety Tar Valon na regulację tego typu zobowiązań — jeszcze jedną w stronę mężczyzny z wygoloną głową, po jednej każdemu z pozostałych. Niewiele więcej sympatii — niż względem mieczy — Aielowie żywili wobec większości mieszkańców mokradeł, czyli takich, którzy nie urodzili się i nie wychowali wśród Aielów. Większość zaliczałaby do nich również Randa, mimo krwi Aielów płynącej w jego żyłach, gdyby nie miał piętn Smoków na rękach. Jeden Smok, zdobyty w pojedynku woli, pod groźbą utraty życia, znaczył wodza klanu; dwa *Car'a'carna*, wodza wodzów, Tego Który Przychodzi Ze Świtem. A Panny miały swoje powody, by go akceptować.

Pozbierawszy miecze ćwiczebne, koszule i kaftany, mężczyźni skłonili się i odeszli.

— Jutro! — zawołał za nimi Rand. — Wczesnym rankiem!

Głębsze ukłony potwierdziły przyjęcie rozkazu.

Jeszcze zanim mężczyźni z obnażonymi torsami zdążyli zniknąć z dziedzińca, spod kolumnady wylali się andorańscy arystokraci, tłocząc się wokół Randa tęczą jedwabów, ocierając spocone twarze chusteczkami obrzeżonymi koronką. Rand poczuł, jak od ich widoku wzbiera w nim żółć.

„Wykorzystaj to, co musisz wykorzystać, bo inaczej Cień okryje ten kraj”.

Tak mu powiedziała Moiraine. Niemalże wołał uczciwie rywalizujących Cairhienian i Tairenian niż tę bandę. Omal się nie roześmiał, że potrafił nazwać to, co robili tamci, uczciwym.

— Byłeś wspaniały — powiedziała bez tchu Arymilla, lekko kładąc dłoń na jego ramieniu. — Taki szybki, taki silny. — Jej wielkie piwne oczy zdawały się jeszcze bardziej rozanielone niż zazwyczaj. Była najwyraźniej dość głupia, by uważać, że on jej uwierzy: w zielonej szacie, ozdobionej haftowanymi srebrnymi pnączami, wycięty był zgodnie z andorańską modą głęboki dekolt, z którego wycierał fragment zagłębienia między piersiami. Piękna, ale dostatecznie stara, by



móc być jego matką. Ani jedna wśród tych kobiet nie miała mniej lat od niego, a kilka było nawet starszych, i wszystkie rywalizowały ze sobą o to, która polize buty Randa.

— To było imponujące, lordzie Smoku. — Elenia omal nie zdzieliła Arymili kuksańcem. Uśmiech na jej podstępnej, budzącej dreszcz lęku twarzy okolonej puklami włosów barwy miodu wyglądał dziwacznie; cieszyła się reputacją megieiry. W obecności Randa, naturalnie, była słodka niczym miód. — W całej historii Andoru nie ma drugiego, który by tak władał mieczem jak ty. Nawet Souran Maravaile, najślynniejszy generał a także mąż Ishary, pierwszej, która zasiadła na Tronie Lwa, nawet on poległ w konfrontacji na miecze z zaledwie czterema przeciwnikami. Ze skrytobójcami, w dwudziestym trzecim roku Wojny Stu Lat. Mimo iż ubił wszystkich czterech. — Elenia rzadko kiedy rezygnowała z możliwości wykazania się wiedzą w dziedzinie historii Andoru, zwłaszcza w odniesieniu do tych epizodów, o których niewiele było wiadomo, jak na przykład wojna, po której nastąpił rozpad imperium Hawkwinga. Tego dnia przynajmniej nie dodała nic na temat swych roszczeń do Tronu Lwa.

— Tylko odrobina pecha na samym końcu — wtrącił jowialnym tonem mąż Elenii, Jarid. Był przysadzistym mężczyzną, dość ciemnym jak na Andoranina. Haftowane zakrętasy i złote dziki, godło Domu Sarand, pokrywały mankiety i długi kołnierz jego czerwonego kaftana, a Białe Lwy Andoru długie rękawy i wysoki karczek dopasowanej, czerwonej sukni Elenii. Rand się zastanawiał, czy ta kobieta była aż tak naiwna, sądząc, że on nie rozpozna w lwach tego, co symbolizowały. Jarid był Głową swego Domu, ale to od niej brał się ten pęd do władzy oraz wciąż niezaspokojone ambicje.

— Cudowna, znakomita robota, Lordzie Smoku — wtrąciła się Karind, ubrana w suknię wyróżniającą się surowością kroju podobnie jak jej twarz, a za to suto przyozdobioną na rękawach i przy rąbku haftowanym srebrem warkoczem, uszytą z tkaniny niemalże tego samego koloru co siwe pasma odznaczające się w jej ciemnych włosach. — Na całym świecie jesteś zapewne najlepszym z władających mieczem. — Srogie spojrzenie tej nad wyraz zasadniczej kobiety, kontrastujące ze słowami, przywodziło na myśl uderzenie młota. Byłaby bardzo niebezpieczna, gdyby siła jej rozumu dorównywała hardości usposobienia.

Naean była szczupłą kobietą o rozmytej urodzie, obdarzoną wielkimi niebieskimi oczyma i puklami lśniących, czarnych włosów, ale szydery grymas, którym pożegnała pięciu odchodzących z pola walki mężczyzn, osadził się chyba na jej twarzy na stałe.

— Podejrzewam, że z góry to ukartowali, tak aby jednemu udało się ciebie trafić. Zapewne podzielią się tą dodatkową zapłatą. — W odróżnieniu od Elenii, odziana na niebiesko kobieta z srebrnymi Potrójnymi Kluczami Domu Arawn na rękawach, nigdy nie występowała publicznie ze swoimi roszczeniami do tronu, a w każdym razie nie tam, gdzie mógł ją usłyszeć Rand. Udawała, że jest zadowo-

lona z bycia Głową jednego z najstarszych Domów, ale było to tak, jakby lwica symulowała, że jest zadowoloną domową kotką.

— Czy mam zawsze zakładać, że moi wrogowie nie współpracują ze sobą? — spytał cichym głosem. Naean ze zdziwienia poruszyła ustami; nie była aż taka głupia, ale zdawała się uważać, że przeciwnicy w konfrontacji z nią powinni natychmiast padać pokornie przed nią, a kiedy tego nie robili, poczytywała to za osobisty afront.

Jedna z *Far Dareis Mai*, Enaila, zignorowała arystokratów i wręczyła Randowi gruby zwinięty ręcznik, by mógł wytrzeć pot z twarzy. Ognście ruda Panna była niska jak na Aiela i denerwowało ją, że niektóre z tych mieszkanek mokradel są od niej wyższe. Większość Panien mogła patrzeć prosto w oczy właściwie każdemu z mężczyzn w tej komnacie. Andoranie też próbowali za wszelką cenę ją zignorować, ale spojrzenia ostentacyjnie skierowane gdzie indziej czyniły ich zamiar widocznym i przez to śmiesznym. Enaila przeszła obok, jakby byli niewidzialni.

Milczenie potrwało tylko kilka chwil.

— Lord Smok mądrze prawi — orzekł lord Lir, nieznacznie się kłaniając i lekko unosząc brwi. Odziany w żółty kaftan ozdobiony złotym warkoczem Lir, Głowa Domu Anshar, był człowiekiem szczupłym i silnym, przywodzącym na myśl ostrze, ale zbyt układnym i obłudnym. Nic nigdy nie mąciło tego oblicza, nic prócz przypadkowych uniesień brwi, z których jakby nie zdawał sobie sprawy, ale nie tylko on jeden obdarzał Randa dziwnymi spojrzeniami. Wszyscy oni spoglądali na znajdującego się wśród nich Smoka Odrodzonego z podejrzliwością i niedowierzaniem.

— Wrogowie samotnie walczącego człowieka, prędzej czy później, zaczynają ze sobą współpracować. Trzeba ich zidentyfikować, zanim znajdą ku temu sposobność.

Jeszcze więcej pochwał dla mądrości Randa polało się z ust lorda Henrena, zwałistego, łysawego, o twardym spojrzeniu, a także lady Carlys, z siwymi puklami, szczerą twarzą, lecz podstępny umysłem, zażywnej, chichotliwej Daerilli i nerwowego Elegara o cienkich ustach, oraz blisko połowy tuzina innych, którzy wcześniej trzymali usta zamknięte — gdyż przemawiali ci bardziej potężni.

Pomniejsi lordowie i lady umilkli, kiedy Elenia ponownie otworzyła usta.

— Zawsze trudno rozpoznać wrogów, zanim oni sami nie dadzą o sobie znać. Często jest wtedy za późno. — Przytaknął jej mąż, robiąc przy tym mądrą minę.

— Ja zawsze powtarzam — oznajmił Naean — że ten, kto nie jest ze mną, jest przeciwko mnie. Stwierdziłem, że to dobra zasada. Ci, którzy trzymają się z tyłu, czekają, być może, aż staniesz do nich plecami, by móc zatopić w nich sztylet.

Nie był to pierwszy raz, kiedy usiłowali umocnić swoje pozycje, rzucając podejrzania na innych lordów albo lady, którzy ich nie wspierali, Rand natomiast żałował, że nie może im zwyczajnie kazać zamilknąć. Ich próby uprawiania Gry

Domów były żalosne w porównaniu z przebiegłymi manewrami Cairhienian czy nawet Tairenian, a poza tym przyprawiali go o irytację, na razie jednak nie chciał prowokować w ich głowach określonych myśli. Pomoc, o dziwo, nadeszła ze strony siwowłosego lorda Nasina, Głowy Domu Caeren.

— Następca Jearoma — stwierdził mężczyzna z przymilnym, niezręcznym uśmiechem na wymizerowanej, wąskiej twarzy. Ściągnął na siebie rozdrażnione spojrzenia, nawet pomniejszych szlachciców, którzy nie połapali się w porę, co właściwie robią. Nasin był nieco lekceważony od czasu wydarzeń, jakie towarzyszyły przybyciu Randa do Caemlyn. Na klapach błękitnego kaftana Nasina, zamiast Gwiazdy i Miecza jego Domu, widniały idiotyczne kwiatki, księżycowe łyzy i węzły kochanków, a on sam nosił czasem kwiat w rzednących włosach niczym młody wieśniak udający się na zaloty. Niemniej jednak Dom Caeren był zbyt potężny, by nawet Jarid albo Naeen mogli go odsunąć na dalszy plan. Głowa Nasina zakołysała się na wąłym karku. — Spektakularnie władasz mieczem, Lordzie Smoku. Jesteś drugim Jearomem.

— A to dlaczego? — To pytanie padło z drugiej strony dziedzińca, z miejsca warząc wyraz twarzy Andoran.

Davram Bashere z pewnością nie mógł uchodzić za Andoranina, ze swymi skośnymi, czarnymi oczyma, haczykowatym nosem i sumiastymi, przetykanymi siwizną wąsami, zawiniętymi wokół szerokich ust niczym rogi. Szczupły, nieco wyższy od Enaili, ubrany w szary krótki kaftan, haftowany srebrem przy mankietach i klapach, workowate spodnie z nogawkami wetkniętymi w wywinięte przy kolanach cholewy wysokich butów. — Andoranie oglądali całe widowisko na stojąco, a tymczasem generałowi-marszałkowi Saldaei przyniesiono na dziedziniec pozłacane krzesło; siedział na nim teraz, rozparty niedbale, z jedną nogą przerzuconą przez oparcie, z mieczem o jelcu w kształcie pierścienia, ustawionym tak, by rękojeść znajdowała się cały czas w zasięgu ręki. Pot lśnił na jego ciemnej twarzy, ale zwracał na to tyleż samo uwagi co na Andoran.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytał go Rand.

— Cała ta nauka miecza — zachnął się otwarcie Bashere. — I to z pięcioma? Nikt nie ćwiczy z pięcioma. To głupota. Nawet jeśli będziesz używał tylko mieczy ćwiczebnych, w takim zamieszaniu mózg może ci wypłynąć na ziemię, a to całkiem nie ma sensu.

Randowi stężały szczęki.

— Jearom pokonał kiedyś dziesięciu.

Bashere roześmiał się.

— Uważasz, że pożyjesz dostatecznie długo, by dorównać największemu z władających mieczem w całej historii? — Od strony Andoran podniósł się gniewny pomruk... udawany gniew, Rand był pewien... ale Bashere go zignorował. — Ostatecznie jesteś tylko tym, kim jesteś. — Znienacka poruszył się, szybko niczym prostująca się sprężyna; w stronę serca Randa poleciał z błyskiem

sztylet dobyty podczas tego ruchu.

Rand nie poruszył ani jednym mięśniem. Objął natomiast *saidina*, męską polowę Prawdziwego Źródła; wymagało to nie więcej wysiłku umysłowego co oddychanie. *Saidin* wlał się w niego powodzią, niosąc skazę Czarnego, lawinę plugawego lodu, dziki potok cuchnącego, stopionego metalu, który próbował go zmiażdżyć, przepalić na wskroś, a on dosiadł go niczym człowiek balansujący na szczycie zapadającej się góry. Przeniósł prosty splot Powietrza, który owinał się wokół sztyletu i zatrzymał go w odległości wyciągniętej ręki od swej piersi. Otoczyła go skorupa, unosił się w jej środku, w Pustce, oddalony od wszelkiej myśli i emocji.

— Giń! — krzyknął Jarid i już biegł w stronę Bashere, dobywając po drodze miecza. Lir, Henren, Elegar i wszyscy andorańscy lordowie, nawet Jasin, też wyswobodzili miecze, aczkolwiek ten ostatni przybrał taką minę, jakby zaraz miał upuścić swoje ostrze. Panny owiwały głowy *shoufami*; czarne welony zakryły ich twarze aż po niebieskie bądź zielone oczy w tym samym momencie, w którym uniosły włócznie o długich grotach. Aielowie zawsze zasłaniali twarze przed rozpoczęciem zabijania.

— Stójcie! — warknął Rand i wszyscy zastygli w pół kroku, zdezorientowani Andoranie mrugali oczyma, Panny stały przyczajone na czubkach palców. Bashere nie zrobił już nic więcej, tylko opadł z powrotem na oparcie krzesła, z nogą nadal przerzuconą przez poręcz.

Porwawszy sztylet z rogową rękojeścią z powietrza, Rand wypuścił Źródło. Z wielkim trudem, mimo iż żołądek wykręcała mu skaza, skaza, która ostatecznie niszczyła przenoszących mężczyzn. Z *saidinem* w swoim wnętrzu widział i słyszał wyraźniej. Był to paradoks, którego nie rozumiał, ale kiedy unosił się w tej pozornie bezkresnej Pustce, w jakiś sposób odizolowany od cielesnych wrażeń i emocji, każdy zmysł miał spotęgowany; bez niego czuł się jedynie w połowie żywy. Drobinę skazy zdawały się osiadać w jego wnętrzu na stałe, w przeciwieństwie do przynoszącej ulgę potęgi *saidina*. Śmiertelnej potęgi, która zabiłaby go, gdyby się zawahał się bodaj sekundę lub na cal cofnął w tej walce.

Obróciwszy sztylet w dłoniach, podszedł wolnym krokiem do Bashere.

— Gdybym był o jedno mgnienie oka wolniejszy — powiedział cicho — to już bym nie żył. Mógłbym cię teraz zabić tu, gdzie siedzisz, i żadne prawo w Andorze czy gdzie indziej nie orzekłoby, że nie mam racji. — Zrozumiał, że jest gotów to zrobić. Miejsce po *saidinie* wypełniła lodowata furia. Kilkutygodniowa znajomość nie mogła tego zrównoważyć.

Skośne saldaeańskie oczy wypełniał absolutny spokój, jakby Bashere rozpie-rał się tak nonszalancko we zaciszu własnego domu.

— Mojej żonie to by się nie spodobało. Ani tobie, skoro już o tym mowa. Deira zapewne przejęłaby dowodzenie i wyruszyła znowu polować na Taima. Ona nie pochwała mojej umowy z tobą.

Rand nieznacznie pokręcił głową, a jego gniew ostygł nieco pod wpływem

opanowania tego człowieka. A także jego słów. Z zaskoczeniem przyjął informację, że wszyscy arystokraci stanowiący część korpusu oficerskiego dziewięciu tysięcy saldaeańskich kawalerzystów zabrali swoje żony, podobnie zresztą większość pozostałych oficerów. Rand nie pojmował, jak mężczyzna może narażać własną żonę na niebezpieczeństwo, ale taka była tradycja w Saldaei, od której wyjątek stanowiły jedynie kampanie na Ugorze.

Unikał patrzenia na Panny. Od stóp do głów były wojowniczkami, ale poza tym również kobietami. Obiecał im, że nie będzie ich trzymał z dala od niebezpieczeństwa, może nawet od śmierci. Nie obiecał, że nie będzie się przed tym wzdrygał i to go rozdzierało wewnątrz, ale słowa dotrzymywał. Robił, co musiał, nawet jeśli nienawidził siebie za to.

Z westchnieniem cisnął sztylet na bok.

— Pytanie do ciebie — odparł uprzejmym tonem. — Dlaczego?

— Bo jesteś, kim jesteś — odparł zwyczajnie Bashere. — Bo ty... a także ci mężczyźni, których przy sobie gromadzisz, jak przypuszczam. Jesteście, kim jesteście.

Rand słyszał szuranie stóp za swoimi plecami; Andoranie, mimo że bardzo się starali, nie potrafili ukryć zgrozy, jaką w nich wywołała amnestia.

— Zawsze będziesz mógł zrobić to samo, co zrobiłeś ze sztyletem — ciągnął Bashere, zestawiając nogę na ziemię i pochylając się do przodu — a każdy skrytobójca będzie musiał wyminąć twoich Aielów, zanim do ciebie dotrze. I moich kawalerzystów, skoro już o tym mowa. Ba! Coś, czemu uda się osiągnąć ciebie, nie będzie człowiekiem. — Rozłożył szeroko ręce i znowu opadł na oparcie. — Cóż, jeśli chcesz sobie ćwiczyć władanie mieczem, to sobie ćwicz. Człowiek potrzebuje gimnastyki i odprężenia. Ale nie daj sobie rozplatać czaszki. Za wiele zależy od ciebie, a ja tu nie widzę żadnej Aes Sedai, która mogłaby cię Uzdrowić. — Jego wąsy niemalże w całości skryły nagły uśmiech. — A poza tym, jeśli zginiesz, to moim zdaniem nasi andorańscy przyjaciele, raczej nie będą tak ciepło witać mnie i moich ludzi.

Andoranie pochowali miecze, ale nie odwrócili złowrogiego wzroku od Bashere. Nie miało to nic wspólnego z faktem, że był tak bliski zabicia Randa. Zazwyczaj w obecności Bashere zachowywali oblicza pozbawione wyrazu, był bowiem tylko cudzoziemskim generałem stojącym na czele cudzoziemskiej armii, która stacjonowała na andorańskiej ziemi. Smok Odrodzony życzył sobie obecności Bashere w tym miejscu, a to towarzystwo uśmiechałoby się do Myrddraali, gdyby Smok Odrodzony sobie tego zażyczył. Ale jeśli Rand mógł się zwrócić przeciwko niemu... W takim razie nie trzeba by było niczego skrywać. Byli sępmami gotowymi pożywić się ciałem Morgase, zanim ta umarła, i karmiliby się ciałem Bashere, gdyby im dać choć cień szansy. I z czego Rand zdawał sobie sprawę, także jego ciałem. Ledwie mógł się doczekać, kiedy się ich pozbędzie.

„Jedyny sposób, by przeżyć, to umrzeć”.

Ta myśl przyszła mu do głowy nagle. Powiedziano mu to kiedyś, w taki sposób, że musiał uwierzyć, ale to nie była jego myśl.

„Muszę umrzeć. Nie zasługuję na nic innego jak tylko na śmierć”.

Odwrócił się od Bashere, ściskając się za głowę.

Bashere w mgnieniu oka powstał z krzesła, chwytając Randa za ramię.

— Co się stało? Czyżby ten cios naprawdę rozplątał ci głowę?

— Nic mi nie jest. — Rand opuścił ręce; ani przez chwilę nie było w tym bólu, jedynie szok, że ma w głowie czyjeś cudze myśli. Nie tylko Bashere mu się przypatrywał. Większość Panien obserwowała go równie badawczo jak cały dziedziniec, zwłaszcza Enaila i jasnowłosa Somara, najwyższa z wszystkich. Te dwie przyniosą mu zapewne jakąś ziołową herbatę, gdy tylko wypełnią swoje obowiązki, i będą nad nim stały tak długo, aż jej nie wypije. Elenia i Naeen oraz reszta Andoran oddychali ciężko, ściskając się za poły kaftanów i fałdy spódnic, przyglądając się Randowi wytrzeszczonymi oczyma, najwyraźniej przerażeni, że oto oglądają pierwsze oznaki jego szaleństwa.

— Nic mi nie jest — oznajmił całemu dziedzińcowi. Tylko Panny odprężyły się, z wyjątkiem Enaili i Somary, które nadal były zaniepokojone.

Aielowie nie interesowali się „Smokiem Odrodzonym”; dla nich Rand był *Car'a'carnem*, który zgodnie z prorocत्वami miał ich na nowo zjednoczyć, a potem zniszczyć. Pogodzili się z takim następstwem wydarzeń, przejmując się nim jednocześnie; z podobną łatwością, być może pozorną, potrafili przyjąć do wiadomości jego umiejętności przenoszenia, a także wszystko, co się z nimi wiązało. Inni — mieszkańcy mokradeł, pomyślał oschle — nazywali go Smokiem Odrodzonym, ale nigdy się nie zastanawiali, co to oznacza. Wierzyli, że jest powtórnie narodzonym Lewsem Therinem Telamonem, Smokiem, człowiekiem, który zalepił otwór w więzieniu Czarnego i zakończył Wojnę z Cieniem ponad trzy tysiące lat temu. I który zakończył również Wiek Legend, kiedy ostatnie przeciwuderzenie Czarnego skaziło *saidina*, przez co wszyscy mężczyźni, który potrafili przenosić, począwszy od samego Lewsa Therina i jego Stu Towarzyszy, popadli w obłąd. Nazywali Randa Smokiem Odrodzonym, ale w ogóle nie podejrzewali, że jakaś część Lewsa Therina Telamona mogłaby znajdować się w jego głowie, równie obłąkana jak tamtego dnia, kiedy rozpoczął się Czas Szaleństwa i Pęknięcie Świata, równie obłąkana jak każdy z tych Aes Sedai mężczyzn, którzy zmienili oblicze świata nie do poznania. Był to powolny proces, ale im więcej Rand uczył się o Jedynej Mocy i im zręczniejszą władą *saidinem*, tym mocniejszy stawał się głos Lewsa Therina i tym zajadlej Rand musiał się zmagać z myślami nieżyjącego już człowieka, by ten nie przejął nad nim kontroli. To był jeden z powodów, dla których lubił ćwiczenia z mieczem; ucieczka od myśli stanowiła barierę, za którą mógł się skryć.

— Musimy znaleźć jakąś Aes Sedai — mruknął Bashere. — Jeśli tamte pogłoski są prawdziwe... Oby mi Światłość oczy wypaliła, jak ja żałuję, że pozwo-

liliśmy tamtej odejść.

Wielu ludzi uciekło z Caemlyn po tym, jak Rand i Aielowie zajęli miasto; sam pałac opustoszał niemalże całkowicie w ciągu jednej nocy. Żyli tu przecież ludzie, których Rand z chęcią by odszukał, ludzie, którzy mu kiedyś pomogli, ale oni wszyscy gdzieś się zapodziali. Niektórzy pewnie wciąż jeszcze chyłkiem się przemykali. Wśród tych, którzy ulotnili się podczas pierwszych dni, była pewna młoda Aes Sedai, tak młoda, że jej twarz nie zyskała jeszcze charakterystycznego wyglądu, nie pozwalającego domyślić się jej wieku. Ludzie Bashere przysłali wiadomość, kiedy znaleźli ją w jakiejś oberży, ale kiedy usłyszała, kim jest Rand, uciekła z krzykiem. Najdosłowniej! Nigdy się nie dowiedział, ani jak miała na imię, ani do jakich Ajah należała. Pogłoski mówiły, że w mieście jest jeszcze jedna, ale po Caemlyn krążyły obecnie setki, albo i tysiące pogłosek, każda mniej prawdopodobna od drugiej. Raczej było niemożliwe, by któraś rzeczywiście doprowadziła do miejsca, gdzie ukrywała się Aes Sedai. Patrole Aielów wypatrzyły kilka w okolicach Caemlyn; najwyraźniej wybierały się dokądś w wielkim pośpiechu, żadna jednak nie zamierzała wejść do miasta okupowanego przez Smoka Odrodzonego.

— Czy mogę ufać jakiegokolwiek Aes Sedai? — spytał Rand. — To tylko ból głowy. Moja głowa nie jest aż tak twarda, by nie bolała, gdy ją ktoś uderzy.

Bashere parsknął tak gwałtownie, że aż nastroszyły się jego wąsy.

— Nieważne, jak twardą masz głowę, prędzej czy później będziesz musiał zaufać Aes Sedai. Bez nich nigdy nie poprowadzisz za sobą narodów, chyba że pierwszej każdy z nich podbijesz. Ludzie oczekują czegoś takiego. Nieważne, o ilu spełnionych przez ciebie prorocत्वach usłyszą, wielu będzie czekać, aż Aes Sedai przyłożą na tobie swą pieczęć.

— Ja jednak nie będę unikał walki i ty o tym wiesz — odparł Rand. — Białe Płaszczki raczej nie powitają mnie w Amadicii z otwartymi ramionami, nawet jeśli Ailron wyrazi zgodę, a Sammael z pewnością nie odda Illian bez walki.

„Sammael, Rahvin, Moghedien i . . .”

Stanowczo przegnał tę myśl ze świadomości. Nie było to łatwe. Przychodziły bez ostrzeżenia, a później trudno się było ich pozbyć.

Jakiś głuchy odgłos kazał mu się obejrzeć przez ramię. Arymilla leżała bezwładnie na bruku, obok niej klęczała Karind, która odgarnęła spódnicę z jej łydek i rozcierała stopy. Elegar słaniał się, jakby lada chwila miał pójść w ślady Arymilli, Nasin i Elenia także nie byli w lepszym stanie. Wyraz twarzy większości pozostałych mówił, że zaraz mogą wymiotować. Być może sprawiła to wzmianka o Przeklętych, zwłaszcza że wiedzieli od Randa, iż rzekomy lord Gaebriel, to był tak naprawdę Rahvinem. Nie miał pewności, w ile z tego wszystkiego uwierzyli, jednak samo wzięcie pod uwagę takiej możliwości wystarczało, by większości z nich zmiękły stawy w kolanach. Ale to właśnie dzięki temu, że potrafili okazać, jak to nimi wstrząsnęło, żyli jeszcze. Gdyby nabrał przekonania, że służyli

świadomie. . .

„Nie — pomyślał. — Gdyby wiedzieli, gdyby wszyscy byli Sprzymierzeńcami Ciemności, to i tak bym nadal ich wykorzystywał”.

Czasami tak go mldiło od tego, czym się stał, że naprawdę gotów był umrzeć.

Przynajmniej mówił prawdę. Aes Sedai usiłowały zachować w tajemnicy fakt, że Przekłęci odzyskali wolność; obawiały się, że ta wiedza spotęguje tylko chaos i panikę. Rand tymczasem starał się upowszechnić prawdę. Ludzie kamienieli, zdjęci trwogą, ale mieli przed sobą jeszcze dość czasu, żeby ochłonać. Gdyby natomiast stosował metody Aes Sedai, to mogliby nie zdążyć otrząsnąć się w porę z paniki wywołanej zbyt późno przekazaną prawdą. A poza tym ludzie mieli prawo wiedzieć, z czym mają do czynienia.

— Illian nie utrzyma się długo — oświadczył Bashere. Rand błyskawicznie rozejrzał się na boki, ale Bashere był weteranem zbyt doświadczoneym, by mówić o tym, o czym nie powinien tam, gdzie mogli go słyszeć inni. W ten sposób starał się po prostu tak pokierować tokiem rozmowy, by ją oddalić od Przeklętych, aczkolwiek Rand jak dotąd nie zauważył, by Przekłęci albo w ogóle cokolwiek innego wzbudzało niepokój Davrama Bashere. — Illian pęknie niczym orzech pod ciosem młotka.

— Razem z Matem opracowaliście niezły plan. — Podstawowy pomysł był Randa, ale Mat i Bashere sprecyzowali tysiąc szczegółów, dzięki którym plan mógł się powieść. Przy czym Mat zaferował ich więcej niż Bashere.

— Ten Mat Cauthon to interesujący młodzieniec — zadumał się Bashere. — Z wielką chęcią znowu bym z nim pogadał. Za nic nie chciał się przyznać, u kogo pobierał nauki. U Agelmara Jagada? Słyszałem, że obaj byliście w Shienarze.

Rand nic nie powiedział. Mat miał prawo do swoich tajemnic, sam zresztą nie bardzo wiedział, co jego przyjaciel tak naprawdę ukrywa. Bashere przekrzywił głowę i podrapał się pod wąsami.

— Jest tak młody, że mógł pobierać nauki wszędzie. Wszak nie jest starszy od ciebie. A może znalazł gdzieś jakąś bibliotekę? Chciałbym zobaczyć te książki, które on czytał.

— Będziesz musiał sam go zapytać — odrzekł Rand. — Ja nic nie wiem. — Podejrzewał, że Mat musiał gdzieś, kiedyś, rzeczywiście przeczytać jakąś książkę, mimo iż nie bardzo garnął się do lektury.

Bashere przytaknął tylko. Kiedy Rand nie chciał o czymś mówić, Bashere zazwyczaj dawał spokój. Zazwyczaj.

— A może tak następnym razem, jak się wybierzesz na wycieczkę do Cairhien, sprowadziłbyś stamtąd tę Zieloną siostrę? Egwene Sedai? Słyszałem, jak Aielowie o niej rozmawiali; powiadają, że ona też pochodzi z twojej rodzinnej wioski. Jej mógłbyś zaufać, nieprawdaż?

— Egwene ma inne obowiązki — powiedział Rand i roześmiał się. Zielona siostra. Żeby tylko Bashere wiedział.



U boku Randa pojawiła się Somara, niosła lnianą koszulę i kaftan z przedniej czerwonej wełny, skrojony na andorańską modłę, ze smokami na długim kołnierzu oraz liśćmi wawrzynu na klapach i wzdłuż rękawów. Nawet jak na Aiela była wysoka, może nawet nie o dłoń niższa od niego. Podobnie jak inne Panny zdjęła zasłonę, ale szarobura *shoufa* nadal skrywała jej wszystko prócz twarzy.

— *Car'a'carn* się przeziębi — mruknęła.

Wątpił w to. Aielowie mogli uważać, że w tym upale nie ma nic niezwykajnego, ale z niego już ściekały stróżki potu, tak samo obficie jak podczas wymachiwania mieczem. Mimo to wciągnął koszulę przez głowę i wepchnął ją do spodni, nie zawiązując jednak wszystkich tasemek, po czym narzucił kaftan. Nie sądził, by Somara rzeczywiście próbowała ubrać go w te rzeczy w obecności innych, ale tym sposobem mógł uniknąć wykładów jej, Enaili oraz zapewne kilku innych. A także zapewne ziołowej herbaty.

Dla większości Aielów był *Car'a'carnem* i podobnie traktowały go Panny. Publicznie. Sam na sam z tymi kobietami, które zrezygnowały z małżeństwa i ogniska domowego na rzecz włóczni, sprawy znacznie bardziej się komplikowały. Podejrzał, że byłby w stanie położyć temu kres — być może — ale nie mógł tego zrobić, albowiem był im to winien. Niektóre już poległy za niego, a miało ich być więcej — obiecał, oby za to szczęł w Światłości! — i jeśli im na to pozwolił, to mógł im również pozwolić na inne rzeczy. Pot natychmiast przemoczył mu koszulę i zaczął tworzyć ciemne plamy na kaftanie.

— Potrzebujesz Aes Sedai, al'Thor. — Rand miał nadzieję, że Bashere jest bodaj w połowie tak zawzięty, kiedy dochodzi do walki; generał cieszył się zresztą stosowną reputacją, ale on na razie dysponował tylko tymi pogłoskami, a miał przed sobą jeszcze kilka tygodni, które należało przetrwać. — Nie możesz dopuścić, by ci się przeciwstawiły, a może do tego dojść, jeśli nie będzie im się wydawało, że uwiązały do ciebie bodaj kilka sznurków. Aes Sedai są podstępne; żaden człowiek nie jest w stanie przewidzieć, co zrobią, ani dlaczego.

— A jeśli ci powiem, że wiem o setkach Aes Sedai gotowych mnie wesprzeć? — Rand zdawał sobie sprawę, że Andoranie słuchają; musiał uważać, żeby nie powiedzieć za dużo. Co wcale nie znaczyło, by dużo wiedział. To, co rzeczywiście wiedział, było prawdopodobnie przesadzone i oparte wyłącznie na czystym akcie wiary. Z pewnością wątpił w te „setki”, o których nadmieniała Egwene.

Bashere zmrużył oczy.

— Gdyby Wieża wysłała misję poselską, wiedziałbym o tym, więc... — Zniżył głos niemalże do szeptu. — Rozłam? To w Wieży naprawdę zapanował rozłam?

Mówił takim tonem, jakby nie dowierzał słowom, które padały z jego własnych ust. Wszyscy wiedzieli, że Siuan Sanche została pozbawiona stanowiska Zasiadającej na Tronie Amyrlin i ujarzmiona — pogłoski mówiły, że również stracona — jednakże dla większości ludzi rozłam w Wieży pozostawał jedynie w sfe-

rze domysłów i niewielu weń tak naprawdę wierzyło. Ostatecznie Biała Wieża od trzech tysięcy lat stanowiła całość, monolit górujący nad tronami. Ale Saldaeańczyk był człowiekiem, który brał pod rozwagę wszelkie ewentualności. Ciągnął więc dalej żarliwym szeptem, podchodząc bliżej, by Andoranie nie mogli go podsłuchać.

— To pewnie te rebeliantki są gotowe cię poprzeć. Z nimi mógłbyś zawrzeć układ znacznie bardziej korzystny. Potrzebują cię w takim samym stopniu jak ty ich, a może nawet bardziej. Ale rebeliantki, nawet jeśli to rebeliantki Aes Sedai, nie udźwigną ciężaru Białej Wieży, z pewnością nie w konfrontacji z dowolną koroną. Gmin może nie rozpoznać różnicy, ale królowie i królowe bez wątpienia nie będą mieli z tym kłopotów.

— To są nadal Aes Sedai — rzekł równie cicho Rand — niezależnie od tego, kim są.

„I czymkolwiek są — pomyślał oschle. — Aes Sedai... Słudzy Wszystkich... Komnata Sług zniszczona... zniszczona na zawsze... zniszczona... Ilyeno, moja miłości...”

Bezlitośnie zdławił myśli Lewsa Therina. Czasami rzeczywiście się przydawały, bo przekazywały mu potrzebne akurat informacje, niemniej jednak stawały się coraz bardziej natarczywe. Gdyby rzeczywiście miał tutaj jakąś Aes Sedai — Żółtą; te znały się najlepiej na Uzdrawianiu — to może ona... Zaufał kiedyś jednej Aes Sedai, aczkolwiek dopiero na krótko przed jej śmiercią. To właśnie Moiraine pozostawiła mu radę odnośnie do Aes Sedai, odnośnie do wszystkich kobiet, które nosiły szal i pierścień.

— Nigdy nie zaufam żadnej Aes Sedai — wychrypiął cicho. — Wykorzystam je, ponieważ naprawdę ich potrzebuję, ale wiem, że zarówno Wieża, jak i rebeliantki same będą próbowały mnie wykorzystać, ponieważ tak właśnie postępują Aes Sedai. Ja im nigdy nie zaufam, Bashere.

Saldaeańczyk wolno skinął głową.

— No to wykorzystaj je, o ile możesz. Ale pamiętaj jedno. Opór kogoś, kto nie chce wkroczyć na drogę obroną przez Aes Sedai, nigdy nie trwa długo. — Nagle zaśmiał się krótko. — Z tego, co mi wiadomo, ostatnim, który im się oparł, był Artur Hawkwing. Światłości, wypal mi oczy, może ty będziesz jego następcą.

Szuranie butów obwieściło czyjeś przybycie, na dziedziniec wszedł jeden z ludzi Bashere, młody człowiek o barczystych ramionach i haczykowatym nosie, o głowę wyższy od generała, z bujną czarną brodą i gęstymi wąsami. Maszerował wprawdzie, jakby bardziej nawykł do siodła niżli chodzenia na własnych nogach, za to zgrabnie manipulował mieczem w trakcie składania ukłonu. Przeznaczonego bardziej dla Bashere niż Randa. Bashere mógł służyć pod Smokiem Odrodzonym, ale Tumad — tak bodajże się nazywał, o ile Rand dobrze zapamiętał, Tumad Ahzkan — służył pod Bashere. Enaila i trzy inne Panny utkwily wzrok w drugim Saldaeańczyku; nie ufały żadnemu mieszkańcowi mokradeł przebywa-

jącemu w obecności *Car'a'carna*.

— Do bram zawitał właśnie pewien człowiek — powiedział Tumad niepewnym głosem. — Twierdzi... To Mazrim Taim, lordzie Bashere.

# PRZYBYSZ

Mazrim Taim. Już na całe stulecia przed Randem zdarzali się mężczyźni, z których każdy głosił, że to właśnie on jest Smokiem Odrodzonym. Podczas ostatnich kilku lat przed Randem nastąpiła istna plaga fałszywych Smoków, przy czym niektórzy naprawdę potrafili przenosić. Mazrim Taim zaliczał się do tych ostatnich; zanim go pojmano, zdążył zgromadzić wokół siebie armię i spustoszyć Saldaeę. Twarz Bashere nie zmieniła się, ale zacisnął dłoń na rękojeści miecza tak silnie, że aż mu pobielaly kłykcie. Tumađ patrzył na generała, spodziewając się rozkazów. To właśnie ucieczka Taima w drodze do Tar Valon, gdzie miał zostać pokromiony, stanowiła powód, dla którego Bashere przybył do Andoru. Do takiego stopnia Saldaea bała się i nienawidziła Mazrima Taima; Królowa Tenobia wysłała armię z Bashere na czele w pogoń za człowiekiem, nieważne dokąd ten się udał, nieważne ile czasu miało to zająć, by nabrać pewności, że Taim nigdy już nie będzie nękał Saldaei.

Panny zachowały spokój, za to w grupce Andoran to imię spowodowało wybuch niczym pochodnia ciśnięta na suchą trawę. Arymilli, której właśnie pomagano się podnieść, oczy znowu zaszyły mgłą; byłaby kolejny raz upadła, gdyby Karind nie ułożyła jej delikatnie na kamieniach posadzki. Elegar, zataczając się, wpadł między kolumny, po czym zgiął się w pół i głośno wymiotował. Pozostali, ogarnięci paniką, krzyczeli, przyciskali chusteczki do ust i kurczowo chwyтали rękojeści mieczy. Nawet niewrażliwa na nic Karind oblizala nerwowo wargi.

Rand podniósł rękę, którą przyciskał do kieszeni kaftana.

— Amnestia — powiedział i obaj Saldaeńczycy obdarzyli go przeciągłym, beznamiętnym spojrzeniem.

— A jeśli on nie przybył tu w związku z wprowadzoną przez ciebie amnestią? — spytał Bashere po jakiejś chwili. — A jeśli nadal utrzymuje, że jest Smokiem Odrodzonym?

Andoranie niespokojnie zaszurali nogami; nikt nie chciał znajdować się w pobliżu miejsca, nawet w odległości kilku mil, gdzie mógł zostać stoczony pojedynek z użyciem Jedynej Mocy.

— Jeśli tak mu się wydaje — odparł stanowczym tonem Rand — to ja go unieszkodliwie. — W kieszeni nosił najrzadszą odmianę *angreala*, odmianę, któ-

raę wykonywano kiedyś wyłącznie dla mężczyzn, figurkę przedstawiającą małego tłustego człowieczka z mieczem. Taim, niezależnie od siły, jaką dysponował, nie da rady czemuś takiemu sprostać. — Ale jeśli przybywa po to, by skorzystać z amnestii, to zostanie nią objęty, tak jak każdy inny, kto się zgłosi. — Niezależnie od tego, co Taim zrobił w Saldaei, nie mógł sobie pozwolić na odrzucenie mężczyzny, który potrafił przetrwać, mężczyzny, którego nie trzeba było uczyć od samych podstaw. Kogoś takiego potrzebował. Tylko Przekłętego by odrzucił, o ile nie powodowałyby nim jakaś wyższa konieczność.

„Demandred i Sammael, Semirhage i Mesaana, Asmodean i . . .”

Rand zdławił głos Lewsa Therina; nie mógł dopuścić, by coś rozpraszało jego uwagę.

Bashere ponownie się zawahał, zanim przemówił, ale ostatecznie skinął głową i puścił miecz.

— Twoja amnestia rzecz jasna obowiązuje. Ale wspomnisz moje słowa, al’Thor. Jeśli Taim jeszcze kiedykolwiek postawi stopę na saldaeańskiej ziemi, to już nie opuści jej żywy. Za dużo wspomnień po sobie zostawił. Nie wydam rozkazu, który by temu zapobiegł. I nie wyda go też Tenobia.

— Będę go trzymał z dala od Saldaei. — Albo Taim przybył tutaj, żeby się mu poddać, albo okaże się, że trzeba go zabić. Rand bezwiednie musnął kieszeń, przyciskając przez wełnę małego tłustego człowieczka. — W takim razie niech tu wejdzie.

Tumad spojrział na Bashere, ale ten skinął głową tak szybko, że zdało się, iż ukłon Tumada to odpowiedź na słowny rozkaz. Rand poczuł nagły przypływ irytacji, jednak nic nie powiedział i Tumad pospiesznie odszedł lekko kołyszącym krokiem. Bashere — uosobienie człowieka, którego nic nie jest w stanie poruszyć — założył ręce na piersi i powstał z jednym kolaniem lekko ugiętym. Czarne skośne oczy, utkwione w stronę, w którą oddalił się Tumad, czyniły zeń uosobienie człowieka, który tylko czeka na okazję, by kogoś zabić.

Andoranie znowu zaszurali stopami, cofając się z wahaniem na pół kroku, a potem nagle zastygli w bezruchu. Bardzo jednak głośno oddychali, jakby mieli za sobą wielomilowy bieg.

— Możecie odejść — powiedział im Rand.

— Ja zostanę i zajmę miejsce za twym ramieniem — zaczął Lir dokładnie w tym samym momencie, kiedy Naeon ostrym tonem oświadczył:

— Nie będę uciekał przed. . .

Rand wszedł im obu w słowo.

— Wyjść!

Chcieli mu pokazać, że się nie boją, mimo iż najpewniej byli gotowi zanieczyścić sobie spodnie; z chęcią poderwałyby się do ucieczki, rezygnując z całej swej godności, którą wszak zdążyli już rzucić mu do stóp. Nie zastanawiali się długo nad wyborem. On był Smokiem Odrodzonym, nadszkiepanie mu równało się

posłuszeństwu, a posłuszeństwo w tym momencie równało się zrobieniu tego, co bez wątplenia chcieli uczynić. Zapanowała histeria zamaszystych ukłonów i dygnięć z szerokim rozkładaniem spódnic oraz pospiesznie mruczanych: „Za twoim przyzwoleniem, Lordzie Smoku” i „Jak rozkażesz, Lordzie Smoku”, po czym... może nie wybiegli, ale wyszli, najszybciej jak potrafili, tak by nie sprawiać jednocześnie wrażenia, że się spieszą. W przeciwnym kierunku niż ten, w którym udał się Tumad; najwyraźniej nie chcieli ryzykować, że po drodze natkną się na Mazrima Taima.

Oczekiwanie przeciągało się w upale — przeprowadzenie człowieka przez labirynt pałacowych korytarzy musiało potrwać — ale po odejściu Andoran już nikt więcej się nie poruszył. Bashere nie odrywał wzroku od wejścia, w którym miał się pojawić Taim. Panny obserwowały bacznie wszystko, ale one zawsze to robiły, i jeśli wyglądały teraz na gotowe, by natychmiast zasłonić sobie twarze, to nie było to nic wyjątkowego. Równie dobrze mogłyby być posągami, gdyby nie ich oczy.

Wreszcie na dziedzińcu rozbrzmiało echo kroków. Rand omal nie sięgnął po *saidina*. Ten człowiek już od wejścia na dziedziniec był zdolny stwierdzić, że on włada Mocą; Rand nie mógł dopuścić, by tamten uznał, że on się boi.

Tumad wyłonił się pierwszy na światło słońca, za nim wszedł czarnowłosy mężczyzna o wzroście nieznacznie wyższym ponad przeciętną; ogorzała twarz i skośne oczy, haczykowany nos i wystające kości policzkowe zdradzały jeszcze jednego Saldaeańczyka, ponadto był świeżo ogolony i odziany jak niegdyś nieźle prosperujący andorański kupiec, któremu ostatnio gorzej się wiodło. Granatowy kaftan z przedniej wełny zdobiły wyłogi ciemniejszego aksamitu, jednak zniszczone mankiety były wyraźnie wystrzępione, spodnie wypchane na kolanach, a popękane buty zakurzone. Mimo to szedł dumnym krokiem, co było nie lada wyczynem, jako że tuż za nim szło czterech ludzi Bashere, z obnażonymi mieczami o płomienistych głowniach, których czubki od jego żeber dzieliła odległość zaledwie kilku cali. Upał zdawał się w ogóle na niego nie działać. Przemarsz niewielkiej procesji śledziły bacznie oczy Panien.

Rand przypatrywał się Taimowi, w trakcie gdy ten razem ze swą eskortą pokonywał dziedziniec. Co najmniej piętnaście lat od niego starszy; miał zatem trzydzieści pięć lat, a może nawet więcej. Niewiele wiedziano, a jeszcze mniej napisano o mężczyznach, którzy potrafili przenosić — był to temat, którego unikała większość przyzwoitych ludzi — Rand jednak dowiedział się, ile tylko mógł. A ponieważ stosunkowo nieliczni rzetelnie zgłębili tę dziedzinę wiedzy, nie było to jego zmartwieniem. Od czasów Pęknięcia większość przenoszących mężczyzn rodziła się już z tą umiejętnością, gotową się zniecka obudzić, kiedy dorastali do wieku męskiego. Niektórym przez wiele lat udawało się trzymać szaleństwo na wodzy, tak długo, aż nie znalazły ich i nie poskromiły Aes Sedai; inni bezpowrotnie popadali w obłąd jeszcze przed ich odnalezieniem, niekiedy po okresie

krótszym niż rok od pierwszego dotknięcia *saidina*. Rand już od dwóch lat pozostawał przy zdrowych zmysłach, na razie. A widział przed sobą mężczyznę, który potrafił tego dokonać przez dziesięć albo nawet piętnaście lat. Już sam ten fakt coś znaczył.

Na gest Tumada zatrzymali się w odległości kilku kroków od niego. Rand otworzył usta, ale nim zdążył przemówić, w jego głowie rozszalał się Lews Therin.

„Sammael i Demandred mnie nienawidzili, jakimikolwiek obsypałbym ich zaszczytami. Im więcej zaszczytów, tym większa nienawiść, aż wreszcie zaprzędali dusze i przeszli na stronę wroga. Zwłaszcza Demandred. Powinienem być go zabić! Powinienem być zabić ich wszystkich! Spalić ziemię, żeby ich wszystkich zabić! Spalić ziemię!”

Rand, ze zlodowaciałą twarzą, odszukał własne myśli.

„Jestem Rand al’Thor. Rand al’Thor! Nigdy nie poznałem Sammaela, Demandreda, w ogóle żadnego z nich! A żebym szczeł w Światłości, jestem Rand al’Thor!”

Niczym słabe echo jeszcze jedna myśl napłynęła z jakiegoś innego miejsca jego świadomości.

„Światłości, a żebym szczeł”.

Zabrzmiało to jak błaganie. Potem Lews Therin zniknął, zapędzony do tych cieni, pośród których się osiedlił.

Bashere skorzystał z tej chwili milczenia.

— Powiadasz, że zowiesz się Mazrim Taim?

Słyszac zwątpienie w głosie generała, Rand spojrział na niego skonsternowany. Czy to jest Taim czy nie? Tylko szaleniec przyznałby się do tego imienia, gdyby nie należało do niego.

Więzień, któremu drgnęły usta jakby w zalążku uśmiechu, potarł się po podbródku.

— Ogoliłem się, Bashere. — W jego głosie słychać było coś więcej niżli tylko ślad drwiny. — Czyżby daleko na południu nie było rzeczywiście tak gorąco, czy raczej ty tego nie zauważyłeś? Jest goręcej, niż być powinno, nawet tutaj. Chcesz jakiegoś dowodu, że to naprawdę ja? Mam może na twoje życzenie przenieść? — Ciemne oczy na ułamek sekundy zwróciły się w stronę Randa, zalśnił w nich przelotny błysk, po czym na powrót ich spojrzenie spoczęło na Bashere, którego twarz z każdą chwilą coraz bardziej ciemniała. — Może jednak nie, nie teraz. Pamiętam cię. Byłbym cię pokonał pod Irinnjavar, gdyby na niebie nie pojawiły się tamte wizje. Ale o tym wiedzą wszyscy. A o czym to nie wie nikt oprócz ciebie i Mazrima Taim? — Skupiony na Bashere, zdawał się nie zwracać uwagi ani na swych strażników, ani na ostrza ich mieczy, nadal kołyszące się u jego żeber. — Jak się dowiaduję, zataiłeś to, co stało się z Musarem, Hacharim i ich żonami. — Drwina z głosu zniknęła; relacjonował teraz zdarzenia. — Dlaczego próbowali

mnie zabić, podstępnie wywieszając flagę oznaczającą gotowość do pertraktacji? Ufam, że znalazłeś dla nich dobre posady w charakterze służących? Oni pragną przede wszystkim służyć i okazywać posłuszeństwo; inaczej nie będą szczęśliwi. Mogłem ich zabić. Wszyscy czterej wyciągnęli sztylety.

— Taim — warknął Bashere, a jego ręka pomknęła do rękojeści — ty...!

Rand stanął przed nim i chwycił rękę, która do połowy wyswobodziła ostrze. Miecze strażników, w tym również Tumada, dotykały teraz Taima, najprawdopodobniej kłując jego ciało, jeśli sądzić po sposobie, w jaki napierały na kaftan, ale ten nawet się nie wzdrygnął.

— Przyszedłeś spotkać się ze mną — spytał ostrym tonem Rand — czy nagrawać się z lorda Bashere? Jeśli zrobisz to jeszcze raz, pozwolę mu cię zabić. Z mocy amnestii zostaje ci wybaczone to, co zrobiłeś, ale nie pozwalam ci puszyć się swymi zbrodniami.

Taim przypatrywał się przez chwilę Randowi, zanim odpowiedział. Mimo upału ledwie się pocił.

— Żeby spotkać się z tobą. To ty pojawiłeś się w tej wizji na niebie. Powiadają, że walczyłeś z samym Czarnym.

— Nie z Czarnym — odparł Rand. Bashere nie szamotał się z nim, ale czuł napięcie jego mięśni. Jeśli puści dłoń tamtego, ostrze na pewno skoczy do przodu i w mgnieniu oka przeszyje Taima na wylot. Chyba że użyje Mocy. Albo że użyje jej Taim. A tego, w miarę możliwości, należało unikać. Nie zwolnił uścisku na rękę Bashere. — Twierdził, że jego imię brzmi Baalzamon, ale moim zdaniem to był Ishamael. Zabiłem go później, w Kamieniu Łzy.

— Słyszałem, żeś zabił już kilku Przeklętych. Czy powinienem nazywać cię Lordem Smokiem? Wiem, że tak cię tutaj tytułują. Wszystkich Przeklętych zamierzasz wymordować?

— A znasz jakiś inny sposób na to, by się z nimi rozprawić? — zapytał Rand. — Albo oni umrą, albo świat. Chyba że twoim zdaniem uda się ich namówić, by porzucili Cię w taki sam sposób, w jaki porzucili Światłość.

To już zakrawało na czystą niedorzeczność. Oto wiódł rozmowę z człowiekiem skłutym do krwi przez ostrza pięciu mieczy, jednocześnie przytrzymując drugiego człowieka, który chciał dołożyć do tamtych szóste ostrze i utoczyć więcej niż cieniutką strużkę. Przynajmniej ludzie Bashere byli dość zdyscyplinowani, by nie robić niczego więcej, póki nie usłyszą rozkazu swego generała. I przynajmniej Bashere nie otwierał ust. Podziwiając opanowanie Taima, Rand szybko mówił dalej, starając się jednocześnie nie sprawiać wrażenia, jakby się śpieszył.

— Twoje zbrodnie, Taim, jakiegokolwiek by były, błedną w porównaniu ze zbrodniami Przeklętych. Czy kiedykolwiek skazałeś całe miasto na tortury, czy zmuszałeś tysiące ludzi do asystowania w powolnym łamaniu innych, w łamaniu ich najbliższych? Semirhage to robiła, dlatego tylko, że to potrafiła, po to tylko, by udowodnić, że to potrafi, dla samej przyjemności. Czy mordowałeś dzieci?



Graendal mordowała. Twierdziła, że to dobrodziejstwo, bo dzięki temu oszczędza im cierpień, gdy zniewoli i porwie ich rodziców. — Miał nadzieję, że pozostali Saldaeańczycy słuchają bodaj w połowie tak uważnie jak Taim, który podał się nieznacznie do przodu, cały zamieniając się w słuch. Miał nadzieję, że nie będą zadawali zbyt wielu pytań, gdzie posiadał tę wiedzę. — Czy rzucałeś ludzi trollokom na pożarcie? Wszyscy Przekłęci tak postępowali... więźniów, którzy nie chcieli się ugiąć, zawsze oddawano trollokom, względnie mordowano na miejscu... ale Demandred wziął do niewoli dwa miasta tylko dlatego, że jego zdaniem ich mieszkańcy lekceważyli go, zanim przeszedł na stronę Cienia i z tego powodu wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci powędrowali do brzuchów trolloków. Mesana zakładała szkoły na kontrolowanym przez siebie terytorium, szkoły, w których dzieci i młodzież uczono wychwalać Czarnego, uczono, że mają zabijać tych spośród przyjaciół, którzy nie uczyli się tego dobrze albo wystarczająco szybko. Mógłbym tak ciągnąć w nieskończoność. Mógłbym zacząć od początku listy i wyliczyć wszystkie trzynaście imion, przy każdym wymieniając setki równie paskudnych zbrodni. Nie da się z nimi porównać twoich czynów, jakiegokolwiek by były. Przybyłeś tu, żeby uzyskać moje przebaczenie, żeby wstąpić na drogę Światłości i podporządkować mi się, by stoczyć bitwę z Czarnym, z taką zajadłością, z jaką jeszcze nigdy z nikim nie walczyłeś. Przekłęci tracą grunt pod nogami, chcą na wszystkich po kolei zapolować, wytępić ich. I ty mi w tym pomożesz. Tym sobie zasłużysz na wybaczenie. Jestem tego pewny, że prawdopodobnie zasłużysz na nie setki razy, zanim Ostatnia Bitwa dobiegnie końca.

Poczuł przynajmniej, że z mięśni Bashere uchodzi napięcie, poczuł, że generał chowa miecz do pochwy. Ledwie udało mu się powstrzymać westchnienie ulgi.

— Nie widzę powodu, by go tak uważnie teraz pilnować. Pochowajcie miecze.

Tumad i pozostali zaczęli powoli wsuwać swoje ostrza do pochew. Powoli, ale robili to. Wtedy Taim przemówił:

— Podporządkować się? Myślałem raczej o jakimś przymierzu między nami.

— Pozostali Saldaeańczycy stężeli; Bashere stał nadal za plecami Randa, ale Rand czuł, jak znowu wzrasta w nim gwałtownie napięcie. Panny nie poruszyły ani jednym mięśniem, oprócz Jalani, której dłoń drgnęła w stronę zasłony. Taim przekrzywił głowę, niepomny na wszystko. — Byłbym partnerem drugoplanowym, to oczywiste, ale to ja spędziłem więcej lat niż ty na badaniu Mocy. Mógłbym cię wiele nauczyć.

Wściekłość przepelniająca Randa spotęgowała się do tego stopnia, że zrobiło mu się czerwono przed oczami. Mówił o rzeczach, o których nie powinien nic wiedzieć, zrodził prawdopodobnie kilkanaście plotek na temat siebie samego i Przeklętych, wszystko po to, by uczynki stojącego przed nim człowieka sprawiały wrażenie mniej mrocznych, a teraz ten ma czelność mówić o przymierzu? W jego głowie rozszalał się Lews Therin.

„Zabij go! Zabij go natychmiast! Zabij go!”

Tym razem Rand nie zadał sobie trudu, by go zagłuszyć.

— Żadnego przymierza! — warknął. — Żadnych partnerów! To ja jestem Smokiem Odrodzonym, Taim! Ja! Jeśli posiadasz wiedzę, z której mógłbym skorzystać, to jej użyj, ale ty będziesz szedł tam, gdzie ci każe, robił, co ci każe, wtedy, kiedy ci każe.

Taim padł na jedno kolano, bez chwili zastanowienia.

— Poddaję się Smokowi Odrodzonemu. Będę służył i okazywał posłuszeństwo. — Kąciki jego ust znowu drżały w grymasie bliskim niemal uśmiechu, kiedy wstawał. Tumał gapił się na niego wytrzeszczonymi oczyma.

— Tak szybko? — spytał cicho Rand. Wściekłość nie odeszła; trwała rozpalona na biel. Nie miał pewności, co by zrobił, gdyby dał jej upust. W cienistych zakamarkach umysłu nadal paplał swoje Lews Therin.

„Zabij go! Musisz go zabić!”

Rand zagłuszył głos Lewsa Therina, aż zmienił się w ledwie słyszalny pomruk. Może nie powinien aż tak się dziwić; w obecności *ta'veren* działy się osobliwe rzeczy, zwłaszcza *ta'veren* tak silnego jak on. Nie było szczególnie niesamowite, gdy ktoś zmieniał swe decyzje w ciągu jednej chwili, nawet jeśli jego los jest wyrzeźbiony w kamieniu. Ale w danym momencie owaładnął nim gniew z silną domieszką podejrzliwości.

— Mianowałeś się Smokiem Odrodzonym, wszczynałeś bitwy w całej Saldai, dałeś się pojmać tylko dlatego, że zbito cię do nieprzytomności, a teraz rezygnujesz i to tak szybko? Dlaczego?

Taim wzruszył ramionami.

— A jaki mam wybór? Błąkać się samotnie po świecie, bez przyjaciół, stać się ofiarą nagonki, podczas gdy ty będziesz zdobywał chwałę? I to zakładając, że Bashere albo twoje kobiety Aiel nie zabiją mnie jakimś sposobem, zanim zdążę opuścić miasto. A nawet jeśli tego nie zrobią, to prędzej czy później osaczą mnie Aes Sedai; wątpię, by Wieża zechciała zapomnieć o Mazrimie Taimie. Ale mogę też pójść za tobą, a wówczas przypadnie mi w udziale część twej chwały. — W tym momencie po raz pierwszy rozejrzał się dookoła, popatrzył na swoich strażników, na Panny i pokręcił głową, jakby sam w to nie wierzył. — Przecież to ja mogłem nim być. Jak inaczej miałem to sprawdzić? Potrafię przenosić, jestem silny. Niby czemu to nie ja miałem być Smokiem Odrodzonym? Wystarczyło wypełnić bodaj jedno Proroctwo.

— Na przykład urodzić się na zboczu Góry Smoka? — chłodnym tonem odpowiedział Rand. — To Proroctwo należało spełnić w pierwszej kolejności.

Taimowi znowu zadrzały usta. Nie był to tak naprawdę uśmiech; ani na moment nie pojawił się w jego oczach.

— Historię piszą zwycięzcy. Gdybym to ja opanował Kamień Łzy, wówczas historia wykazałaby, że urodziłem się na Górze Smoka, z kobiety nigdy nie tkniętej przez mężczyznę i że niebiosa rozstały się, zwiastując moje przyjście pro-

miennym blaskiem. Tego typu rzeczy mówią teraz o tobie. Ale to ty zawładnąłeś Kamieniem, z pomocą swoich Aielów i to ciebie świat obwołał Smokiem Odrodzonym. Nie jestem taki głupi, by temu zaprzeczać. Jesteś Smokiem Odrodzonym. Cóż, nie przypadnie mi w udziale cały bochen, więc zgodzę się na każdą kromkę, jaką znajdę na swej drodze.

— Może dostąpisz zaszczytów, Taim, a może nie. Gdyby przypadkiem zaczęła gryźć cię nadmierna ambicja, przypomnij sobie wtedy, jaki los spotkał tych, którzy dopuścili się takich samych uczynków jak ty. Logain, pojmany i poskromiony; plotka mówi, że zginął w Wieży. Nieznany człowiek ścięty w Haddon Mirk przez Tairenian. Inny spalony w Murandy. Spalony żywcem, Taim! Tak właśnie przed czterema laty Illianie postąpili z Gorinem Rogadem.

— Nie jest to los, o jakim bym marzył — odparł spokojnie Taim.

— No to zapomnij o zaszczytach i przypomnij sobie o Ostatniej Bitwie. Wszystko, co ja robię, ma na względzie Tarmon Gaidon. Wszystko, co ci rozkażę, będzie z nią związane. Ty sam będziesz z nią związany!

— Ma się rozumieć. — Taim rozłożył ręce. — Ty jesteś Smokiem Odrodzonym. Nie wątpię w to; potwierdzam publicznie. Maszerujemy w kierunku Tarmon Gaidon, gdzie wygrasz ty, jak głoszą Proroctwa. A historycy zaświadczą, że Mazrim Taim stał po twej prawicy.

— Być może — odparł oschłym tonem Rand. Był świadkiem spełniania się tylu proroctw, że nie wierzył już, by któreś znaczyło dokładnie to, o czym mówiło. Albo by stanowiło potwierdzenie czegokolwiek. Jego zdaniem proroctwo określało tylko warunki, które należało spełnić, by dana rzecz się stała; niemniej jednak samo ich spełnienie jeszcze nie oznaczało, że coś stanie się na pewno, lecz tylko, że jest możliwe. Niektóre z warunków określonych w Proroctwach Smoka zawierały więcej niż tylko sugestię, że musi umrzeć, by zaistniała jakakolwiek szansa na zwycięstwo. Myśl o tym nie wpłynęła dodatnio na jego nastrój. — Oby Światłość sprawiła, byś nie uzyskał swej szansy zbyt szybko. A teraz do rzeczy. Jakaś posiadasz wiedzę, która mogłaby okazać się dla mnie przydatna? Czy umiałbyś uczyć mężczyzn przenoszenia? Czy potrafiłbyś poddać mężczyznę sprawdzianowi, by stwierdzić, czy da się go nauczyć? — W odróżnieniu od kobiet mężczyzna, który potrafił przenosić, nie był zdolny wyczuć tej umiejętności u drugiego. W kwestii Jedynej Mocy mężczyźni i kobiety różnili się tak samo jak w innych; czasami była to różnica grubości włosa, czasami taka jak między kamieniem a jedwabiem.

— Twoja amnestia? Czyżby naprawdę zjawili się u ciebie jacyś durnie, którzy chcą stać się tacy jak ty i ja?

Bashere popatrzył tylko z pogardą na Taima, splatając ręce na piersi i rozstawiając szeroko nogi, ale Tumad i strażnicy poruszyli się niespokojnie. W odróżnieniu od Panien. Rand nie miał pojęcia, jakie jest ich zdanie odnośnie do tej grupki mężczyzn, którzy odpowiedzieli na jego wezwanie; ani razu niczym się nie zdradziły. Niewielu Saldaeańczyków, którzy wciąż jeszcze pamiętali Taima jako

falszywego Smoka, potrafiło ukryć swe zaniepokojenie.

— Odpowiedz mi wprost, Taim. Powiedz, czy potrafisz zrobić to, czego chcę. Jeśli nie. . . — Teraz przemawiał przez niego gniew. Nie mógł przegnać tego człowieka, nie mógł, bo każdy dzień oznaczał dla niego kolejne zmagania. Taim jednak najwyraźniej podejrzewał, że on jest do tego zdolny.

— Potrafię obie te rzeczy — odpowiedział pospiesznie. — Nie szukałem tych mężczyzn, ale przez te wszystkie lata znalazłem takich pięciu, aczkolwiek tylko jeden miał odwagę poddać się sprawdzianom. — Zawahał się, po czym dodał: — Po dwóch latach popadł w obłąd. Musiałem go zabić, zanim on zabił mnie.

Dwa lata.

— Ty się trzymasz o wiele dłużej. Jak to robisz?

— Boisz się? — spytał cicho Taim, po czym wzruszył ramionami. — Nie mogę ci pomóc. Nie wiem jak; po prostu przeżyłem. Jestem zdrowy psychicznie jak. . . — Z błyskiem w oku spojrział w stronę Bashere, ignorując beznamiętny wzrok tamtego — jak lord Bashere.

Jednak Rand zawahał się nagle. Połowa Panien ponownie podjęła obserwację pozostałej części dziedzińca; nie należało oczekiwać, że skupią się na jednym potencjalnym zagrożeniu, ignorując inne. Tym potencjalnym zagrożeniem był Taim, toteż druga połowa Panien nadal miała oczy utkwione w nim i w Randzie, szukając oznak, że zagrożenie jest realne. Każdy musiał zdawać sobie sprawę z ich obecności, musiał dostrzegać groźbę nagłej śmierci ukrytą w oczach, w napięciu dłoni. Rand w każdym razie zdawał sobie sprawę, że one tu są, że one chcą chronić właśnie jego. A Tumad i inni strażnicy wciąż ściskali rękojeści mieczy, w każdej chwili gotowi je dobyć. Gdyby ludzie Bashere i Aielowie postanowili zabić Taima, byłoby mu raczej trudno uciec z dziedzińca, choćby przenośli, chyba że z pomocą Randa. A mimo to Taim nie zwracał na żołnierzy i na Panny większej uwagi niż na kolumnady albo kamienie brukowe pod swymi stopami. Brawura? Prawdziwa czy udawana? A może coś jeszcze innego? Jakaś odmiana szaleństwa?

Po chwili milczenia Taim odezwał się ponownie:

— Nie ufasz mi jeszcze. Nie masz podstaw. Na razie. Za jakiś czas zaufasz. Ja zaś, na poczet tego przyszonego zaufania, przynoszę ci dar. — Z zanadru podniszczonego kaftana wyciągnął zrobione z gałganków zawiniątko, nieco większe od dwóch pięści.

Rand przyjął je, marszcząc czoło, i nagle oddech uwiązał mu w gardle, kiedy wymacał ukryty w środku twardy kształt. Pospiesznie odwinął kolorowe gałganki, odsłaniając owal wielkości jego dłoni, taki sam, jak ten na szkarłatnym sztandarze powiewającym nad pałacem, w połowie czarny, w połowie biały, starożytny symbol Aes Sedai, sprzed Pęknięcia Świata. Poglądził palcami dwie bliźniacze łązy.

Wykonano ich tylko siedem, z *cuendillara*. Pieczęcie, które chroniły więzienie Czarnego. Pieczęcie, które zagradzały Czarnemu dostęp do świata. On sam miał

dwie inne, bardzo starannie schowane. Bardzo starannie chronione. Nic nie mogło rozbić *cuendillara*, nawet Jedyna Moc — brzeg delikatnej filiżanki wykonanej z prakamienia mógł zarysować stal lub diament — a mimo to już trzy z siedmiu zostały rozbite. Widział je, roztrzaskane na kawałki. I widział też, jak Moiraine odcięła cieniutkie pasemko od brzegu kolejnej. Pieczęcie słabły, Światłość tylko wiedziała dlaczego albo w jaki sposób. Dysk w jego dłoniach charakteryzował się twardą gładkością *cuendillara*, niczym mieszanka najlepszej porcelany i wypolerowanej stali — był jednak przekonany, że jeśli go upuści na kamienie pod swymi stopami, rozbije go.

Trzy rozbite. Trzy w jego posiadaniu. Gdzie jest siódma? Tylko cztery pieczęcie odgradzają ludzkość od Czarnego. Cztery, pod warunkiem, że ta ostatnia jest jeszcze cała. Tylko cztery odgradzają ludzkość od Ostatniej Bitwy. W jakim stopniu, skoro są tak osłabione?

Głos Lewsa Therina zahuczał niczym grzmot.

„Rozbij to, rozbij je wszystkie, musisz je rozbić, musisz, musisz, musisz, rozbij je wszystkie i zaatakuj, musisz atakować szybko, zaatakuj teraz, rozbij to, rozbij to, rozbij...”

Rand cały zadygotał z wysiłku, jaki włożył w walkę z wewnętrznym głosem, w rozproszenie mgły, która czepiała się go niczym lepka pajęczyna. We wszystkich mięśniach odezwał się ból, jakby walczył z człowiekiem z krwi i kości, z jakimś gigantem. Garstka po garstce upychał tę mgłę, która była Lewsem Therinem, do najgłębszych szczelin, do najgłębszych cieni, jakie potrafił znaleźć w swoim umyśle.

Usłyszał nagle, że sam mruczy ochryple:

— Musisz to rozbić teraz, rozbić je wszystkie, rozbić to, rozbić to, rozbić to.

Zorientował się, że trzyma ręce uniesione do góry, że trzyma w nich pieczęć, gotów ją zaraz roztrzaskać o biały chodnik. Powstrzymywał go przed tym jedynie Bashere, który stanął na czubkach palców i złapał go za ramiona.

— Nie wiem, co to takiego — rzekł cicho Bashere — ale jak mi się zdaje, powinieneś się zastanowić, zanim to rozbijesz. Mam rację?

Tumad i pozostali nie patrzyli już na Taima, gapili się wytrzeszczonymi oczyma na Randa. Nawet Panny przeniosły wzrok na niego, wzrok pełen troski. Sulin zrobiła pół kroku w stronę mężczyzn, zaś Jalami wyciągnęła rękę w stronę Randa, takim ruchem, jakby nie zdawała sobie z tego sprawy.

— Nie. — Rand przełknął ślinę; bolało go gardło. — Chyba nie powinienem. — Bashere dał powoli krok w tył, a Rand równie powoli opuścił pieczęć. Jeśli przedtem uważał, że Taima nic nie jest w stanie wytrącić z równowagi, to miał teraz dowód, że wcale tak nie jest. Twarz mężczyzny odzwierciedlała przeżyty wstrząs. — Wiesz, co to takiego, Taim? — spytał ostrym tonem Rand. — Musisz wiedzieć, bo inaczej nie przyniósłbyś mi tego. Gdzie to znalazłeś? Masz jeszcze jedną? Wiesz, gdzie jest ta druga?

— Nie — odparł Taim niepewnym głosem. Właściwie nie ze strachem; bardziej jak człowiek, który w jednej chwili stał na skraju urwiska i czuł, jak ono nieoczekiwanie usuwa mu się spod nóg, a potem nagle, nie wiedzieć jak, wylądował bez szwanku na ubitej ziemi. — To jest jedyna, którą... słyszałem najrozmaitsze plotki od czasu, kiedy uciekłem z rąk Aes Sedai. Potwory wyskakujące znikąd. Dziwne bestie. Ludzie przemawiający do zwierząt i zwierzęta, które im odpowiadają. Aes Sedai popadające w obłąd, tak jak nam to jest pisane. Całe wsie popadające w obłąd, zabijające się wzajem. Część tego mogła zdarzyć się naprawdę. A połowie innych zdarzeń, które z kolei rzeczywiście miały miejsce, towarzyszyło nie mniejsze szaleństwo. Słyszałem, że kilka pieczęci popękało. Tę mógłby rozbić byle młotek.

Bashere zmarszczył brwi, zagapił się na pieczęć w dłoniach Randa, po czym głośno stęknął, gdy zaparło mu dech. Zrozumiał.

— Gdzie ją znalazłeś? — powtórzył Rand. Gdyby udało się znaleźć ostatnią... To co wtedy? Lews Therin nadal się awanturował, ale on z uporem nie słuchał.

— W ostatnim miejscu, jakie byś podejrzewał — odparł Taim — od którego, jak przypuszczam, należy zacząć poszukiwania innych. Podupadła, niewielka farma w Saldaei. Tę pieczęć dał mi właściciel tej farmy, kiedy się tam zatrzymałem w poszukiwaniu wody. Był stary, nie miał dzieci ani wnuków, którym mógłby ją przekazać i uważał, że jestem Smokiem Odrodzonym. Twierdził, że jego rodzina strzegła jej od ponad dwóch tysięcy lat. Twierdził, że byli królami i królowymi w czasach wojen z Trollokami i arystokratami za Artura Hawkwinga. Całkiem możliwe, że mówił prawdę. Opowieść wcale nie była bardziej nieprawdopodobna niżli fakt, że pieczęć znalazła się w chacie położonej w odległości zaledwie kilku dni jazdy od Granicy z Ugorem.

Rand przytaknął, po czym pochylił się, by pozbierać gałganki. Przywykł już, że wokół niego dzieją się rzeczy niezwykle; niekiedy musiały się też dziać i gdzie indziej. Pospiesznie owinąwszy pieczęć, podał ją Bashere.

— Strzeż jej jak oka w głowie.

„Rozbij ją!”

Z całą siłą stłumił natrętny głos.

— Nie wolno dopuścić, by coś się z nią stało.

Bashere z czcią wziął zawiniątko w obie ręce. Rand nie był pewien, czy skłonił się przed nim czy przed pieczęcią.

— Będzie bezpieczna i przez dziesięć godzin, i przez dziesięć lat, dopóki nie będziesz jej potrzebował.

Rand przyglądał mu się przez chwilę.

— Wszyscy się spodziewają, że oszaleję i boją się tego; wszyscy, ale nie ty. Przed momentem musiałeś pomyśleć, że oszalałem na dobre, ale nawet wtedy się mnie nie bałeś.

Bashere wzruszył ramionami, uśmiechając się szeroko pod posiwiałymi wąsami.

— Kiedy po raz pierwszy spałem w siodle, marszałkiem — generałem był Muad Cheade. Ten człowiek był równie szalony jak zając podczas wiosennej odwilży. Dwa razy dziennie rewidował osobistego sługę, czy ten nie ma przy sobie trucizny, i nie pił nic prócz octu i wody, jego zdaniem neutralizujących blekoty, którymi rzekomo był przezeń pojony, ale tak długo jak go znałem, jadał wszystko, co tamten mu przyrządził. Raz kazał ściąć cały zagajnik dębowy, ponieważ rzekomo go obserwował. A potem uparł się, by dać wszystkim drzewom porządną pochówkę; sam wygłosił mowę pogrzebową. Masz pojęcie, ile czasu trwa wykopanie grobów dla dwudziestu trzech dębów?

— Dlaczego nikt nic nie zrobił? Jego rodzina na przykład?

— Ci, którzy nie byli aż tak obłąkani jak on, albo dla odmiany byli bardziej, bali się wręcz spojrzeć na niego z ukosa. Zresztą ojciec Tenobii nie pozwoliłby nikomu tknąć Cheade. Może i postradał zmysły, ale nie znałem lepszego odeń generała. Nigdy nie przegrał żadnej bitwy. Nigdy nawet nie otarł się o przegraną.

Rand roześmiał się.

— Idziesz więc za mną, bo myślisz, że jestem lepszym generałem od Czarne-go?

— Idę za tobą, bo jesteś, kim jesteś — odparł cicho Bashere. — Świat musi pójść za tobą, bo inaczej ci, którzy przeżyją, będą żałowali, że nie umarli.

Rand wolno skinął głową. Proroctwa twierdziły, że on będzie rozbijał i na powrót scalał narody. Wcale tego nie chciał, ale Proroctwa stanowiły jego jedyną wskazówkę, jak ma walczyć w Ostatniej Bitwie, żeby ją wygrać. Nawet bez nich zresztą uważał, że owo scalanie jest konieczne. Ostatnia Bitwa to nie będzie tylko pojedynek jego z Czarnym. Nie potrafił w to uwierzyć; nawet jeśli popadał w obłąd, to jeszcze nie był aż tak szalony, by uwierzyć, że jest kimś więcej niż zwykłym człowiekiem. To będzie bój całej ludzkości z trollokami, Myrddraalami i w ogóle wszelkimi odmianami Pomiotu Cienia, jakie był w stanie wyrzygać z siebie Ugór, a także Sprzymierzeńcami Ciemności, którzy wtedy opuszczą swe kryjówki. Poza tym przy drodze do Tarmon Gaidon czyhały jeszcze inne niebezpieczeństwa, więc jeśli świat nie zostanie zjednoczony. . .

„Rób to, co trzeba zrobić”.

Nie miał pewności, czy on to pomyślał czy Lews Therin, ale taka była prawda, jakkolwiek by patrzeć.

Podszedł szybko do najbliższej kolumnady i ponad ramieniem rzucił w stronę Bashere:

— Zabieram Taima na farmę. Chcesz jechać ze mną?

— Na farmę? — spytał Taim.

Bashere pokręcił głową.

— Dziękuję, ale nie — odparł sucho. Mógł nie okazywać strachu, ale Rand i Taim razem zapewne przekraczali granice jego wytrzymałości; z pewnością unikał farmy. — Moi ludzie miękną w służbie patrolowania ulic, którą im nakazałeś. Zamierzam kilku z nich wsadzić z powrotem w siodła; przez kilka godzin posiedzą sobie w nich, co im dobrze zrobi. Zamierzałeś dziś po południu dokonać inspekcji oddziałów. Czy twoje plany uległy zmianie?

— Na jaką farmę? — dopytywał się Taim.

Rand westchnął, nagle uprzytamniając sobie, jak jest zmęczony.

— Nie, nic się nie zmieniło. Zjawię się, jeśli zdołam. — Inspekcja była zbyt ważna, by z niej zrezygnować, mimo iż nie wiedział o niej nikt prócz Bashere i Mata; nie mógł dopuścić, by ktoś zaczął podejrzewać, że wizyta nie ma zwykłego charakteru, kolejna, bezużyteczna ceremonia zorganizowana na cześć człowieka, który coraz bardziej się przyzwyczajają do pompy towarzyszącej jego pozycji, na cześć Smoka Odrodzonego, który chce posłuchać owacji, zgotowanych mu przez jego żołnierzy. Tego dnia czekały go jeszcze jedne odwiedziny, a wszyscy mieli pomyśleć, że chce je zataić. Być może nawet udałoby się je zachować w tajemnicy przed większością, nie wątpił jednak, że tym, którzy będą się chcieli o nich dowiedzieć, uda się to na pewno.

Wziął do ręki miecz, wsparty o jedną z wąskich kolumn, i przypasał go do nie zapiętego kaftana. Pas został wykonany z niczym nie ozdobionej, ciemnej skóry dzika, podobnie pochwa i długa rękojeść; dekoracyjna sprzączka miała kształt misternie odrobionego smoka z trawionej stali inkrustowanej złotem. Powinien się pozbyć tej sprzączki, znaleźć coś prostszego. Ale nie potrafił się do tego zmusić. To był dar od Aviendhy. I dlatego właśnie powinien się go pozbyć. Nie miał pojęcia, jak się wyrwać z tego błędnego koła.

Coś jeszcze na niego czekało, kikut włóczni długości dwóch stóp, z zielono-białym ozdobnym chwastem przy grocie. Podniósł ją, kiedy z powrotem odwracał się twarzą do dziedzińca. Jedna z Panien wyrzeźbiła w krótkim drzewcu Smoki i niektórzy ludzie już je nazywali Berłem Smoka, zwłaszcza Elenia i reszta towarzystwa. Rand zatrzymał ten przedmiot, żeby mu przypominał, iż wrogów ma więcej, nie tylko tych, których zna.

— O jakiej ty farmie mówisz? — Głos Taima stwardniał. — Gdzie jest to miejsce, do którego mnie zabierasz?

Rand przypatrywał mu się przez dłuższą chwilę. Taim mu się nie spodobał. Ze względu na swój sposób bycia. A może powinien w sobie doszukiwać się przyczyn. Od tak dawna był jedynym człowiekiem, który mógł pomyśleć o przenoszeniu i nie oglądać się natychmiast przez ramię, spocony na myśl o Aes Sedai. No cóż, wydawało mu się tylko, że tak było od dawna, wiedział jednak z całą pewnością, że Aes Sedai nie będą próbowały go poskromić, nie teraz, kiedy już wiedziały, kim jest. Czy to mogło być aż takie proste? Zazdrość, że przestał być kimś wyjątkowym? Nie sądził, by tak rzeczywiście było. Pomijając inne względy,



bardzo by go uradowali inni mężczyźni potrafiący przenosić, którzy mogliby bez przeszkód wędrować po świecie. Przestałby nareszcie być dziwołagiem. Nie, aż tak daleko to by nie sięgało, nie po tej stronie Tarmon Gaidon. Był kimś wyjątkowym, był Smokiem Odrodzonym. Niemniej jednak, nie wiedzieć dlaczego, ten człowiek mu się nie podobał.

„Zabij go! — wrzasnął Lews Therin. — Zabij ich wszystkich!”

Rand zduślił krzyk tamtego. Nie musiał lubić Taima, żeby go wykorzystać. I żeby mu zaufać. To wydawało się ze wszystkiego najtrudniejsze.

— Zabieram cię tam, gdzie będziesz mógł mi służyć — powiedział chłodnym tonem. Taim ani się nie wzdrygnął, ani nie skrzywił; patrzył tylko i czekał, kąciki jego ust drżały przez chwilę w grymasie niemalże bliskim uśmiechu.

## OCZY KOBIETY

Tłamsząc w sobie irytację — a także pomrukiwania Lewsa Therina — Rand sięgnął do *saidina*, po czym rzucił się w wir dobrze już znanej walki o zapanowanie nad jego strumieniem i przetrwanie w samym środku skorupy Pustki. Przeniósł, czując, jak skaza rozlewa się po całym jego wnętrzu; był otoczony Pustką, a jednak czuł, jak przenika przez kości, może do samej duszy. Nie potrafił opisać, co zrobił, prócz tego, że stworzył fałdkę we Wzorze, otwór. Tego nauczył się na własną rękę; jego nauczyciel nie był najlepszy, nawet w tłumaczeniu tego, co kryło się za rzeczami, których go uczył. W powietrzu pojawiła się oślepiająca pionowa kreska, która rozszerzała się szybko, stając się otworem wielkości dużych drzwi. Ściśle mówiąc, zdawała się obracać razem z roztaczającym się za nią widokiem, zalaną słońcem polaną okoloną przez wymęczone suszą drzewa. Otwór po raz ostatni zawirował wokół własnej osi i znieruchomiał.

Enaila i dwie inne Panny zasłoniły twarze, a potem przeskoczyły na drugą stronę, jeszcze zanim brama skrzepła; ich śladem poszło pół tuzina następnych, niektóre już trzymały w dłoniach rogowe łuki. Rand jednak wcale nie uważał, by w tym miejscu musiały go przed czymkolwiek strzec. Drugą stronę bramy — o ile ona miała jakąś drugą stronę; nie pojmował tego, ale wydawało mu się, że ona ma tylko jedną stronę — ustawił na polanie, ponieważ w trakcie otwierania się mogła być niebezpieczna dla znajdujących się akurat w jej pobliżu ludzi, ale mówienie Pannom czy jakimkolwiek Aielom, że nie muszą podejmować środków ostrożności, było jak tłumaczenie rybom, że nie muszą pływać.

— To jest brama — wyjaśnił Taimowi — Pokażę ci, jak się taką robi, jeśli się nie połapałeś.

Mężczyzna wpatrywał się w niego oniemiały. Jeśli obserwował uważnie, to powinien był zauważyć sploty *saidina* utkane przez Randa; każdy człowiek potrafiący przenosić byłby w stanie to zrobić.

Taim razem z nim przeszedł przez otwór. A za nimi Sulin i pozostałe Panny. Mijały go gęsiego, obrzucając miecz u jego biodra wzgardliwymi spojrzeniami, i pogrążone w milczeniu migotały mową gestów. Bez wątpienia dając upust obrzydzeniu. Enaila i przednia straż już się rozbiegły wśród skarłowaciałych drzew, skutecznie stapiając z cieniami, niezależnie od tego, czy do szaro-

ści i brązów ich kaftanów, spodni i *cadinsor* dodały jakieś zielenie. Dzięki Mocy przepelniającej jego wnętrze Rand widział z osobna każdą uschłą igłę na poszczególnych otaczających ich sosnach; więcej uschłych niż żywych. Czuł kwaśną woń żywicy skórzanych drzew. Samo powietrze pachniało żarem, suche i pyliste. Nic mu tutaj nie groziło.

— Zaczekaj, Randzie al’Thor! — dobiegł go zniecierpliwiony głos z drugiej strony bramy. Głos Aviendhy.

Rand natychmiast wypuścił splot i *saidina*; brama zamigotała i przestała istnieć, równie nagle jak się pojawiła. Bywały niebezpieczeństwa i niebezpieczeństwa. Taim przyglądał mu się z ciekawością. Niektóre z Panien, zarówno te z zasłonami na twarzach, jak i te bez nich, też patrzyły na niego przez chwilę. Z dezaprobatą. Znowu zamigotały palce w ich bitewnej mowie. Ale miały dość rozumu, by trzymać języki na wodzy; w tej kwestii wypowiedział się jasno.

Jednako lekceważąc ciekawość i dezaprobatę, Rand zaczął przedzierać się między drzewami z Taimem u boku; po drodze towarzyszył im akompaniament trzasku uschłych liści i gałązek. Panny, otaczające ich szerokim kręgiem, nie robiły żadnego hałasu dzięki miękkim butom sznurowanym do kolan. Przestały go ganić wzrokiem, skoncentrowane wyłącznie na wypełnianiu swoich obowiązków. Niektóre już wcześniej odbyły z Randem podobną wyprawę, zawsze odbywało się bez incydentów, ale nadal były przekonane, że te lasy nie stanowią dobrego miejsca na zasadzkę. Do pojawienia się Randa życie w Pustkowiu stanowiło liczący trzy tysiące lat korowód napaści, potyczek, waśni krwi i wojen, nie ustający nawet na krótko.

Z pewnością mógł się nauczyć wielu rzeczy od Taima — choć może nie aż tylu, jak się tamtemu wydawało — niemniej jednak zanosilo się na to, że proces nauczania będzie przebiegał w obie strony, doszedł więc do wniosku, że ta chwila jest równie odpowiednia jak każda inna, by rozpocząć ten proces.

— Prędzej czy później, jeśli pójdziesz za mną, natkniesz się na Przeklętych. Może jeszcze przed Ostatnią Bitwą. Nie wydajesz się szczególnie zdziwiony.

— Dochodzą mnie różne plotki. A więc jednak wydostali się na wolność.

To znaczyło, że wieść się rozeszła. Rand mimo woli uśmiechnął się szeroko. Aes Sedai nie będą zachwycone. Niezależnie od innych rzeczy, przyjemnie było zagrać im na nosie.

— W każdej chwili można się wszystkiego spodziewać. Trolloków, Myrddrali, Draghkarów, Szarych Ludzi, Gholam. . .

Zawahał się, gładząc długą rękojeść miecza dłonią z odcisniętym w niej piętnem czapli. Nie miał pojęcia, czym jest Gholam. Lews Therin nie zdradzał swej obecności, ale on wiedział, że to od niego zna ten termin. Zdarzało się, że różne odpryski i drobiazgi, zazwyczaj nie opatrzone żadnym wyjaśnieniem, przenikały tę cienką barierę, jaka go dzieliła od głosu tamtego, stając się częścią własnych wspomnień. Ostatnimi czasy dochodziło do tego coraz częściej. Nie potrafił w za-

den sposób temu zapobiec, podobnie jak nie potrafił stłumić na zawsze jego głosu. Wahał się tylko chwilę.

— Nie tylko na północy, w pobliżu Ugoru. Również tutaj i w ogóle wszędzie. Oni posługują się Drogami. — Był to kolejny problem, z którym należało się uporać. Tylko jak? W Drogach stworzonych z *saidina* i równie skażonych jak *saidin* panowały teraz ciemności. Pomiot Cienia nie mógł uniknąć wszystkich niebezpieczeństw, które były zabójcze — w bardziej lub mniej drastyczny sposób — dla ludzi, a jednak jakoś potrafili wykorzystać Drogi, i nawet jeśli nimi nie można się było przemieszczać tak szybko jak za pomocą bram, Podróżowania lub Przemykania, to i tak pozwalały na pokonywanie setek mil w ciągu jednego dnia. Problem do rozwiązania, ale później. Zbyt wiele było tych problemów odłożonych na potem. I zbyt wiele problemów na teraz. Z irytacją zdzielił Berłem Smoka pień skórzanego drzewa; na ziemię posypały się szczątki szerokich twardych liści, przeważnie całkiem zbrązowiałych. — Możesz się spodziewać, że ujrzysz urzeczywistnienie każdej legendy. Nawet Psy Czarnego, które ponoć ganiają po nocy z Dzikim Gonem; całe szczęście, że Czarny jeszcze nie odzyskał wolności, więc nie może im towarzyszyć. Niemniej jednak i bez niego wszystkie te stwory są groźne. Niektóre możesz zabić, tak jak to zostało opisane w legendach, ale niektórych nic nie zabije prócz ognia stosu, jestem tego pewien. Wiesz, co to jest ogień stosu? Jest to jedna z rzeczy, których cię nie nauczę, jeśli nie wiesz, na czym polega. Jeśli zaś wiesz, czym jest ogień stosu, to nie używaj tej wiedzy przeciwko niczemu prócz Pomiotu Cienia. I nie przekazuj jej nikomu.

— Źródłem niektórych zasłyszanych przez ciebie plotek mogły być... „bańki zła”; inaczej tego nazwać nie potrafię. Myśl o nich jak o bańkach, które czasami wykwitają na powierzchni bagna, tyle że źródłem ich jest Czarny; są coraz częstsze w miarę słabnięcia pieczęci, a zamiast zgniłych woni, pełne są... no cóż, zła. Długo dryfują po powierzchni Wzoru, aż nie pękną, a wtedy może się zdarzyć wszystko. Dosłownie wszystko. Twoje własne odbicie może wyskoczyć z lustra i próbować cię zabić. Uwierz mi.

Taim nie dał po sobie poznać, czy ta litania nim wstrząsnęła. Powiedział tylko:

— Byłem w Ugorze; zabijałem już trolloki i Myrddraale. — Odepchnął gałąź tarasującą drogę i przytrzymał ją, by Rand mógł przejść. — Nigdy nie słyszałem o ogniu stosu, ale jeśli zaatakuje mnie Pies Czarnego, to znajdę jakiś sposób, żeby go zabić.

— To dobrze. — Rand skwitował tym stwierdzeniem zarówno ignorancję, jak i pewność siebie Taima. Ogień stosu był jedynym okruczem wiedzy, który jego zdaniem mógł całkowicie zniknąć ze świata. — Jak będziesz miał szczęście, to tutaj nie znajdziesz niczego takiego, ale żadnej pewności mieć nie można.

Za lasem, który urwał się nagle, rozciągało się podwórko farmy. Oprócz wyraźnie chylącej się ku upadkowi wielkiej stodoły stała też szeroka chata kryta strzechą, złożona z dwóch naruszonych zębem czasu pięt; z jednego komina

unosił się dym. Dzień nie był tutaj chłodniejszy niż w oddalonym o kilka mil mieście, słońce prażyło równie bezlitośnie. Stadko kur rozgrzebywało pazurami ziemię, dwie ciemnobrązowe krowy przeżuwały trawę na otoczonym ogrodzeniem pastwisku, kilka spętanych czarnych kóz zapamiętałe odzierało z liści wszystkie krzaki w ich zasięgu, w cieniu stodoły stała fura z wysokimi kołami, a jednak cała posiadłość w ogóle nie przypominała farmy. Nie widziało się żadnych pól; podwórko z wszystkich stron otaczała lita ściana lasu, przecięta w jednym miejscu bitą drogą, która wiodła zakosami na północ; używano jej podczas rzadkich wypraw do miasta. A poza tym na farmie mieszało podejrzanie wielu ludzi.

Cztery kobiety, wszystkie — prócz jednej w średnim wieku — wieszaly pranie na dwóch sznurach, a wśród kur bawiło się kilkanaścioro dzieci, przy czym żadne nie miało więcej jak dziewięć lat. Po podwórku kręcili się również mężczyźni, zajęci przeważnie codziennymi pracami. Było ich dwudziestu siedmiu, aczkolwiek nazywanie niektórych mężczyznami stanowiłoby przesadę. Eben Hopwil, chuderlawy chłopak, który właśnie wyciągał wiadro z wodą ze studni, twierdził, że ma dwadzieścia lat, choć z całą pewnością był o cztery albo pięć lat młodszy. W jego twarzy spojrzenie przyciągały natychmiast wydatny nos i odstające uszy. Fedwin Morr, jeden z trzech mężczyzn, którzy pocili się na dachu przy wymianie starej strzechy, znacznie silniejszy i nie tak przyszczaty, z pewnością nie był od tamtego starszy. Ponad połowa mężczyzn miała zaledwie trzy albo cztery lata więcej od tych dwóch. Rand omal nie odesłał niektórych do domu, przynajmniej postąpiłby tak w przypadku Ebena i Fedwina, gdyby nie fakt, że Biała Wieża przyjmowała nowicjuszeki równie młode, a czasami nawet młodsze. Na kilku głowach spod ciemnych włosów prześwitywała siwizna, a Damer Flinn, z pobrużdżoną twarzą, który przed stodołą za pomocą okorowanych gałęzi, kuśtykając, pokazywał dwóm młodszym mężczyznom, jak się włada mieczem, zachował jedynie cieniutki kosmyk siwych włosów. Damer służył niegdyś w Gwardii Królowej, dopóki murandiańska lanca nie przeszła mu uda. Nie umiał zbyt dobrze posługiwać się mieczem, ale najwyraźniej potrafił pokazać innym, jak nim władać, żeby się nie dać trafić w nogę. Większość mężczyzn pochodziła z Andoru, kilku z Cairhien. Nie dotarł jeszcze nikt z Łzy, mimo iż amnestia została ogłoszona również tam; droga z tak daleka musiała trochę potrwać.

Damer oczywiście pierwszy zauważył Panny; odrzucił gałąź i skierował uwagę swych uczniów na Randa. Potem Eben z krzykiem wypuścił wiadro z rąk, cały ochlapując się wodą, i w tym momencie wszyscy już biegli tłumnie, pokrzykując, w stronę domu, gdzie zbili się w pełną niepokoju gromadkę za plecami Damera. Z wnętrza domostwa wyłoniły się jeszcze dwie odziane w fartuchy kobiety; twarze miały zarumienione od ognia, zaraz pomogły pozostałym spędzić dzieci.

— Oto oni — wyjaśnił Rand Taimowi. — Została ci jeszcze prawie połowa dnia. Ilu możesz sprawdzić? Chcę wiedzieć, których można od razu zacząć uczyć.

— To towarzystwo zostało chyba wygrzebane z samego dna. . . — zaczął Taim

pogardliwym tonem, po czym zatrzymał się na samym środku podwórka wpatrzony w Randa. Kury rozgrzebywały piach wokół jego stóp. — To ty żadnego jeszcze nie sprawdziłeś? Jakże, w imię...? Nie potrafisz, prawda? Potrafisz Podróżować, a nie wiesz, jak się sprawdza talent.

— Niektórzy tak naprawdę wcale nie chcą przenosić. — Rand zwolnił uścisk na rękojeści miecza. Nie miał chęci przyznawać się przed tym człowiekiem do poważnych luk w wiedzy. — Niektórzy nie myśleli dotąd o niczym innym poza szansą na zdobycie sławy, bogactwa albo władzy. Ja jednak chciałbym zatrzymać każdego, który będzie zdolny się uczyć, niezależnie od motywów, jakimi się kieruje.

Zebrani pod stodołą uczniowie — mężczyźni, którzy mieli zostać uczniami — obserwowali jego i Taima z pozornym opanowaniem. Ostatecznie każdy z nich przybył do Caemlyn w nadziei, że będzie pobierał nauki u Smoka Odrodzonego, albo tak mu się wydawało. Patrzyli natomiast z ostrożną fascynacją, a nawet niepokojem na Panny, które rozbiegły się we wszystkie strony podwórka, po czym zaczęły buszować wokół domu i stodoły. Kobiety przyciskały dzieci do spódnic, ze wzrokiem utkwionym w Randzie i Taimie, a na ich twarzach można było oglądać przejawy najrozmaitszych emocji, poczynając od beznamiętnych spojrzeń, a skończywszy na pełnym zdenerwowaniu zagryzaniu warg.

— Chodź — powiedział Rand. — Czas, byś poznał swoich uczniów.

Taim zwlekał.

— Naprawdę tego ode mnie chcesz? Naprawdę mam uczyć te żałosne szumowiny? Nie wiadomo, czy w ogóle są wśród nich tacy, których można czegoś nauczyć. Ilu takich zamierzasz znaleźć w tej garstce, która przyplątała się do ciebie przypadkiem?

— To jest ważne, Taim. Sam bym to robił, gdybym potrafił, gdybym miał czas. — Czas stanowił kluczowy problem, zawsze go brakowało. A on przyznał się, mimo iż od tego cierpł mu język. Zrozumiał, że niespecjalnie przepada za Taimem, ale wcale przecież nie musiał go lubić. Nie czekał i po chwili drugi mężczyzna dogonił go długimi krokami. — Sam wspomniałeś o zaufaniu. W tej sprawie ja ci ufam.

„Nie ufaj! — dyszał Lews Therin z jakichś mrocznych zakamarków. — Nigdy nikomu nie ufaj! Zaufanie równa się śmierci!”

— Poddaj ich sprawdzianom i zacznij nauczać, jak tylko będziesz wiedział, który jest do tego zdolny.

— Jak Lord Smok rozkaże — burknął niechętnie Taim, kiedy dotarli do oczekującej ich grupy. Powitały ich ukłony, żaden specjalnie zgrabny.

— To jest Mazrim Taim — obwieścił Rand. Rzecz jasna otworzyli szeroko usta i wytrzeszczyli oczy. Niektórzy z młodszych mężczyzn wpatrywali się w niego tak, jakby uważali, że on i Taim przybyli tutaj po to, żeby się bić; kilku zdawało się mieć wyraźną ochotę na takie widowisko. — Przedstawcie mu się. Od dzisiaj

on was będzie uczył.

Taim popatrzył na Randa z zaciśniętymi ustami, kiedy uczniowie powoli zgromadzili się przed nim i zaczęli podawać swoje nazwiska.

Reakcje mężczyzn, mówiąc ściśle, były rozmaite. Fedwin skwapliwie wystąpił naprzód, stając tuż obok Damera, Eben zaś pozostał z tyłu z pobladłą twarzą. Inni ustawili się gdzieś pomiędzy, pełni wahania i niepewności, ale ostatecznie odzywali się. Oświadczenie Randa oznaczało dla niektórych koniec całych tygodni oczekiwania, a być może również koniec całych lat marzeń. Tego dnia zaczynała się rzeczywistość, a rzeczywistość mogła oznaczać przenoszenie, wraz z wszystkim tym, z czym ono się wiązało w przypadku mężczyzny.

Zwalisty, ciemnooki mężczyzna, sześć, może siedem lat starszy od Randa, nie zwracając uwagi na Taima, ukradkiem odsunął się od pozostałych. Jur Grady, odziany w zgrzebny, farmerski kaftan, stanął przed Randem, przestępując z nogi na nogę i miętosząc sukienną czapkę w kanciastych dłoniach. Wbił wzrok w nią, a może w ziemię pod podeszwami zniszczonych butów, bardzo rzadko popatrując na Randa.

— Uhm. . . Lordzie Smoku, tak się zastanawiałem. . . uhm. . . mój tatko pilnuje mojego poletka, to dobry kawał ziemi, jak strumień nie wysycha. . . może jeszcze tam co rośnie, o ile padało i. . . i. . . — Zmiał czapkę i na powrót ją rozprostował. — Zastanawiałem się, czy jednak nie wrócić do domu.

Kobiety unikały Taima. Silnie przyciskały dzieci do swych sukien i obserwowały to wszystko, ustawione w milczący szereg świecący zmartwionymi oczyma. Sora Grady, pulchna, jasnowłosa, z czteroletnim chłopcem bawiącym się jej palcami, była najmłodsza. Te kobiety przybyły tu w ślad za mężami, ale Rand podejrzewał, że połowa rozmów między żonami i mężami sprowadzała się ostatecznie do wyjazdu. Pięciu mężczyzn już wyjechało, sami żonaci, mimo iż żaden nie podał małżeństwa jako powodu rezygnacji. Jaka kobieta patrzyłaby spokojnie na własnego męża, który czeka na to, kiedy go złączą uczucie przenoszenia? To przecież musiało wyglądać w jej oczach tak, jakby oczekiwał na moment egzekucji.

Niektórzy twierdzili, że to w ogóle nie jest miejsce dla rodzin, ale najprawdopodobniej również ci sami mówili, że mężczyźni też wcale nie powinny tutaj być. Zdaniem Randa, Aes Sedai popełniły błąd, izolując się od świata. Mało kto wchodził do Białej Wieży oprócz Aes Sedai, kobiet, które chciały zostać Aes Sedai oraz tych, którzy im służyli; jedynie niewielka garstka szukających pomocy, i to tylko wówczas, gdy byli już bardzo zdeterminowani. Te Aes Sedai, które opuszczały Wieżę, trzymały się zazwyczaj z daleka od innych ludzi, a niektóre nie wychodziły z niej nigdy. W ich oczach ludzie stanowili pionki do gry, a świat planszę, nie zaś miejsce, w którym się żyje. Dla nich realna była jedynie Biała Wieża. Żaden człowiek nie potrafił zapomnieć o świecie i zwykłych ludziach, kiedy patrzył na swoją rodzinę.

To wszystko musiało przetrwać do Tarmon Gaidon — zatem jak długo? Rok? Dwa lata? — choć, tak naprawdę, pytanie brzmiało, czy w ogóle całe przedsięwzięcie się powiedzie. Może, jakoś. Zmusi ich, by dotrwali. Rodziny będą przypominać tym mężczyznom, o co toczy się walka.

Sora nie odrywała wzroku od Randa.

— Odejdź, jeśli chcesz — oznajmił Jurowi. — Póki nie zaczniesz się uczyć przenoszenia, możesz odejść w każdej chwili. Ale jak już zrobisz ten pierwszy krok, to staniesz się żołnierzem. Wiesz, że podczas Ostatniej Bitwy będziemy potrzebowali każdego żołnierza, Jur. Cień będzie miał nowych Władców Strachu, zdolnych do przenoszenia; nie ma mowy, by było inaczej. Ale to twój wybór. Może na swojej farmie jakoś wszystko przemyślisz. Na świecie z pewnością istnieją takie miejsca, gdzie da się uniknąć tego, co nadchodzi. Liczę na to. W każdym razie my wszyscy tutaj zrobimy, co możemy, by takich miejsc było jak najwięcej. Przedstaw się przynajmniej Taimowi. Byłaby szkoda, gdybyś odjechał, nie wiedząc nawet, czy jesteś zdolny do nauki.

Odwróciwszy wzrok od zmieszanej twarzy Jura, Rand uciekł spojrzeniem przed wzrokiem Sory.

„I ty potępiasz Aes Sedai za manipulowanie ludźmi” — pomyślał z goryczą. Robił, co musiał robić.

Taim nadal zapoznawał się z nazwiskami podchodzących do niego kolejno członków grupy i nadal rzucał raczej mało pokorne spojrzenia w stronę Randa. I nagle jego cierpliwość jakby się wyczerpała.

— Dość tego! Ci, którzy zostaną tutaj do jutra, przedstawia mi się kiedy indziej. Kto ma zostać sprawdzony pierwszy? — Natychmiast ucichli. Niektórzy, wpatrzeni w niego, nawet nie mrugali. Taim wycelował palec w Damera. — Właściwie to mógłbym zacząć od wyrzucenia ciebie. Podejdź no tu. — Damer nie ruszył się, dopóki Taim nie chwycił go za rękę i nie odciągnął na odległość kilku kroków od pozostałych.

Rand, obserwując ich, też podszedł bliżej.

— Im więcej Mocy jest używane — powiedział Taim Damerowi — tym łatwiej wykryć rezonans. Z drugiej zaś strony zbyt duży rezonans mógłby dokonać nieprzyjemnych rzeczy z twoim umysłem, mógłby cię zabić więc zacznę łagodnie. — Damer zamrugał; najwyraźniej ledwie go rozumiał, wyjąwszy być może stwierdzenie o nieprzyjemnych konsekwencjach i umieraniu. Rand wiedział jednak, że to wyjaśnienie jest przeznaczone dla niego, Taim nie zdradzał w ten sposób jego braków w wiedzy.

Nagle pojawił się mały płomyk, długości cala, roztańczony w powietrzu w równej odległości od wszystkich trzech mężczyzn. Rand czuł Moc wypełniającą Taima, aczkolwiek niewielką porcję, i widział tkany przez niego cieniutki splot Ognia. Widząc płomyk, Rand poczuł zaskakującą ulgę, zaskakującą, ponieważ stanowił on dowód, że Taim rzeczywiście potrafi przenosić. Wstępne wątpliwości



Bashere musiały widocznie odbić się echem w jakimś zakamarku jego umysłu.

— Skup się na tym płomieniu — rozkazał Taim. — Jesteś tym płomieniem; świat jest płomieniem; nie ma nic prócz tego płomienia.

— Nie czuję nic prócz bólu w oczach — mruknął Damer, ocierając pot z czoła wierzchem szorstkiej, pokrytej odciskami dłoni.

— Skup się! — warknął Taim. — Nie gadaj, nie myśl, nie ruszaj się. Skup się.

Damer przytaknął, zamrugał na widok grymasu na twarzy Taima i znieruchomiał, wpatrzony milcząco w płomyk.

Taim zdawał się czymś pochłonięty, czym, Rand nie był pewien; wydawał się jakby czegoś słuchać. Rezonans, powiedział. Rand skupił się, wsłuchany, wyczuwając... coś.

Mijały minuty, w trakcie których żaden z nich nie poruszył ani jednym mięśniem. Pięć, sześć, siedem długich minut, a Damer ledwie mrugnął. Oddychał ciężko i pocił się tak obficie, że ostatecznie wyglądał jak ktoś, komu wylano wiadro wody na głowę. Dziesięć minut.

I nagle, Rand to poczuł. Rezonans. Było to coś niewielkiego, miniaturowe echo cieniutkiego strumienia pulsującego w ciele Taima, ale pochodziło ewidentnie od Damera. Taim nie poruszył się, mimo iż najprawdopodobniej na to właśnie czekał. Może jednak chodziło o coś więcej, a może to nie było to, co Rand wyczuł.

Upłynęła jeszcze jedna minuta, może dwie, i wreszcie Taim skinął głową, po czym uwolnił płomyk *i saidina*.

— Możesz się uczyć... Damer, mam rację? — Dziwił się wyraźnie; bez wątplenia nie wierzył, że już pierwszy testowany człowiek zda sprawdzian, a nadto że okaże się nim łysy starzec. Damer uśmiechał się blado; wyglądał, jakby lada chwila miał wymiotować. — Zdaje się, że nie powinienem się dziwić, jeśli każdy z tych prostaczków zda test — mruknął Taim i zerknął na Randa. — Ty to masz chyba szczęścia za dziesięciu.

Pozostali „prostaczkowie” niepewnie zaszurali podszwami butów. Niektórzy bez wątplenia liczyli, że odpadną. Nie mogli się teraz wycofać, ale gdyby nie zdali, to mogliby wrócić do domu ze świadomością, że jednak próbowali, a nikt nie będzie zmuszał ich do stawienia czoła temu, co się wiązało z pomyślnym przejściem sprawdzianu.

Rand sam poczuł lekkie zdumienie. Ostatecznie nie było nic więcej prócz słabego echa i to on poczuł je wcześniej niż Taim, człowiek, który wiedział, czego szuka.

— Po jakimś czasie dowiemy się, jaką dysponujesz siłą — powiedział Taim, gdy Damer wślizgnął się z powrotem między pozostałych. Ci rozstąpili się, tworząc wokół niego niewielką przestrzeń, nie patrzyli mu w oczy. — Może okaże się, że dorównujesz mi swoją siłą, może nawet obecnemu tutaj Smokowi Odrodzonemu. — Przestrzeń dookoła Damera powiększyła się nieznacznie. — Czas rozstrzygnie. Skoncentruj się w trakcie, gdy ja będę badał pozostałych. Jeśli wy-

ostrzysz zmysły, to może połapiesz się w tym wszystkim, zanim znajdę czterech albo pięciu dalszych. — Przelotne spojrzenie rzucone w stronę Randa mówiło, że te słowa są znowu przeznaczone dla niego. — No dobrze, kto następny? — Nikt się nie poruszył, oprócz Saldaeńczyka, który pogłodził się po brodzie. — Ty. — Wskazał pulchnego jegomościa, około trzydziestki, ciemnowłosego tkacza o nazwisku Kely Huldin. Ze strony grupki kobiet dobiegł szloch jego żony.

Sprawdzenie dwudziestu sześciu musiało potrwać do wieczora, może dłużej. Upał nie upał, dni stawały się coraz krótsze, jakby naprawdę nadchodziła zima, a każdy oblany sprawdzian z konieczności będzie wymagał kilku dodatkowych minut, należało bowiem potwierdzić wynik. Bashere czekał, trzeba też było złożyć wizytę Weiramonowi, a...

— Ciągnij to dalej — przykazał Rand Taimowi. — Wrócę tu jutro, żeby zobaczyć, jak ci poszło. Pamiętaj o zaufaniu, jakie w tobie pokładam.

„Nie ufaj mu” — jęknął Lews Therin. Ten głos zdawał się pochodzić od jakiejś postaci zaczajonej w cieniach głowy Randa. „Nie ufaj. Zaufanie to śmierć. Zabij go. Zabij ich wszystkich. Och, umrzeć i skończyć, skończyć z tym wszystkim, spać bez snów, snów o Ilyenie, wybac mi, Ilyeno, żadnego przebaczenia, tylko śmierć, zasłużyłem na to, by umrzeć...”

Rand odwrócił się, nim walka tocząca się w jego wnętrzu zdążyła się uzewnętrznić na twarzy.

— Jutro, jeśli będę mógł.

Taim dogonił go, kiedy razem z Pannami byli już w połowie drogi do drzew.

— Gdybyś został chwilę dłużej, mógłbyś się nauczyć, na czym polega ten sprawdzian. — W jego głosie słychać było nutę rozdrażnienia. — Pod warunkiem, że rzeczywiście znajdę jeszcze czterech czy pięciu, czemu zresztą wcale bym się nie dziwił. Ty naprawdę masz szczęście Czarnego. Zakładam, że chcesz się uczyć. No chyba że zamierzasz wszystko zwalić na moje barki. Ostrzegam cię, to trochę potrwa. Tego Damera, choćbym go nie wiem jak poganiał, czeka jeszcze wiele dni albo tygodni, zanim zaczniesz w ogóle wyczuwać *saidina*, nie mówiąc już o jego pochwyceniu. I to samym tylko pochwyceniu, a nie przenoszeniu bodaj iskierek.

— Pojąłem już, na czym polega sprawdzian — odparł Rand. — Nie było to trudne. I rzeczywiście zamierzam cię tym wszystkim obarczyć, chyba że znajdziesz kilku takich, których uda ci się wyszkolić do pomocy. Pamiętaj, co ci przykazałem, Taim. Ucz ich jak najszybciej.

Kryły się za tym niebezpieczeństwa. Nauka przenoszenia żeńskiej połowy Prawdziwego Źródła polegała na nauce obejmowania, tak przynajmniej wyjaśniano Randowi, na nauce poddawania się czemuś, co ostatecznie stawało się posłuszne, ale najpierw trzeba się było temu podporządkować. W rezultacie kierowało się ogromną siłą, która nie mogła wyrządzić szkody, chyba że została niewłaściwie użyta. Dla Elayne i Egwene było to coś całkiem naturalnego; Rand ledwie

potrafił dać wiarę tym tłumaczeniom. Przenoszenie męskiej połowy polegało na nieustającym boju o panowanie i przetrwanie. Wskoczyłeś w to zbyt głęboko, zbyt szybko, i już byłeś małym, bezbronnym chłopcem, ciśniętym do bitwy przeciwko uzbrojonemu po zęby wrogowi. A nawet jak już się nauczyłeś, to *saidin* i tak mógł cię zniszczyć, zabić albo zamroczyć ci umysł, o ile zwyczajnie nie wypalał w tobie zdolności przenoszenia. Identyczną cenę, jaką Aes Sedai kazały płacić złapanym przez siebie mężczyznom potrafiącym przenosić, można było wyegzekwować na samym sobie w jednym momencie beztroski, w jednej chwili, podczas której człowiek przestawał się pilnować. Co wcale nie znaczyło, by któryś ze zgromadzonych przed stodołą mężczyzn miał na to ochotę. Obdarzona krągłą twarzą żona Kelyego Huldina schwyciła go za koszulę i zaczęła szeptać mu coś z przejęciem do ucha. Kely niepewnie kręcił głową, a pozostali żonaci mężczyźni patrzyli niepewnie w stronę swych połowic. Niemniej jednak to była wojna, a wojna oznacza ofiary, nawet wśród żonatych mężczyzn. Świątłości, tak już stwardniał, że koźła by zemdliło. Odwrócił się nieznacznie, aby nie widzieć oczu Sory Grady.

— Wykorzystaj ich maksymalnie — przykazał Taimowi. — Naucz ich tyle, ile mogą się nauczyć, tak szybko, jak się da.

Przy pierwszych słowach Randa Taim nieznacznie zacisnął usta.

— Tyle, ile mogą się nauczyć — powtórzył bezbarwnym głosem. — Ale czego? Zgaduję, że tego, co będzie mogło zostać wykorzystane jako broń.

— Jako broń — zgodził się Rand. Oni wszyscy musieli stać się bronią, łącznie z nim samym. Czy broń może sobie pozwolić na posiadanie rodziny? Czy broń może sobie pozwolić na miłość? A ta filozofia to niby skąd się teraz wzięła? — Wszystkiego, czego zdolni będą się nauczyć, ale tego przede wszystkim. — Tak mało ich było. Tylko dwudziestu siedmiu, a jeśli oprócz Damera był wśród nich jeszcze jeden, który mógł się nauczyć przenosić, to Rand byłby szczęśliwy, że jest *ta'veren*, że przyciągnął do siebie tego człowieka. Aes Sedai tylko łapały i poskramiały mężczyzn, którzy rzeczywiście przenosili, ale w tym akurat zdobywały wprawę od trzech tysięcy lat. Niektóre najwyraźniej uwierzyły, że udało im się coś, czego wcale nie zamierzyły, to znaczy dokonać selekcji ludzkiej rasy pod względem umiejętności przenoszenia. Białą Wieżę zbudowano w taki sposób, by zawsze zdołała pomieścić trzy tysiące albo i więcej Aes Sedai, gdyby zaistniała potrzeba zwołania ich tam wszystkich, a do tego były w niej jeszcze izby dla setek szkolących się dziewcząt, niemniej jednak tuż przed rozłamem w Wieży mieszkało najwyżej czterdzieści kilka nowicjuszek i mniej niż pięćdziesiąt Przyjętych.

— Ich musi być więcej, Taim, potrzebuję ich. Znajdź innych, w taki czy inny sposób. Naucz ich przede wszystkim tego sprawdzianu.

— Czyżbyś chciał zrównać siły z liczebnością Aes Sedai? — Wbrew zamierzeniu Randa Taim najwyraźniej się nie przejął. Ciemne skośne oczy wyrażały pewność siebie.

— Ile w sumie jest wszystkich Aes Sedai? Tysiąc?

— Moim zdaniem nawet nie tyle — odparł ostrożnie Taim.

Selekcja ludzkiej rasy. Oby szczęśli, nawet jeśli miały dostateczny powód.

— No cóż, przynajmniej wrogów będzie dość. — Jediną rzeczą, jakiej mu nie brakowało, byli wrogowie. Czarny i Przekłeci, Pomiot Cienia i Sprzymierzeńcy Ciemności. Białe Płaszcz z pewnością i najprawdopodobniej Aes Sedai, a w każdym razie ich część, te, które należały do Czarnych Ajah, a także ci, którzy chcieli przejąć nad nim kontrolę. Tych ostatnich uważał za wrogów, nawet jeśli oni się za takich nie uważali. Bez wątpienia dołączą do nich jeszcze Władcy Strachu, dokładnie tak, jak przewidział. I jeszcze inni. Dość, by zniweczyć wszystkie jego plany, zniszczyć wszystko. Zaciśnął dłoń na rzeźbionym drzewcu Berła Smoka. A najgorszym wrogiem z wszystkich był czas, wróg, w walce z którym najmniejsze miał szanse na zwycięstwo. — Zamierzam ich pokonać, Taim. Co do ostatniego. Oni uważają, że mają prawo wszystko burzyć. Burzyć, zamiast budować! Ja natomiast zamierzam coś zbudować, pozostawić coś po sobie. Cokolwiek by się działo, dokonam tego! Zwycięzę Czarnego. I oczyszczę *saidina*, więc mężczyźni nie będą się musieli obawiać szaleństwa, a świat nie będzie musiał się obawiać przenoszących mężczyzn. Ja...

Zielono-biała tasiemka zakołysała się, kiedy gniewnie potrząsnął kikutem włóczni. Mówił o rzeczach niemożliwych. Upał i kurz igrały sobie z jego umysłem. Część na pewno da się zrobić, nigdy jednak nie dokona wszystkiego. Najlepsi ze zgromadzonych tutaj mogli co najwyżej liczyć, że zwyciężą i umrą, zanim popadną w obłęd, a on sam nie miał pojęcia, jak osiągnąć bodaj tyle. Mógł tylko nadal się starać. W końcu musiał istnieć jakiś sposób. Musiał, jeśli miało istnieć coś takiego jak sprawiedliwość.

— Oczyszczyć *saidina* — powtórzył cicho Taim. — Moim zdaniem do tego potrzeba większej siły, niż tobie się wydaje. — Przymknął oczy, zastanawiając się. — Słyszałem o takich przedmiotach, które się nazywają *sa'angrealami*. Czyżbyś miał taki, który rzeczywiście...

— Nie twoja sprawa, czy go mam czy nie — odburknął Rand. — Masz wyszkolić każdego, który może się uczyć, Taim. A potem szukaj innych i też ich ucz. Czarny nie będzie na nas czekał. Światłości! Mamy za mało czasu, Taim, ale musimy sobie jakoś poradzić. Musimy!

— Zrobię, co będę mógł. Ale nie spodziewaj się, że Damer już jutro obali mury miasta.

Rand zawahał się.

— Taim! Strzeż się takiego, który będzie robił zbyt szybkie postępy. Powiadom mnie o nim natychmiast. Do grona uczniów może się wślizgnąć jakiś Przekłety.

— Przekłety! — Taim wypowiedział to niemalże szeptem. Już po raz drugi wyglądał na wstrząśniętego, wręcz porządnie przerażonego. — Czemu...?

— Jak silny jesteś? — przerwał mu Rand. — Obejmij *saidina*. Zrób to. Obejmij taką ilość, jaką potrafisz utrzymać.

Przez chwilę Taim tylko patrzył na niego oczyma pozbawionymi wyrazu, a potem nagle zalała go Moc. Nie było tej łuny, jaką przenosząca kobieta widziała wokół drugiej, jedynie wrażenie siły i zagrożenia, ale Rand czuł je wyraźnie i potrafił oszacować. Taim objął taką ilość *saidina*, za pomocą której byłby zdolny w ciągu kilku sekund zniszczyć farmę i zgromadzonych na niej ludzi, dość, by obrócić w perzynę wszystko w zasięgu swego wzroku. Nie brakowało temu wiele do ilości, jaką Rand był w stanie objąć bez wspomagania. Ale z kolei ten człowiek mógł coś ukrywać. Nie widać było po nim wysiłku i być może nie chciał ujawniać całej swojej siły; skąd mógł wiedzieć, jak Rand zareaguje?

Wrażenie wywołane przez *saidina* ustąpiło i Rand dopiero teraz zorientował się, że sam wypełnił się męską poławą Źródła, wściekłą powodzią, wszystkimi wątkami, jakie był w stanie ściągnąć za pośrednictwem ukrytego w kieszeni *angreala*.

„Zabij go — mruknął Lews Therin. — Zabij go natychmiast!”

Przez chwilę szok obezwładnił Randa; otaczająca go skorupa Pustki zadrżała, *saidin* rozwścieczył się i napuchł, a on ledwie zdążył wypuścić Moc, nim roztrząskała Pustkę i jego samego. Czy to on objął Źródło czy Lews Therin?

„Zabij go! Zabij go!”

Ogarnięty furją Rand wrzasnął we wnętrzu własnej głowy:

„Zamknij się!”

Ku jego zdumieniu drugi głos umilkł.

Po twarzy ściekały mu strumienie potu; startł go dłonią, która mało co, a byłaby widocznie drżała. To on sam chwycił Źródło; musiało tak być. Nie mógł tego zrobić głos nieżyjącego człowieka. Sam to zrobił, bez udziału świadomości; po prostu nie zaufał Taimowi, kiedy ten objął aż taką porcję *saidina*, podczas gdy on stał tu całkiem bezbronny. Tak to właśnie było.

— Miej tylko oko na każdego, który będzie się uczył zbyt szybko — burknął. Może zdradzał Taimowi zbyt wiele, ale ludzie mieli prawo wiedzieć, z czym mogą mieć do czynienia. Tyle, ile musieli wiedzieć. Bał się tylko, by Taim albo ktoś inny się nie dowiedział, gdzie on się nauczył tak wiele. Gdyby odkryto, że on trzymał w niewoli jednego z Przeklętych i że pozwolił mu uciec... w plotkach pojawiłyby się wzmianki o jakimś więźniu, gdyby to przeciekło. Białe Płaszczki twierdziły, że jest fałszywym Smokiem i poza tym najprawdopodobniej Sprzymierzeńcem Ciemności; mówili tak o każdym, kto parał się Jedyną Mocą. Wielu by uwierzyło, gdyby świat się dowiedział o Asmodeanie. Nieważne, że Rand potrzebował mężczyzny, który mógł przekazać mu wiedzę na temat *saidina*. Nie mogła tego zrobić żadna kobieta; kobiety nie widziały jego splotów, jak on nie widział efektów ich przenoszenia. Mężczyźni z łatwością wierzą w najgorsze, kobiety zaś wierzą, że pod tym najgorszym kryje się coś jeszcze mroczniejszego; tak

brzmiało stare porzekadło z Dwu Rzek. Sam się rozprawi z Asmodeanem, jeśli ten człowiek jeszcze się kiedyś ujawni. — Miej oko na wszystko. Dyskretnie.

— Jak Lord Smok rozkaże. — Mężczyzna skłonił się lekko, zanim ruszył w drogę powrotną przez podwórko.

Rand zorientował się, że Panny patrzą na niego — Enaila i Somara, Sulin i Jalani i inne — oczyma pełnymi troski. Akceptowały niemalże wszystko, co on robił, wszystko to, przy czym, robiąc to, się wzdrygał, albo przy czym wzdrygali się wszyscy prócz Aielów; im natomiast zazwyczaj włosy jeżyły się od spraw, których on nie pojmował. Akceptowały i martwiły się o niego.

— Nie wolno ci się przemęczać — rzekła cicho Somara. Rand spojrział na nią i wtedy policzki Inianowłosej kobiety poczerwieniały. To miejsce mogło się nie liczyć jako publiczne — Taim nie mógł już tego usłyszeć, ale tym razem posunęła się za daleko.

Enaila z kolei wyciągnęła zza pasa zapasową *shoufę* i wręczyła mu ją.

— Za dużo słońca ci nie służy — burknęła.

Któraś z pozostałych Panien mruknęła:

— On powinien mieć żonę, która by się nim opiekowała.

Nie miał jak stwierdzić, która to powiedziała; nawet Somara i Enaila z takim gadaniem chowały się za jego plecami. Wiedział natomiast, o kim mowa. O Avien-dzie. Kogóż lepszego mógłby poślubić syn Panny niżli Pannę, które wyrzekła się włóczni, żeby zostać Mądrą?

Stłumił gwałtowny napad gniewu, owinał głowę *shoufą* i wtedy poczuł wdzięczność. To słońce było rzeczywiście gorące, szarobura tkanina dobrze chroniła przed skwarem. Natychmiast nasiąkła potem. Czyżby Taim znał jakąś sztukę podobną do tych, jakimi posługiwały się Aes Sedai, na które nie działał ni żar, ni ziąb? Saldaea leżała daleko na północy, a mimo to ten człowiek zdawał się pocić w takim stopniu co Aiel. Mimo przepełniającej go wdzięczności Rand powiedział tylko:

— Przede wszystkim nie powinienem tak tu sterczeć i marnować czas.

— Marnować czas? — Młoda Jalani powiedziała to podejrzenie niewinnym tonem, odwijając *shoufę* i na ułamek chwili odsłaniając krótkie włosy, prawie tak rude jak włosy Enaili. — Niby z jakiego powodu *Car'a'carn* miałby marnować czas? Ja też spociałam się pewnego razu tak samo jak on, ale biegałam wtedy od wschodu do zachodu słońca.

Pozostałe Panny też zaczęły się uśmiechać i głośno chichotać; ruda Maira, co najmniej dziesięć lat starsza od Randa, klepała się po udach, złotowłosa Desora jak zawsze zasłaniała usta dłonią, by ukryć uśmiech, Liah o twarzy porytej bliznami podskakiwała na czubkach palców, a Sulin omalże nie zgięła się w pół. Poczucie humoru Aielów było co najmniej osobliwe. Z bohaterów opowieści nikt nigdy nie stroił sobie żartów, nawet jeśli zachowywali się dziwacznie, i wątpił, by z królami było inaczej. Problem częściowo wynikał z faktu, że wódz Aielów,

nawet *Car'a'carn*, nie był królem; mógł stanowić autorytet pod wieloma względami, ale każdy Aiel miał prawo podejść do wodza i powiedzieć dokładnie to, co myśli. Niemniej jednak cała reszta problemu, jego znacznie większa część, polegała na czymś zupełnie innym.

Mimo iż został wychowany w Dwu Rzekach przez Tama al'Thora oraz jego żonę, Kari, która umarła, kiedy miał pięć lat, jednak prawdziwą matką Randa była Panna Włóczni — zmarła przy jego porodzie na zboczach Góry Smoka. Nie wywodziła się z Aielów, w odróżnieniu od ojca, ale za to była Panną. Dlatego właśnie obejmowały go obyczaje Aielów, silniejsze od prawa. Nie, nie obejmowały, one go zagarniały. Żadna Panna nie mogła wyjść za mąż i nadal nosić włócznię, a jeśli nie wyrzekła się włóczni, to wówczas Mądre oddawały urodzone przez nią dziecko innej kobiecie, w taki sposób, by nigdy się nie dowiedziała, kim tamta była. Wierzono, że dziecku zrodzonemu z Panny sprzyja szczęście, zarówno przy urodzeniu, jak i przy dorastaniu, mimo iż nikt, poza kobietą, która je wychowywała, a także jej mężem, nigdy się nie dowiadywał, że to nie ich dziecko. A z kolei Proroctwo Rhuidean twierdziło, że *Car'a'carn* będzie właśnie takim dzieckiem, wychowanym przez mieszkańców mokradeł. W oczach Panien wraz z Randem wracały wszystkie tamte dzieci, z Randem — pierwszym dzieckiem zrodzonym z Panny, o którym dowiedzieli się wszyscy.

Większość, zarówno te starsze jak Sulin, jak i te młodsze jak Jalani, powitała go jak dawno zaginionego brata. Publicznie okazywały mu tyle samo szacunku co każdemu wodzowi, niekiedy marginalnego, bo na to pozwalał obyczaj, ale gdy znajdował się z nimi sam na sam, to równie dobrze mógł być ich bratem, czy jednak młodszym czy starszym — zdawało się nie mieć nic wspólnego z wiekiem danej kobiety. Cieszył się, że tylko garstka obrała drogę Enaili i Somary; bardzo go irytowało, gdy kobieta bynajmniej nie starsza od niego, niezależnie od tego, czy przebywali w cztery oczy czy wśród innych, zachowywała się tak, jakby on był jej synem.

— W takim razie powinniśmy udać się do takiego miejsca, gdzie nie będę się pocił — odparł, zmuszając się do uśmiechu. Był im to winien. Niektóre już za niego umarły, a miało ich umrzeć jeszcze więcej, zanim to wszystko się skończy. Panny szybko stłumiły wesołość, gotowe pójść wszędzie tam, gdzie rozkaże *Car'a'carn*, zawsze gotowe go bronić.

Pytanie tylko brzmiało, dokąd pójść? Bashere czekał na jego ostentacyjnie zwyczajną wizytę, ale jeśli Aviendha dowiedziała się o niej, to mogła zechcieć w niej uczestniczyć. Rand unikał jej, jak się tylko dało, zwłaszcza przebywania z nią sam na sam. Dlatego, bo chciał z nią przebywać sam na sam. Na razie jakoś udało mu się to ukryć przed Pannami; gdyby nabrały śladowych chociaż podejrzeń, bardzo by mu utrudniły życie. Z konieczności musiał trzymać się od niej z daleka. Niósł w sobie śmierć niczym zakaźną chorobę; on był celem, a ludzie z jego otoczenia ginęli. Musiał znieczulić serce i pozwolić Pannom umierać —

oby na zawsze szczeł w Światłości za tę obietnicę! — ale Aviendha wyrzekła się włóczy, by pobierać nauki u Mądrych. Nie bardzo był pewien, co do niej czuje, ale wiedział, że gdyby ona umarła za niego, to w nim też by coś umarło. Całe szczęście, że ona nie narzuciła mu żadnych więzi emocjonalnych. Starła się trzymać blisko niego tylko dlatego, że Mądre kazały go pilnować, a także dlatego, że chciała go pilnować w imieniu Elayne. Żaden z tych powodów nie czynił sytuacji prostszą; wprost przeciwnie.

Decyzja okazała się naprawdę łatwa. Bashere będzie musiał poczekać, ale on dzięki temu uniknie Aviendhy, a teraz uda się na spotkanie z Weiramonem, które pierwotnie miało się odbyć w pałacu, zorganizowane w taki sposób, by wyszedł na jaw jego tajny charakter. Głupio podejmować decyzje z takich powodów, ale co ma zrobić mężczyzna, jeśli kobieta nie chce patrzeć na sprawy racjonalnie? Zresztą tym sposobem wszystko mogło wyjść na lepsze. Ci, którzy mieli się dowiedzieć o tej wizycie, dowiedzą się o niej i tak, a na dodatek być może tym bardziej skłonni będą uwierzyć w to, w co mieli uwierzyć, ponieważ spotkanie odbędzie się naprawdę w tajemnicy. A z kolei charakter ceremonii z udziałem Bashere i Saldaeńczyków wyda się tym bardziej mało znaczący, ponieważ odbędzie się późną porą. Tak. Wybiegi w wybiegach, godne Cairhienianina uczestniczącego w Grze Domów.

Pochwyciwszy *saidina* otworzył bramę, świetliste rozcięcie, które rozszerzyło się, ukazując wnętrze wielkiego namiotu w zielone paski, pustego, gdyby nie kolorowe dywaniki utkane w skomplikowane taireniańskie wzory. Szansa, że tu, w tym namiocie, jest jakaś zasadzka, była jeszcze mniejsza niż w okolicy farmy, ale Enaila, Maira i pozostałe Panny i tak osłoniły twarze i błyskawicznie pokonały bramę. Rand zatrzymał się i obejrzał za siebie.

Kely Huldin szedł w stronę domostwa, ze zwieszoną głową, u jego boku żona poganiała dwójkę ich dzieci. Stale klepała go pokrzepiająco po ramieniu, jednak nawet przez całą długość podwórka Rand widział jej rozpromienioną twarz. Najwyraźniej Kelyemu się nie udało. Taim stał naprzeciwko Jura Grady, obaj wpatrywali się w drżący maleńki płomyk. Sora Grady, z synkiem przyciśniętym do piersi, nie patrzyła na męża. Oczy miała nadal utkwione w Randzie. Oczy kobiety tną znacznie głębiej niż nóż, tak brzmiało kolejne porzekadło z Dwu Rzek.

Przeszedłszy przez bramę, zaczekał na resztę Panien, po czym uwolnił Źródło. Zrobił, co musiał zrobić.



## POCZUCIE HUMORU

W ciemnym wnętrzu namiotu panował taki upał, że Caemlyn, oddalone o jakieś osiemset mil na północ, zdawało się nagle przyjemnie chłodnym miejscem. Rand odgarnął klapę wejścia i zamrugał. Słońce uderzyło weń jak obuchem, sprawiając, że naprawdę ucieszył się z posiadania *shoufy*.

Nad namiotem z płótna w zielone prążki, obok jednego z karmazynowych sztandarów ze starożytnym symbolem Aes Sedai, powiewała kopia sztandaru Smoka. Oprócz niego na falistej równinie, gdzie końskie kopyta i ciężkie buty dawno temu wgniotły w ziemię nieliczne kępki trawy, stało jeszcze wiele innych namiotów, stożkowatych i płaskich, przeważnie białych, czy raczej brudnobiałych, ale były też wśród nich namioty innej barwy albo pasiaste, nad nimi zaś wznosiły się wielobarwne sztandary poszczególnych lordów. To tutaj właśnie, na granicy z Łzą, na skraju Równin Maredo, zebrała się armia; tysiące tysięcy żołnierzy z Łzy i Cairhien. Aielowie rozbili własne obozowiska z dala od mieszkańców mokradeł; na każdego Tairenianina i Cairhienina przypadało pięciu Aielów i z każdym dniem przybywali następni. Ta właśnie armia, horda już dostatecznie potężna, by staranować wszystko, co znajdzie się na jej drodze, miała sprawić, że Illian struchleje ze strachu.

Enaila i pozostałe Panny tworzące przednią straż stały już z opuszczonymi zasłonami przed namiotem, w towarzystwie kilkunastu mężczyzn Aiel. Aielowie bezustannie strzegli tego namiotu. Tych odzianych i uzbrojonych tak samo jak Panny mężczyzn, wysokich jak Rand, albo i wyższych, o kamiennych obliczach ogorzałych od słońca, z chłodnymi oczyma błękitnej, zielonej albo szarej barwy, dawało się przyrównać do lwów, tak jak Panny do lampartów. Dzisiaj byli to *Sha'mad Conde*, Wędrowcy Burzy, dowodzeni przez samego Roidana, który stał na czele owej społeczności po tej stronie Muru Smoka. Panny strzegły honoru *Car'a'carna*, ale wszystkie społeczności wojowników domagały się swojego udziału w pełnieniu straży.

Jedna rzecz w ubiorze różniła mężczyzn od Panien. Połowa miała czoła obwiązane purpurową przepaską z czarno-białym krążkiem, starożytnym symbolem Aes Sedai. Noszący tę przepaskę uważali siebie za *siswai'aman*, czyli w Dawnej Mowie — Włócznie Smoka. Dokładniejszym tłumaczeniem byłoby Włócznie

Posiadane przez Smoka. Opaski i ich znaczenie budziły w Randzie zażenowanie, niewiele jednak mógł zrobić, ci mężczyźni bowiem nie chcieli nawet przyznać, że w ogóle je noszą. Nie miał pojęcia, dlaczego Panny ich nie wkładają; w każdym razie u żadnej takiej opaski nie zauważył. Mówiły o tym równie niechętnie jak mężczyźni.

— Widzę cię, Randzie al'Thor — rzekł uroczystym tonem Roidan. Siwych włosów miał znacznie więcej niżli jasnorudych, ale kował mógłby użyć tej twardej twarzy w charakterze młota albo kowadła, a sądząc po ilości blizn, które przecinały policzki i nos, można było odnieść wrażenie, że faktycznie więcej niż jeden tak go właśnie potraktował. Zresztą wyraz tej twarzy zdawał się znacznie łagodniejszy, gdy odnieść go do jego oczu barwy lodowatego błękitu. Roidan unikał spoglądania na miecz Randa.

— Obyś znalazł cię tego dnia. — Nie miało to nic wspólnego z tym rozżarzonym słońcem czy bezchmurnym niebem, Roidan zdawał się w ogóle nie pocić, była to po prostu forma powitania, stosowana przez mieszkańców kraju, gdzie skwar panował wiecznie, a drzew było niewiele.

Rand, równie formalnie, odparł:

— Widzę cię, Roidan. Obyś znalazł cię tego dnia. Czy jest tu gdzie Wysoki Lord Weiramon?

Roidan wskazał skinieniem głowy wysoki pawilon, którego boki wykonano z płótna w czerwone paski, a dach z purpury, otoczony kręgiem mężczyzn z długimi włóczniami ustawionymi precyzyjnie pod jednym kątem; stali ramię przy ramieniu, w wypolerowanych napierśnikach oraz złoto-czarnych kaftanach tairniańskich Obrońców Kamienia. Nad ich głowami, na wietrze, który zdawał się wiać z wnętrza pieca, łopotały Trzy Półksiężycy Łzy, wyróżniające się bielą na czerwono-złotym polu, promieniste Wschodzące Słońce Cairhien, złote na niebieskim tle, z dwu stron otoczone szkarłatnymi flagami Randa.

— Tam się zebrali wszyscy mieszkańcy mokradeł — powiedział Roidan, po czym, patrząc Randowi prosto w oczy, dodał: — Bruana nie zapraszano do tego namiotu od trzech dni, Randzie al'Thor. — Bruan był wodzem klanu Nakai Aiel, klanu Roidana; obaj wywodzili się ze szczepu Słone Bagna. — Nie zapraszano też Hana z Tomanelle, Dhearika z Reyn, w ogóle żadnego wodza klanu.

— Porozmawiam z nimi — obiecał Rand. — Czy zechcesz poinformować Bruana i pozostałych, że przybyłem?

Roidan przytaknął z powagą.

Enaila, która przyglądała się z ukosa obu mężczyznom, nachyliła się do ucha Jalani, po czym przemówiła szeptem, który można było usłyszeć z odległości dziesięciu kroków.

— Czy wiesz, dlaczego nazywa się ich Wędrowcami Burzy? Bo nawet kiedy stoją nieruchomo, to i tak stale patrzysz na niebo, spodziewając się zobaczyć błyskawicę. — Panny zawyły ze śmiechu.

Młody Wędrowiec Burzy podskoczył w górę, wyrzucając nogę w miękkim, sięgającym kolana bucie, wyżej od głowy Randa. Byłby przystojny, gdyby nie obrzmiała, biała blizna, która przecinała mu całą twarz, aż po łatkę z czarnej tkaniny, zakrywającą pusty oczodół. Też nosił przepaskę.

— Czy wiecie, dlaczego Panny posługują się mową dłoni? — krzyknął na samym szczycie skoku, a przy lądowaniu wykrzywiając się jak człowiek zamroczony alkoholem. Pytanie skierował w stronę swoich towarzyszy, zupełnie lekceważąc kobiety. — Bo nawet kiedy nie gadają, to nie mogą przestać gadać.

*Sha'mad Conde* zaśmiewali się równie serdecznie jak przedtem Panny.

— Tylko Wędrowcy Burzy dopatrują się honoru w pilnowaniu pustego namiotu — powiedziała smutnym głosem Enaila do Jalani, kręcąc głową. — Gdy następnym razem każą przynieść sobie wina, to jeśli *gai'shain* przyniosą im puste kubki, bez wątpienia upiją się bardziej niż my, pijąc *oosquai*.

Najwyraźniej Wędrowcy Burzy uznali, że w tej potyczce słownej Enaila okazała się lepsza. Jednooki mężczyzna wraz z kilkoma innymi podnieśli w górę tarcze z byczych skór i zabębniłi o nie włóczniami. Ona zaś, ze swej strony, słuchała tego przez chwilę, po czym przytaknęła sama sobie z zadowoleniem głową i dogoniła inne Panny, które ruszyły śladem Randa.

Zastanawiając się nad poczuciem humoru Aielów, Rand przypatrywał się jednocześnie rozległemu obozowisku. Od setek rozsianych ognisk napływały wonie gotowanej stawy, chleba piekącego się na węglach i mięsiwa skwierczącego na rożnach, zupy bulgoczącej w kociołkach zawieszonych na trójnogach. Żołnierze zwykli posilać się obficie i często, jeśli im było dane; udział w kampanii zazwyczaj wiązał się z ograniczeniem żywnościowych racji. Ogniska buchały własnym, słodkawym aromatem; na Równinach Maredo było więcej wyschłego wolego nawozu niżli drewna.

Tu i ówdzie kręcili się łucznicy, kusznicy albo pikinierzy, odziani w skórzane kamizele z ponaszywanymi stalowymi krążkami lub w watowane kaftany, ale taireniańscy i cairhieniańscy arystokraci jednako pogardzali piechotą, a wychwalali kawalerię, dlatego przeważnie widziało się ludzi na koniach — Tairenian w hełmach z okapem i napierśnikach nałożonych na pasiaste kaftany z bufiastymi rękawami, a także Cairhienian w ciemnych kaftanach, powyginanych napierśnikach oraz hełmach w kształcie dzwonów, z otworem na twarz. Niewielkie sztandary zwane *con* na krótkich laskach przymocowanych do pleców niektórych znamionowały pośledniejszą szlachtę i młodszych synów lordów, a czasami zwykłych oficerów, aczkolwiek mało kto z cairhieniańskiego gminu dosługiwał się takiej rangi. Jak też i z taireniańskiego, skoro już o tym mowa. Te dwie nacje nie mieszały się z sobą i podczas gdy Tairenianie często garbili się w siodłach i nieodmiennie kierowali szydercze grymasy w stronę wszystkich Cairhienian, jacy pojawili się w pobliżu, to ci drudzy, niżsi od nich, siedzieli na koniach sztywno, wyprężeni aż po ostatni cal wzrostu, ostentacyjnie nie zwracając uwagi na Tairenian. Stoczyli

ze sobą więcej niż jedną wojnę, zanim Rand ich nie zmusił do zajęcia miejsca we wspólnych szeregach.

Przy namiotach kręciło się kilku mężczyzn, w tym zgrzebnie odziani siwi starcy, a także paru takich, którzy nieledwie zasługiwali na miano chłopców; mocnymi kijami szturchali płócienne ściany, co jakiś czas wypłaszając szczura, którego potem gonili, zabijali, po czym dołączali go do innych już zawieszonych u pasa. Jakiś jegomość o wydatnym nosie, w zaplamionej skórzanej kamizeli, a za to bez koszuli, z łukiem w dłoni i kołczanem u pasa, ułożył na stole przed jednym z namiotów długi sznur z uwiązanymi za łapy wronami i krukami, po czym otrzymał w zamian sakiewkę od siedzącego za stołem wyraźnie znudzonego Tairenianina bez hełmu na głowie. Mało kto tak daleko na południu rzeczywiście wierzył, że Myrddraale wykorzystują kruki, szczury i im podobne stworzenia do szpiegowania — Światłości, z wyjątkiem takich, którzy rzeczywiście je widzieli, prawie nikt tak daleko na południu nie wierzył w Myrddraale albo trolloki! — ale jeśli Lord Smok chciał, by obozowisko zostało z nich oczyszczone, to byli szczęśliwi, że mogą się wywiązać z zadania, zwłaszcza że płacono im srebrem za każde truchło.

Rzecz jasna podniosły się wiwaty; nikomu innemu nie mogła towarzyszyć eskorta Panien Włóczni, a poza tym widać też było Berło Smoka. Zewsząd dobiegały wiwaty: „Oby Światłość opromieniła Lorda Smoka!”, „Łaska dla Lorda Smoka!” i tym podobne. Niejeden zresztą okrzyk brzmiał całkiem szczerze, aczkolwiek trudno to było dokładnie stwierdzić, jako że wszyscy darli się co sił w płucach. Byli też tacy, którzy tylko patrzyli się drewnianym wzrokiem albo zawracali konie i odjeżdżali, niezbyt szybko. Ostatecznie nie wiadomo było, kiedy on postanowi przywołać błyskawice albo sprawić, że rozstąpi się ziemia; wszak przenoszący mężczyźni zwykli popadać w obłąd, a kto wiedział, co robi szaleńiec albo kiedy? Wiwatowali, a jednocześnie mierzyli czujnym wzrokiem Panny. Niewielu tak naprawdę zdążyło się przyzwyczaić do widoku kobiet uzbrojonych jak mężczyźni, na dodatek wywodzących się z Aielów, a wszyscy wiedzieli, że Aielowie są w każdym calu równie nieobliczalni jak szaleńcy.

Mimo tego rejwachu Rand słyszał, o czym rozmawiają za jego plecami Panny.

— Ma wspaniałe poczucie humoru. Kto to taki? — To mówiła Enaila.

— Nazywa się Leiran — odparła Somara. — Z Cosaida Chareen. Uważasz, że on ma poczucie humoru, bo uznał twój dowcip za lepszy od własnego. Za to ma chyba silne ręce.

Kilka Panien zachichotało.

— Twoim zdaniem Enaila nie była zabawna, Randzie al’Thor? — Sulin kroczyła u jego boku. — Nie śmiałeś się. Ty się w ogóle nie śmiejesz. Czasami mi się wydaje, że tobie brakuje poczucia humoru.

Rand stanął jak wryty i obejrzał za siebie tak nagle, że kilka Panien sięgnęło po zasłony i rozejrzało dookoła, szukając, co go tak zaalarmowało. Kaszlnął.

— Pewien swarliwy stary farmer o imieniu Hu któregoś ranka stwierdził,

że jego najlepszy kogut pofrunął na wysokie drzewo rosnące nad stawem i nie chce z niego zejść, więc poszedł po swego sąsiada, Wila, i poprosił go o pomoc. Wprawdzie nie żyli z sobą w przyjaźni, ale Wil zgodził się ostatecznie, więc obaj poszli nad staw i zaczęli się wspinać na drzewo, przy czym Hu wspinał się pierwszy. Zamierzali wystraszyć koguta, rozumiecie, ale ptak tylko wzlatywał coraz wyżej, z gałęzi na gałąź. I kiedy Hu i kogut dotarli już niemalże do samego wierzchołka drzewa, a Wil tuż za nimi, rozległ się głośny trzask. To pękła gałąź pod stopami Hu, który spadł do stawu, ochlapując wszystko wodą i błotem. Wil zszedł najszybciej jak potrafił na ziemię i wyciągnął rękę w stronę Hu, ale Hu tylko leżał na plecach, zanurzając się w błocie coraz głębiej, aż w pewnym momencie nad powierzchnią wody wystawał tylko czubek jego nosa. Inny farmer zauważył, co się stało, przybiegł i wyciągnął Hu ze stawu.

— „Dlaczego nie przyjąłeś ręki Wila?” — zapytał. — „Mogłeś się przecież utopić”.

— „Czemu miałbym przyjmować jego rękę?” — warknął Hu. — „Chwilę temu minąłem go na drodze, w biały dzień, a on nie powiedział do mnie ani słowa”.

Rand czekał z nadzieją.

Panny wymieniły nieprzeniknione spojrzenia. W końcu odezwała się Somara: — A co się stało ze stawem? Z pewnością w tej historii idzie o wodę.

Wyrzuciwszy z rezygnacją ręce w górę, Rand zaczął znowu maszerować w stronę pasiastego namiotu. Usłyszał, jak Liah za jego plecami mówi:

— To chyba miał być dowcip.

— Jak możemy się śmiać, skoro on nie wie, co się stało z wodą? — spytała Maira.

— Tu chodziło o tego koguta — wtrąciła Enaila. — Mieszkańcy mokradeł mają dziwne poczucie humoru. Moim zdaniem tu szło o koguta.

Musiał się mocno starać, żeby ich nie słuchać.

Kiedy podszedł bliżej, Obrońcy jeszcze bardziej się wyprostowali, o ile to w ogóle było możliwe, a dwaj stojący przed wejściem usunęli się zwinnie na bok, odsuwając obszyte złotymi frędzlami klapy. Ich wzrok prześlizgnął się obojętnie obok kobiet Aiel.

Rand dowodził już raz Obrońcami Kamienia podczas rozpaczliwej walki stoczonej z Myrddraalami i trollokami w komnatach samego Kamienia Łzy. Tamtej nocy poszliby za każdym, kto by się odważył stanąć na ich czele, przypadek jednak zrządził, że tą osobą był on.

— Kamień jeszcze stoi — powiedział cicho. Tak brzmiał ich okrzyk bitewny. Na niektórych twarzach wykwitły uśmiechy, ale tylko przelotne, i zaraz zamarły, ustępując miejsca beznamietnej i nieprzeniknionej masce. W Łzie ludzie z gminu nie reagowali uśmiechem na to, co powiedział jakiś lord, chyba że mieli absolutną pewność, iż ów oczekuje po nich uśmiechu.

Większość Panien przycupnęła zgrabnie na zewnątrz, z włóczniami ułożonymi na kolanach, którą to pozycję potrafiły zachowywać całymi godzinami bez poruszenia choćby mięśniami, ale Sulin weszła do środka za Randem, razem z Liah, Enailą i Jalani. Panny byłyby równie czujne, gdyby Obrońcy byli przyjaciółmi Randa z dzieciństwa, ale mężczyźni zgromadzeni we wnętrzu żadną miarą nie zaliczali się do przyjaciół.

Podłoga pawilonu została wyłożona kolorowymi dywanikami tkanymi w taireniańskie labirynty i skomplikowane ślimacznice, a na samym środku stał masywny stół, gęsto rzeźbiony, pozłacany i inkrustowany w krzykliwe wzory kością słoniową oraz turkusami; zapewne podczas transportu wypełnił całą przestrzeń wozu. Zasłany mapami stół rozdzielał kilkunastu Tairenian o spoconych twarzach od co najmniej dwukrotnie tylu Cairhienian, który w sposób widoczny cierpieli jeszcze bardziej z powodu upału. Każdy trzymał w ręku złoty kielich, do którego poruszający się niczym cienie słudzy w czarno-złotej liberii stale dolewali ponczu. Wszyscy arystokraci odziani byli w jedwab, przy czym gładko wygoleni Cairhienianie, niscy, szczupli i bladzi w porównaniu z mężczyznami siedzącymi po przeciwnej stronie stołu, nosili kaftany o ciemnych i ponurych barwach, urozmaicone jedynie rozcięciami biegnącymi pionowo przez pierś, wypełnionymi barwami ich Domów, natomiast Tairenianie, przeważnie z wypomadowanymi i przystrzyżonymi w równy szpic bródkami, nosili watowane kaftany, istne ogrodziny czerwieni, żółci, zieleni, błękitu, satyny i brokatu, srebrnej i złotej nici. Cairhienianie mieli poważne, wręcz zgorzkniałe twarze, większość zapadłe policzki, a każdy czoło wygolone i przypudrowane, zgodnie z modą obowiązującą niegdyś wyłącznie wśród żołnierzy, a nie lordów. Tairenianie uśmiechali się i wachali perfumowane chusteczki oraz pachnące kulki, które wypełniły namiot ciężkimi aromatami. Oprócz ponczu, jedyną rzeczą, jaka zdawała się ich łączyć, były martwe spojrzenia, którymi obrzucali Panny, starając się usilnie stworzyć pozory, jakoby Aielowie byli powietrzem.

Wysoki Lord Weiramon z wypomadowaną bródką przetykaną pasemkami siwizny skłonił się nisko. Odziany w ozdobione srebrem wysokie buty, był jednym z czterech Wysokich Lordów, którzy przebywali w obozie. Oprócz niego byli tu: obłudny, tłusty Sunamon, Tolmeran z bródką barwy żelaza podobną do grotu włóczni oraz Torean o kartoflanej twarzy, bardziej przypominający farmera niż większość prawdziwych farmerów, ale Rand przekazał dowodzenie Weiramonowi. Na razie. Pozostałych ośmiu — w tym niektórzy gładko wygoleni, a wszyscy szpakowaci — zaliczało się do ostatnich lordów; stawili się tutaj jako lennicy tego czy innego Wysokiego Lorda, wszyscy jednak dysponowali niejakim doświadczeniem bojowym.

Jak na Tairenianina Weiramon nie był niski, ale Rand był wyższy od niego o głowę; Wysoki Lord zawsze przypominał mu koguta z tą wydętą pierśią i wyniosłym chodem.

— Witaj, Lordzie Smoku — zaintonował, wykonując ukłon — przyszedł Zwycięzco Illian. Witaj, Panie Poranka. — Inni nie pozostali w tyle nawet na jeden oddech: Tairenianie rozkładali szeroko ramiona, Cairhienianie przykładali dłonie do serca.

Rand skrzywił się. Pan Poranka należał do tytułów Lewsa Therina; tak przynajmniej wynikało ze szcątkowych zapisków historyków. Podczas Pęknięcia Świata przepadła spora część wiedzy, jeszcze więcej poszło z dymem podczas Wojen z trollokami, jak również w późniejszych epokach, podczas Wojny Stu Lat, a ocalały zdumiewające strzępki. Zdziwił się, że ten tytuł użyty przez Weiramoną nie spowodował obłąkańczego bredzenia Lewsa Therina. Zastanowiwszy się nad tym, Rand uprzytomnił sobie, że nie słyszał głosu od czasu, kiedy nań krzyknął. Na ile potrafił sobie przypomnieć, był to pierwszy raz, kiedy w ogóle przemówił do głosu, który dzielił z nim jego głowę. Wynikające z tego faktu możliwe konsekwencje sprawiły, że poczuł dreszcz przebiegający mu po kręgosłupie.

— Lordzie Smoku? — Sunamon zatarł mięsiste ręce. Wyraźnie udawał, że nie widzi *shoufy* udrapowanej na głowie Randa. — Czy ty...?

Połknąwszy własne słowa, przyoblekł twarz w przymilny uśmiech; być może wcale nie chciał wypytywać potencjalnego szaleńca — w najlepszym przypadku tylko potencjalnego — czy dobrze się czuje.

— Czy Lord Smok miałby ochotę na poncz? To wino z winnic Lodanaille zmieszane z sokiem z miodowego melona. — Niejaki Estevan, chuderlawy Lord Prowincji i lennik Sunamona, wykonał gwałtowny znak ręką i już służący pobiegł po złoty kielich stojący na bocznym stoliku pod płócienną ścianą. Inny pospieszył, by go napełnić.

— Nie — odparł Rand, po czym nieco głośniejszym głosem powtórzył: — Nie mam. — Gestem dłoni odprawił służącego, tak naprawdę wcale go nie widząc. Czy Lews Therin rzeczywiście go słyszał? To nie wróżyło nic dobrego. Nie chciał teraz rozważać tej możliwości; nie chciał w ogóle o niej myśleć. — Są już prawie wszyscy, brakuje tylko Hearne'a i Simaana. — Ci dwaj Wysocy Lordowie mieli zjawić się niebawem; dowodzili ostatnimi wielkimi partiami taireniańskich żołnierzy, które wyszły z Cairhien ponad miesiąc temu. Rzecz jasna, na południe zdążyły mniejsze grupy, a także kolejni Cairhienianie. Do tego następni Aielowie; strumień ich sił miał jeszcze bardziej przeciągnąć wszystko w czasie. — Chciałbym zobaczyć...

Dotarło do niego, że wszyscy w pawilonie umilkli i znieruchomieli, w wyjątkiem Toreana, który nagle odchylił głowę w tył, by wychylić do dna swój poncz. Otarł dłonią usta i wyciągnął rękę z pucharem, na znak, że chce, by mu dolano, jednak służy jakby wtopili się w ściany w czerwone prążki. Sulin i pozostałe trzy Panny nagle stanęły na czubkach palców, gotowe osłonić twarze.

— Co się stało? — spytał cicho.

Weiramon zawahał się.

— Simaan i Hearne wyprawili się... do Haddon Mirk. Nie przyjadą.

Torean wyrwał złoty dzban z rąk jednego ze służących i sam napelnił sobie puchar, rozchlapując poncz po dywanie.

— A dlaczego udali się tam, zamiast tutaj? — Rand nie podniósł głosu. Był przekonany, że zna odpowiedź. Ci dwaj... a także pięciu innych Wysokich Lordów... zostali wysłani do Cairhien głównie po to, by umysły, pochłonięte spiskowaniem przeciwko niemu, miały zajęcie.

Cairhienianie wymienili złośliwe uśmieszki, kryjąc je po części za prędko uniesionymi pucharami. Semaradrid, najwyższy rangą, z barwnymi rozcięciami na kaftanie sięgającymi niżej pasa, przybrał jawnie wzgardliwą minę. Mężczyzna ten o pociągłej twarzy, z siwymi pasmami na skroniach i ciemnymi oczyma, które mogłyby ciosać kamień, poruszał się sztywno w wyniku ran odniesionych podczas wojny domowej, kulał natomiast od czasów, gdy walczył w Łzie. Z Tairenianami współpracował przede wszystkim dlatego, że nie byli Aielami. Z tego samego zresztą powodu Tairenianie współpracowali z Cairhienianami.

Odpowiedział jeden z krajanów Semaradrida, młody lord o imieniu Meneril, który miał o połowę mniej kolorowych rozcięć w kaftanie, a na twarzy bliznę — odniesioną w czasie wojny domowej — która wyginała lewy kącik jego ust w stałym, ironicznym uśmieszku.

— Zdrada, Lordzie Smoku. Zdrada i rebelia.

Weiramon mógł się wzdragać przed powiedzeniem tego Randowi w twarz, ale nie zamierzał dopuścić, by przemawiał za niego jakiś cudzoziemiec.

— Zaiste, rebelia — powtórzył pospiesznie, spoglądając spode łba na Menerila, natychmiast jednak odzyskał swoją zwykłą pompatyczność. — I nie tylko oni za tym stoją, Lordzie Smoku. Wzięli w tym udział również Wysocy Lordowie Darlin i Tedosian oraz Wysoka Lady Estanda. Oby szczęła ma dusza, oni wszyscy podpisali się pod listem, w którym wymawiają ci posłuszeństwo. Jak się zdaje, jest w to również zaangażowanych dwudziestu albo trzydziestu pomniejszych szlachciców, w tym także stojący niewiele wyżej od zwykłych farmerów. Przekleci przez Światłość durnie!

Rand niemalże podziwiał Darlina. Ten człowiek sprzeciwiał mu się otwarcie od samego początku, uciekł z Kamienia, kiedy ten padł, i starał się zorganizować ruch oporu wśród wiejskiej szlachty. Tedosian i Estanda byli inni. Tak samo jak Hearne i Simaan kłaniali się i uśmiechali, tytułowali go Lordem Smokiem, a spiskowali za jego plecami. I teraz odpłacili się za wyrozumiałość. Nic dziwnego, że Torean rozlewał poncz po swej siwej brodzie podczas picia; był blisko związany z Tedosianem, a także Hearnem i Simaanem, skoro już o tym mowa.

— Nie pisali w tym liście wyłącznie o wymówieniu posłuszeństwa — dodał zimnym głosem Tolmeran. — Napisali, żeś jest fałszywym Smokiem, że upadek Kamienia i zdobycie przez ciebie Miecza Który Nie jest Mieczem to była jakaś sztuczka Aes Sedai. — Mówił pytającym tonem; nie przebywał w Kamieniu Łzy tamtej nocy, kiedy Rand go opanował.



— A w co ty wierzysz, Tolmeran? — Kusił ich, by to stwierdzili w kraju, gdzie przenoszenie Mocy było objęte zakazem, dopóki Rand nie zmienił prawa, gdzie Aes Sedai ledwie tolerowano, a Kamień Łzy stał nie pokonany przez blisko trzy tysiące lat, zanim Rand go nie opanował. A poza tym to stwierdzenie brzmiało znajomo. Rand zastanawiał się, czy podczas polowania na rebeliantów znajdzie Białe Płaszcz. Uznał, że Pedron Niall jest raczej za sprytny, żeby do tego dopuścić.

— Myślę, że to ty dobyłeś *Callandora* — powiedział po chwili szczupły mężczyzna. — Myślę, że jesteś Smokiem Odrodzonym. — Oba razy słowo „myślę” wypowiedział z lekkim naciskiem. Tolmeran był odważny. Estean skinął głową; powoli, ale zrobił to. Jeszcze jeden odważny.

Tyle że nie zadali oczywistego pytania, czy Rand sobie życzy, by te buntury tłumiono. Co wcale go nie zdziwiło. Z jednej strony Haddon Mirk — ogromny, zwarty bór, bez wsi, dróg czy nawet ścieżek — nie stanowił miejsca, w którym łatwo coś tłumić. Miałyby szczęście człowiek, któremu udałoby się w pojedynkę pokonać kilka mil w ciągu jednego długiego dnia na pełnym urwisk, górzystym terenie położonym na jego północnym skraju, armie zaś mogły manewrować aż do wyczerpania zapasów żywności i mimo to wcale się wzajem nie odnaleźć. A co ważniejsze — ten, kto zadałby takie pytanie, mógł być podejrzewany, że zgłasza się dobrowolnie na dowódcę ekspedycji, a z kolei skwapliwy ochotnik mógł być podejrzewany o zamiar przyłączenia się do Darlina, nie zaś polowania na niego. Tairenianie być może nie uprawiali *Daes Dae'mar*, Gry Domów, z taką zajadłością jak Cairhienianie — ci wyczytywali całe tomy w spojrzeniu i słyszeli więcej w jednym zdaniu, niż jego autor kiedykolwiek w nim zawarł — ale też knuli i obserwowali się wzajem, podejrzewając o spiski, i żywili przekonanie, że wszyscy inni postępują tak samo.

Rand uznał jednak, że na razie lepiej zostawić buntowników w spokoju. Całą uwagę musiał obecnie skoncentrować na Illian; tam właśnie wszystko musiało zostać zauważone. Ale nie mógł też pozwolić, by uznano, że jest miękki. Ci ludzie nie wystąpią przeciwko niemu, ale Ostatnia Bitwa czy nie, tylko dwie rzeczy nie pozwalały Tairenianom i Cairhienianom skoczyć sobie do gardeł. Stawiali siebie wzajem wyżej od Aielów, nawet jeśli tylko nieznacznie, a poza tym obawiali się gniewu Smoka Odrodzonego. Bez tego strachu próbowaliby mordować zarówno siebie, jak i Aielów, zanim ktoś zdążyłby ich ostrzec przed Widmowym Jakiem.

— Czy ktoś coś powie w ich obronie? — zapytał. — Czy ktoś wie może o czymś, co by umniejszało ich winę? — Nawet jeśli któryś wiedział, to i tak trzymał język za zębami; gdy liczyć służących, obserwowały go blisko dwa tuziny par oczu, wszystkie przepełnione napięciem. Być może zresztą słudzy obserwowali go najuważniej. Sulin i Panny przyglądały się z kolei wszystkim prócz niego. — Ich tytuły zostają im niniejszym odebrane, ziemie i majątki skonfiskowane. Należy sporządzić nakazy aresztowania wszystkich mężczyzn, których nazwiska są

znane. I wszystkich kobiet. — To mogło stanowić niejaki problem; w Łzie karą za udział w rebelii była śmierć. Zmienił kilka praw, ale akurat nie to, a teraz już było za późno. — Podajcie do powszechnej wiadomości, że ten, kto zabije jednego z nich, nie będzie uznany winnym morderstwa, natomiast ten, kto im użyczy wsparcia, zostanie oskarżony o zdradę. Każdemu, kto się podda, zostanie oszczędzone życie — co mogło stanowić rozwiązanie problemu Estandy; nie potrafiłby wydać rozkazu zgładzenia kobiety. Gdyby tak udało mu się wymyślić, jak temu zaradzić. — Ale ci, którzy będą obstawali przy swoim, zostaną powieszani.

Arystokraci, zarówno cairhieniańscy, jak i taireniańscy, poruszyli się niespokojnie i wymienili spojrzenia. Krew odpłynęła z więcej niż jednej twarzy. Z pewnością spodziewali się wyroków śmierci — nie mogło być niższej kary za rebelię, zwłaszcza jeśli wojna była za pasem — jednakowoż odbieranie tytułów najwyraźniej ich zaszokowało. Mimo tych wszystkich zmian prawa, jakie Rand wprowadził w obu krajach, mimo że lordów zaciągano do magistratów i wieszano za morderstwo albo skazywano na grzywnę za zbrojną napaść, nadal uważali, że przez krew dziedziczy się jakąś różnicę, jakiś naturalny porządek, który zgodnie z prawem czynił z nich lwów, a z prostaków owce. Wysoki Lord, który szedł na szubienicę, umierał jako Wysoki Lord, ale Darlin i inni mieli umrzeć jak chłopci, co w oczach tych ludzi stanowiło znacznie gorszy los niżli samo umieranie. Słudzy pozostali wyprężeni z ich dzbanami, gotowi dolewać do kielichów, które należało bardzo mocno przechylać podczas picia. W oczach niektórych zagościła radość, której tam nigdy przedtem nie było. Mimo iż rysy twarzy pozostały niezmienione.

— Skoro to już mamy załatwione — rzekł Rand i podszedł do stołu, ściągając *shoufę* — przypatrzmy się teraz mapom. Sammael jest ważniejszy niż garstka durniów gnijąca w Haddon Mirk. — Miał nadzieję, że gnili. A żeby szczęśli!

Weiramon zacisnął usta, a oblicze Tolmerana szybko wyzbyło się krzywego grymasu. Twarz Sunamona była tak niema, że mogła być maską. Inni Tairenianie wyraźnie mieli takie same wątpliwości, podobnie Cairhienianie, przy czym Semaradrid skrywał je bardzo umiejętnie. Jedni widzieli Myrddraali i trolloki atakujące Kamień, inni byli świadkami pojedynku Randa z Sammaelem w Cairhien, a mimo to za objaw szaleństwa przyjęli jego stwierdzenie, jakoby Przekłęci wydostali się na wolność. Docierały do niego szept, jakoby to on sam sprokurował destrukcję Cairhien, obłąkańczo atakując jednako przyjaciela, jak i wroga. Kamienny wyraz twarzy Liah zawierał groźbę, że jeśli natychmiast nie zaczną panować nad swoimi minami, to któryś zostanie przeszyty włócznią Panny.

Niemniej jednak zgromadzili się wokół stołu, kiedy zrzucił *shoufę* i zaczął szperać wśród stosów map. Bashere miał rację: ludzie idą za szaleńcem, który zwycięża. Dopóki zwycięża. Dokładnie w chwili, gdy znalazł tę mapę, której szukał, szczegółowy szkic wschodniego krańca Illian, do pawilonu przybyli wodzowie Aielów.

Pierwszy wszedł Bruan z Nakai Aiel, a za nim Jheran z Shaarad, Dhearic

z Reyn, Han z Tomanelle i Erim z Chareen; każdy kolejno odpowiadał na skinienia głowy ze strony Sulin i trzech pozostałych Panien. Bruan, zwalisty mężczyzna o smutnych szarych oczach, był przywódcą tych pięciu klanów, które Rand wyprawił na południe. Żaden z pozostałych się nie sprzeciwił; pozornie spokojne usposobienie Bruana skrywało jego umiejętności bitewne. Ubrani w *cadinsor*, z *.shoufami* zwisającymi im luźno z karków, nie mieli przy sobie żadnej broni z wyjątkiem ciężkich noży za pasem, ale z kolei Aiel rzadko kiedy bywał bezbronny, nawet wtedy, gdy dysponował tylko dłońmi i stopami.

Cairhienianie zwyczajnie udawali, że ich nie dostrzegają, Tairenianie natomiast uznali, że muszą koniecznie zademonstrować pogardę, toteż jęli ostentacyjnie wachać aromatyczne kulki i perfumowane chusteczki. Łza straciła jedynie Kamień na rzecz Aielów — i to z pomocą Smoka Odrodzonego, ich zdaniem, względnie z pomocą Aes Sedai — za to Cairhien zostało dwukrotnie przez nich spustoszone, dwukrotnie pokonane i upokorzone.

Wszyscy Aielowie, z wyjątkiem Hana, nie zwracali uwagi na obecnych w namiocie. Han natomiast, siwowłoso, z twarzą naznaczoną tyloma bliznami, że przypominała popękaną skórę, rzucał dookoła mordercze spojrzenia. Był, mówiąc najogólniej, człowiekiem drażliwym, toteż nie wpływał na niego dodatnio fakt, iż część Tairenian niemalże dorównywała mu wzrostem. Han był niski jak na Aiela — co znaczyło, że był o wiele wyższy od mieszkańca bagien średniego wzrostu — i równie przeczulony jak Enaila. A poza tym Aielowie gardzili „zabójcami drzew” — tak brzmiało jedno z mian, jakim obdarzali Cairhienian — bardziej niż innymi mieszkańcami mokradeł. Inne miano brzmiało „krzywoprzysięcy”.

— Illiańczycy — wskazał stanowczym tonem Rand, wygładzając mapę. Użył Berła Smoka, żeby przycisnąć jeden brzeg, oraz złotego kałammarza i piaskownicy, by przytrzymać drugi. Nie potrzebował tych ludzi po to, by zaczęli się na powrót wzajem mordować. Nie sądził, że będą to robić — dopóki on tam był, przynajmniej. W opowieściach sojusznicy ostatecznie nabierali do siebie zaufania, a nawet zaczęli się wzajem lubić; wątpił jednak, czy można tego oczekiwać w tym przypadku.

Niewielka część pofałdowanych Równin Maredo wciniała się w terytorium Illian, ustępując miejsca zalesionym wzgórzom, wznoszącym się tuż nad brzegami Manetherendrelle i jednej z jej odnóg zwaną Shal. Wschodni skraj wzgórz wyznaczało pięć krzyży nakreślonych atramentem w odstępach wynoszących jakieś dziesięć mil. Wzgórza Doirlon.

Rand położył palec na środkowym krzyżu.

— Jesteście pewni, że Sammael nie rozbił nowych obozowisk? — Nieznaczny grymas na twarzy Weiramona sprawił, że z irytacją warknął: — Lord Brend, jeśli tak wolicie, albo Rada Dziewięciu względnie Mattin Stepaneos den Balgar, jeśli chcecie tu udziału samego króla. Czy sytuacja nadal tam wygląda tak, jak zaznaczono na mapie?

— Nasi zwiadowcy tak twierdzą — odparł spokojnie Jheran. Strzelisty smukłością ostrza, o jasnorudych włosach przetykanych siwizną, był obecnie zawsze opanowany, odkąd wraz z przyjściem Randa zakończyła się trwająca czterysta lat waśń krwi między Shaarad a Goshien Aiel. — *Sovin Nai i Duadhe Mahdi'in* bacznie ich obserwują. — Skinął nieznacznie głową, z wyraźną satysfakcją, podobnie zrobił Dhearic. Jheran należał do *Sovin Nai*, Rąk Noża, zanim został wodzem, a Dhearic do *Duadhe Mahdi'in*, Poszukiwaczy Wody. — Dzięki biegaczom już po pięciu dniach wiemy o wszelkich zmianach.

— Moi zwiadowcy są o tym przekonani — powiedział Weiramon, jakby Jheran w ogóle się nie odezwał. — Co tydzień wysyłam nowy oddział. Potrzebują miesiąca, by tam się udać i wrócić, ale zapewniam cię, mam najświeższe wieści, na ile pozwala odległość.

Twarze Aielów równie dobrze mogły być wyrzeźbione z kamienia.

Rand zignorował kolejny przejaw wzajemnych napięć. Już wcześniej próbował złagodzić podziały między Tairenianami, Cairhienianami i Aielami, ale one wciąż na nowo dochodziły do głosu, wystarczyło, że się tylko odwrócił. Próżny wysiłek.

A co do obozowisk... Wiedział, że nadal jest ich tylko pięć; wizytował je, w pewnym sensie można by tak to określić. Było takie miejsce... do którego wiedział, jak wejść, dziwne, bezludne odbicie prawdziwego świata; dzięki swym umiejętnościom przenikał za drewniane mury tych masywnych górskich fortów. Z góry znał odpowiedzi na prawie każde pytanie, jakie zamierzał zadać, ale żonglował planami zawartymi w planach niczym bard dokonujący kuglarskich sztuk z ogniem.

— I Sammael nadal ściąga ludzi?

Tym razem wypowiedział to imię z naciskiem. Twarze Aielów nie uległy zmianie — Przekłęci wydostali się na wolność, a więc byli wolni. Takie były fakty, taki był świat, należało przyjąć to do wiadomości, przecież zmierzyć się przyjdzie z rzeczywistością, a nie przedmiotami własnych życzeń — jednak inni obdarzyli go tymi ukradkowymi, pełnymi grozy spojrzeniami. Prędzej czy później, i tak będą musieli się oswoić z tą myślą. Im wcześniej uwierzą, tym potem będzie im łatwiej działać.

— Wygląda na to, że pobór objął już wszystkich mężczyzn w Illian, którzy potrafią wziąć do ręki włócznię i nie potknąć się zaraz o jej drzewce — odparł Tolmeran z ponurą miną. Pragnął się bić z Illianami tak jak każdy Tairenianin... obie nacje nienawidziły się wzajem od czasu, gdy zostały siłą podbite w rozpadającym się imperium Artura Hawkwinga; ich historia stanowiła nieustające pasmo wojen z byle przyczyny... ale w odróżnieniu od pozostałych Wysokich Lordów w mniejszym stopniu wierzył, że do wygrania każdej bitwy wystarczy jedna porządna szarża. — Wszyscy zwiadowcy, którym udaje się wrócić, donoszą o coraz liczniejszych obozach, coraz lepiej ufortyfikowanych.

— Powinniśmy ruszać jak najszybciej, Lordzie Smoku — oznajmił z naci-  
skiem Weiramona. — Oby ma dusza szczyła w Światłości, pogonię tych Illian ze  
spodniami opadającymi do kostek. Uwięźli tam na własne życzenie. No jakżeż,  
przecież prawie wcale nie mają konnicy! Wybije ich wszystkich co do jednego  
i droga do stolicy będzie wolna. — W Illian, podobnie jak w Łzie i Cairhien,  
„stolicą” było miasto, od którego pochodziła nazwa całego państwa. — Oby mi  
oczy wypaliło, za miesiąc zatknę twój sztandar nad Illian, Lordzie Smoku. W naj-  
gorszym razie za dwa. — Zerknąwszy na Cairhienian, dodał takim tonem, jakby  
musiał siłą dobywać te słowa z gardła: — Uczynimy to razem, ja i Semaradrid.

Semaradrid skłonił się nieznacznie. Ledwie dostrzegalnie.

— Nie — odparł zwięźle Rand. Plan Weiramona wiódł do nieuchronnej klę-  
ski. Ich obóz od górskiego fortu Sammaela dzieliło dobre dwieście pięćdziesiąt  
mil porośniętych trawą równin, gdzie wzniesienie o wysokości pięćdziesięciu stóp  
było uważane za wysokie wzgórze, a zagajnik o średnicy dwóch hajdów nazywa-  
no lasem. Poza tym Sammael też miał zwiadowców; każdy szczur albo kruk mógł  
okazać się jednym z nich. Dwieście pięćdziesiąt mil. Dwanaście albo trzynaście  
dni dla Tairenian i Cairhienian, jeśli dopisze im szczęście. Aielowie mogli poko-  
nać ten dystans w pięć dni, gdyby się postarali — przy czym pojedynczy zwia-  
dowca, ewentualnie dwóch, przemieszczali się jeszcze szybciej niż cała armia —  
ale ich udziału plany Weiramona nie przewidywały. Zanim Weiramona dotrze do  
Wzgórz Doirlon, Sammael od dawna będzie już gotów zetrzeć Tairenian na proch,  
nie zaś na odwrót. Głupi plan. Jeszcze głupszy od tego, który zaproponował im  
Rand.

— Znacie swoje rozkazy. Macie tu czekać do przybycia Mata, który przejmie  
dowodzenie, a nawet wtedy nikt się nie ruszy choćby na stopę, dopóki nie uznam,  
że zgromadziłem dostatecznie liczne siły. W drodze jest więcej ludzi, Tairenianie,  
Cairhienianie, Aielowie. Zamierzam rozgromić Sammaela, Weiramona. Rozgromić  
go raz na zawsze i sprawić, by ponad Illian załopotał Sztandar Smoka. — To  
akurat było prawdą. — Żałuję tylko, że nie mogę wam towarzyszyć, ale sprawy  
Andoru nadal domagają się mojej uwagi.

Twarz Weiramona przemieniła się w kamień przeżarty przez kwas, grymas  
Semaradrida mógłby zapewne przemienić wino zawarte w jego ponczu w ocet,  
obliczu Tolmerana zaś tak bardzo brakowało wszelkiego wyrazu, że jego dezapro-  
bata stawała się równie oczywista jak cios pięścią w nos. Semaradrida niepokoiło  
ciągle odwlekanie natarcia. Wykazywał nie raz, że skoro z każdym dniem do obo-  
zu przybywa coraz więcej ludzi, oczywiste jest, że coraz ich więcej przybywa  
także do fortów w Illian. Plan Weiramona bez wątpienia stanowił efekt jego naci-  
sków, aczkolwiek sam opracowałby go bez wątpienia lepiej. Z kolei wątpliwości  
Tolmerana krążyły wokół Mata. Zasłyszane od Cairhienian pochwały umiejęt-  
ności bitewnych tamtego Tolmerana uważał z zwykłe pochlebstwa przeznaczone dla  
wiejskiego prostaczka, który przypadkiem okazał się przyjacielem Smoka Odro-

dzonemu. Swe obiekcje na szczęście wyrażali stosunkowo otwarcie, przy czym Semaradrid miał nawet trochę racji — to znaczy, miałby rację, gdyby plan, który podali, był czymś więcej niż tylko kolejnym parawanem. Sammael żadną miarą nie mógł polegać wyłącznie na szczurach i krukach. Rand spodziewał się, że ma również swoich ludzi w obozie, a zapewne są wśród nich także szpiegzy innych Przeklętych oraz, bez wątpienia, Aes Sedai.

— Będzie, jako rzeczysz, lordzie Smoku — odparł zbolalym tonem Weiramon. Ten człowiek, należycie odważny, kiedy przychodziło do bitwy, był jednak ślepy murniakiem, niezdolnym do myślenia o czymkolwiek innym niż o sławie, jaką przyniosłaby mu szarża, o nienawiści do Illian, pogardzie dla Cairhienian i „dziwkusów” z Pustkowiec Aiel. Rand był przeświadczony, że Weiramon jest rzeczywiście właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Tolmeran i Semaradrid nie wykonują żadnego niewczesnego ruchu, dopóki on dowodził.

Rozmawiali tak jeszcze przez czas jakiś; Rand słuchał, sporadycznie zadając pytania. Nie było więcej sprzeciwów, kolejnych sugestii, że powinni już teraz przypuścić atak, w ogóle nie było już dyskusji na temat ataku. Rand wypytał Weiramona i pozostałych o wozy oraz ich zawartość. Na Równinach Maredo wsie były nieliczne, rozrzucone w dużych odległościach od siebie, i żadnego miasta z wyjątkiem Far Madding na północy, a poza tym było za mało farm, nawet do wyżywienia miejscowej ludności. Ogromna armia będzie potrzebowała stałego sznura wozów dowożących wszystko ze Łzy, począwszy od mąki, przez chleb i gwoździe, aż po końskie podkowy. Z wyjątkiem Tolmerana, wszyscy Wysochy Lordowie byli zdania, że armia powinna zabrać z sobą tyle, ile jej potrzeba do pokonania równiny, potem będzie można się wyżywić z trybutów nałożonych na Illian; najwyraźniej myśl o tym, że niczym chmara szarańczy do gołej ziemi spustoszą, terytorium swego odwiecznego wroga, musiała być kusząca. Cairhienianie byli odmiennego zdania, zwłaszcza Semaradrid i Meneril. Nie tylko gmin wygłodniał podczas cairhieniańskiej wojny domowej i oblężenia ich stolicy przez Shaido: zapadłe policzki szlachty świadczyły o tym aż nadto wymownie. Illian zaliczało się do bogatych krain i nawet na Wzgórzach Doirlon były farmy i winnice, ale Semaradrid i Meneril woleli nie skazywać żołądków swych żołnierzy na mało pewny furaż, jeśli istniało jakieś inne wyjście. Rand zaś nie chciał, by złupiono Illian, jeśli da się tego uniknąć.

Wcale na nikogo specjalnie nie naciskał. Sunamon, który już dawno temu dostał nauczkę za to, że mówił Randowi jedno, a robił co innego, zapewnił, że sukcesywnie gromadzi wozy z żywnością. W całej Łzie zbierane są zapasy, ciągnął, nie bacząc na pełne zniecierpliwienia grymasy Weiramona, któremu nie podobał się cały pomysł, oraz na pomruki Toreana wyrażające zaniepokojenie wzrastającymi kosztami. Ważne jednak było, że realizacja jego planu posuwała się naprzód — i że komuś wreszcie najwyraźniej zaczęło zależeć, by posuwała się naprzód.

Jak zwykle pożegnali go górnolotną paplaniną i wymyślnymi ukłonami; nie

zwracając jednak szczególnej uwagi na te dworskie gesty, z powrotem obwiązał głowę *shoufa* i wziął do ręki Berło Smoka, puszczając mimo uszu mało serdeczne zaproszenia na ucztę i równie nieszczerą propozycję, że będą mu towarzyszyć, skoro nie może zostać na przyjęciu, którym chcieli przecież go uhonorować. Tairenianie i Cairhienianie jednak unikali towarzystwa Smoka Odrodzonego, do tego stopnia, w jakim było to bezpieczne i nie oznaczało popadnięcia w niełaski, a jednocześnie udawali, że nic takiego nie ma miejsca. Zwłaszcza kiedy przenosił Moc, woleli znajdować się zupełnie gdzie indziej. Odprowadzili go jednak do wyjścia i naturalnie kilka kroków dalej, ale Sunamon odetchnął wyraźnie, kiedy już zostali sami, a potem Rand usłyszał jeszcze, jak z gardła Toreana wyrywa się głupawy chichot ulgi.

Pograżeni w milczeniu wodzowie Aielów wyszli razem z Randem, natomiast te Panny, które czekały na zewnątrz, przyłączyły się do Sulin i pozostałych trzech, tworząc pierścień wokół sześciu mężczyzn, którzy ruszyli w stronę namiotu w zielone paski. Tym razem podniosło się zaledwie kilka wiwatów, wodzowie nadal nie przemówili ani razu. W pawilonie okazali się niemalże równie małomówni. Kiedy Rand to skomentował, Dhearic zauważył:

— Ci mieszkańcy bagien nie chcą nas słuchać. — Był krzepkim mężczyzną, o palec tylko niższym od Randa, o dużym nosie i złotych włosach poprzetykanych bledszymi pasmami. Niebieskie oczy przepełniała pogarda. — Oni słuchają tylko wiatru.

— Czy powiedzieli ci o tych, którzy się zbuntowali? — spytał Erim. Wyższy od Dhearika, miał wydatną szczękę i niemalże tyleż samo siwizny co rudości we włosach.

— Powiedzieli — odparł Rand, na co Han spojrział na niego spod zmarszczonych brwi.

— Popełnisz błąd, jeśli pošlesz tych Tairenian za tamtymi. Nawet jeśli można im zaufać, to, moim zdaniem, i tak się do tego nie nadają. Poślij Włócznie. Jeden klan będzie aż nadto.

Rand potrząsnął głową.

— Darlin i jego rebelianci mogą poczekać. Ważny jest Sammael.

— To w takim razie ruszajmy już do Illian — odparł Jheran. — Zapomnijmy o tych mieszkańcach bagien, Randzie al'Thor. Jest tu zebranych dwieście tysięcy włóczni. Zniszczymy tych Illian, zanim Weiramon Saniago i Semaradrid Maravin pokonają połowę drogi.

Rand na moment zacisnął powieki. Czy wszyscy zamierzali się z nim sprzezczać? Ci mężczyźni nie zaliczali się do tych, którzy ustąpią pod wpływem groźnego marsa na czołe Smoka Odrodzonego. Smok Odrodzony był dla nich postacią z proroctw mieszkańców bagien; oni szli za Tym Który Przychodzi Ze Świtem, za *Car'a'carnem*, a nawet *Car'a'carn* nie był królem, o czym już dawno temu sprzykrzyło mu się słuchać.

— Chcę od was przyrzeczenia, że zostanieie tutaj, dopóki Mat nie każe wam ruszać. Przyrzeczenia od każdego z was.

— Zostaniemy, Randzie al'Thor. — W zwodniczo łagodnym głosie Bruana pobrzmiwała odległa ostra nuta. Pozostali zgodzili się, mniej uprzejmie, ale się zgodzili.

— To strata czasu — dodał Han, krzywiąc usta. — Obym nigdy nie zaznał cienia, jeśli tak nie jest. — Jheran i Erim przytaknęli.

Rand nie spodziewał się, że ustąpią tak szybko.

— Niekiedy trzeba marnować czas po to, żeby go zaoszczędzić — powiedział, na co Han zareagował głośnym parsknięciem.

Wędrowcy Burzy unieśli prążkowane boki namiotu i osadzili je na palikach, dzięki czemu ocienione wnętrze owiewał łagodny wiatr. Ten wiatr był suchy i gorący, oni jednak najwyraźniej uważali, że odświeża. Rand, ze swej strony, nie czuł, by tutaj pocił się o bodaj kroplę mniej niż na słońcu. Ściągnął *shoufę*, zanim zasiadł na ułożonych warstwach dywaników naprzeciwko Bruana i innych wodzów. Wszystkie Panny przyłączyły się do Wędrowców Burzy, którzy otaczali namiot; co chwilę jedna strona opowiadała drugiej jakiś dowcip, po którym następował chóralny wybuch śmiechu. Tym razem rej w towarzystwie zdawał się wodzić Leiran; w każdym razie Panny dwukrotnie zabębniły włóczniami o tarcze na jego cześć. Rand niewiele z tego wszystkiego rozumiał.

Nabiwszy fajkę z krótkim cybuchem, podał mieszek z kozłej skóry wodzom, by ci też mogli nabić swoje fajki — znalazł w Caemlyn niewielką faskę, wypełnioną dobrym tytoniem z Dwu Rzek — po czym przeniósł, by ją zapalić; tamci posłali jakiegoś Wędrowca Burzy po płonącą gałązkę z ogniska. Kiedy już we wszystkich fajkach tlił się żar, przystąpili do rozmowy, z ukontentowaniem chłonąc wonny dym.

Rozmowa trwała równie długo jak jego dyskusja z lordami, nie dlatego, że było aż tyle spraw do omówienia, ale ponieważ wodzowie nie uczestniczyli praktycznie w rozmowie Randa z mieszkańcami mokradeł. Aielowie byli niezwykle przewrażliwieni na punkcie honoru; ich życiem rządził nakaz *ji'e'toh*, honoru i zobowiązania, oparty na zasadach równie skomplikowanych i dziwacznych jak ich dowcipy. Rozmawiali o tych Aielach, którzy jeszcze byli w drodze z Cairhien, o tym, kiedy przybędzie Mat i o tym, co trzeba zrobić z Shaido, o ile w ogóle należy coś z nimi robić. Rozmawiali o polowaniu i kobietach, o tym, czy brandy jest równie dobra jak *oosquai*, i o poczuciu humoru. Nawet cierpliwy Bruan rozłożył w końcu ręce na znak, że się poddaje i zrezygnował z dalszych prób tłumaczenia Aielowych żartów. No bo cóż, na Światłość, jest takiego śmiesznego w kobiecie, która przypadkiem zabiła nożem własnego męża, niezależnie od okoliczności towarzyszących temu zdarzeniu, albo w mężczyźnie żeniącym się ostatecznie z siostrą kobiety, którą pierwotnie pragnął poślubić? Han burczał, parskła i za nic nie chciał uwierzyć, że Rand tego nie rozumie; śmiał się tak serdecznie z tej opowie-



ści o zakłuciu nożem, że omal się nie przewrócił. Jedynym tematem, jakiego nie poruszyli, była przyszła wojna z Illian.

Po ich wyjściu Rand stanął i zmrużonymi oczyma spojrzął na słońce znajdujące się w połowie drogi do horyzontu. Han powtórzył historyjkę o zakłuciu nożem i oddalający się wodzowie znowu się z niej zaśmiewali. Wystukawszy fajkę o wnętrze dłoni, Rand wdeptał nie dopalony tytoń w ziemię. Miał jeszcze dość czasu, by wrócić do Caemlyn i spotkać się z Bashere, a mimo to wycofał się do namiotu, usiadł i zapatrzył na zachodzące słońce. Kiedy dotknęło horyzontu, nabierając barwy krwi, Enaila i Somara przyniosły mu talerz gulaszu z baraniny, w ilości, której starczyłoby dla dwóch, okrągły bochen chleba i dzban miętowej herbaty, wstawiony do wiadra z wodą, by napój się ochłodził.

— Za mało jesz — stwierdziła Somara, usiłując pogłodzić go po włosach, dopóki nie cofnął głowy.

Enaila przyjrzała mu się uważnie.

— Aviendha przypilnowałaby, żebyś jadł, tylko ty jej unikasz.

— Najpierw wzbudza jej zainteresowanie, a potem przed nią ucieka — mruknęła Somara. — Musisz znowu przyciągnąć jej uwagę. Może zaproponujesz, że jej umyjesz włosy?

— Nie powinien być aż taki śmiały — odparła stanowczo Enaila. — Będzie aż nadto, jeśli ją poprosi o zgodę na wyszczotkowanie włosów. Z pewnością nie chce, by uznała go za zbyt śmiałego.

Somara pociągnęła nosem.

— Ona nie pomyśli, że jest nazbyt śmiały, skoro teraz przed nią ucieka. Można cię uznać raczej za zbyt skromnego, Randzie al'Thor.

— Do was nie dociera, że żadna z was nie jest moją matką, prawda?

Dwie odziane w *cadinsor* kobiety popatrzyły na siebie z konsternacją.

— Czy twoim zdaniem to kolejny dowcip mieszkańca mokradeł? — spytała Enaila, a Somara wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. On nie wygląda na rozbawionego. — Poklepała Randa po plecach. — Jestem pewna, że to był dobry dowcip, ale musisz go nam wytłumaczyć.

Rand cierpiał w milczeniu, zgrzytając tylko zębami, a one przypatrywały mu się, kiedy jadł. Dosłownie przypatrywały się każdej nabranej przez niego łyżce. Sprawy nie stały się łatwiejsze, kiedy wyszły, zabierając talerz, a ich miejsce zajęła Sulin. Sulin udzieliła mu dość bezczelnej i całkiem niestosownej rady odnośnie do sposobu, w jaki mógłby na powrót wzbudzić zainteresowanie Aviendhy; wśród Aielów pierwsza-siostra mogła zrobić coś takiego dla pierwszego-brata.

— Powinieneś być w jej oczach przyzwoicie skromny — powiedziała mu siwowłosa Panna — ale nie tak skromny, by cię uznała za nudnego. Poproś ją, żeby ci wyszorowała plecy w łaźni parowej, ale bądź przy tym zawstydzony, spuść oczy. Kiedy już się rozbierzesz przed nocnym spoczynkiem, wykonaj nagle tańeczny pływ, jakbyś radował się życiem, po czym przeproś, udając, że teraz do-

piero zauważyłeś jej obecność i natychmiast schowaj się pod koce. Potrafisz się zaczerwienić?

Dalej cierpiał, nie mówiąc słowa. Panny wiedziały tak dużo, a jednocześnie nie dość.

Po powrocie do Caemlyn, kiedy słońce już zaszło, Rand zakradł się do swych apartamentów z butami w ręku, po omacku szukając w przedsionku drogi do sypialni. Nawet gdyby nie wiedział, że Aviendha tam z pewnością będzie, już wyciągnięta na legowisku pod ścianą, wyczułby jej obecność. W ciszy nocnej potrafił dosłyszeć jej oddech. Tym razem przynajmniej zdawało mu się, że odczekał dostatecznie długi czas, by zdążyła zasnąć. Próbował położyć kres temu wszystkiemu, ale zupełnie nie zwracała uwagi na jego starania, a Panny wyśmiewały się z jego „nieśmiałości” i „skromności”. To dobre cechy u mężczyzny, kiedy jest sam, zgadzały się, o ile nie są doprowadzone do przesady.

Ułożył się łóżku, z ulgą, że Aviendha już śpi — i niejakim rozgoryczeniem, bo nie odważył się zapalić lampy i nie mógł się umyć — i w tym momencie przewróciła się na swym pościeli. Najprawdopodobniej przez ten cały czas w ogóle nie spała.

— Śpij dobrze i czujnie. — Tyle tylko powiedziała.

Z myślą, jak idiotyczne jest to nagłe zadowolenie z tego powodu, że jakaś kobieta, której tak starał się unikać, powiedziała mu dobranoc, wepchnął pod głowę wypchaną gęsim pierzem poduszkę. Aviendha prawdopodobnie uznała to za absolutnie cudowny dowcip; naigrawanie się było u Aielów niemalże rodzajem sztuki, a im bliżej sytuacji, w której omalże nie dochodziło do przelania krwi, tym lepiej. Sen zaczął przychodzić i jego ostatnią świadomą myślą było, że wymyślił własny, kapitalny dowcip, na razie znany jedynie jemu, Matowi i Bashere. Sammael nie miał za grosz poczucia humoru, ale ten wielki młot, armia czekająca w Łzie, była największym dowcipem, jaki świat kiedykolwiek słyszał. Jeśli szczęście dopisze, Sammael będzie już martwy, zanim się zorientuje, że powinien się śmiać.

## INNY TANIEC

Pod wieloma względami „Złoty Jeleń” zasługiwał na swoją reputację. Wielką wspólną izbę gospody zastawiono wypolerowanymi stołami i ławami z nogami rzeźbionymi w róże. Jedna z posługaczek w białym fartuszk nie robiła nic innego, tylko zamiatała posadzkę wyłożoną jasnym kamieniem. Pobielone ściany zdobił malowany pas z niebiesko-złotych zakrętasów, który biegł tuż pod linią styku z wysokim belkowanym stropem. Paleniska kominków zbudowanych z równo ociosanych kamieni dekorowały gałązki wiecznie zielonych roślin; nad każdym nadprożem wyrzeźbiony był jeleń, który rozłożystym porożem wspierał kielich z winem. Obramowanie jednego z kominków stroił dodatkowo wysoki zegar z odrobiną złocień. Niewielkie podium na tyłach sali zajmowała grupka muzyków, złożona z czterech spoconych mężczyzn w samych koszulach, wśród których dwaj wygrywali płaczliwe trele na fletach, a dwaj inni brzdąkali na dziewięciostrunowych bitternach, oraz rumianolicej kobiety w sukni w niebieskie paski, która manipulowała maleńkimi drewnianymi młoteczkami na dulcimerze osadzonym na cienkich nóżkach. Przez izbę bezustannie przewijało się kilkanaście posługaczek odzianych w jasnoniebieskie suknie i fartuszki — przeważnie pięknych, aczkolwiek były wśród nich również takie, które miały tyle samo lat co pani Daelvin, pulchna i niska oberżystka z siwym koczkiem zaplecionym tuż nad karkiem. Było to jedno z takich miejsc, za jakimi Mat przepadał; obiecywało wygody i pachniało pieniądzem. Wybrał je, ponieważ znajdowało się prawie w samym środku miasta, a i nie bito w nim tak bardzo po kieszeni.

Rzecz jasna, nie wszystko w tej oberży wyjaśniało jej renome — drugiej w rankingu najlepszych w Maerone. Z kuchni buchała woń baraniny i wszechobecnej rzepy, a także nieodmiennej pikantnej zupy z jęczmienia, mieszając się z napływającym z zewnątrz zapachem kurzu i koni. Cóż, żywność stanowiła problem w miasteczku nie dość, że po brzegi wypełnionym uchodźcami i żołnierzami, to jeszcze otoczonym obozowiskami, w których mieszkali kolejni przybysze. Na ulicy co rusz to rozbrzmiewały, to zamierały męskie głosy wyśpiewujące hałaśliwe pieśni marszowe; słyszało się też stale tupot wysokich butów i końskich kopyt, a także przeklinanie upału. W głównej izbie panowało piekielne gorąco, a powietrze było całkiem nieruchome; otwarcie okien na nic by się nie zdało,

a poza tym na wszystkim błyskawicznie osiadłby kurz. Maerone przywodziło na myśl rozgrzany ruszt.

Mat uważał, że z tego, co widzi, należy wnosić, że cały ten przeklęty świat wysycha, ale zupełnie nie miał ochoty się zastanawiać, dlaczego tak się dzieje. Bardzo żałował, że nie potrafi zapomnieć o upale, zapomnieć, dlaczego jest w Maerone, zapomnieć o wszystkim. Nie zapiął guzików przy swym dobrym zielonym kaftanie haftowanym złotem przy kołnierzu i mankietach, nie zawiązał tasemek przy koszuli z cienkiego lnu, a mimo to pocił się jak koń wyścigowy. Może by mu pomogło, gdyby zdjął szarfę z czarnego jedwabiu zapętloną na szyi, ale robił to rzadko tam, gdzie ktoś mógł się mu przyglądać. Wysączywszy wino do dna, postawił cynowy kielich tuż przy łokciu, po czym ujął kapelusz z szerokim rondem, żeby się powachlować. Wszystko, co wypił, ilekolwiek by tego było, szybciej wydalą z potem, niż wchłaniał jego organizm.

Kiedy postanowił zatrzymać się w „Złotym Jeleniu”, lordowie i oficerowie z Legionu Czerwonej Ręki poszli jego śladem, przez co wszyscy inni trzymali się teraz z daleka od tej oberży, co raczej nie budziło niezadowolenia pani Daelvin. Każde łóżko mogła wynająć pięć razy wśród samych tylko lordów i lordziątek z Legionu, a tacy jak oni dobrze płacili, mało wszczynali burd, a jak już jaką wszczęli, to zazwyczaj wychodzili z nią poza oberżę, zanim doszło do rozlewu krwi. Tego popołudnia jednakże tylko dziewięciu czy dziesięciu mężczyzn siedziało przy stołach, a ona co jakiś czas mrugała do pustych ław, klepała się po koczku i wzdychała; do wieczora nie sprzedała znaczniejszych ilości wina, z którego czerpała sporą część zysków. Za to muzycy wkładali dużo wigoru w swoje granie. Garstka lordów zadowolona z muzyki — każdy, kto płacił złotem, zasługiwał na to, by zwracać się doń „mój lordzie” — mogła być bardziej szczodra niżli cała izba pełna prostych żołnierzy.

Na nieszczęście dla sakiewek muzyków jedynym człowiekiem, który ich słuchał, był Mat, który krzywił się przy co trzeciej nucie. Nie z ich winy zresztą; ta muzyka była miła dla ucha, pod warunkiem, że się nie wiedziało, czego się słucha. Mat wiedział — to on nauczył ich tej melodii, wyklaskiwaniem taktu i nuceniem — ale poza nim nikt inny jej nie słyszał od dwóch tysięcy lat. Ci tutaj potrafili zachować właściwy rytm i to chyba była jedyna dobra rzecz, jaką można powiedzieć o ich interpretacji.

Do ucha wpadły mu strzępy czyjejs rozmowy. Rzucił kapelusz, machnął kubkiem na znak, że życzy sobie, by dolano mu wina, po czym pochylił się nad stołem w stronę trzech mężczyzn pijących obok.

— Możecie to powtórzyć?

— Głowimy się, jak odzyskać chociaż część tych pieniędzy, które u ciebie przegraliśmy — odparł Talmanes. Nie posłał mu uśmiechu ponad krawędzią swego kielicha, ale to wcale nie znaczyło, że jest zasmucony. Tylko kilka lat starszy od dwudziestoletniego Mata, o głowę niższy, Talmanes rzadko się uśmiechał. Mato-

wi nieodmiennie przypominał ściśniętą sprężynę. — Nikt nie jest w stanie wygrać z tobą w karty. — Dowódca połowy kawalerii Legionu był lordem w Cairhien, a mimo to golił i pudrował przód czaszki, nie zważając na to, że pot natychmiast zmywa część pudru. Całkiem sporo młodszych cairhieniańskich lordów przejęło żołnierski styl. Kaftan Talmanes też nosił prosty, bez kolorowych rozcięć oznaczających szlachcica, mimo iż miał prawo do kilku.

— To nie tak — zaprotestował Mat. Prawda, jak już miał szczęście, to było to szczęście absolutne, ale przychodziło do niego w cyklach, zwłaszcza w odniesieniu do gier, którymi kierował określony porządek, jak to miało miejsce w przypadku kart. — Krew i popioły! W zeszłym tygodniu wygraliście ode mnie pięćdziesiąt koron. — Pięćdziesiąt koron; jeszcze rok temu fikałby koziołki po wygraniu jednej korony i płakał na samą myśl o jej przegraniu. A jeszcze rok wcześniej nie miał ani jednej, którą mógłby przegrać.

— To ile setek jestem dzięki temu do tyłu? — spytał sucho Talmanes. — Chciałbym mieć szansę się odegrać. — Gdyby jednak kiedykolwiek zaczął konsekwentnie wygrywać z Matem, to dopiero wtedy zacząłby się przejmować. Jak większość członków Legionu uznawał, że szczęście Mata to rodzaj talizmanu.

— Z cholernymi kośćmi też jest źle — stwierdził Daerid, dowódca piechoty Legionu. Pił łapczywie i nie zwracał uwagi na grymas na twarzy Naleseana, nieznacznie maskowany dzięki wypomadowanej bródce. Większość arystokratów, jakich Mat poznał, uważała, że kości to pospolita gra, w którą jedynie chłopom przystoi grywać. — Ani razu nie widziałem, żeby ci się nie powiodło przy kościach. To musi być coś, na co ty nie masz wpływu, coś, w czym nie masz udziału. Rozumiesz mnie chyba?

Tylko trochę wyższy od swego ziomka, Talmanesa, Daerid był dobre piętnaście lat starszy, z nosem złamanym więcej niż raz i trzema białymi bliznami przecinającymi twarz. Jedyne z tych trzech nie urodzony szlachetnie, też golił sobie i pudrował przód czaszki; żołnierzem był całe życie.

— Myśleliśmy o koniach — wtrącił Nalesean, gestykulując cynowym kubkiem. Zwalisty, wyższy od obu Cairhienian, dowodził drugą połową kawalerii Legionu. Ten upał sprawiał, że Mat często się zastanawiał, dlaczego on wciąż nosi tę bujną, czarną brodę, przycinając ją tylko każdego ranka, by uzyskać ostry szpic. I podczas gdy Daerid i Talmanes rozpinali swe szare kaftany, Nalesean swój — z zielonego jedwabiu, z wатовanymi pasiastymi rękawami i mankietami ze złotej satyny — nosił zawsze zapięty po szyję. Lekcewał pot, który lśnił mu na twarzy. — Oby mi dusza szczezła, szczęście zaiste trzyma się ciebie w bitwie i przy kartach. A także przy kościach — dodał z jeszcze jednym grymasem przeznaczonym dla Daerida. — Ale w wyścigach konnych wszystko zależy od koni.

Mat uśmiechnął się i wsparł łokcie na stole.

— Znajdźcie jakiegoś dobrego konia, to zobaczymy.

Jego szczęście zaiste mogło nie funkcjonować w przypadku końskich wyści-

gów — oprócz kości, kart i tym podobnych, nie mógł zawierzyć swojemu fartowi — niemniej jednak od maleńkości przyglądał się, jak jego ojciec handluje końmi, a poza tym sam miał do nich dobre oko.

— Chcecie tego wina czy nie? Nie mogę nalać, jeśli nie sięgam do kubka.

Mat obejrzał się przez ramię. Stojąca za nim posługaczka z wypolerowanym cynowym dzbanem w ręku była niska i szczupła. Ciemnooka, bladolica piękność, o czarnych lokach spływających na ramiona. Na dodatek melodyjny cairhieniański akcent sprawiał, że jej głos brzmiał jak dzwoneczki. Miał oko na tę Betse Silvin od pierwszego dnia, kiedy wszedł do „Złotego Jelenia”, ale dopiero teraz nadarzyła się sposobność, by do niej zagadać; zawsze było pięć rzeczy, które należało wykonać natychmiast i dziesięć takich, które trzeba było zrobić poprzedniego dnia. Pozostali mężczyźni zdążyli już ukryć twarze w swych kubkach, pozostawiając mu odrobinę prywatności z tą kobietą — na tyle, na ile było to możliwe, nie wychodząc z sali. Byli dobrze wychowani, nawet ci dwaj szlachcice.

Uśmiechając się szeroko, Mat przerzucił nogi przez ławę i podał jej kubek.

— Dziękuję ci, Betse — powiedział, a ona dygnęła. Kiedy poprosił, by nalała także sobie i przysiadła się do niego, postawiła dzban na stole, założyła na piersiach ręce i przekrzywiła głowę na bok, mierząc go spojrzeniem od stóp do głów.

— Pani Daelvin to by się chyba nie spodobało. Och nie, z całą pewnością nie. Czy jesteś lordem? Oni wszyscy najwyraźniej skaczą na twoje rozkazy, ale żaden nie mówi do ciebie „mój panie”. Prawie nawet ci się nie kłaniają; robią to tylko ci z gminu.

Brwi Mata gwałtownie uniosły się w górę.

— Nie — odparł bardziej szorstko, niż pierwotnie zamierzał. — Nie jestem lordem. — Rand mógł pozwalać, by ci wszyscy nadskakujący mu ludzie tytułowali go lordem Smokiem i tak dalej, ale to nie dla Matrima Cauthona. Nie, naprawdę nie. Zrobiwszy głęboki wdech, znowu wyszczerzył zęby w uśmiechu. Niektóre z kobiet starały się zbić człowieka z tropu, ale akurat w tym tańcu on był dobry. — Nazywaj mnie po prostu Mat, Betse. Jestem pewien, że pani Daelvin nie będzie miała nic przeciwko, jeśli trochę ze mną posiedzisz.

— A właśnie, że będzie miała. Ale chyba mogę chwilę pogadać; pewnie i tak jesteś prawie lordem. Czemu to nosisz mimo upału? — Pochyliwszy się do przodu, jednym palcem pociągnęła jego szarfę w dół. Nie uważał i trochę się poluźniła. — Co to takiego? — Powiodła palcem po jasnej, grubej przędze, która otaczała jego szyję. — Czy ktoś próbował cię powiesić? Dlaczego? Jesteś za młody, żeby być zatwardziałym zbirem. — Chcąc ukryć bliznę, odsunął głowę i pospiesznie związał czarny jedwab, ale Betse nie dała się zbyć. Wsunęła dłoń w zanadze jego nie zasnurowanej koszuli i wyciągnęła srebrny medalion w kształcie lisiej głowy, zawieszony na skórzanym rzemyku. — Czy to za kradzież tego medalionu? Wygląda na cenny; czy rzeczywiście jest coś wart?

Mat wyrwał jej z ręki medalion, wsunął go z powrotem na miejsce. Ta kobieta niemalże na chwilę nawet nie milkła, jakby nie musiała w ogóle zaczerpnąć oddechu, z pewnością nie dawała mu dość czasu, by zdążyć wtrącić bodaj słowo. Twarz mu pociemniała, gdy usłyszał rechotanie Naleseana i Daerida. Niekiedy to szczęście, które towarzyszyło mu przy hazardzie, stawało okoniem w jego kontaktach z kobietami i tamci zawsze uważali, że to zabawne.

— Nie, bo wtedy nie pozwoliliby ci go zatrzymać, prawda? — trąkotała dalej Betse. — A jeśli jesteś prawie lordem, to pewnie wolno ci posiadać takie rzeczy. Może to dlatego, że wiedziałeś za dużo. Wyglądasz na młodzieńca, który mnóstwo wie. Albo tak mu się wydaje. — Na jej twarzy rozbłysnął jeden z tych przenikliwych uśmiezków, którymi posługują się kobiety, gdy chcą ogłupić mężczyznę. Rzadko oznaczał on, że rzeczywiście coś wiedzą, jednak potrafiły sprawić, że mężczyzna tak myślał. — Czy dlatego próbowali cię powiesić, bo tobie się zdawało, że wiesz za dużo? A może za udawanie lorda? Jesteś pewien, że nie jesteś lordem?

Daerid i Nalesean śmiali się już otwarcie i nawet Talmanes chichotał, mimo iż próbowali udawać, że rozbawiło ich coś innego. Daerid, krztusząc się, przytoczył jakąś opowieść o człowieku, który spadał z konia za każdym razem, gdy dostał zadyszki, ale w tych fragmentach, które Mat posłyszał, nie było nic zabawnego.

Ale nadal uśmiechał się szeroko. Nie zamierzał przyznać się do klęski, nawet jeśli Betse potrafiła mówić szybciej niż on biegać. Była bardzo ładna, a on spędził ostatnie kilka tygodni na rozmowach z ludźmi pokroju Daerida albo, jeszcze gorzej, ze spoconymi mężczyznami, którzy czasem zapominali się ogolić i nie mieli zbyt częstych okazji do kąpieli. Na policzkach Betse perlił się wprawdzie pot, za to jej ciało wydzielало delikatną woń lawendowego mydła.

— W rzeczy samej, szrama jest skutkiem tego, że wiedziałem za mało — oświadczył beztróskim tonem. Kobietom się zawsze podobało, jak człowiek lekceważył swoje blizny; Światłość wie, że miał ich już całkiem sporo. — Teraz wiem za dużo, ale wtedy wiedziałem za mało. Można by rzec, że zostałem powieszony z powodu niewiedzy.

Betse, kręcąc głową, wydeła wargi.

— To tak brzmi, jakbyś chciał powiedzieć coś mądrego, Mat. Młodzi lordowie zawsze prawią różne mądre rzeczy, ale przecież ty twierdzisz, że nie jesteś lordem. A poza tym ja jestem prostą dziewczyną; mądrości ulatują mi z głowy. Moim zdaniem proste słowa są najlepsze. Ponieważ ty nie jesteś lordem, więc powinienes wyrażać się prosto, bo inaczej ktoś mógłby pomyśleć, że ty udajesz lorda. Żadna kobieta nie lubi, jak mężczyzna udaje kogoś, kim nie jest. Może potrafiłbyś mi wytłumaczyć, co właściwie chciałeś przez to powiedzieć?

Teraz już uśmiechał się z przymusem. W tych przekomarzaniach się z Betse bynajmniej mu nie poszło tak, jak sobie zamierzył. Sam już nie wiedział, czy ona jest kompletną idiotką, czy tylko zrećnie potrafiła sprawić, że potykał się

o własne uszy, by nadażyć za tym jej słowotokiem. Ale tak czy owak, była piękna i pachniała lawendą, a nie potem jak jego męska kompania. Daerid i Nalesean mieli takie miny, jakby zaraz mieli się zadławić na śmierć. Talmanes nucił sobie *Żabę na lodzie*. A więc jego zdaniem on przypomina taką żabę, która poślizgnęła się, upadła na grzbiet i teraz sunie po lodzie, mając łapami w górze?

Mat odstawił kubek, po czym wstał i skłonił się nad dłonią Betse.

— Jestem, kim jestem i niczym więcej, ale na widok twej twarzy słowa same cisną mi się na usta. — Tym sprawił, że zamrugła; niech sobie mówią, co chcą, kobiety lubią kwieciste gadanie. — Czy zechcesz ze mną zatańczyć?

Nie czekając na odpowiedź, poprowadził ją do wolnej przestrzeni między stolami. Może mu się poszczęści i taniec spowolni trochę wartki strumień słów; ostatecznie jest szczęściarzem. Poza tym nigdy nie słyszał o kobiecie, której taniec nie zmiękczyłby serca.

„Potańcz z nią, a wybaczy wiele; spisz się dobrze w tańcu, a wybaczy wszystko”.

Tak głosiło stare porzekadło. Bardzo stare.

Betse ociągała się, zagryzając dolną wargę i popatrując na panią Daelvin, ale korpulentna, niska oberżystka tylko się uśmiechnęła i machnęła ręką na znak, że się zgadza, po czym nieskutecznie przyklepała niesforne pasemka wystające z jej koczka i zaczęła znowu poganiać pozostałe posługaczki, jakby przy stołach było pełno gości. Pani Daelvin z pewnością ruszyłaby na każdego mężczyznę, w jej przekonaniu zachowującego się niestosownie — wbrew łagodnej aparycji. Co więcej, w spódnicach skrywała krótką pałkę i używała jej niekiedy. Nalesean oglądał się na nią podejrzliwie, kiedy podchodziła bliżej — ale jeśli jakiś mężczyzna, który nie skąpił grosza, miał chęć na tańce, to co w tym złego? Mat ujął rękę Betse i rozłożył je na boki. Przestrzeni między stolami powinno wystarczyć. Muzycy zaczęli grać głośniej, choć niestety wcale nie lepiej.

— Naśladuj mnie — powiedział. — Na początku kroki są łatwe. — Zaczął tańczyć w takt muzyki: ugięcie nóg w kolanach, posuwisty krok w bok prawą stopą, dostawienie do niej lewej. Ugięcie, posuwisty krok i dostawienie, cały czas z rękoma wyciągniętymi na boki.

Betse uczyła się szybko, a stopy stawiała lekko. Gdy dotarli do podium, na którym znajdowali się muzycy, zgrabnie uniósł jej ręce w górę i wykonał obrót, dzięki czemu stanęli do siebie plecami. Potem znowu ugięcie i krok w bok, obrót, po którym znowu stali twarzą w twarz, krok w bok i obrót, i jeszcze raz to samo, przez całą drogę do miejsca, z którego zaczęli. Pojęła to równie prędko, uśmiechając się do niego z zachwytem, gdy tylko pozwalały na to obroty. Była naprawdę piękna.

— Teraz będzie trochę trudniej — wymruczał, obracając się w taki sposób, że ustawili się bokiem do muzyków, ze skrzyżowanymi przegubami i dłońmi połączonymi przed sobą. Prawe kolano w górę, lekki wyrzut nogi w lewo, potem



posuwisty krok do przodu i w prawo. Lewe kolano w górę, lekki wyrzut nogi w prawo, krok do przodu i w lewo. Betse wybuchnęła śmiechem, kiedy takimi pługami znowu podeszli do muzyków. Z każdym przejściem kroki stawały się coraz bardziej skomplikowane, ale jej wystarczyło pokazać coś tylko raz, by zaraz się doń dopasowała, zawsze lekka jak piórko w jego rękach, przy każdym obrocie, skręcie i zawirowaniu. A co najważniejsze, nie odzywała się ani słowem.

Muzyka całkiem go pochłoneła; pługali tam i z powrotem po całej izbie, a jemu w głowie wirowały i te dawno temu zaginione już nuty, i ten taniec wzorów, i wspomnienia. W tych wspomnieniach był o głowę wyższy, miał długie złotawe wąsy i niebieskie oczy. Nosił kaftan z czerwoną szarfą z bursztynowego jedwabiu, z kryzą z najlepszej koronki z Barsine i ćwiekami z żółtych szafirów z Aramaelle na piersi, a tańczył z emisariuszką Atha'an Miere, Ludu Morza, kobietą obdarzoną mroczną urodą. Cienki złoty łańcuszek łączył jej nozdrze z jednym z licznych kolczyków z medalionami, identyfikując ją jako Mistrzynię Fal klanu Shodin. Jej władza go nie interesowała, to był przedmiot zmartwień króla, nie zaś pośledniego lorda. Była piękna i lekka w jego ramionach, a tańczyli pod wielką kryształową kopułą dworu Shaemal, w czasach gdy cały świat zazdrościł Coremandzie splendoru i potęgi. I jeszcze inne wspomnienia przebłyskiwały w tle tych epizodycznych wspomnień, roziskrzając fragmenty zapamiętanego tańca. Następnego dnia miały nadejść wieści o coraz częstszych rajdach trolloków z Wielkiego Ugoru, a miesiąc potem, że Barsine ze złotymi iglicami zostało złupione, spalone i że hordy trolloków suną na południe. Wtedy właśnie miały się zacząć tak zwane Wojny z trollokami, aczkolwiek w tamtych czasach nikt nie określał tych zdarzeń takim mianem; trzysta lat nieprzerwanej bitwy, krwi, ognia i ruiny, zanim trolloki zostały odparte, zanim wyłapano Władców Strachu. Tak miał się zacząć upadek Coremandy, wraz z całym jej bogactwem i potęgą, a także Essenii, z jej filozofami i sławnymi uczelniami, Manetheren, Eharon oraz wszystkich Dziesięciu Narodów, mimo odniesionego przez nie zwycięstwa obróconych w perzynę, z której powstawać miały inne kraje, kraje, które ledwie pamiętały Dziesięć Narodów, najwyżej jako mityczne figury szczęśliwszych czasów. Ale to miało się dopiero zdarzyć, a on odpychał tamte wspomnienia, pragnąc rozkoszować się tylko tym jednym. Tamtego wieczora jego partnerką w tańcu wzorów była. . .

Zamrugnął, nagle zaskoczony światłem słońca sączącym się przez okna i widokiem tej ślicznej twarzyczki, która uśmiechała się do niego promiennie z policzkami pokrytymi warstewką potu. Właśnie znowu puścili się w kolejny tan na wskroś izby, i jego stopy wykonujące akurat wyjątkowo skomplikowaną figurę omal nie poplątały mu się ze stopami Betse, ale naprawił to w porę i nie przewrócił jej, bo kroki wykonywał instynktownie. On tak naprawdę kiedyś tańczył i te wspomnienia, może pożyczone, a może ukradzione, też należały do niego, tak gładko wplecione w to wszystko, co rzeczywiście przeżył, że bez zastanowienia nie umiał ich rozróżnić. Wszystko już stało się jego własnością, wypełniając luki

we własnej pamięci; równie dobrze mógł tego sam doświadczyć.

To, co jej powiedział o bliźnie na szyi, to była prawda. Powieszony za wiedzę i za jej brak. Dwa razy przeszedł przez *ter'angreal* niczym idiota, głupi jak wół albo gęś, wiejski dureń, któremu się zdawało, że to takie proste jak przejście przez łąkę. Albo prawie takie łatwe. Skutki utwierdziły go jedynie w przekonaniu, że nie powinien ufać niczemu, co ma związek z Jedyłą Mocą. Za pierwszym razem, oprócz innych rzeczy, których wcale nie chciał słyszeć, dowiedział się, że umrze i narodzi się na nowo. Z kolei niektóre z tych innych rzeczy popchnęły go do drugiej wyprawy przez *ter'angreal*, a ta potem zawiodła go do pętli na szyi.

Seria kroków, a każdy postawiony z pozorów właściwie, każdy motywowany wewnętrzną koniecznością; każdy zdawał się taki zasadny w swoim czasie i każdy wiódł ku rzeczom, których sobie nigdy przedtem nie wyobrażał. Jakoś tak się zawsze działo, że nie wiedzieć nawet jak, dawał się pochwycić w pułapkę takiego tańca. Z całą pewnością umarł, nie żył, dopóki Rand go nie odciął i nie ożywił. Znowu, po raz setny, złożył sobie obietnicę. Od tego czasu będzie pilnował, gdzie stawia nogę. Koniec ze wskakiwaniem na oślep w różne sytuacje, bez zastanowienia się, co z tego wyniknie.

Po prawdzie, to tamtego dnia zdobył coś więcej prócz tej blizny. Z jednej strony srebrną lisią głowę, której ocienione, pojedyncze oko przypominało starożytny symbol Aes Sedai. Czasami śmiał się tak serdecznie do tego medalionu, że aż go bolały zębra. Nie ufał żadnej Aes Sedai, więc nawet kąpał się i spał z tym łbem zwierzaka zawieszonym na szyi. Świat to zabawne miejsce, ale na swój, osobliwy sposób.

Jeszcze jedną zdobyczą była wiedza, nieważne, że nie chciana. Miał teraz głowę wypchaną fragmentami żywotów innych ludzi, całymi tysiącami takich fragmentów, niekiedy obejmujących kilka godzin ich życia, niekiedy całe lata, a za to pełnymi luk, wspomnieniami z dworów i kampanii wojennych, sięgających do-brego tysiąca lat wstecz, począwszy od długiego okresu poprzedzającego Wojny z trollokami, a skończywszy na ostatniej bitwie, jaka miała miejsce za czasów Artura Hawkwinga. Wszystko to teraz stanowiło albo mogło stanowić jego własność.

Nalesean, Daerid i Talmanes klaskali w takt muzyki, a wraz z nimi także inni mężczyźni siedzący przy stołach. Członkowie Legionu Czerwonej Ręki, którzy sekundowali swemu tańczącemu dowódcy. Światłości! Aż go przechodziły ciarki od tej nazwy. Tak się nazywał legendarny legion bohaterów, którzy polegli w próbie ratowania Manetheren. Nie było ani jednego wśród jadących konno albo maszerujących za sztandarem Legionu, który by nie wierzył, że i on trafi do legend. Pani Daelvin także klaskała w dłonie, a posługaczki przystanąły, by popatrzeć.

To przez te cudze wspomnienia ludzi Legion maszerował teraz za Matem, aczkolwiek oni o niczym nie wiedzieli. Nie wiedzieli, że wspomnieniami wszystkich tych bitew i kampanii, jakie kryły się w jego głowie, dałoby się obdzielić więcej

niż stu ludzi. Niezależnie od tego, czy znajdował się po stronie wygrywających czy przegrywających, pamiętał przebieg bitew, pamiętał, jak je wygrywano albo przegrywano, i teraz wystarczała mu jedynie odrobina sprytu, by tę wiedzę przekształcić w zwycięstwo Legionu. W każdym razie było tak dotychczas. Kiedy już nie potrafił znaleźć sposobu na uniknięcie walki.

Nieraz wolałby pozbyć się ze swej głowy tych szczątków cudzych wspomnień. Gdyby nie one, nie byłby tu teraz, nie stałby na czele blisko sześciu tysięcy żołnierzy, do których z każdym dniem chcieli się przyłączyć następni, i których lada moment miał poprowadzić na południe jako dowodzący przekłętą inwazją na kraj znajdujący się pod kontrolą jednego z cholernych Przeklętych. Nie był żadnym bohaterem i nie chciał nim być. Bohaterowie mają taki paskudny zwyczaj, że dają się zabijać. Los bohatera, to jak cisnąć psu kość i posłać go do kąta, żeby nie wchodził w drogę, albo jeszcze inaczej, jak obiecać psu kość i wygnać go powtórnie na polowanie. To samo tyczyło się żołnierzy, skoro już o tym mowa.

Ale z drugiej strony, nie byłby otoczony sześcioma tysiącami żołnierzy, gdyby nie te wspomnienia. Byłby całkiem osamotniony, nie dość, że *ta'veren*, to jeszcze na dodatek uwiązany do Smoka Odrodzonego; byłby odsłoniętym celem, doskonale znanym Przeklętym. Niektórzy z nich najwyraźniej wiedzieli o wiele za dużo na temat Mata Cauthona. Moiraine twierdziła, że on jest ważny, że Rand może potrzebować i jego, i Perrina, żeby wygrać Ostatnią Bitwę. Jeśli miała rację, to wtedy on zrobi to, co musi — zrobi to; wystarczy tylko, że się przyzwyczai do tej myśli — ale nie zamierzał zostawać przeklętym bohaterem. Gdyby jeszcze potrafił wymyśleć, co zrobić z przeklętym Rogiem Valere... Zmówił krótką modlitwę za duszę Moiraine, z nadzieją, że się myliła.

Razem z Betse po raz ostatni dotarli do krańca wolnej przestrzeni i kiedy się zatrzymał, znowu padła ze śmiechem na jego pierś.

— Ojej, to było cudowne! Wydawało mi się, że jestem w jakimś królewskim pałacu. Czy możemy to zrobić jeszcze raz? Naprawdę możemy? Naprawdę?

Pani Daelvin oklaskiwała ich przez chwilę, po czym dotarło do niej, że inne posługaczki stoją wokół nich, zamiast coś zrobić, więc ruszyła na nie, żwawym wymachiwaniem rąk sprawiając, że rozpierzchły się niczym kurczęta.

— „Córka Dziewięciu Księżyców”, mówi ci to coś? — Te słowa właściwie same wymknęły mu się z ust. Wszystko przez to myślenie o *ter'angrealu*, który tak zmienił bieg spraw jego życia. Gdzież to miał się ożenić z Córka Dziewięciu Księżyców — „Błagam, Światłości, niech to się stanie jak najpóźniej!”, pomyślał gorączkowo — to przecież na pewno nie będzie małomiasteczkowa oberża, pełna żołnierzy i uchodźców. Ale z kolei któż wiedział, w jaki sposób rodzą się prorocтва? Bo to w pewnym sensie było proroctwo. Umrze i narodzi się na nowo. Ożeni się z Córka Dziewięciu Księżyców. Zrezygnuje z połowy światłości świata po to, by uratować świat, cokolwiek to miało znaczyć. Naprawdę umarł, kiedy zadyndał na tamym sznurze. Skoro to się sprawdziło, to reszta też musi się sprawdzić. Nie

ma uciezki.

— „Córka Dziewięciu Księżyców”? — powtórzyła Betse bez tchu. Brak tchu wcale jednak nie przyhamował jej języka. — To jakaś gospoda? Tawerna? Nie w Maerone, to wiem na pewno. Może za rzeką, w Aringill? W życiu nie byłam w...

Mat przyłożył jej palec do ust.

— To nieważne. Zatańczmy jeszcze raz. — Tym razem do muzyki ludowej; do czegoś z tu i teraz, nie związanego z niczymi wspomnieniami prócz własnych. Tyle że tym razem naprawdę musiał się zastanowić, żeby je odróżnić.

Czyjeś chrząknięcie sprawiło, że obejrzał się przez ramię i westchnął na widok Edoriona stojącego w drzwiach, z rękawicami o stalowych wierzchach zatkniętymi za pas od miecza i hełmem pod pachą. Młody taireniański lord był tłustawym mężczyzną o różowych policzkach, kiedy Mat grywał z nim na pieniądze w Kamieniu Łzy, ale od czasu przybycia na północ zmężniał i ogorzał od słońca. Jego hełmu z wywiniętym okapem nie zdobiły już pióra, niegdyś zdobne złocenia napierśnika oszpeciły szczyrby i wgniecenia, a kaftan z rękawami w niebiesko-czarne prążki był wyraźnie sfatygowany.

— Kazalesz mi o tej porze przypomnieć ci o obchodzie. — Edorion zakaszał w garść; specjalnie nie patrzył na Betse. — Ale mogę przyjść później, jeśli chcesz.

— Pójdę zaraz — odparł Mat. Koniecznie trzeba było przeprowadzać codzienny obchód, każdego dnia dokonywać inspekcji czegoś innego; mówiły mu o tym wspomnienia tamtych innych ludzi, a on nauczył się im ufać. Skoro wpakował się już po uszy w tę robotę, to chyba powinien próbować ją wykonywać jak należy. Bo dzięki temu może jakoś ujdzie z tego wszystkiego z życiem. Ponadto Betse odsunęła się od niego; próbowała fartuszkciem zetrzeć pot z twarzy i jednocześnie przygładzić włosy. Euforia powoli ją opuszczała. To jednak nie miało znaczenia. Będzie pamiętała.

„Pokaż kobiecie, że umiesz tańczyć — pomyślał, zadowolony z siebie — a już w połowie jest twoja”.

— Daj to muzykom — powiedział, wciskając jej w dłoń trzy złote marki. Jakkolwiek źle by grali, muzyka na jakiś czas oderwała go od Maerone i najbliższej przyszłości. Poza tym kobiety lubiły hojne gesty. Wszystko się znakomicie układało. Skłonił głowę i kiedy już miał ją pocałować w rękę, dodał: — Do zobaczenia, Betse. Zatańczymy znowu, jak wrócę.

Ku jego zdziwieniu pokiwała mu palcem przed nosem i ostrzegawczo potrząsnęła głową, jakby czytała w jego myślach. Cóż, nigdy nie twierdził, że rozumie kobiety.

Włożył kapelusz na głowę i wziął do ręki włócznię z czarnym ostrzem, która stała wsparta o ścianę obok drzwi. Jeszcze jeden podarunek z tamtej strony *ter' angreal*, z napisem na drzewcu w Dawnej Mowie i dziwacznym grotem, podobnym do krótkiego ostrza miecza, naznaczonego dwoma krukami.

— Dzisiaj sprawdzimy szynki — powiedział Edorionowi i wyszli na najintensywniejszy skwar samego środka dnia, kierując się do centrum Maerone.

Było to niewielkie miasteczko, nie otoczone murami, mimo iż pięćdziesiąt razy większe od wszystkich ludzkich osad, jakie widział przed opuszczeniem Dwu Rzek. Ściśle mówiąc, była to przerośnięta wieś, w której niewiele budynków, z cegły i kamienia, miało więcej niż jedno piętro, trzypiętrowe były jedynie gospody; gdzie tyleż samo dachów kryły drewniane gonty albo strzecha co łupek albo dachówki. O tej porze dnia na ulicach, w większości nie brukowanych, panował tłok. Miasteczko zamieszkiwali ludzie wszelkiego pokroju, głównie Andoranie i Cairhienianie. Maerone, mimo iż położone po cairhieniańskiej stronie Erinin, nie należało teraz do żadnego państwa, tylko balansowało między nimi, służąc jako miejsce zamieszkania albo przystanek po drodze dla ludzi z połowy tuzina krain. Od czasu, gdy przybył tam Mat, zatrzymały się w nim nawet trzy albo wręcz cztery Aes Sedai. Mimo medalionu obchodził je szerokim łukiem — lepiej nie szukać kłopotów — ale wszystkie ruszały w dalszą drogę tak szybko, jak się zjawiały. Szczęście doprawdy mu dopisywało, przynajmniej kiedy było potrzebne. Na razie.

Mieszkańcy miasteczka krzatali się żwawo wokół swoich spraw, na ogół nie zważając na rzesze odzianych w łachmany mężczyzn, kobiet i dzieci, którzy z beznamiętnymi twarzami włóczyli się po ulicach. Byli to sami Cairhienianie, którzy pod koniec takiej włóczęgi zazwyczaj odnajdywali drogę do rzeki i dopiero wtedy wracali do któregoś z obozów dla uchodźców, które otaczały miasteczko. Mało kto jednak decydował się wrócić do domu. Wojna domowa w Cairhien skończyła się wprawdzie, ale po kraju nadal grasowali bandyci, a poza tym powszechnie obawiano się Aielów. Z tego, co Mat usłyszał, bali się natknąć na Smoka Odrodzonego. A prawda była taka, że uciekali najdalej, jak potrafili; żadnemu nie zostało dość energii na coś więcej prócz tych wypraw nad rzekę, skąd patrzyli na Andor.

Tłok na ulicach panował po części również za sprawą żołnierzy Legionu, którzy wałęsali się przy sklepach i tavernach, pojedynczo i trójkami, a nawet całymi oddziałami rozmaitych formacji, kusznicy i łucznicy w kurtach z ponaszywanymi stalowymi krawężkami, a także pikinierzy w poobijanych napierśnikach, wyrzucanych kiedyś przez zamożniejszych, lub też zerwanych z poległych. Wszędzie widziało się jeźdźców w zbrojach, taireniańskich lansjerów w hełmach z wywinętym okapem, nawet Andoran w charakterystycznych stożkowatych hełmach z kratowanymi osłonami. Rahvin usunął wielu mężczyzn z Gwardii Królowej, ludzi zanadto lojalnych względem Morgase, i część z nich wstąpiła do Legionu. Przez tę ciżbę przepychali się uliczni sprzedawcy z ich tacami; donośnie krzycząc, zachęcali do kupowania igieł i nici, maści, które rzekomo leczyły każdą ranę, lekarstw na wszelakie choroby, począwszy od pęcherzy, przez wodniste stolce, po obozową gorączkę, mydła, garnków i kubków z blachy, która miała nie rdzewieć,

wełnianych pończoch, noży i sztyletów z najprzedniejszej andorańskiej stali — za co sprzedawca ręczył swoim słowem — i w ogóle wszelkich przedmiotów, jakie mógłby potrzebować żołnierz, albo na jakie dałby się, zdaniem handlarzy, skusić. Panował jednak taki rejdach, że pokrzykiwania reklamujących swe towary ginęły już w odległości trzech kroków.

Żołnierze oczywiście natychmiast rozpoznawali Mata i wielu wznosiło wiwaty, nawet ci, którzy znajdowali się zbyt daleko, by zobaczyć coś więcej prócz kapelusza z szerokim rondem i dziwacznej włóczni. Te atrybuty rozpoznawano równie nieomylnie jak godło jakiegoś szlachcica. Słyszał te wszystkie plotki, które starały się wyjaśnić, dlaczego to wzgardził zbroją i hełmem, tłumacząc wszystkim, czym się tylko dało, począwszy od szaleńczej brawury, a skończywszy na twierdzeniu, że mogła go zabić jedynie broń wykuta osobiście przez Czarnego. Niektórzy powiadali, że ten kapelusz dały mu Aes Sedai i że dopóki go nosi, nic go nie może zabić. A tak naprawdę był to najzwyczajniejszy kapelusz; nosił go, bo dobrze chronił przed słońcem. I również przypominał, że powinien się trzymać z dala od miejsc, gdzie mógłby potrzebować hełmu i zbroi. Opowieści krążące o jego włóczni, z tym napisem, który niewielu nawet wśród arystokratów potrafiło odczytać, były jeszcze bardziej wydumane. Nikt jednak nie umiał doszukać się prawdy. A była ona taka, że oznakowane krukami ostrze zostało wykonane przez Aes Sedai podczas Wojny z Cieniem, przed Pęknięciem; nigdy nie potrzebowało ostrzenia i Mat wątpił, czy dałby radę je złamać, nawet gdyby spróbował.

Machając ręką na znak, że usłyszał „Oby Światłość opromieniła lorda Matrima!”, „Lord Matrim i zwycięstwo!” oraz inne tego typu brednie, przedzierał się przez tłumy w towarzystwie Edoriona. Przynajmniej nie musiał się pchać; ustępowali mu drogi, ledwie go zobaczyli. Wołałby wprawdzie, by aż tyłu uchodźców nie wpatrywało się w niego takim wzrokiem, jakby nosił w kieszeni jakiś klucz do ich wybawienia. Oprócz pilnowania, by dostawali żywność z wozów przybywających z Łzą, nie miał pojęcia, co jeszcze mógłby zrobić. Niejeden spośród żołnierzy brudny był i obdarty.

— Czy mydło dotarło do obozowisk? — mruknął.

Edorion usłyszał, mimo wrzawy.

— Dotarło. Większość wymienia je z handlarzami za tanie wino. Oni nie chcą mydła; oni chcą albo przeprowić się przez rzekę, albo w jakiś inny sposób utopić swoje smutki.

Mat chrząknął z niezadowoleniem. Przeprowa do Aringill była jedną z rzeczy, których nie mógł im ofiarować.

Zanim Cairhien uległo kompletnej dewastacji w wyniku wojny domowej i jeszcze gorszych zdarzeń, Maerone było punktem tranzytowym handlu między Cairhien a Łzą, z tego względu gospód i tawern pobudowano w nim prawie tyle co zwykłych domów. Pierwszych pięć, do których wsadził nos, począwszy od „Lisa i Gęsi” po „Bicz Woźnicy”, różniło się między sobą doprawdy nieznacz-

nie: podobne kamienne budynki, a w nich tłumy przy stołach i możliwość bójek na pięści, które nie wzbudzały w nim niepokoju ani zainteresowania. Nie widział jednakże nikogo pijanego.

„Rzeczna Brama”, w przeciwległej części miasta, była kiedyś najlepszą gospodą Maerone, jednakże ciężkie deski, którymi zabito drzwi z wyrzeźbionym wizerunkiem słońca, przypominały wszystkim oberżystom i barmanom, że nie powinni upijać żołnierzy z Legionu. Niemniej jednak nawet trzeźwi żołnierze wdawali się w bójki, Tairenianie z Cairhienianami, Cairhienianie z Andoranami, piechurzy z kawalerzystami, ludzie jednego lorda z ludźmi drugiego, weterani z rekrutami, żołnierze z cywilami. Walki, nim zdążyły wydostać się spod kontroli, tłumili żołnierze z pałkami i czerwonymi opaskami sięgającymi od przegubu dłoni po łokieć. Każdy oddział po kolei dostarczał Czerwonorękich, co dzień innych, i oni właśnie musieli płacić za wszystkie szkody powstałe w dniu, w którym pełnili służbę. Dzięki temu wkładali moc starań w utrzymanie w miasteczku spokoju.

W „Lisie i Gęsi” jakiś bard, krzepki mężczyzna w średnim wieku, żonglował płonącymi maczugami, natomiast w „Gospodzie Erinin” chuderlawy łysiejący jegomość z harfą w ręku recytował jedną z partii *Wielkiego Polowania na Róg*. Mimo upału obaj nosili wyróżniające ich płaszcze, pokryte łatkami w setkach barw, które trzepotały przy każdym ruchu; bard prędzej dałby sobie uciąć rękę, niż odebrać płaszcz. Mieli liczną widownię, o wiele bardziej zasłuchaną — wielu gapiów pochodziło z wiosek, gdzie wizytę barda przyjmowano z radością — niżli dziewczyna, która śpiewała na stole w tawernie zwanej „Trzema Wieżami”. Była dość ładna, miała ciemne, długie loki, ale jej piosenka o prawdziwej miłości raczej nie mogła zainteresować ochryple śmiejących się mężczyzn, którzy tam pili. W pozostałych lokalach nie zadbano o rozrywki, poprzestając na jednym albo dwóch muzykach, a mimo to przepelniający je goście zachowywali się znacznie hałaśliwiej, a Mata aż ręce zaświerzbiły na widok kości, w które grano przy stołach. Ale z kolei on naprawdę niemalże zawsze wygrywał, przynajmniej w kości, a trudno nazwać właściwym postępowanie polegające na odbieraniu pieniędzy własnym żołnierzom. To właśnie oni siedzieli przeważnie przy stołach; niewielu uchodźców miało dość monet, by móc je wydawać w gospodach.

Z żołnierzami biesiadowała zaledwie garstka ludzi nie należących do Legionu. Tu szczypty Kandoryjczyk z widlastą bródką i księżycowym kamieniem wielkości paznokcia kciuka w jednym uchu oraz srebrnym łańcuchem biegnącym przez pierś czerwonego kaftana, tam miedzianoskóra kobieta z Arad Doman, ubrana, o dziwo, w skromną niebieską suknię, z rozbieganymi oczyma i pierścieniami na każdym palcu, jeszcze gdzie indziej Tarabonianin w stożkowatej niebieskiej czapce ze ściętym czubkiem, z sumiastymi wąsami ukrytymi za przezroczystym welonem. Zażywni mężczyźni w taireniańskich kaftanach obcisłych w pasie, albo chudzi jegomości w murandiańskich kaftanach sięgających kolan; bystrookie kobiety w sukniach z wysokimi karczkami albo sięgającymi kostek, zawsze jed-

nak z dobrze skrojonej wełny w burym odcieniu. Wszyscy byli kupcami, którzy czekali na ponowne otwarcie handlu między Andorem a Cairhien, by natychmiast skwapliwie się weń włączyć. Poza tym, we wszystkich głównych izbach spotykało się dwóch albo trzech gości, którzy siedzieli z dala od innych, zazwyczaj samotnie i toczyli w krąg twardym wzrokiem, jedni odziani dostatnio, inni niewiele lepiej od uchodźców, ale wszyscy, co do jednego, sprawiali wrażenie potrafiących posłużyć się mieczem przypasanym do biodra albo pleców. Wśród ludzi tego pokroju Mat zauważył dwie kobiety, mimo iż żadna nie nosiła broni otwarcie; przy stole jednej stał długi kostur, a ta druga, podejrzewał, skrywała noże pod suknią do jazdy konnej. On sam też miał kilka poutykanych pod odzieniem. Był przekonany, że wie, co ona, a także ci inni tutaj robią; ta kobieta musiałaby być ostatecznie głupia, gdyby brała się nie uzbrojona za ten proceder.

Kiedy razem z Edorionem wyszli z „Bicza Woźnicy”, Mat zatrzymał się, śledząc wzrokiem potężnie zbudowaną kobietę w warstwowo poukładanych, ciętych wzdłuż tu i ówdzie, brązowych spódnicach, która torowała sobie drogę przez tłum. Nie mrugające oczy, które rejestrowały wszystko, co działo się na ulicy, kontrastowały z pozornie pogodną, krągłą twarzą, podobnie zresztą jak nabijana ćwiekami pałka za pasem, a także sztylet z tak ciężkim ostrzem, że pasowałby do Aiela. Trzecia kobieta z tamtej gromadki. Uczestnikom Polowania na Róg szło tylko o jedno, o legendarny Róg Valere, który miał wezwać martwych bohaterów z grobów, by wzięli udział w Ostatniej Bitwie. Temu, kto go znajdzie, było pisane przejść do historii.

„O ile ktoś w ogóle przeżyje, by spisać jakąś przeklętą historię” — pomyślał złośliwie Mat.

Niektórzy wierzyli, że Róg znajdzie się tam, gdzie panuje zamieszanie i wojna. Minęło czterysta lat, odkąd po raz ostami zwołano Polowanie na Róg; tym razem ludzie omal się nie pozabijali, byle tylko znaleźć się na placu i złożyć przysięgę. Widywał już całe chmary Myśliwych na ulicach Cairhien, i spodziewał się, że będzie ich coraz więcej, zanim dotrze do Łzy. Bez wątpienia ciągnęli teraz także w stronę Caemlyn. Jak on żałował, że to nie któryś z nich go znalazł. Na ile się orientował, Róg przeklętego Valere został porządnie ukryty gdzieś w czeluściach Białej Wieży, a na ile znał Aes Sedai, byłby zdumiony, gdyby się okazało, że jest wśród nich więcej niż tuzin takich, które o tym coś wiedzą.

Dość niespodziewanie między nim a potężnie zbudowaną kobietą, w ślad za siedzącym na koniu oficerem w wygiętym napierśniku i cairhieniańskim hełmie, przemaszerował oddział piechoty; złożony z prawie dwustu pikinierów tworzył las wysokich żeleźców i wiódł za sobą pięćdziesięciu, a może więcej, łuczników z kołczanami u bioder i łukami na ramieniu. Były to dość lekkie łuki, nie tak długie, jakimi posługiwano się w Dwu Rzekach, gdzie wychowywał się Mat. Koniecznie musiał znaleźć dostateczną ilość kusz, żeby cokolwiek zdziałać, aczkolwiek nie zanosilo się, że łucznicy przyjmą zmianę z zapałem. Maszerowali, śpie-



wając, i dzięki takiemu skoordynowanemu śpiewowi skutecznie zagłuszali rwetes panujący na ulicy.

*Będziesz się żywił fasolą, spał na sianie zgniłym  
i końskie podkowy dostawał na każde imieniny.  
Potem i krwią będziesz broczył jeszcze jako starzec,  
a za cały majątek posłuży ci złoto z marzeń.  
Jeśli zostaniesz żołnierzem.  
Jeśli zostaniesz żołnierzem.*

Tuż za nimi wlokła się spora grupka cywili, mieszkańców miasteczka i uchodźców, samych młodych ludzi; gapili się na nich z ciekawością i słuchali. Mata nigdy to nie przestało zdumiewać. Im gorsza zdawała się piosenka — ta była wyjątkowo kiepska — tym liczniejszy zbierał się tłum. Było pewne, że niektórzy z gapiów jeszcze przed zmierzchem przyjdą na rozmowę z jakimś chorążym, aby się zaciągnąć, podpisując się albo nazwiskiem, albo znakiem. Pewnie sobie myśleli, że żołnierze tą piosenką próbują ich odstraszyć, gdyż chcą zachować sławę i łupy wyłącznie dla siebie. Przynajmniej pikinierzy nie śpiewali *Tańca z Widmowym Jakiem*. Mat nienawidził tej piosenki. Tym zuchom wystarczyło pojąć, że Widmowy Jak to śmierć, i natychmiast, z wywieszonymi językami, biegli szukać chorążego.

*Innego mężczyznę poślubi twoja dziewczyna,  
a twoim domostwem będzie błotnista mogiła.  
Miast żałobników robaki obleśne zbiegną się w sile,  
O, przeklniesz dzień, w którym się narodziłeś.  
Jeśli zostaniesz żołnierzem.  
Jeśli zostaniesz żołnierzem.*

— Ludzie się dopytują — rzucił mimochodem Edorion, kiedy formacja ruszyła w dół ulicy, ciągnąc za sobą ogon złożony z samych gapiów — kiedy ruszamy na południe. Krążą różne plotki. — Zerknął na Mata katem oka, oceniając jego nastrój. — Zauważyłem, że kowale sprawdzają zaprzęgi wozów dostawczych.

— Ruszymy, kiedy przyjdzie pora — wyjaśnił Mat. — Sammael nie musi zawczasu wiedzieć, kiedy się zjawimy.

Edorion obdarzył go nieprzeniknionym spojrzeniem. Tairenianin nie należał do nierozgarniętych, zadufanych w sobie osłów. Co wcale nie znaczyło, by zasługiwał na takie miano Nalesean — po prostu czasami powodowała nim nadgorliwość — ale Edorion naprawdę miał bystry umysł.

Nalesean w życiu by nie zauważył kowali. Szkoda, że Dom Aldiaya stał wyżej od Domu Selorna, Mat bowiem wolałby Edoriona na miejscu Naleseana. Głupi

szlachcice i ta ich głupia obsesja na punkcie pozycji społecznej. Nie, Edorion nie był tępakiem; wiedział, że kiedy Legion ruszy na południe, to wieści się natychmiast rozniosą, w tempie łodzi płynącej po rzece, a być może i z szybkością lotu gołębia. Mat nie założyłby się o nic, że w Maerone nie ma szpiegów, nawet gdyby czuł, że jego szczęście jest tak ogromne, iż zagraża mu w postaci wielkiej kuli nad głową, w każdej chwili gotowe spaść i mu ją rozbić.

— Chodzą także pogłoski, że wczoraj w miasteczku zjawił się Lord Smok — powiedział Edorion tak cicho, jak na to pozwalał hałas panujący na ulicy.

— Najważniejsze wydarzenie wczorajszego dnia — odparł krzywo Mat — to moja pierwsza kąpiel od tygodnia. No dalej, bierzmy się do pracy. Bo na to się zanosi, że i połowy dnia nam nie wystarczy, żeby ją skończyć.

Wiele by dał, żeby się dowiedzieć, skąd się wzięła ta plotka. Minęło zaledwie pół dnia, a poza tym z pewnością nie było żadnych świadków. Jeszcze przed pierwszym brzaskiem w jego izbie w „Złotym Jeleniu” pojawiła się zniecka świetlna kreska. Desperacko dał nura na drugą stronę łoża z baldachimem, w jednym bucie jeszcze na nodze, a drugim do połowy już ściągniętym, jednocześnie sięgając między łopatki, gdzie ukryty miał nóż, zanim do niego dotarło, że to Rand wychodzi z jednej z tych przeklętych dziur w nicości, najwyraźniej przybywając prosto z pałacu w Caemlyn, sądząc po kolumnach, które zdążył zauważyć, zanim otwór zamrugął i zniknął. Ze zdumienia aż włosy stanęły mu dęba, gdy zobaczył, jak on tak wskakuje prosto do jego izby, w samym środku nocy, tym razem bez towarzystwa żadnego Aiela. A ta kreska przecięłaby go pewnie na pół, gdyby akurat znalazł się tam, gdzie nie trzeba. Naprawdę nie lubił Jedynej Mocy. I w ogóle cała ta historia była bardzo dziwna.

— Spiesz się powoli, Mat — powiedział Rand, spacerując tam i z powrotem po izbie. Ani razu nie spojrzął w stronę Mata. Na jego twarzy lśnił pot i podczas mówienia zaciskał szczęki. — On musi się zorientować, co się święci. Wszystko zależy właśnie od tego.

Mat usadowił się na brzegu łoża, ściągnął but do końca, po czym cisnął go na sfatygowany dywanik ofiarowany mu przez panią Daelvin.

— Wiem — odparł skwaszony, po czym umilkł na chwilę, by rozmasować kostkę otartą o jeden ze wsporników łoża. — Sam przecież pomagałem w układaniu tego przeklętego planu, pamiętasz jeszcze?

— Skąd mężczyzna wie, że jest zakochany w jakiejś kobiecie, Mat? — Rand nie przestał spacerować, a to pytanie rzucił takim tonem, jakby ono miało uzupełniać jego wcześniejsze słowa.

Mat zamrugął.

— A skąd, na Szczelinę Zagłady, ja mam to wiedzieć? W te sidła nigdy nogi nie wsadzałem. I w ogóle skąd to pytanie?

Rand tylko poruszył ramionami, jakby coś z nich strząsał.

— Wykończę Sammaela, Mat. Obiecałem, że to zrobię; jestem to winien poległym. Tylko gdzie są inni Przekłęci? Wszystkich ich muszę dopaść.

— Byle nie wszystkich za jednym zamachem. — Ledwie udało mu się nie powiedzieć tego pytającym tonem; w obecnych czasach trudno było stwierdzić, co Rand wbił sobie właśnie do głowy.

— W Murandy zebrali się Zaprzysięgli Smokowi, Mat. Podobnie w Altarze. Ludzie, którzy złożyli mi przysięgę. Kiedy Illian będzie już moje, Altara i Murandy spadną jak dojrzałe śliwki. Nawiążę kontakty z Zaprzysięgłymi z Tarabonu a także z Arad Doman — i zgniotę na proch Białe Płaszcze, jeśli będą próbowały mnie odstraszyć od Amadicii. Ghealdan, a podobno również Amadicia znajdują się w rękach Proroka. Potrafisz sobie wyobrazić Masemę w roli Proroka? Saldaea sama do mnie przyjdzie; Bashere jest tego pewien. Wszystkie Ziemie Graniczne przyjdą. Muszą przyjść! Ja tego dokonam, Mat. Zjednoczę wszystkie kraje przed Ostatnią Bitwą. Ja tego dokonam! — Rand mówił to wszystko rozgorączkowanym tonem.

— Jasne, Rand — odparł powoli Mat, ustawiając drugi but obok pierwszego. — Tylko nie wszystko na raz, dobrze?

— Nikt nie powinien słyszeć cudzego głosu we własnej głowie — mruknął Rand.

Matowi zastygły ręce zajęte właśnie ściąganiem wełnianej szarfki. Ni stąd, ni zowąd zastanowił się, czy tej pary nie nosi już przypadkiem drugi dzień. Rand coś wiedział o tym, co zaszło we wnętrzu *ter'angreala* w Rhuidean — wiedział, że on jakimś tajemniczym sposobem zdobył wiedzę o wojaczce — ale nie wiedział wszystkiego. Przynajmniej tak się Matowi wydawało. Nie wiedział nic o wspomnieniach innych ludzi. Rand zaś zdawał się nie zauważać niczego niezwykłego. Zwyczajnie przecesał włosy palcami i mówił dalej:

— Jego można okpić, Mat. . . . Sammael zawsze myśli schematami. . . . ale czy istnieje jakaś szczelina, przez którą mógłby się prześlizgnąć? Jeśli popełniony zostanie błąd, to zginą całe tysiące. Dziesiątki tysięcy. Setki i tak polegą, ale ja nie chcę, żeby to były tysiące.

Mat, wspominając ten fragment ich nocnej rozmowy, wykrzywił się tak dziwnie, że uliczny sprzedawca o spoconej twarzy, który właśnie usiłował sprzedać mu sztylet z rękojeścią w połowie pokrytą „klejnotami” z kolorowego szkła, omal nie upuścił swego towaru na ziemię, pospiesznie szukając schronienia w tłumie przechodniów. Cały Rand, to przeskakiwanie z tematu na temat, od inwazji na Illian do Przeklętych, od Przeklętych do kobiet — Światłości! Przecież to Rand był zawsze tym, który umiał postępować z kobietami, on i Perrin — od Ostatniej Bitwy do Panien Włóczni, od Panien Włóczni do spraw, które Mat ledwo, ledwo rozumiał, rzadko przy tym słuchając odpowiedzi Mata, a niekiedy w ogóle na nie nie czekając. A przecież już samo słuchanie, jak Rand wyraża się o Sammaelu w taki sposób, jakby znał tego człowieka, było co najmniej irytujące. Mat wiedział, że

przyjaciel kiedyś oszaleje, ale jeśli szaleństwo wkraadało się już do...

A co z tymi innymi, z tymi durniami, gromadzonymi przez Randa, którzy chcieli przenosić, i co z tym Taimem, który już to potrafił? Rand wtrącił tę informację mimochodem; Mazrim Taim, fałszywy przeklęty Smok, został nauczycielem przeklętych uczniów Randa czy kimkolwiek oni byli. Na pewno nie chciałby znaleźć się w odległości mniejszej niż tysiąc mil, kiedy oni wszyscy zaczną tracić rozum.

Z tym że miał tyle samo swobody wyboru, co liść porwany przez rzeczny wir. Był *ta'veren*, ale nie tak silnym jak Rand. W Proroctwach Smoka nie padło ani słowo o Macie Cauthonie, a mimo to dał się osaczyć, zupełnie jak jakiś gronostaj pod płotem. Światłości, jak on żałował, że w ogóle zobaczył choćby z daleka Róg Valere.

Przez następne kilkanaście tawern i ich gościnnych sal Mat przemaszerował z zaciętą ponurą twarzą, zataczając coraz szerszy krąg, którego centrum stanowił „Złoty Jeleń”. Nie różniły się doprawdy niczym od pierwszej: wszędzie te same, stojące w ciasnocie stoły, tłumy gości, którzy pili, grali w kości i mocowali się na ręce, muzycy przeważnie zagłuszani przez hałas, żołnierze z czerwonymi opaskami, którzy tłumili dopiero co wszczęte bójki; w jednej jakiś bard recytował *Wielkie Polowanie* — *Polowanie* cieszyło się popularnością nawet tam, gdzie akurat nie było żadnych Myśliwych — w innej niska jasnowłosa kobieta śpiewała piosenkę, niby tylko trochę nieprzyzwoitą, ale te jej szeroko otwarte, niewinne oczy osadzone w krągłej twarzy jakimś niewiadomym sposobem zdawały się sprawiać, że piosenka brzmiała wybitnie sprośnie.

Ponury nastrój nie opuścił go, kiedy wyszedł ze „Srebrnego Rogu” — co za idiotyczna nazwa! — tracąc z oczu śpiewaczkę o dziecięcej buzi. Może dlatego właśnie pobiegł w stronę wrzawy, która wybuchła w dole ulicy, przed jakąś inną gospodą. Gdyby w awanturę zamieszani byli żołnierze, wówczas zajęliby się nią Czerwonoręcy, ale Mat i tak uTORował sobie drogę przez tłum. Rand popada w obłęd, każąc mu błąkać się samotnie po burzy. Do tego Taim i ci inni idioci, gotowi pójść za nim w odmęt szaleństwa. Sammael czekający w Illian, a pozostali Przekłęci Światłość wie gdzie; wszyscy prawdopodobnie tylko szukali okazji, by gdzieś po drodze zgarnąć głowę Mata Cauthona. Jeśli nie brać pod uwagę tego, co mogły z nim zrobić Aes Sedai, gdyby go znowu dorwały w swoje ręce; te w każdym razie, które wiedziały za dużo. I na dodatek wszyscy uważali, że on się podda i zostanie przeklętym bohaterem! Zazwyczaj starał się wymigać od walki, jeśli nie był w stanie w ogóle obejść szerokim łukiem miejsca, gdzie się toczyła, ale w tej chwili wręcz szukał sposobności, by móc komuś przywalić w nos. Niemniej jednak zobaczył coś, czego się bynajmniej nie spodziewał.

Tłum mieszkańców miasteczka; niscy, buro odziani Cairhienianie i garstka wyższych Andoran w żywszych barwach, jedni i drudzy z twarzami wypranymi z emocji, utworzyli pierścień wokół dwóch wysokich szczupłych mężczyzn

z zakręconymi wąsami, ubranych w długie murandiańskie kaftany z jaskrawego jedwabiu i uzbrojonych w miecze o zdobnie złożonych głowniach i jelcach. Jeden z nich, w czerwonym kaftanie, wyraźnie rozbawiony, przypatrywał się drugiemu — ubranemu w żółty; trzymał on za kołnierz małego chłopca, sięgającego wzrostem niewiele wyżej ponad pas Mata, i potrząsał nim niczym pies szczurem.

Mat opanował się; dotarło do niego, że nie ma pojęcia, kto wszystko zaczął.

— Zostaw tego chłopca — powiedział, kładąc dłoń na żółtym rękawie. — Co on zrobił, że tak...

— Dotknął mojego konia! — warknął mężczyzna z mindeañskim akcentem, strząsając rękę Mata. Mindeanie chełpili się... chełpili!... że wśród wszystkich mieszkańców Murandy oni mają najbardziej krewkie temperamenty. — Złamię mu ten chudy chłopski kark! Skręcę ten lichy...!

Nie mówiąc już ani słowa, Mat z całej siły wraził rękojeść włóczni między nogi mężczyzny. Murandianin otwarł usta, ale nie dobył się z nich żaden dźwięk. Wywrócił oczy tak mocno, że aż nie było w nich widać nic prócz białek. Kiedy ugięły się pod nim nogi, sprawiając, że padł na kolana i runął twarzą na bruk, chłopczyk natychmiast dał nura w bok.

— A właśnie, że nie skręcisz — wycedził Mat.

Na tym, rzecz jasna, sprawa się jeszcze nie skończyła; mężczyzna w czerwonym kaftanie porwał za swój miecz. Udało mu się obnażyć ostrze na jeden cal, zanim Mat złamał mu nadgarstek rękojeścią włóczni. Głośno sapnąwszy z bólu, puścił rękojeść, ale drugą ręką wyciągnął zza pasa sztylet z długim ostrzem. Mat pospiesznie szturchnął go w ucho; niezbyt mocno, ale mężczyzna i tak upadł na pierwszego. Przeklęty dureń! Mat nie był pewien, czy kieruje to do czerwonego kaftana, czy do samego siebie.

Przez tłum gapiów przepchało się wreszcie do nich pół tuzina taireniańskich kawalerzystów, maszerujących niezdarne w butach z cholewami za kolana; na bufiaste czarno-złote rękawy wciśnięte mieli czerwone opaski. Edorion wziął chłopca, wynędzniałego ponurego sześciolatka, za rękę; ten wbijał bosc stopy w ziemię i co jakiś czas próbował wyrwać się z uścisku Edoriona. Był chyba najbrzydszym dzieckiem, jakie Mat kiedykolwiek widział: rozklepany nos, usta za szerokie jak na tak małą twarz i za duże, odstające uszy. Sądząc po dziurach w kaftanie i spodniach, należał do uchodźców. Sprawiał ponadto wrażenie jeszcze brudniejszego od innych.

— Załatw to, Harnan — rozkazał Mat. Harnan, dowódca tego patrolu, miał zapadłe policzki, cierpiętniczą minę, a na lewym policzku prymitywnie wytatuowanego jastrzębia. Moda na tatuaże zdawała się szerzyć wśród członków Legionu, jednak u większości z nich ograniczała się do tych części ciała, które normalnie są zakryte. — Dowiedz się, co było powodem tego wszystkiego, a potem przegnaj tych dwóch osiłek z miasta. — Zasłużyli na to, nawet jeśli zostali sprowokowani.

W tym momencie przez tłum gapiów przecisnął się chuderlawy mężczyzna w murandiańskim kaftanie z ciemnej wełny, po czym padł na kolana obok dwóch leżących. Żółty kaftan jął wydawać jakieś zduszone jęki, czerwony ścisnął się za głowę i bełkotał coś, co brzmiało jak stek przekleństw. Za to nowo przybyły narobił więcej hałasu niżli tamci dwaj razem wzięci.

— O moi lordowie! Lordzie Paers! Lordzie Culen! Czy was zabito? — Wyciągnął drżące ręce w stronę Mata. — Och, nie zabijaj ich, mój panie! Nie takich bezbronnych. Oni są z Polowania na Róg, mój Lordzie. Jestem ich człowiekiem, zwę się Padry. To bohaterowie, mój panie!

— Nie zamierzam nikogo zabijać — wtrącił Mat, zdjęty obrzydzeniem. — Ale wsadź tych bohaterów na konie i wywieź ich z Maerone jeszcze przed zachodem słońca. Nie podobają mi się dorośli mężczyźni, którzy grożą dziecku, że mu złamią kark. Przed zachodem słońca!

— Ale, mój panie, toż oni są ranni. Toż to chłopski syn molestował konia lorda Paersa.

— Ja tylko na niego siadłem — wybuchnął chłopak. — Ja nie... no... to co powiedziałaś.

Mat przytaknął z ponurą miną.

— Małym chłopcom nie łamie się karków za siadanie na koniu, Padry. Nawet chłopskim synom. Ci dwaj mają stąd zniknąć, albo dopilnuję, by im połamano karki.

Dał znak Harnanowi, który z kolei skinął głową w stronę pozostałych Czerwonorękich — dowódcy patroli nigdy nie robili niczego osobiście, podobnie jak wszyscy chorążowie — a ci podnieśli brutalnie Paersa i Culena, po czym, mimo ich głośnych pojękiwań, pogonili z miejsca, przy czym Padry włókł się z tyłu, załamując ręce i protestując, że jego panowie nie są w stanie jechać konno, że to uczestnicy Polowania na Róg i bohaterowie.

Mat zauważył, że Edorion nadal trzyma źródło całego zamieszania za rękę. Żołnierze z czerwonymi opaskami już się ulotnili, gapie powoli zaczęli się rozchodzić. Nikt nie zerknął na chłopca dwa razy; wszyscy mieli własne dzieci, którymi należało się opiekować i oprócz tego dość innych kłopotów. Mat ciężko wypuścił powietrze.

— Czy ty nie rozumiesz, że jak będziesz „tylko siadał” na cudzego konia, to możesz napytać sobie biedy, chłopcze? Taki człowiek jeździ pewnie na ogierze, który mógłby wdeptać takiego małego chłopca jak ty w posadzkę stajni; nikt by się nie dowiedział, co się z tobą stało.

— Wałach. — Chłopczyk znowu szarpnął Edoriona za rękę i stwierdziwszy, że uścisk się nie zwalnia, zrobił ponurą minę. — To był wałach i nie zrobiłby mi krzywdy. Konie mnie lubią. Nie jestem mały: mam dziewięć lat. I na imię mam Olver, nie chłopiec.

— Olver? Ach tak. — Dziewięć? Możliwe. Mat miał kłopoty z określaniem

wieku dzieci, zwłaszcza cairhieniańskich. — No cóż, Olver, a gdzie twoja matka i ojciec? — Rozejrzył się dookoła, ale wszyscy uchodźcy, których tam widział, rozchodzili się równie prędko jak rdzenni mieszkańcy miasteczka. — Gdzie oni są, Olver? Czy mam cię do nich odprowadzić?

Zamiast odpowiedzieć, Olver zagryzł wargę. Z jednego oka wyciekła łza, którą natychmiast stał gniewnym ruchem.

— Aielowie zabili mojego tatkę. Jeden z tych... Shado. Mama mówiła, że jedziemy do Andoru. Mówiła, że będziemy mieszkać na jakiejś farmie. Gdzie będą konie.

— A gdzie ona teraz jest? — spytał Mat łagodnym głosem.

— Zachorowała. Ja... ja ją pochowałem w takim miejscu, gdzie rosło trochę kwiatów. — Olver kopnął zniecierpliwioną Edoriona i zaczął się wyrywać z jego uścisku. Po twarzy spływały mu strumienie łez. — Puśćcie mnie. Sam się sobą zajmę. Puśćcie mnie.

— Będziesz się nim opiekował, dopóki kogoś nie znajdziemy — przykazał Mat Edorionowi, który wybałuszył oczy na niego, starając się jednocześnie odepchnąć i przytrzymać chłopca.

— Ja? A co ja zrobię z tym lwem wielkości domowej myszy?

— Przede wszystkim nakarm go. — Mat zmarszczył nos; sądząc po bijącej od niego woni, Olver spędził trochę czasu na podłodze stajni, gdzie trzymano rzeczonygo wałacha. — I wykąp. On śmierdzi.

— Rozmawiajcie ze mną! — krzyknął Olver, trąc twarz. Łzy zmieniły układ brudnych plam na twarzy. — Rozmawiajcie ze mną, a nie nad moją głową.

Mat zamrugał, po czym skłonił się.

— Przepraszam, Olver. Sam kiedyś nie znośłem, jak inni tak ze mną postępowali. No więc będzie tak. Paskudnie cuchniesz, więc Edorion zabierze cię do „Złotego Jelenia”, gdzie pani Daelvin pozwoli ci wziąć kąpiel. — Nadaśany grymas na twarzy Olvera pogłębił się. — Jeśli coś będzie gadała, to powiesz jej, że to ja pozwoliłem ci się wykąpać. Nie będzie ci mogła zabronić. — Chłopiec nagle wytrzeszczył oczy, a Mat stłumił uśmiech; jeszcze by wszystko popsuł. Olverowi pomysł kąpieli mógł się nie podobać, ale niech no tylko ktoś mu spróbuje w tym przeszkodzić... — Rób to, co każe Edorion. To prawdziwy taireniański lord i on dla ciebie znajdzie pyszną gorącą strawę i ubranie, w którym nie będzie dziur. I jakieś buty. — Lepiej nie dodawać „kogoś, kto się tobą zaopiekuje”. Pani Daelvin powinna się tym zająć; odrobina złota przełamie niechęć każdego.

— Nie lubię Tairenian — burknął Olver, krzywiąc się najpierw do Edoriona, a potem do Mata. Edorion przymknął oczy i coś mruknął pod nosem. — To on jest prawdziwym lordem? A ty też jesteś lordem?

Zanim Mat zdążył cośkolwiek powiedzieć, z tłumu wypadł Estean; ciastowatą twarz miał całkiem czerwoną i zalaną potem. Na pogiętym napierśniku zachowało się niewiele złoceń, pamiątek po dniach świetności, a czerwone satynowe

paski na żółtych rękawach kaftana były wytarte. Zupełnie nie wyglądał na syna najbogatszego lorda Łzy. Ale wszak nigdy nie wyglądał na takowego.

— Mat — wydyszał, przeczesując palcami rzadkie włosy, które bezustannie opadały mu na czoło. — Mat... Nad rzeką...

— Co? — przerwał mu z irytacją Mat. Postanowił, że każe sobie haftować na kaftanie napis: „Nie jestem przeklętym lordem”. — Sammael? Shaido? Gwardia Królowej? Przeklęte Białe Lwy? No co?

— Statek, Mat — wystękał Estean, przeczesując włosy. — Wielki statek. Chyba Ludu Morza.

Nieprawdopodobnie; Atha'an Miere opuszczali otwarte morze jedynie z zamiarem przybicia do najbliższego portu. A jednak... Nad brzegami Erinin wsi było niewiele i zanosilo się na to, że zanim Legion dotrze do Łzy, wszystkie zapasy, jakie zdołaliby zapakować na wozy, ulegną znacznemu uszczupleniu. Dlatego wynajął już rzeczne łodzie, które miały podążać w ślad za ich przemarszem, z pewnością jednak bardzo by się przydał jakiś większy statek.

— Zajmij się Olverem, Edorion — powiedział, nie zważając na grymas na twarzy mężczyzny. — Estean, pokaż mi ten statek. — Estean przytaknął skwapliwie i byłby znowu poderwał się do biegu, gdyby Mat nie chwycił go za rękaw, zmuszając do wolnego marszu. Estean zawsze był gorliwy, a uczył się wolno; ta kombinacja sprawiała, że w Maerone zarobił już pięć sińców, ślady od pałki pani Daelvin.

Liczba uchodźców rosła, w miarę jak zbliżali się do rzeki; jedni schodzili w dół, inni wracali, jakby pogrążeni w letargu. Przy dokach zbudowanych ze smołowanego drewna cumowało pół tuzina promów z szerokimi pokładnicami, ale zabrano z nich wiosła, a poza tym nie było załogi. Jedynie przy kilku rzecznych łodziach, jedno- i dwumasztowych, coś się w ogóle działo; te zawitały tutaj na krótko, po drodze w dół albo w górę rzeki. Na łodziach wynajętych przez Mata poruszali się leniwie bosi członkowie załóg; ładownie były pełne, a kapitanowie zapewniali go, że ruszą w rejs natychmiast, jak tylko da im znak. Po Erinin pływały statki, z burtami unurzanyymi w błocie, kanciastymi dziobami i kwadratowymi żaglami, a także prędkie, wąskie łodzie z trójkątnymi żaglami, nic jednak nie kursowało między Maerone a Aringill, nad murami którego powiewał Biały Lew Andoru.

Ten sztandar łopotał przedtem także nad Maerone i andorańscy żołnierze, którzy strzegli miasteczka, nie chcieli wpuścić Legionu Czerwonej Ręki. Rand mógł przejąć kontrolę nad Caemlyn, ale jego władza nie rozciągała się na zgromadzoną tutaj Gwardię Królowej czy też na jednostki uformowane przez Gaebrila, jak na przykład Białe Lwy. Białe Lwy przebywały aktualnie gdzieś na wschodzie — uciekły w każdym razie w tamtym kierunku i dowolna z kilkunastu pogłosek o bandytach mogła stanowić ich dzieło — toteż stacjonujący tutaj przeprawili się ostatecznie na drugi brzeg rzeki, ale dopiero po ostrych potyczkach z Legionem.



Od tego czasu już nikt nie przeprowadzał się przez Erinin.

Jedyną rzeczą, na jaką Mat tak naprawdę patrzył, był statek kotwiczący na samym środku szerokiej rzeki. Istotnie, był to statek Ludu Morza, wyższy i dłuższy niżli jakikolwiek inny z pływających po rzece, a przy tym smukły, z dwoma skośnymi masztami. Po olinowaniu wspinały się ciemne sylwetki, jedne z nagimi torsami, ubrane w workowate spodnie, które z daleka wyglądały na czarne, inne natomiast w jaskrawe bluzy, znamionujące kobiety. Z grubsza połowę załogi musiały stanowić kobiety. Wielkie kwadratowe żagle zostały podciągnięte do poprzeczek, ale zwisały w luźnych zwojach; w każdej chwili można je było spuścić.

— Znajdź mi jakąś łódkę — powiedział do Estean. — I kilku wioślarzy. — Esteanowi trzeba było przypominać o tego typu rzeczach. Tairenianin zamrugnął, przeczesując włosy palcami. — Spiesz się, człowieku! — Tairenianin przytaknął nerwowo i ruszył biegiem.

Po drodze do skraju najbliższego doku Mat wsparł włócznie na ramieniu i wygrzebał szkło powiększające z kieszeni kaftana. Kiedy przyłożył mosiężną tubę do oka, statek nabrał wyrazistości. Ludzie Morza zdawali się na coś czekać, ale na co? Niektórzy zerkali w stronę Maerone, ale większość gapiła się w przeciwnym kierunku, w tym wszyscy zgromadzeni na wysokim pokładzie dekowym, Mistrzynie Żagla zapewne i inni oficerowie statku. Obrócił szkło powiększające w stronę przeciwnego brzegu rzeki, po drodze omiatając długą i wąską łódź wiosłową, płynącą chyżo w stronę statku.

Na jednym z długich doków Aringill, niemalże bliźniaczo podobnych do tych w Maerone, coś się działo. Czerwone kaftany z białymi kołnierzymi oraz wypolerowane napierśniki wyróżniały Gwardzistów Królowej, najwyraźniej witających grupkę gości ze statku. Zagwizdał cicho, gdy zauważył dwie czerwone parasolki z frędzlami, w tym jedną złożoną z dwóch warstw. Te wspomnienia z przeszłości czasem okazywały się naprawdę przydatne; dwuwarstwowa parasolka oznaczała Mistrzynie Fal jakiegoś klanu, druga jej Mistrza Miecza.

— Mam łódkę, Mat — obwieścił bez tchu Estean za jego ramieniem. — I kilku wioślarzy.

Mat obrócił szkło powiększające z powrotem w stronę statku. Sądząc po krzątaniu na pokładzie, od drugiej burty wciągali na pokład niewielką łódkę. Poza tym ludzie przy kabestanie podnosili już kotwicę, a inni rozwijali żagle.

— Zdaje się, że już mi nie będzie potrzebna — mruknął.

Na drugim brzegu delegacja Ludu Morza, w otoczeniu eskorty gwardzistów, zniknęła właśnie w górze doku. To wszystko zupełnie nie miało sensu. Atha'an Miere w odległości dziewięciuset mil od morza. Tylko Mistrzynie Statków przewyższała rangą Mistrzynie Fal; tylko Mistrz Klingi przewyższał rangą Mistrza Miecza. Zupełnie bez sensu, tak przynajmniej wynikało z tych cudzych wspomnień. Ale to były pradawne wspomnienia; „pamiętał”, że o Atha'an Miere wiedziano znacznie mniej niż o jakimkolwiek innym narodzie, wyjąwszy Aielów.

O Aielach sam wiedział więcej na podstawie własnych doświadczeń niż z tych wspomnień, a i tego było niewiele. Może w dzisiejszych czasach znalazłby się ktoś, kto na tyle znał Lud Morza, by się połapać, o co mogło w tym wszystkim chodzić.

Nad statkiem Ludu Morza już łopotały żagle, a na pokładzie leżała ociekająca wodą kotwica. Niezależnie od powodu tego pośpiechu, nie zamierzali jednak wracać na morze. Statek, powoli nabierając prędkości, ruszył w górę rzeki, po czym wykonał zakręt w stronę otoczonego bagnem ujścia Alguenyi, w odległości kilku mil na północ od Maerone.

No cóż, nie jego sprawa. Rzuciwszy ostatnie, pełne żalu spojrzenie w stronę statku — olbrzym za jednym zamachem przewiózłby wszystko, co miały przewieźć te wszystkie wynajęte przez niego małe łódki — schował szkło powiększające do kieszeni i stanął plecami do rzeki. Obok wciąż kręcił się wgapiony w niego Estean.

— Powiedz wioślarzom, że mogą odejść, Estean — rzekł Mat z westchnieniem, a Tairenianin odszedł, stąpając sztywno, mrucząc coś do siebie i wycierając rękę o włosy.

Błota zobaczył więcej niż przed kilkoma dniami, kiedy ostatni raz był nad rzeką. Niby tylko lepka wstęga, o szerokości nawet nie dłoni, która dzieliła wodę od pasa zaschniętego błota głębokości kroku, ale był to widomy dowód, że nawet taka rzeka jak Erinin powoli wysychała. Nie jego sprawa. A zresztą i tak nie mógł z tym nic zrobić. Odwrócił się i ruszył w stronę miasteczka, by na powrót podjąć swoje obchody tawern i wspólnych sal; najważniejsze, by tego dnia nic nie odbiegało od normy.

Po zachodzie słońca wrócił do „Złotego Jelenia”, gdzie tańczył z Betse, która tym razem pozbyła się fartuszka; muzycy przygrywali najgłośniej jak potrafili, same melodie tańców ludowych. Stoły zostały odsunięte, dzięki czemu powstało miejsce dla sześciu czy ośmiu par. Zmrok przyniósł nieco chłodu, ale jedynie w porównaniu z dniem. Wszyscy nadal się pocili. Na ławach tłoczyli się goście, którzy śmiali się i pili, a wokół nich uwijały się posługaczki, które podawały im baraninę, rzepę i zupę z jęczmienia, nie przestając przy tym dolewać *ale* do kubków i wina do kielichów.

O dziwo, kobiety zdawały się uważać, że taniec to chwila, w trakcie której odpoczywają od targania tac. Każda w każdym razie uśmiechała się ochoczo, gdy nadchodziła jej kolej na starcie potu z twarzy i zdjęcie fartuszka, mimo iż już po chwili pocila się równie obficie. Być może pani Daelvin opracowała dla nich coś w rodzaju harmonogramu. Jeśli nawet, to Betse została z niego wyłączona. Szczu-pła, młoda kobieta nie przynosiła wina nikomu prócz Mata, nie tańczyła z nikim tylko z Matem, a oberżystka tak promieniała na ich widok jak matka na weselu córki, sprawiając, że Matowi robiło się nieswojo. W rzeczy samej Betse tańczyła z nim tak długo, aż otarł sobie stopy i rozboleły go łydki, podczas gdy ona na

moment nie przestała się uśmiechać, a oczy błyszczały jej niczym nie skażonym zachwytem. Uśmiech zniknął z jej twarzy tylko wówczas, kiedy się zatrzymywali dla zaczerpnięcia oddechu. To znaczy, żeby to on mógł zaczerpnąć oddechu; ona zdawała się w ogóle nie odczuwać takiej potrzeby. Ledwie ich stopy nieruchomiały, do galopu ruszał natychmiast jej język. Postępowała zresztą tak samo, gdy Mat próbował ją pocałować; zawsze wtedy odwracała głowę, wykrzykując coś na taki czy inny temat, więc całował ją w ucho albo we włosy zamiast w usta. Ją też jakby to wtedy dziwiło. Nadal nie umiał się zorientować, czy ona ma tak pstro w głowie, czy jest raczej wybitnie sprytna.

Było już blisko drugiej po północy, kiedy oświadczył jej wreszcie, że ma dość jak na jedną noc. Przez jej twarz przemknął wyraz rozczarowania i nieznacznie wydeła usta. Wyraźnie była gotowa tańczyć aż do samego świtu. Nie tylko ona zresztą; jedna ze starszych posługaczek wsparła się dłonią o ścianę, by rozmasować stopę, ale pozostałe miały równie błyszczące oczy i roztargane włosy jak Betse. Większość mężczyzn zdawała się padać ze zmęczenia; ci, którzy dawali zwlec się z ław, mieli na twarzach przyklepione grzecznościowe uśmiechy, a całym sporo machało po prostu rękami, starając się odegnać kobiety. Mat nic z tego nie rozumiał. To pewnie dlatego, że mężczyźni wykonują większość pracy podczas tańca, stwierdził, tyle się muszą nadźwigać i obracać. A kobiety są lekkie; samo podskakiwanie kosztuje je znacznie mniej energii. Zamrugał na widok krzepkiej dziewczyny, która obracała Esteanem po posadzce, zamiast na odwrót — ten człowiek potrafił tańczyć; miał do tego talent — po czym wcisnął w dłoń Betse złotą monetę, grubą andorańską koronę, żeby sobie kupiła coś ładnego.

Przez chwilę przyglądała się monecie, po czym wspięła się na czubki palców, żeby pocałować go w usta, tak lekko, jakby muskała je piórkiem.

— Ja bym cię nigdy nie. powiesiła za to, co zrobiłeś. Czy jutro też będziesz ze mną tańczył? — Nim zdążył odpowiedzieć, zachichotała i czmychnęła w bok, oglądając się na niego przez ramię i jednocześnie już próbowała zaciągnąć Edoriona na przestrzeń wydzieloną dla tańczących. Pani Daelvin rozdzieliła ich jednak, po czym wepchnęła w ręce Betse fartuch i kciukiem wskazała kuchnię.

Mat utykał nieznacznie, gdy szedł do stołu pod tylną ścianą, przy którym zaszli się Talmanes, Daerid i Nalesean. Talmanes wpatrywał się w swój kielich z winem, jakby szukał w nim rozwiązania jakichś ważkich tajemnic. Szeroko uśmiechnięty Daerid obserwował Naleseana, który usiłował opędnąć się od żyznej posługaczki o szarych oczach i jasnobrażowych włosach, w taki sposób, by nie przyznać się jednocześnie, że otarł sobie nogi. Mat wsparł się pięściami o blat stołu.

— Wraz z pierwszym brzaskiem Legion wyruszy na południe. Lepiej zacznijcie przygotowania. — Wszyscy trzej spojrzeli na niego wytrzeszczonymi oczyma.

— Przecież to za kilka godzin — zaprotestował Talmanes, jednocześnie z Naleseanem, który stwierdził:

— Tyle właśnie czasu potrzeba, żeby ich wszystkich powywlekać z szynków. Daerid skrzywił się i pokręcił głową.

— Nikt z nas się dzisiaj nie wyśpi.

— Ja się wyśpię — odparł Mat. — Niechaj mnie który obudzi za dwie godziny. Pierwszy brzask na niebie, a my już maszerujemy.

I w taki to sposób, o szarym przedświcie wylądował na grzbiecie Oczka, krępego brązowego wałacha, z włócznią przełożoną przez siodło i długim łukiem bez naciągniętej cięciwy, wsuniętym pod popręg; niewyspany, czując ból w oczach, obserwował, jak Legion Czerwonej Ręki opuszcza Maerone. Sześć tysięcy legionistów. Jedna połowa konno, druga piechotą, a pospołu narobili takiego hałasu, że mogliby obudzić umarłego. Mimo wczesnej pory ludzie obstawili szpalerami ulice i z każdego okna wychylali się gapie.

Na czele pochodu powiewał kwadratowy, obrzeżony czerwonymi frędzlami sztandar, przedstawiający czerwoną rękę na białym polu, z wyhaftowanym purpurową nicią mottem Legionu. *Dovie'andi se tovyā sagain*. Czas rzucić kości. Tuż obok sztandaru jechali Nalesean, Daerid i Talmanes, za nimi dziesięciu konnych, łomoczących w mosiężne bębny ozdobione szkarłatnymi chwościami i tyłuż samo trębaczy, wygrywających swoje fanfary. Za nimi podążali kawalerzyści Naleseana, zbieranina złożona z taireniańskich żołnierzy i Obrońców Kamienia, cairhieniańskich lordów z *con* na plecach i członków ich świty, garstki Andoran, a każdy szwadron i oddział miał własny, podłużny sztandar, na którym widniał wizerunek Czerwonej Ręki, miecz oraz numer. Te numery przypisał im Mat drogą losowania.

Z początku gderali trochę, że ich tak przemieszał; więcej niż trochę, prawdę powiedziawszy. Przedtem wszyscy cairhieniańscy kawalerzyści jechali za Talmanesem, a taireniańscy za Naleseanem. W odróżnieniu od piechoty, która od powstania Legionu stanowiła zbieraninę ludzi najrozmaitszego pochodzenia. Szermowali przeciwko tworzeniu jednostek o równej liczbie żołnierzy, a także umieszczaniu numerów na sztandarach. Lordowie i kapitanowie zawsze zbierali tyłu, ilu chciało za nimi pójść; znano ich potem jako ludzi Edoriona, Meresina albo Alhandrina. Nadal robili coś takiego — na przykład pięciuset ludzi Edoriona przyjęło nazwę Młoty Edoriona, a nie Pierwszy Szwadron — ale Mat wbił im do głów, że wszyscy należą do Legionu, niezależnie od kraju, w jakim przypadkiem się urodzili i że każdy, komu się to nie podoba, może odejść. Rzecz godna uwagi, nikt nie odszedł.

Trudno było pojąć, dlaczego zostawali. Z pewnością odnosili zwycięstwa, kiedy on nimi dowodził, ale niektórzy i tak ginęli. Trudno mu było dopilnować, by wszyscy zostali należycie nakarmieni i by wszyscy w porę dostali swój żołd, a o przyszłych łupach, jakimi stale się chwalili, równie dobrze mogli zapomnieć. Żaden jak dotąd nie zobaczył ani grosza z tych oczekiwanych kroci, a on raczej nie przewidywał szansy, że go kiedykolwiek zobaczą. To wszystko zakrawało na jawne szaleństwo.

Pierwszy Szwadron zaczął wznosić okrzyki na jego cześć, prędko podjęte przez Czwarty i Piąty. Lamparty Carlomina i Orły Reimona, tak się nazywali.

— Lord Matrim i zwycięstwo! Lord Matrim i zwycięstwo! Mat z chęcią rzucałby w nich kamieniem, gdyby miał jakiś pod ręką.

Tuż za nimi podążała podobna do falującego węża piechota; każda kompania składała się z dwudziestu szeregów, jeżdżących się pikami, za którymi szło po pięć szeregów łuczników albo kuszników i zawsze na jej czele niesiono wielki bęben wybijający tempo marszu, a także podłużny proporzec, na którym ręka skrzyżowana była z piką, a nie z mieczem. I każdej kompanii towarzyszyło również po kilka fletów; wszyscy śpiewali do akompaniamentu wygrywanej na nich melodii:

*Noc prześpiewamy, dzień przepijemy,  
dziewczętom hojnie grosza sypniemy,  
a jak go nie stanie, to odjedziemy,  
żeby zatańczyć z Widmowym Jakiem.*

Mat słuchał tego cierpliwie, czekając, dopóki nie pojawili się pierwsi kawalerzyści Talmanesa, po czym wbił piętę w boki Oczka. Nie musiał dozorować wozów dostawczych, które jechały na samym końcu, ani też szeregu zapasowych wierzchowców. Po drodze do Łzy wiele koni mogło okuleć albo zdechnąć od schorzeń, na które nie potrafili zaradzić weterynarze, a kawalerzysta bez konia nie był wiele wart. W dół rzeki pełzło siedem niewielkich statków pod trójkątnymi żaglami, nieznacznie tylko szybciej od samego nurtu. Na każdym zatknięta była niewielka biała flaga z wizerunkiem Czerwonej Ręki. Do wyruszenia szykowały się także inne, niektóre gnały na południe pod tyłoma płóciennymi płachtami, ile dawało się wciągnąć na ich maszty.

Gdy zrównał się z czołem kolumny, słońce wyzierało już ponad linią horyzontu, śląc pierwsze promienie ku łagodnie falującym wzgórzom i rzadkim zagajnikom. Włożył kapelusz, by osłonić się przed tym rozjarzonym sierpem. Nalesean przyłożył odzianą w rękawicę pięść do ust, tłumiąc potężne ziewnięcie, a Daerid jechał zgarbiony w siodle, z opadającymi powiekami, jakby miał lada chwila, siedząc na koniu, odpłynąć w sen. Tylko Talmanes siedział z wyprostowanymi plecami, z szeroko rozwartymi oczyma, rozbudzony i czujny. Mat raczej solidaryzował się z Daeridem.

Mimo tego jednak podniósł głos, by go usłyszano wśród brzmienia bębnów i trąbek.

— Wyślijcie zwiadowców, gdy już znajdziemy się poza zasięgiem spojrzeń z miasta. — Wprawdzie dalej, w stronę południa, ciągnęły się same lasy albo szczerze pola, ale przecinała je dość szeroka droga; w tych okolicach podróżowano przeważnie wodą, ale spore rzesze piechurów albo wozów przez całe lata wytyczyły szlak. — I uciszcie ten przekłety hałas.

— Zwiadowcy? — spytał z powątpiewaniem Nalesean. — Oby mi dusza szcze-  
zła, w promieniu dziesięciu mil od nas nie napotkasz nikogo uzbrojonego bodaj  
we włócznie, chyba że twoim zdaniem Białe Lwy przestały tutaj biegać, ale na-  
wet jeśli tak jest, to nie podejda do nas bliżej jak na pięćdziesiąt mil, o ile w ogóle  
mają jakieś pojęcie, dokąd zmierzamy.

Mat jakby go nie słyszał.

— Chcę, żebyśmy dzisiaj sprawdzili, czy damy radę pokonać trzydzieści pięć  
mil. Jak się okaże, że nas na to stać, to będziemy wtedy wiedzieli, jakie utrzymy-  
wać tempo. — Rzecz jasna wytrzeszczyli oczy. Konie nie wytrzymałyby takiego  
tempa przez dłuższy czas, a poza tym nikt chyba prócz Aielów nie uważał, by  
dwadzieścia pięć mil nie stanowiło optymalnego dystansu, jaki piechota mogła  
pokonać w ciągu jednego dnia. Ale on musiał rozegrać tę partię dokładnie tak, jak  
zostały rozdane karty.

— Comadrin pisze: „Atakuj na takim terenie, gdzie zdaniem twojego wroga  
tego nie zrobisz, z niespodziewanej strony i o niespodziewanym czasie. Broń się  
tam, gdzie zdaniem twojego wroga nie będziesz tego robić, a jeśli będzie się tego  
spodziewał, to wtedy uciekaj. Zaskoczenie to klucz do zwycięstwa, a kluczem do  
zaskoczenia jest szybkość. Dla żołnierza szybkość to życie”.

— Kto to jest Comadrin? — spytał po chwili Talmanes, a Mat musiał się  
zastanowić, żeby móc mu udzielić odpowiedzi.

— Pewien generał. Od dawna już nie żyje. Kiedyś przeczytałem jego książkę.  
— W każdym razie pamiętał, jak ją czytał, więcej niż jeden raz; wątpił, by jeszcze  
gdziekolwiek istniał chociażby jeden egzemplarz. Skoro już o tym mowa, to przy-  
pomniał sobie, jak poznał Comadrina, przegrawszy pierwej z nim bitwę, jakieś  
sześćset lat przed Arturem Hawkwingiem. Te wspomnienia naprawdę nachodziły  
go znienacka. Dobrze chociaż, że cytatu nie przytoczył w Dawnej Mowie; obecnie  
na ogół udawało mu się tego uniknąć.

Przypatrując się konnym zwiadowcom, którzy rozstawieni w wachlarz roz-  
jeżdżali się po falującej dolinie rzeki, Mat odetchnął. Zaczął już odgrywać swoją  
rolę, tak jak przewidywał plan. Pospieszny wyjazd, mający zasugerować, że niby  
stara się wymknąć w stronę południa, a przy tym na tyle demonstracyjny, by go  
z całą pewnością zauważono. Przez tę kombinację wyjdzie na durnia, ale to też  
miało wyjść tylko na dobre. Z tym uczeniem Legionu szybkiego przemieszcza-  
nia się to był też dobry pomysł — jak się szybko przemieszczasz, to trzymasz się  
z daleka od walki — niemniej jednak ich przemarsz musiał z całą pewnością być  
zauważony od strony rzeki, jak z i wielu innych miejsc. Prędko omiół wzrokiem  
niebo; żadnych kruków albo wron, ale to jeszcze nic nie znaczyło. Również żad-  
nych gołębi, ale jeśli ani jeden nie wyleciał tego ranka z Maerone, to on zje swoje  
siodło.

Najpóźniej za kilka dni Sammael dowie się, że zbliża się Legion, że się śpie-  
szy, wieści zaś, które Rand rozpuścił w Łzie, sprawią, że przybycie Mata będzie

nieuchronnie oznaczało nadciągającą inwazję na Illian. Legion, jakkolwiek by się starał, dotrze do Łzy nie wcześniej jak za miesiąc. Jeżeli szczęście dopisze, to Sammael zostanie zgnieciony niczym wesz między dwoma kamieniami, zanim Mat w ogóle zbliży się na odległość stu mil do tego człowieka. Sammael wiedział na pewno o wszystkim, na co się zanosilo — prawie o wszystkim — ale nie mógł się spodziewać, jaki to będzie taniec. Oprócz Randa, Mata i Bashere nikt nie miał o tym zielonego pojęcia. I na tym się właśnie opierał prawdziwy plan. Mat zorientował się, że pogwizduje. Raz przynajmniej wszystko miało potoczyć się wedle jego zamysłów.

## WĄTKI UTKANE Z CIENIA

Sammael stanął ostrożnie na jedwabnych dywanach w kwietne wzory, pozostawiając bramę otwartą na wypadek, gdyby musiał się natychmiast wycofać, poza tym w mocnym uścisku dzierzył *saidina*. Zazwyczaj odmawiał udziału w tych spotkaniach, chyba że odbywały się na jakimś neutralnym terenie, albo u niego, ale tutaj przybył już po raz drugi. Kwestia konieczności. Nigdy nie był człowiekiem specjalnie ufnym, a stał się takowym w jeszcze mniejszym stopniu po usłyszeniu strzępków rozmowy, jaką odbył Demandred z tymi trzema kobietami, Graendal zaś z pewnością przekazała mu tyle tylko, ile mogło okazać się dla niej samej korzystne. Co on zresztą rozumiał; też miał własne plany, o których pozostali Wybrani nic nie wiedzieli. Nae'blis będzie tylko jeden, a to stanowiło nagrodę wartą tyleż samo co nieśmiertelność.

Stał na przestronnym podium, z jednej strony otoczonym marmurową balustradą, na którym ustawiono pozłacane i inkrustowane kością słoniową stoły i krzesła, niektóre budzące obrzydzenie swymi szczegółami, tak uszeregowane, by dominowały nad dolnym poziomem tej podłużnej, otoczonej kolumnami komnaty, znajdującym się dziesięć stóp niżej. Nie wiodły doń żadne stopnie; była to wielka, przepastna jama, w której prezentowano pokazy rozrywkowe. Przez wysokie okna, wypełnione kolorowym szkłem o skomplikowanych wzorach, wpadały iskry słonecznego światła. Prażący skwar nie docierał do wnętrza; powietrze było tutaj chłodne, ale on czuł to jakby z oddalenia. Graendal nie musiała wcale starać się o to bardziej niż on, ale rzecz jasna postarała się. Aż dziw brał, że nie rozciągnęła sieci na cały pałac.

W dolnej części komnaty coś się zmieniło od czasu jego ostatniej wizyty, ale nie potrafił określić, co takiego. Na samym jej środku znajdowały się trzy podłużne, płytkie baseny, każdy wyposażony w fontannę — gładkie kształty, ruch zastygły w kamieniu — tryskające strumieniami wody, która docierała prawie do rzeźbionych w marmurze żeber sklepionego sufitu. W tych basenach wykonywali ćwiczenia akrobatyczne mężczyźni i kobiety, ubrani w skrawki jedwabiu albo jeszcze skąpiej; z boku prezentowali swe umiejętności artyści odziani mniej wyzywająco: akrobaci i żonglerzy, wykonawcy tańców najrozmaitszych stylów oraz muzycy grający na fletach i rogach, bębnach i wszelkiego typu instrumentach



strunowych. Ludzie najrozmaitszej postury, barwy skóry, włosów i oczu, a jeden fizycznie doskonalszy od drugiego. Wszystko ku rozrywce tych, którzy znajdowali się na podium. Idiotyzm. Strata czasu i pieniędzy. Typowe dla Graendal.

Na podium nie było nikogo, kiedy tam wszedł, ale przepełniał *go saidin*, to też zawczasu wyczuł słodkawą woń perfum Graendal, niczym powiew powietrza z ogrodu kwiatowego, i usłyszał odgłos, jaki wydawały jej kamasze sunące cicho po dywanach, zanim się odezwała za jego plecami:

— Czy moi ulubieńcy nie są piękni?

Stanął obok niego przy balustradzie, śląc uśmiech w stronę widowiska w dolnej części komnaty. Cienka suknia z Arad Doman oblepiała ściśle jej ciało, sugerując trochę więcej, niż pozwalała przyzwoitość. Jak zwykle na każdym palcu nosiła pierścień, każdy z innym kamieniem, po cztery albo pięć wysadzanych klejnotami bransolet na obu nadgarstkach, ponadto szeroki kołnierz z naszytymi olbrzymimi szafirami zdobił wysoki karczek u sukni. Nie znał się na takich sprawach, ale podejrzewał, że wiele godzin trwało układanie tych słonecznych loków spadających jej na ramiona, delikatnie, jakby od niechcienia posypanych drobnymi księżycowymi kamieniami; w całym nieładzie było coś takiego, co wskazywało na wielką precyzję towarzyszącą jego tworzeniu.

Sammaelowi zdarzało się czasem rozmyślać o niej. Nie spotkał jej wcześniej, zanim postanowił porzucić przegraną sprawę i pójść za Wielkim Władcą, chociaż najwyraźniej znali ją wszyscy; była sławną i otaczaną zaszczytami zaprzysięgłą ascetyczką; leczyła ludzi o zmańczonych umysłach, którym nie pomagało Uzdrażanie. Podczas tamtego pierwszego spotkania, w trakcie którego złożyli wstępne przysięgi Wielkiemu Władcy, wyzbyła się wszystkich cech osoby cnotliwej, czyniącej powszechne dobro, jakby z rozmysłem stając się absolutnym przeciwieństwem tego, co reprezentowała wcześniej. Pozornie można było wnosić, że jest opętana manią dążenia do przyjemności, manią, która u niej łączyła się na dodatek z pragnieniem, aby pozbawić władzy każdego, kto dysponował bodaj jej cząsteczką. Pod czym z kolei kryła się jej prawdziwa żądza władzy, bardzo rzadko okazywana otwarcie. Graendal zawsze znakomicie ukrywała różne rzeczy. Uważał, że zna ją lepiej niż pozostali Wybrani — towarzyszyła mu do Shayol Ghul, kiedy składał swoje śluby posłuszeństwa — ale nawet on nie znał wszystkich ukrytych w niej pokładów. Miała tyle odcieni co *jegal* łusek; jedne ustępowały drugim miejsca tak szybko jak błyskawice. W tamtych czasach ona była mistrzynią, on akolitą; mimo wszystkich jego osiągnięć. Ale ta sytuacja uległa potem zmianie:

Żaden z brodzących w basenach ani też żaden z artystów nie podniósł wzroku, a mimo to, kiedy się pojawiła, nabrali więcej życia, jeszcze więcej wdzięku, o ile to było możliwe, starając się pokazać od jak najlepszej strony; istnieli po to tylko, żeby przysparzać jej radości. Graendal potrafiła o to należycie zadbać.

Wskazała czworo akrobatów: ciemnowłosego mężczyznę wspierającego trzy

szczupłe kobiety, wszyscy o skórach miedzianej barwy, naoliwionych i błyszczących.

— To są chyba moi faworyci. Ramsid jest bratem króla Arad Doman. Kobieta stojąca na jego ramionach to żona Ramsida; pozostałe dwie to najmłodsza siostra i najstarsza córka króla. Czy nie uważasz, że to niezwykle, jak wiele potrafią nauczyć się ludzie, gdy ich zachęcić odpowiednimi bodźcami? Pomyśl tylko, ile talentów się marnuje. — Była to jedna z jej ulubionych koncepcji. Miejsce dla każdego i każdy na swoim miejscu, zdecydowanym podle jego talentów, a także potrzeb społeczeństwa. Które to potrzeby zawsze pokrywały się z jej osobistymi wymaganiami. Wszystko to nudziło Sammaela; nawet gdyby te jej absurdalne pomysły zastosować do niego, to i tak zostałyby na swojej obecnej pozycji.

Mężczyzna wykonujący akrobacje obrócił się powoli, by mogli go sobie dobrze obejrzyć; w wyciągniętych na boki rękach trzymał dwie kobiety uwieszone jedną dłonią na jego ramieniu. Graendal zdążyła już przejść dalej, do mężczyzny o wyjątkowo ciemnej skórze i kobiety z kręconymi włosami; oboje cechowali się nadzwyczajną urodą. Ta smukła para grała na dziwnych, wydłużonych harfach, wyposażonych w dzwoneczki, które rezonowały krystalicznym echem.

— Moje najnowsze nabytki, z ziem położonych za Pustkowiec Aiel. Powinni mi dziękować za to, że ich uratowałam. Chiape była Shboan, rodzajem monarchini; świeżo owdowiała, zaś Shaofan miał się z nią ożenić i zostać Shbotay. Przez siedem lat sprawowałaby władzę absolutną, a potem by umarła. Wówczas on wybrałby nową Shboan i sam sprawowałby władzę absolutną przez kolejne siedem lat. Oni żyją według takich cykli od blisko trzech tysięcy lat, bez żadnej przerwy. — Zaśmiała się cicho i z niedowierzaniem pokręciła głową. — Shaofan i Chiape upierają się, że ich śmierci są naturalne. Wola Wzoru, tak to nazywają. Dla nich wszystko dzieje się z Woli Wzoru.

Sammael nie odrywał wzroku od ludzi w dolnej części komnaty. Graendal paplała jak idiotka, ale tylko prawdziwy głupiec wziąłby ją za taką. Czasami coś jej się wymykało podczas tej paplaniny, niby przypadkiem, ale tak naprawdę to umieszczala wszystkie te pozorne przejęzyczenia z równą precyzją, jakby to była igła *conje*. Cała trudność polegała wówczas na odgadnięciu, dlaczego to zrobiła i co zamierzała tym zyskać. Dlaczego, ni stąd ni zowąd, zaczęła sprowadzać ulubieńców z aż tak daleka? Rzadko kiedy zbaczała z obranej przez siebie drogi. Czy próbowała skierować jego uwagę na ziemie położone za Ugorem po to, by myślał, że jest nimi zainteresowana? Tam znajdowało się pole bitwy. To tam właśnie sięgnie najpierw Wielki Władca, kiedy już odzyska wolność. Reszta świata zostanie wychłostana przez macki dalekich burz, może nawet zostanie całkiem przez nie zniszczona, ale te burze będą miały swoje źródło właśnie na tych ziemiach.

— Dziwię się, że oprócz sporej części rodziny królewskiej, nic więcej z Arad Doman nie zasłużyło na twoją aprobatę — stwierdził oschle. Jeżeli koniecznie chciała zwrócić jego uwagę na jakąś kwestię, bez wątpienia znajdzie sposób, żeby

jakoś przemycić ją do rozmowy. Do niej w ogóle nie docierało, że ktoś dostatecznie dobrze poznał się na jej sztuczkach, by móc przejrzeć je na wylot.

Obok jego łokcia wyrosła nagle szczupła, ciemnowłosa kobieta, nie młoda, ale obdarzona tym rodzajem bladej urody i elegancji, które miała zachować do końca życia; w obu dłoniach tuliła kryształowy kielich pełen ponczu z ciemnego wina. Przyjął kielich, mimo iż nie zamierzał pić; nowicjusze wypatrywali jakiejś wielkiej zasadzki, aż ich piekły oczy, a tymczasem zachodził ich od tyłu samotny skrytobójca. Alianse, nawet jeśli tylko tymczasowe, były jak najlepiej widziane, jednak im mniej Wybranych miało zostać przy życiu w Dniu Powrotu, tym większe szanse mieli ci, którzy przeżyją, na uzyskanie tytułu Nae'blis. Wielki Władca zawsze zachęcał do takiego... współzawodnictwa; jedynie ci najlepiej przystosowani do walki byli godni służyć. Sammael wierzył niekiedy, że tym, który zostanie wybrany, by na zawsze władać światem, będzie ostatni z Wybranych zdolny o własnych siłach utrzymać się na nogach.

Kobieta odwróciła się z powrotem do muskularnego młodzieńca, który trzymał złotą tacę z jeszcze jednym kielichem i wysokim dzbanem. Oboje nosili przezroczyste białe szaty i żadne nawet nie tępnęło okiem w stronę bramy otwartej na jego apartamenty w Illian. Twarz kobiety, w trakcie usługiwania Graendal, mogła posłużyć za wzorzec uwielbienia. Z rozmowami w obecności służby i ulubieńców nigdy nie było problemów, mimo iż w ich szeregach nie było ani jednego Sprzymierzeńca Ciemności. Graendal nie ufała Sprzymierzeńcom Ciemności, twierdząc, że są zbyt chwiejni, ale tak czy inaczej zakres, w jakim stosowała Przymus wobec członków swej osobistej służby, pozostawiał niewiele miejsca na cokolwiek innego prócz adoracji.

— Niemalże spodziewam się, że zobaczę tu samego króla podającego wino — ciągnął.

— Wiesz, że zawsze wybieram tylko to, co najprzedniejsze. Alsalam nie spełnia moich wymogów. — Graendal przyjęła wino z rąk kobiety, ledwie na nią zerknąwszy, Sammael zaś nie po raz pierwszy zastanowił się, czy ci ulubieńcy stanowią kolejny parawan, podobnie jak jej paplanina. Mała sonda być może coś ujawni.

— Prędzej czy później się poślizgniesz, Graendal. Jeden z twoich gości rozpozna tego, kto poda mu wino albo sprzątnie łóżko i będzie miał dość rozumu trzymać język za zębami. Co zrobisz, jeśli ktoś zaatakuje ten pałac w towarzystwie armii, przychodząc na ratunek czyjemuś mężowi albo siostrze? Strzała nie jest być może tym samym co lanca szturmowa, a mimo to może cię zabić.

Odrzuciła głowę w tył i zaczęła się śmiać, trelem beztroskiego rozbawienia, pozornie zbyt głupia, by dostrzec w jego wypowiedzi zamierzoną zniewagę. Były to wszak pozory, które zwiodłyby tylko kogoś, kto jej nie znał.

— Och, Sammaelu, czemuż miałabym pozwolić, by zobaczyli więcej, niż będą chciała? Przecież nie każę moim ulubieńcom im usługiwać, to wykluczone.

Poplecznicy i oponenti Alsalama, a nawet Zaprzysięgli Smokowi, odchodzą stąd przekonani, że ja wspieram ich właśnie i nikogo innego. A poza tym nie zechcą przecież niepokoić ułomnej. — Skóra zaswędziała go lekko, kiedy przeniosła, i na krótką chwilę jej wygląd uległ zmianie. Karnacja nabrała miedzianej, a przy tym matowej barwy, włosy i oczy pociemniały, tracąc jednak cały blask; wyglądała na zmizerniałą i kruchą, piękną niegdyś mieszkankę Arad Doman, która powoli przegrywa walkę z chorobą. Z trudem się powstrzymał, by nie wykrzywić ust z obrzydzeniem. Jednym dotknięciem dowiódłby, że te kanciaste kontury twarzy nie należą do niej — taki sprawdzian byli w stanie przejść jedynie ci, którzy do perfekcji opanowali najsubtelniejsze zastosowania Iluzji — ale Graendal zawsze zdawało się zależeć przede wszystkim na efekcie. W następnej chwili znowu była sobą i uśmiechała się. Bardzo krzywym uśmiechem.

— Nie uwierzyłyś, jak oni wszyscy mi ufają, jak mnie słuchają.

Nigdy nie przestało go dziwić, że postanowiła zostać tutaj, w pałacu dobrze znanym w całym Arad Doman, ze wszystkich stron otoczona zamętem wojny domowej i anarchii. Wcale, oczywiście, nie sądził, że powiadomiła pozostałych Przeklętych, gdzie się osiedliła. Fakt, że jemu udzieliła takiej informacji, sprawił, iż nabrał czujności. Lubiła wygody i jednocześnie nigdy nie chciało jej się wkładać należytego wysiłku w ich utrzymanie, a tymczasem ten pałac był doskonale widoczny z Gór Mgły i trzeba się było nieźle natrudzić, by ją odgradzić od wszelkich zamieszek, by nikt nie pytał, gdzie podział się były właściciel, razem z rodziną i służbą. Sammael nie byłby zdziwiony, gdyby każdy mieszkaniec Arad Doman, który bywał tu gościem, odchodził przekonany, że tę ziemię nadano jej rodzinie tuż po samym Pęknięciu. Bardzo często sposób, w jaki posługiwała się Przymusem, przywodził na myśl walenie młotem, dlatego nie trudno było zapamiętać, iż potrafiła również bardzo delikatnie władać jego łagodniejszymi formami, wykręcając ścieżkę czyjegoś umysłu tak subtelnie, że nawet przy najdokładniejszym zbadaniu można było przeoczyć najłżejszy z ewentualnie zostawionych przez nią śladów. W istocie była w tym prawdopodobnie najlepsza spośród żyjących.

Pozwolił bramie zniknąć, ale trzymał *saidina*; te sztuczki nie działały na kogoś otulonego w Moc Źródła. Zresztą prawdę mówiąc, uwielbiał tę walkę o przetrwanie., mimo iż obecnymi czasy ta walka toczyła się w nieświadomości; jedynie najsilniejsi zasługiwali na przeżycie, a on każdego dnia tej bitwy dowodził sobie samemu, jaki jest wprawny. Graendal żadnym sposobem nie mogła wiedzieć, że nadal obejmuje *saidina*, ale uśmiechnęła się przelotnie do swego pucharu, jakby o tym wiedziała. Nie przepadał za ludźmi, którzy udawali, że coś wiedzą, podobnie zresztą jak tych, którzy wiedzieli coś, czego on nie wiedział.

— Co masz mi do powiedzenia? — spytał bardziej szorstkim tonem, niż zamierzył.

— Na temat Lewsa Therina? Ty chyba zupełnie pozbawiony jesteś innych za-

interesowań. Otóż on zostanie moim ulubieńcem. Uczynię z niego główną atrakcję każdego pokazu. Nie jest, co prawda, dostatecznie przystojny, ale nada się dzięki temu, kim jest. — Uśmiechnąwszy się znowu do swego kielicha, dodała mrużąc tak niesłychalnie, że usłyszał to jedynie dzięki *saidinowi*. — A poza tym ja naprawdę lubię wysokich.

Udało mu się opanować zeszytywnienie mięśni, ale kosztowało go to mnóstwo wysiłku. Nie był niski, jednak fakt, że jego wzrost nie dostawał do umiejętności, napawał go goryczą. Lews Therin przewyższał go o głowę, podobnie al'Thor. Zawsze istniało domniemanie, że wyższy mężczyzna jest lepszy. Kolejny wysiłek kosztowało nie dotykanie blizny, która przecinała mu ukośnie twarz, od linii włosów po przyciętą w kwadrat bródkę. To Lews Therin był jej sprawcą; zachował ją na pamiątkę. Podejrzał, że chciała mu dopiec i dlatego celowo źle zrozumiała jego pytanie.

— Lews Therin już od dawna nie żyje — powiedział ostrym tonem. — Rand al'Thor to tylko pyszałkowaty, młody wieśniak; przypomina gracza w *choss*, któremu dopisało szczęście.

Graendal zamrużyła oczyma, udając zdziwienie.

— Naprawdę tak myślisz? Jego na pewno wspomaga coś więcej prócz szczęścia. Dzięki szczęściu nie osiągnąłby aż tyle i to w tak krótkim czasie.

Sammael nie przybył tu, by rozmawiać o al'Thorze, a mimo to miał wrażenie, że u podstawy kręgosłupa gromadzi mu się lód. Znowu zalały go myśli, których dotychczas usilnie starał się unikać. Al'Thor nie był Lewsem Therinem, ale odrodziła się w nim dusza Lewsa Therina, ta dusza, która kiedyś w podobny sposób odrodziła się w samym Lewsie Therinie. Sammael nie był ani filozofem, ani teologiem, jak na przykład Ishamael, który twierdził, że za tym faktem kryją się istic prorocze tajemnice. Ishamael umarł szalony, prawda, ale nawet wtedy, kiedy jeszcze pozostawał przy zdrowych zmysłach, w czasach, gdy zdawało się, że z całą pewnością pokonają razem Lewsa Therina Telamona, utrzymywał, że ta walka trwa od czasu Stworzenia, że to nie kończąca się wojna między Wielkim Władcą a Stwórcą, wysługującym się ludzkimi zastępcami. Co więcej, zaklinał się, że Wielki Władca równie mocno pragnąłby nawrócenia Lewsa Therina na Ciebie jak odzyskania wolności. Może Ishamael był już wtedy nieco szalony, ale istotnie, poczyniono wysiłki zmierzające ku nawróceniu Lewsa Therina. I Ishamael twierdził też, że tak już się zdarzało w przeszłości, kiedy najlepszy z twórców Stwórcy stawał się istotą podległą Cieniowi, po czym odradzał się jako najlepszy z twórców Cienia.

Z tych stwierdzeń wynikały niepokojące wnioski, wątki, których Sammael nie chciał roztrząsać, niemniej jednak do jego umysłu stale wdzierала się myśl, że Wielki Władca mógłby naprawdę zechcieć uczynić al'Thora Nae'blis. Wszystko przecież nie mogło realizować się w zupełnej próżni. Al'Thor będzie potrzebował pomocy. Pomocy... to mogło wyjaśniać, skąd to szczęście, które rzekomo

dotychczas mu dopisywało.

— Czy dowiedziałaś się, gdzie al'Thor ukrywa Asmodeana? Względnie coś o miejscu pobytu Lanfear? Albo Moghedien? — Pajęczycza wiecznie się gdzieś skrywała; dawała o sobie znać zupełnie znieczeka, gdy człowiek nabrał już pewności, że nie żyje.

— Wiesz tyle samo co ja — odparła Graendal z zadowoleniem, po czym urwała, by upić łyk ze swego pucharu. — Ja osobiście uważam, że Lews Therin ich zabił. Och, nie patrz na mnie tak krzywo. Al'Thor, skoro tak się upierasz. Ta myśl bynajmniej nie zdawała się jej niepokoić, ale z kolei ona nigdy nie wdałaby się w otwarty konflikt z al'Thorem. Nigdy nie posługiwała się takimi metodami. Gdyby al'Thor ją kiedykolwiek odkrył, zwyczajnie porzuciłaby wszystko i zainstalowała się na nowo w jakimś innym miejscu, albo poddała się, zanim on zadałby cios, po czym zaczęłaby go przekonywać, że jest niezastąpiona. — Z Cairhien docierają pogłoski, jakoby Lanfear zginęła z rąk Lewsa Therina w tym samym dniu, w którym on zabił Rahvina.

— Pogłoski! Lanfear wspomagała al'Thora od samego początku, jeśli chcesz wiedzieć. Zdobyłbym jego głowę w Kamieniu Łzy, gdyby ktoś tam nie posłał Myrddraali i trolloków jemu na odsiecz! To była Lanfear; jestem pewien. Mam jej dosyć. Zabiję ją następnym razem, gdy ją spotkam! Ale czemu zabił Asmodeana? Ja bym go zabił, gdybym umiał go znaleźć, ale przecież przeszedł na jego stronę. On go uczy!

— Zawsze znajdziesz usprawiedliwienie dla swoich porażek — szepnęła do swego ponczu, znowu tak cicho, że nie usłyszałby bez *saidina*. Po czym dodała głośniej: — Znajdź sobie własne wytłumaczenia, jeśli chcesz. Może nawet masz rację. Ja tylko wiem, że wygląda to, jakby Lews Therin eliminował nas z gry, jedno po drugim.

Sammaelowi dłoń zadrżała z gniewu, przez co omal nie wylał ponczu, zanim odzyskał władzę w ręce, w której trzymał kielich. Rand al'Thor nie był Lewsem Therinem. On sam przeżył wielkiego Lewsa Therina Telamona, rezygnując z pochwał za zwycięstwo, którego w pojedynkę nie był w stanie odnieść, przekonany, że inni będą się w tych pochwałach pławić. Żałował tylko, że ten człowiek nie pozostawił po sobie grobu, na który można-by napluć.

Graendal, przebierając upierścienionymi palcami w takt strzępków melodii dobiegającej ich z dołu, przemówiła nieobecny głosem; całą swoją uwagę zdawała się skupiać na muzyce.

— Tylu nas już zginęło w konfrontacji z nim. Aginor i Balthamel. Ishamael, Belal i Rahvin. I Lanfear, i Asmodean, w cokolwiek byś wierzył. Prawdopodobnie też Moghedien, ale całkiem możliwe, że pełza teraz gdzieś w cieniach i czeka na upadek nas wszystkich, którzy jeszcze pozostaliśmy przy życiu; jest do tego zdolna przez swoją głupotę. Naprawdę mam nadzieję, że przygotowałeś sobie jakąś kryjówkę, do której będziesz mógł uciec. Raczej nie ma wątpliwości, że to ciebie

zaatakuję w następnej kolejności. I to już raczej niedługo, gdyby ktoś pytał mnie o zdanie. Ja tutaj nie doczekam się żadnych armii, za to Lews Therin zgromadził już całkiem sporą, po to, by ją posłać przeciwko tobie. To cena, jaką zapłacisz za to, że nie wystarczy ci sama władza, tylko koniecznie chcesz, by widziano, jak ją dzierżysz.

Tak się składało, że przygotował już sobie drogi odwrotu — tak nakazywała przeczność — ale to jej przekonanie, że znalazł się w potrzebie, sprawiło, że wpadł w furję.

— I nie pogwałcę żadnego z rozkazów Wielkiego Władcy, jeśli zniszczę wtedy al'Thora. — Nie rozumiał Wielkiego Władcy, ale nie rozumienia od niego wymaganego, a tylko posłuszeństwa. — To wynika z tego, co mi powiedziałaś. A jeżeli ukryłaś...

Oczy Graendal stwardniały, wypełniając się niebieskim lodem. Mogła unikać konfrontacji, ale nie lubiła pogróżek. W następnej chwili już była cała w uśmiechach. Zmienna jak pogoda w Mjinn.

— Przekazałam ci wszystko, co Wielki Władca powiedział Demandredowi, Sammaelu. Co do słowa. Wątpię, czy on odważyłby się skłamać w imieniu Wielkiego Władcy.

— Ale za mało mi powiedziałaś o planach Demandreda — odparł cicho Sammael. — O planach jego, Semirhage albo Mesaany. Praktycznie nic.

— Powiedziałam ci wszystko, co wiem. — Westchnęła z irytacją. Być może mówiła prawdę. Zdawała się żałować, że nie wie nic więcej. Być może. W jej przypadku wszystko mogło być robione na pokaz. — Co do reszty... Pomyśl, Sammaelu. Zwykliśmy spiskować przeciwko sobie niemalże równie zajadle, jak walczyliśmy z Lewsem Therinem, a mimo to już przecież wygrywaliliśmy, zanim on nas dopadł, zgromadzonych w Shayol Ghul. — Zadrzała i przez chwilę jej twarz wyglądała na wynędzniałą. Sammael też wolał nie przypominać sobie tego dnia, albo tego, co stało się potem, tego snu bez snów, podczas którego świat zmienił się nie do poznania i wszystko, co on stworzył tak misternie, zniknęło. — Przebudziliśmy się w świecie, w którym powinniśmy stać wyżej od zwykłych śmiertelników i dać początek nowemu gatunkowi, a ginimy. Zapomnij na chwilę, kto zostanie Naeb'lis. Al'Thor... skoro już tak musisz go nazywać... al'Thor był bezbronny jak niemowlę, kiedy się przebudziliśmy.

— Ishamael go takim nie znalazł — odparł. Prawda, Ishamael był wtedy szalony, niemniej jednak Graendal mówiła dalej, jakby on w ogóle się nie odezwał.

— Zachowujemy się tak, jakby to był ten świat, który kiedyś znaliśmy, a tymczasem nic nie jest takie jak kiedyś. Umieramy jedno po drugim, al'Thor zaś jest coraz silniejszy. Krainy i ludzie przyłączają się do niego. A my umieramy. Nieśmiertelność musi się stać moim udziałem. Ja nie chcę umierać.

— No to zabij go, skoro tak cię zatrwąza. — Połknąłby te słowa, gdyby mógł, jeszcze zanim na dobre opuściły jego usta.

Twarz Graendal wykrzywiła się z niedowierzaniem i pogardą.

— Służę i okazuję posłuszeństwo Wielkiemu Władcy, Sammaelu.

— Tak jak ja. Tak jak każdy.

— Jak to dobrze, że raczysz łaskawie korzyć się przed naszym Panem. — Głos miała równie lodowaty jak uśmiech, a jej twarz nabrała ciemniejszej barwy. — Ja tylko twierdzę, że Lews Therin jest równie niebezpieczny teraz, jak za naszych czasów. Zatrwożona? Tak, jestem zatrwożona. Zamierzam żyć wiecznie, a nie podzielić los Rahvina!

— *Tsag!* — Przekleństwo sprawiło przynajmniej, że zamrugła i naprawdę spojrzała na niego. — Al’Thor. Al’Thor, Graendal! Młody ignorant, czegokolwiek by Asmodean go nauczył! Prymitywny prostak, który prawdopodobnie nadal wierzy, że dziewięć dziesiątych rzeczy, które ty i ja bierzemy za oczywiste, jest niemożliwa! Al’Thor zmusza garstkę lordów do ukłonów i od razu nabiera przekonania, że podbił cały naród. Brak mu woli, by zacisnąć pięść i naprawdę ich podbić. Z wyjątkiem Aielów... *Bajad drovja!* Kto by pomyślał, że tak się zmienia? — Musiał wziąć się w garść; nigdy w życiu tak nie przeklinał; to był przejaw słabości. — Tylko oni naprawdę za nim idą, ale też nie wszyscy. Jego los zawisł na włosku, który kiedyś się przerwie, w taki czy inny sposób.

— Czyżby? A jeśli on...? — Umilkła, podnosząc puchar tak gwałtownym ruchem, że aż połała sobie dłoń ponczem, po czym zaczęła pić, opróżniając naczynie prawie do samego końca. Natychmiast podbiegła do niej elegancka służka z kryształowym dzbanem w ręku. Graendal podstawiła puchar do napełnienia i mówiła dalej, nawet nie zaczerpnąwszy oddechu: — Ilu z nas umrze, zanim to się skończy? Musimy być solidarni jak nigdy przedtem.

Wcale nie o tym zaczęła mówić. Zlekceważył tępe okowy lodu, które znowu skuły mu kręgosłup. Al’Thor nie zostanie Nae’blis. Nie zostanie! Więc ona uważa, że powinni być solidarni, czy tak?

— W takim razie połącz się ze mną. Jeżeli się połączymy, to pokonamy al’Thora. Niech to będzie początek tej naszej nowej solidarności. — Jego blizna napięła się, kiedy się uśmiechnął do nagle pozbawionej wyrazu twarzy kobiety. To ona musiała dać początek połączeniu, ale gdyby wzięli w nim udział tylko oni dwoje, wówczas byłaby zmuszona jemu oddać kontrolę i zaufać, że zadecyduje, kiedy je przerwać. — No cóż... Wychodzi na to, że będziemy postępowali jak dotąd. — Tak naprawdę nigdy przedtem nie zaistniała taka kwestia; zaufanie nie należało do ich obowiązków. — Co masz mi jeszcze do powiedzenia? — To był właściwy powód, dla którego tu przybył, a nie wysłuchiwanie paplaniny na temat Randa al’Thora. Kwestia al’Thora zostanie rozwiązana. Bezpośrednio albo pośrednio.

Wpatrywała się w niego, zbierając się w sobie, z oczyma połyskującymi wrogością. W końcu powiedziała:

— Raczej niewiele.



Ona nie zapomni, że widział, jak straciła panowanie nad sobą. Nie zdradziła gniewu tonem głosu; jej słowa brzmiały bezpośrednio, wręcz bezceremonialnie.

— Semirhage nie stawiała się na ostatnim spotkaniu; nie wiem dlaczego i nie sądzę, by Mesaana albo Demandred znali powód. Szczególnie Mesaana była rozłoszczona, mimo iż usiłowała to ukryć. Jej zdaniem Lews Therin niebawem wpadnie w nasze ręce, ale ona to powtarza za każdym razem. Była pewna, że Belal zabije albo weźmie go do niewoli w Łzie; była dumna z tamtej pułapki. Demandred ostrzega cię, że masz uważać.

— A zatem Demandred wie, że ty i ja się spotykamy — zauważył spokojnie. Na jakiej podstawie spodziewał się kiedykolwiek, że usłyszysz od niej coś więcej prócz jakichś ochłapów?

— Jasne, że wie. Wie, że coś ci mówię, nie wie tylko, ile. On próbuje nas zjednoczyć, Sammael, zanim będzie za. . .

Wszedł jej brutalnie w słowo.

— Dostarczysz Demandredowi wiadomość ode mnie. Powiesz mu, że wiem, do czego on dąży. — Zdarzeniom na południu towarzyszyły całe mnóstwa śladów Demandreda. Demandred zawsze lubił wysługiwać się agentami. — Przekaż mu, że to sam ma uważać. Nie pozwolę, by on albo jego sługusy wtrącali się do moich planów. — Być może tam mógłby skierować uwagę al'Thora; tym sposobem najprawdopodobniej by go wreszcie dopadł. Jeśli zawiodą inne środki. — Jego sługusy mogą klecić to, co on im każe, dopóki będą trzymać się ode mnie z daleka, ale jeśli nie będą, to on za to zapłaci. — Po otwarciu Szybu wiodącego do więzienia Wielkiego Władcy wywiązała się wieloletnia walka, która trwała aż do czasu, gdy zgromadzili dość sił, by móc wykonać otwarty ruch. Tym razem, kiedy już zostanie strzaskana ostatnia pieczęć, on sprezentuje Wielkiemu Władcy narody gotowe za nim pójść. Co z tego, że nie będą wiedzieć, za kim idą? On nie zawiedzie tak jak Belal albo Rahvin. Wielki Władca zobaczy, kto mu służy najlepiej. — Przekaż mu to!

— Jeśli tak sobie życzysz — odparła, krzywiąc się z niechęcią. Chwilę potem na jej twarz znowu wypełził ten sam leniwy uśmiezek. Zmienny uśmiezek. — Męczą mnie już te wszystkie pogrożki. No co z tobą? Posłuchaj sobie muzyki i uspokój się. — Zaczął jej mówić, że muzyka go nie interesuje, o czym bardzo dobrze wiedziała, ale odwróciła się do marmurowej balustrady. — Proszę bardzo, są tutaj. Posłuchaj tylko.

Mężczyzna i kobieta, oboje obdarzeni bardzo ciemnymi karnacjami, podeszli do stóp podium ze swymi dziwaczными harfami. Sammael podejrzewał, że te dzwoneczki wnoszą coś jeszcze do wygrywanej przez nich melodii; co, nie umiał określić. Kiedy zauważyli, że Graendal ich obserwuje, rozpromienili się z uwielbieniem.

Wbrew własnej radzie Graendal mówiła dalej, zamiast słuchać:

— Pochodzą z osobliwego miejsca. Kobiety, które potrafią przenosić, zmusza

się tam, by poślubiły synów kobiet, które potrafią przenosić, i każdy z tej linii krwi jest przy narodzinach naznaczony tatuażem na twarzy. Nikt z takimi piętnami nie może poślubić kogoś, kto ich nie ma; dziecko z takiego związku jest zabijane. W każdym razie wytatuowani mężczyźni są zabijani w dwudziestym pierwszym roku życia, a przedtem zamykani w klasztorach, gdzie trzyma się ich w takiej ignorancji, że nie potrafią nawet czytać.

A więc jednak znowu zaczęła. Chyba naprawdę wierzyła, że on jest taki naiwny. Postanowił wbić własny cierni.

— Czy oni też składają śluby posłuszeństwa tak samo jak zbrodniarze?

Przez jej twarz przemknął wyraz zdumienia, skryty pospiesznie. Najwyraźniej nie rozumiała, o czym on mówi; nie miała zresztą po temu żadnych podstaw. Za ich czasów niewielu ludzi popełniało bodaj jedno przestępstwo z użyciem przemocy, a co dopiero mówić o większej liczbie. W każdym razie przed powstaniem Szybu. Oczywiście nie przyznała się do swojej niewiedzy. Bywały takie momenty, kiedy lepiej było ukrywać brak wiedzy, ale Graendal często stosowała tę praktykę aż do przesady. Dlatego właśnie o tym wspomniał; wiedział, że tym jej dopiecze i należycie odpłaci za te bezużyteczne strzępki informacji, jakimi raczyła go obdarować.

— Nie — odparła, jakby rozumiała. — Ayyadowie, jak siebie sami nazywają, zamieszkują swe małe miasteczka, unikając innych ludzi i rzekomo nigdy nie przenoszą bez pozwolenia albo rozkazu od Shbotay albo Shboan. W rzeczy samej to oni sprawują rzeczywistą władzę i jest to powód, dla którego Shbotay albo Shboan władają tylko przez siedem lat. — Przez chwilę zanosila się głośnym śmiechem. — Tak, to fascynująca kraina. Oczywiście zbyt oddalona od centrum, by się przydawać do czegoś przez wiele lat. — Wykonała lekceważący gest, trzepocząc upierścienionymi palcami. — Gdy już nastanie Dzień Powrotu, będzie mnóstwo czasu, żeby sprawdzić, jak można by ją wykorzystać.

Tak, wyraźnie pragnęła, by on myślał, że ją wiążą z tym miejscem jakieś interesy. Przecież gdyby tak rzeczywiście było, to ani słowem by o nim nie wspomniała. Odstawił nie tknięty kielich na tacę, którą muskularny osobnik zdążył podsunąć, jeszcze zanim jego ręka znieruchomiła. Graendal istotnie dobrze szkoliła swą służbę.

— Jestem pewien, że ich muzyka jest fascynująca. . . pod warunkiem, że ktoś lubił coś takiego jak muzyka — . . . ale muszę dopilnować przygotowań.

Graendal dotknęła delikatnie dłonią jego ramienia.

— Starannych przygotowań, jak mniemam? Wielki Władca nie będzie zadowolony, jeśli zakłócisz realizację jego planów.

Sammael zacisnął usta.

— Zrobiłem wszystko; nie wyraziłem tylko zgody na utwierdzenie al'Thora w przekonaniu, że nie stanowią dla niego żadnego zagrożenia, ale, tak czy inaczej, ten człowiek wyraźnie żywi jakąś obsesję na moim punkcie.

— Mógłbyś porzucić Illian, zacząć gdzieś indziej.

— Nie! — Nigdy nie uciekał przed Lewsem Therinem, więc tym bardziej nie uciekałby przed tym prowincjonalnym bufonem. To niemożliwe, by Wielki Władca chciał postawić takiego jak on ponad Wybranymi. Ponad nim! — Czy przekazałaś mi całość rozkazów Wielkiego Władcy?

— Nie znoszę się powtarzać, Sammaelu. — W jej głosie dała się słyszeć nuta rozdrażnienia, w oczach pojawił się cień gniewu. — Jeśli nie uwierzyłeś mi za pierwszym razem, to teraz też nie uwierzysz.

Wpatrywał się w nią chwilę dłużej, po czym przytaknął krótko. Najprawdopodobniej w tym momencie powiedziała prawdę; kłamstwo wymierzone przeciwko Wielkiemu Władcy mogło się zemścić z okrutną siłą.

— Nie widzę powodu, by spotykać się znowu, dopóki nie będziesz miała mi do powiedzenia czegoś więcej prócz tego, czy Semirhage była na spotkaniu czy nie. — Przelotny grymas, skierowany w stronę harfistów, powinien był ją przekonać, że jednak wprowadziła go w błąd; przeniósł pełne dezaprobaty spojrzenie na ludzi pluskających się w basenach, na akrobatów i całą resztę, by to nie zdało się takie oczywiste. Tyle zmarnowanego wysiłku, cała ta wystawa ciał... to wszystko rzeczywiście napawało go obrzydzeniem. — Następnym razem ty możesz przybyć do Illian.

Wzruszyła ramionami, jakby to nie miało znaczenia, ale jej wargi drgnęły lekko, a jego wzmocniony przez *saidin* słuch wychwycił:

— O ile jeszcze tam będziesz.

Z lodowatą miną otworzył bramę wiodącą z powrotem do Illian. Muskularny młodzieniec nie wykonał dostatecznie szybkiego ruchu; nie starczyło mu nawet czasu, by krzyknąć przeraźliwie, gdy został przecięty w samym środku na dwie połowy, on, taca i kryształowy dzban. W porównaniu z krawędzią bramy brzytwą była tępa. Na widok utraty jednego ze swych ulubieńców Graendal z irytacją wydeła wargi.

— Jeśli rzeczywiście chcesz się przyczynić do tego, abyśmy uszli z życiem — powiedział jej Sammael — to dowiedz się, w jaki sposób Demandred i inni zamierzają realizować polecenia Wielkiego Władcy. — Przeszedł przez bramę, na moment nie odrywając oczu od jej twarzy.

\* \* \*

Twarz Graendal zdradzała rozdrażnienie tylko do momentu, dopóki brama nie zamknęła się za Sammaelem, wtedy postukała w zamyśleniu paznokciami po marmurowej balustradzie. Dzięki włosom złotawej barwy Sammael był dostatecznie

przystojny, by ewentualnie wyróżniać się wśród jej ulubieńców, ale najpierw musiałby się zgodzić, żeby Semirhage usunęła tę bruzdę wypaloną na skroś jego twarzy; tylko Semirhage potrafiłaby to zrobić, mimo iż niegdyś uważano, że to mało skomplikowany zabieg. Ale to były jałowe rozważania. Właściwe pytanie brzmiało, czy jej wysiłek się opłacił.

Shaofan i Chiape z wdziękiem wygrywali ich niezwykłą, atonalną muzykę, pełną złożonych harmonii i dziwnych dysonansów; twarze im promieniały z radości, że mogą jej sprawić przyjemność. Skinęła głową i niemalże poczuła ich zachwyty. Byli znacznie szczęśliwsi teraz, niż gdyby im dać wolność. Tyle wysiłku z ich sprowadzeniem i to wyłącznie dla tych kilku chwil z Sammaelem. Oczywiście mogła sobie nie zadawać takiego trudu — wystarczyłby pierwszy lepszy mieszkaniec ich ziem — ale ona miała swoje wymagania, nawet jeśli przygotowywany przez nią fortel miał odnieść jedynie chwilowy skutek. Dawno temu postanowiła gonić za każdą przyjemnością, nie odmawiać sobie niczego, co nie stanowiło zagrożenia dla jej pozycji przy Wielkim Władcy.

Z irytacją zmarszczyła nos, gdy jej wzrok padł na wnętrzości płamiące dywan. Da się go uratować, ale złościło ją, że będzie musiała usuwać krew sama. Prędko wydała rozkazy i Osana pobiegła dopatrzeć, by usunięto dywan. I by pozbyto się szczątków Rashana.

Sammael był całkowicie czytelnym durniem. Nie, nie durniem. Potrafił być śmiertelnie groźny, gdy mógł walczyć z czymś bezpośrednio, z czymś, co widział wyraźnie, ale potrafił być także ślepy, kiedy chodziło o subtelności. Najprawdopodobniej uwierzył, że jej fortel ma zamaskować to, do czego w istocie ona i inni zmierzają. Ani przez chwilę nie wziął pod uwagę jednej rzeczy, a mianowicie, że ona zna każde drgnienie jego umysłu, każde drgnienie jego myśli. Ostatecznie spędziła blisko czterysta lat na badaniu, jak funkcjonują umysły znacznie bardziej skomplikowane. Całkiem przezroczysty, taki właśnie był. A także opętany, jakby nie starał się tego ukryć. Dał się złapać w pułapkę własnego pomysłu, pułapkę, której zamierzał bronić aż do śmierci, zamiast ją porzucić, pułapkę, w której najpewniej przyjdzie mu umrzeć.

Upiła łyk wina, marszcząc jednocześnie czoło. Być może już osiągnęła swój cel w związku z nim, choć spodziewała się, że będzie potrzebować czterech albo pięciu takich wizyt. Będzie musiała znaleźć pretekst do odwiedzenia go w Illian; pacjenta należy obserwować nawet wtedy, gdy z pozoru obrana została jak najbardziej stosowna kuracja.

Ten chłopiec, nieważne, czy to zwykły prostak ze wsi, czy to rzeczywiście powrócił sam Lews Therin — tej kwestii nie potrafiła rozstrzygnąć — dowiódł, że jest zbyt niebezpieczny. Służyła Wielkiemu Władcy Ciemności, ale nie zamierzała umrzeć, nawet dla Wielkiego Władcy. Będzie żyła wiecznie. Rzecz jasna, nikt się nie sprzeciwiał nawet najdrobniejszym życzeniom Wielkiego Władcy, chyba że chciał spędzić całą wieczność na umieraniu i jeszcze jedną wieczność na ży-

czeniu sobie, by tej długiej śmierci towarzyszyła łagodniejsza agonia. A mimo to Randa al'Thora należało usunąć, ale to będzie Sammael, na którego spadnie cała wina. Bardzo by się zdziwiła, gdyby do niego dotarło, że został napuszczony na Randa al'Thora niczym *dornat* wystawiony na polowanie. Nie, to nie był człowiek zdolny do rozpoznania subtelności.

Dalece mu jednakże było do miana głupiego. Ciekawe, skądinąd, gdzie on się dowiedział o ślubach posłuszeństwa. Ona sama o niczym by nie wiedziała, gdyby Mesaana, która zazwyczaj strzegła swego języka, nie wygadała się, kiedy dawała upust swojemu gniewowi na nieobecność Semirhage; popadła w furję tak wielką, że w ogóle do niej nie dotarło, jak wiele ujawniła. Od jak dawna już Mesaana ukrywała się w Białej Wieży? Już sam ten fakt, że się tam ukrywała, otwierał interesujące możliwości. Gdyby jeszcze istniał sposób na dowiedzenie się, gdzie się zagnieździli Demandred i Semirhage, to może jakoś by wykoncypowała, co oni teraz zamierzają. Nie powierzyli jej tego sekretu. Och, co to, to nie. Ta trójka konspirowała ze sobą od czasów Wojny o Moc. Pozornie przynajmniej. Graendal była przekonana, że oni spiskują przeciwko sobie równie podstępnie jak każdy z Wybranych, ale niezależnie od tego, czy to Mesaana podgryzała Semirhage, czy Semirhage podgryzała Demandreda, nigdy nie znalazła między nimi żadnej szczeliny, w którą mogłaby wbić klin.

Szuranie butów obwieściło czyjeś przybycie, ale nie byli to ludzie, którzy mieli wymienić dywan i usunąć szczątki Rashana. Ebram, wysoki, dobrze zbudowany młody Domani, ubrany w obciste czerwone spodnie i obszerną białą koszulę, pasowałby do jej kolekcji ulubieńców, gdyby był kimś więcej niżli synem kupca. Ukląkł, wbijając w nią spojrzenie ciemnych lśniących oczu.

— Przybył lord Ituralde, wielka pani.

Graendal odstawiała kielich na stół, który na pierwszy rzut oka zdawał się inkrustowany tancerzami z kości słoniowej.

— Niech zatem porozmawia z lady Basene.

Ebram wyprostował się zgrabnym ruchem i podał ramię kruchej Domani, którą dopiero teraz zobaczył. Wiedział, kto się kryje pod splotem Iluzji, ale i tak wyraz uwielbienia na jego twarzy przybladł nieznacznie; wiedział, że wielbi Graendal, nie Basene. Jej w tym momencie to nie obchodziło. Sammael został wycelowany w Randa al'Thora, a może nawet już wystrzelony. Jeśli zaś szło o Demandreda, Semirhage i Mesaanę. . . Tylko ona jedna wiedziała o swojej wyprawie do Shayol Ghul i położonego w jego czeluściach jeziora ognia. Tylko ona wiedziała, że Wielki Władca obiecał jej miano Nae'blis, która to obietnica miała się spełnić po tym, jak al'Thor zostanie uprzątnięty z drogi. Będzie najbardziej posłuszną ze sług Wielkiego Władcy. Zasieje taki chaos, że w czasie żniw Demandredowi eksplodują płuca.

\* \* \*

Semirhage puściła krawędź okutych żelazem drzwi i te zatrzasnęły się za nią. Jedna z kul jarzeniowych, skąd uratowana, wiedział chyba tylko sam Wielki Władca, migotała kapryśnie, ale i tak dawała więcej światła niżli świece i lampy olejne, na które musiała przystać w tej epoce. Mimo takiego oświetlenia to wnętrze, z jego chropawymi kamiennymi ścianami, nagą posadzką oraz małym prymitywnym stolikiem ustawionym w kącie, przygnębiało podobieństwem do celi więziennej. Nie jej pomysł; ona by kazała wyłożyć wszystko nieskazitelnie białym, połyskliwym *cueranem*, śliskim i sterylnym. Te izbę przygotowano, zanim się w ogóle dowiedziała o istnieniu takiej potrzeby. Wisząca na samym środku z rozkrzyżowanymi ramionami, zawieszona dosłownie w pustce, jasnowłosa, odziana w jedwab kobieta, zgromiła ją butnym wzrokiem. Aes Sedai. Semirhage nienawidziła Aes Sedai.

— Kim jesteś? — spytała. — Sprzymierzeńcem Ciemności? Czarną siostrą?

Semirhage zignorowała ten jazgot i prędko sprawdziła bufor odcinający kobietę od *saidara*. Gdyby zawiódł, mogłaby ponownie, bez trudu, odgrodzić tę łajdaczkę — sprawdzianem słabości tej kobiety było to, że mogła sobie pozwolić na pozostawienie zawiązanego bufora bez dozoru — ale dbałość o szczegóły była jej drugą naturą, kolejne kroki należało stawiać w przepisanej kolejności. Teraz odzienie kobiety. Człowiek ubrany czuje się bezpieczniej niż bez szat. Delikatnie operowała Ogniem i Wiatrem, odcinając po kawałku suknię i bieliznę, wszystkie skrawki ubrania aż po buty pacjentki. Zawiązawszy wszystko na oczach kobiety w ścisły tobolek, przeniosła raz jeszcze, tym razem Ogień i Ziemię, i na posadzkę posypał się drobnutki proszek.

Kobieta wytrzeszczyła niebieskie oczy. Semirhage wąpiła, by potrafiła ona powielić te proste chwytły, nawet gdyby zdołała pojąć, na czym polegały.

— Kim jesteś? — Tym razem w tym pytaniu słycać było zdenerwowanie. Być może strach. To zawsze dobrze wróżyło, jeśli odzywał się wcześniej.

Semirhage precyzyjnie zlokalizowała te ośrodki w mózgu kobiety, które przyjmowały komunikaty o bólu ciała i równie metodycznie zaczęła je stymulować Duchem i Ogniem. Z początku delikatnie, bardzo powoli zwiększając nacisk. Za dużo na raz potrafiło zabić w ciągu kilku chwil; a jednak to było niesamowite, że cały system wytrzymał tak wiele, jeśli się go podsycalo łagodnie rosnącymi dawkami. Praca nad czymś, czego nie można zobaczyć, nawet z tak bliska, to trudne zadanie, ale nikt inny nie znał ludzkiego ciała tak dobrze jak ona.

Zawieszona w powietrzu pacjentka potrząsnęła głową, jakby potrafiła strząsnąć z siebie ból, po czym zrozumiała, że nie jest w stanie i wbiła wzrok w Semirhage. Semirhage ledwie na nią popatrywała, cały czas dbając o należyte powsta-

wanie sieci. Mogła sobie pozwolić na odrobinę cierpliwości, mimo iż przy tym zadaniu wymagano od niej nadzwyczajnego pośpiechu.

Jak ona nienawidziła tych wszystkich kobiet, które nazywały siebie Aes Sedai. Sama się kiedyś do nich zaliczała, jako prawdziwa Aes Sedai, a nie jakaś głupia ignorantka pokroju tej prostaczki, która tu przed nią wisiała. Była znana, sławna; ściągano ją wiecznie z jednego zakątka świata do drugiego, ponieważ potrafiła wyleczyć każdą ranę, bo potrafiła sprowadzać z powrotem ludzi, którzy znaleźli się na skraju śmierci, kiedy wszyscy inni twierdzili, że nic już się nie da zrobić. I wtedy delegacja Komnaty Sług przedstawiła jej wybór, który nie był żadnym wyborem: albo zrezygnuje ze swoich przyjemności, ale dzięki temu ograniczeniu dożyje kresu życia albo zostanie odcięta i wyrzucona ze społeczności Aes Sedai. Spodziewały się, że zaakceptuje ograniczenie; taka decyzja byłaby racjonalna i uczciwa, a oni wszyscy, i mężczyźni i kobiety, byli racjonalni i uczciwi. W ogóle nie podejrzewali, że im ucieknie. Była wśród pierwszych, którzy wyprawili się do Shayol Ghul.

Na bladej twarzy pacjentki pojawiły się wielkie paciorki potu. Zacisnęła szczęki i rozdętymi nozdrzami wciągała powietrze. Co jakiś czas cicho posykiwała. Cierpliwości. Już niedługo.

To stało się przez zawiść, zawiść tych, którzy nie potrafili tyle, co ona. Czy któraś z tych osób, które wyratowała ze szponów śmierci, powiedziała kiedykolwiek, że wolałaby umrzeć, niż odcierpieć tę drobną, dodatkową zapłatę, którą z niej wydusiła? A ci inni? Zawsze znaleźli się tacy, którzy zasługiwali na swoje cierpienie. Jakie to miało znaczenie, że uwielbiała im podawać coś na deser? Komnata i jej obłudne skomlenie na temat legalności oraz praw. Przecież ona zasłużyła sobie na prawo robienia tego, co robiła; zarobiła na nie. Była cenniejsza dla świata niż ci wszyscy, którzy swymi wrzaskami przysparzali jej rozrywki. A mimo to Komnata, powodowana zawiścią i złośliwością, próbowała ją zniszczyć!

Cóż, niektórzy wpadli jej w ręce podczas wojny. Mając do dyspozycji dość czasu, potrafiła złamać najsilniejszego mężczyznę, najdumniejszą kobietę, ukształtować ich dokładnie tak, jak chciała. Ten proces przebiegał być może wolniej niż Przymus, ale przysparzał jej nieskończenie więcej radości, a nie sądziła, by nawet Graendal potrafiła odwrócić to, czego ona dokonała. Przymus natomiast był odwracalny. Za to jej pacjenci... Na kolanach błagali, że pragną oddać dusze Cieniowi i służyli posłusznie aż do śmierci. I kiedy kolejny Doradca albo Doradczyni Komnaty ogłaszali publicznie hołd Wielkiemu Władcy, Demandred nie posiadał się z zachwyty nad takim mistrzowskim posunięciem, ona natomiast z tego wszystkiego najbardziej uwielbiała te spotkania po latach, kiedy nadal biegały im twarze i natychmiast spieszyli ją zapewniać, że pozostali wierni temu, co z nich zrobiła.

Z piersi zawieszanej w powietrzu kobiety wyrwał się pierwszy szloch, ale zaraz został stłumiony. Semirhage czekała niecierpliwie. Pośpiech był tutaj nie-

zbędny, ale zbyt gwałtowny mógł wszystko zniszczyć. Znowu rozległo się łkanie, które wzięło górę nad wysiłkami pacjentki, by je opanować, coraz głośniejsze, aż w pewnym momencie przeszło w wycie. Semirhage czekała. Kobieta okryła się lśniąca warstewką potu; obracała głowę z boku na bok, gwałtownie potrząsając włosami i próbowała się wyrwać z niewidzialnych pęt, a właściwie miotła się konwulsyjnie. Wrzeszczała na całe gardło, dopóty, dopóki jej starczyło oddechu i zaraz zaczęła na nowo, ledwie zdołała nabrać powietrza do płuc. Wielkie wytrzeszczone niebieskie oczy nic nie widziały; zdawały się pokryte szklistą powłoką. Zaczęło się.

Semirhage nagle odcięła strumienie *saidara*, ale upłynęło kilka minut, zanim wrzaski przeszły w ciężkie dyszenie.

— Jak się nazywasz? — spytała łagodnym głosem. Treść pytania nie miała znaczenia, byle tylko kobieta była w stanie odpowiedzieć. Mogło brzmieć: „Czy jeszcze stawiasz mi opór?” — często z przyjemnością przeplatała nim procedurę, dopóki pacjentka wreszcie nie zaczęła błagać, dowodząc, że już się nie opiera — tym razem jednak każde pytanie musiało być zasadne.

Ciałem wiszącej kobiety targały mimowolne dreszcze. Obdarzyła Semirhage czujnym spojrzeniem przymkniętych oczu, oblizwała wargi, zakasłała i wreszcie mruknęła ochryple:

— Cabriana Mecandes.

Semirhage uśmiechnęła się.

— Jak to dobrze, że mówisz prawdę.

W mózgu mieściły się ośrodki bólu i ośrodki przyjemności. Pobudziła jeden z należących do tej drugiej kategorii, tylko na kilka chwil, ale za to bardzo silnie, i jednocześnie podeszła bliżej. Wstrząs rozszerzył oczy Cabriany do granic możliwości; głośno jęknęła i gwałtownie się zatrzęsła. Semirhage wyciągnęła chusteczkę z kieszeni kaftana, uniosła zadziwioną twarz kobiety i czułym gestem starła z niej pot.

— Wiem, Cabriano, że to bardzo dla ciebie trudne — rzekła ciepłym tonem. — Nie powinnaś więc tego utrudniać dodatkowo. — Delikatnie odgarnęła włosy, które przyłgnęły do twarzy kobiety. — Może chciałabyś się czegoś napić? — Nie czekając na odpowiedź, przeniosła; poobijana metalowa flaszka stojąca na niewielkim stoliku w kącie pofrunęła w stronę jej dłoni. Aes Sedai na moment nie oderwała wzroku od Semirhage, ale piła chciwie. Po kilku łykach Semirhage odebrała jej flaszkę i odstawiła ją na stół. — O tak, o wiele lepiej, nieprawdaż? Pamiętaj, nie staraj się tego jeszcze bardziej utrudniać. — Kiedy się odwróciła, kobieta znowu przemówiła ochryplym głosem:

— Pluję na mleko twojej matki, ty Sprzymierzeńcu Ciemności! Słyszysz mnie? Ja...

Semirhage przestała słuchać. W innej sytuacji poczułaby, jak po jej wnętrzu rozlewa się głębokie zadowolenie, że opór pacjentki nie został jeszcze skruszony.



Najwyższego uniesienia doznawała wtedy, gdy kawałek po kawałku, minuta po minucie, skrawała opór i godność pacjenta, gdy obserwowała, jak powoli do niego dociera, że walczy na próżno, jeśli chce zostać przy tym, co mu jeszcze zostało. Teraz nie było na to czasu. Ostrożnie zarzuciła jeszcze jedną sieć na ośrodki bólu w mózgu Cabriany, po czym zawiązała ją na supeł. Normalnie lubiła osobiście doglądać wszystkiego, ale naprawdę musiała się spieszyć. Uruchomiła działanie sieci, przeniosła, by pogasić światła, a potem wyszła, zamykając za sobą drzwi. Ciemność też zrobi swoje. Samotna, w ciemności, razem z tym bólem. . .

Mimo woli sarknęła z irytacją. Żadnej finezji. Nie lubiła, jak ją zmuszano do pośpiechu. I kiedy ją odwoływano od jej zadania; ta dziewczyna jest uparta i oporna, okoliczności trudne.

Korytarz dorównywał swym ponurym wystrojem komnacie: szeroki, mroczny szyb wykuty w kamieniu, z pograżonymi w mroku, krzyżującymi się przejściami, których wcale nie miała chęci badać. W zasięgu jej wzroku znajdowało się jeszcze tylko dwoje innych drzwi, w tym jedno prowadzące do jej obecnych kwater. Były to dość wygodne izby, nawet gdyby trzeba było w nich zamieszkać, ale nie dała nawet kroku w tamtym kierunku. Pod drugimi drzwiami stał Shaidar Haran, odziany w czerń i spowity w ciemność podobną do dymu, tak nieruchomy, że niemalże przeżyła szok, kiedy przemówił, odgłosem przywodzącym na myśl kości mielone na proch.

— Czego się dowiedziałas?

Z wezwaniem do Shayol Ghul wiązało się ostrzeżenie od Wielkiego Władcy.

„Okazując posłuszeństwo Shaidarowi Haranowi, okazujesz je mnie. Kiedy wypowiadasz posłuszeństwo Shaidarowi Haranowi. . .”

Nieważne, jak bardzo ubodło ją to ostrzeżenie, nie musiała go wysłuchiwać po raz drugi.

— Wiem, jak się nazywa. Cabriana Mecandes. Nie mogłam dowiedzieć się więcej w tak krótkim czasie.

Myrddraal przemknął przez korytarz w charakterystyczny sposób, od którego bolały oczy, w czarnym jak heban płaszczu, który wisiał na nim bez ruchu. W jednym momencie znajdował się w odległości dziesięciu kroków od niej, podobny do posągu, w następnej już górował nad nią, dając jej do wyboru, że albo się cofnie, albo zadrze głowę, by spojrzeć w tę białą jak śmierć bezoką twarz. Cofnąć się żadną miarą nie mogła.

— Wyciśniesz z niej wszystko, Semirhage. Wyciśniesz ją do sucha, i to bezwzględnie, a potem przekażesz mi wszystko, czego się dowiedziałas, co do ostatniego skrawka.

— Obiecałam Wielkiemu Władcy, że to zrobię — odparła chłodno.

Bezkrwiste usta wykrzywiły się w uśmiechu. To była jedyna odpowiedź. Stwór odwrócił się zniechęcony, wielkimi krokami odszedł przez plamy cienia — i nagle zniknął.

Semirhage żałowała, że nie wie, jak Myrddraale to robią. Nie miało to nic wspólnego z Mocą, ale ze skraju cienia, w tym miejscu, gdzie zanikało światło, Myrddraal potrafił nagle przenieść się gdzieś indziej, do jakiegoś innego, całkiem oddalonego cienia. Dawno temu Aginor zniszczył ich ponad setkę, na próżno usiłując się dowiedzieć, jak one to robią. Myrddraale same nie wiedziały; dowiodła tego.

Zauważyła nagle, że dłonie z całej siły przyciska do brzucha, który jakby zamienił się w bryłę lodu. Minęło wiele lat, odkąd po raz ostatni czuła strach, w jakimkolwiek miejscu, z wyjątkiem tych chwil, kiedy patrzyła w twarz Wielkiemu Władcy w Szczelinie Zagłady. Lodowa gruda zaczęła topnieć, gdy podeszła do drzwi drugiej celi. Później na chłodno przeanalizuje to uczucie; Shaidar Haran mógł się różnić od wszystkich Myrddraali, jakich dotychczas widziała, ale nadal był tylko Myrddraalem.

Jej drugim pacjentem, wiszącym tak jak tamta kobieta w powietrzu, był zwalisty mężczyzna o kanciastej twarzy, ubrany w zielony kaftan i spodnie, odpowiednie, by z łatwością wtopić się w leśne tło. Tutaj aż połowa kul jarzeniowych lśniła słabo, ostrzegając, że lada chwila zgasną — już i tak na cud zakrawało, że w ogóle jakaś przetrwała tyle czasu — ale Strażnik Cabriany tak naprawdę wcale się nie liczył. Mimo iż potrzebne było tylko to, co krył umysł Aes Sedai, niezależnie od celu, Myrddraal, któremu kazano ją złapać, pojmał również tego mężczyznę; w umysłach tych stworzeń Aes Sedai i Strażnicy z jakiegoś powodu zdawali się nierozłączni. Co zresztą było prawdą. Jak dotąd nie miała okazji łamać żadnego z tych osławionych wojowników.

Ciemne oczy mężczyzny zdawały się wywiercać otwory w jej czaszce, kiedy zdjęła zeń odzienie i buty, niszcząc je tak samo jak ubranie Cabriany. Miał mocno owłosione ciało, zbudowane z wielkich, twardych mięśni pokrytych mnóstwem blizn. Ani razu się nie wzdrygnął. I nic nie mówił. Jego opór różnił się od oporu kobiety; ona ciskała nim butnie prosto w twarz; on zaś milcząco dawał do zrozumienia, że się nie ugnie. Mógł być trudniejszy do złamania niż jego pani. Normalnie byłby dzięki temu tym bardziej interesujący.

Semirhage zrobiła sobie przerwę i przyjrzała mu się. Było coś... Napięcie wokół ust i oczu. Jakby już zwalczył ból. No jasne. To ta osobliwa więź między Aes Sedai i Strażnikiem. Aż nie chciało się wierzyć, że tym prymitywnym ludziom udało się wymyślić coś, czego nie rozumiał nikt z Przeklętych, a jednak tak rzeczywiście było. Na ile się orientowała, ten człowiek najprawdopodobniej odczuwał przynajmniej część emocji pacjentki. Co innym razem zapowiadałoby bardzo interesujące możliwości, ale teraz oznaczało jedynie tyle, że on w swoim mniemaniu wiedział, co go czeka.

— Twoja właścicielka nie najlepiej się tobą opiekuje — powiedziała. — Nie musiałyby cię szpecić tyle blizn, gdyby ona była bardziej cywilizowana. — Wyraz jego twarzy zmienił się bardzo nieznacznie. Zdradzając zaledwie cień pogardy. —

A teraz do dzieła.

Tym razem zarzuciła sieć na ośrodki rozkoszy i zaczęła je stymulować, powoli zwiększając natężenie. Był inteligentny. Najpierw krzywił się i kręcił głową, a potem zmrużył oczy, przez co upodobniły się do odłamków ciemnego lodu. Wiedział, że nie powinien odczuwać tej narastającej rozkoszy i chociaż nie widział sieci, rozumiał, że to musi być jej dzieło, więc przygotował się do walki. Semirhage omal się nie uśmiechnęła. Bez wątpienia uważał, że łatwiej walczyć z rozkoszą niż z bólem. W rzadkich przypadkach już tyle wystarczało jej do łamania pacjentów. Ona miała z tego odrobinę rozrywki, a oni nie potrafili już potem myśleć spójnie; po prostu chcieli nadal odczuwać tę ekstazę, która nagle wykwitła w ich głowach, ale trwała zbyt krótko, toteż byli w stanie zrobić absolutnie wszystko, żeby dostać więcej. Ten brak spójności umysłowej, jaki się uzyskiwało, stanowił powód, dla którego nie zastosowała tej procedury w przypadku pacjentki; tutaj potrzebowała odpowiedzi. Ale mężczyzna już niebawem przekona się, na czym polega różnica.

Różnica. W zamyśleniu przyłożyła palec do ust. Dlaczego Shaidar Haran różni się od innych Myrddraali? Nie lubiła odkrywać czegoś, co odbiegało od normy w momencie, gdy wszystko zdawało się przemawiać na korzyść Wybranych, a Myrddraal postawiony ponad nimi, nawet jeśli tylko na jakiś czas, był czymś więcej niż zwykłym odstępstwem od normy. Al'Thor był zaślepiony, skoncentrował całą uwagę na Sammaelu, a z kolei wiedziony pychą Sammael nie mógł zniszczyć wszystkiego, bo Graendal pozwalała mu wiedzieć tyle tylko, ile było konieczne. Rzecz jasna, Graendal i Sammael z pewnością coś knuli, albo razem, albo osobno. Sammael przypominał przegrzanego *sofara* z wygiętymi sterami; nie było też łatwo przewidzieć, jak postąpi Graendal. Nigdy się nie nauczyli, że wszelka władza pochodzi wyłącznie od Wielkiego Władcy, że zdobywa się ją tak, jak on sobie zażyczył, kierując się własnymi powodami. Z mocy jego kaprysu; o tym mogła pomyśleć w bezpiecznym azylu własnej głowy.

Bardziej należało się przejmować tymi Wybranymi, którzy zniknęli. Demanded uparcie utrzymywał, że na pewno nie żyją, ale ona z Mesaaną nie były tego takie pewne. Lanfear. Jeśli istniała jakakolwiek sprawiedliwość, to jeszcze kiedyś dopadnie Lanfear. Ta kobieta była zawsze tam, gdzie jej najmniej oczekiwano, zawsze zachowywała się tak, jakby miała prawo maczać palce w cudzych planach, a gdy spowodowała katastrofę, zawsze chroniła się potem w bezpieczne miejsce. Moghedien. Ta wymknęła się cichaczem z zasięgu wzroku, ale nigdy nie zniknęła na tak długo, by nie dać o sobie znać, choćby tylko po to, by przypomnieć pozostałym, że ona też jest Wybraną. Asmodean. Zdrajca — i taki też czekał go los, ale naprawdę zniknął, co w połączeniu z istnieniem Shaidara Harana oraz rozkazami, jakie tutaj otrzymała, miało jej przypominać, że Wielki Władca osiąga swoje cele swymi własnymi metodami.

Wybrani nie byli niczym innym jak tylko pionkami na planszy; mogli być

Radcami i Iglicami, a mimo to byli nadal tylko pionkami. Jeśli Wielki Władca przemieszczał ją sekretnie, to czy nie mógł jednocześnie przestawiać Moghedien, Lanfear albo nawet Asmodeana? Czy Shaidar Haran nie został przypadkiem przysłany po to, by dostarczyć jakieś tajne rozkazy Graendal albo Sammaelowi? Albo, skoro już o tym mowa, Demandredowi czy Mesaanie? Ich niełatwe przymierze — o ile można tu było *użyć* aż tak mocnego określenia — trwało już od dawna, ale żadne jej nie zdradziło, czy otrzymuje tajne rozkazy od Wielkiego Władcy, podobnie zresztą jak ona nie powiedziała im o rozkazach, które sprowadziły ją do tego miejsca, czy też o tych, które kazały jej posłać Myrddraali i trolloki do Kamienia Łzy, gdzie miały walczyć z tymi, które przysłał Sammael.

Jeśli Wielki Władca zamierzał uczynić al'Thora Nae'blis, to ona sama klęknęła przed nim — i zaczeka, aż ten popełni jakiś błąd i tym samym wpadnie w jej ręce. Nieśmiertelność wiązała się z nieskończoną ilością czasu, jaki można było poświęcić na czekanie. W tym czasie zawsze znajdują się inni pacjenci, którzy przysporzą jej rozrywki. Niepokoił ją natomiast Shaidar Haran. Nigdy nie była czymś więcej jak obojętnym uczestnikiem gry w *tcheran*, ale Shaidar Haran to nowy pionek na planszy, o nieznanym sile i niewiadomym przeznaczeniu. Będzie klęczała, jeśli zajdzie taka potrzeba, tak długo jak trzeba, ale nie pozwoli złożyć siebie w ofierze.

Z siecią działo się coś dziwnego, coś, co wyrwało ją z zamyślenia. Jeden rzut oka na pacjenta i ze złości aż mlasnęła językiem. Głowa mu opadła bezwładnie na bok, podbródek pociemniał od krwi spływającej z przegryzionego języka, wytrzeszczone oczy zdążyły zejść szklistą powłoką. Chwila nieuwagi i dopuściła do zbyt szybkiego, zbyt silnego spotęgowania stymulacji. Przepętniona irytacją, która ani przez moment nie uwidoczniła się na twarzy, przestała przenosić. Nie było sensu pobudzać mózgu trupa.

Nagle przysła jej do głowy pewna myśl. Skoro ten Strażnik potrafił poczuć to samo, co czuła Aes Sedai, to czy było to również możliwe na odwrót? Przyjrząwszy się bliznom, którymi naznaczone było ciało mężczyzny, nabrała pewności, że to niemożliwe; nawet tacy naiwni głupcy zmieniliby więź, gdyby ona oznaczała odczuwanie bólu, jaki musiał towarzyszyć powstawaniu ran. A mimo to pozostawiła trupa i z niejakim pośpiechem wyszła na korytarz. Głęboko odetchnęła z ulgą, gdy po otwarciu okutych żelazem drzwi usłyszała nieludzki wrzask. Gdyby zabiła tę kobietę, nie wyciągnąwszy z niej wszystkiego, to musiałaby pozostać tutaj tak długo, aż nie zostanie złapana jeszcze jedna Aes Sedai. W najlepszym przypadku.

Wśród tych rozdzierających gardło okrzyków z trudem dawało się wyróżnić jakieś prawie niezrozumiałe słowa, słowa, w które pacjentka zdawała się wkładać całą swoją duszę.

— Błaaaaagam! Och, Światłości, Błaaagaaam!

Semirhage uśmiechnęła się blado. Mimo wszystko jakiejś rozrywki jednak się

doczekała.

# KWESTIA MYŚLI

Usadowiona na materacu Elayne po raz setny przeciągnęła po włosach szczotką trzymaną w lewym ręku, po czym schowała ją do niewielkiego kufierka podróżnego, który następnie wsunęła pod wąskie łóżko. W oczach czuła tępy ból po całym dniu spędzonym na przenoszeniu i tworzeniu *ter'angreal*, czy może raczej na pełnych determinacji próbach stworzenia *ter'angreal*. Nynaeve, huśtająca się na rozklekotanym zydlu, dawno temu zdążyła wyszczotkować swe sięgające do pasa włosy, a teraz prawie już kończyła splatać je z powrotem w warkocz. Twarz jej lśniła od potu.

Mimo otwartego okienka, w izbie można się było udusić. Na rozgwieżdżonym czarnym niebie zawisł obrzmiały księżyc. Od ogarka świecy biła kapryśna, zmienna luna. W Salidarze brakowało świec i lamp olejnych; nikomu nocą nie przysługiwało nic więcej prócz namiastki światła, chyba że musiał popracować z piórem i atramentem. Izba była zaiste zagracona; do poruszania się musiała im wystarczyć odrobina wolnej przestrzeni między dwoma krótkimi łózkami. Większa część ich dobytku znajdowała się w dwóch poobijanych, okutych mosiądzem kufrach. Suknie Przyjętych i płaszcze, których obecnie z całą pewnością nie potrzebowały, wisiały na kołkach wbitych w poźółkłą ścianę, pełną pęknięć, w których prześwitywały drewniane listewki. Między łózkami gnieździł się koślawy maleńki stolik, a na chwiejnej umywalce w rogu stał biały dzban i miska ze zdumiewającą liczbą szczerb. Nie rozpieszczano nawet takich Przyjętych, które, skądinąd, na każdym kroku głaskano po głowach.

Z żółtego wazonika z utłuczoną szyjką, stojącego między dwoma brązowymi kubkami, wystawał bukiecik przywędłych polnych kwiatków, niebieskich i białych, które zakwitły mimo późnej pory, zaskoczone przez aurę. Poza kwiatami jedyną kolorową rzeczą była zamknięta w wiklinowej klatce jaskółka śpiewająca, z ubarwieniem w zielone prążki. Elayne opiekowała się nią, bo miała złamane skrzydło. Kiedyś wypróbowała nawet swe skromne umiejętności w dziedzinie Uzdrawiania na jakimś ptaku, ale te śpiewające były za małe, by przeżyć taką terapię.

Tylko bez biadolenia, przykazała sobie stanowczo. Aes Sedai mieszkały w nieco lepszych warunkach, nowicjuszki i służba w nieco gorszych, za to żołnierze

Garetha Bryne'a spali przeważnie na ziemi. „Jak czegoś nie możesz zmienić, to musisz to ścierpieć”, zwykła bezustannie powtarzać Lini. Cóż, w Salidarze brakowało wygód, a luksusów nie było żadnych. I nie było też odrobiny chłodu.

Odciągnawszy koszulę od ciała, dmuchnęła sobie za dekolt.

— Musimy koniecznie być tam przed nimi, Nynaeve. Wiesz dobrze, jak one się potem zachowują, jeśli się je zmusza do czekania.

Nie zerwał się ani jeden podmuch wiatru, a suche powietrze zdawało się wysysać pot z każdego skrawka skóry. Z tą pogodą na pewno coś można zrobić. Rzecz jasna, Poszukiwaczki Wiatru Ludu Morza prawdopodobnie dawno już by to zrobiły, gdyby tak było, niemniej jednak mógł jej jeszcze przyjść do głowy jakiś pomysł, gdyby tylko Aes Sedai dały jej dość wolnego czasu zamiast ciągłej pracy z *ter'angrealami*. Jako Przyjęta mogła rzekomo badać to, co chciała, a jednak. . .

„Niech jeszcze tylko dojdą do wniosku, że mogę równocześnie jeść i pokazywać im, jak się robi *ter'angreal*, to nie będę miała już nawet minuty dla siebie”.

Przynajmniej jutro będzie miała przerwę.

Nynaeve przeniosła się na łóżko i ze zmarszczonym czołem zaczęła majstrować przy opiętej na nadgarstku *a'dam*. Cały czas się upierała, że jedna z nich powinna nosić bransoletę, nawet podczas snu, mimo iż nawiedzały je wtedy zdecydowanie dziwne i nieprzyjemne sny. Prawie nie było takiej potrzeby; zawieszona na kołku *a'dam* trzymałaby Moghedien równie dobrze, a poza tym Przeklęta mieszkała razem z Birgitte w jednej maleńkiej klitce. Birgitte była najlepszą strażniczką, jaką można sobie wyobrazić, a na dodatek wystarczyło, że bodaj uniosła brew i Moghedien niemalże wybuchała płaczem. Miała najmniej powodów, by chcieć zachować Moghedien przy życiu, a najwięcej, by domagać się jej śmierci, o czym kobieta znakomicie wiedziała. Tej nocy bransoleta miała być jeszcze mniej potrzebna niż kiedykolwiek.

— Nynaeve, one będą czekać.

Nynaeve głośno pociągnęła nosem — niespecjalnie była gotowa do usług na każde zawołanie — ale wzięła dwa spłaszczone kamienne pierścienie ze stolika stojącego między dwoma łózkami. Oba za duże, by je nosić na palcu, jeden prążkowany, upstrzony niebieskimi i brązowymi cętkami, drugi niebiesko-czerwony, a oba skrzycone w taki sposób, że miały tylko jedną krawędź. Odwiązawszy rzemik wiszący na szyi, Nynaeve nawlokła na niego niebiesko-brązowy pierścień obok innego, ciężkiego i złotego. Sygnet Lana. Z czułością dotknęła grubego złotego krążka, zanim schowała oba pod koszulą.

Elayne podniosła niebiesko-czerwony pierścień, patrząc nań krzywo.

Oba stanowiły imitacje *ter'angreal*, który obecnie znajdował się w posiadaniu Siuan, i mimo prostego wyglądu były skomplikowane ponad miarę. Kiedy się spało, a jeden z nich dotykał skóry, w efekcie trafiało się do *Tel'aran'rhiod*, Świata Snów, odbicia realnego świata. Albo nawet odbicia wszystkich istniejących światów; niektóre Aes Sedai twierdziły, że istnieje wiele światów, ponieważ

muszą istnieć wszystkie warianty Wzoru, i że razem tworzą one jeszcze większy Wzór. W przypadku *Tel'aran'rhiod* istotne było to, że odzwierciedlał ten świat i że cechował się właściwościami nadzwyczaj użytecznymi. A na dodatek Wieża najprawdopodobniej nie miała pojęcia, jak się do niego wchodzi; przynajmniej dotychczas nie stwierdziły, że ktoś taką wiedzą włada.

Żaden z obu pierścieni nie funkcjonował tak sprawnie jak oryginał, ale ostatecznie jakoś tam działały. Elayne powoli, ale za to systematycznie nabywała coraz większej sprawności w ich tworzeniu; na cztery próby zrobienia kopii, tylko jedna zakończyła się porażką. Co stanowiło znacznie lepszy bilans w porównaniu z rezultatami, jakie osiągała na samym początku. Tylko co by się stało, gdyby próba wykorzystania któregoś z jej nieudanych dzieł pociągnęła za sobą konsekwencje bardziej poważne niżli tylko zwyczajny brak funkcji bądź zaburzenia prawidłowego funkcjonowania? Bywało, że Aes Sedai potrafiły same się ujarzmić podczas badania *ter'angreal*. Taki efekt, gdy dochodziło do niego przypadkiem, nazywano wypaleniem, ale ostatecznie był równie nieodwracalny jak intencjonalne ujarzmienie. Rzecz jasna, Nynaeve tak nie uważała, ale z kolei nie zamierzała spocząć, dopóki nie Uzdrowi kogoś, kto nie żył od trzech dni.

Elayne obróciła pierścień w palcach. Dość łatwo dawało się pojąć, jakie są skutki jego działania, nadal natomiast nie potrafiła się połapać, na czym owo działanie polega. Te pytania, „jak” i „dlaczego”, były w tym przypadku kluczowe. Uznała, że układ barw ma tyle samo wspólnego z pierścieniami co kształt — oprócz koślawych pierścieni inne przedmioty w ogóle nie działały, a na przykład pierścień całkowicie niebieski zsyłał potworne koszmary — ale nie bardzo wiedziała, jak odtworzyć czerwień, błękit i brąz oryginału. Niemniej jednak delikatna struktura jej kopii była dokładnie identyczna, identyczny był układ ich najmniejszych cząstek, tak małych, że bez Jedynej Mocy nie dałoby się ich ani zobaczyć, ani nawet wykryć. Dlaczego kolory są takie istotne? Mikroskopijne struktury *ter'angreal* najwyraźniej zawierał jeden wspólny wątek, niezbędny do samego przenoszenia, całkiem różny od tego, który wspomagał korzystanie z Mocy — to właśnie dzięki temu, że się potknęła na tej kwestii, mogła się w ogóle pokusić o stworzenie oryginalnego *ter'angreal* — ale poza tym tylu jeszcze rzeczy nie wiedziała, tylu jeszcze tylko się domyślała.

— Zamierzasz tak przesiedzieć całą noc? — spytała oschle Nynaeve, sprawiając, że Elayne aż podskoczyła. Nynaeve odstawiła jeden z kubków z powrotem na stół, po czym ułożyła się na łóżku, z dłońmi splecionymi na podołku. — Przecież to ty sama twierdziłaś, że nie wolno im kazać czekać. Ja ze swojej strony nie zamierzam dać tym wronom wymówki do wydziobania mi piór z ogona.

Elayne pospiesznie nanizła nakrapiany pierścień — właściwie to on już nie był kamienny, mimo iż z kamienia przecież pierwotnie go wykonała — na sznurek, który potem zawiązała sobie na szyi. Jej kubek również zawierał napar z ziół przygotowany przez Nynaeve, lekko osłodzony miodem dla osłabienia gorzkiego



smaku. Elayne wypła mniej więcej połowę, wiedząc na podstawie poprzednich doświadczeń, że tyle wystarczy, by zasnąć nawet z bólem głowy. To była jedna z tych nocy, podczas których nie mogła sobie pozwolić na marnowanie czasu, niecierpliwie czekając na sen.

Wyciągnawszy się na ciasnym łóżku, przeniosła szybko, by zgasić świecę, po czym pomachała koszulą, by wytworzyć odrobinę chłodu. Albo w każdym razie trochę rozruszać powietrze.

— Żeby tak Egwene nareszcie wydobrzała. Męczą mnie już te ochłapy, które podrzucają nam Sheriam i pozostałe. Chciałabym wiedzieć, co się dzieje!

Połapała się, że dotknęła niebezpiecznego tematu. Egwene została ranna półtora miesiąca temu w Cairhien, w dniu, w którym zginęły Moiraine i Lanfear. W dniu, w którym zniknął Lan.

— Mądre powiadają, że czuje się lepiej — rozległ się w ciemnościach senny pomruk Nynaeve. Raz przynajmniej nie zabrzmiało to tak, jakby w ten sposób próbowała zboczyć na temat Lana. — Tak właśnie twierdzi Sheriam i te najbliższej niej, a one nie miałyby powodu, żeby kłamać, nawet gdyby im było wolno.

— No to w takim razie szkoda, że nie będę mogła zajrzeć Sheriam przez ramię jutrzejszej nocy.

— Szkoda też. . . — Nynaeve przerwała, by ziewnąć. — Żałuj też, że Komnata nie wybierze ciebie na Amyrlin, mimo że stale się przy niej kręcisz. Bo do tego nie dojdzie, możesz być najzupełniej pewna. Do czasu zanim kogoś wybiorą, obie będziemy miały dość siwych włosów, by się nadawać na to stanowisko.

Elayne otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale, jakby za przykładem przyjaciółki, jej zamiar również stłumiło ziewnięcie. Nynaeve zaczęła chrapać, nie głośno, ale za to z nieubłaganym uporem. Elayne przymknęła powieki, ale wbrew jej woli umysł nadal starał się zachować jasność myśli.

Komnata z pewnością działała opieszale, Zasiadające spotykały się na krócej niż godzinę w niektóre dni, a czasami w ogóle. Z rozmowy z każdą z jej członkiń wynikało, że nie dostrzegają żadnych powodów do pośpiechu, niemniej jednak Zasiadające sześcioro Ajah — w Salidarze nie było, rzecz jasna, żadnych Czerwonych — nie mówiły pozostałym Aes Sedai, o czym rozmawiały w trakcie posiedzenia, a tym bardziej Przyjętym. A z pewnością powodów do pośpiechu było dość. Nawet jeśli ich zamiary pozostawały tajemnicą, to z pewnością nie ich zgromadzenie w Salidarze. Elaida i Wieża nie mogły ich wiecznie lekceważyć. Poza tym Białe Płaszczki nadal przebywały w Amadicii, a więc w odległości zaledwie kilku mil, szerzyły się też plotki o Zaprzysięgłych Smokowi, którzy zgromadzili się właśnie tutaj, w Altarze. Światłość tylko wiedziała, do czego byliby zdolni Zaprzysięgli Smokowi, gdyby Rand nie miał nad nimi żadnej kontroli. Znakomitym — czy raczej przerażającym — tego przykładem był Prorok. Zamieszki, spalone domostwa i farmy, ludzie mordowani za to, że nie okazali dość żaru we wspieraniu Smoka Odrodzonego.

Chrapanie Nynaeve przypominało teraz odgłos rozdierania tkaniny, na szczęście jednak dobiegało już jakby z oddalenia. Elayne trzasnęły szczęki od jeszcze jednego ziewnięcia; obróciła się na bok i wtuliła głowę w swoją chudą poduszkę. Powody do pośpiechu. Sammael ulokował się w Illian, czyli w odległości zaledwie kilkuset mil od granicy; o wiele za blisko, jeden z Przeklętych. Światłość tylko wiedziała, gdzie są albo co knują pozostali. No i Rand; przecież on powinien budzić ich niepokój. Oczywiście nie stanowił dla nich żadnego zagrożenia. Nigdy go nie będzie stanowił. Niemniej jednak to on był kluczem do wszystkich problemów; świat naprawdę przekształcał się teraz według jego losu. Ale ona zwiąże go jakoś z sobą. Min. Misja poselska musiała pokonać już ponad połowę drogi do Caemlyn. Przecież nie spowalniają ich śniegi. Ale dotrą tam dopiero za miesiąc. Co wcale nie znaczyło, by przejmowała się wyprawą Min do Randa. Co ta Komnata zamierza? Min. Naszedł ją sen, wślizgnęła się do *Tel'aran'rhiod*...

...i trafiła na sam środek głównej ulicy cichego, spowitego w noc Solidaru, pod księżycem przechodzącym właśnie z kwadry do pełni. Widziała wszystko wyraźnie, nie tylko dzięki światłu księżyca. Świat Snów zawsze zdawał się wypełniony światłem padającym zewsząd i jednocześnie znikąd, jakby sama ciemność emanowała tu jakąś mroczną poświatą. Ale z kolei sny takie właśnie są, a to przecież był sen, nawet jeśli nie całkiem zwyczajny.

Wioska tutaj stanowiła odbicie prawdziwego Solidaru, ale było to dziwaczne odwzorowanie; bezruch panował znacznie większy, niżli mogła to sprawić nocna pora. We wszystkich oknach panowała ciemność i wyczuwało się dojmującą atmosferę pustki, jakby nikt nie zamieszkiwał żadnego z tych domów. Bo i nic dziwnego, tutaj rzeczywiście nikt ich nie zamieszkiwał. Piskliwemu okrzykowi nocnego ptaka odpowiedział drugi, i jeszcze jeden, a potem coś przemknęło przez to dziwaczne półświatło, wydając przy tym cichy, szeleszczący odgłos, jednak w stajniach, a także przy szeregach palików za wioską oraz na polanach, na których normalnie trzymano owce i bydło, było pusto. Wiele zwierząt wałęsało się tutaj samopas, ale żadne nie zaliczało się do domowych. Szczegóły zmieniały się między jednym rzutem oka a następnym; kryte strzechami budynki pozostawały takie same, a mimo to beczka z wodą potrafiła przenieść się w jakieś inne miejsce, albo wręcz zniknąć; otwarte drzwi zatrzaśkiwały się zniemacka. Im bardziej efemeryczna była dana rzecz w realnym świecie, tym większej zmianie mogło ulec jej położenie albo stan, tym słabsze było jej odbicie.

Co jakiś czas w głębi ciemnej ulicy coś błyskało, pojawiał się ktoś, ale zaraz po kilku krokach znikał albo unosił się nad ziemią, jakby frunął. Wiele ludzkich snów potrafiło dotknąć *Tel'aran'rhiod*, ale tylko przelotnie. I na całe szczęście dla tych ludzi. Na tym właśnie polegała jeszcze inna właściwość Świata Snów: to, co działo się z człowiekiem tutaj, było nadal realne po przebudzeniu. Jeśli się tutaj umarło, to się człowiek już się nie budził. Dziwne zaiste było to odbicie. Tylko upał panował taki sam.

Tuż obok Suan i Leane czekała wyraźnie zniecierpliwiona Nynaev, odziana w białą suknię Przyjętej, ozdobioną przy rąbku kolorowymi paskami. Włożyła ponadto srebrną bransoletę, mimo iż ona nie oddziaływała stąd na świat jawy; bransoleta nadal wprawdzie trzymała Moghedien, ale Nynaev, przez to, że tutaj znajdowała się poza swoim ciałem, nie mogła nic przez nią poczuć. Leane była majestatycznie szczupła, aczkolwiek zdaniem Elayne ta niemalże przezroczysta suknia wedle mody Arad Doman, uszyta z cienkiego jedwabiu, ujmowała jej elegancji. Barwa sukni też stale się zmieniała; tak się działo dopóty, dopóki się człowiek nie nauczył, jak tutaj postępować. Suan wyglądała lepiej. Miała na sobie prostą suknię z niebieskiego jedwabiu, z dekoltem, który ukazywał jedynie naszyjnik ze skrzyconym pierścieniem. Niemniej jednak przy sukni co jakiś czas wyrastał zniecka koronkowy rąbek, a proste srebrne ogniwa w naszyjniku zmieniały się w skomplikowane złote elementy, wysadzone rubinami, ognikami albo szmaragdami, dopasowane od razu do kolczyków, po czym na powrót stawały się zwyczajnym naszyjnikiem.

Pierścień na szyi Suan był oryginalny, a ona sama wyglądała na równie materialną jak dowolny z budynków. Elayne sama dla siebie wyglądała równie materialnie, ale wiedziała, że dla innych jawi się jakby mgliście, podobnie zresztą jak Nynaev i Leane. Człowiek myślał niemalże, że mógłby zobaczyć przez nie światło księżyca. Do tego właśnie prowadziło posługiwanie się kopią. Potrafiła wyczuć Prawdziwe Źródło, ale *saidar* sprawiał wrażenie jakby rozrzedzonego; mogła spróbować przenieść, ale to też wyszłoby jej słabo z pierścieniem, który nosiła Suan, tak by nie było, ale właśnie taką cenę płacisz, gdy posiadasz sekrety, które poznał ktoś inny, a ty za nic nie możesz dopuścić, by one wyszły na jaw. Suan bardziej ufała oryginałowi niż kopiom Elayne i dlatego nosiła oryginał — czasami też zakładała go Leane — natomiast Elayne i Nynaev, które mogły przecież użyć *saidara*, musiały wystarczyć kopie.

— Gdzie one są? — spytała rozdrażnionym tonem Suan. Jej dekolt to się podnosił, to opadał. Suknia zrobiła się nagle zielona, a naszyjnik przemienił w sznur wielkich księżycowych kamieni. — Nie dość, że próbują wtykać wiosło do mojej roboty i obierać taki kurs, jaki im się podoba, to jeszcze zmuszają mnie do czekania.

— Nie rozumiem, dlaczego tak się denerwujesz, że ich jeszcze nie ma — odparła Leane. — Lubisz przecież patrzeć, jak popełniają błędy. One nie wiedzą nawet połowy tego, co im się wydaje. — Na krótką chwilę faktura jej szaty otarła się niebezpiecznie o przezroczystość; na szyi pojawił się i zaraz zniknął naszyjnik z wielkich pereł. Niczego nie zauważyła. Miała w postępowaniu z tym światem jeszcze mniej doświadczenia niż Suan.

— Potrzebuję trochę prawdziwego snu — mruknęła Suan. — Bryne tak mnie pogania, jakby chciał, żebym dostała zadyszki. Ale ja tu muszę czekać, by sprawić przyjemność kobietom, które połowę nocy spędzają na przypominaniu sobie, na

czym polega umiejętność chodzenia. Nie mówiąc już o tym, że trzeba jeszcze znosić towarzystwo tych dwóch. — Spojrzała krzywo na Elayne i Nynaeve, po czym wzniosła oczy ku niebu.

Nynaeve ścisnęła swój warkocz z całej siły, co stanowiło niechybną oznakę, że właśnie dał o sobie znać jej temperament. Przynajmniej tym razem Elayne zgadzała się z nią całym sercem. To jest bardziej niż trudne, jak się jest nauczycielką uczennic, którym się zdaje, że wiedzą więcej, niż w istocie wiedziały i w odróżnieniu od ich nauczycielki, której coś takiego nie uszłoby na sucho, mają na dodatek prawo ją zbesztać. Choć, po prawdzie, tamte były jeszcze gorsze od Siuan i Leane. No gdzie one są?

W tym momencie na ulicy dał się spostrzec jakiś ruch. Sześć otoczonych łuną *saidara* kobiet, które nie znikwały. Sheriam oraz członkinie jej rady jak zwykle wśniły się do własnych komnat sypialnych i wyszły z nich teraz na ulicę. Elayne nie była pewna, do jakiego stopnia pojęły już, czym się cechuje *Tel'aran'rhiod*. W każdym razie często upierały się, że będą coś robić po swojemu, nawet jeśli istniał lepszy sposób. Bo w końcu kto wiedział lepiej, jak postępować, niż Aes Sedai?

Te sześć Aes Sedai było rzeczywiście nowicjuszkami w *Tel'aran'rhiod*, toteż ich suknie zmieniały się za każdym razem, kiedy Elayne na nie spojrzała. Najpierw pierwsza nosiła haftowany szal Aes Sedai, obrzeżony frędzlami w barwach jej Ajah i z białym płomieniem Tar Valon w kształcie wyrazistej łzy na plecach, potem taki sam szal pojawił się u czterech innych, po czym nie miała go na sobie żadna. A niekiedy odziewały się w lekkie płaszcze podróżne, z Płomieniem na plecach i na lewej piersi, które miały rzekomo tylko je chronić przed kurzem. Na ich twarzach pozbawionych piętna upływu czasu naturalnie nie było znać ani śladu upału — po Aes Sedai nigdy go nie było znać — ani też śladu, że zdają sobie sprawę ze zmian, jakim ulega ich odzienie.

Były równie mgliste jak Nynaeve albo Leane. Sheriam i inne pokładały więcej zaufania w *ter'angrealach* snu, które wymagały przenoszenia, niż w pierścieniach. Zwyczajnie nie miały ochoty uwierzyć, że *Tel'aran'rhiod* nie ma nic wspólnego z Jedyńą Mocą. Elayne w każdym razie nie była w stanie określić, która posługuje się sporządzoną przez nią kopią. Trzy spośród nich miały niewielkie dyski wykonane z czegoś, co kiedyś było żelazem, opasane po obu stronach ciasną spiralą i zasilane strumieniem Ducha, jedyńą z Pięciu Mocy, którą można było przenieść podczas snu. W tym miejscu, w każdym razie. Inne trzy miały przy sobie niewielkie płytki, niegdyś z bursztynu, z wyrzeźbioną w środku śpiącą kobietą. Nawet gdyby miała przed sobą wszystkie sześć *ter'angreali*, nie byłaby w stanie wybrać dwóch oryginałów; te kopie nadzwyczaj się udały. A mimo to były to jednak tylko kopie.

Gdy Aes Sedai szły razem w dół ulicy, usłyszała fragment ich rozmowy, nie zrozumiawszy jednakże ani tego, o czym mówiły na początku, ani też jej końca.

— ...wzgardzą naszym wyborem, Carlinya — mówiła płomiennowłosa Sheriam — ale z kolei wzgardzą każdym wyborem, jakiego dokonamy. Równie dobrze mogłybyśmy poprzestać na naszej decyzji. Nie muszę wam ponownie wymieniać powodów.

Morvrin, krępa Brązowa siostra o włosach z pasmami siwizny, parsknęła.

— Tyle się już napracowałyśmy, że byłoby teraz ciężko zmusić Komnatę do zmiany decyzji.

— Czemu miałyby to nas obchodzić, dopóki żaden władca nie szydzi? — spytała z uniesieniem Myrelle. Najmłodsza z sześciu, Aes Sedai od niewielu lat, mówiła głosem zdecydowanie zirytowanym.

— Jaki władca byłby się odważył? — spytała Anaiya tonem, którym kobieta mogłaby zapytać, jakie dziecko odważyłoby się nanieść błoto na dywan. — W każdym razie każdy król czy królowa wie zbyt mało o tym, co się dzieje wśród Aes Sedai, by to zrozumieć. Nas powinny interesować wyłącznie opinie sióstr.

— Mnie natomiast martwi — odparła chłodno Carlinya — że skoro ona tak bez żadnych oporów pozwala, byśmy nią kierowały, to w takim razie z równą łatwością pozwoli na to innym. — Błada, o niemal czarnych oczach Biała siostra była zawsze chłodna, niektórzy powiedzieliby lodowata.

Niezależnie od przedmiotu ich rozmowy, nie było to coś, o czym chciały dyskutować w obecności Elayne albo pozostałych kobiet; zdążyły umilknąć, zanim do nich doszły.

Siuana i Leane dość gwałtownie odwróciły się do siebie plecami, jakby Aes Sedai swoim przybyciem przerwały im ostrą wymianę słów. Elayne ze swej strony szybko sprawdziła swoją suknię. Przepisowa biel obrzeżona paskami przy rąbku. Nie bardzo wiedziała, co właściwie czuje wobec faktu, że bez udziału myśli pojawiła się tutaj we właściwej sukni; gotowa była iść o zakład, że Nynaeve musiała zmienić swój strój. Ale z kolei Nynaeve była znacznie bardziej porywcza od niej, musiała się zmagać z ograniczeniami, na które ona przystała. Czy ona da sobie radę jako władczyni Andoru? O ile jej matka rzeczywiście nie żyła. O ile.

Sheriam, nieco zażywna, z charakterystycznie wystającymi kośćmi policzkowymi, skierowała spojrzenie skośnych zielonych oczu na Siuan i Leane. Przez chwilę nosiła szal obrzeżony niebieskimi frędzlami.

— Jeśli nie będziecie potrafiły dojść między sobą do zgody, to przysięgam, odeślę was obie do Tiany. — Miało to wydźwięk stwierdzenia powtarzanego często, i od dawna już nie wygłaszanego z należytą powagą.

— Pracowałyście razem dostatecznie długo — powiedziała Beonin z ciężkim taraboniańskim akcentem. Piękna Szara, z włosami barwy miodu zaplecionymi w nieprawdopodobną liczbę warkoczyków, miała niebieskoszare oczy, do których bezustannie zakradało się zdziwienie. Nic jednakże tak naprawdę nie potrafiło zaskoczyć Beonin. Nie uwierzyłaby, że słońce rzeczywiście weszło rankiem, dopóki go nie zobaczyła na własne oczy, Elayne wątpiła jednak, czy Beonin ruszyłaby

bodaj włosiem, gdyby któregoś ranka rzeczywiście nie wzeszło. Dla niej byłoby to tylko potwierdzenie, że miała słuszność, żądając dowodu. — Możecie i musicie pracować razem.

Beonin powiedziała to takim tonem, jakby również tę kwestię powtarzała tak często, że prawie przestała się zastanawiać nad jej właściwym znaczeniem. Wszystkie Aes Sedai dawno już temu przywykły do widoku Siuan i Leane. Zaczęły je traktować jak dwie małe dziewczynki, które się bezustannie sprzeczą. Aes Sedai miały to już w swoim zwyczaju, że potrafiły widzieć dziecko w kimś, kto nim wcale nie był. Patrzyły tak nawet na te dwie, które przecież były kiedyś siostrami.

— Odeślij je do Tiany albo i nie — zachnęła się Myrelle — tylko przestań już o tym gadać.

Zdaniem Elayne, w głosie Myrelle, kobiety o dziwnie mrocznej urodzie, nie zabrzmiała nawet nutka złości. Może wręcz nie potrafiła być w ogóle zła na nic ani na nikogo w szczególności. Miała jednak zmienne usposobienie wyróżniające ją nawet wśród Zielonych. Jej jedwabna suknia złotej barwy miała wysoki karczek, ale za to ozdobiła ją owalne wycięcie, które odstaniało górną część piersi; nosiła ponadto dziwny naszyjnik, podobny do szerokiego srebrnego kołnierza wspierającego trzy małe sztylety, których rękojeści spoczywały w zagłębieniu między piersiami. Czwartą sztylet pojawiał się i znikał tak szybko, że mógł stanowić jedynie twór wyobraźni. Zmierzyła Nynaeve od stóp do głów, jakby szukała jakiegoś błędu.

— Wybieramy się do Wieży, czyż nie? Skoro mamy to zrobić, to równie dobrze moglibyśmy dokonać czegoś użytecznego, zanim ruszymy w drogę.

Elayne teraz już wiedziała, dlaczego Myrelle jest rozdrażniona. Zanim ona i Nynaeve przybyły do Salidaru, spotykały się z Egwene w *Tel'aran'rhiod* raz na siedem dni, by podzielić się tym, czego się dowiedziały. Co nie zawsze było łatwe, ponieważ Egwene nieodmiennie towarzyszyła co najmniej jedna ze spacerujących po snach, u których pobierała nauki. Spotkanie się pod nieobecność jednej albo i dwu Mądrych nie obywało się bez kłopotów. W każdym razie wszystko to skończyło się, kiedy dotarły do Salidaru. Te sześć Aes Sedai, członkinie rady Sheriam, przejęły spotkania na siebie, ledwie weszły w posiadanie trzech oryginalnych *ter'angreali* i naprawdę znikomej wiedzy o samym *Tel'aran'rhiod*, ograniczającej się do tego, jak do niego się dostać. I wtedy właśnie Egwene została ranna, w wyniku czego teraz Aes Sedai stawały oko w oko z Mądrymi: dwie drużyny dumnych, rezolutnych kobiet, żywiących podejrzliwość wobec wszelkich zamierzeń tych drugich, nie chcące ustąpić ani na cal, ani też nie skłonić głowy o włos.

Elayne oczywiście nie miała pojęcia o tym, co się działo podczas tych spotkań, mogła jednak coś wywnioskować na podstawie własnych doświadczeń, a także rozmaitych strzępów informacji, podrzuconych tu i ówdzie przez Sheriam i pozostających

stałe.

Aes Sedai zawsze żywiły przekonanie, iż są w stanie dowiedzieć się wszystkiego, a gdy już utwierdziły się, jakie informacje są im niezbędne, zazwyczaj wymagały wówczas i nieodmiennie oczekiwały, że z szacunkiem należnym królowym, to, czego się chciały dowiedzieć, zostanie im przekazane bez żadnej zwłoki albo wykrętów. Żądały odpowiedzi na każde pytanie, począwszy od tego, co planuje Rand, a skończywszy na tym, kiedy Egwene na tyle wydobrzeje, by powrócić do Świata Snów; chciały ponadto wiedzieć, czy można szpiegować cudze sny w *Tel'aran'rhiod* albo wchodzić do Świata Snów fizycznie, albo sprowadzać kogoś do snu wbrew jego woli. Pytały nawet, i to nie raz, czy można wpłynąć na prawdziwy świat tym, co się robiło we śnie, czyli o czystą niemożliwość, najwyraźniej powątpiewając w odpowiedź. Morvrin czytała trochę na temat *Tel'aran'rhiod*, dość, by zadawać mnóstwo pytań, aczkolwiek Elayne podejrzewała, że miała w tym swój udział Sivan. Uważała, że Sivan tak lawiruje, bo również chce uczestniczyć w tych spotkaniach, ale Aes Sedai zdawały się uważać, że idą już i tak na znaczne ustępstwo, pozwalając jej używać pierścienia jako wsparcia w jej pracy z siatkami agentów. Ingerowały zresztą w tę pracę, co Elayne bardzo niepokoiło.

Natomiast kobiety Aiel... Mądre, wiedziały mniej więcej wszystko, co należało wiedzieć na temat Świata Snów — w każdym razie te spacerujące po snach, o czym Elayne się przekonała z osobistych spotkań z nimi — niestety, traktowały go niemalże jak prywatne włości. Nie znosiły, jak przychodził tu ktoś, kto zasługiwał na miano ignoranta i obchodziły się brutalnie z wszystkim, co uważały za przejaw głupoty. A poza tym były skryte, bez cienia wątpliwości nad wyraz lojalne wobec Randa i nie chciały zdradzić nic więcej prócz tego, że żyje, albo że Egwene powróci do *Tel'aran'rhiod*, kiedy dostatecznie wydobrzeje, a z jeszcze mniejszą ochotą odpowiadały na pytania według nich — nie na miejscu. Czyli wtedy, gdy ich zdaniem pytający nie wiedział dostatecznie dużo, by zrozumieć odpowiedź, czy też wtedy, gdy albo pytanie, albo odpowiedź, albo jedno i drugie stanowiły pogwałcenie ich dziwacznej filozofii honoru i zobowiązania. Elayne wiedziała niewiele więcej o *ji'e'toh* prócz tego, że ono istnieje i że to nim należy tłumaczyć ich często osobliwe zachowanie i drażliwość.

Jeśli jednakże wszystko podsumować, był to znakomity przepis na klęskę i zdaniem Elayne przynajmniej Aes Sedai musiały być przekonane, że raz na tydzień odczują gorzki smak porażki.

Na samym początku Sheriam i pozostałe pięć żądały, by ich lekcje odbywały się co noc, ale teraz domagały się ich jedynie dwa razy w tygodniu. W noc poprzedzającą spotkanie z Mądrymi wyglądały zawsze tak, jakby chciały po raz ostatni przed walką przećwiczyć swe umiejętności. Zaś podczas następnej nocy, kiedy zazwyczaj uczestniczyły w lekcji z zaciśniętymi ustami, wyglądały, jakby się chciały koniecznie dowiedzieć, co poszło źle i jak temu w przyszłości zapo-

biec. Myrelle prawdopodobnie już się zżymała z powodu klęski, do jakiej miało dojść jutrzejszej nocy. Bo było to nieuchronne.

Morvrin właśnie odwróciła się w stronę Myrelle, otwierając usta, gdy nagle pomiędzy nimi pojawiła się jakaś kobieta. Elayne dopiero po chwili rozpoznała Gerę, jedną z kucharek, o rysach twarzy pozbawionych śladu upływu lat. Ubrana w szal z zielonymi frędzlami i Płomieniem Tar Valon na plecach, ważyła nie więcej jak połowę tego co normalnie, Gera pogroziła Aes Sedai palcem i zniknęła.

— A więc to takie są jej sny? — spytała chłodnym tonem Carlinya. Przy jej śnieżnobiałej jedwabnej sukni wyrosły nagle długie rękawy ozdobione koronkowymi mankietami, a pod brodą pojawił się wysoki karczek. — Ktoś powinien się z nią rozmówić.

— Zostaw ją, Carlinya — zaśmiała się Anaiya. — Gera to dobra kucharka. Niech sobie śni, co chce. Ja osobiście rozumiem, co ją tak pociąga. — Nagle stała się szczuplejsza i wyższa. Rysy jej twarzy nie zmieniły się — nadal pełne ciepłego, dobrotliwego, wręcz macierzyńskiego wyrazu. Śmiejąc się, przybrała z powrotem tę samą postać co zawsze. — Czy ciebie nigdy nic nie śmieszy, Carlinya?

Nawet pociągnięcie nosem Carlinyi zdawało się pełne chłodnego dystansu.

— Gera na pewno nas zobaczyła — powiedziała Morvrin — ale czy będzie o tym pamiętać? — W ciemnych stalowych oczach pojawił się wyraz zamyślenia. Pośród wszystkich sześciu jej sukni z prostej burej wełny najlepiej utrzymywała swą pierwotną postać. Szczegóły zmieniały się, ale tak subtelnie, że Elayne nie była w stanie określić dokładnie, na czym polegają różnice.

— To jasne, że będzie — odparła kwaśno Nynaeve. Już to wcześniej wyjaśniała. Sześć Aes Sedai spojrzało na nią, unosząc brwi, więc złagodziła ton głosu. Nieznacznie. Ona też nienawidziła szorowania garnków. — Jeśli zapamiętała ten sen, to już raz na zawsze. Ale tylko jako sen.

Morvrin zmarszczyła czoło. W nieugiętym żądaniu dowodów ustępowała tylko Beonin. Nynaeve natomiast, z wyrazem twarzy świadczącym o długotrwałych katuszach, miała lada chwila wpakować się w tarapaty, niezależnie od tonu głosu. Zanim Elayne zdążyła cokolwiek powiedzieć, by odwrócić uwagę Aes Sedai od przyjaciółki, przemówiła Leane, niemalże wdziecząc się głupawo.

— Czy nie sądzicie, że powinniśmy już pójść dalej?

Siuana skwitowała ten bojaźliwy ton wzgardliwym parsknięciem, za co Leane obrzuciła ją ostrym spojrzeniem.

— O tak, przecież chcecie chyba spędzić w Wieży tyle czasu, ile się tylko da — powiedziała Siuana, bezczelna dla odmiany, co Leane potraktowała głośnym pociągnięciem nosem.

To im naprawdę wychodziło znakomicie. Sheriam i pozostałe ani na moment nie nabrały podejrzeń, że Siuana i Leane to nie tylko dwie ujarzmione kobiety trzymające się kurczowo jakiegoś celu, dzięki któremu mogły nadal żyć, i osatków



tego, czym kiedyś były. Że nie są to tylko dwie kobiety, które skaczą sobie do gardeł zupełnie jak małe dziewczynki. Aes Sedai powinny były pamiętać, że Sivan cieszyła się reputacją bezwzględnej i podstępnej manipulatorki, i że podobnie było z Leane, aczkolwiek w mniejszym stopniu. Gdyby te dwie zaprezentowały jakiś wspólny front albo zdradziły swe prawdziwe oblicza, wówczas przypomniałyby sobie i bacznie słuchały wszystkiego, co one mówią. Ale jak były takie skłócone, jak pluły sobie jadłem w twarz, jak płaszczyły się przed Aes Sedai, najwyraźniej nie zdając sobie z niczego sprawy... A to wszystko nabierało jeszcze dodatkowej wymowy, gdy jedna była zmuszona, mimo swej niechęci, zgodzić się z tym, co powiedziała druga. Albo gdy jedna wyrażała sprzeciw, jedynie kierując się jakimś kaprysem. Elayne wiedziała, że obie udają, w ten sposób chcąc nakłonić podstępnie Sheriam oraz pozostałe, by ostatecznie wsparły Randa. Żałowała tylko, że nie wie, do czego jeszcze tę technikę wykorzystywały.

— One mają rację — orzekła stanowczym głosem Nynaeve, patrząc z obrzydzeniem na Sivan i Leane. To ich udawanie bezgranicznie ją irytowało; ona sama nie płaszczyłaby się nawet wtedy, gdyby od tego zależało jej życie. — Do tej pory powinniście już wiedzieć, że im więcej tu czasu spędzacie, tym mniej was czeka prawdziwego odpoczynku. Spanie w tym czasie, kiedy jesteście w *Tel'aran'rhiod*, nie przynosi takich samych efektów co normalny sen. I zapamiętajcie sobie: jeśli zobaczycie coś niezwykłego, to powinniście koniecznie zachować ostrożność. — Naprawdę nie znosiła się powtarzać... który to fakt dobitnie zmanifestowała tonem głosu... jednak Elayne musiała przyznać, że w przypadku tych kobiet było to nader często konieczne. Żeby jeszcze Nynaeve nie mówiła takim głosem, jakby przemawiała do nierozgarniętych dzieci. — Jak się komuś śni koszmar i z nim wśni się do *Tel'aran'rhiod*, tak jak Gera, to zdarza się czasem, że ten koszmar żyje potem dalej i jest niezwykle niebezpieczny. Unikajcie wszystkiego, co wygląda niezwykle. I tym razem postarajcie się też kontrolować swoje myśli. To, o czym tutaj myślicie, może stać się realne. Tamten Myrddraal, który ostatnim razem wyskoczył nie wiadomo skąd, mógł być jakąś pozostałością kosmaru, ale moim zdaniem jedna z was pozwala, by jej umysł błąkał się po manowcach. O ile pamiętacie, dyskutowałyście wtedy o tym, czy Czarne Ajah wpuszczają do Wieży Pomiot Cienia. — Po czym, jakby dotąd już nie posunęła się za daleko, dodała jeszcze: — Nie zrobicie jutro wrażenia na Mądrych, jeśli w samym środku rozmowy nasadzicie na nie jakiegoś Myrddraala.

Elayne skrzywiła się.

— Dziecko — odparła łagodnym głosem Anaiya, poprawiając szal z niebieskimi frędzlami, który nagle zapętlił się na jej ramionach — twoja praca jest nieoceniona, ale to jeszcze nie usprawiedliwia tego swarliwego tonu.

— Nadano ci cały szereg przywilejów — dodała Myrelle, bynajmniej nie łagodnie — ale ty zdajesz się zapominać, iż są to tylko przywileje. — Na widok marsa na jej czole Nynaeve powinna była zadygotać ze strachu. W ciągu minio-

nych kilku tygodni Myrelle stawiała się coraz mniej pobłażliwa względem Nynaeve. Ona też miała na sobie szal. Wszystkie go miały, a to stanowiło zły znak.

Morvrin prychnęła otwarcie.

— Kiedy ja byłam Przyjętą, każda dziewczyna, która odezwała się do Aes Sedai w taki sposób, spędziłaby cały miesiąc na szorowaniu podłóg, nawet jeśli następnego dnia miała być wyniesiona do szala.

Elayne odezwała się pospiesznie, w nadziei, że zapobiegnie ich wspólnej kłęsce. Nynaeve zrobiła minę, najprawdopodobniej w jej mniemaniu pojednawczą, ale tak naprawdę ponurą i zaciętą.

— Jestem pewna, że ona nie powiedziała tego umyślnie, Aes Sedai. Bardzo ciężko pracujemy. Proszę, wybaczcie nam. — Włączenie w to swojej osoby mogło pomóc, ponieważ ona niczego nie zrobiła. I równie dobrze mogło sprawić, że obydwie będą szorować podłogi. Przynajmniej jednak zmusiła Nynaeve, żeby ta nareszcie na nią spojrzała. I chyba też zastanowiła się nad skutkami swojej postawy, ponieważ jej rysy wygładziły się, nabierając mniej więcej przeproszającego wyrazu, a potem dygnęła i wbiła wzrok w posadzkę, jakby się spieszyła. Może rzeczywiście się spieszyła. Może. Elayne pospiesznie mówiła dalej, jakby Nynaeve już przeprosiła Aes Sedai z należytych ceremoniałem i sprawiła, że te przeprosiny zostały przyjęte. — Wiem, że chcecie spędzić jak najwięcej czasu w Wieży, więc może nie powinniśmy już dłużej zwlekać? Może wszystkie zechcecie wyobrazić sobie gabinet Elaidy takim, jakim go widziałyście ostatnim razem? — W Salidarze Elaida nigdy nie została nazwana Zasiadającą i na tej samej zasadzie zmieniono nazwę gabinetu Amyrlin w Białej Wieży. — Niech wszystkie skupią na nim swe umysły, to przeniesiemy się tam razem.

Anaiya pierwsza skinęła głową, ale nawet Carlinya i Beonin pozwoliły odwrócić swoją uwagę od winowajczynie całego tego niemilego zamieszania.

Nie było jasne, czy to one poruszyły się, cała dziesiątka, czy raczej to *Tel'aran'rhiod* pomknął dookoła nich. Ze skromnej wiedzy, jaką Elayne posiadała w tej kwestii, wynikało, że mogło być i tak, i tak; Świat Snów był niemalże nieskończenie podatny na zmiany. W jednej chwili stały na ulicy w Salidarze, w następnej znajdowały się w jakiejś wielkiej paradnej komnacie. Aes Sedai z satysfakcją pokiwały głowami; brak doświadczenia nadal kazał im się cieszyć wszystkim, co ich zdaniem udało się tak, jak powinno.

Tak jak cały *Tel'aran'rhiod* odzwierciedlał świat jawy, tak ta komnata z podobną precyzją odzwierciedlała władzę kobiet, które ją zajmowały przez ostatnie trzy tysiące lat. Połączane stojące lampy nie paliły się, ale było jasno, ową dziwną jasnością charakterystyczną dla *Tel'aran'rhiod* i snów. Wysoki kominek został zbudowany z złotego marmuru z Kadoru, posadzkę wyłożono polerowanym czerwonym kamieniem z Gór Mgły. Panele osadzono w ścianach stosunkowo niedawno — zaledwie przed tysiącem lat — z jasnego drewna o dziwnym układzie słojów, z płaskorzeźbami przedstawiającymi bajeczne zwierzęta i pta-

ki, które, Elayne była pewna, mogły się zrodzić jedynie w wyobraźni rzeźbiarza. Lśniące perłowe ramy otaczały wysokie łukowate okna wychodzące na balkon, pod którym rozciągał się prywatny ogród Amyrlin; kamień, z którego zbudowano balkon, pochodził z bezimiennego miasta zalanego podczas Pęknięcia Świata przez Morze Sztormów. Nikt potem nie znalazł takiego, który byłby doń podobny.

Wszystkie kobiety, które korzystały z tej izby, pozostawiły po sobie wyraźny, indywidualny ślad, choćby przebywały w niej jedynie w czasie ich rezydowania. Elaida nie postąpiła inaczej. Za masywnym biurkiem, zdobnie rzeźbionym we wzór z trzech złączonych pierścieni, stało ciężkie, podobne do tronu krzesło, z Płomieniem Tar Valon z kości słoniowej, wieńczącym wysokie oparcie. Na blacie stołu nie było nic prócz trzech altarańskich szkatulek krytych emalią, ustawionych w dokładnie takich samych odstępach. Pod jedną ze ścian, na białym, pozbawionym jakichkolwiek ozdób postumencie stał prosty biały wazon. Wazon wypełniały róże, których liczba i barwa zmieniały się przy każdym spojrzeniu, zawsze jednak ich ułożenie było równie surowe i niezmiennie. Róże, o tej porze roku, przy takiej pogodzie! Zmarnowano Jedyną Moc dla ich wyhodowania. Elaida robiła to samo, kiedy była doradczynią matki Elayne.

Nad kominkiem wisiał współczesny obraz namalowany na płótnie; przedstawiał dwóch mężczyzn, którzy walczyli wśród chmur, ciskając błyskawice. Jeden z nich miał twarz z płomieni, drugim był Rand. Elayne była w Falme; obraz nie odbiegał dalece od rzeczywistości. Rozdarcie w płótnie, biegnące przez twarz Randa, jakby rzucono weń czymś ciężkim, zostało naprawione niemalże bez śladu. Najwyraźniej Elaida chciała, by obraz stale jej przypominał o Smoku Odrodzonym, lecz chyba nie była urzeczona tym, że na niego patrzy.

— Jeśli mi wybaczycie — rzekła Leane, nim skończyły się pełne satysfakcji potakiwania — muszę sprawdzić, czy moi ludzie dostali wiadomości ode mnie. — Wszystkie Ajah, z wyjątkiem Białych, jak również pojedyncze Aes Sedai, miały swoje siatki szpiegowskie, rozsiane po różnych krajach, ale Leane dokonała czegoś rzadkiego, być może unikalnego, jako że jeszcze w czasach, gdy była Opiekunką Kronik, stworzyła samodzielną agencję w samym Tar Valon. Zniknęła zaraz po tym, jak to powiedziała.

— Nie powinna się tu błąkać samopas — stwierdziła rozdrażnionym głosem Sheriam. — Nynaeve, idź za nią. Będiesz jej dotrzymywała towarzystwa.

Nynaeve szarpnęła się za warkocz.

— Nie sądzę...

— Ty jakoś bardzo często zwykłaś powątpiewać — przerwała jej Myrelle. — Chociaż raz zrób, co ci się każe, Przyjęta.

Wymieniwszy krzywe spojrzenia z Elayne, Nynaeve przytaknęła, wyraźnie tłumiąc westchnienie, i zniknęła. Elayne nie bardzo jej współczuła. Gdyby Nynaeve nie pofolgowała swojej irytacji w Salidarze, to pewnie jakoś dałoby się wyjaśnić, że Leane może być gdziekolwiek w mieście, że raczej nie da się jej znaleźć,

i że już od wielu tygodni zapuszczała się samotnie do *Tel'aran'rhiod*.

— No to sprawdźmy, czego tym razem możemy się dowiedzieć — powiedziała Morvrin, ale zanim którakolwiek zdążyła się poruszyć, za biurkiem pojawiła się Elaida i potoczyła w krąg wściekłym spojrzeniem.

Nieugięta kobieta o surowej twarzy, przystojna raczej niż piękna, ciemnowłosa i ciemnooka, miała na sobie suknię czerwoną jak krew, z prążkowaną stulą Zasiadającej na Tronie Amyrlin na ramionach.

— Tak jak Przepowiedziałam — zaczęła. — Biała Wieża zostanie ponownie zjednoczona za moich rządów. Za moich rządów! — Ostрым gestem wskazała posadzkę. — Klękajcie i proście o wybaczenie za swoje grzechy! — Powiedziawszy to, zniknęła.

Elayne głęboko odetchnęła i z satysfakcją stwierdziła, że nie ona jedna.

— Przepowiednia? — Beonin zmarszczyła czoło w zamyśleniu. Z tonu jej głosu nie wynikało wprawdzie, że się-przejęła, ale równie dobrze mogło być inaczej. Elaida rzeczywiście potrafiła Przepowiadać, wprawdzie nieregularnie, za to jej słowa zawsze się sprawdzały.

— To jakiś sen — odparła Elayne i zdziwiła się, że mówi tak pewnym głosem. — Ona spała i to jej się śniło. Nie ma w tym nic dziwnego, że ona śni o wszystkim, co jej się tylko podoba.

„Błagam, Światłości, spraw, żeby tak to było”.

— Zauważyłaś stulę? — spytała Anaiya, nie zwracając się do nikogo w szczególności. — Brakowało błękitnego paska. — Na stule Amyrlin powinno się znajdować siedem pasków symbolizujących poszczególne siedem Ajah.

— To był sen — stwierdziła obojętnie Sheriam. W jej głosie nie słyszało się strachu, ale znowu miała na sobie szal z błękitnymi frędzlami i mocno go przyciskała do ciała. Podobnie Anayia.

— Nieważne, jak jest — stwierdziła pojednawczym tonem Morvrin — myślę, że możemy zabrać się za to, po co tu przyszłyśmy. — Mało co mogło nastraszyć Morvrin.

Nagle ozywienie, jakie wywołały słowa Brązowej siostry, zdradziło jednoznacznie, że widok Elaidy porządnie nimi wstrząsnął. Elayne, Carlinya i Anayia wślizgnęły się prędko do przedsionka, gdzie normalnie stał stół, przy którym pracowała Opiekunka. Za panowania Elaidy została nią Alviarin Freidhen, o dziwo, Biała, mimo iż zwyczajowo Opiekunka zawsze wywodziła się z tych samych Ajah co Amyrlin.

Siuana odprowadziła je rozdrażnionym wzrokiem. Twierdziła, że często więcej można się dowiedzieć z papierów Alviarin niż Elaidy, jako że Alviarin zdawała się niekiedy wiedzieć więcej niż ta kobieta, której rzekomo służyła, zaś Siuana znalazła dwukrotnie dowody na to, że Alviarin wydawała rozkazy sprzeczne z rozkazami Elaidy, co odbywało się bez żadnych dalszych reperkusji. Nie znaczyło to jednak, by miała ochotę zdradzić Elayne albo Nynaeve treść owych rozkazów.

Istniały określone granice tego, czym Siuan była skłonna się dzielić.

Sheriam, Beonin i Myrelle zebrały się razem przy biurku Elaidy, otworzyły jedną z emaliowanych szkatułek i zaczęły wertować znajdujące się w środku papiery. Tu Elaida chowała ostatnio otrzymaną korespondencję i raporty. Szkatułka, ozdobiona złotymi jastrzębiami walczącymi wśród białych chmur na niebieskim ciebie, zwykła zatrząskiwac się zniecka, gdy któraś z nich puściła wieko, dopóki nie nauczyły się, że powinny je cały czas przytrzymywać, same papiery zaś zmieniały się podczas czytania. Papier był zaiste bytem efemerycznym. Aes Sedai szukały wytrwale, to posyrując ze ziryrowania, to wzdychając z rozczarowania.

— Tu jest raport od Danelle — powiedziała Myrelle, pospiesznie omiatając stronicę wzrokiem.

Siuan próbowała się do nich przyłączyć — Danelle, młoda Brązowa, należała do tej koterii, która pozbawiła ją stanowiska — ale Beonin obdarzyła ją ostrym zmarszczeniem brwi, które sprawiło, że wróciła do kąta i tam coś do siebie burczała. Beonin ponownie skierowała uwagę na szkatułkę i zawarte w niej dokumenty, nim Siuan zdążyła zrobić trzy kroki; pozostałe dwie kobiety w ogóle niczego nie zauważyły. Myrelle nie przestawała mówić.

— Ona twierdzi, że Mattin Stepaneos udziela im pełnego poparcia, Roedran nadal próbuje wspierać wszystkie stronnictwa, natomiast Alliandre i Tylin żądają więcej czasu na przemyślenie swoich odpowiedzi. Jest tu notatka sporządzona ręką Elaidy. „Wywierac na nich presję!” — Zaklaskała językiem, kiedy raport, który właśnie trzymała w ręku, zniecka rozplynał się bez śladu. — Nie było tu powiedziane, czego to miało dotyczyć, ale widzę tylko dwie możliwości. — Mattin Stepaneos był królem Illian, Roedran królem Murandy, Alliandre królową Ghealdan, Tylin zaś władał Altarą. Dokument musiał dotyczyć Randa albo Aes Sedai pozostających w opozycji wobec Elaidy.

— Wiemy przynajmniej, że nasze emisariuszki nadal mają tyleż samo szans, co wysłanniczki Elaidy — stwierdziła Sheriam. Salidar oczywiście nie posłał żadnych do Mattina Stepaneosa; prawdziwą władzę w Illian sprawował lord Brend z Rady Dziewięciu, czyli Sammael. Elayne dałaby wiele, żeby się dowiedzieć, co takiego zaproponowała Elaida, że Sammael zechciał to wesprzeć, lub też pozwolił Mattinowi Stepaneosowi zapowiedzieć, że on to robi. Była przekonana, że trzy Aes Sedai byłyby tak samo zainteresowane, jednak one nadal zajmowały się wyciąganiem dokumentów z emaliowanej szkatułki.

— Nakaz aresztowania Moiraine nadal jest w mocy — powiedziała Beonin, kręcąc głową, kiedy arkusz papieru w jej dłoni nagle zmienił się w gruby plik listów. — Ona jeszcze nie wie, że Moiraine nie żyje. — Wypuściła kartki z ręki, obrzucając je krzywym spojrzeniem; zawirowały w powietrzu niczym liście, zdążyły się jednak rozplynać, nim dotknęły posadzki. — Poza tym Elaida nadal zamierza wybudować sobie pałac.

— I wybuduje — rzuciła oschle Sheriam. Ręka jej się zatrzęsała w trakcie czy-

tania w milczeniu czegoś, co wyglądało jak krótka notatka. — Shemerin uciekła. Przyjęta Shemerin.

Wszystkie trzy zerknęły na Elayne i dopiero wtedy na powrót zajęły się szkatułką, którą znowu musiały otworzyć. Żadna nie skomentowała słów Sheriam.

Elayne omal nie zazgrzytała zębami. Ona i Nynaeve powiedziały im, że Elaida zdegradowała Shemerin, Żółtą siostrę, do rangi Przyjętej, ale oczywiście im nie uwierzyły. Aes Sedai mogła zostać zmuszona do odbycia pokuty albo wygnana, ale nie można jej było odebrać szala, o ile nie została wcześniej ujarzmiona. A jednak wychodziło na to, że Elaida postępuje wbrew prawu obowiązującemu w Wieży.

Te kobiety nie dawały wiary wielu informacjom, które od nich usłyszały. Ktoś tak młody jak Przyjęte nie mógł posiadać dostatecznej wiedzy o świecie, by wiedzieć, co może, a co nie może się zdarzyć. Młode kobiety są łatwowierne, naiwne; mogły zobaczyć i uwierzyć w coś, co nie istniało. Z dużym wysiłkiem się pohamowała, by nie tupnąć nogą. Przyjęta przyjmowała to, co jej dała Aes Sedai i nie prosiła o to, czego Aes Sedai nie chciała jej dać. Czyli na przykład o przeprosiny. Zachowała więc niewzruszoną twarz, ukrywając wrzące w środku emocje.

Siuan nie czuła się ograniczona niczym takim. Zazwyczaj. Kiedy Aes Sedai na nią nie patrzyły, kąpała je wszystkie w ponurych spojrzeniach. Rzecz jasna, gdy któraś z nich zerknęła w jej kierunku, w mgnieniu oka oblekała twarz w maskę pokornej akceptacji. W tym miała sporo wprawy. Lew uchodzi z życiem dzięki temu, że jest lwem, usłyszała od niej kiedyś Elayne, a mysz dzięki temu, że jest myszą. Siuan konsekwentnie starała się udawać mysz, jednak robiła to z przymusu i z widoczną niechęcią.

Elayne wydało się, że wychwyciła niepokój w oczach Siuan. To zadanie należało do Siuan, od czasu gdy dowiodła Aes Sedai, że potrafi bezpiecznie posługiwać się pierścieniem — po tajnych lekcjach, które Elayne i Nynaeve udzieliły jej i Leane — i stanowiła główne źródło informacji. Ponowne nawiązanie kontaktu ze szpiegami rozsianymi po różnych krajach i sprawienie, by kierowali swe raporty nie do Wieży, lecz do Salidaru, wymagało czasu. Gdyby Sheriam i pozostałe postanowiły przejąć to na siebie, wówczas Siuan stałaby się o wiele mniej użyteczna. W całej historii Wieży nie istniała taka siatka agentów, która byłaby prowadzona przez kogoś innego niż pełną siostrę, dopóki do Salidaru nie przybyła Siuan ze swoją wiedzą o wywiadzie Amyrlin oraz Niebieskich Ajah, którymi kierowała, zanim została Zasiadającą. Beonin i Carlinya wyrażały otwartą niechęć wobec uzależnienia się od kobiety, która nie była już jedną z nich, a pozostałe nie były od tego dalekie. Prawdę powiedziawszy, chodziło pewnie o to, że nie czuły się swobodnie w obecności kobiety, która została ujarzmiona.

Sama Elayne też nie bardzo miała co robić. Aes Sedai mogły nazywać to lekcją, mogły nawet tak o tym myśleć, ale na podstawie przeszłych doświadczeń wiedziała, że gdyby nie proszona próbowała im udzielić jakichś nauk, to wte-

dy przerwano by jej bezceremonialnie. Była tutaj tylko po to, by odpowiadać na ich ewentualne pytania i nic więcej. Pomyślała o stołku — pojawił się, z nogami rzeźbionymi w liście winorośli — i zasiadła na nim, przygotowując się na dłuższe oczekiwanie. Krzesło mogłoby być wygodniejsze, ale z pewnością sprowokowałyby to jakiś komentarz. Przyjętą usadowioną zbyt wygodnie często uważano za Przyjętą, której brakuje zajęcia. Po chwili Suan zrobiła sobie podobny stołek. Uśmiechnęła się trochę przekornie do Elayne, kierując swe zawadiackie spojrzenie również w stronę pleców Aes Sedai.

Za pierwszym razem, gdy Elayne odwiedziła tę izbę w *Tel'aran'rhiod*, stał w niej z tuzin, może więcej, takich samych stołków, uszeregowanych w półkolu przed bogato rzeźbionym stołem. Od tego czasu przy każdej wizycie widziała ich coraz mniej, a obecnie nie było już żadnego. Była pewna, że to coś oznacza, aczkolwiek nie potrafiła tego odgadnąć. Była pewna, że Suan też to dostrzegła i że najprawdopodobniej domyśliła się już powodu, ale nawet jeśli istotnie tak było, to nie podzieliła się swymi domysłami z Elayne albo Nynaeve.

— Walki w Shienarze i Arafel zamierają — mruknęła Sheriam na poły do siebie — ale znowu nie jest tu powiedziane, dlaczego w ogóle wybuchły. Zamieszki tylko, ale mieszkańcy Ziem Granicznych nie walczą przeciw ze sobą. Mają Ugór. — Była Saldaeanka, a Saldaea stanowiła część Ziem Granicznych.

— Za to przynajmniej w Ugorze nadal panuje spokój — stwierdziła Myrelle. — Niemalże podejrzany. To nie może tak trwać. Dobrze, że Elaida ma mnóstwo agentów rozsianych po całych Ziemiach Granicznych. — Suan udało się jednocześnie skrzywić i rzucić pełne nienawiści spojrzenie na Aes Sedai. Zdaniem Elayne spowodowane tym, że jak dotąd jeszcze nie nawiązała kontaktu z którymkolwiek z jej agentów w Ziemiach Granicznych; był to szmat drogi od Salidaru.

— Poczulabym się lepiej, gdyby to samo dało się powiedzieć o Tarabonie. — Kartka w ręku Beonin stała się dłuższa i szersza; zerknęła na nią, powąchała i cisnęła na bok. — Agentki w Tarabon nadal milczą. Wszystkie. Jedyne wieści, jakimi dysponuję na temat Tarabon, to plotki z Amadicii, jakoby Aes Sedai zaangażowały się tam w wojnę. — Pokręciła głową, komentując w ten sposób absurdalność przelewania takich pogłosek na papier. Aes Sedai nie angażowały się w wojny domowe. A w każdym razie nie tak jawnie, by to zostało wykryte. — I oprócz tego jest jeszcze nie więcej jak garść, całkiem mylących, jak się zdaje, doniesień z Arad Doman.

— Niebawem dowiemy się o Tarabon wystarczająco dużo na własną rękę — oznajmiła pocieszająco Sheriam. — Już za kilka tygodni.

Poszukiwania ciągnęły się godzinami. Na moment nawet nie zabrakło dokumentów; emaliowana szkatułka ani razu się nie opróżniła. Co więcej, sterta w jej wnętrzu rosła niekiedy po wyjęciu z niej jakiegoś papieru. Naturalnie tylko te najkrótsze trwały nie zmienione dostatecznie długo, by dać się przeczytać w całości, a poza tym co jakiś czas ze szkatułki wypadał list albo raport, który został prze-

rzany już wcześniej. Długie chwile upływały w milczeniu, aczkolwiek niektóre dokumenty wywoływały komentarz; nad nielicznymi Aes Sedai odbywały dyskusje. Siuan oplótła palce sznurkiem, po czym zaczęła się bawić w kocią kołyskę, najwyraźniej nie zwracając na otaczające je kobiety żadnej uwagi. Elayne żałowała, że nie może zrobić tego samego, albo jeszcze lepiej, poczytać sobie — na posadzce, tuż obok jej stóp pojawiła się książka, *Podróże Jaina Daleki Krok*, ale czym prędzej sprawiła, że zniknęła — niemniej jednak kobietom, które nie były Aes Sedai przyznawano więcej swobody działania niż tym, które się szkoliły na Aes Sedai. Dowiedziała się zresztą paru rzeczy z samego słuchania.

Zaangażowanie Aes Sedai w Tarabon nie było jedyną pogłoską, jaka znalazła drogę do biurka Elaidy. Plotkowano, iż Pedron Niall zbiera Białe Płaszczki, mogąc mieć na celu właściwie wszystko, począwszy od przejęcia tronu Amadicii — mimo iż z całą pewnością go nie potrzebował — przez tłumienie wojen i anarchii w Tarabon i Arad Doman, po udzielenie poparcia Randowi. Elayne uwierzyłaby prędzej w to, że słońce weszło na zachodzie. Były też doniesienia o dziwnych zdarzeniach w Illian i Cairhien — tych raportów mogło być więcej, ale tylko takie wpadły im w ręce — wsie opętane szaleństwem, wcielenia nocnych koszmarów spacerujące w biały dzień, gadające dwugłowe cielecia, Pomiot Cienia pojawiający się znikąd. Sheriam i pozostałe dwie potraktowały je całkiem bez troski; takie same opowieści napływały do Salidaru z różnych części Altary, Murandy, a także z Amadicii, przez rzekę. Aes Sedai zbywały je jako objaw hysterii, która wybuchała wśród ludzi dowiadujących się o Smoku Odrodzonym. Elayne nie była pewna, czy rzeczywiście mają rację. Widziała rzeczy, których one nie widziały, mimo ich lat i doświadczenia. O jej matce krążyły pogłoski, jakoby organizowała armię na zachodzie Andoru — pod starożytną flagą Manetheren, na domiar wszystkiego! — a równocześnie, że znalazła się w niewoli Randa, z której uciekała do wszystkich państw, jakie można było sobie wyobrazić, łącznie z Ziemią Graniczną i Amadicią, co było wręcz absurdalnym pomysłem. Wieża najwyraźniej nie wierzyła w nic z tych pogłosek. Elayne natomiast bardzo żałowała, że nie ma pojęcia, w co właściwie sama powinna wierzyć.

Właśnie przestała zastanawiać się, gdzie tak naprawdę mogłaby przebywać jej matka, kiedy usłyszała, jak Sheriam wymienia jej imię. Nie mówiła do niej; pospiesznie czytała zapis z kwadratowego arkusza papieru, który nagle zmienił się w długi pergamin opatrzonego u dołu trzema pieczęciami. Elayne Trakand miała zostać za wszelką cenę odnaleziona i przekazana Białej Wieży. Jeśli sprawa zostanie załatwiona nieudolnie, wówczas te, które zawiodą, będą „zazdrościć tej Macurze”. Elayne, słysząc to, zadygotała; po drodze do Salidaru pewna kobieta, która nazywała się Ronde Macura o mały włos nie posłała jej i Nynaeve z powrotem do Wieży, skrępowanych niczym tobołki z bielizną do pralni. Panujący dom Andoru, czytała Sheriam, stanowił jakiś „klucz”, ale to niewiele tłumaczyło. Klucz do czego?



Żadna z trzech Aes Sedai nawet nie spojrzała w jej stronę. Tylko wymieniły spojrzenia i dalej oddawały się swemu zajęciu. Może zapomniały o niej, ale z drugiej strony, być może wcale nie. Aes Sedai robiły to, co miały zrobić. To od ich decyzji zależało, czy będzie chroniona przed Elaidą i również one mogły postanowić, że się ją odda Elaidzie, związaną postronkami jak prosię.

„Szczupak nie prosi żaby o pozwolenie na spożycie wieczerzy”, przypomniała sobie jedno z porzekadeł Lini.

Stan raportu wskazywał niezbitcie, jak zareagowała Elaida na amnestię zarządzoną przez Randa. Elayne niemalże widziała ją, jak najpierw zgniata arkusz papieru w garści, potem zaczyna go drzeć na strzępy, aż wreszcie, na chłodno, wygładza go i chowa do szkatułki. Atakom wściekłości Elaidy niemal zawsze towarzyszył chłód. Nie napisała niczego na tym dokumencie, ale za to nagryzmoliła uszczypliwe słowa na innym, zawierającym wykaz wszystkich Aes Sedai przebywających w Wieży; wynikało z nich niezbitcie, że jest niemalże gotowa oświadczyć publicznie, iż każda, która nie usłucha jej rozkazu powrotu, to zdrajczyni. Sheriam i pozostałe dwie omówiły taką ewentualność z całkowitym spokojem. Niezależnie od tego, ile siostr zamierzało rozkazu usłuchać, niektóre czekałaby długa podróż, a do innych wezwanie mogło jeszcze nie dotrzeć. W każdym razie taki dekret stanowiłby dla całego świata potwierdzenie, iż wszelkie pogłoski o rozłamie w Wieży są prawdziwe. Elaida musiała być bliska paniki albo wręcz rozjuszona ponad miarę, że w ogóle wzięła coś takiego pod uwagę.

Elayne miała wrażenie, że po jej kręgosłupie sunie grudka lodu i nie miało to nic wspólnego z kwestią, czy Elaida była przestraszona czy też rozwścieczona. Dwieście dziewięćdziesiąt cztery Aes Sedai w Wieży, wszystkie wspierały Elaidę. Blisko jedna trzecia wszystkich Aes Sedai, niemal tyle samo, ile zebrało się w Salidarze. Być może w najlepszym przypadku można się było spodziewać, że reszta też się podzieli mniej więcej równo. W rzeczy samej, byłaby to najlepsza rzecz, jakiej się można było spodziewać. Po wielkiej gorączce na samym początku rzesze napływających do Salidaru zmalały do lichego strumyczka. Może ich napływ do Wieży też się zmniejszył. Można było mieć taką nadzieję.

Przez jakiś czas kontynuowały swoje poszukiwania w milczeniu, po czym nagle Beonin zakrzyknęła:

— Elaida wysłała emisariuszki do Randa al'Thora!

Elayne poderwała się na równe nogi i ledwie zdążyła pohamować język, kiedy Siuan dała jej znak, że ma milczeć; mało zresztą brakowało, a gest ten byłby zupełnie nieczytelny, zapomniała bowiem wyplątać dłonie z kociej kołyski.

Sheriam wyciągnęła rękę w stronę pojedynczego arkusza papieru, ale ten roztróił się, nim zdążyła go dotknąć.

— Dokąd ona je wysłała? — spytała w tym samym momencie, w którym Myrelle zapytała:

— Kiedy wyjeżdżają z Tar Valon?

W tym momencie cały spokój zawisł na włosku.

— Do Cairhien — odparła Beonin. — Ale nie zauważyłam kiedy, o ile to w ogóle zostało wspomniane. Ale z pewnością potem wybiorą się do Caemlyn, kiedy już się dowiedzą, gdzie on jest.

Tak czy inaczej, była to dobra wiadomość; podróż z Cairhien do Caemlyn mogła potrwać miesiąc. Misja poselska z Salidaru dotrze do niego pierwsza, z całą pewnością. Elayne miała w Salidarze schowaną pod materacem sfatygowaną mapę i codziennie na niej zaznaczała, ile drogi do Caemlyn jej zdaniem mogli już pokonać.

Szara siostra nie skończyła mówić.

— Jak się zdaje Elaida zamierza ofiarować mu swe poparcie. A także eskortę do Wieży.

Sheriam podniosła brwi.

— To niedorzeczność. — Oliwkowe policzki Myrelle pociemniały. — Elaida należała do Czerwonych. — Amyrlin należała do wszystkich Ajah i jednocześnie do żadnej, ale nie mogła tak zwyczajnie wyprzeć się tej, z której się wywodziła.

— Ta kobieta jest gotowa na wszystko — odparła Sheriam. — A on być może uzna poparcie ze strony Białej Wieży za kuszące.

— Może mogłybyśmy przekazać wiadomość Egwene za pośrednictwem kobiet Aielów? — zasugerowała Myrelle bez przekonania.

Siuan kaszlnęła, bardzo głośno i bardzo sztucznie, a Elayne ze swej strony poczuła, że osiągnęła już kres wytrzymałości. Koniecznie należało ostrzec Egwene, to oczywiste — ludzie Elaidy z pewnością zawlekliby ją z powrotem do Wieży, gdyby ją znaleźli w Cairhien, a tam nie spotkałaby się z miłym przyjęciem — ale reszta...!

— Na jakiej podstawie uważacie, że Rand posłuchałby czegokolwiek, co powie Elaida? Czy waszym zdaniem on nie ma pojęcia, że należała kiedyś do Czerwonych Ajah, oraz co ten fakt oznacza? One nie zamierzają zaofiarować mu poparcia i wy o tym dobrze wiecie. Musimy go ostrzec! — Elayne zdawała sobie sprawę, że uwikłała się w sprzeczności, zdenerwowanie zaćmiło jasność myśli. Jeśli Randowi coś się stanie, to ona umrze.

— A czy podpowiesz nam, w jaki sposób mamy to zrobić, Przyjęta? — spytała chłodnym tonem Sheriam.

Elayne pomyślała, że musi pewnie przypominać rybę, bo tak szeroko miała otwarte usta. Nie miała pojęcia, jakiej odpowiedzi udzielić. Nagle z opresji uratował ją jakiś daleki wrzask, po którym rozległy się niezrozumiałe okrzyki z przedsionka. Stała wprawdzie najbliżej drzwi, ale przebiegła przez nie pospołu z innymi, deptającymi jej po piętach.

W przedsionku nie było nic prócz stołu Opiekunki, na którym leżały równo ułożone stosy papierów, serty zwojów i dokumentów, oraz rzędu krzesel po jedną ze ścian, na których zwykły siadywać Aes Sedai oczekujące na posłuchanie

u Elaidy. Anayia, Morvrin i Carlina gdzieś zniknęły, ale jedne z wysokich zewnętrznych drzwi właśnie się zatrzaśkiwały. To zza nich dobiegały oszalałe wrzaski jakiejś kobiety. Sheriam, Myrelle i Beonin omal nie przewróciły Elayne, gdy pędem wypadły na korytarz. Mogły wydawać się mgliste, ale w dotyku były dostatecznie materialne.

— Uważajcie! — krzyknęła Elayne, ale nie mogła zrobić nic innego, jak tylko podkasać spódnice i popędzić za nimi równie szybko w towarzystwie Suan. Wypadły na scenę rodem z koszmaru. Dosłownie.

Po ich prawej stronie, w odległości około trzydziestu kroków, obwieszony gobelinami korytarz rozszerzał się nagle, przechodząc w kamienną grootę, zdającą się rozciągać w nieskończoność i rozświetloną plamami mrocznych, czerwonych łun rozproszonych ognisk oraz koszy z płonącymi węglami. Wszędzie, jak okiem sięgnąć, były trolloki, wielkie, człekopodobne kształty, o ludzkich rysach twarzy zniekształconych zwierzęcymi pyskami, ryjami i dziobami, z rogami, kłami albo pierzastymi grzebieniami. Te w oddali wydawały się bardziej zamazane od tych, które znajdowały się bliżej, jakby ukształtowane jedynie w połowie, natomiast te najbliższe były gigantami dwakroć większymi od człowieka, większe nawet od prawdziwych trolloków, jednako odziane w skóry i czarne kolczugi z kolcami; wszystkie wyły i płały dziko wokół ognisk i kotłów, drewnianych stelaży, dziwacznych kolczastych ram i metalowych potwornych konstrukcji.

To był prawdziwy koszmar, gorszy jeszcze od tych wszystkich, o jakich Elayne słyszała z ust Egwene albo od Mądrych. Coś takiego, gdy już raz się wydostało z umysłu, który to stworzył, dryfowało niekiedy po Świecie Snów, tudzież uczeptało się jakiegoś szczególnego miejsca. Spacerujące po snach Aielów niszczyły każdy taki napotkany koszmar, powiedziały jej jednak, a Egwene to potwierdziła, że gdy coś takiego napotka, to ma starać się jak najszybciej od tego uciec. Niestety, Carlina najwyraźniej nie słuchała, kiedy ona i Nynaeve o tym wspominały.

Biała siostra została związana i powieszona za kostki na łańcuchu, którego koniec ginał gdzieś w ciemnościach nad jej głową. Elayne nadal widziała otaczającą ją lunę *saidara*, ale Carlina miotła się jak oszalała i wrzeszczała, kiedy powoli opuszczano ją głową w dół, w stronę wielkiego czarnego kotła, w którym bulgotał olej.

W momencie gdy Elayne dopiero wybiegała na korytarz, Anayia i Morvrin zatrzymały się tuż przed miejscem, w którym korytarz zamieniał się w grootę. Zatrzymały się, ale tylko na mgnienie oka, po czym ich mgliste sylwetki znieacka wydłużyły się jakby w stronę tego pasa granicznego, na podobieństwo dymu wsysanego do komina. Dotknęły go ledwie i już były wewnątrz. Morvrin rozkrzyczała się wniebogłosy, kiedy dwa trolloki jeły obracać wielkie żelazne obręcze, z coraz większą siłą rozciągając jej ciało, Anayia zaś zawisała w powietrzu, pochwycona za nadgarstki, a trolloki podskakiwały wokół niej dziko i chłostały ją metalowymi biczami, rozdierając w jej sukni podłużne dziury.

— Musimy się połączyć — zarządziła Sheriam i otaczająca ją łuna zmieszała się z łunami otaczającymi Myrelle i Beonin. A mimo to nawet wtedy nie była to łuna tak jasna jak ta, która biłaby z jednej tylko kobiety w świecie jawy, z kobiety, która nie była tylko mglistą postacią ze snu.

— Nie! — krzyknęła z naciskiem Elayne. — Nie wolno wam się godzić, że to coś istnieje realnie. Musicie to traktować jako... — Chwyciła Sheriam za rękę, ale strumień Ognia, utkany przez te trzy, rozrzedzony, mimo iż były połączone, dotknął linii oddzielającej sen od koszmaru. Splot natychmiast tutaj zaniknął, jakby ta zhora go wchłonęła i w tej samej chwili trzy Aes Sedai zostały wessane do groty, niczym mgła pochwycona przez wiatr. Krzyknęły zaskoczone i w tym momencie zniknęły. Po chwili Sheriam pojawiła się ponownie, a raczej jej głowa, która wystawała z dzwonu odlanego z jakiegoś ciemnego metalu. Stożące obok trolloki kręciły korbami i podnosiły dźwignie; Sheriam krzyczała coraz głośniejsze, potrząsając gwałtownie rudymi włosami. Po pozostałych dwóch nie było ani śladu, ale Elayne wydało się, że znowu słyszy dobiegające ją z oddali krzyki, płaczliwe „Nie!” i czyjeś błaganie o pomoc.

— Czy pamiętasz, co ci mówiłyśmy o przeganianiu koszmarów? — spytała Elayne.

Siuan, z oczyma utkwionymi w rozgrywającej się przed nią scenie, przytaknęła.

— Trzeba zaprzeczać ich realności. Postarać się umocnić w umyśle taki obraz rzeczy, jaki w rzeczywistości zazwyczaj oglądamy.

Na tym polegał błąd Sheriam, błąd wszystkich Aes Sedai prawdopodobnie. Chcąc walczyć z koszmarem, próbowały przenosić i tym samym zaakceptowały go jako coś realnego. I przez tę akceptację dały się do niego wciągnąć, co miało ten sam skutek, jakby zwyczajnie do niego weszły, stawały się bowiem całkiem bezradne aż do czasu, zanim nie przypomną sobie tego, o czym zapomniały. Jak dotąd, nie zdradzały śladu choćby oznak, by im się to miało udać. Coraz głośniejsze okrzyki zdawały się wwiercać w głąb czaszki Elayne.

— Korytarz — mruknęła, starając się uformować w głowie jego obraz, dokładnie tak jak wyglądał, gdy go widziała po raz ostatni. — Myśl o korytarzu w taki sposób, w jaki go zapamiętałaś.

— Staram się, dziewczyno — warknęła Siuan. — Ale mi nie wychodzi.

Elayne westchnęła. Siuan miała rację. W roztaczającej się przed nimi scenie nie zachwiała się nawet jedna kreska. Głowa Sheriamomalże wibrowała nad metalowym całunem, który okrywał resztę jej ciała. Wycie Morvrin przerodziło się w wymuszone rżenie; Elayne wydawało się niemalże, że słyszy, jak rozrywane są jej stawy. Włosy Carliny, zwisające poniżej jej głowy, dotykały już prawie skłębionej powierzchni wrzącego oleju. Dwie kobiety to za mało. Koszmar był zbyt przemożny.

— Potrzebujemy innych — stwierdziła.

— Leane i Nynaeeve? Dziewczyno, żebym to ja wiedziała, gdzie je znaleźć. Przecież Sheriam i reszta mogą umrzeć, zanim... — Zawiesiła głos, zagapiona na Elayne. — Nie masz na myśli Leane i Nyaneve, prawda? Mówisz o Sheriam i... — Elayne tylko skinęła głową; była zbyt przerażona; by coś powiedzieć. — One nas stamtąd, moim zdaniem, ani nie słyszą, ani nie widzą. Te trolloki nawet nie zerknęły w naszą stronę. To oznacza, że musimy spróbować od wewnątrz. — Elayne znowu przytaknęła. — Dziewczyno — powiedziała Suan głosem pozbawionym barwy — masz odwagę lwa i być może rozum rybołowa. — Ciężko westchnąwszy, dodała: — Ale sama też nie widzę innego sposobu.

Elayne zgadzała się z nią w każdej z tych kwestii, wyjąwszy odwagę. Gdyby tak silnie nie zwarła kolan, to zapewne padłaby jak nieżywa na tę posadzkę wyłożoną płytkami we wzory z barw wszystkich Ajah. Dotarło do niej, że w ręku trzyma miecz, wielki połyskujący kawał stali, absolutnie bezużyteczny, nawet gdyby wiedziała, jak nim władać. Wypuściła go z ręki i miecz zniknął, zanim dotknął posadzki.

— Czekanie w niczym nie pomoże — mruknęła. Minie jeszcze trochę czasu i ta odrobina odwagi, którą jakoś w sobie znalazła, z całą pewnością wyparuje.

Razem z Suan podeszła w stronę pasa granicznego. Dotknęła go stopą i nagle poczuła, że coś ją wciąga, zasysa niczym wodę przez słomkę.

W jednej chwili stała w korytarzu, wpatrzona w okropieństwa, w następnej leżała na brzuchu, na szorstkim szarym kamieniu, z rękoma i nogami związanymi ciasno razem z tyłu ciała i te wszystkie okropieństwa ją otaczały. Grota ciągnęła się w nieskończoność, we wszystkich kierunkach; korytarz Wieży jakby przestał istnieć. Powietrze wypełniały wrzaski odbijające się echem od skalnych ścian i sklepienia naszpikowanego stalaktytami. W odległości kilku kroków od niej, na buzującym ognisku stał ogromny czarny kocioł. Trollok z ryjem i kłami dzika wrzucał do ognia bulwy jakichś korzeni. Kocioł do gotowania. Trolloki jadły wszystko. Łącznie z ludźmi. Pomyślała o swych rękach i nogach jako wolnych, ale szorstki sznur nadal wpijał się w jej ciało. Zniknął nawet bładny cień *saidara*; Prawdziwe Źródło nie istniało już dla niej, nie tutaj. Koszmar, który miał się naprawdę, a ona dała się przezeń pochwyć, i to na dobre.

W chór panicznych wrzasków wcięły się zbolące pojękiwania Suan.

— Sheriam, posłuchaj mnie! — Światłość tylko wiedziała, co z nią robiono; Elayne nie widziała pozostałych. Tylko je słyszała. — To jest sen! Aah... aaaaaaaah! P-pomyśl, jak powinno być naprawdę!

Elayne podjęła jej wołanie.

— Sheriam, Anaiya, posłuchajcie mnie wszystkie! Musicie przywołać w myślach taki obraz korytarza, jakim był przedtem! Jaki jest naprawdę! Będzie realny tak długo, jak będziecie w to wierzyć! — Z całą stanowczością nakierowała umysł na obraz korytarza, na idealnie równe rzędy kolorowych płytek, na poślacane lampy i pełne przepychu gobeliny. Nic się nie zmieniło. Grotę nadal wypełniały echa

przeraźliwych krzyków. — Musicie myśleć o korytarzu! Utrzymajcie go w myślach, a stanie się realny! Spróbujcie, na pewno wam się uda! — Trollok spojrział na nią; w rękę trzymał teraz gruby nóż z ostrym końcem. — Sheriam, Anaiya, musicie się skupić! Myrelle, Beonin, skupcie się na korytarzu! — Trollok przewrócił ją na bok. Usiłowała się wyrwać, ale ciężkie kolano przytrzymało ją bez wysiłku i stwór zaczął ciąć jej ubranie na pasy, niczym myśliwy obdzierający ze skóry martwego jelenia. Desperacko przywarła do obrazu korytarza. — Carlinya, Morvrin, na miłość Światłości, skupcie się! Pomyślcie o korytarzu! Korytarz! Wszystkie! Myślcie o nim, ile wam starczy sił!

Trollok, powarkujący coś w twardo brzmiący narzeczu, który nigdy nie powstał z myślą o ludzkich narządach mowy, rzucił ją na twarz, a potem ukląkł na niej, przyciskając grubymi kolanami jej ręce do pleców.

— Korytarz! — wrzasnęła przeraźliwie. Stwór wplątał grube palce w jej włosy, szarpnął głowę w tył. — Korytarz! Myślcie o korytarzu! — Ostrze trolloka dotknęło jej napiętego karku pod lewym uchem. — Korytarz! Korytarz! — Ostrze zaczęło sunąć po skórze.

I nagle tuż przed nosem zobaczyła kolorową posadzkę. Przycisnęła dłonie do gardła, zdziwiona, że mogą się ruszać, poczuła wilgoć; podniosła palce do oczu, żeby im się przyjrzeć. Krew, ale tylko małeńka plamka. Przeszył ją dreszcz. Gdyby tamtemu trolloкови udało się poderżnąć jej gardło... Żadne Uzdrawianie nie mogłoby tego uleczyć. Znowu zadygotała, po czym powoli podniosła się na nogi. Znajdowała się na korytarzu w Wieży, przed gabinetem Amyrlin. Nie było ani śladu po trollokach czy grocie.

Zobaczyła Siuan, która badała rozliczne siniaki wyzierające spod jej podartej sukni i Aes Sedai, mgliste sylwetki w stanie bliskim całkowitej destrukcji. W najlepszej kondycji była Carlinya, która stała cała roztrzęsiona i z wytrzeszczonymi oczyma gładziła palcami ciemne włosy urywające się teraz w odległości dłoni od jej czaszki. Rozszlochane Sheriam i Anaiya przypominały sterty zakrwawionych łachmanów. Myrelle obejmowała się ramionami, ze zbielełą twarzą, całkiem naga i od stóp do głów pokryta długimi, czerwonymi szramami i pręgami. Morvrin jęczała przy każdym ruchu, wykonywanym zresztą w tak nienaturalny sposób, jakby jej stawy przestały funkcjonować jak należy. Beonin, w sukni rozdartej na strzępy przez jakieś pazury, dyszała ciężko na klęczkach, z oczyma wytrzeszczonymi do granic niemożliwości, przytrzymując się ściany, żeby się nie przewrócić.

Nagle Elayne zorientowała się, że suknia i bielizna zaraz zsuną jej się z ramion, rozcięte od przodu na dwie równe połowy. Myśliwy obdzierający ze skóry upolowanego jelenia. Zadygotała tak gwałtownie, że mało co, a byłaby upadła. Z naprawą odzienia pójdzie łatwo, wystarczy tylko pomyśleć, nie była jednak pewna, ile czasu potrwa leczenie wspomnień.

— Musimy wracać — powiedziała Morvrin, niezdarnie klękając między Sheriam i Anaiją. Mimo zeszywnienia i bolesnych postękiwań, mówiła jak zawsze

powściągliwym tonem. — Potrzebne jest Uzdrawianie, a w takim stanie żadna z nas nie jest w stanie tego zrobić.

— Tak. — Carlinya znowu dotknęła swoich włosów. — Tak, chyba będzie najlepiej, jak wrócimy do Salidaru. — Jej głos stracił niewątpliwie domieszkę lodowatego zazwyczaj tonu.

— Jeśli nikt nie ma nic przeciwko temu, to ja tu jeszcze zostanę trochę — oznajmiła Suan. Czy raczej zasugerowała tym nie pasującym do niej pokornym głosem. Jej suknia znowu była cała, ale siniaki zostały. — Może uda mi się dowiedzieć czegoś użytecznego. Oberwałam tylko kilka guzów, a wszak miewałam już gorsze od przewracania się na łodzi.

— Wyglądasz raczej tak, jakby ktoś rzucił w ciebie łodzią — powiedziała jej Morvrin — ale ostatecznie wybór należy do ciebie.

— Ja też zostanę — oznajmiła Elayne. — Mogę pomóc Suan, a poza tym w ogóle nie odniosłam żadnych obrażeń. — Za każdym razem, gdy przełykała ślinę, czuła nacięcie na gardle.

— Nie potrzebuję żadnej pomocy — odparła Suan w tym samym momencie, w którym Morvrin, tym razem o wiele silniejszym głosem, powiedziała:

— Tej nocy udało ci się nie stracić głowy, dziecko. Nie trać jej więc teraz. Idziesz z nami.

Elayne posępnie przytaknęła. Wyklócanie się nie zawiodłoby jej donikąd, wyjąwszy szmatę i wiadro z gorącą wodą. Wręcz można było pomyśleć, że Brązowa siostra jest tutaj nauczycielką, a Elayne uczennicą. Prawdopodobnie uważały, że ona wpadła do koszmaru w taki sam sposób jak one.

— Pamiętajcie, że możecie wyjść ze snu prosto do swych ciał. Nie musicie najpierw wracać do Salidaru.

Nie było jak orzec, czy ją usłyszały. Morvrin natychmiast się odwróciła, ledwie skinęła głową.

— Uspokój się już, Sheriam — powiedziała pocieszającym tonem krępa kobieta. — Wrócimy do Salidaru za kilka chwil. Ty też się uspokój, Anaiya. — Sheriam przynajmniej przestała płakać, aczkolwiek nadal pojękiwała z bólu. — Carlinya, czy możesz pomóc Myrelle? Jesteś gotowa, Beonin? Beonin?

Szara podniosła głowę i przez chwilę wpatrywała się w Morvrin, zanim przytaknęła.

Sześć Aes Sedai zniknęło. Obejrzawszy się po raz ostatni na Suan, Elayne pozostała na chwilę z tyłu, ale nie wróciła do Salidaru. Któraś zapewne do niej przyjdzie, żeby Uzdrowić zadrapanie na szyi, o ile w ogóle je dostrzegły, ale na razie będą się przejmowały sześciora Aes Sedai, które po przebudzeniu będą wyglądały tak, jakby zostały przepchnięte przez tryby jakichś monstrualnie wielkich zegarów. Elayne zamierzała wykorzystać właśnie te kilka minut, po to, by udać się w całkiem inne miejsce.

Wielka Sala pałacu jej matki w Caemlyn pojawiła się wokół niej w końcu, ale

nie jak zazwyczaj — bez trudu. Czowała opór, zanim wreszcie stanęła na czerwono-białych płytkach posadzki pod wielkim sklepionym dachem, między rzędami masywnych białych kolumn. I tutaj światło zdawało się docierać jakby zewsząd i jednocześnie znikąd. Ogromne witraże w sklepieniu, przedstawiające Białego Lwa na przemian z portretami najwcześniejszych królowych Andoru oraz scenami wielkich andorańskich zwycięstw, na tle panującej na zewnątrz nocy były niewidoczne.

Natychmiast zauważyła różnicę; zorientowała się, że to właśnie ona utrudniła jej przybycie do pałacu. Na podium w końcu sali, zamiast Tronu Lwa, stało monstrum, majestatyczne i pretensjonalne, wykonane ze smoków iskrzących się złotem i czerwienią emalii, ze słonecznymi kamieniami osadzonymi w oczodolach. Nie usunięto tronu jej matki z komnaty. Stał na czymś w rodzaju piedestału, wyższego od tego paskudztwa i częściowo za nim skrytego.

Elayne przeszła powoli przez salę i wspięła się po białych marmurowych stopniach, by popatrzeć na pozłacany tron andorańskich królowych. Biały Lew Andoru, z kamieni księżycowych na tle rubinowego pola, zwykł wieńczyć głowę jej matki.

— Co ty wyprawiasz, Rand? — spytała ochryple. — Czy zdajesz sobie sprawę, co ty wyprawiasz?

Strasznie się bała, że on pokpił sprawę; jej tutaj nie było, więc nie miał go kto przeprowadzić przez labirynt pułapek. Prawda, z Tairenianami poradził sobie całkiem niezłe i z Cairhienianami najwyraźniej też, ale jej lud był inny, szczerzy i prostoduszny, nie godził się być przedmiotem manipulacji albo wulgarnych oszustw. To, co udało się w Łzie albo Cairhien, tutaj mogło wybuchnąć mu prosto w twarz niczym pokaz sztucznych ogni jakiegoś iluminatora.

Żeby tak mogła być z nim. Żeby tak mogła go ostrzec przez misją poselską z Wieży. Elaida na pewno przemyślała jakąś sztuczkę, która zadziała, kiedy będzie się tego najmniej spodziewał. Czy będzie dość spostrzegawczy, by ją wychwycić? A skoro już o tym mowa, to nie miała pojęcia, jakie rozkazy otrzymała misja poselska Salidaru. Wbrew wysiłkom Siuan większość Aes Sedai z Salidaru nadal zdawała się mieć podzielone zdanie co do Randa al'Thora; był Smokiem Odrodzonym, zbawcą ludzkości zgodnie z prorocत्वami, ale poza tym również mężczyzną, który potrafił przenosić, skazanym na obłąd, śmierć i destrukcję.

„Zajmij się nim, Min — pomyślała — Dotrzyj do niego jak najszybciej i zaopiekuj się nim”.

Poczuła ukłucie zazdrości; Min będzie tutaj i zrobi, co zechce. Być może będzie musiała się nim podzielić, ale jakąś jego część zachowa wyłącznie dla siebie. Zwiąże go więzią jako Strażnika, niezależnie od kosztów.

— Niechaj tak się stanie. — Wyciągnęła rękę w stronę Tronu Lwa, by złożyć przysięgę w taki sposób, w jaki przysięgały królowe przez wszystkie lata istnienia Andoru. Piedestał był za wysoki, więc nie mogła go dotknąć, ale powinna liczyć



się intencja. — Niechaj tak się stanie.

Jej czas dobiegał końca. W Salidarze zaraz miały przyjść do niej Aes Sedai, żeby ją zbudzić i żeby Uzdrowić to żałosne zadrapanie na szyi. Westchnęła i wyszła ze snu.

\* \* \*

Demandred wyszedł zza rzędu kolumn Wielkiej Komnaty i przeniósł wzrok z dwóch tronów na miejsce, w którym zniknęła dziewczyna. Elayne Trakand, chyba że zgadywał wyjątkowo nietrafnie, która, sądząc po jej rozmytej sylwetce, posługiwała się jakimś kiepskim *ter'angraelem*, jednym z takich, które wykonano dla początkujących. Wiele by oddał, żeby wiedzieć, co kryło się w jej głowie, aczkolwiek wypowiedziane przez nią słowa, a także wyraz twarzy mówiły o tym dość jasno. Nie podobało jej się to, co robił tutaj al'Thor, ani trochę, i zamierzała coś z tym zrobić. Zdeterminowana młoda kobieta, domyślał się. A w każdym razie na pewno jeszcze jeden wątek wplątany do tej gmatwaniny, nawet jeśli siła jego przyciągania okaże się niezwykle słaba.

— Niech zapanuje Władca Chaosu — powiedział w stronę tronów, nadal żałując, że nie wie, dlaczego właściwie tak miałoby się stać, po czym otworzył bramę, przez którą opuścił *Tel'aran'rhiod*.

## ZBIERA SIĘ NA BURZĘ

Następnego dnia Nynaeve obudziła się już o pierwszym brzasku, na dodatek w bardzo złym humorze. Miała wrażenie, że nadciąga okres złej pogody, aczkolwiek jeden rzut oka za okno upewnił ją, że ani jedna chmura nie szpeciła wciąż jeszcze szarego nieba. Zanosilo się na jeszcze jeden dzień spędzony jakby we wnętrzu pieca. Jej koszula nocna cała nasiąkała wilgocią i zmięta się od rzucania się po łóżku. Kiedyś mogła polegać na swej umiejętności Słuchania Wiatru, ale i ona jakby się wypaczyła od czasu wyjazdu z Dwu Rzek, o ile wręcz całkiem jej nie utraciła.

Czekanie na swoją kolejkę przy umywalce też nie pomogło, nastroju nie poprawiła jej również mroząca krew w żyłach opowieść Elayne o tym, co zaszło po jej wyjściu z gabinetu Elaidy. Ona spędziła noc na bezowocnym przeszukiwaniu ulic Tar Valon, na których nie było nic oprócz niej samej, gołębi, szczurów i stert śmieci. Przeżyła wstrząs. W Tar Valon panował zawsze nieskazitelny porządek; Elaida musiała straszliwie zaniedbywać sprzątanie miasta, skoro śmieci pojawiły się nawet w *Tel'aran'rhiod*. Raz w oknie tawerny — tawerny! — blisko Południowego Portu spostrzegła przelotnie Leane, ale kiedy pospiesznie weszła do środka, w głównej izbie nie zobaczyła nic z wyjątkiem stołów i ław świeżo pomalowanych na niebiesko. Już by się poddała, ale Myrelle zdręzczała ją ostatnimi czasy, dlatego chciała mieć czyste sumienie, gdy będzie zapewniała tę kobietę, że próbowała. Nynaeve nigdy nie widziała ani też nie słyszała o nikim, kto by tak się czepiał każdej wymówki jak Myrelle. Chcąc więc zakończyć sprawę, jak się należy, wystąpiła ubiegłej nocy z *Tel'aran'rhiod* i wtedy zobaczyła pierścień Elayne już leżący z powrotem na stole oraz samą Elayne głęboko pogrążoną we śnie. Gdyby rozdawano nagrody za daremne wysiłki, to ona by taką zdobyła, ot tak, nic nie robiąc. A teraz jeszcze dowiedziała się, że Sheriam i reszta omal nie dały się zabić... Nawet ćwierkanie jaskółki zamkniętej w wiklinowej klatce wywołało na jej twarzy skwaszony grymas.

— Im się wydaje, że wiedzą wszystko — mruknęła z pogardą Nynaeve. — Mówiłam im o koszmarach. Ostrzegałam je, a poza tym ta ubiegła noc nie była pierwsza tego typu. — Fakt, że wszystkie sześć zostało Uzdrawionych, zanim ona zdążyła wrócić z *Tel'aran'rhiod*, jeszcze niczego nie zmieniał. Cała ta histo-

ria mogła się skończyć znacznie gorzej, bo im się wydawało, że wiedzą wszystko. Zirytowana co rusz szarpała z irytacją warkocz, toteż jego ponowne splatanie ciągnęło się w nieskończoność. Bransoleta też czasami wplątywała jej się we włosy, ale nie zamierzała jej zdjąć. Tego dnia kolej na jej włożenie przypadła na Elayne, ale było prawdopodobne, że ta nawet jej nie zdejmie z kołka wbitego w ścianę. Przez bransoletę łaskotał ją niepokój, a także nieodmienny strach, ale przede wszystkim frustracja. Bez wątpienia „Marigan” już nakrywała do śniadania. Najwyraźniej fakt, że zmuszano ją do wykonywania codziennych posług, działał jej jeszcze bardziej na nerwy niż niewola. — Ale ty ze swej strony rozumowałaś poprawnie, Elayne. Nie powiedziałaś tylko, jak do tego doszło, że próbowałaś je ostrzec, a potem sama się w to wpakowałaś.

Elayne zadygotała, nie przestając szorować twarzy szmatką.

— Wpaść na to nie było trudno. Z koszmarem tych rozmiarów mogliśmy poradzić sobie tylko wszystkie razem. Może dzięki temu nauczyły się nieco pokory. Może dzięki temu ich spotkanie z Mądrymi tej nocy nie wypadnie tak źle jak zawsze.

Nynaeve przytaknęła sobie w duchu. Dokładnie tak, jak myślała. Nie w związku z Sheriam i pozostałymi. Aes Sedai nauczą się pokory w dniu, gdy kozy zaczną fruwać i stanie się to zresztą o dzień wcześniej, niżli dojrzeją Mądre, skoro już o tym mowa. Chodziło o Elayne. Ta dziewczyna prawdopodobnie dobrowolnie dała się pochwycić w pułapkę koszmaru, aczkolwiek sama nigdy się do tego nie przyzna. Nynaeve nie była pewna, czy Elayne uważa, że przyznawanie się do własnej odwagi oznacza chwalenie się albo czy zwyczajnie do niej nie dotarło, jaka jest odważna. Tak czy inaczej, Nynaeve była rozdarta między podziwem dla odwagi tamtej i pragnieniem, by Elayne chociaż raz się do niej przyznała.

— Chyba widziałam Randa. — Szmatka opadła.

— Czy on tam był cieleśnie? — Zdaniem Mądrych przebywanie w Świecie Snów ciałem było niebezpieczne; ryzykowało się utratę jakiejś części tego, co cię czyniło człowiekiem. — Przestrzegając go przecież przed tym.

— A od kiedy to on zaczął słuchać głosu rozsądku? Ja go tylko dostrzegłam w przelocie. Może zwyczajnie musnął *Tel'aran'rhiod* podczas snu. — Nieprawdopodobne. Najwyraźniej ogroził swe sny pasem zabezpieczeń tak silnym, że jej zdaniem nie mógł dotrzeć do Świata Snów inaczej niż ciałem, nawet gdyby był wędrującym po snach i miał jeden z pierścieni. — Może to był ktoś, kto go odrobinę przypominał. Jak powiedziałam, widziałam go tylko przez chwilę, na placu przed Wieżą.

— Powinam tam być razem z nim — mruknęła Elayne. Opróżniwszy zawartość miski do nocnego naczynia, odeszła na bok, by dopuścić Nynaeve do umywalki. — On mnie potrzebuje.

— On potrzebuje tego, czego zawsze potrzebował. — Nynaeve nalala świeżej wody do miski z dzbana i spochmurniała. Nie znosiła się myć w wodzie, która

stała całą noc. Ta przynajmniej nie była zimna; zresztą na świecie nie istniało chyba już coś takiego jak zimna woda. — Ktoś powinien raz na tydzień wytargać go za uszy, ot tak dla zasady i żeby zachowywał się przyzwoicie.

— To niesprawiedliwe. — Słowa Elayne stłumiła nieco koszula, którą właśnie wciągała przez głowę. — Cały czas się o niego zamartwiam. — Wyraz jej twarzy, która wyskoczyła nagle z dekoltu, wskazywał, że jest bardziej zmartwiona niż oburzona, niezależnie od tonu głosu; po chwili z jednego z kołków ściągnęła białą suknię z kolorowymi paskami. — Ja się o niego martwię nawet podczas snu! Myślisz, że on spędza czas na martwieniu się o mnie? Bo ja tak wcale nie myślę.

Nynaeve przytaknęła, aczkolwiek nie była przekonana, czy Elayne ma rację, wygłaszając swoje pretensje. Randowi nie powiedziano, gdzie dokładnie jest Elayne, wiedział jednak, że jest bezpieczna wśród Aes Sedai. A czy Rand mógł kiedykolwiek czuć się bezpiecznie? Gdy pochyliła się nad miską, zza koszuli wypadł pierścień Lana, zawieszony na skórzanym rzemyku. Nie, Elayne ma rację. Sama wątpiła, by Lan, cokolwiek robił, gdziekolwiek przebywał, myślał o niej w połowie tak często, jak ona o nim.

„Światłości, żeby on tylko żył, nawet jeśli zupełnie o mnie nie myśli”.

Taka ewentualność tak ją rozzłościła, że gdyby nie miała rąk zajętych mydłem i szmatką, to pewnie wyrwałaby w porwywie gniewu warkocz razem z płatem skóry na głowie.

— Nie możesz tak wiecznie zaprzętać sobie myśli jakimś mężczyzną — stwierdziła kwaśnym tonem — nawet jeśli zamierzasz zostać Zieloną. Co one odkryły ubiegłej nocy?

Była to długa opowieść, choć niespecjalnie treściwa, więc po jakiejś chwili Nynaeve przysiadła na łóżku Elayne, by słuchać i zadawać pytania. Niestety, odpowiedzi wiele jej nie wyjaśniły. Po prostu to już nie było to samo, kiedy się samemu nie widziało tych dokumentów. Wspaniale jest usłyszeć, że Elaida już wie o amnestii wprowadzonej przez Randa, tylko co ona zamierza z tym zrobić? Dowód na to, że Wieża nawiązywała kontakty z władcami, mógł w rzeczy samej stanowić wieść pomyślną; może rozpali ogień pod Komnatą. Coś w końcu musiało je zdopingować do działania. Wysłanie misji poselskiej do Randa z pewnością stanowiło powód do zmartwienia, ale on nie mógł być takim durniem, by słuchać kogoś, kto przybędzie od Elaidy. Czyżby? Elayne po prostu za mało podsłuchiwała. I co ten Rand wyprawia, że stawia Tron Lwa na jakimś piedestale? Co on w ogóle wyprawia z jakimś tronem? Mógł sobie być Smokiem Odrodzonym i tym car-czymś-tam Aielów, jednakże ona nie mogła przejść obojętnie obok faktu, że opiekowała się nim w chorobie, kiedy był mały, i że dawała mu po tyłku, kiedy należało.

Elayne zabrała się znowu za ubieranie; skończyła, zanim jej opowieść dobiegła końca.

— Resztę opowiem ci później — oświadczyła pospiesznie i wybiegła za

drzwi.

Nynaeve burknęła i sama prędko się ubrała. Tego dnia Elayne uczyła pierwszą klasę nowicjuszek, czyli robiła coś, na co Nynaeve jeszcze nie pozwalano. Ale skoro nie ufano jej dostatecznie, by mogła nauczać nowicjuszki, to w takim razie pozostawała jeszcze Moghedien. A ta już niebawem miała skończyć z posługami przy śniadaniu.

Tyle tylko, że kiedy Nynaeve odnalazła tę kobietę, ta właśnie miała ręce po łokcie zanurzone w mydlanej wodzie, przez co srebrny naszyjnik *a'dam* zdawał się wybitnie nie na miejscu. Nie była sama; na otoczonym drewnianym płotem podwórku, pośród parujących kotłów pełnych wrzątku, kilkanaście innych kobiet pracowicie prało odzież na tarach. Inne wieszały już pierwsze pranie na długich linkach rozpiętych między słupkami, ale na swoją kolej w balii czekały jeszcze całe sterty pościeli i bielizny, a także rozmaitych innych rzeczy. Aż dziw brał, że od spojrzenia, jakim obdarzyła ją Moghedien, nie usmażyła jej się skóra. Przez *a'dam* przelewały się nienawiść, wstyd i wściekłość, niemalże skutecznie głusząc zawsze obecny strach.

Dowodząca praczkami, chuda jak patyk siwowłosa kobieta o imieniu Nildra zbliżyła się żwawym krokiem; w ręku niczym berło dzierżyła kopyść, a ciemne, wełniane spódnice miała związane nad kolanami, żeby nie nurzały się w błocie, które powstało od rozlanej wody.

— Dzień dobry, Przyjęta. Chcesz pewnie zabrać Marigan, co? — Oschły ton jej głosu wyrażał szacunek połączony z przeświadczeniem, że być może już następnego dnia do jej praczek przydzielona zostanie jedna z Przyjętych, którą ona będzie mogła zaprząć do roboty na jeden lub kilka dni, może nawet na cały miesiąc, i poganiać ją w takim samym stopniu albo nawet i bardziej niżli pozostałe. — No cóż, jeszcze jej puścić nie mogę. Brak mi rąk do pracy. Jedna z moich dziewcząt wychodzi dzisiaj za męża, inna uciekła, a dwie wykonują lżejszą pracę, bo spodziewają się dziecka. Myrelle Sedai powiedziała, że mogę ją zatrudnić. Może za kilka godzin będę mogła się bez niej obyć. Zobaczmy.

Moghedien wyprostowała się i otworzyła usta, ale Nynaeve uciszyła ją stanowczym spojrzeniem — a także ukradkowym dotknięciem bransolety, którą miała zapiętą na nadgarstku — więc zabrała się z powrotem za pracę. Kilka niewłaściwych słów z ust Moghedien, skarga, która żadną miarą nie przystawała kobiecie z farmy, za jaką tu uchodziła, wystarczyłyby, żeby popchnąć ją na drogę, na końcu której znajdowało się ujarzmienie i spotkanie z katem, a Nynaeve i Elayne zapewne czekał los niewiele lepszy. Nynaeve odruchowo przełknęła ślinę, czując ulgę, gdy Moghedien na nowo pochyliła się nad balią, mruczając coś do siebie, o czym świadczyły jej poruszające się usta. Przez *a'dam* przelały się potoki bezmiernego wstydu i wyraźnej furii.

Nynaeve zdobyła się na uśmiech wobec Nildry, coś do niej burknęła, sama nie była pewna co, po czym żwawym krokiem ruszyła w stronę jednej ze współ-

nych kuchni w poszukiwaniu śniadania. Znowu ta Myrelle. Zastanawiała się, czy Zielona przypadkiem nie uwzięła się na nią z jakiegoś powodu. I czy przypadkiem sama nie nabawi się nadkwasoty od tego pilnowania Moghedien. Od czasu ubrania tej kobiety w *a'dam*, gęsią miętę jadała praktycznie jak cukierki.

Zdobycie glinianego kubka wypełnionego herbatą z miodem oraz gorącej bułeczki dopiero co wyciągniętej z pieca przyszło z łatwością, ale nie usiadła, gdy już to wszystko miała, tylko powędrowała przed siebie, posilając się po drodze. Na jej twarzy już zaperlił się pot. Mimo wczesnej godziny upał wyraźnie narastał, a powietrze całkiem wyschło. Wschodzące nad lasem słońce przybrało kształt kopty ze stopionego złota.

Na nie brukowanych ulicach zapanował tłok, jak zawsze, gdy było dość światła, żeby coś już widzieć. Aes Sedai sunęły dostojnie, ignorując pył i skwar; z tajemniczymi minami szły załatwiać jakieś tajemnicze sprawy, często w towarzystwie Strażników, tych wilków o zimnych oczach, którzy deptali im po piętach, na próżno udając, że dali się oswoić. Wszędzie kręcili się żołnierze; ich oddziały maszerowały albo jechały konno, ale Nynaeve nie pojmowała, dlaczego wolno im robić tłok na ulicach, skoro mieli obozowiska rozbite w lesie. Gdziekolwiek się spojrzęło, biegali dzieci, z których wiele bawiło się w żołnierzy, udając, że patyki to piki i miecze. Odziane na biało, wysłane z różnymi zleceniami nowicjuszek torowały sobie drogę lekkim truchtem. Słudzy poruszali się nieco wolniej: kobiety z naręczami pościeli przeznaczonymi na łóżka Aes Sedai albo koszami pełnymi chleba z kuchni, mężczyźni prowadzący zaprzężone w woły wozy pełne drewna na opał, targający jakieś kufry albo dźwigający na swych barkach zarżnięte jagnięta do kuchni. Salidaru nie budowano z myślą, by pomieścić aż tylu ludzi; odnosiło się wrażenie, że wioska lada moment rozejdzie się w szwach.

Nynaeve nie zatrzymywała się. Przyjęta zasadniczo mogła robić ze swoim dniem, co jej się podobało, o ile nie kazano jej nauczać nowicjuszek, by dzięki temu przyzwyczajęła się do zgłębiania wybranej przez siebie dziedziny nauki, sama albo w towarzystwie jakiejś Aes Sedai, ale Przyjęta, która zdawała się nic nie robić, mogła zostać zwyczajnie porwana przez jedną z Aes Sedai. Nie zamierzała spędzić całego dnia na pomaganiu którejś z Brązowych sióstr w katalogowaniu książek albo kopiowaniu notatek jakiejś Szarej. Nienawidziła kopiowania, tego niezadowolonego cmokania językiem, kiedy zrobiła kleksa, albo tych zirytowanych westchnień, ponieważ jej pismo nie było takie równe jak pismo jakiegoś urzędnika. Dlatego więc przeciskała się przez ten kurz i tłum, wypatrując jednocześnie Siuan i Leane. Była dostatecznie zła, by przenosić bez pomocy Moghedien.

Za każdym razem, gdy czuła ciężki złoty pierścień spoczywający między pierściami, myślała sobie:

„On na pewno żyje. Nawet jeśli o mnie zapomniał, Światłości, spraw, żeby żył”.

Myśl ta, rzecz jasna, powodowała tylko narastającą wściekłość. Jeżeli al'Lan Mandragoran rzeczywiście pozwolił sobie o niej zapomnieć, to ona mu przemówi do rozumu. Na pewno żył. Strażnicy często ginęli w trakcie próżnego aktu zemsty za śmierć ich Aes Sedai — tak jak musiało wzejść słońce, tak żaden Strażnik nie dopuszczał, by cokolwiek stanęło na jego drodze ku takiej zemście — ale Lan nie mógł wziąć odwetu za Moiraine, tak samo jak wówczas, gdyby ta kobieta spadła z konia i złamała sobie kark. Moiraine i Lanfear zabiły się wzajem. On na pewno żył. Tylko dlaczego czuła się winna z powodu śmierci Moiraine? Prawda, ta śmierć wyswobodziła dla niej Lana, ale ona nie miała z nią nic wspólnego. A mimo to, kiedy się dowiedziała, że Moiraine nie żyje, to zamiast się smucić, ogarnęła ją radość, że Lan nareszcie jest wolny. Ta radość trwała krótko, ale Nynaeve i tak nie potrafiła przestać się wstydzić z tego powodu, i to ją przyprawiło o większą złość niż kiedykolwiek.

Nagle zauważyła Myrelle, która właśnie szła energicznym krokiem w jej stronę; towarzyszył jej jasnowłosy Croi Makin, jeden z jej trzech Strażników, mężczyzna młody i chudy jak szczapa, ale za to twardy niczym skała. Po Aes Sedai, z tą determinacją na twarzy, nie było widać żadnych skutków ubiegłej nocy, z całą pewnością. Nic nie wskazywało, by Myrelle szukała właśnie jej, ale Nynaeve prędko umknęła do wielkiego kamiennego budynku, w którym niegdyś mieściła się jedna z trzech gospód Salidaru.

Przestronną główną izbę wysprzątało i umeblowano na podobieństwo sali recepcyjnej; rysy w tynkowanych ścianach i wysokim sklepieniu zostały załatane, zawieszono kilka kolorowych gobelinów, a posadzkę okryto paroma kolorowymi dywanikami, dzięki czemu pęknięcia w deskach przestały już rzucać się w oczy, aczkolwiek nadal nie dawało się ich zapastować. Dla kogoś, kto właśnie przyszedł z ulicy, to cieniste wnętrze istotnie zdawało się chłodne. A już na pewno chłodniejsze niż zalana słońcem ulica. Poza tym ktoś tu właśnie urzędował.

Przed jednym z szerokich wygasłych kominków stał Logain, z wyniosłą i zuchwałą miną, ubrany w haftowany złotem czerwony kaftan, którego poły odgarnął na plecy, strzeżony czujnym wzrokiem Lelaine Akashi, której szal z błękitnymi frędzlami zaświadczał, że jest to najzupełniej oficjalna sytuacja. Ta szczupła kobieta o obliczu pełnym dostojeństwa, niekiedy łagodzonego przez ciepły uśmiech, była jedną z trzech Zasiadających, które z ramienia Błękitnych Ajah należały do Komnaty Wieży w Salidarze. Tego dnia jednak zwracała na siebie uwagę przede wszystkim przenikliwymi oczyma, którymi bacznie lustrowała przybyłych na audiencję do Logaina.

W audiencji uczestniczyło dwóch mężczyzn i jedna kobieta; wszyscy troje olśniewali haftowanymi jedwabiami i złotą biżuterią. Wszyscy troje ponadto siweli już, przy czym jeden z mężczyzn był prawie łysy; brak włosów na czaszce nadrabiały przycięta w kwadrat bródka oraz długie wąsy. Byli to możni altarańscy arystokraci, którzy przybyli ubiegłego dnia do Salidaru pod silną eskortą i z jed-

nako silnymi podejrzeniami żywionymi zarówno względem siebie, jak i wobec faktu, iż Aes Sedai gromadzą armię na terytorium Altary. Altarani składali hołd lenny jakiemuś lordowi, lady albo miastu, nie oddając wiele albo wręcz nie oddając nic krajowi zwanemu Altarą, a poza tym mało który arystokrata płacił podatki albo przejmował się tym, co mówiła królowa w Ebou Dar, wszyscy natomiast zwracali baczną uwagę na powstającą wśród nich armię. Światłość tylko wiedziała, jak przyjęli pogłoski o Sprzymierzonych Smokowi. W danym momencie jednakże całkiem zapomnieli o obrzucaniu się wzajem hardymi spojrzeniami czy też butnym popatrywaniu na Lelaine. Wzrok wbili w Logaina, jakby był jakimś ogromnym, bardzo kolorowym i jadowitym wężem.

Krag zamykał miedzianoskóry Burin Shaeren, który sprawiał takie wrażenie, jakby go wyrzeźbiono z wyrwanego z korzeniami pniaka; czujnie obserwował zarówno Logaina, jak i gości, w każdej chwili gotów do nagłego i gwałtownego ruchu. Strażnik Lelaine tylko po części znajdował się tutaj po to, by nie dopuścić do ucieczki Logaina — ostatecznie Logain przebywał w Salidarze rzekomo z własnej woli — miał przede wszystkim chronić tego człowieka przed niechcianymi gośćmi i nożem w sercu.

Logain ze swojej strony wydawał się rozkwitać pod wpływem wszystkich tych spojrzeń. Wysoki mężczyzna, z krętymi włosami opadającymi na barczyste ramiona, ogorzały i przystojny mimo twardych rysów, hardą miną i pewnością siebie przywodził na myśl orła. Ale to przede wszystkim nadzieja na zemstę rozpałała mu to światło w oczach. Nawet jeśli nie mógł odpłacić się wszystkim, którym chciał, mógł przynajmniej zrewanżować się niektórym.

— Rok wcześniej, zanim się ogłosiłem, znalazło mnie w Cosamelle sześć Czerwonych siostr — mówił właśnie, kiedy weszła Nynaeve. — Przywódczyni zwała się Javindhra, sporo jednak miała do powiedzenia ta, która zwała się Barasine. I słyszałem także wzmiankę o Elaidzie, która najwyraźniej wiedziała o poczynaniach tamtych. Znalazły mnie, kiedy spałem, i odgrodziły tarczą. Pomyślałem wtedy, że już po mnie.

— Aes Sedai... — wtrąciła oschłym tonem przysłuchująca się temu kobieta. Była krępa i miała twarde spojrzenie, a przez jej policzek biegła cienka blizna, zdaniem Nynaeve nie przystająca kobiecie. Altarańskie kobiety cieszyły się wprawdzie reputacją zapalczywych, aczkolwiek jej zdaniem była to reputacja z pewnością przesadzona. — Aes Sedai, jak to możliwe, by to, co on mówi, miało być prawdą?

— Nie wiem jak, lady Sarena — odparła spokojnie Lelaine — uzyskałam jednakże potwierdzenie od osoby, która nie może kłamać. On mówi prawdę.

Twarz Sareny nie uległa zmianie, za to jej dłonie ukryte za plecami zacisnęły się w pięści. Jeden z jej towarzyszy, wysoki mężczyzna o wychudłej twarzy, z większą ilością siwych włosów niż czarnych, wetknął kciuki za pas od miecza, starając się udawać swobodną postawę, ale palce zacisnął tak silnie, że aż pobie-



lały mu stawy.

— Jak już mówiłem — ciągnął Logain z gładkim uśmiechem — znalazły mnie i dały mi do wyboru, że albo umrę na miejscu, albo przyjmę to, co mi oferują. Dziwny wybór, wcale nie taki, jakiego się spodziewałem, jednak nie musiałem się długo zastanawiać. Nie zdradziły się i nie powiedziały, że już kiedyś coś takiego robiły, ale można było wyczuć, że mają wprawę. Nie podały też żadnych powodów, ale jeśliby spojrzeć wstecz, to wszystko wydaje się oczywiste. Pojmam mężczyznę, który potrafi przenosić, wielkiej chwały raczej nie przysporzy, za to obalenie fałszywego Smoka. . .

Nynaeve zmarszczyła czoło. Mówił o tym tak zdawkowo, zupełnie jak człowiek, który zdaje relację z przebiegu polowania, a wszak opowiadał o własnym upadku i każde jego słowo stanowiło kolejny gwóźdź do trumny Elaidy. A być może i do trumny wszystkich Czerwonych Ajah. Skoro Czerwone zmusiły Logaina, by ogłosił się Smokiem Odrodzonym, to czy mogły zrobić to samo z Gorinem Rogadem albo Mazrimem Taimem? A może z wszystkimi fałszywymi Smokami w całej historii? Widziała wręcz niemalże myśli obracające się niby kółka w głowach Altaran, jak koła zębate w młynie, z początku z oporami, stopniowo wpadając w coraz to szybszy rytm.

— Przez cały rok pomagały mi unikać innych Aes Sedai — powiedział Logain — przysyłały posłańców, gdy jakaś znalazła się w okolicy, aczkolwiek wtedy nie kręciło się ich tam wiele. Kiedy już ogłosiłem swoją proklamację i zacząłem zbierać wyznawców, przysyłały wieści, gdzie są wojska króla i jak liczne. Skąd więc, waszym zdaniem, wiedziałbym zawsze, gdzie i kiedy zaatakować? — Jego słuchacze przestąpili z nogi na nogę, zarówno pod wpływem jego piekielnego uśmiechu, jak i słów.

Nienawidził Aes Sedai. Nynaeve nabrała takiego przekonania na podstawie tych niewielu okazji, kiedy była w stanie zmusić się do badania tego mężczyzny. Zresztą od wyjazdu Min ani razu tego nie robiła, a przedtem i tak niczego się nie dowiedziała. Kiedyś wydawało jej się, że z tym badaniem Logaina będzie tak, jakby oglądała problem z innego ujęcia — nigdy nie było widać równie wyraźnie przy korzystaniu z Mocy, że mężczyźni tak bardzo różnią się od kobiet — ale okazało się, że to gorsze niż zagłębienie do jakiejś ciemnej jamy; tam po prostu nic nie było, nawet tej jamy. Tak czy inaczej, przebywanie w obecności Logaina całkiem ją wyprowadzało z równowagi. On obserwował każdy jej ruch z niesłychanym napięciem, od którego przeszywał ją dreszcz, nawet mimo świadomości, że może opakować go w Moc, jeśli on tylko podniesie nie ten palec, co trzeba. Obserwował nie z tym żarem, jaki niekiedy przepełnia męski wzrok utkwiony w kobiecie, a za to z czystą wzdrgną, której najlżejszy ślad nie pojawiał się na jego twarzy, co czyniło to wszystko tym bardziej przerażającym. Aes Sedai odcięły go od Jedynej Mocy na zawsze; Nynaeve potrafiła sobie wyobrazić, co by poczuła, gdyby to jej coś takiego zrobiono. Nie mógł się jednak zemścić na wszystkich Aes Sedai.

Mógł natomiast zniszczyć Czerwone Ajah i poczynił już ku temu znaczące kroki.

Był to w ogóle pierwszy taki raz, kiedy przybyło do niego aż troje arystokratów jednocześnie, ale mniej więcej raz na tydzień ten lord czy tamta lady pojawiali się, by wysłuchać jego opowieści, z całej Altary, a czasami aż z Murandy, i każdy przy wyjeździe sprawiał wrażenie doszczętnie zdruzgotanego rewelacjami Logaina. I nic dziwnego; chyba jedynie wieść o tym, że Aes Sedai musiały przyznać, iż Czarne Ajah istnieją naprawdę, mogła zaszokować bardziej. No cóż, tego uczynić bynajmniej nie zamierzały, w każdym razie na pewno nie publicznie, i mniej więcej z tego samego powodu, najmocniej jak tylko mogły, strzegły wieści o Logainie. Niby za to wszystko były odpowiedzialne wyłącznie Czerwone Ajah, one wszakże należały do Aes Sedai, a zbyt wielu ludzi nie potrafiło odróżnić jednej Ajah od drugiej. Dlatego więc tylko nielicznym było dane wysłuchać Logaina, przy czym każdego z tej garstki wybierano ze względu na władzę, jaką dysponował jego Dom. Te Domy, które obecnie skłonne były używać swego wsparcia Aes Sedai zebranych w Salidarze, nawet jeśli nie zawsze jawnie, albo też w najskromniejszym tylko zakresie, wycofały swe poparcie dla Elaidy.

— Javindhra przysyłała mi zawczasu wiadomość, gdy miała przybyć jakaś większa grupa Aes Sedai — ciągnął Logain — tych, które na mnie polowały, a także informowała mnie o miejscu ich pobytu, żebym mógł je zaatakować, zanim się zorientują. — Pogodne, pozbawione piętna upływu lat rysy Lelaine stwardniały na moment, zaś dłoń Burina powędrowała w stronę rękojeści miecza. Kilka sióstr straciło życie, zanim pojmano Logaina. Sam Logain zdawał się nie zauważać ich reakcji. — Czerwone Ajah ani razu mnie nie zwiodły. Zrobiły to dopiero na samym końcu, kiedy zostałem zdradzony.

Brodaty mężczyzna wpatrywał się w Logaina tak twardo, że nie ulegało wątpliwości, iż się do tego przymusza.

— Aes Sedai, co z jego wyznawcami? Może w Wieży nie był groźny, ale przecież pojmano go w odległości dobrych wielu mil bliżej tego miejsca.

— Nie wszyscy zostali zabici albo wzięci do niewoli — wtrącił się tuż po nim lord o wymizerowanej twarzy. — Większość uciekła, ulotniła się. Znam historię swego kraju, Aes Sedai. Wyznawcy Raolina Darksbane'a, kiedy już go pojmano, ośmielili się zaatakować samą Białą Wieżę, wyznawcy Guaire Amalasana podobnie. Przemarsz armii Logaina przez nasze ziemie za dobrze wbił nam się w pamięć, byśmy życzyli sobie jej powrotu, a wszak mogą zechcieć przyjść mu na ratunek.

— Nie musicie się tego obawiać. — Lelaine omiotła Logaina wzrokiem, przelotnie się uśmiechając, dokładnie tak, jakby patrzyła na dzikiego psa, wiedząc, że jest oswojony i ma na pysku kaganiec ze smyczą. — On już nie pragnie sławy, chce tylko skromnie wynagrodzić wyrządzone przez siebie krzywdy. Wątpię poza tym, czy wśród jego byłych wyznawców znalazłoby się wielu takich, którzy by odpowiedzieli na jego wezwanie, zwłaszcza po tym, jak odwieziono go w klatce

do Tar Valon i poskromiono. — Altaranie, niczym echo, podjęli jej śmiech, ale zrobili to dopiero po chwili i znacznie ciszej. Twarz Logaina przywodziła na myśl żelazną maskę.

Lelaine uniosła brew, zauważywszy nagle stojącą na progu Nynaeve. Nieraz wymieniła z Nynaeve różne uprzejmości, chwaliła odkrycia dokonane rzekomo przez nią i Elayne, ale potrafiła być równie prędką jak każda inna Aes Sedai, gdy należało skarcić Przyjętą, która zrobiła coś złego.

Nynaeve dygnęła i wskazała gestem gliniany kubek po herbacie.

— Wybacz mi, Lelaine Sedai. Muszę go odnieść do kuchni. — I wymknęła się na skwarną ulicę, zanim Aes Sedai zdążyła powiedzieć chociaż słowo.

Na szczęście nie zobaczyła nigdzie w pobliżu Myrelle. Nie miała nastroju do kolejnego wykładu na temat odpowiedzialności, panowania nad swoim usposobieniem czy dowolnej z kilkunastu podobnie głupich rzeczy. I na jeszcze większe szczęście w odległości niecałych trzydziestu kroków zobaczyła Suan i Garetha Bryne, którzy stali naprzeciwko siebie na samym środku ulicy, tarasując drogę tłumowi przechodniów. Podobnie jak u Myrelle, u Suan również nie można było dostrzec ani śladu po tych ciągach, o jakich opowiadała Elayne; może jednak nabrałyby więcej respektu dla *Tel'aran'rhiod*, gdyby jednak nie wyszły stamtąd tak zwyczajnie i gdyby komuś nie udało się Uzdrowić skutków ich uchybień. Nynaeve podeszła bliżej.

— Co z tobą, kobieto? — warknął Bryne na Suan. Jego siwa głowa pochyliła się nad jej pozornie młodą; rozstawione szeroko nogi w wysokich butach i pięści wsparte na biodrach sprawiały, że zdawał się górować nad nią, wielki niczym głąz. Pot spływający mu z twarzy równie dobrze mógł spływać z cudzej, tyle bowiem zwracał na niego uwagi.

— To ja cię tu wychwalam za to, że moje koszule są takie miękkie, a ty chcesz mi w zamian urwać głowę?! I powiedziałem też, że wyglądasz na radosną, co, jak mi się zdaje, nie jest wcale jakimś wstępem do bitwy. To był komplement, kobieto, nawet jeśli nie zawierał róż.

— Komplement? — odburknęła Suan, wpijając w niego płonące niebieskie oczy. — Ja nie chcę twoich komplementów! Czerpiesz po prostu uciechę z faktu, że muszę prasować twoje koszule. Jesteś nikczemniejszym człowiekiem, niż mi się kiedykolwiek wydawało, Gareth Bryne.. Czy ty sobie myślisz, że kiedy armia pomaszeruje, to ja się za tobą powlokę niczym jakaś markietanka, z nadzieją, że usłyszę jeszcze więcej twoich komplementów? I nie mów na mnie „kobieto!” To tak brzmi tak samo jak „Do nogi, psie!”

Na skroni Bryne'a zaczęła pulsować jakaś żyłka.

— Cieszę się, że dotrzymujesz słowa, Suan. I spodziewam się, że będziesz go nadal dotrzymywała, kiedy armia już pomaszeruje, o ile to kiedykolwiek nastąpi. Ja tej przysięgi na tobie nie wymusiłem; to był twój własny wybór, przez który starałaś się wykręcić od odpowiedzialności za swoje czyny. W ogóle się nie spo-

dziewałaś, że ktoś jednak będzie wymagał, abyś jej dotrzymała, prawda? A skoro już mowa o wymarszu armii, to co ty właściwie słyszysz, kiedy tak płaszczysz się przed Aes Sedai i całujesz je po nogach?

Wściekłość Siuan w mgnieniu oka przemieniła się w lodowaty spokój.

— Tego moja przysięga nie wymaga. — Można było pomyśleć, że jest młodą Aes Sedai, która stoi na środku ulicy, wyprężona, z charakterystycznie chłodną, arogancką butą, taką Aes Sedai, która nie parała się Mocą dostatecznie długo, by na jej twarzy zniknęły wszelkie ślady upływu lat. — Nie będę szpiegowała dla ciebie. Służysz Komnacie Wieży, Garcie Bryne, zgodnie z przysięgą, którą sam dla odmiany złożyłeś. Twoja armia pomaszeruje, kiedy tak zadecyduje Wieża. Słuchaj ich słów i okazuj posłuszeństwo, kiedy tego żądają.

Zmiana w Brynie zaszła z prędkością błyskawicy.

— Byłabyś wrogiem, z którym warto skrzyżować miecz — zaśmiał się z podziwem. — Byłabyś lepszym... — Śmiech prawie natychmiast zamienił się we wściekle spojrzenie. — Wieża, powiadasz? Phi! Powiedz Sheriam, że chyba powinna przestać mnie unikać. Zrobi się, co da się zrobić. Powiedz jej, że wilczarz trzymany w klatce równie dobrze może być świnią, kiedy przyjdą wilki. Nie zgromadziłem wszystkich tych ludzi po to, by ich potem sprzedawać na jakimś targowisku. — Krótco skinął głową i energicznymi krokami wmieszał się w tłum. Siuan odprowadziła go wzrokiem, marszcząc czoło.

— O co w tym wszystkim szło? — spytała Nynaeve, a Siuan wzdrygnęła się.

— To nie twoja sprawa — warknęła, wygładzając suknię. Można było pomyśleć, że Nynaeve podkrađła się do niej specjalnie, bo chciała ją nastraszyć. Ta kobieta zawsze wszystko brała bardzo osobiście.

— To pominę milczeniem — odparła zimnym tonem Nynaeve. Nie zamierzała dać się zbyć. — Nie omieszkam natomiast cię zbadać. — Tego dnia zamierzała zrobić coś użytecznego, choćby ją to miało zabić. Siuan otworzyła usta, jednocześnie rozglądając się dookoła. — Nie, nie ma przy mnie Marigan i w danej chwili nie potrzebuję jej. Dopuściłaś mnie do siebie zaledwie dwa razy — dwa razy! — od czasu, gdy znalazłam wskazówkę, że coś w tobie jednak da się Uzdrowić. Zamierzam cię dzisiaj badać, a jeśli mi się nie uda, to powiem Sheriam, że nie słuchasz jej rozkazów obejmujących twoją dyspozycyjność. Przysięgam, że to zrobię!

Przez chwilę miała wrażenie, że ta kobieta zamierza ją podjudzać do najgorszego, ale ostatecznie Siuan pośepnym tonem stwierdziła tylko:

— Po południu. Tego ranka będę zajęta. Chyba że, w twym mniemaniu, to ważniejsze od udzielania pomocy twojemu przyjacielowi z Dwu Rzek?

Nynaeve zrobiła krok bliżej. Żaden z przechodniów nie zaszczycił ich niczym więcej poza przelotnym spojrzeniem, ale i tak zniżyła głos.

— Co one zamierzają z nim zrobić? Stale powtarzasz, że jeszcze nie podjęły decyzji, co zrobią, ale przecież do tej pory musiały już dojść do jakichś ustaleń.

— Gdyby tak było, to Suan by się o tym dowiedziała, niezależnie od tego, czy jej było wolno.

Nagle pojawiła się tam również Leane i Nynaeve równie dobrze mogła nie powiedzieć ani słowa. Suan i Leane spiorunowały się wzajem wzrokiem, ze sztywnymi grzbietami, niczym dwa obce koty zamknięte w jednej małej izdebce.

— No, co tam? — wycedziła Suan przez zaciśnięte usta.

Leane pociągnęła nosem i zadarła głowę tak gwałtownie, że aż zakołysały jej się loki. Szyderczy grymas wykrzywił jej usta, ale słowa nie pasowały ani do miny, ani do tonu głosu.

— Próbowałam im to wyperswadować — odwarknęła, tyle że cicho. — Ale one raczej nie wysłuchały twoich argumentów, bo w ogóle nie wzięły ich pod uwagę. Nie spotkasz się tej nocy z Mądrymi.

— Rybie bebechy! — zakłęła Suan i obróciwszy się na pięcie, odmaszerowała, ale nie szybciej niż Leane, za to w przeciwnym kierunku.

Przepełniona frustracją Nynaeve omal nie wyrzuciła z rozpaczą rąk ku niebu. One rozmawiały w taki sposób, jakby jej tu wcale nie było, jakby ona nie wiedziała dokładnie, o czym one gadają. Całkowicie ją lekceważą. Niech ta Suan lepiej się zjawi się tego popołudnia zgodnie z obietnicą, bo inaczej już ona znajdzie sposób na to, żeby ją wyżyć i powiesić do wyschnięcia! Podskoczyła, kiedy za jej plecami rozległ się kobiecy głos:

— Te dwie powinno się odesłać do Tiany po porcję solidnych batów. — Lelaine stanęła obok Nynaeve, patrząc najpierw w stronę Suan, a potem Leane. To straszenie ludzi! Nigdzie nie było widać śladu po Logainie, Burinie czy altarańskich arystokratkach. Błękitna siostra poprawiła szal. — Nie są już tymi osobami, co kiedyś, ma się rozumieć, ale można by pomyśleć, że powinny zachować odrobinę dobrych manier. Nic z tego nie przyjdzie, jeśli rzeczywiście zaczną wrywać sobie włosy na środku ulicy.

— Zdarza się, że ludzie działają sobie na nerwy — zauważyła Nynaeve. Suan i Leane wkładały tyle pracy w podtrzymywanie swojej fikcji, a ją nic nie kosztuje, jeśli im w tym pomoże. Jak ona nienawidziła, gdy ktoś tak się znienacka do niej podkradał.

Puściła warkocz, gdy Lelaine zmierzyła wzrokiem zaciśniętą na nim dłoń. Stanożczo za wiele Aes Sedai wiedziało o jej nawyku; nawyku, który z całej siły próbowała wykorzenić. Jednak jej rozmówczynie powiedziała tylko:

— Nie wtedy, kiedy to narusza godność Aes Sedai, dziecko. Kobiety, które służą Aes Sedai, powinny publicznie okazywać jakąś powściągliwość, jakkolwiek były głupie w rzeczywistości. — Na to z pewnością nie dało się nic odpowiedzieć; w każdym razie nie potrafiła wymyśleć żadnej w miarę bezpiecznej riposty. — Po co tam weszłaś, kiedy ja znowu pokazywałam Logaina?

— Myślałam, że nikogo nie ma w środku — prędko odparła Nynaeve. — Przepraszam. Mam nadzieję, że ci nie przeszkodziłam. — Nie była to żadna odpo-

wiedź; raczej nie mogła się przyznać, że ukrywała się przed Myrelle, ale szczupła Błękitna tylko przez chwilę patrzyła jej w oczy.

— Co twoim zdaniem zrobi Rand al'Thor, dziecko?

Nynaeve zamrugnęła, całkiem zbita z pantafyku.

— Aes Sedai, ja go nie widziałam od pół roku. Ja wiem tylko tyle, ile usłyszałam tutaj. Czyżby Komnata...? Aes Sedai, co postanowiła Komnata w związku z nim?

Lelaine wyduła wargi, przyglądając się dokładnie twarzy Nynaeve. Wyraz ciemnych oczu zdających się widzieć, co działo się we wnętrzu jej głowy, był dość niepokojący.

— Znaczący zbieg okoliczności. Pochodzisz z tej samej wioski co Smok Odrodzony, podobnie jak ta druga dziewczyna, Egwene al'Vere. Spodziewano się niezwykłych zdarzeń, kiedy tamta została nowicjuską. Czy masz może jakieś pojęcie, gdzie ona jest? — Nie zaczęła na odpowiedź. — I tamci inni dwaj młodzi ludzie, Perrin Aybara oraz Mat Cauthon. Jak rozumiem, obaj są także *ta'veren*. Doprawdy znaczące. I jeszcze ty, z tymi twoimi nadzwyczajnymi odkryciami mimo tak poważnych ograniczeń. Czy Egwene, gdziekolwiek teraz jest, również zapuszcza się tam, dokąd nie dotarła żadna z nas? Wszyscy niejednokrotnie stajecie się tematem dyskusji sióstr, jak sobie zapewne wyobrażasz.

— Mam nadzieję, że mówią o nas same dobre rzeczy — odparła wolno Nynaeve. Od czasu ich przybycia do Salidaru padło wiele pytań na temat Randa, zwłaszcza kiedy do Caemlyn wyruszyła misja poselska, zaś niektóre Aes Sedai wyraźnie nie potrafiły rozmawiać z nią o niczym innym, ale ta sytuacja wróżyła najwyraźniej coś innego. Na tym polegał kłopot z rozmowami z Aes Sedai. Nie było się pewnym, o co im chodzi albo do czego zmierzają.

— Nadal masz nadzieję, że Uzdrowisz Sivan i Leane, dziecko? — Skinąwszy głową, jakby Nynaeve jej odpowiedziała, Lelaine westchnęła. — Czasami mi się wydaje, że Myrelle ma rację. Za bardzo wam pobłażamy. Niezależnie od twoich odkryć, być może mogłybyśmy umieścić cię pod stałą opieką Theodrin, dopóki nie uporasz się z tą blokadą, która nie pozwala ci swobodnie przenosić. Weź pod uwagę swoje dokonania z ostatnich dwu miesięcy i pomyśl, co wtedy byś osiągnęła. — Nieświadomie chwyciwszy się za warkocz, Nynaeve próbowała jakoś dojść do słowa, wyrazić zgrabnie ujęty protest, ale Lelaine nie zwróciła nawet uwagi na te próby. Tym lepiej dla niej, zapewne. — Nie wyświadczaj przysług Sivan i Leane, dziecko. Niech one zapomną, kim i czym były kiedyś, i cieszą się tym, kim i czym są teraz. Sądząc po ich zachowaniu, jedynym powodem, który nie pozwala im zapomnieć całkowicie, jesteś ty i twoje głupie próby Uzdrowienia tego, czego Uzdrowić się nie da. One już nie są Aes Sedai. Po co podsycać fałszywe nadzieje?

W jej głosie słychać było odrobinę współczucia przemieszanego z pogardą. Te, które nie zaliczały się do Aes Sedai, zasługiwały na miano gorszych od nich, a Sivan i Leane, za sprawą swych pokrętnych zabiegów, zapisały się zapewne

w poczet tych najgorszych. A poza tym bez wątpienia nie jedna z Aes Sedai przebywających w Salidarze winiła Suan za kłopoty w Wieży, za jej spiskowanie w czasie, gdy była Amyrlin. Najprawdopodobniej wierzyły, że zasłużyła sobie na wszystko, co jej się przydarzyło, albo nawet na gorsze jeszcze rzeczy.

A jednak to, co się stało, komplikowało całą sprawę. Przypadki ujarzmienia były czymś rzadkim. Przed Suan i Leane przez sto czterdzieści lat ani jedna kobieta nie została osądzona i ujarzmiona; żadna nie uległa wypaleniu od co najmniej dwunastu. Ujarzmiona kobieta zazwyczaj próbowała uciec jak najdalej od Aes Sedai. Gdyby to Lelaine została ujarzmiona, wówczas bez wątpienia chciałaby zapomnieć, że była kiedyś Aes Sedai, oczywiście gdyby tylko mogło to być możliwe. Z pewnością chciałaby zapomnieć, że były nimi także Suan i Leane, że pozbawiono je wszystkiego. Chyba większość Aes Sedai czułoby się swobodniej, gdyby mogły na nie patrzeć jak na dwie kobiety, które nigdy nie potrafiły przynieść i nigdy nie należały do Aes Sedai.

— Sheriam Sedai udzieliła mi zezwolenia na takie próby — odparła Nynaeve tak stanowczo, jak tylko potrafiła się odważyć do pełnej siostry. Lelaine długo patrzyła jej w oczy, aż wreszcie spuściła wzrok. Stawy jej palców zaciśniętych na warkoczku zbieleły, zanim go puściła, ale zachowała niewzruszoną minę. Tylko Przyjęta z wełną zamiast mózgu próbowałaby mierzyć się na spojrzenia z Aes Sedai.

— Wszyscy czasami postępujemy głupio, jednak mądra kobieta uczy się, jak nie dopuszczać do takich sytuacji. Ponieważ ty, jak widzę, zjadłaś już śniadanie, sugeruję więc, byś pozbyła się tego kubka i znalazła sobie coś do roboty, bo jeszcze wylądujesz przy balii z gorącą wodą. Czy kiedykolwiek się zastanawiałaś, czy nie ściąć włosów na krótko? Nieważne. Koniec rozmowy.

Nynaeve machinalnie zaczęła wykonywać ukłon, ale gdy już w pełni pochyliła tułów, stwierdziła, że spogląda na plecy Aes Sedai. Lelaine na nią nie patrzyła, więc mogła ją bezpiecznie spiorunować wzrokiem. Ściąć włosy? Podniosła warkocz i potrząsnęła nim w stronę oddalającej się Aes Sedai. Rozwścieczył ją fakt, że musiała poczekać, zanim będzie mogła to zrobić bezkarnie, ale gdyby nie czekała, to z pewnością już wędrowałaby drogą wiodącą w stronę pralni, na spotkanie z Moghedien, z przystankiem na wizytę u Tiany. Tyle miesięcy siedzenia w Salidarze i zupełnej beczynności — tak przecież sprawy się miały, niezależnie od tego, co jej i Elayne udało się wyciągnąć z Moghedien — pośród Aes Sedai, które nie robiły nic oprócz gadania i czekania, gdy tymczasem cały świat robił wszystko, by bez ich udziału popełnić samobójstwo. A na dodatek Lelaine uważała, że ona powinna ściąć włosy! To ona ścigała Czarne Ajah, dostawała się do niewoli i uciekała z niej, złapała sama jedną z Przeklętych — cóż, o tym żadna z nich nie wiedziała — pomogła Panarch Tarabonu odzyskać tron, nieważne że na krótko, a teraz miała tylko siedzieć i zbierać pochwały za to, co uda jej się wytrząsnąć z Moghedien? Ściąć włosy? Równie dobrze mogła się ogolić na tyso,

na jedno by wyszło!

Dostrzegła kroczącą przez tłum Dagdarę Finchey, równie barczystą jak wszyscy mężczyźni na ulicy i wyższą od większości. Żółta siostra też ją rozzłościła. Jednym z powodów, dla których pozostała w Salidarze, miało być pobieranie nauk u Żółtych, ponieważ one wiedziały więcej niż inni o Uzdrawianiu; wszyscy tak mówili. Ale nawet jeśli któraś z nich wiedziała więcej niż ona do tej pory, to nie zamierzała dzielić się swoją wiedzą ze zwykłą Przyjętą. Żółte powinny jak najbardziej życzliwie odnieść się do jej pragnienia Uzdrawienia wszystkiego, nawet jeśli w grę wchodziło ujarzmienie, a tymczasem daleko im było do tego. Gdyby nie interwencja Sheriam, Dagdara kazałaby jej szorować podłogi od wschodu do zachodu słońca, dopóki nie zrezygnuje z „głupich pomysłów i marnowania czasu”. Inna Żółta, Nisao Dachen, drobna kobieta z oczyma, które chyba potrafiły wbijać gwoździe, nie chciała rozmawiać z Nynaeve tak długo, jak ta będzie się upierała przy swych próbach „zmienienia sposobu, w jaki został utkany Wzór”.

Na domiar wszystkiego wyczucie pogody nadal jej mówiło, że burza nadchodzi, coraz bliżej, mimo iż bezchmurne niebo i płonące słońce cały czas naigrywały się z jej przeczuć.

Mrucząc do siebie, postawiła kubek na mijającej ją furze z drewnem i zaczęła torować sobie drogę przez zatłoczoną ulicę. Nie miała nic więcej do roboty, tylko chodzić dalej, dopóki Moghedien nie będzie wolna, a Światłość tylko wiedziała, kiedy to miało nastąpić. Cały poranek zmarnowany, kolejny z szeregu zmarnowanych dni.

Po drodze wiele Aes Sedai kiwało głowami i uśmiechało się do niej, ale uciekła się do prostego wybiegu, który polegał na uśmiechaniu się w zamian przepraszająco i przyspieszaniu kroku, jakby się gdzieś spieszyła, dzięki czemu nie musiała przystawać i odpowiadać na nieuchronne pytania o nowości, jakich się mogły z jej strony spodziewać. W jej obecnym nastroju równie dobrze mogła im powiedzieć dokładnie, co myśli, a to byłoby w najwyższym stopniu głupie. Próżnowanie. Pytania o to, co robi Rand. Mówienie jej, żeby ścięła włosy. Fuj !

Oczywiście, nie były to tylko uśmiechy. Nisao nie tylko przewierciła Nynaeve wzrokiem; Nynaeve musiała ustąpić jej z drogi, na chwilę przedtem zanim maleńka kobieta omal jej nie zdeptała. I jeszcze jakaś wyniosła jasnowłosa Aes Sedai z wydatnym podbródkiem, na wysokim dereszku, zmierzyła ją spojrzeniem niebieskich oczu, kiedy przejeżdżała obok. Nynaeve nie poznała jej. Kobieta ubrana była bardzo schludnie w suknię do konnej jazdy z jasnoszarego jedwabiu, ale lekki płaszcz podróżny przewieszony przed nią przez siodło mówił o podróży, a ją określał jako nowo przybyłą. Prawdopodobieństwo, że ona jest tu kimś nowym, zwiększał muskularny Strażnik w zielonym kaftanie, który wyraźnie zaniepokojony jechał tuż za nią na szarym rumaku. Strażnicy nigdy nie wyglądali na niespokojnych, ale Nynaeve przypuszczała, że przyłączanie się do rebelii przeciwko Wieży mogło stwarzać takie wyjątki. Światłości! To już nawet nowo przybyłe by-



ły gotowe szarpać jej nerwy!

I wtedy pojawił się Uno z twarzą pokrytą bliznami, wygoloną czaszką i kitą pozostawioną na czubku oraz łatką, na której miał namalowaną groźnie rozjarzoną czerwoną replikę brakującego oka. Przystał donośnym głosem łajac jakiegoś speszzonego młodzieńca, który stał obok i przytrzymywał konia z laną uwiązaną do siodła, i posłał ciepły uśmiech w stronę Nynaeve. No cóż, to byłby ciepły uśmiech, gdyby nie ta łatka. Grymas na twarzy Nynaeve sprawił, że Uno zamrugał i pospiesznie powrócił do besztania żołnierza.

To nie przez Uno czy jego łatkę poczuła pieczenie w żołądku. A w każdym razie nie wyłącznie. To on towarzyszył jej i Elayne w wyprawie do Salidaru i kiedyś nawet obiecał, że ukradnie konie — „pożyczny”, tak to określił — gdyby chciały wyjechać. Teraz już nie było na to szans. Mankiety zniszczonego ciemnego kaftana Uno opasywały złote galony; był oficerem, który szkolił ciężką jazdę dla Garetha Bryne’a i to zadanie za bardzo go pochłonęło, by jeszcze zaprzętał sobie głowę Nynaeve. Nie, to nie była prawda. Gdyby powiedziała, że chce jechać, to w ciągu kilku godzin załatwiłby konie i odjechałaby pod eskortą Shienaran z kitami na głowach, którzy złożyli przysięgę Randowi, a w Salidarze przebywali tylko dlatego, że ona i Elayne ich tutaj sprowadziły. Ale musiałyby przyznać, że nie miała racji, decydując się tutaj zostać, przyznać, że zawsze kłamała, gdy go zapewniała, że tutaj jest szczęśliwa. Przyznanie się do tego wszystkiego zwyczajnie wykraczało poza jej możliwości. Uno został tutaj głównie dlatego, że chciał się opiekować nią i Elayne. Nie usłyszy od niej żadnych wyznań!

Cały ten pomysł wyjazdu z Salidaru, którym natchnął ją widok Uno, był zupełnie nowy i sprawił, że zaczęła gorączkowo myśleć. Gdyby chociaż Thom i Juilin nie wyprawili się do Amadicii. Co wcale nie znaczyło, by udali się w tę podróż dla zabawy. Jeszcze w czasach, kiedy się zdawało, że Aes Sedai tutaj mogą naprawdę coś zrobić, zgłosili się na ochotnika do przeprowadzenia zwiadu po drugiej stronie rzeki. Zamierzali udać się aż do samego Amadoru, zniknęli przed dobrym miesiącem i miało jeszcze upłynąć wiele dni do ich powrotu. Nie byli, naturalnie, jedynymi zwiadowcami; wysyłano nawet Aes Sedai i Strażników, aczkolwiek ci przeważnie kierowali się na zachód, do Tarabon. Takie demonstrowanie, że coś jednak się robi i czeka tylko na to, aż któreś z nich wróci z wieściami, stanowiło dobrą wymówkę dla opieszałości. Nynaeve żałowała, że puściła obu mężczyzn. Żaden by nie wyjechał, gdyby im zakazała.

Thom był tylko starym bardem, chociaż w przeszłości kimś znacznie bardziej się liczącym, a Juilin łowcą złodziei z Łzy; obaj jednak posiadali spore kompetencje, wiedzieli, jak sobie radzić w obcych miejscach i w ogóle okazywali się przydatni z wielu różnych względów. Poza tym towarzyszyli jej i Elayne podczas wyprawy do Salidaru. Żaden nie zadawałby pytań, gdyby im powiedziała, że chce wyjechać. Niewątpliwie dużo by gadali za jej plecami, ale nie w twarz, podobnie jak Uno.

Przyznanie się, że ich naprawdę potrzebuje, wzbudziło jej irytację, ale nie była pewna, czy wie, jak się zabrać za kradzież konia. W każdym razie na pewno ktoś by zauważył Przyjętą, która się kręci przy koniach, obojętnie gdzie, czy w stajniach, czy przy palikach żołnierzy, a gdyby jeszcze zmieniła białą suknię z paskami na jakąś inną, to już na pewno ktoś by ją zobaczył i doniósł, gdyby się tylko pojawiła w pobliżu koni. A nawet gdyby to jej się udało, to i tak potem by ją ścigano. Zbiegła Przyjętą, tak samo jak zbiegłe nowicjuszki, prawie zawsze sprowadzano z powrotem i zmuszano do odbycia kary, która skutecznie odbierała raz na ochotę na podjęcie kolejnej próby. Jak już raz zaczęłaś nauki, by zostać Aes Sedai, to Aes Sedai nie kończyły z tobą, dopóki nie orzekły, że nią jesteś.

Ma się rozumieć, to nie strach przed karą ją powstrzymywał. Co znaczyła jedna czy dwie chłosty wobec możliwości, że zostanie zabita przez Czarne Ajah, albo że stanie twarzą w twarz z jednym z Przeklętych? Tu szło tylko o to, czy rzeczywiście chce jechać. No bo na przykład, dokąd by pojechała? Do Randa w Caemlyn? Do Egwene w Cairhien? I czy Elayne pojechałaby razem z nią? Gdyby miały pojechać do Caemlyn, to na pewno. Czy powodowało ją pragnienie zrobienia czegokolwiek czy raczej strach, że Moghedien zostanie rozpoznana? Kara za ucieczkę nie dałaby się porównać z karą za coś takiego!

Kiedy okrążyła róg jakiegoś domostwa, nie doszedłszy jeszcze do żadnego wniosku, stwierdziła, że patrzy na klasę Elayne, zgromadzoną na otwartej przestrzeni między dwoma kamiennymi domami krytymi strzechą, w miejscu gdzie uprzątnięto gruzy po trzecim, który się zawalił.

Ponad dwadzieścia odzianych w biel kobiet siedziało w półkolu, wpatrzone w Elayne, która ćwiczyła z dwiema wybranymi dziewczynami. Wszystkie trzy kobiety otaczała łuna *saidara*. Tabiya, zielonooka piegowata dziewczyna, mniej więcej szesnastoletnia i Nicola, szczupła, czarnowłosa kobieta w wieku Nynaeve, niepewnymi ruchami podawały sobie mały płomyk. Płomyk drżał, a czasami znikał na chwilę, kiedy któraś zbyt wolno przejmowała go od drugiej. W swym obecnym nastroju Nynaeve widziała ich sploty bardzo dokładnie.

Sheriam i pozostałe podczas swej ucieczki porwały ze sobą osiemnaście nowicjuszek — Tabiya zaliczała się właśnie do nich — ale większość w tej grupie należała, podobnie jak Nicola, do świeżo zwerbowanych, już w okresie, gdy Aes Sedai osiedliły się w Salidarze. Nicola nie była tutaj jedyną kobietą starszą od przeciętnej nowicjuszki; dobra ich połowa była starsza. W czasie gdy Nynaeve i Elayne wyprawiły się do Wieży, Aes Sedai rzadko poddawały sprawdzianom kobiety starsze od Tabiyi — Nynaeve czyniono uwagi nie tylko z racji tego, że była dzikuską, lecz także z powodu jej wieku — ale tutejsze Aes Sedai, powodowane być może desperacją, rozszerzyły zakres sprawdzianów, poddając nim kobiety nawet o kilka lat starsze od Nynaeve. W rezultacie w Salidarze przebywało obecnie więcej nowicjuszek niż przez wiele lat w Białej Wieży. Ten sukces osiągnięto dzięki temu, że Aes Sedai rozesłały siostry po całej Altarze, by przeszukiwały

wioskę po wiosce.

— Żałujesz, że to nie ty uczysz tę klasę?

Głos za jej plecami sprawił, że Nynaeve poczuła, jak podskakuje jej żołądek. To już drugi raz tego ranka. Żałowała, że nie ma w mieszkaniu przy pasie odrobiny gęsiej mięty. Jeśli tak często będzie się dawała zaskakiwać, to jeszcze skończy na sortowaniu papierów dla jakiejś Brązowej.

Kobieta Domani o policzkach barwy jabłka nie była pełną Aes Sedai. W Wieży Theodrin nabrałaby już praw do noszenia szala, ale tutaj wyniesiono ją do rangi wyższej niż Przyjęta, a niższej niż pełna siostra. Nosila pierścień z Wielkim Wężem na prawej dłoni, a nie na lewej, a także zieloną suknię, która znakomicie pasowała do jej ciemnej karnacji, jednak nie mogła wybrać Ajah ani przywdziać szala.

— Mam ciekawsze rzeczy do roboty niż nauczanie stada tępych nowicjuszek.

Theodrin tylko się uśmiechnęła, słysząc ten uszczypliwy ton w głosie Nynaeve. Sama była naprawdę miłą osobą.

— Tępa Przyjęta, która miałaby uczyć tępe nowicjuszek? — Zazwyczaj była miła. — No cóż, i ty będziesz uczyła nowicjuszek, kiedy już doprowadzimy cię do takiego stanu, w którym będziesz w stanie przenosić, mimo braku gotowości do walenia ich po głowach. I nie byłabym zdziwiona, gdybyś krótko potem została wyniesiona w zamian za te wszystkie twoje odkrycia. Wiesz? Nigdy mi nie powiedziałaś, na czym polega twoja sztuczka. — Dzikuski prawie zawsze miały jakieś sztuczki, których uczyły się wraz z pierwszym odkryciem umiejętności przenoszenia. Inną wspólną cechą u większości dzikusek była blokada, czyli coś, co budowały w umysłach, by ukryć umiejętność przenoszenia przed samymi sobą.

Nynaeve z wysiłkiem zachowała spokój na twarzy. Móc przenosić, kiedy tylko zechce. Być wyniesioną do godności Aes Sedai. Żadna z tych rzeczy nie stanowiła remedium na problem Moghedien, ale wtedy mogłaby pojechać, gdzie sobie zechce, studiować to, co chciała, i nikt by jej nie mówił, że nie da się Uzdrowić tego czy tamtego.

— Ludzie zdrowieli, kiedy nie powinni. Kiedy ktoś umierał, wściekałam się, że to wszystko, co wiem o ziołach, nie wystarcza. . . — Wzruszyła ramionami. — I oni zdrowieli.

— To lepiej niż ja. — Szczupła kobieta westchnęła. — Ja potrafiłam sprawić, że jakiś chłopiec chciał albo nie chciał mnie pocałować. Moja blokada wiązała się z mężczyznami, nie z gniewem. — Theodrin roześmiała się, kiedy Nynaeve spojrzała na nią z niedowierzaniem. — Cóż, to były także emocje. Jeśli w pobliżu był jakiś mężczyzna, a ja go bardzo lubiłam albo bardzo nie lubiłam, to potrafiłam przenieść. Jeśli nie czułam ani jednego, ani drugiego, albo obok mnie nie było żadnego mężczyzny, to równie dobrze mogłam być drzewem, jeśli idzie o *saidara*.

— A jak się z tym uporałaś? — spytała z ciekawością Nynaeve. Elayne połączyła właśnie wszystkie nowicjuszeki w pary; niezdarnie podawały sobie płomyki.

Theodrin uśmiechnęła się jeszcze szerzej, ale równocześnie na jej policzki wystąpił rumieniec.

— Pewien młody mężczyzna o imieniu Charel, stajenny ze stajni Wieży, zaczął robić do mnie słodkie oczy. Miałam wtedy piętnaście lat, a on miał olśniewający uśmiech. Aes Sedai pozwoliły mu przesiadywać na moich lekcjach, cicho w kąciku, dzięki czemu mogłam w ogóle przenosić. Nie wiedziałam natomiast, że to przede wszystkim Sheriam zaaranżowała jego spotkania ze mną. — Jej policzki jeszcze mocniej pociemniały. — Nie wiedziałam także, że on ma siostrę bliźniaczkę i że po paru dniach zamiast Charela w rzeczywistości siadywała w tym kącie Marel. Kiedy któregoś dnia w samym środku mojej lekcji zdjęła kaftan i koszulę, byłam tak zaszokowana, że aż zemdlałam. Ale potem mogłam przenosić, kiedy tylko chciałam.

Nynaeve wybuchła śmiechem — nie potrafiła się powstrzymać — i Theodrin, mimo rumieńców, przyłączyła się do niej bez skrępowania.

— Jak ja bym chciała, żeby w moim przypadku to okazało się równie łatwe, Theodrin.

— Nieważne, czy to jest łatwe czy trudne — odparła Theodrin, przestając się śmiać — rozbijemy tę twoją blokadę. Po południu. . .

— Po południu badam Siuan — pospiesznie przerwała jej Nynaeve, a Theodrin zacisnęła usta.

— Ty mnie unikasz, Nynaeve. Podczas ostatnich kilku miesięcy udało ci się wykręcić z wszystkich spotkań oprócz trzech. Potrafię zaakceptować twoje próby i porażki, ale nie pozwalam, żebyś w ogóle bała się próbować.

— Ja się wcale nie boję — zaczęła z oburzeniem Nynaeve, gdy jednocześnie jakiś wewnętrzny głos zapytał ją, czy przypadkiem nie próbuje ukryć przed sobą prawdy. To było takie zniechęcające, jak się tak próbowało, próbowało, próbowało. . . i przegrywało.

Theodrin nie pozwoliła jej powiedzieć nic więcej prócz tych kilku słów.

— Biorąc pod uwagę, że na dzisiaj masz już różne zobowiązania — stwierdziła spokojnie — spotkam się z tobą jutro, a potem będę się z tobą widywała codziennie, w innym wypadku zmusisz mnie do przedsięwzięcia innych kroków. Wcale nie mam na to ochoty i ty też jej nie masz, ale ja naprawdę zamierzam rozbić twoją blokadę. Myrelle poprosiła mnie, bym dołożyła szczególnych starań, a ja przysięgam, że tak się stanie.

Słyszając niemalże dokładne echo tego, co sama powiedziała niegdyś Siuan, Nynaeve poczuła, że szczęka jej opadła. Ta kobieta po raz pierwszy, i to właśnie dziś, wykorzystwała przeciwko niej władzę, jaką dawała jej ranga. Tego dnia po prostu jej i Siuan dopisywało już takie szczęście, że najprawdopodobniej ostatecznie spotkają się u Tiany.

Theodrin nie zaczęła na odpowiedź. Skinęła tylko głową, jakby usłyszała, że ona się zgadza, po czym posuwistym krokiem ruszyła w górę ulicy. Nynaeve

niemalże widziała szal z frędzlami oplatający jej ramiona. Nic jej się nie wiodło tego ranka. I znowu Myrelle! Miała ochotę wrzasnąć.

Elayne, otoczona wiankiem nowicjuszek, obdarzyła ją dumnym uśmiechem, ale Nynaeve tylko potrząsnęła głową i odwróciła się. Zamierzała wrócić do swej izby. Zanim jednak uszła połowę drogi, po raz kolejny dane jej było zapoznać się z paskudnym szczęściem, jakie przynosił ten dzień, bowiem wpadła na nią rozpędzona Dagdara Finchey, obalając ją na plecy. Dagdara biegła! Aes Sedai! Rosła kobieta ani się nie zatrzymała, ani nawet nie krzyknęła przez ramię słowa przeprosin, tylko niczym taran przedzierała się dalej przez tłum.

Nynaeve podniosła się, otrzepała z kurzu, głośno tupiąc pokonała resztę drogi do swej izby i zatrzasnęła za sobą drzwi. W środku panował zaduch i ciasnota, łóżka były nie zasłane, bo Moghedien jeszcze się za nie nie zabrała, a na domiar wszystkiego wycucie pogody mówiło jej, że lada chwila na Salidar spadnie burza gradowa. Ale ona nie pozwoli, żeby ją wciąż zaskakiwano albo trutowano.

Padła na zmiętą pościel i leżała, gładząc palcami srebrną bransoletę, a myśli jej przeskakiwały od tego, co uda jej się tego dnia wydobyć z Moghedien, do pytania, czy Suan zjawi się dzisiejszego popołudnia, od Lana przez jej blokadę do kwestii, czy powinna zostać w Salidarze. To wcale nie byłaby ucieczka. Prawdopodobnie udałaby się do Caemlyn, do Randa; on naprawdę potrzebował kogoś, kto by pilnował, żeby mu za bardzo woda nie uderzała do głowy, a poza tym Elayne by się ucieszyła. Nie podobało jej się tylko, że ten wyjazd — wyjazd, nie ucieczka! — zaczął się zdawać taki atrakcyjny po tym, jak poznała zamiary Theodrin.

Myślała, że wśród emocji sączących się przez *a'dam* wyłowi jakiś znak, że Moghedien skończyła pracować i że będzie musiała pójść jej poszukać — Przeklęta lubiła się ukrywać ze swymi dąsami — ale wstyd i wściekłość na moment nie zmniejszyły natężenia, toteż zaskoczył ją trzask gwałtownie otwieranych drzwi.

— A więc tutaj jesteś! — wychrypiała Moghedien. — Popatrz! — Podniosła ręce. — Całkiem zniszczone! — Zdaniem Nynaeve ich wygląd nie różnił się niczym od tego, jaki zwyczajnie przybierały ręce po zrobieniu prania; były białe i spierzchnięte, to prawda, ale to w końcu ustąpi. — Nie dość, że muszę mieszkać w takich nędznych warunkach, że biegam na posyłki jak jakaś służąca, to jeszcze zmusza się mnie, żebym pracowała niczym prymitywna...!

Nynaeve przerwała jej jednym prostym zabiegiem. Pomyślała o pojedynczym, krótkim uderzeniu bata, o tym, co się wtedy czuje, po czym umieściła tę myśl w tej części swego umysłu, w której kryły się odebrane od Moghedien emocje. Druga kobieta wytrzeszczyła oczy i gwałtownie zamknęła usta, zaciskając wargi. Uderzenie nie było mocne, ale na pewno stanowiło nauczkę.

— Zamknij drzwi i usiądź — rozkazała Nynaeve. — Łóżka będziesz mogła zaścielić później. Teraz odbędziemy lekcję.

— Jestem przyzwyczajona do lepszego traktowania — burknęła Moghedien, jednocześnie usłuchawszy rozkazu. — Nocnych robotników w Tojar traktowano

lepiej!

— O ile się nie mylę — powiedziała jej ostro Nynaeve — nad głową nocnych robotników, nieważne gdzie, nie wisiał nigdy wyrok śmierci. Proszę bardzo, możemy powiedzieć Sheriam, kim tak naprawdę jesteś, w każdej chwili, kiedy sobie tylko zażyczysz. — Był to zwykły blef — na samą myśl Nynaeve czuła, jak jej żołądek zaciska się na podobieństwo płonącej kuli — ale z Moghedien wylał się gwałtowny potok mdlącego strachu. Nynaeve niemalże podziwiała tę kobietę, że potrafi zachować taki spokój na twarzy; gdyby ona czuła coś takiego, to krzyczałyby w niebogłosy i wbijała zęby w podłogę.

— Co mam ci pokazać? — spytała Moghedien obojętnym tonem. Zawsze musiały jej mówić, czego od niej chcą. W zasadzie nigdy nie mówiła niczego dobrowolnie, chyba że wywarły na nią presję, w sposób, który zdaniem Nynaeve ocierał się o tortury.

— Spróbujemy czegoś, czego dotąd nie bardzo potrafiłaś się nauczyć. Wykrywanie przenoszącego mężczyzny. — Jak dotąd była to jedyna rzecz, której ona i Elayne nie potrafiły szybko sobie przyswoić. A mogła się przydać, gdyby jednak postanowiła jechać do Caemlyn.

— To nie jest łatwe, zwłaszcza że nie mamy mężczyzny, na którym można by ćwiczyć. Szkoda, że nie potrafisz Uzdrowić Logaina. — Ani w głosie, ani na twarzy Moghedien nie było śladu drwiny, ale zerknęła na Nynaeve i pospiesznie mówiła dalej: — Ale możemy znowu poćwiczyć z samymi formami.

Lekcja doprawdy nie była łatwa. Żadna, jak dotąd, nie była, nawet jeśli dotyczyła czegoś, czego Nynaeve potrafiła nauczyć się natychmiast, po tym, jak kształt splotów stał się dla niej oczywisty. Moghedien nie mogła przynosić, jeśli Nynaeve jej nie pozwoliła, jeśli nią, w rzeczy samej, nie kierowała, ale podczas każdej nowej lekcji Moghedien musiała udzielić wskazówki co do przebiegu splotów. Stworzył się z tego wszystkiego niezły galimatias, z takiego przede wszystkim powodu, że nie mogły uczyć się od Moghedien codziennie kilkunastu rzeczy. W tym przypadku Nynaeve już miała jakieś pojęcie, jak tkane są sploty, ale była to skomplikowana koronka z wszystkich Pięciu Mocy, w porównaniu z którą Uzdrawianie zdawało się całkiem proste, a wzór tej koronki przemieniał się z nieprawdopodobną prędkością. Cała trudność wynikała z faktu, że nie używano tej koronki zbyt często, twierdziła Moghedien. Poza tym człowiek nabawiał się potężnego bólu głowy, jeśli utrzymywał ją zbyt długo.

Nynaeve ułożyła się z powrotem na łóżku i starała się pracować najwydajniej, jak potrafiła. Gdyby rzeczywiście pojechała do Randa, to mogłaby tego potrzebować, a nie było jak orzec, kiedy to nastąpi. Poza tym wszystkie sploty przynosiła sama; sporadyczne myśli na temat Lana albo Theodrin sprawiały, że jej gniew osiągnął właściwe natężenie. Prędzej czy później, Moghedien będzie musiała odpowiedzieć za swe zbrodnie i gdzie wtedy będzie Nynaeve, przyzwyczajona do korzystania z potęgi tej kobiety, kiedy tylko zapragnęła? Musiała żyć i pracować

zgodnie z własnymi ograniczeniami. Czy Theodrin znajdzie sposób na zniesienie jej blokady? Lan na pewno żył, więc będzie go mogła odnaleźć. Zwykła początkowo obolałość zmieniła się w prawdziwy ból, który przewiercał jej skronie na wskroś. Wokół oczu Moghedien pojawiło się napięcie i niekiedy tarła się po głowie, ale oprócz strachu przez bransoletę przepływało coś jeszcze, coś, co omalże zdawało się zadowoleniem. Nynaeve podejrzewała, że z uczenia człowiek zawsze czerpie jakąś satysfakcję, nawet jeśli robi to z niechęcią. Nie była pewna, czy jej się to podoba, że Moghedien okazuje takie normalne, ludzkie reakcje.

Nie bardzo też wiedziała, jak długo już trwa ta lekcja, podczas której Moghedien cały czas mamrotała: „Prawie” albo „Nie całkiem”, ale kiedy drzwi znowu otwarły się z trzaskiem, mało brakowało, a byłaby stanęła na baczność na materacu. Nagłemu rozbłyskowi strachu u Moghedien odpowiadałoby wycie w przypadku innej kobiety.

— Nynaeve, słyszałaś? — spytała Elayne, otwierając drzwi. — Przybyła emisariuszka z Wieży, od Elaidy.

Nynaeve zapomniała słowa, których omal nie wykrzyknęła, gdyby jej serce nie uwięzło w gardle. Zapomniała nawet o bólu głowy.

— Emisariuszka? Jesteś pewna?

— Oczywiście, że jestem pewna, Nynaeve. Myślisz, że przybiegłam tu po to, żeby plotkować? Cała wioska jest postawiona na nogi.

— Nie rozumiem, dlaczego — odparła kwaśno Nynaeve. Znowu jej zaczęło coś szumieć w głowie. I cała gęsia mięta ukryta w torbie z ziołami pod łóżkiem nie uspokoiłaby tego pieczenia w żołądku. Czy ta dziewczyna nigdy nie nauczy się pukać? Moghedien przyciskała obie ręce do żołądka, jakby jej też mogła się przydać gęsia mięta. — Przecież im mówiłyśmy, że Elaida wie o Salidarze.

— Może nam uwierzyły — odrzekła Elayne, siadając na skraju łóżka Nynaeve — a może nie, ale teraz już na pewno musiało do nich dotrzeć. Elaida wie nie tylko, gdzie jesteście, ale najprawdopodobniej również to, do czego zmierzamy. Każdy ze sług mógł być jej szpiegiem. Może nawet niektóre z sióstr. Widziałam przelotnie tę emisariuszkę, Nynaeve. Jasne włosy i niebieskie oczy, które potrafiłyby zamrozić słońce. Faolain powiedziała, że to Czerwona, nazywa się Tarna Feir. Eskortuje ją jeden ze Strażników. Kiedy na ciebie patrzy, to tak jakby patrzyła na kamień.

Nynaeve spojrzała na Moghedien.

— Na razie zakończymy naszą lekcję. Wróc za godzinę, to będziesz mogła zaścielić łóżka. — Z zaciśniętymi ustami i mnąc spódnice w garści, zaczekała, aż Moghedien wyjdzie, po czym odwróciła się z powrotem w stronę Elayne. — Jakie... wieści przywiozła?

— Oczywiście nic mi nie powiedziały, Nynaeve. Wszystkie Aes Sedai, które minęłam po drodze, zastanawiały się nad tym samym. Słyszałam, że podobno Tarna się roześmiała, kiedy jej powiedziano, że zostanie przyjęta przez Komnatę

Wieży. I to wcale nie tak, jakby ją to rozbawiło. Nie sądzisz chyba... — Elayne przez chwilę zagryzała dolną wargę. — Nie sądzisz chyba, że one naprawdę postanowiły...

— Wracać? — powiedziała z niedowierzaniem Nynaeve. — Elaida zażąda, by przedostatnie dziesięć mil pokonały na klęczkach, a ostatnią na brzuchach! Nawet gdyby tego nie zażądała, nawet jeśli ta Czerwona powie: „Wracajcie do domu. Wszystko wam wybaczone, czekamy z kolacją”, to czy sądzisz, że mogłyby, ot tak, zbagatelizować sprawę Logaina?

— Nynaeve, Aes Sedai zbagatelizowałyby wszystko, byle tylko na powrót scalić Białą Wieżę. Wszystko. Ty ich nie rozumiesz tak jak ja; od dnia, w którym się urodziłam w pałacu, zawsze były Aes Sedai. Pytanie teraz brzmi, co Tarna powie Komnacie? I co one powiedzą jej?

Nynaeve z irytacją roztarła ramiona. Nie znalazła żadnej odpowiedzi, a tylko same nadzieje, i, na dodatek, zmysł wyczuwania pogody podpowiadał jej, że ta burza gradowa, której tu wcale nie było, bije już w dachy Salidaru niczym w bębny. To uczucie miało jej towarzyszyć przez wiele kolejnych dni.



## PLANY

— To ty kazałeś sprowadzić Iluminatorów do Amadoru? — Wielu wzdrygnęłoby się, słysząc tak zimny ton z ust Pedrona Nialla, ale nie mężczyzna, który stał na złotym słońcu osadzonym w posadzce, przed prostym krzesłem z wysokim oparciem, na którym zwykł zasiadać Niall. Biły od niego pewność siebie i doświadczenie. Niall kontynuował: — Nie bez powodu wydałem rozkaz, by dwa tysiące Synów strzegło granicy z Tarabon, Omerna. Tarabon jest objęty kwarantanną. Nikomu nie wolno przekroczyć granicy. Nie przeleciałaby ani jedna jaskółka, gdyby to ode mnie zależało.

Wygląd Omerny mógł posłużyć za wzór typowego oficera Synów Światłości: wysoki i władczy, o silnie zaznaczonym podbródku, z falami siwizny na skroniach. Ciemne oczy sprawiały wrażenie zdolnych do przyglądania się bez najmniejszego strachu nie tylko polu najzagorzalszej bitwy, co zresztą w istocie nieraz im się zdarzało czynić. W tym momencie ich wyraz zdawał się wskazywać, że Omerna głęboko się nad czymś zastanawia. Znakomicie na nim leżał biało-złoty kaftan lorda kapitana, Pomazańca Światłości.

— Lordzie Kapitanie Komandorze, oni chcą tutaj założyć kapitułę. — Jego głos, głęboki i melodyjny, harmonizował z całością obrazu. — Iluminatorzy podróżują po całym świecie. Zapewne uda się przemycić agentów do ich szeregów. Agentów, którzy będą witani w każdym mieście, na dworze każdego arystokraty, w pałacu każdego władcy. — Abdel Omerna uchodził za stosunkowo pośledniego członka Rady Pomazańców. W rzeczywistości był mistrzem szpiegów Synów Światłości. Poniekąd. — Pomyśl o tym!

Niall pomyślał o tym, że wszyscy mężczyźni i kobiety, którzy należeli do Gildii Iluminatorów, wszyscy, co do jednego, wywodzą się z Tarabon, owładniętego plagą chaosu i szaleństwa, których on nie zamierzał wpuszczać na teren Amadicii. I nawet, jeśli na razie należało się wstrzymać z wypaleniem źródła tej infekcji, mógł je przynajmniej izolować.

— Będą traktowani jak każdy, kto się prześlizgnie przez granicę, Omerna. Zatrzymani pod strażą, bez zgody na rozmowę z kimkolwiek, po czym bezzwłocznie, pod eskortą, będą wydalani z terytorium Amadicii.

— Nadal się upieram, jeśli pozwolisz, Lordzie Kapitanie Komandorze, że ich

przydatność zrekompensuje szkodliwość skąpych przecie plotek, jakie mogliby roznosić. Zadają się jedynie ze swoimi. A oprócz pożytku, jaki będą z nich mieli moi agenci, Amador zdobędzie dodatkowo znaczny prestiż z racji posiadania kapituły Iluminatorów. Która obecnie byłaby zresztą ostatnią już chyba, ponieważ siedziba w Cairhien została porzucona i należy podejrzewać, że podobnie się stało w Tanchico.

Prestiż! Niall potarł lewe oko, by uspokoić mimowolne trzepotanie powieki. Nie było sensu złościć się na Omerne, ale opanowanie się przyszło mu z trudem. Jego temperament wrzał już, gotując się na wolnym ogniu porannego upału.

— To prawda, że oni zadają się jedynie ze swoimi, Omerna. Mieszkają tylko u swoich, podróżują na własną rękę i prawie w ogóle z nikim nie rozmawiają. Zamierzasz pożenić tych agentów z Iluminatorami? Oni bardzo rzadko wchodzą w związki małżeńskie z kimś, kto nie należy do gildii, a Iluminatorem nie można zostać inaczej jak tylko z tytułu urodzenia.

— No cóż. Tak. Jestem jednak przekonany, że jakiś sposób się znajdzie. — Nic nie potrafiło zniszczyć tej fasady skonstruowanej z mieszaniny pewności siebie i niewątpliwego doświadczenia.

— Będzie, jak ja mówię, Omerna. — Mężczyzna znowu otworzył usta, ale Niall ubiegł go zirytowany. — Jak ja mówię, Omerna! I nie usłyszę nic więcej na ten temat! A teraz do rzeczy. Jakie informacje przynosisz dzisiaj? Jak przydatne informacje? Wszak na tym właśnie polega twoja funkcja, a nie na załatwianiu pokazów ogni sztucznych dla Ailrona.

Omerna zawahał się, wyraźnie gotów wystąpić z jeszcze jednym argumentem na rzecz swych, najwyraźniej bezcennych, Iluminatorów, ale ostatecznie powiedział tylko złowieszczym tonem:

— Te doniesienia o Zaprzysięgłych Smokowi z Altary to coś więcej niż zwykłe plotki, jak się zdaje. I być może tak samo jest z tymi pogłoskami z Murandy. Ta zaraza ma na razie niewielki zasięg, ale na pewno zacznie się szerzyć. Gdyby tak wykonać jeden zdecydowany ruch, to można byłoby rozprawić się z nimi, a także z Aes Sedai w Salidarze za jednym. . .

— Czy w obecnej chwili to ty dyktujesz aktualną strategię dla Synów? Zajmij się zbieraniem informacji, a decyzję, jak mają być wykorzystane, pozostaw mnie. Co jeszcze mi przynosisz?

Mężczyzna, kiedy mu przerwano, zareagował spokojnym ukłonem na znak, że przyznaje rację. Omerna potrafił znakomicie się opanowywać; być może na tym polegał jego zasadniczy atut.

— Mam dobre wieści. Mattin Stepanos jest gotów przyłączyć się do ciebie. Waha się jeszcze z publicznym oświadczeniem, ale moi ludzie w Illian donoszą, że wygłosi je niebawem. Z każdego raportu wynika, że jest skłonny to uczynić.

— To byłoby ze wszech miar korzystne — odparł sucho Niall. Z całą pewnością korzystne. Pośród sztandarów i proporców, przywieszonych do gzymsów

komnaty, Trzy Lamparty Mattina Stepaneosa, srebrne na czarnym tle, wisiały tuż obok Królewskiego Sztandaru Illian, obrzeżonego złotymi frędzlami, przedstawiającego dziewięć pszczoł wyhaftowanych złotogłowie na zielonym jedwabiu. Illiański król ostatecznie zwyciężył podczas Rozruchów na tyle zdecydowanie, że udało mu się wymusić traktat, który zatwierdzał granicę między Amadicią i Altarą zgodnie z jej pierwotnym kształtem, niemniej jednak Niall wątpił, by ten człowiek kiedykolwiek zapomniał, że mimo przewagi związanej z własnym terytorium, a także większej liczebności wojsk, pod Soremaine został pokonany i wzięty do niewoli. Gdyby illiańscy Towarzysze nie obronili wtedy wycofujących się niedobitków armii, dzięki czemu ta uniknęła zasadzki zastawionej przez Nialla, Altara byłaby dzisiaj lennem Synów, a wraz z nią najprawdopodobniej Murandy, a nawet Illian. Co gorsza, Mattin Stepaneos miał za doradczynię wiedźmę z Tar Valon, mimo iż ukrywał zarówno jej pozycję, jak i w ogóle obecność na swym dworze. Niall wysłał emisariuszy, ponieważ nie rezygnował zazwyczaj z jakiejś drogi bez jej uprzedniego sprawdzenia, ale to prawda, byłoby ze wszech miar korzystne, gdyby Mattin Stepaneos dobrowolnie się do niego przyłączył.

— Mów dalej. I streszczaj się. Czeka mnie pracowity dzień, a twoje pisemne raporty mogę przeczytać później.

Wbrew poleceniu Omerna wygłaszał swe sprawozdanie długo, dźwięcznym głosem przepełnionym poczuciem własnej wartości. Władza Al'Thora sięgała w Andorze ledwie poza granice Caemlyn. Jego błyskawiczny, zajadły atak stracił nareszcie swoje tempo — Omerna nie omieszkał wskazać, że to uprzednio przewidział. Szanse na to, że Ziemie Graniczne przyłączą się w najbliższym czasie do Synów w sojuszu przeciwko fałszywemu Smokowi były niewielkie; lordowie w Shienarze, Arafel i Kandorze skorzystali ze spokoju panującego w Ugorze, by wszcząć bunt, natomiast królowa Saldaei udała się do ustronnej siedziby na wsi w obawie przed nimi, taka była opinia Omerny. Zaprzągnął jednakowoż swych agentów do pracy i wydobyl z nich informacje, w myśl których władcy Ziem Granicznych będą musieli ukorzyć się już niebawem, kiedy te niewiele znaczące bunt zostaną stłumione. Z drugiej zaś strony władcy Murandy, Altary i Ghealdan byli gotowi się podporządkować, aczkolwiek obecnie podnosili jakiś mało zrozumiały rwetes, chcąc uspokoić wiedźmę z Tar Valon. Alliandre z Altary, wiedziała, że jej tron się chwieje, wiedziała, że Synowie są jej potrzebni, bo inaczej spadnie z niego tak jak jej poprzednicy, natomiast zarówno Tylin z Altary, jak i Roedran z Murandy liczyli na to, że dzięki wsparciu Synów zyskają na znaczeniu, dzięki czemu nareszcie staną się czymś więcej niżli zwykłymi figurantami. Ten człowiek najwyraźniej uważał te ziemie za zdobyte, jakby już znajdowały się w kieszeni Nialla.

W samej Amadicii sprawy wyglądały jeszcze lepiej, przynajmniej wedle sprawozdania Omerny. Rekruci gromadzili się stadnie pod sztandarami Synów; takich rzesz od wielu lat już nie widzieli. To akurat nie była kwestia, którą Omerna miał

się interesować, ale on zawsze okraszał swoje raporty wszelkimi dobrymi wieściami, jakie był w stanie zdobyć. Prorok nie będzie już dłużej nękał tego kraju; jego rebelianci awanturowali się obecnie na północy, grabiąc wioski i dwory, i po kolejnym natarciu Ailrona najprawdopodobniej pierzchną z powrotem do Ghealdan. W więzieniach pozostało niewiele miejsca, ponieważ aresztowań wśród Sprzymierzeńców Ciemności i szpiegów Tar Valon dokonywano szybciej, niż ich wieszano. W wyniku polowań na wiedźmy z Tar Valon złapane zostały dopiero dwie, niemniej jednak już ponad sto kobiet poddano przesłuchaniom, co stanowiło dowód, jak czujne są patrole. Poza tym spotykano mniej uchodźców z Tarabon, co z kolei dowodziło skuteczności kwarantanny; złapanych wysyłano z powrotem na terytorium Tarabon, tak szybko, jak tylko udawało się ich dowozić do granicy.

— To już ostatnia rzecz — dodał pospiesznie, co nie powinno dziwić, wzięwszy pod uwagę te jego głupie wymysły dotyczące Iluminatorów.

Niall słuchał go na tyle uważnie, by wiedzieć, w którym miejscu powinien potakiwać. Omerna sprawdzał się należycie jako dowódca, rzecz jasna wtedy, gdy ktoś mu dyktował, co ma robić, niemniej jednak niewiarygodna głupota, jaką okazywał na swym obecnym stanowisku, była trudna do zniesienia. To on twierdził, że Morgase nie żyje, że widziano i zidentyfikowano jej zwłoki, że nie ma cienia wątpliwości; twierdził tak, aż do dnia, w którym Niall postawił go z nią twarzą w twarz. Wyśmiewał „plotki”, jakoby Kamień Łzy padł i nadal zaprzeczał, że najpotężniejsza forteca na świecie mogła zostać pokonana przez jakieś wojska z zewnątrz; tam doszło do zdrady, upierał się, jakiś Wysoki Lord zdradził Kamień al’Thorowi i Tar Valon. Utrzymywał, że klęska w Falme, a także kłopoty w Tarabonie i Arad Doman to dzieło armii Artura Hawkwinga, które wróciły zza Oceanu Aryth. Był przekonany, że Siuan Sanche wcale nie została obalona, że al’Thor jest obłąkany i umiera, że Tar Valon przyczyniło się do śmierci króla Galldriana, by doprowadzić do wybuchu wojny domowej w Cairhien i że te trzy „fakty” wiążą się w jakiś sposób z tymi niedorzecznymi pogłoskami, które zawsze napływały z jakichś dogodnie oddalonych miejsc, o ludziach stających w płomieniach albo o koszmarach wyskakujących znikąd i dokonujących rzezi całych wiosek. Nie był do końca pewien, co dokładnie się za tym wszystkim kryło, ale pracował nad jakąś znakomitą teorią, teorią, którą obiecywał dostarczyć na piśmie lada dzień, i która rzekomo miała rozwikłać wszystkie spiski wiedźm i sprawić, że Tar Valon wpadnie w ręce Nialla.

Tak to już było z Omerną; albo wymyślał jakieś pokrętne wytłumaczenia dla zdarzeń, albo przechwytywał plotki z ulicy i łykał je w całości. Spędzał sporo czasu na wysłuchiwanie plotek na dworach i na ulicach. Nie tylko widywano go w tawernach, jak pił z uczestnikami Polowania na Róg, ale było tajemnicą poliszynela, że wyłożył już ogromne sumy na co najmniej trzy rzekome Rogi Valere. Za każdym razem wywoził ów domniemany róg na wieś i dał w niego przez wiele dni, nim wreszcie był zmuszony przyznać, że najwyraźniej żadni zmarli bohaterowie

wie nie zamierzają powstać z grobów. Przy czym kolejne porażki bynajmniej nie studziły jego zapałów w kwestii kolejnych zakupów dokonywanych w ciemnych zaułkach tudzież jakichś tajemniczych izbach na tyłach tawern. Ujmując to najprościej: każdy mistrz szpiegów powinien wątpić w tożsamość własnego oblicza ujrzanego w lustrze, a tymczasem Omerna wierzył we wszystko.

Skończył wreszcie i wtedy Niall powiedział:

— Poddam twoje sprawozdania należytej rozwadze, Omerna. Dobrze się spisałeś. — Alei, ten człowiek się pysznił, kiedy tak wyglądał swój paradny kaftan. — Zostaw mnie teraz samego. Po drodze do wyjścia każ tu przyjść Balwerowi. Mam kilka listów do podyktowania.

— Oczywiście, Lordzie Kapitanie Komandorze. Aha! — W samym środku ukłonu Omerna zmarszczył brwi, wsunął dłoń do kieszeni kaftana i wygrzebał zeń mały kościany cylinder, który wręczył Niallowi. — To przyszło dziś rano do gołębnika. — Przez całą długość cylindra biegły trzy cienkie czerwone paski, co oznaczało, że miano go dostarczyć do rąk własnych Nialla, z nie tkniętymi pieczęciami. A ten człowiek omalże o tym by zapomniał!

Omerna czekał, bez wątpienia, w nadziei, że usłyszy jakąś wzmiankę na temat tego, co zawiera cylinder, ale Niall machnął ręką w stronę drzwi.

— Nie zapomnij o Balwerze. Skoro Mattin Stepaneos jest skłonny .się do mnie przyłączyć, to muszę do niego napisać i sprawdzić, czy mogę jakimś ważkim argumentem wpłynąć, by podjął właściwą decyzję.

Omerna nie miał innego wyboru, jak tylko znowu się uklonić i wyjść.

Nawet wtedy, gdy drzwi zamknęły się za nim, Niall tylko przesunął palcem po cylindrze. Te nieczęste specjalne przesyłki rzadko kiedy zawierały dobre wieści. Wstał powoli — ostatnimi czasy odczuwał niekiedy w kościach przeżyte lata — napełnił prosty srebrny kielich ponczem, ale zostawił go na stole i otworzył zdobną skórzaną tekę, w środku wyściełaną lnem. Zawierała pojedynczy arkusz grubego papieru, zmięty i częściowo przedarty, rysunek jakiegoś ulicznego artysty wykonany kolorowymi kredkami, który przedstawiał dwóch mężczyzn walczących wśród chmur; jeden miał twarz z płomieni, drugi ciemnorude włosy. Al'Thor.

Wszystkie jego plany powstrzymania fałszywego Smoka spaliły na panewce, także nadzieje, że spowolni fałę podbojów tego człowieka, że odwróci jego uwagę. Czyżby zwlekał za długo, pozwalając al'Thorowi stać się zbyt silnym? Jeśli tak, to istniał tylko jeden sposób, by szybko się z nim rozprawić, nóż w ciemności, strzała z dachu. Jak długo odważy się czekać? Zbyt wielki pośpiech mógł spowodować katastrofę, podobnie zresztą jak zbyt długa zwłoka.

— Czy mój pan posyłał po mnie?

Niall zmierzył wzrokiem mężczyznę, który nadzwyczaj cicho wślizgnął się do komnaty. Sądząc z pozorów, wydawało się raczej niemożliwe, żeby Balwer potrafił się poruszać w taki sposób, by jego obecności nie zdradził żaden szelest. Wszystko w nim było wąskie i skurczone; bury kaftan zwiślał z wężlastych ramion,

nogi wyglądały tak, jakby mogły się połamać pod ciężarem zaszuszonego ciała. Poruszał się jak ptak, który przeskakuje z gałązki na gałązkę.

— Wierzysz, że Róg Valere wezwie umarłych bohaterów, by nas uratowali, Balwer?

— Być może, mój panie — odparł Balwer, denerwującym gestem rozkładając ręce. — A może nie. Ja osobiście bym na to nie liczył.

Niall przytaknął.

— A czy sądzisz, że Mattin Stepaneos przyłączy się do mnie?

— Być może. Nie będzie chciał skończyć jako trup albo marionetka. Przedmiotem jego największych i jedynych ambicji jest zachowanie Laurowej Korony, a ta armia gromadząca się w Łzie zapewne przyprawia go o niespokojne sny. — Balwer zacisnął usta w bladym uśmiechu. — Mówił otwarcie o akceptacji propozycji mojego lorda, ale z drugiej strony dowiedziałem się właśnie, że nawiązał kontakt z Białą Wieżą. Najwyraźniej na coś się zgodził, ale jeszcze nie wiem, na co.

Cały świat wiedział, że mistrzem szpiegów Synów Światłości jest Abdel Omerna. Takie stanowisko powinno być, rzecz jasna, tajne, ale chłopcy stajenni i żebracy pokazywali go sobie palcami na ulicy, ukradkiem, żeby ten najbardziej niebezpieczny człowiek w całej Amadicii ich nie zauważył. Prawda natomiast była taka, że ten dureń Omerna był tylko figurantem, głupcem, który sam nie miał pojęcia, że stanowi jedynie fasadę, za którą ukrywa się prawdziwy mistrz szpiegów w Fortecy Światłości. Czyli Sebban Balwer, sekretarz Nialla, pedantyczny wysuszony człowieczek o ustach wiecznie wykrzywionych niezadowoleniem. Człowiek, którego nikt nigdy by nie podejrzewał; w którego zasługi nikt by nie uwierzył, nawet gdyby go wymieniono z nazwiska.

Omerna wierzył we wszystko, Balwer zaś nie wierzył w nic, być może nawet w istnienie Sprzymierzeńców Ciemności albo Czarnego. A jeśli już rzeczywiście był do czegoś przekonany, to było to zagłądanie ludziom przez ramię, przysłuchiwanie się ich szeptaniu, dokopywanie się do ich tajemnic. Naturalnie służyłby każdemu panu tak samo skutecznie jak Niallowi, jednak akurat dobrze się złożyło, że to on odkrył go pierwszy. To, czego dowiadywał się Balwer, nie było nigdy skażone jego mniemaniem co do tego, jaka jest w istocie prawda, ani pragnieniem, żeby jakaś w ogóle była. Ponieważ niczemu nie dawał wiary, zawsze jakoś dokopywał się do meritum spraw.

— Nie spodziewałem się niczego więcej po władcy Illian, Balwer, ale nawet jego da się przekabacić. — Na pewno da się go przekabacić. Jeszcze nie mogło być za późno. — Czy są jakieś nowe wieści z Ziemi Granicznych?

— Jeszcze nie dotarli, mój panie. Ale wiem, że Davram Bashere jest w Camlyn. Na czele lekkiej kawalerii w liczbie trzydziestu tysięcy, jak twierdzą moi informatorzy; ale moim zdaniem nie ma ich więcej jak połowa tego. Nie odważyłyby się osłabić aż w takim stopniu Saldaei, jakkolwiek spokój panowałby

w Ugorze, nawet gdyby Tenobia wydała mu stosowne rozkazy.

Niall kaszlnął, czując, jak drga mu kącik oka. Pogładził palcem szkic leżący w jego tece; rzekomo był to bardzo wierny portret al'Thora. Bashere w Caemlyn; Tenobia miała dobry powód, by ukryć się na wsi przed jego emisariuszem.

Nie było więc żadnych dobrych wieści z Ziemi Granicznych, niezależnie od tego, co się wydawało Omernie. „Nic nie znaczące bunty”, o których doniósł Omerna, były istotnie nieznaczące, ale zupełnie. nie w tym sensie, który ten człowiek miał na myśli. Jak całe Ziemi Graniczne długie i szerokie, wadzono się, czy al'Thor to jeszcze jeden fałszywy Smok czy Smok Odrodzony. Mieszkańcy tych krain byli z natury porywczy, toteż te kłótnie czasami przeradzały się w niewielkie bitwy. W Shienarze walki zaczęły wybuchać mniej więcej tym samym czasie, kiedy padał Kamień Łzy, co stanowiło potwierdzenie informacji, że w to wszystko zaangażowane są wiedźmy, o ile jakieś potwierdzenie było w ogóle potrzebne. Zdaniem Balwera mocno wątpliwe było, czy to wszystko da się jeszcze jakoś uporządkować.

Al'Thor postanowił najwyraźniej poprzestać na Caemlyn i to była jedna z tych nielicznych rzeczy, co do których Omerna miał rację. Tylko dlaczego przebywał tam w towarzystwie Bashere, Aielów i wiedźm? Nawet Balwer nie umiał tego wytłumaczyć. Niezależnie od powodu, z jakiego tak postanowił, chwała niech będzie Światłości! Motłoch Proroka grabił północne terytoria Amadicii, prawda, ale jednocześnie rósł w siłę, zabijając albo zmuszając do ucieczki każdego, który nie chciał opowiedzieć się po stronie Smoka. Żołnierze Ailrona przestali się wycofywać tylko dlatego, że ten przeklęty Prorok przestał nacierać. Allandre i ci inni, którzy zgodnie z przekonaniem Omerny mieli się do niego przyłączyć, w rzeczy samej wycofywali się, zwodzili jego ambasadorów nędznymi wymówkami i zwlekali. Podejrzewał, że nie lepiej od niego wiedzieli, jakie stanowiska mają zająć.

Pozornie wszystko w danym momencie zdawało się iść po myśli al'Thora, wyjąwszy powody, który go zatrzymały w Caemlyn, ale Niall przyparty do muru, Niall postawiony w obliczu przewagi liczebnej, stawał się zawsze najbardziej niebezpieczny.

Jeśli można było zawierzyć pogłoskom, Carridin dobrze sobie poczynał w Altarze i Murandy, aczkolwiek nie działał tak szybko, jak by sobie tego Niall życzył. Czas był takim samym wrogiem jak al'Thor albo Wieża. Niemniej jednak powinno go wystarczyć, nawet jeśli wieści o tym, jak radzi sobie Carridin były przesadzone. Być może nadszedł czas, by rozszerzyć terytorium działalności „Zaprzysięgłych Smokowi” na Andor. A może również na Illian, ale jeśli armia gromadząca się w Łzie nie wystarczyła, by wskazać Mattinowi Stepaneosowi właściwą drogę postępowania, to w takim razie kilka zaatakowanych farm i wiosek raczej nie uczyni różnicy. Niall przeraził się liczebnością tej armii; przeraziłby się nawet wtedy, gdyby była tylko w połowie albo w ćwierci tak duża, jak donosił

Balwer. Nie było takiej od czasów Artura Hawkwinga. Zamiast bowiem przerazić tylko ludzi, którzy wówczas przyłączałyby się do Nialla, taka armia mogła ich w istocie śmiertelnie zastraszyć, sprawiając, że będą się gromadzić pod sztandarem Smoka. Gdyby tak zyskał jeden rok, tylko jeden rok, to wtedy rozprawiłby się z całą armią al'Thora, złożoną z durniów, rzeźmieszków i barbarzyńców ściągniętych z Pustkowiec Aiel.

Oczywiście nie wszystko zostało stracone. Nic nigdy nie jest stracone, póki życie trwa. Tarabon i Arad Doman, te dwie jamy pełne skorpionów, były dla al'Thora i wiem z Tar Valon równie bezużyteczne jak dla niego; tylko ostatni dureń wkładałby do nich rękę, nie czekając, aż skorpiony same pozabijają się nawzajem. Jeśli rzeczywiście należało spisać na straty Saldaeę, z czym raczej by się nie zgodził, to na szalach wagi wciąż jeszcze spoczywały Shienar, Arafel i Kandor, a szale zawsze można czymś dociążyć. Jeśli Mattin Stepaneos chciał dosiadać dwóch koni równocześnie — zawsze lubił takie zmagania — to jeszcze można go było zmusić, by wybrał właściwego. Altara i Murandy dadzą się popchnąć we właściwą stronę, ale Andor wyrazi sprzeciw wobec jego ręki, nawet gdyby stwierdził, że przyda się tam dotknięcie Carridinowego bata. W Łzie agenci Balwera przekonali Tedosiana i Estandę, by przyłączyli się do Darlina, zamieniając tym samym demonstrację buty w prawdziwy bunt i ten człowiek był przekonany, że to samo da się zrobić w Cairhien oraz w Andorze. Jeszcze jeden miesiąc, najwyżej dwa, i z Tar Valon przybędzie Eamon Valda; Niall poradziłby sobie bez Valdy, ale w takiej sytuacji Iwia część potęgi Synów zejdzie się w jednym miejscu, gotowa posłużyć tam, gdzie się okaże najbardziej przydatna.

Tak, jak dotąd skomasował sporo atutów po swej stronie. Nie można było mówić o umocnieniu korzystnych perspektyw, jednak wszystko uległo konsolidacji. Potrzebował już tylko czasu.

Uświadomiwszy sobie, że nadal trzyma w ręku kościany cylinder, przełamał kciukiem woskową pieczęć i ostrożnie wyciągnął ze środka zwitek cienkiego papieru. .

Balwer nic nie powiedział, ale znowu zacisnął usta, tym razem nie w uśmiechu. Omerne tolerował, bo zdawał sobie sprawę, że ten człowiek to dureń, a poza tym nade wszystko pragnął pozostać w ukryciu, ale nie lubił, jak Niall otrzymywał raporty, które omijały jego ręce, od ludzi, których nie znał.

Drobne pającze pismo pokryło skrawek papieru symbolami, które mało kto oprócz Nialla znał, przy czym żadna z tych osób nie przebywała w Amadorze. Odczytanie wiadomości przyszło mu z taką samą łatwością jak odczytanie własnego pisma. Podpis u dołu sprawił, że zamrugał, podobne zresztą wrażenie wywarła na nim sama treść. Varadin był obecnie, czy raczej w przeszłości, jednym z jego najlepszych osobistych agentów, który służył mu znakomicie w okresie Rozruchów, ponieważ jako sprzedawca dywanów handlował swymi wyrobami w Altarze, Murandy i Illian. Dzięki temu, co tam zarobił, mógł osiąść jako bogaty kupiec



w Tanchico, gdzie regularnie dostarczał przednie dywany i wina do pałaców Króla i Panarch, a także na dwory rozmaitych arystokratów, zawsze je opuszczając z pamięcią pełną zasłyszanych i spostrzeżonych wydarzeń. Niall dawno już temu nabrał przekonania, że tamten zginął podczas lokalnych zamieszek; to była pierwsza wiadomość od niego, jaką otrzymał od roku. Z tego, co pisał Varadin, wynikało, że naprawdę byłoby dla niego lepiej, gdyby rzeczywiście nie żył. Była to, spisana chwiejną ręką człowieka znajdującego się na skraju szaleństwa, obłąkańcza i chaotyczna relacja na temat ludzi dosiadających dziwnych bestii i latających stworów, Aes Sedai ujętych na smycz i *Hailene*. To ostatnie słowo, wzięte z Dawnej Mowy, oznaczało Przodków, ale w całym liście nie było nawet próby wytłumaczenia, dlaczego Varadin tak śmiertelnie się ich bał albo co to właściwie byli za ludzie. Ten człowiek najwyraźniej nabawił się gorączki mózgowej, gdy patrzeć musiał na rozpad swego kraju.

Rozzłoszczony Niall zmiął papier i cisnął go na posadzkę.

— Najpierw muszę znieść idiotyzmy Omerny, a teraz to. Co jeszcze masz dla mnie, Balwer? — Bashere. Sprawy mogły przybrać paskudny obrót, jeśli Bashere stanął na czele armii al'Thora. Ten człowiek całkowicie zasługiwał na swoją reputację. Sztylet w cieniście zakamarku?

Wzrok Balwera na moment nie opuścił twarzy Nialla, ale Niall wiedział, że maleńka kulka papieru i tak trafi do jego rąk, musiałby ją spalić, żeby stało się inaczej.

— Cztery sprawy, które mogą cię zainteresować, mój panie. Najmniej ta pierwsza. Pogłoski o spotkaniach ogirów z poszczególnych *stedding* są prawdziwe. Jak na ogirów zdają się zdradzać niejaki pośpiech. — Nie powiedział, w jakim celu organizowane są te spotkania, rzecz jasna; wprowadzenie człowieka do Pnia Ogirów było równie niemożliwe jak zmuszenie ogira do szpiegowania. Łatwiej sprawić, by słońce weszło w środku nocy. — Ponadto w południowych portach pojawiła się niezwykcyjna liczba statków Ludu Morza, które ani nie biorą ładunku, ani też nie żeglują.

— Na co czekają?

Balwer krótką chwilę zaciskał usta, stało się to tak nagle, jakby ktoś znieacka pociągnął za uwiązane do nich, niewidzialne sznurki.

— Tego jeszcze nie wiem, mój panie. — Balwer nie lubił się przyznawać, że istnieją jakieś ludzkie tajemnice, których nie potrafił wyświecić. Próba dowiedzenia się czegoś więcej o tym, co działo się wśród Atha'an Miere, nie zaś wyłącznie interpretacja pozorów, przypominała próbę wywiedzenia się, jakimi metodami Gildia Iluminatorów wytwarza sztuczne ognie. Dobra wprawka w ćwiczeniu umiejętności jałowych starań. Może przynajmniej ogirowie upowszechnią decyzje podjęte w trakcie ich spotkań.

— Mów dalej.

— Wieść, która być może zasługuje na średnie zainteresowanie, jest... oso-

bliwa, mój panie. Wiarygodnie stwierdzano obecność al'Thora w Caemlyn, Łzie i Cairhien, niekiedy tego samego dnia.

— Wiarygodnie? To wiarygodne szaleństwo. Prawdopodobnie więdźmy mają dwóch albo trzech mężczyzn, którzy wyglądają dokładnie tak samo jak al'Thor, co wystarczy, by ogłupić każdego, kto go nie zna osobiście. To by wiele wyjaśniało.

— Być może, mój panie. Moi informatorzy są wiarygodni.

Niall zatrzasnął skórzaną tekę; zakrywając wizerunek twarzy al'Thora.

— A te najbardziej interesujące wieści?

— Mam je z dwóch źródeł w Altarze, wiarygodnych źródeł, mój panie. Więdźmy z Salidaru twierdzą, jakoby Czerwone Ajah nakłoniły Logaina, by ten został fałszywym Smokiem. W rzeczy samej, to one go stworzyły. Trzymają Logaina w Salidarze... twierdzą w każdym razie, że ten mężczyzna to Logain... i pokazują go odwiedzającym je arystokratom. Nie mam na to dowodów, ale podejrzewam, że opowiadają tę samą bajkę każdemu władcy, do którego są w stanie dotrzeć.

Niall ze zmarszczonym czołem przypatrywał się sztandarom nad jego głową. Należały do wrogów z niemalże wszystkich krajów; nikt nigdy nie pokonał go dwa razy, a mało kto choćby raz. Płaty wszystkich zdążyły już spłowić ze starości. O nim można byłoby zapewne wyrazić się podobnie. Ale nie był jeszcze tak słaby, by nie doczekać końca tego, co rozpoczął. Każdy ze sztandarów został zdobyty w krwawej bitwie, podczas której człowiek nigdy tak naprawdę nie wiedział, co się dzieje poza zasięgiem jego własnych oczu, podczas której nieuniknione zwycięstwo i nieunikniona porażka potrafiły być równie efemeryczne. Najgorsza bitwa, jaką kiedykolwiek stoczył, pod Moisen w czasie Rozruchów, kiedy to armie nacierały na siebie po omacku, nocą, była tak przejrzysta jak jasny letni dzień w porównaniu z niejasnością tej, którą toczył teraz.

Czy mógł się mylić? Czy w Wieży naprawdę doszło do rozłamu? Jakaś walka między Ajah? O co? O al'Thora? Jeśli więdźmy walczyły między sobą, to pośród Synów mogło się znaleźć wielu zwolenników rozwiązania Carridina, czyli ataku, którego celem było zniszczenie Salidaru i zabicie tylu więdźm, ile to tylko możliwe. Ludzi, którzy uważali, że są przewidujący, bo myślą o jutrze, ale w ogóle nie zastanawiali się nad następnym tygodniem czy następnym miesiącem, nie mówiąc już o przyszłym roku. Z jednej strony Valda; być może wcale jeszcze nie dotarł do Amadoru. A z drugiej strony Asunawa, Wysoki Inkwizytor Śledczych; Valda, który zawsze chciał posługiwać się toporem, nawet jeśli dla danego celu najlepiej było posłużyć się sztyletem. Asunawa pragnął jedynie, by każda kobieta, która kiedykolwiek spędziła bodaj jedną noc w Wieży, została powieszona, by każda książka, która wspominała o Aes Sedai albo Jedynej Mocy, została spalona, a zawarte w niej słowa zakazane. Asunawa nigdy nie myślał o niczym poza tymi celami ani też nie dbał o koszty. Niall pracował zbyt ciężko, zbyt wiele ryzykował, by tak absurdalne pobudki stały się, zwłaszcza w oczach świata, wystarczającą przyczyną wojny między Synami a Wieżą.

Po prawdzie, to nieważne, czy się mylił. Jeśli nawet... i tak wiele przemawiało na jego korzyść. Być może więcej, jeśli miał rację. Przy odrobinie szczęścia mógłby roztrzaskać Białą Wieżę tak, by już nigdy nie dało się jej odbudować, a więdźmy zmiażdżyć tak, by ich niedobitki można było zetrzeć na pył. Al'Thor z pewnością załamałby się wtedy, ale nadal by stanowił zagrożenie, które dałoby się wykorzystać jako bat na opieszalych. A poza tym, Niall mimo wszystko mógł mieć rację. Może prawda wyglądała tak właśnie albo przynajmniej niewiele odbiegała od jego przypuszczeń.

Nie odrywając oczu od sztandarów, powiedział:

— Rozłam w Wieży jest faktem. Czarne Ajah wszczęły bunt; te, które zwyciężyły, przejęły władzę w Wieży, a pokonane liżą rany w Salidarze, do którego je wypędzono. — Spojrzał na Balwera i omal się nie uśmiechnął. Ktoś, kto należał do Synów, powinien zaprotestować, że Czarne Ajah nie istnieją albo że wszystkie więdźmy są Sprzymierzeńcami Ciemności; ci, których zwerbowano ostatnio, tak by postąpili. Balwer tylko spojrzał na niego, wcale nie w taki sposób, jakby właśnie bluźnił przeciwko wszystkiemu, czego bronili Synowie. — Trzeba tylko orzec, czy Czarne wygrały czy przegrały. Moim zdaniem wygrały. Większość ludzi będzie uważała te, które sprawują władzę w Wieży, za prawdziwe Aes Sedai. Niech w takim razie kojarzą prawdziwe Aes Sedai z Czarnymi Ajah. Al'Thor został wykreowany przez Wieżę, jest wasalem Czarnych Ajah. — Podniósłszy kielich ze stołu, upił łyk; poncz ani trochę nie pomagał na ten upał. — Może mógłbym w ten sposób wyjaśniać, dlaczego nie ruszyliśmy jeszcze na Salidar. — Dotychczas za pośrednictwem swych emisariuszy wykorzystywał fakt, że jeszcze nie wyruszył, za dowód na to, jak straszliwe jest zagrożenie ze strony al'Thora; wolał pozwolić, by więdźmy gromadziły się na progu Amadicii, zamiast dopuścić, by odwrócono jego uwagę od niebezpieczeństwa fałszywego Smoka. — Te kobiety, nareszcie, po tych wszystkich latach, przerażone wpływem, jakim cieszą się Czarne Ajah, zdjęte wstrętem wobec zła, w którym nurzały się... — Zabrakło mu inwencji, wszystkie były służkami Czarnego; jakie zło mogłoby zdejmować je wstrętem? — ale Balwer po chwili podjął temat.

— A może tak postanowiły zdać się na łaskę mojego pana, wręcz nawet poprosić o ochronę mojego pana? Te, które przegrały podczas rebelii, słabsze od swych wrogów, przerażone, że czeka je pogrom; spadający z urwiska człowiek, którego czeka niechybna śmierć, wyciągnie rękę nawet w stronę swego największego wroga. Być może... — Balwer w zamyśleniu postukał kościstymi palcami o dolną wargę. — Może są gotowe wyrazić skruchę za swe grzechy i wyrzec się przynależności do Aes Sedai?

Niall spojrzał na niego szeroko rozwartymi oczami. Podejrzewał dotąd, że grzechy więdźm z Tar Valon zaliczają się do rzeczy, w które Balwer nie wierzył.

— To absurd — stwierdził zimnym tonem. — Czegoś takiego mógłbym się spodziewać z ust Omerny.

Twarz jego sekretarza pozostała równie biała jak zawsze, ale zaczął rozcierać ręce, jakby je mył na sucho, co zazwyczaj wskazywało, że czuje się urażony.

— Z jego ust mój pan może się spodziewać tego tylko, co ludzie najczęściej powtarzają w tych miejscach, gdzie on chadza słuchać, czyli na ulicach i tam, gdzie arystokraci plotkują przy winie. Tam nikt nigdy nie wyśmiewa absurdów; tam się ich tylko słucha. Wierzy się w to, co jest zbyt absurdalne, by można w to było uwierzyć, ponieważ jest zbyt absurdalne, by mogło być kłamstwem.

— A jak byś to przedstawiał? Nie będę wszczynał plotek, że Synowie układają się z wiedźmami.

— To byłaby jedynie plotka, mój panie. — Wzrok Nialla stwardniał i Balwer rozłożył ręce. — Jak mój pan sobie życzy. Każde powtórzenie dodaje kolejnych upiększeń, ale zawsze istnieje szansa, że przetrwa rdzeń najprostszej opowieści. Sugeruję cztery plotki, mój panie, nie tylko jedną. Pierwsza, że do rozłamu w Wieży doszło z powodu buntu Czarnych Ajah. Druga, że Czarne Ajah wygrały i opanowały Wieżę. Trzecia: Aes Sedai w Salidarze, odrzucone i przerażone, wyrzekają się przynależności do Aes Sedai. I wreszcie czwarta, że mianowicie zwróciły się do ciebie w poszukiwaniu litości i ochrony. Dla większości ludzi jedna stanowić będzie potwierdzenie innych. — Skubiąc się za klapy, Balwer uśmiechnął się skąpym uśmieszkiem, pełnym samozadowolenia.

— Znakomicie, Balwer. Niech tak będzie. — Niall upił spory łyk wina. Upał sprawiał, że tym dotkliwiej odczuwał swoje lata. Miał wrażenie, że skruszały mu kości. Ale będzie żył jeszcze dostatecznie długo, by zobaczyć, jak fałszywy Smok upada, a świat się jednoczy, gotów stawić czoło Tarmon Gai'don. Nawet jeśli nie będzie żył, by dowodzić podczas Ostatniej Bitwy, to Światłość zapewne tym mu wynagrodzi. — I chcę także, by odnaleziono Elayne Trakand oraz jej brata Gawyna, Balwer, i sprowadzono ich do Amadoru. Dopilnuj tego. A teraz możesz mnie zostawić samego.

Zamiast wyjść, Balwer zawahał się.

— Mój pan wie, że nigdy nie sugeruję, jak postępować.

— Ale teraz zamierzasz coś zasugerować? Cóż to takiego?

— Przyciśnij Morgase, mój panie. Minał miesiąc z okładem, a ona ciągle jeszcze rozważa propozycję mojego pana. Ona...

— Dość, Balwer. — Niall westchnął. Czasami żałował, że Balwer nie jest Amadicianinem, tylko Cairhienianinem, który wyssał Grę Domów z mlekiem matki. — Morgase jest z każdym dniem coraz bardziej ode mnie uzależniona, niezależnie od tego, co jej samej się zdaje. Bardziej by mi się co prawda podobało, gdyby uległa od razu... już dziś mógłbym wywołać ferment, który by zaowocowałby powstaniem Andoru przeciwko al'Thorowi, wzmacniając dodatkowo zaczyn niemąłą liczbą Synów... niemniej jednak każdy dzień, jaki ona spędzi u mnie w gościnie, będzie ją przywiązywał coraz mocniej. Ostatecznie odkryje, że weszła ze mną w sojusz, ponieważ świat uważa ją za moją sojuszniczkę, zwią-

zana tak mocno, że nigdy przed tym nie ucieknie. I nikt nigdy nie powie, że ja ją zniewoliłem, Balwer. To ważne. Zawsze trudniej porzucić sojusz, do którego zdaniem świata weszło się dobrowolnie, niż taki, który zgodnie z dowodami został wymuszony. Bezmyślny pośpiech prowadzi do katastrofy, Balwer.

— Skoro tak mój pan mówi.

Niall odprawił go gestem i mężczyzna skłonił się do wyjścia. Balwer nic nie rozumiał. Morgase była trudną przeciwniczką. Poddana zbyt wielkiej presji, odwróci się i będzie walczyła wszelkimi dostępnymi środkami. Niemniej jednak poddana dostatecznej presji przystąpi do walki z tym wrogiem, którego podsunie jej wyobraźnia i w ogóle nie zauważy pułapki budującej się wokół niej, dopóki nie będzie za późno. Czas go ponaglał — wszystkie przeżyte lata, wszystkie miesiące, których rozpaczliwie potrzebował — ale nie zamierzał dopuścić, by pośpiech zniweczył jego plany.

\* \* \*

Sokolica rzuciła się na dużą kaczkę w eksplozji piór i po chwili dwa ptaki rozdzieliły się; truchło kaczki zaczęło koziołkować w stronę ziemi. Sokolica wykonała ostry skręt na tle bezchmurnego nieba, po czym ponownie runęła na spadającą ofiarę i schwytała ją w szpony. Ledwie radziła sobie z tym ciężarem, ale uporczywie, mozolnie wracała do czekających na nią ludzi.

Morgase zastanawiała się, czy ona sama przypadkiem nie przypomina tej sokolicy, zbyt dumna i zbyt zdeterminowana, by pojąć, że mogą jej nie utrzymać skrzydła, bowiem łup, na jaki zapolowała, okazał się zbyt ciężki. Próbowwała zmusić odziane w rękawice dłonie, by poluźniły uścisk na wodzach. Biały kapelusz z szerokim rondem, ozdobiony długimi białymi piórami, dawał niejaką osłonę przed niemiłosiernym słońcem, ale na jej twarzy i tak gromadziły się paciorki potu. W sukni do konnej jazdy z zielonego jedwabiu haftowanego złotem zupełnie nie wyglądała na więźniarkę.

Ludzkie sylwetki, na koniach i piesze, wypełniały długie pastwisko porośnięte wyschłą i zbrązowiałą trawą, nie tworząc jednakże na nim tłoku. Grupka muzyków w niebieskich kaftanach haftowanych białą nicią, z fletami, bitternami i tamburynami, wygrywała beztroską melodię, doskonale się nadającą na popołudnie spędzone przy schłodzonym winie. Kilkunastu sokolników w długich zdobnych skórzanych kamizelach nałożonych na bufiaste białe koszule gładziło sokoły w kapturach siedzące na ich urękawiczonych dłoniach, albo paliło krótkie fajki, okadzając swoje ptaki kłębami niebieskiego dymu. Dwukrotnie więcej służących uwijało się z tacami pełnymi owoców i złotych pucharów z winem, a tuż pod

drzewami o przeważnie już nagich gałęziach stali odziani w lśniące kolczugi mężczyźni, tworząc pierścień wokół pastwiska. Wszystko po to, by dogodzić Morgase i jej świcie, by dopilnować bezpiecznego przebiegu polowania z sokołami.

Cóż, taki przynajmniej podano powód, mimo iż ludzie Proroaka znajdowali się w odległości dobrych dwustu mil na północ, a bandyci raczej nie mogli kręcić się tak blisko Amadoru. A poza tym, jeśli się nie policzyło kobiet zbitych w gromadkę na ich kłaczach i wałachach, w sukniach do konnej jazdy z barwnych jedwabii i w kapeluszach z szerokim rondem, olśniewających kolorowymi piórami, z włosami utrefionymi w długie loki — obecnie najmodniejsze na amadiciańskim dworze, to tak naprawdę świta Morgase składała się jedynie z Basela Gilla, niezdarnie usadowionego na koniu, w kamizeli ozdobionej metalowymi krążkami, naciągniętej na pas opinający czerwony jedwabny kaftan, który zamówiła dla niego, żeby nie wyglądał gorzej od służących, oraz Paitra Conela, jeszcze bardziej niezdarnego, w czerwono-białym kaftanie pazia i demonstrującego to samo zdenerwowanie, które zdradzał od momentu, gdy przyłączyła go do swej grupy. Kobiety były szlachciankami z dworu Ailrona, które „zgłosiły się na ochotnika”, żeby zostać dwórkami Morgase. Biedny pan Gill wodził palcami po swym mieczu i posępnie przypatrywał się pilnującym ich Białym Płaszczom. Którzy jak zawsze, gdy eskortowali ją na zewnątrz Fortecy Światłości, nie mieli na sobie białych płaszczy. I jak zawsze stanowili jej straż. Gdyby spróbowała odjechać zbyt daleko, albo pozostać zbyt długo poza fortecą, wówczas ich dowódca, twardoeki młody człowiek o nazwisku Norowhin, który nie znosił udawać, że jest kimś innym a nie Białym Płaszczem, zapewne, jak to czynił już wcześniej, „sugerowałby”, by wróciła do Amadoru, jako powód podając narastający upał czy też nagłe nadejście pogłosek o bandytach grasujących na tym terenie. Nie sposób było się sprzeczać z pięćdziesięcioma uzbrojonymi mężczyznami, tak by jednocześnie zachować godność. Za pierwszym razem Norowhin o mały włos byłby jej odebrał wodze. Z tej właśnie przyczyny nie pozwalała Tallanvorowi towarzyszyć sobie podczas tych przejażdżek. Ten młody dureń domagałby się szacunku dla jej honoru i praw, nawet gdyby miał przeciwko sobie stu ludzi. Obecnie wszystkie swe wolne godziny spędzał na ćwiczeniu walki z mieczem, jakby się spodziewał, że będzie musiał wyrąbać dla niej drogę do wolności.

Ni stąd, ni zowąd, jej twarz omiótł nagły podmuch powietrza i wtedy zorientowała się, że to Laurain wychyliła się ze swego siodła, by ją powachlować wachlarzem z białej koronki. Ta szczupła, młoda kobieta o ciemnych oczach osadzonych nieco zbyt blisko siebie miała wiecznie nadąsaną minę.

— Jakże musi być Waszej Wysokości przyjemnie, gdy się dowiaduje, że jej syn wstąpił do Synów Światłości. I że tak szybko dosłużył się awansu.

— To nie powinno dziwić — stwierdziła Altalin, wachlując pulchną twarz. — Nie powinno dziwić, że syn Jej Wysokości szybko dostąpił wysokiego stanowiska, tak jak nie dziwi słońce, gdy wschodzi w całej swojej krasie.

Morgase z trudnością zachowała niewzruszone oblicze. Wieści, które Niall dostarczył ostatniego wieczora, podczas jednej z jego niespodziewanych wizyt, całkiem ją zaszokowały. Galad Białym Płaszczem! Przynajmniej nic mu nie groziło, jak twierdził Niall. Nie mógł jej odwiedzić; zatrzymywały go obowiązki Syna Światłości. Ale z pewnością będzie członkiem jej eskorty, kiedy będzie wracała do Andoru na czele armii Synów.

Nie, Galad nie był bardziej bezpieczny niż Elayne albo Gawyn. Może nawet jeszcze mniej. Oby Światłość sprawiła, by Elayne nic nie groziło w Białej Wieży. Oby Światłość sprawiła, by Gawyn żył; Niall twierdził, że nie wie, gdzie on jest, prócz tego, że na pewno nie w Tar Valon. Galad był niczym nóż przyłożony do jej gardła. Niall nie będzie nigdy taki brutalny, by to w ogóle zasugerować, ale jeden jego prosty rozkaz mógł posłać Galada tam, gdzie z pewnością czekałaby go śmierć. Chroniło go tylko przekonanie Nialla, iż ona nie interesuje się jego losem w takim samym stopniu jak losami Elayne i Gawyna.

— Cieszę się w jego imieniu, jeśli on do tego właśnie dążył — odparła obojętnym tonem. — Ale to syn Taringailla, nie mój. Musicie zrozumieć, małżeństwo z Taringailem było podyktowane interesami państwa. Może to dziwne, ale on umarł tak dawno, że z trudem sobie przypominam jego twarz. Galad ma prawo postępować, jak zechce. To Gawyn będzie Pierwszym Księciem Miecza, kiedy Elayne zastąpi mnie na Tronie Lwa. — Gestem ręki odprawiła służącego, który podsunął w jej stronę puchar na tacy. — Niall mógłby nam przynajmniej dostarczyć jakiegoś zaniejszego wina. — Odpowiedziała jej fala zaniepokojonego świergotania. Osiągnęła już niejaki sukcesy w nawiązywaniu z nimi bliższych stosunków, żadna jednakże nie potrafiła zachowywać się beztrąsko, gdy obrażano Pedrona Nialla, zwłaszcza w miejscu, gdzie było wielu gotowych mu natychmiast o tym donieść. Morgase korzystała więc z każdej okazji, by tak postąpić, wiedząc, że jest przez nie słyszana. To je przekonywało o jej odwadze, które to przekonanie było ważne, jeśli miała zawrzeć jakiś bodaj częściowy sojusz. Być może nawet tym ważniejsze, przynajmniej dla stanu jej umysłu, że pomagało podtrzymać iluzję, iż nie jest więźniem Nialla.

— Słyszałam, że ponoć Rand al'Thor wystawia na pokaz Tron Lwa niczym trofeum myśliwskie.

To powiedziała Marande, piękna kobieta o twarzy w kształcie serca, nieco starsza od pozostałych. Siostra Głowy Domu Algoran, sama dysponowała władzą, być może dostateczną, by móc stawić opór Ailronowi, ale na pewno nie Niallowi. Pozostałe ściągnęły wodze wierzchowców, by podjechać bliżej Morgase. Wejście w jakiś sojusz albo nawiązanie przyjaźni z Marande zupełnie nie wchodziło w rachubę.

— Też o tym słyszałam — odparła pogodnym tonem Morgase. — Lew to niebezpieczne zwierzę, jeśli na nie polować, a tym bardziej Tron Lwa. Zwłaszcza dla mężczyzny. Zabija tych, którzy chcą go zdobyć.

Marande uśmiechnęła się.

— Słyszałam też, że on obdarza wysokimi stanowiskami mężczyzn, którzy potrafią przenosić.

To stwierdzenie spowodowało, że pozostałe kobiety z niepokojem zaszemrały, a w ich oczach rozbłysnął lęk. Jedna z młodszych kobiet, drobna i niemalże zasługująca jeszcze na miano dziewczyny, zachwiała się w siodle z wysokim łękiem, jakby zaraz miała zemdleć. Wieści o amnestii al'Thora mnożyły się w dziesiątki przerażających opowieści; plotek jedynie, na co gorączkowo liczyła Morgase. Oby Światłość sprawiła, żeby to zgromadzenie przenoszących mężczyzn w Caemlyn, hulające po pałacu i terroryzujące miasto, to była tylko plotka.

— Dużo słyszycie — powiedziała Morgase. — Czy cały swój czas spędzacie na nasłuchiwaniu pod drzwiami, w których są jakieś szpary?

Uśmiech Marande pogłębił się. Nie była w stanie oprzeć się presji i została jedną z dwórek Morgase, ale dzięki swej wysokiej pozycji w hierarchii władzy mogła bez strachu okazywać niezadowolenie. Przypominała cierń wbity głęboko w stopę, który nie daje się wyciągnąć i przy każdym kroku mocno kłuje.

— Niewiele mi czasu zostaje poza przyjemnością usługiwania Waszej Wysockości, by gdziekolwiek nasłuchiwać, ale zaiste staram się łapać wszelkie wieści o Andorze. Po to, by mieć o czym konwersować z Waszą Wysokością. Słyszałam, że fałszywy Smok każdego dnia spotyka się z andorańskimi arystokratami. Przeważnie z lady Arymillą i lady Naean oraz lordem Jarinem i lordem Lirem. A także z innymi, z ich przyjaciółmi.

Jeden z sokolników podniósł w stronę Morgase zakapturzonego smukłego ptaka o szarym upierzeniu z wyróżniającymi się czarnymi skrzydłami. Sokolica umościła się na jego rękawicy, pobrzękując srebrnymi dzwoneczkami umocowanymi przy pętach.

— Dziękuję ci, ale na dzisiaj mam dość polowania — powiedziała Morgase, po czym podniosła głos: — Panie Gill, proszę przywołać eskortę. Wracam do miasta.

Gill wzdrygnął się. Znakomicie wiedział, że jest tu tylko po to, by jechać tuż za nią, ale zaczął machać rękoma i wykrzykiwać rozkazy w stronę Białych Płaszczy, jakby wierzył, że go usłuchają. Morgase natychmiast zawróciła swą czarną klacz. Rzecz jasna, nie przymusiła zwierzęcia do szybszej jazdy, puściła ją truchtem. Norowhin rzuciłby się na nią z prędkością błyskawicy, gdyby tylko uznał, że rozważa możliwość ucieczki.

Tak czy inaczej, Białe Płaszcze, pozbawione swoich płaszczy, poderwały się do galopu, by utworzyć jej eskortę, ledwie klacz zdążyła pokonać dziesięć kroków, a nim dotarła do skraju łąki, u boku Morgase był już Norowhin; kilkunastu ludzi jechało w przedzie, a reszta tuż za nimi. Słudzy, muzycy i sokolnicy zostali, by wszystko pozbierać i czym prędzej udać się ich śladem.

Gill i Paitr zajęli swoje stanowiska za jej plecami, dalej jechały dwórki. Ma-



rande obnosiła się ze swym uśmiechem, jakby to była jakaś odznaka triumfu, ale pozostałe krzywiły się z dezaprobatą. Niezbyt otwarcie — z tą kobietą trzeba się było liczyć w Amadicii, nawet jeśli musiała ustąpić Niallowi — niemniej jednak większość z nich starała się jak najlepiej wywiązać z zadania, którym obarczono je wbrew ich woli. Najprawdopodobniej liczne usługiwałyby Morgase dobrowolnie; nie podobał im się natomiast przymus rezydowania w Fortecy Światłości.

Morgase sama by się uśmiechnęła, gdyby mogła być pewna, że Marande tego nie zauważy. Jedynym powodem, dla którego już wiele tygodni temu nie uparła się, by tę kobietę odesłano, była swoboda, z jaką ta rozpuszczała swój język. Marande uwielbiała jej dokuczać, stale przypominając o tym, jak znacząca była utrata jej władzy nad Andorem, niemniej jednak nazwiska, które wymieniała, były niczym balsam dla uszu Morgase. Sami mężczyźni i kobiety, którzy byli jej przeciwnikami podczas Sukcesji, sami pochlebcy Gaebriła. Nie zaskoczyli jej swoim postępowaniem w najmniejszym stopniu. Byłoby całkiem inaczej, gdyby Marande wymieniała innych. Na przykład lorda Pelivara, Abelle albo Luana, lady Arathelle, Ellorien albo Aemlyn. Albo jeszcze innych. Marande w swoich docinkach ani razu nie wymieniła tych nazwisk, a uczyniłaby to na pewno, gdyby jakiś najcichszy nawet podszept z Andoru kazał jej zwrócić na nie uwagę. Dopóki Marande o nich nie wspominała, dopóty istniała bodaj nadzieja, że jeszcze nie ukłękli przed al'Thorem. Wsparli kiedyś roszczenia Morgase wobec tronu i mogli to uczynić raz jeszcze, jeżeli taka wola Światłości.

Niemalże całkowicie bezlistny las przeszedł w trakt z mocno ubitej ziemi i poprowadził ich dalej na południe, w kierunku Amadoru. Zalesione odcinki przeplatały się z zagajnikami i leżącymi odłogiem polami, domami krytymi strzechą i stodołami pobudowanymi w sporej odległości od drogi. Tłumy zdążających tą drogą ludzi wzniewały tumany kurzu, przez co Morgase musiała osłonić twarz jedwabną chustą, mimo iż pospiesznie uskakiwali na pobocze, ledwie dostrzegli zbliżającą się do nich tak liczną grupę uzbrojonych ludzi zakutych w zbroje. Niektórzy nawet umykali między drzewa albo przeskakiwali przez płoty i dalej uciekali po polach. Białe Płaszcze nawet na nich nie spoglądały i nie pojawił się w zasięgu wzroku żaden farmer, który pogroziłby pięścią albo krzyknął coś w stronę intruzów, którzy wdarli się na jego pole. Kilka farm sprawiało wrażenie porzuconych, nie było nigdzie widać ani kur, ani bydła.

Wśród ludzi na drodze, tu i ówdzie, widziało się wóz ciągniony przez woły, człowieka prowadzącego kilka owiec, gdzie indziej młodą kobietę, która pędziła stadko gęsi; wszyscy zaliczali się do miejscowych. Napotykało się też takich, którzy dźwigali na ramieniu tobołek albo wypchaną torbę, większość jednakże miała puste ręce; wędrowali przed siebie, sprawiając wrażenie, że całkiem nie mają pojęcia, jaki właściwie jest cel ich wędrówki. Rzesze tych ostatnich były coraz liczniejsze za każdym razem, gdy Morgase pozwalano oddalić się od Amadoru, niezależnie od kierunku, w jakim się udała.

Naciągnawszy chustę na nos, Morgase przypatrywała się z ukosa Norowhino-  
wi. Był mniej więcej wieku i wzrostu Tallanvora, ale na tym kończyło się wszel-  
kie podobieństwo. Z tą poczerwieniałą twarzą wyzierającą spod wypolerowanego  
stożkowego hełmu, obłażącą ze skóry od zbyt częstego wystawiania na słońce,  
w ogóle nie był przystojny. Chuda sylwetka i wydatny nos przywodziły jej na myśl  
jakieś narzędzie podobne do motyki. Za każdym razem, kiedy opuszczała Forte-  
cę Światłości, to on dowodził jej „eskortą” i za każdym razem, kiedy próbowała  
wciągnąć go do rozmowy, niezależnie już od tego, czy był Białym Płaszczem,  
każdy cal, na który potrafiła go odciągnąć od roli dozorca więziennego, stanowił  
zwycięstwo.

— Czy ci wszyscy ludzie uciekają przed Prorokiem, Norowhin? — Nie wszy-  
scy mogli uciekać przed tym człowiekiem; tyle samo kierowało się na północ co  
na południe.

— Nie — odparł zwięźle, nawet na nią nie zerknawszy. Systematycznie omia-  
tał wzrokiem oba pobocza, jakby się spodziewał, że lada chwila pojawi się ktoś,  
przychodząc jej z odsieczą.

Dotychczas przeważnie tyle tylko uzyskiwała w odpowiedzi, ale mimo to  
uparcie obstawała przy swoim.

— No to kim oni są? To na pewno nie są Tarabonianie. Jesteście znakomici  
w przeganianiu ich z miejsca na miejsce. — Widziała już kiedyś grupę Tarabo-  
nian, około pięćdziesięciu mężczyzn, kobiet i dzieci, brudnych i niemal padają-  
cych z wycieńczenia, pędzonych na zachód niczym stado bydła przez Białe Płasz-  
cze na koniach. Jedynie gorzka świadomość, że nie może zrobić absolutnie nic,  
pomogła jej wtedy poskromić język. — Amadicia to bogate państwo. Nawet susza  
nie mogła wypędzić aż tylu ludzi z farm w ciągu zaledwie kilku miesięcy.

W twarzy Norowhina coś drgnęło.

— Nie — odparł po chwili. — Oni uciekają przed fałszywym Smokiem.

— Jak to możliwe? Przecież dzieli go od Amadicii odległość stu lig.

Na spalonej słońcem twarzy mężczyzny znowu pojawiły się oznaki wewnętr-  
znych zmagañ, albo nad doborem słów, albo przeciwko powiedzeniu czegokol-  
wiek.

— Oni wierzą, że to prawdziwy Smok Odrodzony — powiedział w koń-  
cu z wyraźnym obrzydzeniem. — Powiadają, że on, dokładnie tak jak przepo-  
wiedziały Proroctwa, zrywa wszystkie dotychczasowe więzi. Ludzie wypierają  
się swoich lordów, czeladnicy porzucają mistrzów. Mężowie opuszczają rodziny,  
a żony mężów. To plaga niesiona wraz z wiatrem, wiatrem, który wieje od fałszy-  
wego Smoka.

Wzrok Morgase padł na jakiegoś młodego mężczyznę i kobietę, którzy przy-  
tuleni do siebie, obserwowali przejazd ich grupy. Pot wrył bruzdy w brudzie  
oblepiającym ich twarze, a pospolite odzienie okrywał kurz. Wyglądali na wy-  
głodniałych, mieli zapadłe policzki, zbyt wielkie oczy. Czy tak mogło się dzieć

w Andorze? Czy Rand al'Thor zrobił to samo z Andorem?

„Jeżeli tak, to zapłaci za to”.

Tylko jak tego dokonać, żeby lekarstwo nie okazało się gorsze od choroby? Na tym właśnie polegał cały problem. Jeśli wyswobodzi Andor i podaruje go Białym Płaszczom. . .

Usiłowała podtrzymać rozmowę, jednak Norowhin, po wygłoszeniu tak znacznej liczby słów, większej niżli te wszystkie, jakie kiedykolwiek do niej skierował, zaczął odpowiadać monosylabami. To nie miało znaczenia; skoro raz udało jej się przełamać jego powściągliwość, to i za drugim razem też jej się uda.

Wykręciwszy się w siodle, usiłowała wypatrzeć młodego mężczyznę i kobietę, ale zniknęli już za żołnierzami Białych Płaszczy. To też nie miało znaczenia. Te twarze zamieszkają w jej pamięci, tuż obok obietnicy, jaką sobie w duchu złożyła.

# PORZEKADŁO Z ZIEM GRANICZNYCH

Przez chwilę Rand tęsknił do tych dni, kiedy mógł samotnie przechadzać się po korytarzach pałacu. Tego ranka towarzyszyła mu Sulin i dwadzieścia Panien, Bael, wódz klanu Goshien Aiel, połowa tuzina *Sovin Nai* — Rąk Noża z Jhirad Goshien — dla okazania szacunku Baelowi, oraz Bashere z równie liczną grupą Saldaeańczyków o orlich nosach. Wspólnie tworzyli spory tłum na szerokim, obwieszonym gobelinami korytarzu, przy czym odziani w *cadin'sor Far Dareis Mai* i *Sovin Nai* na wylot przeszywali wzrokiem służbę, która kłaniała się albo dygała pospiesznie i natychmiast usuwała się z drogi, a także młodszych Saldaeańczyków, którzy prężyli się buńczucznie w krótkich kaftanach i workowatych spodniach z nogawkami wepchniętymi w cholewy wysokich butów. Mimo półmroku było tu gorąco, a w powietrzu wirowały drobiny kurzu. Niektórzy słudzy nosili wciąż te same czerwono-białe liberie co w czasach panowania Morgase, większość mężczyzn jednakże była tutaj nowa, dlatego więc ubrani byli w to, co akurat mieli na sobie, gdy starali się o tę posadę; tworzyli wspólnie pstrokatą zbieraninę wełnianych przyodziewków farmerów i handlarzy, przeważnie burych i zgrzebnych, ale ostatecznie odzwierciedlających całą gamę barw, tu i ówdzie urozmaiconych haftem albo skrawkami koronek.

Rand odnotował w pamięci, że musi przykazać pani Harfor, Pierwszej Służebnej, by ta znalazła dostateczną ilość liberii, dzięki czemu nowo przybyli nie musieliby pracować w swym najlepszym ubraniu. Zresztą pałacowe liberie były z pewnością świetniejsze niż codzienny przyodziewek prostego ludu, wyjąwszy być może jego wersję świąteczną. Służących było mniej niż za dni Morgase, a wśród mężczyzn i kobiet odzianych na czerwono i biało spotykało się sporo tych posiwiiałych i przygarbionych, którzy normalnie zamieszkiwaliby kwatery emerytów. Ci, zamiast uciec tak jak wielu innych, woleli raczej zrezygnować z emerytury niżli patrzeć, jak pałac marnieje. Jeszcze jedna notatka w pamięci. Kazać pani Harfor — tytuł „Pierwsza Służebna” nie robił specjalnego wrażenia, a wszak Reene Harfor kierowała pałacem dzień w dzień — by wyszukała dostateczną liczbę służących, dzięki czemu ci starszycy mogliby się cieszyć zasłużonym odpo-

czynkiem. Czy nadal im płacono emerytury, skoro Morgase nie żyła? Powinien był pomyśleć o tym zawczasu; Halwin Norry, główny rachmistrz, będzie wiedział. Czuł się, w obliczu kolejno pojawiających się a niezliczonych spraw, jakby go chłostano na śmierć ptasimi piórami. Każda rzecz przypominała, że trzeba zrobić coś jeszcze innego. Drogi — to już nie były drobiazg. Kazał ustawić strażę przy Bramie w Caemlyn, a także przy tych w okolicach Łzy i Cairhien, ale nawet nie mógł mieć pewności, czy przypadkiem nie ma ich tu więcej.

O tak, zamieniłyby wszystkie te ukłony i dygnienia, wszystkie te stráže honorowe, wszystkie te problemy i powinności, wszystkich tych ludzi, których potrzeby należało zaspokoić, na czasy, kiedy musiał się troszczyć wyłącznie o własny kaftan. Rzecz jasna, w tamtych czasach wcale nie byłoby mu wolno przechadzać się tak swobodnie po tych korytarzach, z pewnością nie bez towarzystwa jakiejś straży, takiej, która by pilnowała, czy nie zwędzi ukradkiem srebrno-złotego kielicha stojącego w niszy w ścianie albo figurki z kości słoniowej ze stołu inkrustowanego lazurytem.

Przynajmniej tego ranka nie słyszał głosu Lewsa Therina pomrukującego we wnętrzu jego głowy. I w pełni opanował tę sztuczkę, którą pokazał mu Taim; po twarzy Bashere pot ściekał strumieniami, natomiast na niego upał ledwie działał. Miał na sobie haftowany srebrem kaftan z szarego jedwabiu, zapinany pod szyję, a mimo to nie wypocił ani kropli, nawet jeśli było mu nieco za ciepło. Taim go zapewnił, że po jakimś czasie nie będzie w ogóle odczuwał ani upału, ani zimna, nawet takich temperatur, które innego człowieka uczyniłyby niezdolnym do działania. Ten zabieg polegał na zdystansowaniu się w stosunku do samego siebie, na szczególnej wewnętrznej koncentracji, co trochę przypominało sposób, w jaki on przygotowywał się do objęcia *saidina*. Dziwne, zdawał się tak bliski Mocy, a mimo to nie miał z nią nic wspólnego. Czy Aes Sedai robiły to samo? Nigdy nie widział ani jednej spoconej. Czy na pewno?

Zaniósł się nagle głośnym śmiechem. On się zastanawia, czy Aes Sedai się pocą! Może jeszcze nie oszalał, ale na pewno mógł ująć za durnia z wełną zamiast mózgu.

— Czyżbym powiedział coś śmiesznego? — spytał oschłym tonem Bashere, przeciągając kłykciami po wąsach. Niektóre Panny spojrzały na niego wyczekująco; cały czas robiły, co mogły, by zrozumieć poczucie humoru mieszkańców bagien.

Rand nie miał pojęcia, jakim sposobem Bashere zachowuje taki spokój umysłu. Tego właśnie ranka do pałacu dotarły wieści o walkach toczących się między poszczególnymi krainami Ziemi Granicznych. Opowieści podróżników kiełkowały niczym chwasty po deszczu, ale te nadeszły z północy, najwyraźniej wraz z kupcami, którzy dotarli co najmniej aż do samego Tar Valon. Informacje nie precyzowały, ani gdzie się te walki toczą, ani też kto jest w nie zaangażowany. Saldaea wchodziła w rachubę tak samo jak każdy inny kraj, a Bashere nie słyszał,

co się tam dzieje od czasu, gdy stamtąd przed wieloma miesiącami wyjechał. Sądząc jednakże po reakcji, jaką wywołały w nim te wieści, równie dobrze mógł się dowiedzieć, że cena rzepy poszła w górę.

Rzecz jasna, Rand sam nie miał pojęcia o tym, co się działo w Dwu Rzekach — chyba że te mgliste pogłoski o powstaniu gdzieś na zachodzie dotyczyły także jego rodzinnych stron; w tych czasach prawdą mogło być wszystko albo nic — dla niego jednakże to nie było to samo. Porzucił Dwie Rzeki. Aes Sedai miały szpiegów wszędzie i nie założyłby się nawet o miedziaka, czy nie mają ich również Przekłęci. Smok Odrodzony nie miał powodów, żeby interesować się wioską wielkości muszej kropki, w której wychował się Rand al'Thor; daleki był od tego. W przeciwnym razie Pola Emonda można by użyć jakoś przeciwko niemu, choćby w charakterze zakładnika. A mimo to nie zamierzał dzielić włosa na czworo, nawet w rozmowach z samym sobą. Porzucenie to porzucenie.

„Nawet gdybym potrafił jakoś uciec przed swoim przeznaczeniem, to czy na to zasługuję?”

To była jego własna myśl, nie Lewsa Therina. Rozprostowując ramiona, w których nagle odezwał się tępy ból, postarał się, by jego głos zabrzmiał beztrasko:

— Wybacz mi, Bashere. Przyszło mi do głowy coś dziwnego, ale słuchałem cię. Mówiłeś, że w Caemlyn panuje przeludnienie. Na każdego człowieka, który uciekł, ponieważ się bał fałszywego Smoka, przybywa dwóch takich, dla których nie jestem fałszywym Smokiem i dlatego oni się nie boją. Widzisz?

Burknięcie Bashere mogło być dowolnie zrozumiane.

— Ilu tu przybywa z innych powodów, Randzie al'Thor? — Bael był najwyższym człowiekiem, jakiego Rand w życiu widział, o dobrą dłoń wyższy od niego samego. Stanowił dziwaczny kontrast w porównaniu z Bashere, który był niższy od wszystkich Panien z wyjątkiem Enaili. Ciemnorude włosy Baela były gęsto przetykane siwizną, ale twarz miał pociągłą i surową, a w jego niebieskich oczach zastygły ostre błyski. — Twoimi wrogami można by obdzielić stu ludzi. Zapamiętaj moje słowa, będą znowu próbowali cię atakować. Mogą wśród nich być nawet Jeźdźcy Cienia.

— Jeśli nawet nie ma wśród nich żadnych Sprzymierzeńców Ciemności — wtrącił Bashere — to w takim mieście kłopoty wrą niczym herbata pozostawiona na ogniu. Wielu ludzi oberwało porządne cięgi, najwyraźniej za to, że wątpili, byś ty był Smokiem Odrodzonym, a jeden biedak został wywleczony z tawerny do jakiejś stodoły i powieszony na krokwiach za to, że naśmiewał się z twoich cudów.

— Moich cudów? — spytał z niedowierzaniem Rand.

Jakiś pomarszczony, siwowłosy sługa, w za dużym kaftanie od liberii i z wielkim wazonem w rękach, który starał się jednocześnie ukłonić i zejść im z drogi, potknął się i upadł na plecy. Jasnozielony wazon z cienkiej jak papier porcelany — wyrób Ludu Morza — przeleciał mu nad głową i pokoziołkował przez posadz-

kę wykładaną ciemnoczerwonymi płytkami, turlając się i podskakując, dopóki nareszcie nie znieruchomiał w odległości jakichś trzydziestu kroków. W pozycji pionowej. Staruszek zaskakująco rześko poderwał się na nogi i pobiegł do wazonu, gładząc go dłońmi i pokrzykując z równym niedowierzaniem co z ulgą, gdy nie znalazł ani szczerby, ani rysy. Inni słudzy patrzyli na to wszystko z równą podejrzliwością, po czym nagle oprzytomnieli i pospiesznie wrócili do swych zajęć. Tak mocno unikali patrzenia na Randa, że kilku zapomniało się ukłonić albo dygnąć.

Bashere i Bael wymienili spojrzenia; Bashere dmuchnął w swe sumiaste wąsy.

— Niech będzie, dziwne zdarzenia — powiedział. — Co dzień słyszy się kolejną opowieść o dziecku, które wypadło na bruk z okna znajdującego się na wysokości czterdziestu stóp i nawet nie miało siniaka. Albo o jakiejś babci, która stanęła na drodze dwu tuzinów rozpędzonych koni, tylko że one jakoś wcale jej nie poturbowały, nie obaliły na ziemię ani też nie stratowały. Pewien jegomość dwadzieścia dwa razy pod rząd wygrywał w kości pięć koron i to też uważają za twoją zasługę. Szczęściarz z niego.

— Powiadają — dodał Bael — że wczoraj z jakiegoś dachu spadł kosz pełen dachówek. Wszystkie spadły na ulicę nietknięte, ułożone w starożytny symbol Aes Sedai. — Zerknął na siwowłosego sługę, który stał z szeroko rozdziawionymi ustami i przyciskał wazon do piersi. — Nie wątpię, że tak się stało.

Rand powoli wypuścił powietrze z płuc.

Oczywiście nie wspomnieli o zdarzeniach innego rodzaju. O człowieku, który potknął się o próg i powiesił się, bo jego chustka zaczepiła się o klamkę. Od jakiegoś dachu oderwał się poluźniony gont i silny wiatr wrzucił go przez otwarte okno, a potem przez otwarte drzwi, zabijając kobietę, która siedziała przy stole razem ze swoją rodziną. Tego typu rzeczy zdarzały się, tyle że rzadko. Rzadko, ale nie przy nim. Raz z dobrym skutkiem, innym razem ze złym, zło bowiem działa się równie często jak dobro; wypaczał los przez to tylko, że znajdował się w odległości kilku mil od miejsca zdarzenia. Nie, nawet gdyby te smoki zniknęły z jego ramion, a z dłoni wypalone czaple, to i tak nadal byłby naznaczony. Było takie porzekadło w Ziemiach Granicznych: „Obowiązek cięższy niż góra, śmierć lżejsza od pióra”. Jak już ta góra usadowiła się pewnie na twoich barkach, to nie było sposobu, żeby ją z nich zdjąć. Zresztą i tak nie było nikogo innego, kto mógłby ją ponieść, więc po co się skarżyć?

Postarał się przemówić głosem pełnym werwy:

— Czy znalazłeś ludzi, którzy powiesili tamtego? — Bashere pokręcił głową. — No to znajdź ich i aresztuj za morderstwo. Chcę położyć temu kres. A teraz inna sprawa. Wątpienie we mnie to nie zbrodnia. — Krążyły pogłoski, że Prorok tak właśnie orzekł, ale na razie jeszcze nie mógł nic z tym zrobić. Nawet nie wiedział, gdzie dokładnie przebywa Masema, prócz tego, że gdzieś w Ghealdan albo w Amadicii. O ile w ostatnim czasie nie przeniósł się gdzieś indziej. Kolejna

sprawa zanotowana w pamięci; musi znaleźć tego człowieka i jakoś go okiełznać.

— Niezależnie od tego, jakie to przyniesie skutki? — spytał Bashere. — Ludzie szepczą, że jesteś fałszywym Smokiem, który zabił Morgase z pomocą Aes Sedai. Ponoć ludzie zamierzają powstać przeciwko tobie i pomścić swoją królową. Nie wiadomo, jak jest ich wielu.

Rand poczuł, jak tężeje mu twarz. Z tym pierwszym mógł żyć — musiał; ilekroć by temu zaprzeczał, nie był w stanie doszczętnie wypłenić pogłosek — zbyt wiele wersji krążyło i wciąż się namnażało. Nie mógł jednak tolerować podżegania do buntu. Andor pozostanie jednością, której on nie pozwoli rozszerzyć w wyniku wojny. Przekaze ten kraj w ręce Elayne w równie nie skażonym stanie, w jakim go przejął. Odda go jej, o ile ją kiedykolwiek odnajdzie.

— Odszukaj tych, którzy dali temu początek — rzekł ochryple — i wtrąć do więzienia. — Światłości, jak znaleźć tego, kto daje początek plotce? — Mogą się zwrócić do Elayne, jeśli będą chcieli prosić o łaskę. — Jakaś młoda służąca, w zgrzebnej burej sukni, która właśnie odkurzała misę z niebieskiego szkła, dostrzegła wyraz jego twarzy i misa wypadła z jej nagle drżących rąk, roztrzaskując się na kawałki. Nie zawsze odmieniał los. — A czy są jakieś dobre wieści? Z chęcią bym jakieś usłyszał.

Młoda kobieta pochyliła się chwiejnie, by pozbierać okruchy, ale Sulin zerknęła na nią, tylko zerknęła, i wtedy dziewczyna wyprostowała się gwałtownie z wytrzeszczonymi oczyma, po czym przywarła do gobelinu przedstawiającego polowanie na lamparta. Rand tego nie rozumiał, ale niektóre kobiety zdawały się bardziej bać Panien niż mężczyzn Aielów. Młoda kobieta spojrzała na Baela, jakby z nadzieją, że ją obroni. Ale ten zdawał się w ogóle jej nie widzieć.

— To zależy od tego, jak definiujesz dobre wieści. — Bashere wzruszył ramionami. — Dowiedziałem się, że trzy dni temu do miasta wjechali Ellorien z Domu Traemane i Pelivar z Domu Coelan. Zakradli się, można powiedzieć, i żadne nie zbliżyło się do Wewnętrznego Miasta. Na ulicy gadają, że w okolicach miasta przebywa Dyelin z Domu Taravin. Żadne nie odpowiedziało na twoje zaproszenia. Nie słyszałem jednak nic, co by ich łączyło z tymi poszeptywaniami. — Zerknął na Baela, który nieznacznie pokręcił głową.

— My słyszymy jeszcze mniej niż ty, Davramie Bashere. Ci ludzie rozmawiają o wiele swobodniej w obecności innych mieszkańców mokradeł.

Tak czy inaczej, to akurat były dobre wieści. Tych właśnie ludzi Rand potrzebował. Jeśli uważali go za fałszywego Smoka, to znajdzie sposób, żeby to jakoś obejść. Jeśli uważali, że to on zabił Morgase. . . No cóż, tym lepiej, jeśli pozostaną wierni jej pamięci i jej krwi.

— Poślij im zaproszenia, żeby złożyli mi wizytę. Dołącz do nich imię Dyelin; może wiedzą, gdzie ona jest.

— Jeżeli to ja wystosuję takie zaproszenie — zauważył Bashere z wyraźnym powątpiewaniem — to może zostać ono zrozumiane nie inaczej, jak tylko jako



przypomnienie, że w Andorze stacjonuje saldaeańska armia.

Rand zawahał się, po czym skinął głową, uśmiechając się nagle szeroko.

— Poproś lady Arymillę, żeby je zaniosiła. Nie wątpię, że połakomi się na możliwość zademonstrowania, jak blisko mnie przebywa. Ale to ty je napisz. — Po raz kolejny przydawały się lekcje Moiraine odnośnie do zasad Gry Domów.

— Nie wiem, czy to dobra wieść, czy nie — powiedział Bael — ale wiem od Czerwonych Tarcz, że dwie Aes Sedai wynajęły izby w jednej z karczm Nowego Miasta. — Czerwone Tarcze od dawna wspomagały ludzi Bashere przy pilnowaniu porządku publicznego w Caemlyn; obecnie robiły to same. — Słyszemy mniej, Davramie Bashere, ale być może czasami widzimy więcej.

— Czy jedna z nich jest może naszą znajomą, która tak lubi koty? — spytał Rand. Po mieście uporczywie krążyły pogłoski o jakiejś Aes Sedai; czasami zresztą mówiły o dwóch, innym razem o trzech albo wręcz o całej grupie. Niemniej jednak zarówno Bashere, jak i Baelowi nie udało się dotrzeć do niczego więcej jak tylko do paru opowieści o jakiejś Aes Sedai, która rzekomo Uzdrawiała psy i koty, zawsze jednak działo się to w mało sprecyzowanym miejscu, a opowiadał o niej ktoś, kto o niej posłyszał w jakiejś tawernie albo na targowisku.

Bael potrząsnął głową.

— Nie sądzę. Czerwone Tarcze powiadają, że te dwie przybyły bodajże nocą. — Bashere wyraźnie się zainteresował, rzadko kiedy przepuszczał okazję do powtórzenia, że Rand potrzebuje Aes Sedai, ale Bael krzywił się wówczas lekko, tak lekko, że nikt by tego nie zauważył oprócz Aiela. Aielowie byli bardzo ostrożni w kontaktach z Aes Sedai, wręcz zdecydowanie im niechętni.

Dla Randa tych kilka słów zawierało mnóstwo kwestii do przemyślenia, niemniej jednak jego myśli, jakikolwiek kierunek by obrały, za każdym razem docierały ostatecznie do jego osoby. Dwie Aes Sedai musiały mieć powód, by przyjechać do Caemlyn, mimo iż ich siostry unikały tego miasta, odkąd się w nim pojawił. I prawdopodobnie ten powód miał coś wspólnego z nim. W najspokojniejszych czasach niewielu ludzi podróżowało nocą, a to nie były spokojne czasy. Jeżeli jakieś Aes Sedai przybywały nocą, to zapewne unikały w ten sposób ściągania na siebie uwagi, i najprawdopodobniej osobą, której uwagi przede wszystkim nie chciały na siebie ściągać, był on sam. Z drugiej zaś strony być może po prostu jechały gdzieś z jakąś pilną sprawą. Przez którą, być może, należało rozumieć misję na rzecz Wieży. Zresztą, prawdę powiedziawszy, jakoś nie umiał sobie wyobrazić, co aktualnie mogło być ważniejsze dla Wieży niż on sam. A może postanowiły przyłączyć się do tych Aes Sedai, które, jak uparcie powtarzała Egwene, zamierzały go poprzeć.

Uznał, że musi się dowiedzieć, niezależnie od tego, o co ostatecznie chodzi. Światłość tylko wiedziała, co zamierzają Aes Sedai — zarówno te z Wieży, jak i te gdzieś ukryte, wśród których przebywała Elayne — ale musiał się tego dowiedzieć. Było ich zbyt wiele i spotkanie z nimi mogło być dla niego zbyt niebez-

pieczne, żeby tego zaniechać. Jak zareaguje Wieża, kiedy Elaida dowie się o jego amnestii? Jak zareaguje każda z Aes Sedai? Czy to już do nich dotarło?

Kiedy zbliżali się już do drzwi na końcu korytarza, otworzył usta, chcąc powiedzieć Baelowi, by ten poprosił jedną z tych Aes Sedai o przyście do pałacu. Dałby radę dwóm Aes Sedai, gdyby już do tego przyszło — pod warunkiem że te nie wzięłyby go z zaskoczenia — ale nie było sensu ryzykować, dopóki nie wiedział, kim one są i co zamierzają.

„Przepelnia mnie pycha. Mdli mnie od niej, bo mnie już całkiem zniszczyła!”

Rand zgubił krok. Tego dnia głos Lewsa Therina odezwał się dopiero po raz pierwszy w jego głowie — i zabrzmiało to zupełnie jak komentarz do jego własnych myśli na temat Aes Sedai, mógł się tym faktem pocieszać — ale to wcale nie dlatego zamilkł nagle i zatrzymał się jak wryty.

Z powodu upału drzwi wychodzące na jeden z pałacowych ogrodów były szeroko otwarte. Wszystkie kwiaty dawno temu przekwitły, a niektóre z krzewów róż i białych gwiazd wyglądały na zwiędnięte, ale nadal jeszcze rosły tam dające cień drzewa, mimo iż liści na nich nie było wiele, otaczając fontannę z białego marmuru, która szemrała w samym sercu ogrodu. Tuż obok fontanny stała jakaś kobieta odziana w obszerne spódnice z burej wełny i luźną białą bluzkę *algode*, z szarym szalem zapętlonym na łokciach, zapatrzona z niedowierzaniem na wodę, która nie służyła do niczego innego jak tylko do oglądania. Rand wpił chciwie wzrok w twarz Aviendhy, w rudawe pukle spadające na ramiona spod złożonej szarej chusty, którą miała obwiązane skronie. Światłości, jaka ona piękna! Zapatrzona na wodny pył, jeszcze go nie zauważyła.

Czy ją kochał? Nie miał pojęcia. Płatała mu się po głowie, razem z marzeniami o Elayne i Min. Wiedział natomiast z całą pewnością, że jest dla każdej z nich poważnym zagrożeniem: nie miał kobiecie nic do zaoferowania oprócz bólu.

„Ilyena. — Lews Therin zaszlochał. — Zabiłem ją! Światłości, obym szczeł w tobie na wieczność!”

— To może być ważne, że do Caemlyn zjechały dwie Aes Sedai, i to w takich okolicznościach — rzekł cicho Rand. — Chyba powinienem odwiedzić tę karczmę i dowiedzieć się, po co tu przyjechały. — Prawie wszyscy znieruchomieli razem z nim, ale Enaila i Jalani tylko wymieniły spojrzenia i, wyminawszy go, ruszyły w głąb ogrodu. Nieznacznie podniósł głos, nadając mu znacznie twardsze brzmienie: — Towarzyszące mi tutaj Panny pójda ze mną. Oczywiście każda, która ma ochotę wdziac suknię i gadać o zalotach, może zostać.

Enaila i Jalani zeszywniały, po czym obróciły się na pięcie, by spojrzeć mu w twarz, z oczyma rozjarzonymi oburzeniem. Dobrze, że Somara nie brała udziału w dzisiejszej straży; ta mogła się nie pohamować. Palce Sulin zamigotały w mowie Panien; to, co powiedziała, stłumiło wyraz oburzenia i wywołało rumieńce zażenowania na policzkach obu Panien. Aielowie znali najrozmaitsze odmiany sygnałów dłoni, którymi posługiwali się w sytuacjach, kiedy najlepsze było mil-

czenie. Każdy klan miał ich własny zestaw, podobnie zresztą jak każda społeczność, oprócz tego istniały również takie, które znali wszyscy Aielowie, ale tylko Panny stworzyły z nich własny język.

Rand nie zaczekał, aż Sulin skończy i odwrócił się plecami od ogrodu. Te Aes Sedai mogły wyjechać z Caemlyn równie szybko, jak przyjechały. Obejrzał się przez ramię. Aviendha nadal wpatrywała się w wodę; nie widziała go. Przyspieszył kroku.

— Bashere, czy mógłbyś wysłać któregoś ze swoich ludzi z rozkazem, by przyszykowano konie? Przy Bramie Południowych Stajni. — Główne bramy pałacu otwierały się na Plac Królowej, na którym czekał tłum ludzi z nadzieją, że zobaczy go, w choćby przelocie. Przedostanie się przez niego potrwałoby pół godziny, o ile dopisałoby mu szczęście.

Bashere dał znak i jeden z młodszych Saldaeańczyków pognął przed siebie, kołyszającym krokiem charakterystycznym dla człowieka przyzwyczajonego do siodła.

— Mężczyzna powinien wiedzieć, kiedy uciekać przed kobietą — rzucił w przestrzeń Bashere — ale mężczyzna roztropany wie, że czasami powinien przystanąć i stawić jej czoło.

— Młodość — dodał Bael pobłażliwym tonem. — Młody człowiek ściga cienie i ucieka przed światłem księżyca, dlatego w końcu kaleczy się w stopę własną włócznią. — Kilku Aielów zaczęło się śmiać, zarówno Panny, jak i Ręce Noża. Sami starsi.

Zirytowany Rand znowu obejrzał się przez ramię.

— Żadna z was nie wyglądałaby dobrze w sukni. — O dziwo, Panny i Ręce Noża znowu się roześmieli, tym razem jeszcze głośniej. Może jednak udało mu się choć trochę pojąć humor Aielów.

Kiedy wyjechał z Bramy Południowej Stajni na jedną z zakrzywionych ulic Wewnętrznego Miasta, było dokładnie tak, jak się spodziewał. Podkowy płasającego radośnie Jeadena brzękały na kamieniach brukowych; jabłkowity ogier rzadko opuszczał stajnię ostatnimi czasy. Na ulicy było wielu ludzi, ale nie taka ciżba, jakiej człowiek mógł się spodziewać po drugiej stronie pałacowego muru i wszystkich wyraźnie zaprzętały własne sprawy. Niemniej jednak widział pokazujące go sobie palce i przechodniów, którzy przysuwali się bliżej siebie, coś sobie szeptem mówiąc na ucho. Niektórzy być może rozpoznali Bashere — w odróżnieniu od Randa, generał marszałek często się pojawiał na mieście — a poza tym każdy, kto opuszczał pałac, zwłaszcza pod eskortą biegnących truchtem Aielów, musiał być kimś ważnym. Te poszeptywania i wycelowane palce towarzyszyły im przez całą drogę.

Mimo wgapionych weń spojrzeń, Rand starał się nacieszyć urokami wybudowanego przez ogirów Wewnętrznego Miasta. Te nieliczne okazje, podczas których mógł w ogóle pozwolić sobie na odrobinę radości, były wprost bezcenne. Ulice

rozbiegały się od lśniącego białą Pałacu Królewskiego, sunąc zgodnie z konturami wzgórz, zupełnie tak, jakby stanowiły naturalną część ukształtowania terenu. Wszędzie, jak okiem sięgnął, wyrastały smukłe wieże, pokryte kolorowymi płytkami lub złotymi, purpurowymi albo białymi kopułami, iskrzącymi się w słońcu. Tutaj przestrzeń pozostawiono nie zabudowaną, otwierając tym samym widok na wypełniony drzewami park, z kolei za wzniesieniem wzrok wiódł ku pofałdowanym równinom i lasom za wysokim, przetykanym srebrnymi żyłkami murem, który opasywał całe Caemlyn. Wewnętrzne Miasto zaplanowano w taki sposób, by cieszyło i koło oko. Ogirowie twierdzili, że tylko samo Tar Valon i legendarne Manetheren je prześcigało, jednak wielu ludzi, przeważnie Andoran, uważało, że Caemlyn im dorównuje.

Śnieżnobiałe mury Wewnętrznego Miasta stanowiły jednocześnie początek otaczającego je Nowego Miasta, z jego własnymi kopułami i iglicami, wśród których część usiłowała dorównać wysokością tym, które w Wewnętrznym Mieście pobudowano na znacznie wyższych wzgórzach. Tutaj, na węższych ulicach, panował ogromny ścisk i nawet szerokie bulwary, których środkiem biegły pasy ziemi obsadzone drzewami, były wypełnione przechodniami, furami ciągnionymi przez woły, ludźmi na koniach, w powozach i lektykach.

Tędy jechało się wolniej, mimo iż tłumy posłusznie ustępowały im drogi. Podobnie jak w Wewnętrznym Mieście ludzie nie mieli pojęcia, kim jest Rand, nikt jednak nie chciał wejść w paradę Aielom. Mimo to w takiej ciżbie musieli posuwać się wolno. A ludzi napotykali najrozmaitszych. Farmerów w zgrzebnych wełnach i kupców w kaftanach albo sukniach znamienitszego kroju. Rzemieślników spieszących do swych warsztatów, ulicznych handlarzy wychwalających gromko towary ułożone na tacach i ręcznie pchanych wózkach, było tam chyba wszystko, począwszy od szpilek i wstążek, po owoce i sztuczne ognie, przy czym te dwa ostatnie artykuły były obecnie równie drogie. Jakiś bard w płaszczu z ponaszwanymi łatkami otarł się o trzech Aielów badających ostrza wyłożone na stołach przed warszatem nożownika. Dwóch szczupłych jegomościów z ciemnymi włosami zaplecionymi w warkoczyki i nożami przypasanymi do pleców — zdaniem Randa, uczestników Polowania na Róg — gawędziło z grupką Saldaeańczyków, jednocześnie przysłuchując się kobiecie grającej na flecie i mężczyźnie z tamburynem na rogu ulicy. Cairhienianie, niżsi i bledsi, wyróżniali się spośród Andoran, podobnie zresztą jak cechujący się ciemniejszą karnacją Tairenianie, jednak Rand spostrzegł również Murandian w długich kaftanach oraz Altaran w zdobnych kamizelach, Kandoryjczyków z widlastymi bródkami, a nawet dwóch Domani z charakterystycznymi wąsami, długimi i cienkimi oraz kolczykami w uszach.

Z tłumy wybijali się także ludzie innego pokroju; ci wałęsali się po ulicach, mężczyźni w pomiętych kaftanach i kobiety w wygniecionych sukniach, często okryci kurzem, bezustannie mrugając i na coś się zagapiając. Widać było, że nie mają dokąd się udać i że nie wiedzą, co ze sobą zrobić. To byli ludzie, którzy

mieli za sobą długą drogę, pokonaną nierzadko z wielkim wysiłkiem, drogę, która wiodła ku temu, czego szukali. Czyli ku niemu. Smokowi Odrodzonemu. Nie miał pojęcia, co z nimi zrobić, ale w taki czy inny sposób był za nich odpowiedzialny. Nieważne, że wcale ich nie prosił, by zrywali z dotychczasowym życiem, że wcale od nich nie wymagał, by wszystko porzucali. Zrobili to. Z jego powodu. I gdyby się w tym momencie dowiedzieli, kim jest, zapewne przedarliby się przez kordon Aielów i rozdarli go ostatecznie na strzępy, trawieni pragnieniem, by chociaż go dotknąć.

Dotknął *angreala*, małego tłustego człowieczka ukrytego w kieszeni. Świetnie by mu posłużył, gdyby Jedynej Mocy musiał użyć do obrony przed ludźmi, którzy wyrzekli się wszystkiego z jego powodu. Dlatego właśnie rzadko zapuszczał się do miasta. A w każdym razie była to jedna z przyczyn. Zresztą za dużo miał rzeczy do zrobienia, by sobie pozwalać na bezcelowe przejażdżki.

Karczma, do której prowadził go Bael, położona na zachodnim krańcu miasta, nazywała się „Pies Culaina”; składała się z dwóch pięter nakrytych dachem z czerwonych dachówek. Kiedy się zatrzymali na krętej bocznej uliczce, ciżba przechodniów rozstała się i zbiła wokół nich w tłum. Rand ponownie dotknął *angreala*. — dwie Aes Sedai; powinien dać sobie z nimi radę bez jego pomocy — zanim zsiadł z konia i wszedł do środka. Rzecz jasna, nie przestąpił progu bramy przed trzema Pannami i dwoma Rękami Noża, stąpającymi na palcach i w każdej chwili gotowymi zasłonić sobie twarze. Prędzej nauczyłyby kota śpiewać. Pozostawwszy dwóch Saldaeańczyków przy koniach, Bashere i pozostali wkroczyli tuż za nim, razem z Baelem, a za nimi pozostali Aielowie, z wyjątkiem tych, którzy zostali na straży na zewnątrz. Tego, co ujrzeli, Rand się nie spodziewał.

Wspólna sala mogła należeć do setki innych gospód w Caemlyn; pod pobieloną ścianą stał rząd wielkich beczek z *ale* i winem, na których ustawiono mniejsze baryłki wypełnione brandy, a na tym wszystkim wylegiwał się pasiasty kot. Znajdowały się w niej ponadto dwa kamienne kominki z dokładnie wymiecionymi paleniskami, a między stołami oraz ławami ustawionymi na gołej posadzce pod belkowanym stropem uwijały się trzy, może cztery kobiety w fartuszkach. Oberżysta o krągłej twarzy i potrójnym podbródku, w białym fartuchu opiętym na wydatnym brzuchu, podbiegł do nich natychmiast, zacierając ręce i przyglądając się Aielom z niemal niedostrzegalnym śladem zdenerwowania w oczach. Caemlyn przekonało się, że Aielowie nie zamierzają łupić i palić wszystkiego, co znajdzie się w zasięgu ich spojrzenia — przekonanie samych Aielów, że Andor to nie podbity kraj, w związku z czym nie mogą sobie wziąć należnej im jednej piątej, stanowiło zadanie o wiele trudniejsze — ale to jeszcze nie znaczyło, by oberżysty byli przyzwyczajeni do widoku dwu tuzinów tych ludzi pojawiających się jednocześnie w ich głównej izbie.

Karczmarz skupił całą uwagę na Randzie i Bashere. Głównie na Bashere. Obaj, sądząc po odzieniu, z pewnością byli ludźmi zamożnymi, ale Bashere był

starszy o dobrych parę lat, a zatem prawdopodobnie musiał być tym ważniejszym.

— Witaj, mój lordzie, witajcie, moi lordowie. Co mogę wam zaproponować? Mam wino z Murandy, a także z Andoru, brandy z...

Rand nie zwrócił uwagi na tego człowieka. Tym, co różniło tę wspólną salę od setki innych, byli goście. O tej porze spodziewałby się tu zobaczyć kilku mężczyzn, a tymczasem nie było tu żadnego. Przy stołach siedziało natomiast wiele pospolicie odzianych młodych kobiet, a właściwie dziewcząt, które obróciły się niemal jednocześnie, z filiżankami z herbatą w dłoniach, wgapione w nowo przybyłych. Niejednej wyraźnie zaparło dech na widok rostej sylwetki Baela. Nie wszystkie jednak wpatrywały się w Aielów; w rzeczy samej kilkanaście wpiło wzrok w niego i to one właśnie sprawiły, że wytrzeszczył oczy. Znał je. Niezbyt dobrze, ale naprawdę je znał. Szczególnie jedna przyciągnęła jego uwagę.

— Bode? — zapytał z niedowierzaniem.

Ta dziewczyna o ogromnych oczach, które wwiercały się w niego — kiedy te włosy zdążyły tak jej urosnąć, że mogła je zapleść w warkocz? — to była Bode-whin Cauthon, siostra Mata. I była tam też pulchna Hilde Barran siedząca obok chudej Jerilin al'Caar, a dalej piękna Marisa Ahan, która jak zawsze, gdy coś ją zdziwiło, przyciskała dłonie do policzków, potem hoża Emry Lewin, Elise Marwin, Darea Candwin i... Wszystkie pochodziły z Pola Emonda albo jego okolic. Omiótł wzrokiem pozostałe stoły i stwierdził, że te inne też muszą być mieszkankami Dwu Rzek. A w każdym razie większość z nich — zauważył jedną twarz z Arad Doman, a także kilka innych, które musiały pochodzić gdzieś z daleka — ale wszystkie te suknie równie dobrze mógł zobaczyć dowolnego dnia na Łące w Polu Emonda.

— Co wy tutaj, na Światłość, robicie?

— Jedziemy do Tar Valon — zdołała wykrztusić Bode, mimo zdumienia. Jedynym podobieństwem łączącym ją z Matem było coś nieuchwytnie psotnego w oczach. Zdumienie wywołane jego widokiem prędko zniknęło, ustępując miejsca szerokiemu uśmiechowi niedowierzania i radości. — Żeby zostać Aes Sedai, tak samo jak Egwene i Nynaeve.

— O to samo mogłybyśmy zapytać ciebie — wtrąciła gibka Larine Ayellin, po czym pozornie niedbałym ruchem, który musiała z pewnością długo ćwiczyć, przerzuciła gruby warkocz przez ramię. Ta najstarsza z dziewcząt z Pola Emonda — o dobre trzy lata młodsza od niego, a za to jedyna oprócz Bode, która spletała włosy — miała zawsze wysokie mniemanie o samej sobie. Dostatecznie zresztą ładna, by wszyscy chłopcy utwierdzali ją w tym przekonaniu. — Lord Perrin nie powiedział o tobie więcej jak dwa słowa, wyjąwszy to, żeś wyruszył na poszukiwanie przygód. I że nosisz piękne kaftany, o czym sama się teraz przekonuję.

— Czy Mat dobrze się miewa? — spytała Bode, nagle zaniepokojona. — Czy jest z tobą? Matka tak się o niego martwi. On nawet nie pamięta o włożeniu czystych skarpet, jeśli ktoś mu o tym nie przypomni.

— Nie — odparł powoli Rand. — Jego tu nie ma. Ale miewa się dobrze.

— Wcale się nie spodziewaliśmy, że znajdziemy cię w Caemlyn — zapiszczała Janacy Torfinn cienkim głosikiem. Nie mogła mieć więcej jak czternaście lat; była najmłodsza, przynajmniej spośród mieszkanek Pola Emonda. — Założę się, że Verin Sedai i Alanna Sedai bardzo się ucieszą. One nas wiecznie wypytyują o wszystko, co na twój temat wiemy.

A więc to były te dwie Aes Sedai. Poznał Verin, Brązową siostrę, i to lepiej niż tylko odrobinę. Nie miał jednak pojęcia, co sądzić o jej wizycie w Caemlyn. Zresztą raczej nie to było teraz najważniejsze. Te dziewczęta pochodziły z jego rodzinnych okolic.

— Czy w takim razie w Dwu Rzekach wszystko w porządku? W Polu Emonda też? Jak rozumiem, Perrin dotarł na miejsce, cały i zdrow. Zaraz! Lord Perrin?

Tym pytaniem jakby otworzył śluzę. Pozostałe dziewczęta z Dwu Rzek wolały popatrywać z ukosa na Aielów, zwłaszcza na Baela, nie skąpiąc przy tym spojrzeń rzucanych również w stronę Saldaean, za to dziewczyny z Pola Emonda zbiły się w gromadkę wokół Randa; wszystkie starały się powiedzieć jak najwięcej, opowiadały więc chaotycznie albo zaczynały od niewłaściwego miejsca, cały czas przeplatając swe opowieści pytaniami o niego i o Mata, o Egwene i Nynaeve. Na większość z tych pytań nie byłby w stanie odpowiedzieć przez godzinę, gdyby mu nawet dały szansę.

Na Dwie Rzeki napadły trolloki, ale lord Perrin je przepędził. W ten sam sposób opowiadały o wielkiej bitwie, jedna przez drugą, przez co trudno było wyłapać jakiegokolwiek szczegóły, oprócz tego, że naprawdę doszło do bitwy. Oczywiście brali w niej udział wszyscy, ale to lord Perrin ich uratował. Zawsze lord Perrin; za każdym razem, gdy mówił o nim zwyczajnie „Perrin”, poprawiały go w ten odruchowaty sposób, w jaki poprawia się kogoś, kto mówi „koziół” zamiast „koziół do cięcia drewna”.

Rand czuł ucisk w piersiach, nawet wtedy, gdy usłyszał, że atak trolloków został odparty. Opuścił ich, porzucając na pastwę czyhających zagrożeń. Gdyby wrócił, to być może lista poległych nie byłaby aż taka długa, nie zawierałaby tylu znajomych mu nazwisk. Ale gdyby wrócił, to nie miałby za sobą Aielów. Cairhien nie byłoby jego, w każdym razie nie w takim stopniu jak teraz, a Rahvin zapewne posłałby zjednoczony Andor przeciwko niemu i Dwu Rzekom. Za każdą decyzję, jaką podjął, trzeba było zapłacić cenę. Była to cena za to, kim był. A płacili ją inni ludzie. Musiał stale sobie przypominać, że w sumie jest o niebo niższa od tej, którą musieliby zapłacić bez niego. Ale to przypomnianie wcale nie pomagało.

Przekonane, że to, co widzą na jego twarzy, to przerażenie wywołane listą poległych w Dwu Rzekach, dziewczęta pospiesznie przeszły do weselszych rzeczy. Wychodziło na to, że Perrin ożenił się z Faile. Rand życzył mu szczęścia i zastanawiał się, jak długo znalezione przez tych dwoje szczęście potrwa. Dziewczęta uważały, że to bardzo romantyczna i cudowna historia, zdając się jedynie żałować,

że nie starczyło czasu na zwyczajowe przyjęcia weselne. Wszystkie najwyraźniej ten związek aprobowały, a nawet podziwiały Faile i były też odrobinę o nią zazdrosne, łącznie z Larine.

W Dwu Rzekach pojawiły się również Białe Płaszczce, a wraz z nimi Padan Fain, stary handlarz, który zwykł przyjeżdżać do Pola Emonda każdej wiosny. Dziewczeta wyraźnie nie miały pewności, czy Białe Płaszczce opowiedziały się po stronie wrogów czy przyjaciół, ale zdaniem Randa, gdyby istotnie należało w tym przypadku żywić jakieś wątpliwości, to rozstrzygała je osoba Padana Faina. Fain był Sprzymierzeńcem Ciemności, może nawet kimś gorszym od Sprzymierzeńca Ciemności, który zrobiłby wszystko, byle tylko zaszkodzić Randowi, Matowi i Perrinowi. Zwłaszcza Randowi. Dlatego wiadomość, że nikt nie widział, czy Fain zginął czy nie, zaliczała się do tych gorszych, jakie miały mu do przekazania. W każdym razie Białe Płaszczce wyjechały, natomiast z Gór Mgły spływała rzeka uchodźców, którzy przynosili najrozmaitsze nowości, od obyczajów po towary, rośliny, nasiona i ubrania. Wśród dziewcząt była jedna Domani, a także dwie Tarabonianki i trzy z Równiny Almoth.

— Larine kupiła sobie suknię uszytą przez Domani — powiedziała ze śmiechem mała Janacy, krzyżując wzrok z wymienioną — ale jej matka kazała ją odnieść z powrotem do szwaczki. — Larine podniosła rękę, potem zawahała się i tylko głośno pociągnawszy nosem, poprawiła warkocz. Janacy zachichotała.

— Kogo obchodzą suknie? — wykrzyknęła Susa al' Seen. — Randa nie obchodzi suknie. — Drobną i trzpiotowatą Susa zawsze łatwo się ekscytowała, a w tej chwili podskakiwała na czubkach palców. — Alanna Sedai i Verin Sedai poddały wszystkie sprawdzianom. No cóż. Prawie wszystkie. . .

— Cilia Cole też chciała być sprawdzona — wtrąciła krępa Marce Eldin. Rand nie najlepiej ją pamiętał, wyjąwszy to, że zawsze trzymała nos w jakiejś książce, nawet wtedy, gdy szła po ulicy. — Ona się tego dopraszała! Zdała sprawdzian, ale one jej powiedziały, że jest za stara, by zostać nowicjuską.

Susa ciągnęła swoją kwestię jednocześnie z Marce:

— . . . I my wszystkie zdałyśmy. . .

— Od Białego Mostu podróżowałyśmy cały dzień i prawie całą noc — weszła jej w słowo Bode. — Jak to miło spędzić trochę czasu w jednym miejscu.

— Czy ty widziałeś Biały Most, Rand? — spytała Janacy, zagadując Bode. — Sam Biały Most?

— . . . I jedziemy do Tar Valon, żeby zostać Aes Sedai! — zakończyła Susa, rzucając groźne spojrzenie, którym ogarnęła jednocześnie Bode, Marce i Janacy. — W Tar Valon!

— Na razie jeszcze nie jedziemy do Tar Valon.

Głos, który odezwał się od drzwi wyjściowych, odwrócił uwagę dziewcząt od Randa, ale dwie Aes Sedai, które właśnie weszły do środka, z miejsca zbyły ich pytania gestami dłoni i swoją uwagę skoncentrowały na Randzie. Były kobieta-



mi całkiem się od siebie różniącymi, mimo pewnego podobieństwa twarzy. Wiek można im było przypisać dowolny, ale Verin, niska i krępa, miała kanciastą twarz i ślady siwizny we włosach, gdy tymczasem ta druga, która musiała być Alanną, była śniadą, smukłą kobietą, o drapieżnej urodzie, falujących czarnych włosach i oczach, w których płonęło światło mówiące wiele o jej temperamencie. Były teraz okolone ledwie widocznymi czerwonymi obwódkami, jakby od płaczu, aczkolwiek Rand raczej nie wierzył, by jakaś Aes Sedai mogła płakać. Jej suknia do konnej jazdy była uszyta z szarego jedwabiu z cięciami wypełnionymi zielenią i wyglądała tak, jakby dopiero co ją wdziała, podczas gdy jasnobrażowy strój Verin sprawiał wrażenie nieco zmiętego. Niemniej jednak ciemne oczy Verin były dostatecznie przenikliwe, nawet jeśli nie przykładła zbyt dużej wagi do stroju. Te jej oczy przywarły do Randa tak mocno jak małże do skały.

W ślad za nimi dwiema do głównej izby weszło dwóch mężczyzn w kaftanach w kolorze spłowiałej zmęczonej zieleni, jeden zwalisty i siwowłosy, drugi tak wysoki i smukły, że przywodził na myśl bicz; obaj nosili u bioder miecze, a ich sprężyste ruchy zdradzałyby w nich Strażników, nawet gdyby nie znajdowali się w towarzystwie Aes Sedai. Randa zlekceważyli całkowicie, obserwowali natomiast Aielów i Saldaean, w bezruchu, który ostrzegał, że lada chwila mogą zrobić coś, czego się nikt po nich nie spodziewa. Aielowie, ze swej strony, nawet nie drgnęli, ale czuło się wyraźnie, że gotowi są w każdym momencie zasłonić twarze, Panny i Ręce Noża tak samo, natomiast palce młodych Saldaeańczyków zaczęły nagle krążyć przy rękojeściach mieczy. Jedynie Bael i Bashere wyglądali na rzeczywiście spokojnych. Dziewczęta nie zauważyły niczego, całą uwagę skupiając na Aes Sedai, za to gruby oberżysta wyczuł nastrój i zaczął załamywać ręce, bez wątplenia wyobrażając już sobie swoją główną izbę doszczętnie zdewastowaną. O ile nie całą oberżę.

— Nie będzie żadnych kłopotów — oświadczył Rand głośno i stanowczo w stronę karczmarza i Aielów. Miał nadzieję zresztą, że wszyscy słyszeli. — Żadnych kłopotów, pod warunkiem, że wy nie zaczniecie, Verin. — Kilka dziewcząt wytrzeszczyło oczy, że on ośmiela się przemawiać takim tonem do Aes Sedai, przy czym Larine głośno pociągnęła nosem.

Verin przypatrywała mu się badawczo swymi ptasimi oczyma.

— A kim my jesteśmy, żeby ośmielić się sprawiać kłopoty w twojej obecności? Daleko zaszedłeś od czasu, kiedy widziałam cię po raz ostatni.

Z jakiegoś powodu nie chciał o tym rozmawiać.

— Skoro postanowiliście jednak nie jechać do Tar Valon, to w takim razie musiałyście słyszeć o rozłamie w Wieży — Tym wywołał pełne zaniepokojenia szemranie dziewcząt; one z pewnością o niczym nie słyszały. Aes Sedai dla odmiany nie okazały żadnej reakcji. — Czy znacie może miejsce pobytu tych, które przeciwstawiły się Elaidzie?

— Są takie rzeczy, o których powinniśmy rozmawiać na osobności — odparła

spokojnym tonem Alanna. — Panie Dilham, będziemy potrzebowali prywatnego gabinetu. — Oberżysta omal nie potknął się o własne nogi, tak gwałtownie rzucił się pokazywać, która izba jest do ich dyspozycji.

Verin ruszyła w stronę bocznych drzwi.

— Tędy, Rand. — Alanna spojrzała na niego, pytająco unosząc brew.

Rand powstrzymał się od krzywego uśmiešku. Dopiero co tu weszły, a od razu zaczęły komenderować, ale Aes Sedai czyniły to równie naturalnie jak oddychanie. Dziewczęta z Dwu Rzek wpatrywały się w niego z różnymi stopniami współczucia. Bez wątpienia spodziewały się, że Aes Sedai obedrą go ze skóry, jeśli nie będzie mówił tego, co trzeba, i jeśli nie będzie siedział tak prosto, jakby kij połknął. Ukłoniwszy się gładko, dał znak Alannie, że ma iść przodem. A więc daleko zaszedł, czy tak? Nie miały pojęcia, jak daleko.

Alanna odpowiedziała na ukłon skinieniem głowy, zgarnęła spódnice i posuwistym krokiem ruszyła śladem Verin, ale zaraz potem wywiązał się pewien problem. Dwóch Strażników wykonało takie ruchy, jakby chcieli pójść za Aes Sedai, ale nim zdążyli zrobić bodaj jeden pełny krok, drogę zastąpiło im dwóch zimnokoch *Sovin Nai*, a palce Sulin zamigotały w mowie Panien, w wyniku czego do drzwi, do których właśnie podchodziły Aes Sedai, doskoczyły Enaila i jeszcze jakaś jedna potężnie zbudowana Panna. Saldaeańscy spojrzeli na Bashere, który gestem nakazał im zostać na miejscach, ale sarn spojrział pytająco na Randa.

Alanna wydała z siebie odgłos świadczący o jej oburzeniu.

— Będziemy rozmawiały z nim same, Ihvon. — Wysmukły Strażnik zmarszczył czoło, po czym niespiesznie skinął głową.

Verin obejrzała się, wyraźnie lekko zdziwiona, jakby ją coś wyrwało z głębokiego zamyślenia.

— Co? A tak, oczywiście, Tomas, zostań tutaj, proszę. — Siwowłosy Strażnik wyraźnie miał wątpliwości i na wszelki wypadek obdarzył Randa surowym spojrzeniem, zanim zasiadł w niedbałej pozycji pod ścianą, tuż obok drzwi wychodzących na ulicę. W tym sensie była ona „niedbała”, że człowiek ten wyglądał jak rzucony od niechcienia kawałek sztywnego drutu, z którego wykonano pułapkę. Dopiero wtedy Ręce Noża odprężyli się — w takim stopniu, w jakim Aielowie potrafili to zrobić.

— Chcę z nimi rozmawiać sam — powiedział Rand, patrząc prosto na Sulin. Przez chwilę miał wrażenie, że będzie się z nim sprzeczać. Szczęka jej zesztyniała w uporze; ostatecznie ona, Enaila i Dagenda porozumiały się ze sobą za pomocą mowy gestów, popatrując na niego i z dezaprobatą kręcąc głowami. Palce Sulin zamigotały raz jeszcze i wszystkie Panny wybuchnęły śmiechem. Żałował, że nie ma jakiegoś sposobu na nauczenie się tego ich języka; Sulin oburzyła się wręcz, kiedy o to poprosił.

Dziewczęta z Dwu Rzek wymieniły pełne niepokoju i zdziwienia spojrzenia, kiedy Rand ruszył śladem Aes Sedai; zamykając drzwi, odgrodził ich troje od na-

rastającego jazgotu. Była to niewielka izba, za to zamiast ław stały w niej wypolerowane krzesła, a na stole i półce nad kominkiem rzeźbionym w gałązki pnączy stały świece w cynowych lichtarzach. Oba okna były zamknięte, nikt jednak nie wykonał ruchu, by któreś otworzyć. Ciekaw był, czy Aes Sedai zauważyły, że skwar nie działa już na niego, tak samo jak na nich nie wywierał wrażenia.

— Czy zamierzacie je zabrać do rebeliantek? — zapytał z miejsca.

Verin zmarszczyła czoło i wygładziła spódnice.

— Wiesz o rebelii znacznie więcej niż my.

— Dopiero w Białym Moście usłyszałyśmy o wydarzeniach w Wieży. — Alanna mówiła to chłodnym tonem, ale jej oczy, których na moment od niego nie oderwała, przepełniał żar. — Co wiesz o... rebeliantkach? — Wraz z tym słowem do jej głosu wkradła się bezbrzeżna pogarda.

A zatem dowiedziały się o wszystkim w Białym Moście i pospiesznie dotarły tutaj, trzymając wszystko w tajemnicy przed dziewczętami. I, sądząc po reakcjach Bode i innych, decyzja, że jednak nie pojedą do Tar Valon, stanowiła nowość. Najwyraźniej tego ranka dopiero uzyskały potwierdzenie.

— Zapewne nie zechcecie mi powiedzieć, kto jest waszym szpiegiem w Camelyn. — Spojrzały tylko na niego, Verin przekrzywiła głowę, by przyjrzeć mu się badawczo. Jakie to dziwne, że te spojrzenia Aes Sedai potrafiły go kiedyś wytrącić z równowagi, tak niesamowicie spokojne — niezależnie od tego, cokolwiek się działo, takie wszechwiedzące. Już nie miał tego wrażenia, że przewraca mu się żołądek, mimo że patrzyła na niego nawet nie jedna, a dwie Aes Sedai. „Pycha”, zaśmiał się obłąkańczo Lews Therin, a Rand zdusił grymas. — Mówiono mi, że ta rebelia naprawdę miała miejsce. Nie zamierzam zrobić im niczego złego, jestem od tego daleki. Mam podstawy do przypuszczeń, że one mnie poprą. — Nie zdradził głównej przyczyny, dla której chciał to wiedzieć. Może Bashere miał rację, może rzeczywiście potrzebował poparcia Aes Sedai, ale chciał wiedzieć przede wszystkim dlatego, że była z nimi Elayne. Potrzebował jej, by przejąć Andor pokojową drogą. Taki był jedyny motyw, dla którego jej szukał. Jedyny. Był dla niej równie niebezpieczny jak dla Aviendhy. — Na miłość Światłości, jeżeli to wiecie, to powiedzcie mi.

— Nawet gdybyśmy wiedziały — odparła Alanna — to i tak nie miałybyśmy prawa mówić o tym nikomu. Możesz być pewien, że cię odnajdą, jeśli postanowią cię poprzeć.

— Ale odnajdą cię w swoim czasie — dodała Verin — nie w twoim.

Uśmiechnął się ponuro. Powinien się spodziewać — aż tyle albo tak mało. Jego myśli zdominowała rada Moiraine. „Nie ufaj żadnej kobiecie, która nosi szal”, tak mu poradziła w dniu swej śmierci.

— Czy Mat jest z tobą? — spytała Alanna takim tonem, jakby to była ostatnia licząca się dla niej rzecz.

— Nawet gdybym wiedział, gdzie on jest, to czemu miałbym wam powiedzieć? Wet za wet? — Bynajmniej nie zdawały się uważać tego za zabawne.

— Głupio z twojej strony, że traktujesz nas jak wrogów — mruknęła Alanna i podeszła do niego. — Wyglądasz na zmęczonego. Czy dostatecznie często wypoczywasz? — Znieruchomiła, gdy cofnął się przed jej uniesioną ręką. — Podobnie jak ty, Rand, nie zamierzam zrobić nic złego. Nie skrzywdzę cię niczym, co tutaj zrobię.

Powiedziała to bez ogródek, a więc tak musiało być. Przytaknął i wtedy przyłożyła dłoń do jego głowy. Skóra lekko go zaswędziała, kiedy objęła *saidara*, a potem poczuł, jak przenika go znajoma fala ciepła, poczuł, że ona bada stan jego zdrowia.

Alanna z satysfakcją skinęła głową. I nagle ciepło stało się gorącem, w jednym wielkim rozbłysku, jakby na mgnienie oka stanął w samym środku rozpalonego pieca. Nawet wtedy, kiedy to minęło, czuł się dziwnie, bardziej niż kiedykolwiek świadom własnego istnienia, świadom istnienia Alanny. Zachwiał się, czując w głowie pustkę i rozluźnienie w mięśniach. Od Lewsa Therina pobrzmiwało echo konsternacji i niepokoju.

— Co ty zrobiłaś? — spytał podniesionym tonem. Ogarnięty furią chwycił *.saidina*, którego siła pomogła mu się wyprostować. — Coś ty zrobiła?

Coś uderzyło w splot łączący go z Prawdziwym Źródłem. One starały się odgrodzić go tarczą! Błyskawicznie utkał własne tarcze i wcisnął je na miejsce. Naprawdę wiele osiągnął i wiele się nauczył od czasu, kiedy Verin widziała go po raz ostatni. Verin zachwiała się i wsparła dłońią o stół, Alanna natomiast syknęła głucho, jakby ją uszczypnął.

— Co ty zrobiłaś! — Głos mu zgrzytał, mimo że wciąż przecież otaczała go chłodna Pustka, całkiem pozbawiona emocji. — Powiedz mi! Ja ze swej strony nie obiecywałem, że wam nic nie zrobię. Jeśli mi nie powiecie. . .

— Ona cię połączyła więzią zobowiązań — powiedziała szybko Verin, ale nawet jeśli jej spokój uległ zmąceniu, to w mgnieniu oka na powrót go odzyskała. — Związała cię z sobą jako jednego z jej Strażników. To wszystko.

Alanna jeszcze szybciej odzyskała panowanie nad sobą. Otoczona tarczą, wpatrywała się w niego spokojnie, z założonymi rękoma, ze śladem zadowolenia w oczach. Zadowolenia!

— Powiedziałam, że cię nie skrzywdzę i zrobiłam coś dokładnie przeciwnego.

Oddychając powoli, Rand starał się uspokoić. Dał się wciągnąć w pułapkę niczym szczeniak. Po zewnętrznej stronie skorupy Pustki pełzła wściekłość. Spokój. Musi zachować spokój. Jeden z jej Strażników. A zatem ona należała do Zielonych, co zresztą niczego nie zmieniało. O Strażnikach wiedział mało, a już z całą pewnością nie miał pojęcia, jak się zrywa więź albo czy ona w ogóle może być zerwana. Od strony Lewsa Therina czuł jedynie ogłuszenie wywołane przeżytym szokiem. Nie po raz pierwszy pożałował, że Lan pogalopował w siną dal, kiedy

umarła Moiraine.

— Powiedziałyście, że nie jedziecie do Tar Valon. Możecie w takim razie pozostać tutaj, w Caemlyn, zwłaszcza że zdajecie się nie wiedzieć, gdzie są rebeliantki. — Alanna otworzyła usta, ale on nie dopuścił jej do słowa. — Bądźcie wdzięczne, że jednak nie zawiążę waszych tarcz i nie zostawię was w takim stanie! — To do nich przemówiło. Verin zacisnęła usta, a oczy Alanny mogły znakomicie stanowić drzwiczki tego pieca, którego żar przed chwilą poczuł. — Ale trzymajcie się ode mnie z daleka. Obydwie. Dopóki po was nie poślę, Wewnętrzne Miasto pozostaje dla was zamknięte. Spróbujcie tylko naruszyć ten zakaz, a wtedy odgradzę was tarczami i na dodatek każę zamknąć w celi. Czy rozumiemy się?

— Doskonale. — Mimo tych oczu, głos Alanny przypominał lód. Verin tylko przytaknęła.

Rand uchylił drzwi i zatrzymał się. Zapomniał o dziewczętach z Dwu Rzek. Niektóre rozmawiały z Pannami, inne tylko im się przypatrywały i szeptały do siebie nad herbatą. Bode i garstka mieszkanek Pola Emonda wypytywały o coś Bashere, który stał wsparty jedną stopą o ławę, z cynowym kuflem w garści. Częściowo wyglądały na rozbawione, częściowo na śmiertelnie przestraszone. Drzwi otwierające się z trzaskiem sprawiły, że gwałtownie poodwracały głowy.

— Rand! — wykrzyknęła Bode — Ten człowiek opowiada o tobie jakieś okropieństwa.

— On twierdzi, że ty jesteś Smokiem Odrodzonym — wypluła Larine. Dziewczęta, które siedziały dalej, najwyraźniej wcześniej tego nie dostyszały; teraz zaparło im dech.

— Jestem nim — potwierdził zmęczonym głosem Rand.

Larine pociągnęła nosem i założyła ręce piersiach.

— Jak tylko zobaczyłam twój kaftan, zaraz wiedziałam, że po tej swojej ucieczce z Aes Sedai całkiem przewróciło ci się w głowie. Wiedziałam o tym, jeszcze zanim zacząłeś rozmawiać z takim brakiem szacunku z Alanną Sedai i Verin Sedai. Ale nie wiedziałam, że ty jesteś durniem ślepym jak kamień.

W śmiechu Bode było coś, co wskazywało, że jest bardziej zatrwożona niżli rozbawiona.

— Nie powinieneś mówić takich rzeczy nawet żartem, Rand. Nie tak cię wychował Tam. Jesteś Rand al'Thor. Natychmiast skończ z tymi głupstwami.

Rand al'Thor. Tak się rzeczywiście nazywał, ale prawie już nie wiedział, kim jest. Wychował go Tam al'Thor, ale jego ojcem był wódz Aielów, który zmarł dawno temu. Jego matka była Panną Włóczni, ale nie wywodziła się z Aielów. Tyle tylko naprawdę wiedział o sobie.

Nadal przepelniał go *saidin*. Delikatnie otulił Bode i Larine w strumieniu Powietrza, po czym podniósł je, tak wysoko, że ich buty zadyndały w odległości stopy nad posadzką.

— Jestem Smokiem Odrodzonym. Żadne zaprzeczenia tego nie zmienią. Nie

da się tego zmienić pragnieniem, by tak nie było. Nie jestem tym człowiekiem, którego znaliście w Polu Emonda. Czy teraz rozumiecie? Rozumiecie? — Dotarło do niego, że krzyczy, więc zacisnął usta. Żołądek mu ciążył jak ołów, cały się trząsał. Dlaczego Alanna to zrobiła? Jaki to spisek Aes Sedai wyklął się za tym pięknym obliczem? Nie ufaj żadnej, tak powiedziała Moiraine.

Czyjaś dłoń dotknęła delikatnie jego ramienia; gwałtownie odwrócił głowę.

— Puść je, proszę — powiedziała Alanna. — One się boją.

Właściwie trudno powiedzieć, by się bały, przerażone były do granic wytrzymałości. Z twarzy Larine uciekła cała krew, a jej usta otwały się najszerszej jak mogły, jakby chciała krzyczeć i zapomniała, jak to się robi. Bode zanosila się płaczem tak gwałtownie, że cała dygotała. Nie one jedne zresztą. Pozostałe dziewczęta z Dwu Rzek tuliły się do siebie, odsuwając się od niego najdalej jak mogły, i większość również płakała. Szlochały także zbite w ciasną gromadkę posługaczki. Oberżysta padł na kolana, z wybałuszonymi oczyma, coś niezrozumiale bełkotał.

Rand postawił obie na podłodze i pośpiesznie uwolnił *saidina*.

— Przepraszam. Nie chciałem was nastraszyć. — Bode i Larine, natychmiast gdy tylko odzyskały swobodę ruchów, pobiegły do innych tulących się dziewcząt. — Bode? Larine? Nie zrobię wam żadnej krzywdy, przyrzekam. — Nie spojrzały na niego. Żadna nie spojrzała. Za to z całą pewnością patrzyła na niego Sulin, podobnie zresztą jak pozostałe Panny, z nieodgadnionymi twarzami, obojętnym wzrokiem świadczącym o ich dezaprobacie.

— Co się stało, nie odstanie — powiedział Bashere, odstawiając swój kufel. — Kto wie? Może tak wyjdzie tylko na lepsze.

Rand powoli skinął głową. Prawdopodobnie. Lepiej, jak będą trzymały się od niego z daleka. Lepiej dla nich. Ale żałował, bo chciał jeszcze trochę porozmawiać z nimi o domu. Chciał побыć z nimi jeszcze trochę, bo one widziały w nim tylko Randa al'Thora. Więż sprawiała, że nadal ugiwały się pod nim kolana, ale gdy już ruszył z miejsca, to już ani razu się nie zatrzymał, dopóki z powrotem nie siedział w siodle Jeade'ena. Lepiej, jak się będą go bały. Lepiej, jak zapomni o Dwu Rzekach. Zastanawiał się, czy ta góra chociaż raz stanie się lżejsza, czy tylko wciąż przygniatać będzie go większy i większy ciężar.

## LEKCJE I NAUCZYCIELE

Ledwie Rand zniknął za drzwiami, Verin wypuściła od dawna wstrzymywany oddech. Ostrzegła kiedyś Sivan i Moiraine, że on jest niebezpieczny. Żadna nie posłuchała i teraz, po upływie zaledwie roku z niewielkim okładem, skutki były takie, że Sivan została ujarzmiona i prawdopodobnie nie żyła, natomiast Moiraine... Na ulicach roiło się od plotek o Smoku Odrodzonym w Pałacu Królewskim, przeważnie całkiem nieprawdopodobnych, a te, którym można było dać wiarę, nie zawierały ani wzmianki o Aes Sedai. Moiraine mogła wprawdzie pozwolić, by jemu się zdawało, iż podąża własną drogą, ale przecież nigdy by nie dopuściła, żeby oddalił się od niej zbyt daleko, nie teraz, kiedy tak urósł w siłę. Nie teraz, gdy zagrożenie, jakie stanowił, było się tak poważne. Czyżby napadł na Moiraine, w jakiś bardziej agresywny sposób, niżli przed chwilą zaatakował je obie? Postarzał się od tego ostatniego razu, kiedy go widziała; ślady napięcia na twarzy znamionowały jakąś wewnętrzną walkę. Światłość wiedziała, że powodów miał w bród, ale czy mogły to być również zmagania o pozostanie przy zdrowych zmysłach?

No tak. Moiraine nie żyje, Sivan nie żyje, w Białej Wieży rozłam, a Rand najprawdopodobniej jest na skraju szaleństwa. Verin syknęła z irytacją. Gdy podejmujesz ryzyko, to bywa, że przychodzi ci za nie zapłacić wtedy, kiedy się tego wcale nie spodziewasz, w najmniej oczekiwanym sposób. Prawie siedemdziesiąt lat skomplikowanych, subtelnych działań, a teraz wszystko mogło pójść na marne za sprawą jednego młodego człowieka. A mimo to żyła zbyt długo, za wiele przeszła, by pozwolić sobie na przerażenie.

„Najpierw to, co najważniejsze; trzeba się zająć tym, co da się zrobić, a dopiero potem zamartwiać się czymś, do czego być może nigdy nie dojdzie”.

Tę zasadę wpojono jej kiedyś siłą, niemniej jednak wzięła ją sobie do serca.

Przede wszystkim uspokoić te młode kobiety. Zbite w ciasną gromadkę niczym stado owiec, nadal szlochały, tuląc się wzajem i kryjąc twarze. Nawet to rozumiała; sama widywała już przenoszących mężczyzn, a jeszcze częściej samego Smoka Odrozonego, a mimo to żołądek jej podskakiwał, jakby się znajdowała na statku płynącym po pełnym morzu. Zaczęła od słów pociechy; jedną poklepała po ramieniu, inną pogładziła po włosach, starając się mówić głosem, jakim prze-

mawiają matki. Niemniej jednak od momentu przekonania ich, że Rand już sobie poszedł — co w przypadku większości wiązało się z namawianiem do otworzenia oczu — upłynęło jeszcze sporo czasu, zanim zapanował jako taki spokój. Ale przynajmniej nie szlochały już tak rozpaczliwie. Wszak Janacy nie przestawała piskliwie się domagać, by ktoś jej powiedział, że Rand kłamał, że to wszystko to była jakaś sztuczka, Bodewhin, równie przykrym dla ucha głosem żądała, by odszukano i uratowano jej brata — Verin sama oddałaby wiele, żeby się dowiedzieć, gdzie właściwie przebywa Mat — Larine zaś bełkotliwie lamentowała, że powinny natychmiast, już w tej chwili, opuścić Caemlyn.

Verin odciągnęła jedną z posługaczek na bok, kobietę o pospolitej twarzy i co najmniej dwadzieścia lat starszą od każdej z dziewcząt z Dwu Rzek, która wprawdzie ocierała fartuchem łzy, ale wytrzeszczała szeroko oczy i cała się trzęsła. Najpierw spytała, jak jej na imię, po czym powiedziała:

— Przynieś im wszystkim dobrej, świeżo zaparzonej herbaty, Azril, bardzo gorącej i mocno osłodzonej miodem. I dolej każdej kapkę brandy. — Przyglądając się chwilę młodszej kobiecie, dodała: — Trochę więcej niż kapkę. Spory łyk. — To je powinno uspokoić. — Ty i inne posługaczki też się napijcie.

Azril pociągnęła nosem, zamrugła i otarła twarz, ale na koniec dygnęła; przypomnienie o codziennych obowiązkach może nie rozproszyło jej obaw, sprawiło jednak, że przestała się zanosić płaczem.

— Obsłuż je w izbach — powiedziała Alanna, a Verin przytaknęła z aprobatą. Odrobina snu zdziała cuda. Co prawda wstały z łóżek nie dalej jak przed kilkoma godzinami, ale brandy po ciężkiej podróży powinna poskutkować.

Ten nakaz sprawił, że w izbie znowu zawrzało.

— Nie możemy się tutaj ukrywać — wykrztusiła Larine, siąkając nosem i czkając. — Musimy uciekać! Natychmiast! On nas pozabija!

Policzki Bodewhin lśniły wprawdzie od łez, ale za to cała twarz przybrała wyraz determinacji. Charakterystyczny dla mieszkańców Dwu Rzek upór miał przysporzyć kłopotów niejednej z tych kobiet.

— Musimy znaleźć Mata. Nie możemy go zostawić razem... razem z mężczyzną, który potrafi... Nie możemy! Po prostu nie możemy, nawet jeśli to Rand!

— A ja chcę zwiedzić Caemlyn — zapiszczała Janacy, nie przestając się trząść.

Pozostałe wtórowały im; większość żarliwie opowiadała się za wyjazdem, ale znalazła się też garstka takich, które mimo strachu drżącymi głosikami wspierały Janacy. Elle, młoda kobieta z Wzgórza Czat, wysoka, piękna, o włosach zbyt jasnych jak na mieszkankę Dwu Rzek, znowu zaczęła płakać, i to co sił w płucach.

Verin z najwyższym wysiłkiem opanowała się i nie dała żadnej klapsa. Te najmłodsze dawało się jakoś usprawiedliwić, ale od Larine, Elle i wszystkich tych, które splatały już włosy w warkocze, należało wymagać, że będą się zachowywały, jak przystało na dorosłe kobiety. Ostatecznie większości nic się przecież nie



stało, a wszelkie niebezpieczeństwo już minęło. Z drugiej jednak strony wszystkie były zmęczone, a wizyta Randa stanowiła wstrząs, jakich zapewne wiele przeżyją jeszcze w przyszłości, toteż trzymała rozdrażnienie na wodzy. W odróżnieniu od Alanny. Ta, nawet wśród Zielonych, słynęła z krewkiego usposobienia, które ostatnimi czasy zmieniło się na jeszcze gorsze.

— Udacie się teraz do swoich izb — oznajmiła chłodnym głosem, ale widać było, że cała aż się gotuje. Verin westchnęła, kiedy druga Aes Sedai utkała Iluzję z Powietrza i Ognia. Izba wypełniła się okrzykami zaskoczenia i dziewczęta wybałuszyły już i tak szeroko wytrzeszczone oczy. To wszystko w ogóle nie było potrzebne, niemniej jednak obyczaj nie bardzo pozwalał ingerować w poczynania drugiej siostry, zresztą Verin poczuła ulgę, gdy nagle przestała słyszeć zawrodożenie Elle. Stan jej nerwów również daleki był od dobrego. Rzecz jasna, nie wyszkolone młode kobiety nie mogły widzieć splotów; dla nich Alanna wraz z każdym słowem stawała się coraz większa. I jednocześnie potężniał jej głos; nie zmienił barwy, a za to grzmiał coraz donośniej, stosownie do pozornie zognianej sylwetki. — Macie zostać nowicjuszkami, a tematem pierwszej lekcji, jaką musi opanować nowicjuszka, jest okazywanie posłuszeństwa Aes Sedai. Natychmiast! Bez biadolenia albo wyklócania się! — Alanna stała na samym środku ogólnej sali, dla Verin nie zmieniona, za to za sprawą Iluzji dotykając głową belek stropu. — Natychmiast, biegiem! Ta, która nie znajdzie się w izbie, zanim doliczę do pięciu, będzie tego żałowała aż do śmierci. Jeden. Dwa. . . — Nie zdążyła doliczyć do trzech, gdy od strony klatki schodowej na tyłach sali dały się słyszeć odgłosy panicznej wspinaczki na górne piętro; aż dziw brał, że nie zdeptały się wzajem.

Alanna nie zdążyła policzyć dalej jak do czterech. Gdy już ostatnie dziewczęta z Dwu Rzek zniknęły na górze, uwolniła *saidara*, sprawiając, że Iluzja rozwiązała się bez śladu, i z satysfakcją skinęła głową. Verin podejrzewała, że trzeba będzie teraz mocno namawiać te młode kobiety, żeby bodaj wyściubiły nosy z izb. Może zresztą wszystko wyszło na dobre. Przy takim obrocie spraw nie byłaby bynajmniej zachwycona, gdyby któraś wymknęła się ukradkiem z obozu z zamiarem podziwiania uroków Caemlyn, a potem trzeba byłoby jej szukać.

Rzecz jasna, postępowanie Alanny wywarło również inne skutki; należało teraz nakłonić posługaczki do wyjścia spod stołów, a także pomóc jednej, która zemdląca w trakcie próby wczolganiania się do kuchni. Nie wydawały żadnych odgłosów; trzęsły się tylko niczym liście na porwistym wietrze. Verin musiała je wszystkie lekko szturchnąć, by w ogóle ruszyły z miejsca i trzy razy powtórzyła polecenie odnośnie do brandy i herbaty, zanim Azril przestała się na nią gapić takim wzrokiem, jakby jej wyrosła druga głowa. Oberżycie szczęka opadła na pierś; tak wytrzeszczał oczy, że zdawały się gotowe lada chwila wyskoczyć z orbit. Verin spojrzała na Tomasa i wskazała gestem ślaniającego się mężczyznę.

Tomas spojrział na nią krzywo — rzadko kwestionował jej rozkazy, ale zawsze tak patrzył, gdy prosiła o interwencję w trywialnych sprawach — po czym pokle-

pał pana Dilhama po ramieniu i zapytał jowialnym tonem, czy obaj nie mogliby się razem napić jego najlepszego wina. Tomas zasługiwał na wszelkie pochwały; umiał się znaleźć w najbardziej zaskakujących sytuacjach. Ihvon rozsiadł się, wspierając plecy o ścianę i kładąc nogi na stole. Jakimś sposobem udawało mu się jednym okiem strzec drzwi wychodzących na ulicę, podczas gdy drugiego nie spuszczał z Alanny. Bardzo był czujny. Od czasu gdy Owein, jej drugi Strażnik, zginął w Dwu Rzekach, otaczał ją znacznie troskliwszą opieką i baczniej też obserwował jej nastroje, aczkolwiek normalnie panowała nad nimi lepiej niż tego dnia. Sama Alanna nie wykazała żadnego zainteresowania stworzonym przez siebie zamieszaniem. Z założonymi rękoma stała na środku głównej sali, nie patrząc na nic w szczególności. Dla kogoś, kto nie był Aes Sedai, wyglądała zapewne na uosobienie pogody ducha. Verin jednak widziała, że jest gotowa lada chwila wybuchnąć.

Verin dotknęła jej ramienia.

— Musimy porozmawiać. — Alanna spojrzała na nią nieodgadzionym wzrokiem, po czym bez słowa, zamaszystymi krokami, ruszyła w stronę prywatnej izby jadalnej.

Verin postąpiła, jak za jej plecami pan Dilham mówi roztrzęsionym głosem:

— Jak myślisz, czy mógłbym odtąd twierdzić, że Smok Odrodzony patroluje mojej karczmie? Był tutaj przecież, jakkolwiek by na to patrzeć.

Uśmiechnęła się przelotnie; nic mu jednak nie będzie. Przestała się uśmiechać, kiedy zamknęła już drzwi, odgradzając siebie i Alannę od reszty otoczenia.

Alanna spacerowała tam i z powrotem po niewielkim wnętrzu; jedwab warstwowo nałożonych spódnic szeleścił niczym miecze wysuwane z pochew. Na jej obliczu trudno się było doszukać choćby śladu pogody ducha.

— Ależ ten mężczyzna jest bezczelny. Co za tupet! On nas więzi! Krępuje restrykcjami!

Verin obserwowała ją przez kilka chwil, zanim się odezwała. Sama musiała odczekać dziesięć lat, zanim pogodziła się ze śmiercią Balinora i związała z sobą Ihvona. Śmierć Oweina mocno nadwerżyła emocje Alanny, która o wiele za długo powstrzymywała się z daniem im upustu. Sporadyczne wybuchy płaczu, na które sobie pozwalała od wyjazdu z Dwu Rzek, nie przyniosły ulgi.

— Przypuszczam, że strażę przy bramach mogą zagrozić nam drogę do Wewnętrznego Miasta, ale Rand raczej nie da rady zatrzymać nas w Caemlyn.

Tymi słowami słusznie ściągnęła na siebie miazdzące spojrzenie. Mogły wyjechać bez większego trudu — niezależnie od tego, ile Rand się nauczył, prawdopodobieństwo, że potrafił wykrywać zabezpieczenia, było raczej niewielkie — ale to oznaczałoby porzucenie dziewcząt z Dwu Rzek. Żadna Aes Sedai nie znalazła takiego skarbu jak ten w Dwu Rzekach od... Verin sama nie miała pojęcia, od jak dawna. Może nawet od czasu Wojen z trollokami. Wprawdzie nawet osiemnastoletnie kobiety — same wyznaczyły sobie taką barierę wieku — często

nie bardzo sobie radziły z rygorami nowicjatu, niemniej jednak gdyby przesunęły barierę wieku o dalsze pięć lat, wówczas ona i Alanna wywiozłyby stamtąd dwakroć tyle, o ile nie więcej. Pięć spośród tych dziewcząt — pięć! — urodziło się z iskrą, w tym siostra Mata, Elle i młoda Janacy; te będą na pewno przenosić, niezależnie od tego, czy ktoś je tego nauczy czy nie, i będą bardzo silne. Ona i Alanna. . . A zostawiły za sobą dwie inne, które miały zostać zabrane po upływie mniej więcej roku, gdy będą dostatecznie dorosłe, by móc opuścić rodzinny dom. Rozwiązanie całkiem bezpieczne; dziewczyna z wrodzoną umiejętnością rzadko kiedy zdradzała ją przed ukończeniem piętnastu lat bez uprzedniego szkolenia. Pozostałe obiecywały podobnie dużo; wszystkie bez wyjątku. Dwie Rzeki były żyłą czystego złota.

Verin przyciągnęła już uwagę Alanny, więc mogła zmienić temat. Z pewnością nie zamierzała porzucać tych młodych kobiet. Albo oddalać się od Randa dalej, niż musiała.

— Czy twoim zdaniem on ma rację odnośnie rebeliantek?

Dłonie Alanny na moment zacisnęły się na łańdżach spódnicy.

— Taka ewentualność wzbudza we mnie odrazę! Czyżbyśmy rzeczywiście doszły do. . . ? — Zawiesiła głos i zgarbiła ramiona; najwidoczniej gubiła się w tym wszystkim. Ledwie się powstrzymywała, by nie wybuchnąć wzbierającymi w niej potokami łez.

Teraz, kiedy gniew drugiej kobiety przygasł, Verin musiała wystąpić ze swymi pytaniami, zanim zapłonie na nowo.

— Czy można liczyć, że wyduśisz coś jeszcze z tej twojej rzeźniczki na temat zdarzeń w Tar Valon? — Rzeźniczka tak naprawdę nie była prywatną agentką Alanny, tylko Zielonych Ajah; zdemaskowaną, ponieważ Alanna zauważyła przed jej sklepem jakiś znak sygnalizujący krytyczną sytuację. Alanna, rzecz jasna, nie zdradziła, co to był za znak, tak jak Verin z pewnością nie zdradziłaby żadnego sygnału Brązowych.

— Nie. Ona nie dysponuje żadnymi innymi informacjami prócz tych, które mi przekazała, a nawet one sprawiły, że tak zaschło jej w ustach, iż ledwie potrafiła artykułować słowa. Wszystkie lojalne Aes Sedai mają wrócić do Wieży. Wszystko zostaje im wybaczone. — W każdym razie taki był ogólny sens tej wiadomości. — Oczy Alanny rozświetlił błysk gniewu, ale tylko na krótką chwilę i nie tak intensywny jak przedtem. — Gdyby nie te wszystkie pogłoski, w życiu nie pozwoliłabym ci się dowiedzieć, kim ona jest. — Ta jej skrytość i te labilne emocje. Ale przynajmniej przestała spacerować po izbie.

— Wiem — odparła Verin, siadając przy stole — i uszanuję zaufanie, jakim mnie obdarzyłaś. A teraz do rzeczy. Zgodzisz się chyba, że w świetle tej wiadomości plotki nabierają wymiaru prawdy. W Wieży doszło do rozłamu. Najpewniej rebeliantki ukryły się w jakimś miejscu. Pytanie tylko brzmi, co my z tym pocniemy?

Alanna spojrzała na nią takim wzrokiem, jakby zwariowała. I nic dziwnego. Zgodnie z prawem obowiązującym w Wieży, Suan została usunięta ze swej pozycji przez Komnatę. Nawet sama sugestia wystąpienia przeciwko prawu Wieży była czymś nie do pomyślenia. Ale z kolei również rozłam w Wieży trudno było sobie wyobrazić.

— Przemysł to, jeżeli w tym momencie nie potrafisz odpowiedzieć. I zastanów się nad jeszcze jedną rzeczą. Odnalezienie młodego al'Thora jest przede wszystkim dziełem Suan Sanche. — Alanna otworzyła usta, bez wątpienia chcąc spytać, skąd Verin o tym wie, i czy ona też brała udział w całej sprawie, ale Verin nie dopuściła jej do głosu. — Tylko ktoś bardzo naiwny uwierzyłby, że nie to było jedną z przyczyn jej obalenia. Tak wielkie zbiegi okoliczności się nie zdarzają. Zastanów się zatem, jakie muszą być zamysły Elaidy co do Randa. Ona należała do Czerwonych, weź pod uwagę. A zanim się zastanowisz, odpowiedz mi jeszcze na następujące pytanie. Co chciałaś osiągnąć poprzez nałożenie na niego zobowiązań?

To pytanie nie powinno było zaskoczyć Alanny, a mimo to stało się inaczej. Zawahała się, po czym przysunęła sobie krzesło, usiadła na nim, ułożyła spódnice i dopiero wtedy odpowiedziała.

— Był to jedyny słuszny pomysł. Zrozumiałam to, kiedy tylko stanął naprzeciwko nas. Już dawno trzeba było to zrobić. Ty nie mogłaś, a może nie chciałaś. — Jak większość Zielonych bawił ją nieco ten upór innych Ajah, przekonanych, że każda siostra może posiadać tylko jednego Strażnika. Tego, jak Zielone oceniały fakt, że Czerwone nie obierały sobie żadnego, lepiej było nie powtarzać na głos. — Obojętnie która powinna go była związać przy pierwszej lepszej okazji. Oni są zbyt ważni, by ich puszczać samopas, a zwłaszcza on. — Ni stąd, ni zowąd na jej policzkach wykwitły barwne plamy; minie znowu sporo czasu, zanim na powrót zapanuje nad emocjami.

Verin wiedziała, co jest przyczyną rumieńców; Alanna nie ugryzła się w porę w język. Przez długie tygodnie, w tym samym czasie, kiedy poddawały sprawdzianom młode kobiety z Dwu Rzek, miały na oku Perrina, ale Alanna prędko przestała poruszać temat związania go zobowiązaniami. Powód był prosty: żarliwa obietnica złożona przez Faile — oczywiście tak, żeby Perrin nie słyszał — że jeśli Alanna zrobi coś takiego, to nigdy żywa nie opuści Dwu Rzek. Ta pogroźka nie poskutkowałaby, gdyby Faile wiedziała coś więcej o zobowiązaniach łączących Aes Sedai z Gaidinami, a jednak to właśnie ta jej niewiedza, o ile nie coś innego, sprawiła, że Alanna się pohamowała. Do tego, co zrobiła z Randem, doprowadziła ją najprawdopodobniej frustracja, a także stargane nerwy. Nie dość, że go związała, to jeszcze uczyniła to bez jego zgody. Od stuleci żadna siostra tak nie postąpiła.

„No cóż — chłodno pomyślała Verin — sama w swoim czasie naruszyłam kilka obyczajów”.

— Jedynie słuszne? — powtórzyła, uśmiechając się, by złagodzić wrażenie, jakie mogły wywołać jej słowa. — Tak się wyrażasz, jakbyś należała do Białych. No cóż... Co właściwie zamierzasz z nim zrobić teraz, kiedy już go związałaś? Zwłaszcza jeśli weźmiesz pod uwagę nauczkę, jakiej nam udzielił. Przypomina mi się historia często opowiadana przy kominku w czasach, gdy byłam młodą dziewczyną, historia o kobiecie, która osiodłała i okiełznała lwa. Otóż stwierdziła najpierw, że jeździ jej się wspaniale, ale niebawem przekonała się, że już w życiu nie zsiądzie z tego wierzchowca i na dodatek nigdy nie zazna snu.

Alanna dygotała i rozcierała ramiona.

— Nadal nie potrafię uwierzyć, że on jest taki silny. Co za szkoda, że wcześniej się nie połączyłyśmy. Ja próbowałam... i poniosłam porażkę... Jaki on jest silny!

Verin mało co, a byłaby sama zadygotała. Nie mogły połączyć się wcześniej, chyba że Alanna sugerowała teraz, iż powinny się były połączyć, zanim związała go więziami. Verin nie bardzo wiedziała, co by z tego mogło wyniknąć. W każdym razie miały za sobą całą serię nadzwyczaj nieprzyjemnych chwil, poczynając od odkrycia, że nie potrafią go odciąć od Prawdziwego Źródła, a kończąc na tej poniżającej wręcz łatwości, z jaką on odgrodził je, przecinając ich połączenie z *saidarem* niczym cienką nitkę. Obie równocześnie. Niesamowite. Ile siostr byłoby trzeba do odgrodzienia go i schwytania? Aż trzynaście? Tak tylko głosiła tradycja, ale być może w jego przypadku ta liczba stanowiła przymus. Tak czy owak te spekulacje należało odłożyć na jakiś inny dzień.

— I pozostaje jeszcze kwestia tej jego amnestii.

Oczy Alanny zogromniały.

— Ty chyba w to nie wierzysz! W ślad za każdym fałszywym Smokiem szły opowieści o tym, że gromadzi mężczyzn, którzy potrafią przenosić; wszystkie równie fałszywe jak ci samozwańcy. Oni chcieli władzy wyłącznie dla siebie, nie po to, by dzielić się nią z innymi.

— On nie jest fałszywym Smokiem — rzekła cicho Verin — i to chyba wszystko zmienia. Jeśli jedna pogłoska jest prawdziwa, to może być prawdziwa również inna, a przecież o amnestii mówią wszyscy, słyszałyśmy o niej od momentu przekroczenia Białego Mostu.

— Nawet jeśli to prawda, to być może nikt nie stawiał się na wezwanie. Żaden przyzwoity mężczyzna nie chce przenosić. Gdyby na tej umiejętności zależało więcej niż garstce, to wtedy mielibyśmy co tydzień nowego fałszywego Smoka.

— On jest *ta'veren*, Alanno. Przyciąga do siebie to, czego potrzebuje.

Alanna poruszyła ustami, a jej ułożone na stole dłonie zacisnęły się w pięści z taką siłą, że aż palce pobielwały w stawach. Bez śladu zniknął spokój, jakim cechowały się wszystkie Aes Sedai; widać było, że cała się trzęsie.

— Nie możemy dopuścić... Przenoszący mężczyźni chodzący swobodnie po świecie? Musimy temu zapobiec, jeśli to prawda. Musimy! — Lada moment miała

znowu wybuchnąć gniewem, w oczach pojawił się błysk.

— Zanim postanowimy, co z nimi zrobić — odparła spokojnie Verin — musimy się dowiedzieć, gdzie on ich trzyma. Niewykluczone, że w Pałacu Królewskim, ale sprawdzenie tego może okazać się trudne, bo przecież odmówiono nam wstępu do Wewnętrznego Miasta. Oto więc, co proponuję... — Alanna z napięciem podała się do przodu.

Sporo problemów domagało się rozwiązania, aczkolwiek większość trzeba było odłożyć na kiedy indziej. Tyle pytań bez odpowiedzi, odłożonych na kiedy indziej. Czy Moiraine rzeczywiście nie żyła, a jeśli tak, to w jakie były okoliczności jej śmierci? Czy naprawdę istniało jakieś zgrupowanie rebeliantek i jakie stanowisko winny wobec nich zająć Verin i Alanna? Czy powinny oddać Randa w ręce Elaidy czy rebeliantek? I gdzie znaleźć te drugie? Już ta informacja byłaby cenna, niezależnie od tego, jak brzmiały odpowiedzi na inne pytania. W jaki sposób miały wykorzystać tę wąż smycz, którą Alanna uwiązała do karku Randa? Czy jedna z nich powinna starać się zająć miejsce Moiraine? A może obie? Po raz pierwszy od czasu, gdy Alanna zaczęła zdradzać objawy emocji wynikających z utraty Oweina, Verin cieszyła się, że tamta powstrzymywała je tak długo i że dzięki temu stała się teraz taka niestała. Wewnętrzne zagmatwanie z pewnością musiało sprawić, że będzie obecnie bardziej podatna na czyjś wpływ. Verin wiedziała dokładnie, jak odpowiedzieć na część pytań i nie sądziła, by niektóre z tych odpowiedzi spodobały się Alannie. Będzie lepiej, jeśli ich nie pozna, dopóki nie jest za późno, żeby cokolwiek zmienić.

\* \* \*

Rand wracał do Pałacu galopem, powoli prześcigając nawet biegnących Aielów, ignorując ich pokrzykiwania, tak samo jak nie zwracał uwagi na pięści, którymi wymachiwali doń ludzie zmuszeni ustępować drogi Jeade'nowi, a także pozostawioną za sobą kotłowaną przewróconych lektyk i powozów szepionych kołami z wózkami ulicznych handlarzy. Bashere i inni Saldaeańczycy ledwie dotrzymywali mu tempa na swych mniejszych wierzchowcach. Nie bardzo wiedział, co go właściwie tak gna — wieści, które z sobą wiozł, wcale nie były takie pilne — ale wraz z chwilą, gdy słabość z rąk i nóg odeszła, dotarło do niego, że nadal jest świadom istnienia Alanny. Czuł ją. Jakby wpełzła mu do głowy i tam zamieszkała. Czy ona czuła go w taki sam sposób jak on ją? Co jeszcze mogła mu zrobić? Co jeszcze? Musiał przed nią uciec.

„Pycha” — zarechotał Lews Therin i tym razem Rand nie starał się uciszyć jego głosu.

Nie zamierzał udać się do Pałacu, ale Podróżując, należało znać lepiej to miejsce, z którego się wyruszało niżli to, które stanowiło cel wyprawy. Przy Południowej Bramie rzucił wodze odzianemu w skórzaną kamizelę stajennemu i ruszył biegiem; długie nogi oddaliły go od grupy Saldaeańczyków i niosły przez korytaryze, na których mijał w biegu zastygłą w ukłonach i dygnięciach służbę wpatrzoną w niego wytrzeszczonymi oczyma. W Wielkiej Sali pochwycił *saidina*, stworzył szczelinę w powietrzu i wskoczył przez nią na polanę przy farmie, jednocześnie uwalniając Źródło.

Zrobiwszy długi wydech, osunął się na klęczki na uschłe liście. Skwar nagromadzony pod nagimi konarami uderzył w niego niczym młot; już jakiś czas temu utracił niezbędną koncentrację. Nadal czuł Alannę, ale tutaj to uczucie było słabsze — choć do pewności co do kierunku, w jakim należało jej szukać, nie pasowało określenie „słaba”. Mógł wskazać ten kierunek z zamkniętymi oczami.

Na chwilę pochwycił ponownie *saidina*, wściekły potok ognia, lodu i kwaśnego śluzu. Trzymał w dłoniach miecz, miecz, ze splotu Ognia, z czapłą, ciemną plamą odznaczającą się na nieznacznie zakrzywionym czerwonym ostrzu, aczkolwiek nie przypominał sobie, kiedy go przywołał. Miecz z Ognia, którego długa rękojeść była zimna i twarda. Pustka niczego nie zmieniała, nie zmieniała niczego Moc. Nadal czuł Alannę; obserwowała go, zwinięta w kłębek w zakamarku umysłu.

Śmiejąc się gorzko, ponownie wypuścił Źródło i ukląkł w tym samym miejscu. Taki był pewny siebie. Tylko dwie Aes Sedai. Mógł przecież poradzić sobie z nimi; kiedyś poradził sobie z Egwene i Elayne jednocześnie. Co one mogły mu zrobić? Dotarło do niego, że nadal się śmieje. Jakoś nie mógł przestać. No cóż, to naprawdę było śmieszne. Ta jego głupia pycha i zadufanie. Już kiedyś wpakowały go w tarapaty; nie tylko jego samego zresztą. Taki był pewien, że on i Stu Towarzyszy skutecznie zapieczętują Szyb. . .

Liście zachrząściły głośno, kiedy zmusił się do powstania.

— To nie byłem ja! — wychrypiał. — To nie byłem ja! Precz z mojej głowy! Wszyscy! Precz z mojej głowy! — Głos Lewsa Therina zamruczał coś niezrozumiale, jakby z oddalenia. Alanna czekała w milczeniu, cierpliwie, w głębi umysłu. Głos zdawał się jej bać.

Zdecydowanymi ruchami otrzepał nogawki spodni. Nie podda się. Nie ufaj żadnej Aes Sedai; odtąd będzie o tym zawsze pamiętał.

„Człowiek, który nie ufa, to już jakby trup” — zachichotał Lews Therin.

Nie podda się.

Wokół farmy nic się nie zmieniło. Nic i zarazem wszystko. Dom i stodoła były takie same, kury, kozy i krowy. Z okna obserwowała jego przybycie Sora Grady, z pustą twarzą, chłodna. Była teraz jedyną kobietą na farmie, wszystkie pozostałe żony i narzeczone odjechały z mężczyznami, którzy nie zdali sprawdzianu Taima. Taim zgromadził uczniów za stodołą, na poletku twardej czerwonej gliny, poro-

śniętym wynędzniałymi chwastami. Wszystkich siedmiu. Pierwszy sprawdzian oprócz męża Sory, Jura, przeszli tylko Damen Flinn, Eben Hopwil i Fedwin Morr. Pozostali byli nowi; wyglądali równie młodo jak Fedwin i Eben.

Oprócz siwowłosego Damera wszyscy uczniowie siedzieli w szeregu, odwróceniem tyłem do Randa. Damer stał przed nimi, ze zmarszczonym czołem przypatrywał się kamieniowi wielkości ludzkiej głowy, leżącemu w odległości trzydziestu kroków.

— Teraz — powiedział Taim i Rand poczuł, że Damer obejmuje *saidina*, zobaczył, jak niewprawnie tka sploty Ognia i Ziemi.

Kamień eksplodował, a Damer i pozostali uczniowie przywarli płasko do ziemi, chroniąc się przed gradem odłamków. Wszyscy oprócz Taima — kamienne odpryski odbiły się od tarczy z Powietrza, którą okrył się w ostatniej chwili. Damer podniósł czujnie głowę i otarł krew z niewielkiej rany pod lewym okiem. Rand zacisnął usta; miał szczęście, że nie trafił go żaden z fruujących w powietrzu odłamków. Obejrzał się w stronę domu; Sora nadal stała w oknie, najwidoczniej nic jej się nie stało. I nadal się w niego wpatrywała. Kury drapały spokojnie pazurami w ziemi, już przyzwyczajone do podobnych wydarzeń.

— Może następnym razem zapamiętacie zasady, które wciąż powtarzam — rzekł spokojnie Taim, sprawiając jednocześnie, że utkany przezeń splot zniknął. — Podczas uderzenia otaczajcie się tarczą, bo inaczej możecie się zabić. — Zerknął na Randa takim wzrokiem, jakby cały czas wiedział, że on tutaj jest. — Róbcie dalej to samo — przykazał uczniom i ruszył w stronę Randa. Tego dnia jego orli nos wyglądał jak symbol okrucieństwa.

Kiedy Damer zasiadł z innymi w szeregu, wstał Eben, oszpecony na twarzy plamami jak po ospie, i nerwowo skubiąc swe wielkie ucho, użył Powietrza, by unieść kolejny kamień z usypanego z boku stosu. Sploty chygotały się; raz nawet upuścił kamień na ziemię, zanim umieścił go na wyznaczonym miejscu.

— Czy to bezpieczne tak ich pozostawiać bez dozoru? — spytał Rand, kiedy Taim do niego podszedł.

Drugi kamień eksplodował podobnie jak pierwszy, ale tym razem wszyscy uczniowie utkali tarcze. Zrobił to również Taim, który osłonił nie tylko siebie, ale również Randa. Rand bez słowa objął ponownie *saidina* i zrobił własną tarczę, odpychając od siebie Taimową. Taim wykrzywił usta w grymasie udającym uśmiech.

— Kazałeś ich maksymalnie wykorzystać, Lordzie Smoku, toteż ich wykorzystują. Każę im wszystko robić z pomocą Mocy, codzienne czynności, wszystko. Najnowszy ugotował sobie ubiegłego wieczoru swój pierwszy posiłek. Jedzą zimną strawę, jeśli jej sobie sami nie podgrzeją. Większość czynności wykonują dwa razy wolniej, niż gdyby wykonywali je w zwykły sposób, ale uwierz mi, uczą się najefektywniej, jak tylko to możliwe, posługiwać Mocą. Rzecz jasna, ciągle jeszcze wiedzą bardzo mało.



Zignorowawszy zawarte w tym pytanie, Rand rozejrzał się dookoła.

— Gdzie Haslin? Chyba się znowu nie upił? Mówiłem przecież, jemu wolno pić wino tylko wieczorami. — Henre Haslin był Mistrzem Miecza w Gwardii Królowej, kierował szkoleniami rekrutów, dopóki Rahvin nie zaczął przekształcać Gwardii, wyrzucając z niej wszystkich żołnierzy lojalnych względem Morgase albo posyłając ich na pole bitewne do Cairhien. Haslinowi, zbyt staremu, by nadawał się do wojaczki, dano odprawę i pokazano bramę, a kiedy po Caemlyn rozeszła się wieść o śmierci Morgase, „utonął” w dzbanie z winem. Niemniej jednak wierzył, że to Rahvin — dla niego Gaebriel — zabił Morgase, a poza tym mógł nauczać. Kiedy był trzeźwy.

— Odesłałem go — wyjaśnił Taim. — No bo jaki masz pożytek z mieczy? — Ekspłodował kolejny kamień. — Sam ledwie sobie radzę, żeby się nie pokłuć, a zresztą nigdy mi nie doskwierał brak tej umiejętności. Oni teraz mają Moc.

„Zabij go! Zabij natychmiast!”

Głos Lewsa Therina rozniósł się głuchym echem po wnętrzu Pustki. Rand przegnał echo, ale nie potrafił przegnać gniewu, który nagle zdał się podobny do otaczającej go skorupy. Dzięki Pustce mówił głosem wypranym z emocji:

— Znajdź go, Taim, i sprowadź tutaj. Powiedz mu, że zmieniłeś decyzję. To samo powiedz uczniom. Powiedz im zresztą, co chcesz, ale ja życzę sobie, żeby on był tutaj i codziennie udzielał im lekcji. Oni mają być częścią świata, a nie być od niego odseparowani. Co zrobią, jeśli nie będą mogli przenosić? Przecież ty sam, kiedy Aes Sedai odgrodziły cię tarczą, zdołałbyś uciec, gdybyś potrafił posłużyć się mieczem albo znał się na walce wręcz.

— Uciekłem. Jestem tutaj.

— A ja słyszałem, że wyswobodzili cię twoi wyznawcy; gdyby nie oni, trafiłbyś do Tar Valon, gdzie zostałbyś poskromiony. Ci ludzie nie będą mieli żadnych popleczników. Znajdź Haslina.

Drugi mężczyzna skłonił się lekko.

— Jak Lord Smok każe. Czy to właśnie sprowadza tutaj Lorda Smoka? Haslin i miecze?

Rand nie zareagował na jego pogardliwy ton.

— W Caemlyn są Aes Sedai. Należy skończyć z wyprawami do miasta, zarówno twoimi, jak i uczniów. Światłość wie tylko, co się stanie, gdy któryś wpadnie na Aes Sedai, a ona rozpozna, kim jest. — Albo gdy taki ją rozpozna, tak jak on bez wątplenia potrafi to zrobić. Zapewne rzuci się do ucieczki albo wpadnie w panikę, zdradzając się jednym jak i drugim. A to przypieczętowałoby jego los. Sam, na własnej skórze, przekonał się, że taka Verin albo Alanna mogłaby obezwładnić każdego z uczniów jak dziecko.

Taim wzruszył ramionami.

— Już teraz każdy z nich jest w stanie zrobić z głową Aes Sedai to samo co z jednym z tych kamieni. Tylko splot byłby nieco inny. — Obejrząwszy się przez

ramię, podniósł głos: — Skup się, Adley. Skup się. — Chudy osobnik stojący przed pozostałymi uczniami, zbudowany jakby z samych tylko rąk i nóg, wzdrygnął się i wypuścił *saidina*. Po chwili niezdarnie go odnalazł. Kolejny kamień eksplodował, kiedy Taim zwrócił się w stronę Randa: — Skoro już o tym mowa, mógłbym... sam je... usunąć, jeśli ty tego nie zamierzasz zrobić.

— Gdybym chciał ich śmierci, tobym je zabił. — Uważał, że potrafiłby to zrobić, gdyby one starały się go zabić albo poskromić. Miał nadzieję, że potrafiłby. Tylko czy one będą próbowały zrobić jedno albo drugie po tym, jak nałożyły na niego zobowiązanie? Ta sprawa należała do tych, o których nie zamierzał informować Taima; nawet bez pomruków Lewsa Therina nie ufał temu człowiekowi dostatecznie, by ujawniać słabości, które był w stanie ukryć.

„Światłości, czym są te pęta, którymi związała mnie Alanna?”

— Powiadomię cię, kiedy przyjdzie pora na zabijanie Aes Sedai. Do tego czasu żadnemu nie wolno nawet krzyknąć na widok którejś, chyba że będzie starała się urwać mu głowę. W rzeczy samej macie się trzymać od Aes Sedai najdalej, jak tylko możecie. Nie życzę sobie żadnych incydentów, niczego, co mogłoby je usposobić wrogo względem mnie.

— Myślisz, że jeszcze nie są wrogo nastawione? mruknął Taim. Rand znowu zlekceważył jego słowa. Tym razem dlatego, bo nie był pewien, co odpowiedzieć.

— I nie chcę też, by któryś zginął albo został poskromiony tylko dlatego, że nie potrafił usiedzieć na miejscu. Dopilnuj, by o tym wiedzieli. Obarczam cię odpowiedzialnością za nich.

— Jak sobie życzysz — odparł Taim i znowu wzruszył ramionami. — Niektórzy umrą prędzej lub później, chyba że zamierzasz ich trzymać w tym zamknięciu przez całą wieczność. Zresztą nawet jeśli tak zrobisz, niektórzy i tak zapewne umrą. Tego prawie nie da się uniknąć, chyba że spowolnię tempo lekcji. Nie musiałbyś tak nimi oszczędnie gospodarzyć, gdybyś mi pozwolił udać się na poszukiwania.

Znowu to samo. Rand popatrzył na uczniów. Spocony jasnowłosy młodzieniec o niebieskich oczach z trudem układał kamień na wyznaczonym miejscu. Stale gubił *saidina*, toteż kamień przemieszczał się małymi skokami po ziemi. Za kilka godzin z pałacu miał tu przyjechać wóz z kandydatami, którzy przybyli od poprzedniego popołudnia. Tym razem czterech. W niektóre dni bywało ich tylko trzech albo dwóch, aczkolwiek rzesza systematycznie rosła. Osiemnastu od czasu, gdy przed siedmioma dniami sprowadził tutaj Taima, ale tylko trzech mogło się uczyć przenoszenia. Taim upierał się, że jest to znacząca liczba, jeśli wziąć pod uwagę fakt, iż przybyli do Caemlyn po to tylko, by szukać jakiejś okazji. Wskazywał również, i to nie raz, że przy takim tempie w ciągu jakichś sześciu lat będą w stanie dorównać liczebnie Wieży. Rand zdawał sobie jednak doskonale sprawę, że nie dysponuje tak długim czasem. Nie mógł więc pozwolić, żeby uczyli się wolniej.

— Jak byś to zrobił?

— Użyłbym bram. — Taim pojął już, czym są bramy; bardzo szybko uczył się wszystkiego, co mu pokazywał Rand. — Dziennie mógłbym odwiedzać dwie albo nawet trzy wioski. Z wioskami byłoby na początku łatwiej niż z małymi miasteczkami. Każę Flinnowi doglądać przebiegu lekcji; wbrew temu, co widziałeś, on jest najbardziej zaawansowany. Zabiorę z sobą Grady'ego, Hopwila albo Morra. Będziesz nam musiał dostarczyć jakieś porządne konie. Ta chabeta, która ciągnie nasz wózek, nie nadaje się.

— Ale co ty zamierzasz? Ot tak sobie jeździć i głosić wszem i wobec, że szukasz mężczyzn, którzy chcą przenosić? Będziesz miał szczęście, jeśli wieśniacy nie będą cię próbowali natychmiast powiesić.

— Potrafię być trochę bardziej ostrożny — odparł oschłym tonem Taim. — Powiem, że prowadzę werbunek wyznawców Smoka Odrodzonego. — To miała być ta jego ostrożność? Nieszczególnie to wyglądało. — Coś takiego powinno w dostatecznym stopniu przestraszyć ludzi, aby nie skakali mi do gardła, przynajmniej przez jakiś czas, kiedy ja będę gromadził chętnych. A jednocześnie eliminował tych, którzy nie są gotowi cię wesprzeć. Bo chyba nie chcesz szkolić takich, którzy przy pierwszej lepszej okazji zwrócą się przeciwko tobie. — Uniósł pytająco brew, ale nie poczekał na oczywistą odpowiedź. — Będę ich najpierw wyprowadzał z danej wioski, a potem ściągał tutaj przez bramę. Niektórzy mogą panikować, ale z takimi powinienem poradzić sobie bez trudu. Jak już się zgodzą pójść za mężczyzną, który potrafi przenosić, to raczej nie będą się wzdragać z udzieleniem mi zgody na poddanie ich sprawdzianom. Tych, którzy obleją sprawdzian, odeślę do Caemlyn. Czas najwyższy, żebyś zaczął gromadzić własną armię, zamiast polegać na cudzej. Bashere może zmienić zdanie; zmieni je, jeśli tak każe Tenobia. I kto wie, co zrobią ci tak zwani Aielowie. — Umilkł w tym momencie, Rand jednak poskromił język. Sam myślał podobnie, aczkolwiek z pewnością nie na temat Aielów, jednak Taim wcale nie musiał o tym wiedzieć. Po chwili mężczyzna mówił dalej, jakby w ogóle nie poruszył tego wątku. — Proponuję ci zakład. Ty sam określisz stawkę. Pierwszego dnia werbunku znajdę tylu mężczyzn, którzy mogą się uczyć, ilu w ciągu miesiąca przybędzie do Caemlyn na własną rękę. Kiedy Flinn i kilku innych będą już gotowi wyprawiać się na samodzielne poszukiwania... — Rozłożył ręce. — Dla ciebie w niecały rok dorównam Wieży. I każdy mężczyzna będzie stanowił broń.

Rand wahał się. Dając Taimowi wolną rękę, ryzykował. Ten człowiek zachowywał się zbyt agresywnie. Co on zrobi, jeśli podczas którejś ze swych wypraw napotka Aes Sedai? Może dotrzyma słowa i daruje jej życie, ale co będzie, jeśli tamta odkryje, kim on jest? Albo nawet otoczy go tarczą i pojmie do niewoli? Na taką stratę Rand nie mógł sobie pozwolić. Nie dałby rady sam szkolić uczniów i jednocześnie zajmować się innymi sprawami. Sześć lat na dorównanie Wieży. O ile Aes Sedai nie znajdą prędzej farmy i nie zniszczą jej razem z uczniami, za-

nim ci nie nauczą się bronić. Albo mniej niż rok. Ostatecznie skinął głową. Jakby z oddalenia dobiegał go szmer obłąkańczego głosu Lewsa Therina.

— Dostaniesz swoje konie.

## PYTANIA I ODPOWIEDZI

— No i co? — spytała Nynaeve, najbardziej cierpliwym tonem, na jaki ją było stać. Dużo wysiłku kosztowało ją trzymanie rąk na podołku, podobnie zresztą jak spokojne siedzenie na łóżku. Stłumiła ziewnięcie. Pora była wczesna, a ona nie wysypiała się już od trzech dni pod rząd. Wiklinowa klatka ziała pustką, śpiewająca jaskółka odzyskała wolność. Żałowała, że ona sama nie może być wolna. — No i co?

Elayne klęczała na łóżku, wystawiwszy głowę i ramiona przez okno, wyglądała na malutką alejkę biegnącą pod domem. Z tego miejsca dysponowała niewielkim fragmentem widoku na tyły Małej Wieży, w której Zasiadające już od wczesnego ranka przyjmowały emisariuszkę z Białej Wieży. Widok był ograniczony, wystarczał jednak, by dostrzec część zabezpieczeń przeciwko podsłuchiwaniu, opasujących budynek karczmy. Miały zatrzymywać każdego, kto próbował słuchać, posługując się Mocą. Oto jaką płaciły cenę za podzielenie się z tamtymi wiedzą.

Po jakiejś chwili Elayne, z miną wyrażającą przygnębienie, przysiadła na piętach.

— No i nic. Twierdziłaś, że te sploty przenikną przez zabezpieczenia i nikt ich nie wykryje. Raczej mnie nie zauważono, ale w ogóle nic nie usłyszałam.

To ostatnie było skierowane do Moghedien, która siedziała w kącie na rozpadającym się zydlu. Brak choćby kropli potu na twarzy kobiety bezgranicznie irytował Nynaeve. Przeklęta twierdziła, że trzeba jakiś czas parać się Mocą, żeby osiągnąć dystans niezbędny do nieodczuwania gorąca albo zimna, co bynajmniej nie brzmiało lepiej od niejasnych obietnic Aes Sedai, jakoby to miało przyjść „kiedyś”, samo z siebie. Nynaeve i Elayne całe ociekały potem, natomiast Moghedien wyglądała tak, jakby to był chłodny wiosenny dzień. Światłości, ależ to działało na nerwy!

— Powiedziałam, że powinny. — Ciemne oczy Moghedien błyskały zaczepnie, przeważnie jednak patrzyła na Elayne; zawsze skupiała się na tej, która akurat nosiła bransoletę. — Powinny. Istnieją tysiące sposobów na ustawianie zabezpieczeń. Czasami trzeba wielu dni na utkaniu w nich dziury.

Nynaeve trzymała język na wodzy, ale przychodziło jej to z wielkim tru-

dem. Próbowaly już tak od wielu dni. Mijał trzeci dzień od przyjazdu Tarny Feir, a Komnata nadal utrzymywała w tajemnicy treść wystosowanego przez Elaidę posłania przywiezionego przez Czerwoną siostrę. No cóż, Sheriam, Myrelle i całe to towarzystwo je znały — Nynaeve nie byłaby zdziwiona, gdyby je poznały o wiele wcześniej niż Komnata — ale nawet Siuan i Leane odmówiono wstępu na te posiedzenia. Tak przynajmniej twierdziły te dwie.

Nynaeve zorientowała się, że skubie fałdy spódnicy, więc wysiłkiem woli unieruchomiła ręce. Musiały jakimś sposobem się dowiedzieć, czego chce Elaida i, co ważniejsze, poznać odpowiedź Komnaty. Musiały. Nieważne jakim sposobem.

— Muszę już iść — powiedział Elayne i westchnęła. — Mam znowu pokazywać kolejnym siostram, jak się wytwarza *ter'angreale*. — Bardzo niewiele Aes Sedai w Salidarze zdradzało do tego dryg, ale wszystkie chciały się uczyć i większość zdawała się uważać, że się nauczą, kiedy już zmuszą Elayne, by im to zademonstrowała dostateczną ilość razy. — Lepiej ty ją włóż — dodała, odpinając bransoletę. — Kiedy siostry mnie już puszcza, wypróbuję jedną nową rzecz dotyczącą tworzenia *ter'angreali*, a potem mam lekcję z nowicjuszkami. — Tym ostatnim też nie była specjalnie uszczęśliwiona, odwrotnie niż za pierwszym razem. Teraz po każdej lekcji wracała pełna irytacji, zjeżona zupełnie jak jakiś kot. Najmłodsze dziewczęta, nadgorliwe, rzucały się na rzeczy, z którymi w ogóle nie umiały sobie radzić, często nawet nie pytając uprzednio o pozwolenie, a te starsze, mimo iż nieco ostrożniejsze, lubiły się wyklócać albo wręcz odmawiać wykonania rozkazu kobiety młodszej od nich o sześć albo siedem lat. Elayne nabrała zwyczaju pomrukiwać „głupie nowicjuszki” i „uparte idiotki”, jakby była Przyjętą od dziesięciu lat. — Wykorzystaj ten czas na pytania, jeśli chcesz. Może tobie pójdzie łatwiej niż mnie z umiejętnością wykrywania, kiedy mężczyzna przenosi.

Nynaeve potrząsnęła głową.

— Mam tego ranka pomagać Janyi i Delanie w sporządzaniu notatek. — Skrzywiła się mimo woli. Delana była Zasiadającą Szarych Ajah, a Janya Brązowych, ale Nynaeve nie potrafiła wyciągnąć z nich ani strzępka wiedzy. A potem Theodrin udzieli jej kolejnej lekcji. — Kolejna strata czasu. Wszyscy w Salidarze marnowali czas. — Włóż ją — powiedziała, kiedy zobaczyła, że Elayne najwyraźniej chce zawiesić bransoletę na kołku z ubraniami.

Złotowłosa kobieta westchnęła ciężko, ale ponownie zapięła bransoletę. Zdaniem Nynaeve Elayne pokładała zbyt wielkie zaufanie w *a'dam*. Prawdą było, że dopóki naszyjnik pozostawał na szyi Moghedien, każda kobieta, która potrafiła przenosić, mogła ją odnaleźć z pomocą bransolety i przejąć nad nią kontrolę. Gdy żadna nie włożyła bransolety, wówczas Przeklęta nie była w stanie ujść więcej jak tylko kilkanaście kroków, bo zaraz padała na kolana i zaczynała wymiotować; to samo by się działo, gdyby przeniosła bransoletę na odległość dalszą niż kilka cali od miejsca, gdzie ją zostawiono, albo spróbowała odpiąć naszyjnik. Niewy-

kluczone, że bransoleta trzymałaby ją nawet wtedy, gdyby cały czas wisiała na kołku, ale Przekłeta być może potrafiłaby wymyślić sposób, jak obejść to zabezpieczenie, gdyby jej dać taką sposobność. Raz w Tanchico Nynaevie zostawiła Moghedien, odgradzoną tarczą i skrępowaną Mocą, tylko na kilka chwil, a mimo to udało jej się uciec. Pytanie, jak tego dokonała, było jednym z pierwszych, jakie Nynaevie zadała jej po tym, gdy ją ponownie pojmała, aczkolwiek niemalże była bliska skręcenia jej karku, nim wydobyła z niej odpowiedź. Wychodziło na to, że zawiązana tarcza dawała się jednak rozbić, pod warunkiem, że otoczona nią kobieta miała trochę czasu i odpowiednią dozę cierpliwości. Elayne upierała się, że to nie dotyczy *a'dam* — tu nie było żadnego węzła, który dałoby się rozplątać, a z naszyjnikiem na szyi Moghedien nie mogła nawet marzyć, by dotknąć *saidara* bez pozwolenia — ale Nynaevie wolała nie ryzykować.

— Nie pisz zbyt szybko — powiedziała Elayne. — Już mi się kiedyś zdarzyło przepisywać coś dla Delany. Ona nienawidzi kleksów i błędów. W razie konieczności zmusi cię do przepisania danej strony pięćdziesiąt razy.

Nynaevie zachmurzyła się. Jej pismo nie było może tak wyraźne i eleganckie jak pismo Elayne, ale przecież nie była jakąś niezgułą, która właśnie się nauczyła maczać pióro w kałamarzu tym końcem, co trzeba. Młodsza kobieta niczego nie zauważyła, tylko zwyczajnie wymknęła się z izby, uśmiechając się jeszcze na pożegnanie. Może tylko chciała pomóc. Gdyby Aes Sedai dowiedziały się kiedykolwiek, jak bardzo Nynaevie nienawidzi przepisywania, to pewnie kazałyby jej to robić w ramach kary.

— Może powiniście udać się do Randa — odezwała się nagle Moghedien. Siedziała teraz inaczej, wyprostowała się. I twardo wpatrywała się w Nynaevie ciemnymi oczyma. Dlaczego?

— Co chcesz przez to powiedzieć? — spytała Nynaevie podniesionym głosem.

— Razem z Elayne powiniście pojechać do Caemlyn, do Randa. Ona może zasiąść na tronie, a ty... — Uśmiech Moghedien wcale nie był miły. — Prędzej czy później one cię usadzą i zaczną naciskać, żebyś wyjaśniła, w jaki sposób dokonujesz takich cudownych odkryć, chociaż kiedy na ich żądanie próbujesz przenosić, to trzęsiesz się jak mała dziewczynka, którą przyłapano na kradzieży łakoci.

— Ja się wcale...! — Nie zamierzała się tłumaczyć, a już na pewno nie przed tą kobietą. Skąd nagle ta szczerłość? — Ty lepiej nie zapominaj, że kiedy one poznają prawdę, twoja głowa znajdzie się na pieńku do rąbania drewna w przeciągu niecałego tygodnia, niezależnie od tego, co stanie się ze mną.

— Ty za to pocierpisz sobie znacznie dłużej. Za sprawą Semirhage pewien mężczyzna krzyczał przez pięć lat, przez każdą godzinę, podczas której nie spał. Pozwoliła mu nawet zachować zdrowe zmysły, ale ostatecznie nawet ona nie potrafiła podtrzymać pracy jego serca. Wątpię, czy którakolwiek z tych dziewczynek dysponuje bodaj dziesiątą częścią umiejętności Semirhage, ale ty za to dowiesz się

z pierwszej ręki, na co je stać.

Jak ta kobieta śmie to wszystko mówić? Strach, który zazwyczaj sprawiał, że kulila się w sobie, opadł niczym wężowa skóra. Równie dobrze mogły być dwiema równymi sobie, pograżonymi w rozmowie na jakieś banalne tematy. Nie, jeszcze gorzej. Cała postawa Moghedien oznajmiała, że dla niej są to wprawdzie banalne rzeczy, ale za to straszliwe dla Nynaeve. Nynaeve bardzo żałowała, że to nie ona nosi bransoletę. Zaraz zrobiłoby jej się lepiej. W środku Moghedien z pewnością nie mogła być tak spokojna i chłodna, jak na to wskazywały jej twarz i głos.

Nagle oddech uwiązał jej w gardle. Bransoleta. No właśnie. Bransoleta znajdowała się teraz poza izbą. W żołądku uformowała jej się bryła lodu; pot ściekał z twarzy jakby znacznie bardziej obficie. Logicznie rzecz biorąc, to nie miało znaczenia, czy bransoleta tu była czy nie. Miała ją na ręce Elayne — błagam, Światłości, żeby ona jej tylko nie zdjęła! — druga zaś połowa *a'dam* opinała szyję Moghedien. Tyle że logika nie miała z tym wszystkim nic wspólnego. Nigdy nie doszło do takiej sytuacji, by Nynaeve znalazła się sam na sam z tą kobietą bez bransolety. A właściwie raz doszło i prawie skończyło się dla niej katastrofą. Moghedien nie nosiła wtedy *a'dam*, ale to też niczego nie zmieniało. Była Przekłętą, były same, a Nynaeve nie dysponowała żadnym sposobem przejęcia nad nią kontroli. Zaciśnęła dłonie na fałdach spódnicy, by nie szukały gorączkowo rękojeści noża.

Moghedien uśmiechnęła się jeszcze szerzej, jakby czytała w jej myślach.

— Możesz być pewna, że twoje sprawy leżą mi na sercu. To... — i tu jej dłoń na moment zawisła w okolicy szyi, starannie jednak unikając kontaktu z naszyjnikiem — ... będzie mnie równie dobrze trzymało w Caemlyn, jak tutaj. Niewola tam jest lepsza niżli śmierć tutaj. Tylko nie zwlekaj zbyt długo z decyzją. Jeśli te tak zwane Aes Sedai postanowią wrócić do Wieży, cóż okaże się stosowniejszym podarunkiem dla nowej Zasiadającej na Tronie Amyrlin niżli ty, kobieta tak blisko związana z Randem al'Thorem? Ty oraz Elayne. Jeśli on żywi względem niej bodaj połowę tych uczuć, jakie ona ma do niego, wówczas pojmanie jej będzie się równało uwiązaniu mu do szyi sznura, sznura, którego nigdy nie zdoła przeciąć.

Nynaeve wstała, z wysiłkiem prostując kolana.

— Możesz teraz pościelić łóżka i posprzątać. Po powrocie spodziewam się zastać tu idealny porządek.

— Ile jeszcze zostało wam czasu? — spytała Moghedien, zanim Nynaeve doszła do drzwi. Ta kobieta równie dobrze mogła pytać, czy woda na herbatę już się zagotowała. — Kilka dni, zanim pošlę odpowiedź do Tar Valon? Kilka godzin? Co przeważy: Rand al'Thor i domniemane zbrodnie Elaidy czy szansa ponownego scalenia tej ich bezcennej Białej Wieży?

— Zajmij się szczególnie starannie nocnikami — odparła Nynaeve, nie odwracając się. — Tym razem mają być czyste. — Wyszła, nim Moghedien zdążyła



coś jeszcze dodać, z impetem zatraskując za sobą drzwi.

Oparła się o szorstkie deski ścian pozbawionego okien korytarza i zrobiła głęboki wdech. Zanurzywszy dłoń w mieszku przy pasie, wyłowiła niewielką saszetkę i wsunęła do ust dwa kruche liście gęsiej mięty. Zioło koło pieczenie żołądka dopiero po jakimś czasie, a mimo to żuła je i przetykała łąpczywie, jakby pospiech mógł sprawić, że zadziała prędej. Przez ostatnie kilka chwil obrywała kolejne ciosy, w miarę jak Moghedien wywlekała jedną rzecz za drugą, wszystko, o czym wiedziała. A ona, przy całej swej nieufności, uwierzyła, że ta kobieta dała się zastraszyć. Błąd. Och, Światłości, cóż za błąd! Była absolutnie przekonana, że Moghedien wie o Elayne i Randzie równie mało jak Aes Sedai. Błąd. I sugestia, że mają do niego uciec... Zbyt swobodnie rozmawiały w jej obecności. Co jeszcze im się wymknęło i w jaki sposób Moghedien mogła to wykorzystać?

Do ciemnego korytarza z frontowej izby małego domku wyszła jedna z Przyjętych; Nynaeve wyprostowała się, chowając miętę i wygładzając suknie. Wszystkie izby, z wyjątkiem tej od frontu, zostały przerobione na sypialnie, zamieszkiwane przez Przyjęte oraz służące, po trzy albo cztery w jednej izbie nie większej od tej, z której właśnie wyszła; w niektórych dwie musiały dzielić to samo łóżko. Przyjęta była szczupłą kobietą, nadzwyczaj wiotką, o szarych oczach, niemal zawsze uśmiechniętą. Pochodząca z Illian Emara nie lubiła ani Suan, ani Leane, co Nynaeve potrafiła zrozumieć, i uważała, te dwie powinno się odprawić — jakoś godnie, tak to ujmowała — tak jak to zawsze czyniono z ujarzmionymi kobietami, ale dla Elayne i Nynaeve była zawsze miła i wcale się nie oburzała na to, że one dysponują „dodatkową przestrzenią” albo że korzystają z posług „Marigan”. Co zaliczało ją do mniejszości.

— Słyszałam, że masz ponoć sporządzać notatki dla Janyi i Delany — powiedziała charakterystycznym piskliwym głosem, przeciskając się obok Nynaeve w drodze do swej izby. — Przyjmij moją radę i staraj się pisać najszybciej, jak potrafisz. Janya bardziej dba o to, by wszystkie jej słowa zostały spisane niż o jakieś smugi atramentu.

Nynaeve spiorunowała wzrokiem plecy Emary. Pisać szybko dla Delany. Pisać powoli dla Janyi. Uzbierała już niezłą kolekcję dobrych rad. Tak czy owak, jakoś nie potrafiła się teraz przejmować, że może narobić kleksów przy sporządzaniu notatek. Ani nawet martwić się o Moghedien, dopóki nie będzie miała sposobności porozmawiać o niej z Elayne.

Wyszła na ulicę, kręcąc głową i mrucząc pod nosem. Może ona z góry przyjęła różne rzeczy za oczywiste, może pozwoliła, by wymykały jej się spod kontroli, ale czas najwyższy otrząsnąć się wreszcie i położyć temu kres. Wiedziała, kogo musi znaleźć.

Podczas ostatnich kilku dni w Salidarze było spokojnie, mimo iż tłok na ulicach panował taki sam jak zawsze. Przede wszystkim w kuźniach za miastem zapanała cisza. Mieszkańcom przykazano, że w czasie pobytu Tarny mają strzec

języków odnośnie do misji poselskiej jadącej właśnie do Caemlyn, odnośnie do Logaina ukrytego bezpiecznie w jednym z żołnierskich obozów, a nawet samych żołnierzy i powodów, dla których ich werbowano. To sprawiło, że ci najbardziej trwożliwi nie odważali się mówić głośniej niż szeptem. W cichym gwarze rozmów słyszało się nutę zaniepokojenia.

Strach ogarnął wszystkich. Słudzy, którzy zazwyczaj pędzili gdzieś w pospiechu, poruszali się teraz z wahaniem, stale oglądając się za siebie z niepokojem w oczach. Nawet Aes Sedai pod tak charakterystycznym dla nich opanowaniem zdawały się skrywać czujność i mierzyły się wzajem badawczymi spojrzeniami. Z ulic zniknęli niemal wszyscy żołnierze, a przecież Tarna nie mogła ich pierwszego dnia nie zauważyć i z pewnością wyciągnęła stosowne wnioski. Wystarczy niewłaściwa odpowiedź Komnaty, a na ich karkach zacisną się pętle; nawet ci władcy i arystokraci, którzy woleli trzymać się z daleka od kłopotów w Wieży, wieszaliby zapewne wszystkich żołnierzy, których dostaliby w swoje ręce, po to tylko, by nie dopuścić do szerzenia się idei rebelii. Dlatego ci nieliczni, niepewni swego losu, oblekali twarze w maskę starannej obojętności albo cierpli z niepokojem. Wszyscy z wyjątkiem Garetha Bryne'a, który czekał przed Małą Wieżą. Zjawiał się tutaj każdego dnia, zanim przybywały Zasiadające i pozostawał aż do czasu ich odejścia. Zdaniem Nynaeve, dbał w ten sposób, by nie zapomniały o nim, a także o tym, co dla nich robił. Zasiadające, tamtego jedynego razu, kiedy miała okazję widzieć je, gdy wychodziły z Małej Wieży, w najmniejszym stopniu nie wyglądały na zachwycone jego widokiem.

Jedynie zachowanie Strażników nie zmieniło się od czasu przybycia Czerwonej siostry. Strażników i dzieci. Nynaeve drgnęła nerwowo, kiedy trzy małe dziewczynki wyprysnęły jej spod nóg niczym stadko przepiórek, z powiewającymi wstążkami we włosach, spocone, brudne od kurzu i roześmiane. Dzieci nie miały pojęcia, na co czeka Salidar, a gdyby nawet wiedziały, to zapewne i tak by nie pojęły. Każdy Strażnik podążał śladem swej Aes Sedai, niezależnie od tego, co ta postanowiła, żaden nigdy nawet nie mrugnął.

Tematem większości rozmów prowadzonych przyciszonym głosem była pogoda. Pogoda, a także dziwaczne zdarzenia, o których plotki docierały z różnych stron świata: gadające dwugłowe cielęta, roje much atakujące ludzi, zniknięcie wszystkich dzieci z całej wioski w samym środku nocy, niewidzialne siły mordujące w biały dzień. Każdy, kto potrafił myśleć trzeźwo, wiedział, że ta susza i upał, zupełnie niewłaściwe o tej porze roku, to dzieło Czarnego, niemniej jednak nawet większość Aes Sedai powątpiewała w twierdzenia Elayne i Nynaeve, że pogłoski o tych pozostałych zdarzeniach również są prawdziwe, że w miarę słabnięcia pieczęci z więzienia Czarnego unoszą się bańki zła, które dryfują potem po powierzchni wzoru tak długo, aż nie pękną. Inni ludzie zasadniczo nie potrafili myśleć trzeźwo. Jedni całą winą obarczali Randa. Drudzy powiadali, że to Stwórca jest niezadowolony, albo dlatego, że nie cały świat zgromadził się przy Smoku

Odrodzonym, albo dlatego, że Aes Sedai sprzeciwiają się Amyrlin. Nynaeve słyszała nawet takich, którzy twierdzili, że jak Wieża scali się na powrót, to pogoda się ureguluje. Zaczęła przepychać się przez tłum.

— ... przysięgam, że to prawda! — mruzczała jakaś kucharka, po łokcie ubielona mąką. — Na drugim brzegu Eldar zgromadziła się armia Białych Płaszczy i tylko czeka na słowo od Elaidy, co by ruszyć do ataku. — Oprócz pogody i dwugłowych cieląt kolejnym tematem, który przewijał się najczęściej w rozmowach, były Białe Płaszcze, ale Białe Płaszcze czekające na rozkazy od Elaidy? Od upału tym kobietom mózgi się już chyba gotowały!

— Światłość mi świadkiem, że to prawda — mruknął szpakowaty woźnica do kobiety, której dobrze skrojona suknia świadczyła, że to pokojówka Aes Sedai. — Elaida nie żyje. Ta Czerwona tu przyjechała z wezwaniem do Sheriam, żeby ta została nową Amyrlin. — Kobieta przytakiwała, godząc się z każdym słowem.

— Powiadam, z Elaidy jest dobra Amyrlin — oświadczył mężczyzna w zgrzebnym kaftanie, poprawiając wiązki chrustu, którą dźwigał na plecach. — Równie dobra jak każda inna. — Ten nie szemrał do ucha swego rozmówcy. Mówił głośno i najwyraźniej nie dbał o to, kto go słucha.

Usta Nynaeve wykrzywił kwaśny grymas. Chciał, żeby go słyszano. Jakim cudem Elaida tak prędko dowiedziała się o Salidarze? Przecież Tarna musiała wyjechać z Tar Valon krótko po tym, jak Aes Sedai zaczęły się gromadzić w tej wiosce. Siuan wskazała złowróźnie, że nadal brakuje sporej liczby Błękitnych sióstr — pierwotnie wezwanie do stawienia się w Salidarze było skierowane wyłącznie do Błękitnych — i przy roztrząsaniu tej kwestii padło imię Alviarin. Myśl, od której przewracało się w żołądku, jednakże nie tak dokuczliwa jak najprostsze wytłumaczenie: tajne popleczniczki Elaidy tutaj, w Salidarze. Ludzie popatrywali na siebie z ukosa, a ten drwal nie był pierwszym, z ust którego Nynaeve usłyszała taką wyuczoną śpiewkę, ujętą nawet w podobne słowa. Aes Sedai tego wprowadzić nie mówiły, ale Nynaeve podejrzewała, że niektóre miały ochotę. W Salidarze wrzało jak w rondlu z gulaszem, i to niezbyt smacznym. Upewniało ją to, że wybrała słuszną drogę postępowania.

Odnalezienie osoby, której szukała, trochę potrwało. Wypatrywała gromadek bawiących się dzieci, a takich w Salidarze nie było wiele. Tak, jak podejrzewała, Birgitte przyglądała się pięciu chłopcom, którzy rzucali w siebie małym woreczkiem wypełnionym kamykami i za każdym razem, gdy któryś został trafiony, zaśmiewali się serdecznie, łącznie z samym trafionym. Miało to tyle samo sensu co inne chłopięce zabawy. Albo męskie.

Birgitte oczywiście nie była sama. Rzadko bywała sama, o ile się o to szczególnie nie starała. Przy jej ramieniu stała Areina, która ocierała pot spływający z twarzy, starając się nie okazywać znudzenia. Rok, może dwa lata młodsza od Nynaeve, Areina spletała ciemne włosy na wzór sięgającego do pasa złotego war-kocza Birgitte. Jej odzienie także stanowiło imitację ubrania Birgitte — długi do

pasa, jasnoszary kubraczek i obszerne brązowe spodnie, zebrane w kostkach tuż nad krótkimi botkami o wysokich obcasach — łącznie z łukiem oraz kołczanem u pasa. Zdaniem Nynaeeve, Areina nigdy nawet nie miała łuku w ręku, zanim nie poznała Birgitte. Teraz udawała, że jej nie zauważa.

— Muszę z tobą pogadać — powiedziała do Birgitte. — W cztery oczy.

Areina zerknęła na nią, wyraz niebieskich oczu był niemal bliski pogardy.

— Bardzo się dziwię się, że nie nosisz szala w tak uroczystym dniu, Nynaeeve. Ojej! Przecież ty się pocisz jak koń. Czemu to przypisać?

Twarz Nynaeeve ściągnęła się. Obdarzyła tę kobietę przyjaźnią, jeszcze zanim uczyniła to Birgitte, ale po przybyciu do Salidaru przyjaźń gdzieś uleciała. Areina poczuła się bardziej niż rozczarowana, gdy się dowiedziała, że Nynaeeve nie jest pełną Aes Sedai; jedynie na prośbę Birgitte powstrzymała się z poinformowaniem Aes Sedai, że podawała się za jedną z nich. Poza tym Areina złożyła przysięgi uczestnika Polowania na Róg, a Birgitte z pewnością mogła posłużyć za lepszy model do takiej roli niż Nynaeeve. Pomyśleć, że ona kiedyś współczuła tej kobiecie jej siniaków!

— Sądząc po twojej minie — powiedziała Birgitte z uśmiechem na spoczonej twarzy — albo jesteś gotowa kogoś udusić, prawdopodobnie obecną tu Areinę, albo spadła z ciebie suknia, gdy otaczał cię legion żołnierzy, a ty akurat nie miałaś na sobie bielizny.

Areina parsknęła śmiechem, mimo iż wyraźnie się zgorszyła. Nynaeeve nie rozumiała dlaczego; ta kobieta miała mnóstwo czasu, żeby się przyzwyczaić do tego osobliwego poczucia humoru Birgitte, które bardziej przystawałoby do jakiegoś nie ogolonego mężczyzny z nosem wiecznie zanurzonym w kuflu i brzuchem pełnym *ale*.

Nynaeeve przypatrywała się przez chwilę zabawie chłopców, czekając, aż fala wzburzenia minie. Lepiej nie wpadać w złość, kiedy trzeba poprosić o przysługę.

Wśród chłopców, którzy gonili się i rzucali woreczkiem, byli Seve i Jaril. Żółte miały rację co do ich stanu psychicznego — potrzebowali czasu. Po spędzeniu prawie dwóch miesięcy w Salidarze, w otoczeniu innych dzieci i bez żadnych powodów do strachu, śmiali się i pokrzykiwali równie głośno i swobodnie jak ich rówieśnicy.

Myśl, która jej nagle przyszła do głowy, poraziła ją z siłą pioruna. „Marigan” nadal się nimi opiekowała, niechętnie wprawdzie, ale jednak pilnowała, by byli wykąpani i nakarmieni. A oni teraz, kiedy znowu zaczęli mówić, mogli lada chwila komuś powiedzieć, że ona nie jest ich matką. Może nawet już to zrobili. To nie musiało, ale mogło sprowokować pytania, a pytania z kolei mogły spowodować, że zbudowany przez nie dom z cienkich gałązek runie im na głowy. W brzuchu Nynaeeve znowu pojawiła się bryła lodu. Czemu nie pomyślała o tym wcześniej?

Aż podskoczyła, kiedy Birgitte dotknęła jej ramienia.

— Co się stało, Nynaeeve? Masz taką minę, jakby najserdeczniejsza przyjaciółka ci umarła i na dodatek przekleła cię wraz z ostatnim tchnieniem.

Areina oddalała się, nienaturalnie wyprostowana; rzuciła w ich stronę jedno spojrzenie przez ramię. Ta kobieta potrafiła się przypatrywać, jak Birgitte pije i flirtuje z mężczyznami, nawet nie mrugnawszy powieką, wręcz starała się ją naśladować, a mimo to jeżyła się za każdym razem, gdy Birgitte chciała zostać sam na sam z Elayne albo Nynaeeve. Mężczyźni nie stanowili zagrożenia, wedle zapatrywań Areiny tylko kobiety potrafiły się przyjaźnić, a uważała, że wyłącznie ona mogła się przyjaźnić z Birgitte. Idea posiadania dwóch przyjaciółek zdawała się jej obca. A zresztą dość przejmowania się tą kobietą!

— Czy mogłabyś załatwić dla nas konie? — Nynaeeve starała się mówić spokojnym głosem. Wprawdzie nie o to przyszła prosić, ale za sprawą Seve i Jarila uznała, że doskonale będzie o to właśnie zapytać. — Ile by ci to zabrało czasu?

Birgitte wyprowadziła ją z ulicy do ujścia wąskiej alejki biegnącej między dwoma zapadającymi się domami i rozejrzała się ostrożnie dookoła, zanim jej odpowiedziała. W pobliżu nie było nikogo, kto by mógł je podsłuchać czy choćby w ogóle zwrócić na nie uwagę.

— Dzień, może dwa. Uno właśnie mi powiedział. . .

— Tylko nie Uno! Jego nie bierzemy. Tylko ty, ja, Elayne i Marigan. Chyba że Thom i Juilin wrócą na czas. I pewnie Areina, jeśli będziesz nalegała.

— Areina bywa głupia pod niektórymi względami — odparła wolno Birgitte — ale życie albo odsieje z niej tę głupotę, albo ją zwyczajnie wypłuje. Wiesz przecież, że nie będę się upierała, by ją zabrać, jeśli ty i Elayne nie będziecie chcieli.

Nynaeeve milczała. Ta kobieta dawała jej do zrozumienia, że uważa ją za zazdrosną! A przecież jej zupełnie nie obchodziło, że Birgitte zadaje się z kimś równie płochym jak Areina.

Birgitte potarła dłonią dolną wargę i zmarszczyła czoło.

— Thom i Juilin to dobrzy ludzie, ale jak nie chcesz kłopotów, to postaraj się, by nikt ci ich nie przysparzał. Kilkunastu Shienaran w zbrojach, albo i bez nich, robi wiele, byle ci tylko w tym pomóc. Nie rozumiem tego, co jest między tobą i Uno. Przecież to twardy mężczyzna, który pójdzie za tobą i Elayne nawet do Szczeliny Zagłady. — Na jej twarzy nagle wykwitł uśmiech. — A poza tym jest znakomicie zbudowany.

— Nikt nas nie musi prowadzić za rękę — odparła sztywno Nynaeeve. Dobrze zbudowany? W myślach błysnęła jej mdląca wizja łatki przykrywającej oko i bliźny Shienaranina. Ta kobieta miała dość osobliwe gusta w stosunku do mężczyzn. — Poradzimy sobie ze wszystkim, co nam stanie na drodze. Moim zdaniem już to udowodniłyśmy, o ile coś takiego rzeczywiście trzeba udowadniać.

— Wiem, że sobie poradzimy, Nynaeeve, ale kłopoty będą do nas ciągnąć niczym muchy do gnoju. Altara wrze na wolnym ogniu. Z każdym dniem przy-

bywają świeże opowieści o Zaprzysięgłych Smokowi i jestem skłonna postawić moją najlepszą jedwabną suknię przeciwko twojej bieliźnie, że połowa z nich to zwykli bandyci, którzy uznają cztery samotne kobiety za łatwy łup. Co drugi dzień będziemy musiały udowadniać, że wcale nimi nie jesteśmy. Słyszałam też, że w Murandy jest jeszcze gorzej; pełno tam Zaprzysięgłych Smokowi, bandytów i uchodźców z Cairhien, którzy się boją, że lada dzień runie na nich Smok Odrodzony. Przypuszczam, że nie zamierzasz przeprować się przez rzekę, żeby dotrzeć do Amadicii. Zakładam, że chcesz się udać do Caemlyn. — Kunsztownie zapleciony warkocz zakołysał się nieznacznie, kiedy przekrzywiła głowę, pytająco unosząc brew. — Czy Elayne zgadza się z tobą w odniesieniu Uno?

— Zgodzi się — odburknęła Nynaeve.

— Rozumiem. Cóż, kiedy już to zrobi, to ja załatwię tyle koni, ile będzie trzeba. Ale chcę, żeby to ona mi wyjaśniła, dlaczego nie powinniśmy zabierać Uno.

Nie znoszący sprzeciwu ton sprawił, że twarz Nynaeve okryła się gniewnym pąsem. Gdyby rzeczywiście poprosiła Elayne, jak najśłodziej, by ta powiedziała Birgitte, że Uno ma tutaj zostać, to zapewne napotkałyby go potem przy drodze, a Birgitte nie posiadałaby się ze zdumienia, skąd on wiedział, dokąd one jadą i którędy. Ta kobieta była niby Strażnikiem Elayne, ale Nynaeve zastanawiała się czasami, która z nich tak naprawdę dowodzi. Kiedy znajdzie Lana — kiedy, nie jeśli! — to zmusi go do złożenia takich przysięg, że prędzej włosy mu się skręcą w loki, zanim podważy którąś z jej decyzji!

Zrobiła kilka głębokich, uspokajających wdechów. Nie ma co się spierać z kamiennym murem. Równie dobrze mogłaby starać się dowieść, że to przecież ona pierwsza znalazła Birgitte.

Jakby od niechcenia, dała krok w głąb wąskiej alejki, pociągając za sobą drugą kobietę. Z ziemi wystawały zbrązowiałe kikuty, pozostałości po wykarczowanych zaroślach. Przyjrzała się ciżbie wypełniającej ulicę, starając się, by wyglądało to na zupełnie przypadkowe spojrzenie. Nikt się nawet nie obejrzał. Mimo to i tak zniżyła głos:

— Musimy się dowiedzieć, co takiego Tarna mówi Komnacie i jakie są ich reakcje. Elayne i ja próbowałyśmy się tego dowiedzieć, lecz one otaczają posiedzenia zabezpieczeniami przeciwko podsłuchom. Ale są to zabezpieczenia jedynie przeciwko podsłuchującym, które mogłyby posłużyć się Mocą. Boją się, by nikt nie podsłuchiwał w ten sposób, najwyraźniej jednak zapomniały, że można jeszcze przycisnąć ucho do drzwi. Gdyby tak ktoś...

Birgitte weszła jej w słowo, mówiąc twardym głosem:

— Nie.

— Przemyśl to przynajmniej. Prawdopodobieństwo, że Elayne albo ja zostaniemy przyłapane, jest dziesięciokrotnie większe niż w twoim przypadku. — Uznała, że wzmianka o Elayne to sprytny zabieg, ale kobieta tylko pociągnęła

nosem.

— Powiedziałam: nie! Zachowywałaś się różnie, odkąd cię poznałam, Nynaeve, ale nigdy nierozsądnie. Światłości, one rozgłoszą to wszem i wobec za dzień albo dwa.

— Musimy wiedzieć już teraz — syknęła Nynaeve, przełykając cisnące się na usta słowa: „Ty idiotko z mózgiem mężczyzny”. Nierozsądna? Nigdy nie była nierozsądna, co to, to nie. Nie wolno jej się zezłościć. Jeżeli uda jej się przekonać Elayne do wyjazdu, to za dzień albo dwa być może już ich tu nie będzie. Lepiej więcej nie otwierać tego worka z węzami.

Wzdrygając się — nieco ostentacyjnie, jak na gust Nynaeve — Birgitte wsparła się na swoim łuku.

— Aes Sedai przyłapały mnie raz na szpiegowaniu. Trzy dni później wytargały mnie po raz ostatni za uszy i wyjechałam z Shaemal tak szybko, jak potrafiłam dosiąść konia. Nie będę przez to przechodziła jeszcze raz, po to tylko, by zdobyć dla ciebie dzień, którego wcale nie potrzebujesz.

Nynaeve nie straciła panowania nad sobą. Z wysiłkiem zdołała zachować niewzruszoną twarz, nie zazgrzytała zębami, nie zaczęła szarpać warkocza. Była spokojna.

— W życiu nie słyszałam żadnej opowieści, w której ty szpiegowałabyś Aes Sedai. — Ledwie te słowa opuściły jej usta, miała ochotę je cofnąć. Cały rdzeń tajemnicy Birgitte polegał na tym, że była właśnie tą Birgitte z opowieści. Nie należało wspominać o niczym, co mogłoby kogoś skłonić do powiązania jej z tamtą postacią.

Twarz Birgitte przez chwilę wyglądała jak wykuta z kamienia; wszystko kryło się gdzieś w środku. To wystarczyło, by przyprowadzić Nynaeve o dreszcz, tajemnica tamtej zawierała przecież tyle bólu. Aż wreszcie Birgitte westchnęła, jej oczy na powrót popatrzyły przytomnie.

— Czas wszystko zmienia. Sama ledwie rozpoznaję połowę tych opowieści, drugiej połowy w ogóle nie znam. Więcej nie będziemy o tym rozmawiać. — Nie była to, najwyraźniej, żadna propozycja.

Nynaeve otworzyła usta, nie bardzo wiedząc, co właściwie powiedzieć — sama będąc dłużniczką Birgitte, nie chciała rozjątrzać jej bólu, ale taka odprawa w związku z dwiema drobnymi prośbami...! — gdy nagle z ujścia alejki dał się słyszeć głos trzeciej kobiety:

— Nynaeve, Janya i Delana chcą cię natychmiast widzieć!

Nynaeve omal nie uniosła się w powietrze, miała wrażenie, że jej serce usiłuje przebić się przez sklepienie ust.

Stojąca w ujściu alejki, odziana jak przystało na nowicjuszkę, Nicola przez chwilę wyglądała na zaskoczoną. Birgitte podobnie, zaraz jednakże z wyraźnym rozbawieniem wbiła wzrok w łuk.

Nynaeve dwukrotnie usiłowała przełknąć ślinę, zanim wykrztusiła jakieś słowo. Ile ta kobieta słyszała?

— Jeśli uważasz, że istnieje sposób, w jaki należy przemawiać do Przyjętej, Nicola, to lepiej naucz się go czym prędzej samodzielnie, bo w przeciwnym razie zostanie ci przemocą wbity do głowy.

Dokładnie coś takiego mogła powiedzieć Aes Sedai, ale szczupła kobieta przyglądała się ciemnymi oczyma Nynaeve, mierząc ją wzrokiem.

— Przepraszam, Przyjęta — powiedziała i dygnęła. — Następnym razem będę bardziej uważna.

Dygnęła głęboko, dokładnie tak, jak należało przed Przyjętą, co do cala, a nawet jeśli ton głosu brzmiał chłodno, to nie dość chłodno, by stanowić podstawę do nagany. Areina nie była jedyną towarzyszką podróży rozczarowaną odkryciem prawdy na temat Nynaeve i Elayne, ale w odróżnieniu od niej Nicola zgodziła się dochować tajemnicy, jakby zdumiona, że konieczność prośnienia o to w ogóle im przysłała na myśl. Dopiero potem, kiedy poddana sprawdzianowi dowiodła, że zdolna jest się nauczyć przenoszenia, zaczęło się to mierzenie wzrokiem.

Nynaeve rozumiała wszystko aż za dobrze. Nicoli brakowało wrodzonej iskry — bez pobierania odpowiednich nauk nigdy nie dotknęłaby *saidara* — ale już mówiono o tym, jak jest obiecująca, o sile, jaką kiedyś osiągnie, pod warunkiem, że się przyłoży. Dwa lata wcześniej wywołałaby prawdziwe podniecenie, od stuleci bowiem nie pojawiła się nowicjuszka dysponująca większym potencjałem. Ale to było przed pojawieniem się Elayne, Egwene i samej Nynaeve. Nicola nigdy nic nie powiedziała, Nynaeve jednak była pewna, że zamierzała dorównać Elayne i jej, o ile ich nie prześcignąć. W stosunkach zaś z nimi ani razu nie przekroczyła granicy przyzwoitości, chociaż często zbliżała się do niej.

Nynaeve potraktowała ją ostrym skinieniem głowy. Zrozumienie bynajmniej nie ostudziło ochoty, by wypędzić jej te głupstwa z głowy potrójną dawką korzenia baraniego języka.

— Spodziewam się. Idź i powiedz Aes Sedai, że przyjdę za kilka minut. — Nicola ponownie dygnęła, ale kiedy już się odwróciła, Nynaeve dodała: — Zaczekaj.

Kobieta natychmiast się zatrzymała. Teraz jej oczy niczego już nie odzwierciedlały, niemniej jednak Nynaeve była przekonana, że przedtem dostrzegła w nich jakiś przelotny błysk. Satisfakcji?

— Czy powiedziałaś mi wszystko?

— Kazano mi przekazać, że masz się natychmiast stawić, Przyjęta, i uczyniłam to. — Bezbarwnym tonem, jak woda, która stała w dzbanie przez tydzień.

— Co one powiedziały? Jak dokładnie brzmiały ich słowa?

— Dokładnie, Przyjęta? Nie jestem pewna, czy zapamiętałam ich słowa dokładnie, ale spróbuję je odtworzyć. Pamiętaj, że one to powiedziały, a ja tylko powtarzam. Janya Sedai powiedziała coś takiego: „Jeśli ta głupia dziewczyna nie



pojawi się tu natychmiast, to przysięgam, że nie usiądzie wygodnie, dopóki nie osiągnie takiego wieku, w którym będzie mogła zostać babką”. A Delana Sedai powiedziała: „Osiągnie ten wiek, zanim raczy się zjawić. Jeżeli jej tu nie będzie za kwadrans, to zrobię z jej skóry ściereczki do kurzu”. — W oczach miała samą niewinność. A także czujność. — To się zdarzyło jakieś dwadzieścia minut temu, Przyjęta. Może trochę dłużej.

Nynaeve znowu ciężko przełknęła ślinę. Fakt, że Aes Sedai nie mogły kłamać, bynajmniej nie wiązał się z koniecznością brania każdej ich pogroźki dosłownie, ale czasami jaskółka zdechłaby z głodu, gdyby spróbowała pożywić się różnicą. Przy każdym innym prócz Nicoli byłaby krzyknęła: „Światłości!”, i pomknęła biegiem. Ale nie kiedy patrzyły na nią te oczy. Nie w obecności kobiety, która zdawała się przez cały czas dopisywać kolejne pozycje do listy jej słabości.

— W takim razie nie ma chyba potrzeby, byś ty biegła przede mną. Zajmij się swoimi obowiązkami. — Odwróciła się tyłem do dygającej Nicoli, jakby nic na całym świecie nie obchodziło jej mniej, i odezwała się do Birgitte: — Porozmawiamy później. Sugeruję, byś do tego czasu nie robiła nic w tej sprawie. — To mogło ją trzymać z daleka od Uno, pod warunkiem, że Nynaeve nareszcie dopisze szczęście. Nadzwyczajne szczęście.

— Zastanowię się nad twoją propozycją — odparła poważnym tonem Birgitte, ale nie było nic poważnego w tej kombinacji współczucia i rozbawienia, jaka malowała się na jej twarzy. Ta kobieta dobrze знаła Aes Sedai. Pod niektórymi względami wiedziała o nich więcej niżli jakakolwiek Aes Sedai.

Nynaeve nie mogła już zrobić nic więcej, tylko przystać na to i żyć nadzieją. Ruszyła w górę ulicy i w tym momencie dopadła ją Nicola.

— Powiedziałam, że masz się zająć swoimi obowiązkami.

— One kazały mi wrócić, jak już cię znajdę, Przyjęta. Czy to któreś z twoich ziół? Po co ci te zioła? Czy to dlatego, że nie możesz...? Wybacz mi, Przyjęta. Nie powinnam była o tym wspominać.

Nynaeve zamrugała na widok saszetki z gęsią miętą w swoim ręku — nie pamiętała, kiedy ją wyciągnęła — po czym wepchnęła ją z powrotem do sakwy. Miała ochotę przeżuć natychmiast cały zapas. Zignorowała przeprosiny, a także to, czego dotyczyły — aż ociekały fałszem, wiadomo przecież, że powiedziała to z całkowitym rozmysłem.

— Używam ziół, bo przecież Uzdrawianie nie jest zawsze konieczne. — Czy Żółte wyraziłyby dezaprobatę, gdyby to do nich dotarło? One gardziły ziołami, z pozoru interesowały się tylko takimi chorobami, które wymagały Uzdrawiania. Co ona wyprawia? Przejmuje się tym, co mówi do Nicoli na wypadek, gdyby to miało dotrzeć do Aes Sedai? Ta kobieta jest tylko nowicjuszka, jakkolwiek patrzyłaby na nią i na Elayne. Zupełnie nie miało znaczenia, jak ona na nie patrzy. — Cicho bądź — powiedziała z irytacją. — Chcę pomyśleć.

Nicola zachowała milczenie, kiedy przedzierały się przez zatłoczone ulice,

a za to jakby specjalnie powłóczyła nogami. Może była to tylko jej wyobraźnia, ale z wysiłku, by jej nie wyprzedzić, Nynaeve rozbolały kolana. Nie dopuści, w żadnych okolicznościach, by tamta odniosła wrażenie, że ona bodaj próbuje iść szybciej.

Cała ta sytuacja sprawiła, że w głębi duszy zaczynała się powoli gotować. Ze wszystkich osób, jakie mogły zostać po nią przysłane, trudno było sobie wyobrazić kogoś gorszego niż Nicola, z tymi jej oczyma. Birgitte zapewne już w tej chwili biegła na poszukiwanie Uno. Zasiadające bez wątpienia powiedziały Tarnie, że są gotowe uklęknąć i ucałować pierścień Elaidy. Seve i Jaril wyznali Sheriam, że nie mają pojęcia, kim tak naprawdę jest „Marigan”. Taki to już był dzień, a palące słońce musiało pokonać na bezchmurnym niebie jeszcze przynajmniej ćwierć drogi, zanim dotrze do szczytu.

Janya i Delana czekały we frontowej izbie małego domku, który dzieliły razem z trzema innymi Aes Sedai. Oczywiście każda miała własną sypialnię. Wszystkie Ajah dysponowały własnymi domami, w których odbywały posiedzenia, ale poszczególne Aes Sedai rozproszyły się po całym Salidarze, zajmując przypadkowe domy, w miarę jak przybywały do wioski. Janya siedziała z wzrokiem wbitym w podłogę, ze skrzywioną twarzą i wydętymi wargami, zdając się nie zauważać ich przybycia. Za to jasnowłosa Delana — włosy miała tak jasne, że nie sposób było orzec, czy znajdują się w nich jakieś siwe — wbiła w nie spojrzenie bladoniebieskich oczu, ledwie przestąpiły próg. Nicola aż podskoczyła. Nynaeve byłaby poczuła się teraz lepiej, ale niestety, sama też się wzdrygnęła. Zazwyczaj oczy krępej Szarej nie różniły się niczym od oczu pozostałych Aes Sedai, ale gdy ich spojrzenie skupiło się na człowieku, to wszystko inne przestawało istnieć. Twierdzono nawet, że Delana odnosi sukcesy jako negocjatorka, ponieważ obie strony godziły się na wszystko, byle skrócić czas tego świdrowania wzrokiem. Człowiek zaczynał się zastanawiać, co zrobił złego, nawet jeśli nie zrobił nic. Lista win, która wraz z tą myślą pojawiła się w głowie Nynaeve, sprawiła, że mimo woli dygnęła, równie głęboko jak Nicola.

— Ach! — powiedziała Janya i zamrugła ze zdumieniem, jakby nagle wyrosły spod ziemi. — Jesteście już.

— Wybaczcie spóźnienie — rzekła pospiesznie Nynaeve: Niech sobie Nicola słyszy, co chce. Patrzyła na nią Delana, nie Nicola. — Straciłam rachubę czasu i...

— Nieważne. — Delana miała głos nieco zbyt głęboki jak na kobietę i mówiła shienarańskim akcentem stanowiącym gardłowe echo akcentu Uno. Ten głos dziwił melodyjnym brzmieniem u osoby tak tęgiej, zresztą Delanie nie sposób było odmówić wdzięku. — Nicola, możesz odejść. Do następnej lekcji będziesz wykonywała polecenia Faolain. — Nicola nie marnowała czasu na następne dygnięcie, tylko od razu pomknęła przed siebie. Może nawet chciała usłyszeć komentarz Aes Sedai dotyczący spóźnienia Nynaeve, ale zgodnie z powszechnie przyjętym oby-

czajem nie mogła się sprzeciwić poleceniu przez nią wydanemu.

Nynaeve nawet by nie obeszło, gdyby Nicoli wyrosły skrzydła, ponieważ właśnie się zorientowała, że na stole, przy którym Aes Sedai spożywały posiłki, nie ma kałamarza, miseczki z piaskiem, pióra i papieru. Niczego, co było jej potrzebne do pracy. Miała to wszystko przynieść z sobą? Delana nadal się w nią wpatrywała. Jak nigdy dotąd. Nigdy, o ile nie miała wyraźnego powodu.

— Masz może ochotę na chłodną miętową herbatę? — spytała Janya i tym razem to Nynaeve zamrugwała. — Uważam, że taka herbata naprawdę pomaga. Moim zdaniem zawsze ułatwia rozmowę. — Nie czekając na odpowiedź, podobna do ptaka Błękitna siostra jąta napełniać filiżanki, każda należała do innego kompletu, z dzbanka w niebieskie paski stojącego na kredensie. Kredens podparto kamieniem ze strony, gdzie brakowało mu nogi. Aes Sedai miały być może więcej przestrzeni, za to umeblowanie ich izb było godne pożałowania. — Razem z Delaną zdecydowałyśmy, że nasze notatki mogą poczekać. W zamian tylko sobie pogawędzimy. Miodu? Ja osobiście wolę bez miodu. Słodycz tylko zabi-ja smak. Młode kobiety zawsze chcą miodu. Robicie takie wspaniałe rzeczy. Ty i Elayne. — Głośne chrząknięcie sprawiło, że spojrzała pytająco na Delanę. Po chwili powiedziała: — Ach. Tak.

Delana przestawiła jedno z krzeseł stojących przy stole na sam środek nagiej posadzki. Krzesło wyściełane było plecionką z trzciny. Gdy Janya wspomniała o gawędzeniu, Nynaeve wiedziała od razu, że to wcale nie będzie pogawędka. Delana wskazała jej krzesło i Nynaeve przysiadła na jego skraju, przyjęła filiżankę na wyszczerbionym spodku z rąk Janyi i mruknęła:

— Dziękuję, Aes Sedai. — Nie musiała czekać długo.

— Opowiedz nam o Randzie al'Thorze — zaczęła Janya. Wyraźnie chciała dodać coś jeszcze, ale Delana znowu chrząknęła; Janya zamrugwała i umilkła, popijając herbatę. Stały po obu stronach krzesła Nynaeve. Delana zerknęła na nią, westchnęła i przeniosła Moc, by podać sobie trzecią filiżankę. Naczynie przefrunęło przez izbę. Delana znowu utkwiała w niej wzrok, w taki sposób, że zdawała się wywiercać dziury w czaszce. Janya wyraźnie zatopiła się w myślach i zdawała się w ogóle jej nie widzieć.

— Opowiedziałam wam już wszystko, co wiem — westchnęła Nynaeve. — A w każdym bądź razie opowiadałam to innym Aes Sedai. — Musiała to zresztą zrobić. To, co wiedziała, nie mogło mu zaszkodzić... na pewno nie bardziej niż wiedza o tym, kim jest... a za to mogło sprawić, że siostry zaczną na niego patrzeć jak na człowieka. Nie jak na mężczyznę, który potrafi przenosić; po prostu jak na człowieka. Niełatwe zadanie w przypadku Smoka Odrodzonego. — Nic więcej nie wiem.

— Nie dąsaj się — zachnęła się Delana. — I przestań się wiercić.

Nynaeve odstawiła filiżankę na spodek i otarła przegub dłoni o spódnicę.

— Dziecko — powiedziała Janya tonem pełnym współczucia. — Wiem, tobie

się wydaje, że powiedziałaś wszystko, co wiesz, ale Delana. . . W każdym razie nie sądzę, byś ukrywała coś celowo. . .

— A niby czemu nie? — warknęła Delana. — Urodzili się w tej samej wiosce. Patrzyła, jak on dorasta. Może być bardziej lojalna względem niego niż wobec Białej Wieży. — Jej świdrujący wzrok ponownie spoczął na Nynaeve. — Powiedz nam coś, czego jeszcze nikomu nie powiedziałaś. Słyszałam już wszystkie twoje opowieści, dziewczyno, więc poznam, kiedy skłamiesz.

— Postaraj się, dziecko. Jestem pewna, że nie chcesz, by Delana złościła się na ciebie. Dlaczego. . . — Janya urwała, usłyszawszy kolejne chrząknięcie.

Nynaeve miała nadzieję, że pomyśla, iż dłoń z filiżanką tak jej się trzęsie, bo ona jest cała roztrzęsiona. Przywleczono ją tutaj, przerażoną — nie, nie przerażoną, ale w każdym razie spiętą — tym, że one mogą być na nią złe, a teraz jeszcze to. Przebywanie w towarzystwie Aes Sedai nauczyło ją, że słuchać trzeba uważnie. Można było nie pojąć, o co im tak naprawdę chodzi, ale miało się wówczas większe szanse niż wtedy, gdy się słuchało tylko jednym uchem, tak jak to czyni większość ludzi. Żadna z nich tak naprawdę wcale nie powiedziała, że jej zdaniem ona coś ukrywa. Miały zamiar ją zastraszyć na wypadek, gdyby jednak coś dało się z niej wyciągnąć. Nie bała się ich. W każdym razie nie bardzo. A poza tym była wściekła.

— Kiedy był mały — zaczęła ostrożnie — to przyjmował karę bez słowa sprzeciwu, jeżeli uważał, że sobie na nią zasłużył, ale jak miał inne zdanie, to walczył do końca.

Delana parsknęła.

— Mówiłaś to każdemu, kto chciał słuchać. Coś innego. Natychmiast!

— Można udzielać mu rad albo go przekonywać, ale nie można go do niczego zmusić. Zaprze się kopytami, jeśli uzna, że. . .

— A teraz to. — Delana wsparła dłonie na obfitych biodrach i pochyliła się tak nisko, że jej głowa znalazła się na jednym poziomie z głową Nynaeve. Nynaeve niemalże wolałaby, żeby to Nicola tak się na nią teraz gapiła. — Coś, czego nie powiedziałaś jeszcze wszystkim kucharkom i praczkom w Salidarze.

— Naprawdę się postaraj, dziecko — powiedziała Janya i o dziwo na tym skończyła.

Drepczyły ją dalej, Janya zachęcała współczującym tonem, Delana drażyła bez litości, i Nynaeve przytoczyła każdy skrawek wspomnień, jaki jej tylko przyszedł do głowy. Nic jej to nie dało; wszystko zostało już opowiedziane tyle razy, że potrafiłaby te strzępki minionych wydarzeń rozpoznać po samym smaku. Jak to uprzejmie wskazała Delana. No cóż, nie tak uprzejmie. Herbata, zanim Nynaeve udało się upić łyk, zaczęła smakować stęchlizną, a od słodczy niemalże warzył jej się język. Janya chyba rzeczywiście wierzyła, że młode kobiety lubią dużo miodu. Poranek upływał powoli. Bardzo powoli.

— To nas wiedzie donikąd — stwierdziła w końcu Delana, spoglądając groźnie na Nynaeve, jakby to była jej wina.

— Czy w takim razie mogę już sobie pójść? — spytała znużonym głosem Nynaeve. Miała wrażenie, że każda kropla potu, którą przesiąkło jej ubranie, została z niej wyciśnięta siłą. Robiło jej się słabo. I miała też ochotę spoliczkować chłodne twarze Aes Sedai.

Delana i Janya wymieniły spojrzenia. Szara wzruszyła ramionami i podeszła do kredensu, żeby nalać sobie jeszcze jedną filiżankę herbaty.

— Oczywiście, że możesz — powiedziała Janya. — Wiem, że to pewnie było dla ciebie trudne, ale my naprawdę musimy poznać Randa al'Thora lepiej, niż on zna siebie samego, jeśli mamy orzec, co będzie najlepsze. W przeciwnym razie wszystko może się zakończyć katastrofą. Niestety! Bardzo się starałaś, dziecko. Ale z kolei ani przez chwilę nie spodziewałam się po tobie niczego innego. Każdy, kogo stać na takie odkrycia mimo ułomności... no cóż, po tobie wiele sobie obiecuję. A jeżeli pomyśleć...

Chwilę potrwało, zanim wyczerpała wążek i pozwoliła wyjść ślaniającej się Nynaeve. Która rzeczywiście ledwie szła, na zupełnie miękkich nogach. Wszyscy o niej rozmawiali. To oczywiste. Powinna była posłuchać Elayne i pozwolić, by to ona brała na siebie wszystkie te tak zwane odkrycia. Moghedien miała rację. Prędzej czy później zaczną badać, jak ona to robi. Twierdzą, że muszą orzec, co jest najlepsze, żeby uniknąć katastrofy. Żadnej w tym wskazówki, co zamierzają zrobić z Randem.

Rzut oka na słońce powiedział jej, że już jest spóźniona na spotkanie z Theodrin. Tym razem przynajmniej miała dobrą wymówkę.

Dom Theodrin — jej i tuzina innych kobiet — stał na tyłach Małej Wieży. Nynaeve zwolniła kroku, gdy już doszła do dawnej karczmy. Gwar rozmów Strażników zebranych od frontu, tuż obok Garetha Bryne, świadczył, że spotkanie jeszcze trwało. Ostatnie porywy gniewu pomogły jej dostrzec zabezpieczenia — spłaszczoną kopułę utkaną w większości z Ognia i Powietrza, a także odrobiny Wody; w jej oczach ta połyskliwa warstwa okrywała cały budynek, a mocujący ją węzeł niemalże prowokował. Dotknięcie węzła równałoby się ofiarowaniu własnej skóry do garbarni; po tłocznej ulicy kręciło się mnóstwo Aes Sedai. Co jakiś czas któryś ze Strażników przechodził w jedną albo drugą stronę przez tę srebrzystą ścianę, dla nich niewidoczną, w miarę jak ich grupki rozchodziły się albo formowały na nowo. Właśnie tego zabezpieczenia Elayne nie udało się przeniknąć. Tarcza przeciwko podsłuchiwaniu. Podsłuchiwaniu, do którego używano Mocy.

Dom Theodrin stał przy tej samej ulicy, w odległości stu kroków, może trochę dalej, ale Nynaeve skręciła w stronę podwórka sąsiadującego z krytym strzechą budynkiem, zaledwie dwa domy dalej za dawną oberżą. Małeńkie poletko porośłe zwiędłymi chwastami otaczał wprawdzie drewniany płot, ale była w nim furtka

wisząca na jednym zawiasie, na wylot niemalże przeżartym przez rdzę. Kiedy ją pchnęła, zaskrzyphiała morderczo. Pospiesznie rozejrzała się dookoła — ani żywej duszy w oknach, a z ulicy nie było jej widać — podkasała spódnice i wbiegła w wąską alejkę, która dochodziła aż pod okna izdebki dzielonej przez nią z Elayne.

Wahała się chwilę, wycierając spocone dłonie o suknię, przypomniała sobie, co jej powiedziała Birgitte. Nie potrafiła ścierpieć tej myśli, ale wiedziała, że w głębi serca jest tchórzem. A przecież kiedyś uważała się za dosyć odważną. Może nie za bohaterkę, taką jak Birgitte, ale naprawdę za całkiem odważną osobę. Świat dał jej nauczki. Na samą myśl, co mogłyby zrobić siostry, gdyby ją przyłapały, omal się nie odwróciła i nie pobiegła do Theodrin. Szansa, że znajdzie okno tej izby, w której zebrali się Zasiadający, była tak mała, że właściwie nie istniała.

Oblizując wyschnięte wargi — jak jej mogło tak zaschnąć w ustach, skoro cała reszta ciała była wilgotna od potu? — podczołgała się bliżej. Miała nadzieję, że któregoś dnia dowie się, na czym polega bycie kimś tak odważnym, jak Birgitte albo Elayne, a nie tchórzem.

Nie poczuła swędzenia, kiedy pokonała zabezpieczenie. W ogóle niczego nie poczuła. Wiedziała, że nie poczuje. Od jego dotykania nie mogło jej się nic stać, ale i tak przywarła płasko do szorstkiego kamiennego muru. Po twarzy muskały ją gałązki pnączy wrosłe w szczeliny.

Powoli podpełzła do najbliższego okna — i w tym momencie omal nie zawróciła i nie zrezygnowała. Okno było szczelnie zamknięte, ale brakowało w nim szyb, które zastąpiono nasiąkniętą olejem szmatą; szmata być może przepuszczała światło, nie pozwalała jednak zobaczyć niczego w środku. Ani usłyszeć; w każdym razie jeśli nawet w tej izbie ktoś był, to i tak nie dochodził z niej żaden dźwięk. Zrobiwszy głęboki wdech, cal po calu skradała się w stronę następnego okna. W tym również brakowało jednej szyby, ale przez pozostałe było widać zniszczony, niegdyś paradny stół zasłany papierami i kałamarzami, kilka krzeseł, poza tym wnętrze było puste.

Mnąc w ustach przekleństwo, które zasłyszała kiedyś od Elayne — ta dziewczyna dysponowała ich zaskakującym zapasem — skradała się dalej, wymacując drogę po szorstkich kamieniach. Trzecie okno było uchylone. Przycisnęła nos do szyby. I natychmiast od niej odskoczyła. Raczej nie wierzyła, że coś znajdzie, a tymczasem we wnętrzu izby dostrzegła Tarnę. Wprawdzie nie w otoczeniu Zasiadających, ale za to z Sheriam, Myrelle i resztą tego towarzystwa. Gdyby serce nie łomotało jej tak mocno, usłyszałyby pomruk ich głosów, zanim zajrzała przez szybę.

Uklękła i przysunęła się do parapetu, najbliżej jak mogła, by nikt jej nie zobaczył od wewnątrz. Dolna część okiennicy ocierała się o czubek jej głowy.

— ... pewne, że taką właśnie wiadomość mam zawieźć z powrotem? — Ten

stalowy głos musiał należeć do Tamy. — Żądacie więcej czasu na zastanowienie? Nad czym się tu zastanawiać?

— Wieża. . . — zaczęła Sheriam.

— Wieża — powtórzyła drwiąco emisariuszka z Wieży. — Nie myślcie sobie, że jestem ślepa i nie widzę, kto tu rządzi. Tutejsza tak zwana Wieża myśli to, co wasza szóstka każe jej myśleć.

— Wieża poprosiła o więcej czasu — powiedziała stanowczo Beonin. — Kto wie, jaką decyzję podejmą ostatecznie?

— Elaida będzie musiała zaczekać, zanim pozna ich decyzję — powiedziała Morvrin, całkiem udatnie naśladowując zimny ton Tarny. — Czy ona nie może zaczekać choć trochę, żeby zobaczyć ponownie scaloną Wieżę?

Na co Tarna odpowiedziała jeszcze tonem jeszcze bardziej lodowatym:

— Zawiozę wasze. . . przesłanie waszej Komnaty do Amyrlin. Zobaczmy, jakie będzie jej zdanie. — Jakies drzwi otworzyły się i zamknęły z głośnym trzaskiem.

Nynaeve aż miała ochotę krzyknąć z rozczarowania. Poznała odpowiedź, ale nie poznała treści pytania. Że też Janya i Delana nie puściły jej trochę wcześniej. Cóż, to lepsze niż nic. Lepsze niż: „Wrócimy i okażemy posłuszeństwo Elaidzie”. Nie było sensu tu zostawać w oczekiwaniu, aż któraś wyjrzy przez okno i zauważy ją.

Już zaczęła się cofać, gdy odezwała się Myrelle:

— Może powinnyśmy tylko wysłać jakąś wiadomość. Może powinnyśmy zwyczajnie ją wezwać.

Nynaeve została na swoim miejscu, marszcząc czoło. Kogo wezwać?

— Trzeba przestrzegać form — burknęła Morvrin. — To powinno się odbyć z należytym ceremoniałem.

Tuż po niej przemówiła Beonin, bardziej stanowczym tonem:

— Musimy przestrzegać litery prawa co do joty. Najmniejsze uchybienie zostanie wykorzystane przeciwko nam.

— A jeśli popełniłyśmy jakiś błąd? — Głos Carliny wskazywał, że po raz pierwszy w życiu coś ją poruszyło. — Ile jeszcze mamy czekać? Jak długo odważymy się czekać?

— Tak długo, jak będzie trzeba — odparła Morvrin.

— Tak długo, jak będziemy musiały. — To padło z ust Beonin. — Nie czekałam tak długo na to posłuszne dziecko po to tylko, by teraz zaniechać naszych planów.

To z jakiegoś powodu spowodowało milczenie, aczkolwiek Nynaeve usłyszała, jak któraś pomrukuje „posłuszne”, jakby badała to słowo. Jakie dziecko? Nowicjuszka? Przyjęta? Siostry nigdy nie czekały na nowicjuszki albo Przyjęte.

— Zaszłyśmy za daleko, żeby teraz zawracać, Carlinya — stwierdziła ostatecznie Sheriam. — Albo sprowadzimy ją tutaj i dopilnujemy, by zrobiła to, co

powinna, albo pozostawimy wszystko Wieży i będziemy liczyć, że one nas nie powiodą ku katastrofie. — Sądząc z jej tonu, uważała, że nadzieja dobra jest chyba tylko dla głupców.

— Jedno omsknięcie — rzekła chłodno Carlinya, chłodniej jeszcze niż zazwyczaj — i skończymy z głowami nabitymi na piki.

— Tylko kto je nabije? — spytała po namyśle Anayia. — Elaida, Komnata czy Rand al'Thor?

Milczenie przeciągało się, za to zaszeleściły spódnice, po czym raz jeszcze rozległ się trzask towarzyszący otwieraniu i zamykaniu drzwi.

Nynaeve zaryzykowała i zerknęła. Izba opustoszała. Westchnęła z rozdrażnieniem. Niewielka w tym pociecha, że zamierzają czekać; treść ostatecznej odpowiedzi nadal mogła być każda. Komentarz Anayi wskazywał, że wciąż wystrzeżały się Randa tak samo jak Elaidy. Może nawet bardziej. Elaida nie gromadziła mężczyzn, którzy potrafili przenosić. I kim jest to „posłuszne dziecko”? Nie, to akurat nie miało znaczenia. Mogły knuć pięćdziesiąt spisków, o których ona i tak nie miała zielonego pojęcia.

Zabezpieczenie zamrugało i zniknęło; Nynaeve drgnęła. Już dawno temu powinna była stąd zniknąć. Wyprostowawszy się niezdarne, żwawo otrzepała kolana, jednocześnie odrywając się od muru. Zrobiła tylko jeden krok. Znieruchomiała, zgięta w pół, z rękoma przywartymi do brudnych plam na sukni. Patrzyła na Theodrin.

Kobieta Domani o policzkach barwy jabłka spojrzała jej w oczy, ale nie powiedziała ani słowa.

Nynaeve dokonała pospiesznej oceny sytuacji i zrezygnowała z głupawego zapewniania, że szukała czegoś, co tu niechcący upuściła. Wyprostowała się więc i przeszła wolno obok drugiej kobiety, jakby tu nie było czego wyjaśniać. Theodrin zrównała z nią krok, z dłońmi splecionymi z tyłu. Nynaeve zastanawiała się, jaki ma wybór. Mogła uderzyć Theodrin w głowę i uciec. Albo paść na kolana i błagać. Oba te pomysły, jak na jej gust, były raczej mało stosowne, ale jakoś nie potrafiła wpaść na nic pośredniego.

— Czy udało ci się zachować opanowanie? — spytała Theodrin, patrząc prosto przed siebie.

Nynaeve wzdygnęła się. Tak brzmiało zalecenie, jakiego ta kobieta udzieliła jej wczoraj po nieudanej próbie obalenia blokady. „Bądź opanowana, bardzo opanowana; niech twoje myśli będą spokojne, zrównoważone”.

— Oczywiście — odparła i uśmiechnęła się blado. — Czy ja mam jakieś powody do zdenerwowania?

— To wspaniale — stwierdziła spokojnie Theodrin. — Dzisiaj zamierzam spróbować czegoś bardziej... bezpośredniego.

Nynaeve zerknęła na nią. Żadnych pytań? Żadnych oskarżeń? Oceniając dotychczasowy przebieg tego dnia, nie wierzyła, by to, co zrobiła, mogło ująć jej na



sucho.

Nie obejrzała się w stronę kamiennego budynku, więc nie zobaczyła kobiety, która obserwowała ją i Theodrin z okna na pierwszym piętrze.

## POD KURZEM

Zastanawiając się, czy rozpleść warkocz, Nynaeve wyjrzała ponuro spod postrzępionego ręcznika w czerwone paski na swoją suknię i bieliznę, przewieszoną przez oparcia krzeseł; ściekająca z nich woda kapiała na wymiecione do czysta deski podłogi. Inny zniszczony ręcznik, w zielone i białe paski, znacznie większy, służył jej jako zastępcze odzienie.

— Wiemy już teraz, że wstrząs nie działa — warknęła na Theodrin i skrzywiła się. Bolała ją szczeka i nadal piekł policzek. Theodrin reagowała szybko i miała silną rękę. — Teraz mogłabym przenieść, ale w tamtej chwili *saidar* był ostatnią rzeczą, o jakiej chciało mi się myśleć. — W chwili, podczas której, cała zalana wodą, łapała oddech, kiedy wszelka myśl ulotniła się, a jej miejsce zajął instyngt.

— Ach tak. To w takim razie przenieś teraz, żeby wysuszyć rzeczy — mruknęła Theodrin.

Szczeka od razu przestała ją tak boleć, gdy zobaczyła, jak Theodrin zagląda do trójkątnej kawałka rozbitego lusterka i trze palcem oko. Otaczająca je skóra zdążyła już obrzmieć i Nynaeve podejrzewała, że siniec będzie doprawdy okazały, jeśli nic z nim nie zostanie zrobione. Sama też nie miała słabej ręki. Taki siniec to najmniejsza kara, na jaką zasłużyła sobie Theodrin!

Być może tej przyszło do głowy to samo, bo powiedziała z westchnieniem:

— Tego już więcej nie zastosuję. Ale nauczę cię, w taki czy inny sposób, poddawania się *saidarowi*, byś nie musiała przedtem być gotowa gryźć go ze złości.

Nynaeve zastanawiała się chwilę, popatrując krzywo na przesiąkniętą wodą ubranie. Nigdy dotąd nie robiła czegoś takiego. Zakaz zabraniający posługiwania się Mocą przy wykonywaniu codziennych czynności egzekwowany był surowo i nie bez powodu. Saidar potrafił skusić. Im więcej przeniosłaś, tym jeszcze więcej pragnęłaś przenieść, a im więcej pragnęłaś przenieść, tym większe było ryzyko, że ostatecznie zaczerpniesz za dużo i albo sama się ujarzmisz, albo się zabijesz. W danej chwili słodycz Prawdziwego Źródła napępiała ją, nie napotykać na żadne przeszkody. W znacznej mierze przyczyniła się do tego Theodrin i jej wiadro, aczkolwiek wystarczyłby pewnie ten poranek. Zwykły splot Wody odsączył wilgoć z ubrania, która zebrała się na posadzce w postaci kałuży, dołączając szybko do większej kałuży wody, jaką tamta wylała na nią z wiadra.

— Nie jestem specjalnie dobra w poddawaniu się — oświadczyła. No chyba że nie było sensu walczyć. Tylko głupiec obstawał przy swoim, jeśli nie miał żadnej szansy. Nie potrafiła oddychać pod wodą, nie potrafiła pofrunąć, gdy machała rękami. I nie potrafiła przenosić, jeśli nie była zła.

Theodrin przeniosła krzywe spojrzenie z kałuży na Nynaeve, wspierając pięści na smukłych biodrach.

— Wiem o tym znakomicie — odparła tonem trochę zbyt surowym. — Z wszelkich nauk, jakie otrzymałam, wynika, że ty w ogóle nie powinnaś być zdolna do przenoszenia. Mnie uczono, że do przenoszenia niezbędny jest spokój, chłód oraz wewnętrzne opanowanie i że jednocześnie trzeba być otwartym i całym uległym. — W tym momencie otoczyła się łuną *saidara* i strumienie Wody zebrały kałużę w kulę, osiadły absurdalnie na posadzce. — Trzeba się najpierw poddać, żeby potem móc kierować. Ale ty, Nynaeve... jakbyś mocno nie starała się poddać, a widziałam, jak próbujesz, ty się opierasz do ostatka, wczepiona paznokciami, dopóki coś cię tak rozwścieczy, że się zapomnisz. — Strumienie Powietrza uniosły rozkołysaną kulę. Nynaeve przez chwilę miała wrażenie, że druga kobieta zamierza ją zdzielić tą kulą, ale wodna bańka przepłynęła przez izbę i wyfrunęła za otwarte okno. Gdy spadła z głośnym pluskiem, usłyszały przerażony wrzask kota. Być może zakaz nie obowiązywał, gdy ktoś osiągnął taki poziom umiejętności jak Theodrin.

— Czemu tego tak nie zostawić? — Nynaeve starała się mówić pogodnym tonem, ale sama słyszała, że robiła to bez powodzenia. Chciała przenosić wtedy, kiedy zechce. Ale jak mówiło stare porzekadło: „Gdyby życzenia były skrzydłami, to świnie by latały”. — Nie ma sensu marnować...

— Daj sobie spokój — powiedziała Theodrin, kiedy Nynaeve spróbowała wysuszyć włosy splotem Wody. — Uwolnij *saidara* i pozwól im wyschnąć naturalnie. I ubierz się.

Nynaeve zmrużyła oczy.

— Nie chowasz chyba w zanadrzu jakiejś nowej niespodzianki, prawda?

— Nie. A teraz zacznij przygotowywać umysł. Jesteś pączkiem kwiatowym, który czuje ciepło Źródła, gotowym otworzyć się na to ciepło. *Saidar* jest rzeką, ty brzegiem. Rzeka jest potężniejsza niż brzeg, ale brzeg ogranicza ją i prowadzi. Opróżnij umysł, pozostawiając sam pączek. W twych myślach nie istnieje nic oprócz pączka. Jesteś pączkiem...

Wciągnawszy koszulę przez głowę, Nynaeve westchnęła, zasłuchana w jednostajne, hipnotyczne brzmienie głosu Theodrin. Ćwiczenia nowicjuszek. Gdyby działały w jej przypadku, już dawno temu zaczęłaby przenosić, wedle własnej woli. Powinna to przerwać i przekonać się, co naprawdę potrafi zrobić, czy na przykład namówi Elayne na wyprawę do Caemlyn. Ale jednocześnie chciała, żeby Theodrin się powiodło, nawet gdyby to wymagało użycia dziesięciu wiader wody. Przyjęte nie wychodzą bez pozwolenia; Przyjęte się nie buntują. Nie zno-

siła, jak jej ktoś mówił, czego nie wolno robić, bardziej nawet niż wówczas, gdy jej mówiono, co zrobić musi.

Mijały całe godziny, a one siedziały naprzeciwko siebie, po dwóch stronach stołu, który tak wyglądał, jakby go zabrano z jakiejś zrujnowanej farmy, i bez końca powtarzały ćwiczenia, które nowicjuszki prawdopodobnie z miejsca wykonywały poprawnie. Pączek kwiatowy i brzeg rzeki. Letni wietrzyk i szemrzący strumyk. Próbowała stać się nasionkiem żonkila unoszącym się na wietrze, ziemią spijającą wiosenny deszcz, korzeniem wciskającym się w głąb gleby. Wszystko bez efektu, albo w każdym razie bez tego efektu, jakiego domagała się Theodrin. Zaproponowała nawet, by Nynaeve wyobraziła sobie siebie w ramionach kochanka, co odniosło katastrofalny skutek, ponieważ zaczęła wtedy myśleć o Lanie i o tym, że on śmiał zniknąć w taki sposób! A kiedy rozgoryczenie rozpałało gniew niczym rozżarzony węgiel rzucony na suchą trawę, pozwalając jej objąć *saidara*, Theodrin z miejsca kazała jej go uwalniać i zaczynać od nowa, pocieszając ją jednocześnie i uspokajając. Zawziętość, z jaką ta kobieta dążyła do swego celu, przyprawiała o szaleństwo. Nynaeve miała wrażenie, że tamta potrafiłaby muły uczyć uporą. Ani razu się nie zniechęciła, była mistrzynią opanowania. Nynaeve miała ochotę postawić jej na głowie wiadro z wodą, do góry dnem, i sprawdzić, co ona na to. Ale potem ból w szczęce dał znać o sobie i stwierdziła, że to chyba nie jest dobry pomysł.

Theodrin Uzdrawiała ból, zanim Nynaeve wyszła, wykorzystując do tego chyba cały zakres swych umiejętności w tym Talencie. Po krótkiej chwili Nynaeve zrewanżowała się tym samym. Oko Theodrin nabrało barwy jaskrawej purpury; Nynaeve nie potrafiła ścierpieć myśli, że nie może go tak zostawić, by przypominało tej kobiecie, że w przyszłości ma uważać na to, co robi. Tak czy owak rezultat okazał się pomyślny, a posykiwania i dreszcze, jakimi Theodrin zareagowała na przepływające przez nią sploty Ducha, Powietrza i Wody, stanowiły jakąś rekompensatę za wrzask, jaki wydała z siebie Nynaeve, kiedy wylała się na nią zawartość wiadra. Sama oczywiście też dygotała podczas Uzdrawiania, ale ostatecznie nie można mieć wszystkiego.

Po wyjściu na zewnątrz stwierdziła, że słońce pokonało już połowę drogi do zachodniego horyzontu. Przez tłumy zgromadzone na ulicy szła fala ukłonów i dygnięć, a po chwili ruchliwa ciżba rozstała się, ukazując Tarnę Feir, która szła majestatycznym krokiem niczym królowa przez chlew; szal z czerwonymi frędzlami zapętlony na ramionach bił w oczy jak jakiś sztandar. Nawet z odległości pięćdziesięciu kroków jej nastawienie wobec otoczenia było oczywiste; odzwierciedlał je sposób, w jaki trzymała głowę, podkasywała spódnice, by ich nie unurzać w kurzu, lekceważyła nawet uprzejmości kierowane do niej przez mijających ją ludzi. Pierwszego dnia tych grzeczności towarzyszyło jej znacznie mniej, a za to znacznie więcej wrzawy, ale Aes Sedai to Aes Sedai, w każdym razie w opinii siostr zgromadzonych w Salidarze. Żeby to podkreślić jeszcze dobitniej, dwie

Przyjęte, pięć nowicjuszek i blisko tuzin służących spędzało czas, który normalnie mieliby wolny, na targaniu odpadków z kuchni i zawartości nocnych naczyń do lasu, gdzie potem musieli je zakopywać.

Kiedy Nynaeve zaczęła oddalać się stamtąd chyłkiem, nie czekając, aż, Tarna zdąży ją zobaczyć, w żołądku zaburczało jej tak głośno, że przechodzący obok mężczyzna z koszem pełnym rzep na plecach obrzucił ją zdumionym spojrzeniem. Pora śniadania upłynęła na próbach Elayne przebicia się przez zabezpieczenia, popołudniowy posiłek na ćwiczeniach z Theodrin. I na dodatek ta kobieta jeszcze planowała ją męczyć tego dnia. Zgodnie z zaleceniem Theodrin, Nynaeve miała tej nocy nie spać, bo może wyczerpanie zadziała tam, gdzie nie poradził wstrząs. „Każda blokada daje się obalić — powiedziała jej Theodrin głosem wyrażającym najgłębsze przekonanie — i ja tę twoją obalę.. Wystarczy, że to się stanie tylko raz. Jedno przeniesienie bez gniewu *i saidar* będzie twój”.

W danym momencie jedyną rzeczą, jakiej Nynaeve chciała, była odrobina jedzenia. Pomywaczki oczywiście prawie kończyły już sprzątać, ale aż jej się zakręciło w nosie, kiedy przy kuchniach poczuła woń gulaszu z baraniny i pieczonego prosięcia. Musiała poprzestać na dwóch nędznych jabłkach, odrobinie koziego sera i kromce chleba. Dzień bynajmniej nie zmieniał się na lepsze.

Po powrocie do izby zastała Elayne wyciągniętą na łóżku. Młodsza kobieta zerknęła na nią, nie podnosząc głowy, po czym na powrót wbiła wzrok w popękany sufit.

— Zupełnie nie udał mi się ten dzień, Nynaeve. — powiedziała z westchnieniem. — Escaralde uparcie się domaga, by ją uczyć, jak się robi *ter'angrale*, mimo iż nie jest dostatecznie silna, a Varilin zrobiła coś takiego — nie wiem, co to było — że kamień, nad którym właśnie pracowała, przemienił się w jej rękach w kulę. . . no cóż, ogień to raczej nie był. Pewnie już by nie żyła, gdyby nie Dagdara; nikt inny nie mógł jej Uzdrowić, a poza tym raczej nie starczyłoby czasu, żeby kogoś sprowadzić. Rozmyślałam też o Marigan. Skoro nie potrafimy się nauczyć, jak wykrywać, kiedy mężczyzna przenosi, to może mogłybyśmy się nauczyć, jak wykrywać to, co on splótł; wydaje mi się, że Moiraine napomknęła kiedyś o takiej możliwości. W każdym razie myślałam o niej i ktoś dotknął mnie w ramię, a ja na to tak wrzasnęłam, jakby mnie igła ukłuła. To był tylko jakiś biedny woźnica, który mnie pytał o jakąś głupią plotkę, ale tak go wystraszyłam, że omal z miejsca nie rzucił się do ucieczki.

W końcu urwała, by zaczerpnąć oddech, i Nynaeve zrezygnowała z pomysłu rzucenia w nią ogryzkiem jabłka. Przez moment obie milczały.

— Gdzie jest Marigan?

— Dużo jej to czasu zabrało, ale skończyła wreszcie sprzątać, więc odesłałam ją do jej izby. Nadal noszę bransoletę. Widzisz? — Zamachała ręką i padła na materac, ale potok słów podjętej przemowy płynął równie wartko. — Cały czas gadała w ten okropny, płaczliwy sposób na temat wyjazdu do Caemlyn, a ja już

nie mogłam wytrzymać tego ani minuty dłużej, nie po takim dniu. Lekcja z nowicjuszkami zakończyła się absolutną klęską. Ta koszmarna Keatlin... wiesz, ta z nosem... stale burczała, że u siebie w domu nigdy by nie pozwoliła, żeby jakaś dziewczyna wydawała jej rozkazy i potem jeszcze napadła na mnie z nienacka Faolain, która koniecznie chciała wiedzieć, dlaczego Nicola uczestniczy w mojej lekcji... Skąd ja miałam wiedzieć, że Nicola miała biegać z posyłkami dla niej? I akurat wtedy Ibrella stwierdziła, że chce się przekonać, jak duży płomień potrafi stworzyć; omal nie spaliła całej klasy i Faolain zbeształa mnie na oczach wszystkich za to, że nie potrafię utrzymać kontroli nad uczennicami, a Nicola powiedziała, że...

Nynaeve przestała próbować wejść jej w słowo — może jednak trzeba było rzucić tym ogryzkiem — i po prostu krzyknęła:

— Moim zdaniem Moghedien ma rację!

Słyszając to imię, druga kobieta zamknęła usta i usiadła, wytrzeszczając oczy. Nynaeve odruchowo rozejrzała się, czy nikt tego nie usłyszał, mimo iż znajdowały się we własnej izbie.

— To było doprawdy głupie, Nynaeve.

Nynaeve nie wiedziała, czy Elayne mówi o sugestii czy raczej o wymawianiu głośno imienia Moghedien, ale nie zamierzała tego dociekać. Usiadła na swoim łóżku, naprzeciwko Elayne, i wygładziła spódnice.

— Nie, wcale nie. Jaril i Seve lada dzień powiedzą komuś, że Marigan nie jest ich matką, o ile już tego nie zrobili. Jesteś gotowa odpowiadać na te wszystkie pytania, jakie to sprowokuje? Bo ja nie. Lada dzień jakieś Aes Sedai zaczną poszukiwać wytłumaczenia, jak to możliwe, że ja w ogóle potrafię coś odkryć, nie będąc ogarnięta furją od wschodu do zachodu słońca. Co druga Aes Sedai, z którą rozmawiam, wspomina o tym, a Dagdara przypatrywała mi się ostatnimi czasy w dość osobliwy sposób. Poza tym one nie mają zamiaru czegokolwiek tutaj robić tylko siedzieć. O ile się nie zdecydują wrócić do Wieży. Zakradłam się i podsłuchałam, o czym Tarna rozmawiała z Sheriam...

— Co zrobiłaś?

— Zakradłam się i podsłuchałam — powtórzyła bez wahania Nynaeve. — Potrzebują więcej czasu na zastanowienie; tak brzmi wiadomość, jaką wysyłają do Elaidy. Co oznacza, że zastanawiają się, czy nie zapomnieć o sprawie Czerwonych Ajah i Logaina. Nie wiem, jak one mogą to robić, ale widocznie mogą. Jeśli zostaniemy tu jeszcze jakiś czas, to być może wręczą nas Elaidzie w charakterze prezentu z odbytej podróży. W każdym razie jeśli teraz wyjedziemy, to będziemy mogły powiedzieć Randowi, żeby lepiej nie liczył na wsparcie Aes Sedai. Mogłybyśmy go ostrzec, że nie powinien ufać żadnej Aes Sedai.

Elayne zrobiła grymas, z którym było jej bardzo do twarzy, i podgięła pod siebie nogi.

— Skoro nadal się zastanawiają, to znaczy, że jeszcze nie podjęły decyzji.

Moim zdaniem powinniśmy zostać. Może mogłybyśmy im pomóc w podjęciu właściwej decyzji. A poza tym, jeśli wyjedziemy, to ty się nigdy nie pozbędiesz blokady, chyba że namówisz Theodrin, by nam towarzyszyła.

Nynaeve puściła to mimo uszu. Theodrin jak dotąd naprawdę bardzo jej pomogła! Wiadra z wodą! Dzisiejsza noc bez snu! Co jeszcze? Dotychczas ta kobieta potrafiła tylko zapewniać, że będzie próbować wszystkiego, dopóki nie stwierdzi, co działa. To „wszystko” było zbyt wiele jak na gust Nynaeve.

— Pomóc im w podjęciu decyzji? One nas nie posłuchają. Przecież Siuan ledwie nas słucha, a jednak nawet jeśli ona trzyma nas za karki, to my przynajmniej trzymamy ją za palec u nogi.

— A ja i tak uważam, że powinniśmy zostać. Przynajmniej do czasu, aż Wieża rzeczywiście nie podejmie decyzji. Potem, jeśli dojdzie do najgorszego, będziemy mogły powiedzieć Randowi o faktach, a nie o jakimś „być może”.

— A jak niby mamy się o tym dowiedzieć? Nie możemy liczyć, że ja po raz drugi znajdę właściwe okno. Jeśli będziemy czekać, aż one tego nie ogłoszą, to obie możemy się znaleźć pod strażą. Przynajmniej ja. Nie ma takiej Aes Sedai, która by nie wiedziała, że oboje z Randem pochodzimy z Pola Emonda.

— Siuan nam powie, zanim dojdzie do ogłoszenia decyzji — odparła spokojnie Elayne. — Chyba nie sądzisz, że ona i Leane tak potulnie wrócą do Elaidy, prawda?

Otóż to. Elaida zdobędzie głowy Siuan i Leane, zanim te zdążą dygnąć.

— Nadal jednak nie bierzesz pod uwagę Jarila i Seve — upierała się.

— Coś wymyślimy. W każdym razie nie są to pierwsi mali uchodźcy, przygarnięci przez kogoś, kto nie jest ich krewnym. — Elayne prawdopodobnie uważała, że ten jej uśmiech z dołeczkami podnosi na duchu. — Musimy się tylko porządnie zastanowić. A w każdym razie powinniśmy zaczekać na powrót Thoma z Amadicii. Nie możemy go zostawić.

Nynaeve wyrzuciła ręce w górę. Gdyby czyjś wygląd stanowił odzwierciedlenie charakteru, to wtedy Elayne wyglądałaby jak muł wyrzeźbiony z kamienia. Ta dziewczyna wymyśliła sobie, że Thom Merrillin zastąpi jej ojca, który umarł, kiedy była mała. Czasami również zdawała się myśleć, że on nie znajdzie drogi do stołu, jeśli ona go nie doprowadzi za rękę.

Wrażenie, że ktoś obejmuje *saidara*, stanowiło jedyne ostrzeżenie, jakie Nynaeve odebrała; splot Powietrza otworzył z impetem drzwi i do izby wkroczyła Tarna Feir. Nynaeve i Elayne poderwały się na równe nogi. Aes Sedai to Aes Sedai; niektóre z osób, którym kazano usuwać odpadki, czyniły to wyłącznie z polecenia samej Tarny.

Jasnowłosa Czerwona siostra przyjrzała się im dokładnie, z twarzą jakby wykutą z marmuru, na której malowała się zimna arogancja.

— No tak. Królowa Andoru i ułomna dzikuska.

— Jeszcze nie, Aes Sedai — odparła Elayne z chłodną uprzejmością. — Jeszcze nie, dopóki nie zostaną koronowana w Wielkiej Sali. I tylko wtedy, jeżeli moja matka rzeczywiście nie żyje — dodała.

Uśmiech Tarny mógłby zamrozić nawet śnieżną burzę.

— Oczywiście. Próbowaliśmy utrzymać w tajemnicy twoją obecność, ale pogłoski się szerzą. — Objęła spojrzeniem wąskie łóżko i rozklekotany zydel, ubrania powieszzone na kołkach i popękany tynk. — Wydawałoby się, że powinnyście dostać lepsze kwatery, jeśli wziąć pod uwagę dokonywane przez was cuda. Nie zdziwiłabym się, gdyby w Wieży, do której należycie, poddano was sprawdzianom wiodącym do szala.

— Dziękuję — powiedziała Nynaeve, żeby pokazać, że potrafi być równie cywilizowana jak Elayne. Tarna spojrzała na nią. W porównaniu z tymi niebieskimi oczyma reszta twarzy zdawała się ciepła. — Aes Sedai — dodała pośpiesznie Nynaeve.

Tarna zwróciła się z powrotem do Elayne.

— Amyrlin ma w sercu specjalne miejsce dla ciebie i dla Andoru. Nie uwierzyłabyś, jak intensywne są poszukiwania twojej osoby z jej rozkazu. Wiem, że byłaby wielce kontenta, gdybyś wróciła ze mną do Tar Valon.

— Moje miejsce jest tutaj, Aes Sedai. — Elayne nadal przemawiała uprzejmym głosem, ale jednocześnie zadarła wysoko podbródek, znakomicie tym współzawodnicząc z wyniosłością Tarny. — Wróć do Tar Valon tylko razem z innymi.

— Rozumiem — odparła obojętnie Czerwona. — Bardzo dobrze. A teraz bądź łaskawa wyjść. Chcę porozmawiać z tą dzikuską w cztery oczy.

Nynaeve i Elayne wymieniły spojrzenia, ale Elayne nie mogła zrobić nic więcej, jak tylko dygnać i wyjść.

Kiedy drzwi się zamknęły, w Tarnie zaszła zaskakująca zmiana. Usiadła na łóżku Elayne, podciągnęła nogi, krzyżując je w kostkach, oparła się o zniszczone wezgi i splotła ręce na brzuchu. Twarz jej odtajała, uśmiechnęła się nawet.

— Wyglądasz na zdenerwowaną. Nie masz czym. Ja cię nie ugryzę.

Nynaeve uwierzyłaby w to, gdyby zmiana objęła również oczy kobiety. Uśmiech ani ich nie tknął; kontrast sprawił, że teraz spojrzenie Tary zdawało się dziesięć razy twardsze niż przedtem, sto razy bardziej zimne. Aż skóra jej ścierpła na widok takiej kombinacji.

— Wcale się nie denerwuję — odparła sztywno, chowając stopy pod siebie, żeby przestać nimi nerwowo ruszać.

— Ach tak. Obraziłaś się, co? Dlaczego? Bo nazwałam cię „dzikuską”? Wiesz, ja też jestem dzikuską. Sama Galina Casban wybiła ze mnie blokadę. Dużo wcześniej ode mnie wiedziała, do jakich Ajah będę należeć i zainteresowała się mną osobiście. Zawsze się interesuje tymi, które jej zdaniem wybiorą Czerwone. — Pokręciła głową, śmiejąc się, z oczyma niczym ostrza lodowych sopli. —



Wiele godzin wylałam i płakałam ze wściekłości, zanim nareszcie nauczyłam się znajdować *saidara*, nie zamykając przedtem oczu z całej siły; nie utkasz nic, jeśli nie widzisz splotów. Jak sądzę, Theodrin stosuje wobec ciebie łagodniejsze metody.

Nynaeve wbrew sobie zaszurała stopami. Tego Theodrin z pewnością nie spróbuje! Na pewno nie. Usztywnienie kolan nie miało żadnego wpływu na trzepotanie w żołądku. A więc to tak. Nie wolno jej się obrażać? I miała puścić mimo uszu tę „ułamną”?

— O czym chciałaś ze mną porozmawiać, Aes Sedai?

— Amyrlin pragnie zobaczyć Elayne całą i zdrową, ale z wielu względów ty jesteś w równym stopniu ważna. Może nawet jeszcze bardziej. Wiedza na temat Randa al'Thora, jaka kryje się w twojej głowie, jest prawdopodobnie bezcenna. Zapewne również to, co mogłaby opowiedzieć Egwene al'Vere. Czy wiesz może, gdzie ona jest?

Nynaeve miała ochotę zetrzeć pot z twarzy, ale trzymała ręce przy bokach.

— Od bardzo dawna jej nie widziałam, Aes Sedai. — Od wielu miesięcy, od czasu ich ostatniego spotkania w *Tel'aran'rhiod*. — Czy wolno mi spytać, jakie...

— Nikt w Salidarze nie nazywał Elaidy Amyrlin, ale od niej wymagano, by wyrażała się z szacunkiem o tej kobiecie. — ... są intencje Amyrlin odnośnie do Randa?

— Intencje, dziecko? On jest Smokiem Odrodzonym. Amyrlin o tym wie i zamierza go otoczyć wszystkimi zaszczytami, na jakie zasługuje. — W głos Tarny wkradło się nieznaczne napięcie. — Pomyśl, dziecko. To stado wróci do owczarni, kiedy wreszcie do nich dotrze, co właściwie robią, ale tu liczyć się może każdy dzień. Wieża kierowała władcami od trzech tysięcy lat; bez Wieży wybuchłoby znacznie więcej wojen. Świat czeka katastrofa, jeśli al'Thorowi zabraknie tego przewodnictwa. Niemniej jednak, nie da się prowadzić tego, czego się nie zna, tak samo jak ja nie potrafiłam przenosić z zamkniętymi oczami. Dla niego najlepiej będzie, jeżeli ty już teraz, a nie za kilka tygodni albo miesięcy, wrócisz razem ze mną do Wieży i przekażesz Amyrlin całą swoją wiedzę na jego temat. I tak też będzie najlepiej dla ciebie. Tutaj nigdy nie zostaniesz Aes Sedai, bo Róźdzka Przysięg znajduje się w Wieży i tylko w Wieży można przeprowadzać sprawdziany.

Nynaeve od potu piekły oczy, ale nie mrugała. Czy ta kobieta uważa, że ona da się przekupić?

— Prawda jest taka, że wcale nie widywałam go często. Widzisz, ja mieszkałam w samej wiosce, a on na ustronnej farmie, w Zachodnim Lesie. Zapamiętałam go przede wszystkim jako chłopca, który nigdy nie słuchał głosu rozsądku. Do wszelkich powinności trzeba go było nakłaniać albo wręcz zmuszać siłą. Kiedy był mały, ma się rozumieć. Słyszałam, że ponoć się zmienił. Większość mężczyzn to wyrosnięci chłopcy, ale on rzeczywiście mógł się zmienić.

Przez chwilę Tarna tylko na nią patrzyła. Przez bardzo długą chwilę, tym lodowatym spojrzeniem.

— No cóż — powiedziała wreszcie i stanęła na podłodze tak szybko, że Nynaeve omal się nie cofnęła, tyle że w tej maleńkiej izdebce nie było dokąd się cofnąć. Niepokojący uśmiech pozostał.

— Dziwne towarzystwo się tutaj zebrało. Żadnej nie widziałam, ale jak rozumiem Suan Sanche i Leane Sharif zaszczyciły Salidar swoją obecnością. Roztropna kobieta nie powinna przestawać z osobami tego pokroju. I może są tu również inni dziwni ludzie? Znacznie lepiej byś postąpiła, gdybyś pojechała ze mną. Wyjeżdżam rano. Powiadom mnie wieczorem, czy mam się spodziewać spotkania z tobą przy drodze.

— Obawiam się, że nie. . .

— Przemyśl to, dziecko. Być może będzie to najważniejsza decyzja, jaką podjął w życiu. Przemyśl to gruntownie. — Przyjazna maska zniknęła i Tarna, zamasyście odgarniając spódnicę, wymaszerowała z izby.

Pod Nynaeve ugięły się kolana, sprawiając, że runęła bezwładnie na łóżko. Ta kobieta wywołała w niej mętlik emocji, z którym zupełnie nie potrafiła sobie poradzić. Zaniepokojenie i gniew kłębiły się razem z uniesieniem. Żałowała, że Czerwone nie mają jakiegoś sposobu na skontaktowanie się z Aes Sedai z Wieży poszukującymi Randa. Och, żeby tak stać się zwykłą muchą na ścianie, kiedy tak usilnie próbowały wydobyć z niej informacje o Randzie. Starły się ją przekupić. Zastraszyć. To ostatnie nawet niezle im wychodziło. Tarna była taka pewna, że tutejsze Aes Sedai uklękną przed Elaidą; na pewno należało wyciągnąć taki wniosek, tylko czy właściwie przewidziała czas, kiedy to nastąpi? I czyżby padła tu aluzja odnośnie do Logaina? Nynaeve podejrzewała, że Tarna wie więcej o Salidarze, niż Komnata albo Sheriam się spodziewały. Może Elaida rzeczywiście miała tutaj swoje zwolenniczki.

Nynaeve cały czas oczekiwała na powrót Elayne, a kiedy minęło dobre pół godziny, a tej wciąż nie było, wyprawiła się na poszukiwania, najpierw sadząc długie kroki po pylistych ulicach, potem biegnąc; to wspinała się na dyszel jakiegoś wozu albo kamienną werandę, to wdrapywała na beczkę przewróconą do góry dnem i rozglądała ponad głowami tłumu. Zachodzące słońce zdążyło już skryć się częściowo za wierzchołkami drzew, kiedy nareszcie wróciła do izby, mruczając coś pod nosem. Zastała Elayne, która najwyraźniej też dopiero co wróciła.

— Gdzieś ty się podziewała? Już myślałam, że Tarna związała cię i gdzieś ukryła!

— Dostałam to od Suan. — Elayne rozprostowała dłoń. Leżały na niej dwa skręcone kamienne pierścienie.

— Czy jeden z nich jest prawdziwy? Zabranie ich to dobry pomysł, ale powinnaś była się postarać o ten prawdziwy.

— Ja nie zmieniłam nastawienia, Nynaeve. Nadal uważam, że powinniśmy

zostać.

— Tarna. . .

— Tylko mnie przekonała. Jeżeli pojedziemy, to Sheriam i Komnata wybiorą scalenie Wieży, co z pewnością obróci się na niekorzyść Randa. Ja to po prostu wiem. — Położyła ręce na ramionach Nynaeve i ta dała się posadzić na łóżku. Elayne usiadła naprzeciwko niej, z napięciem pochylając się do przodu. — Pamiętasz, jak mi mówiłaś o wykorzystywaniu potrzeby do znalezienia czegoś w *Tel'aran'rhiod*? Musimy znaleźć jakiś sposób, dzięki któremu Komnata nie wróci do Elaidy.

— Jak? Co? Jeżeli Logain nie wystarcza. . .

Nynaeve nieobecny ruchem przeciągnęła palcem po swym grubym warkoczu.

— A czy zgodzisz się pojechać, jeżeli niczego nie znajdziemy? Nie bardzo podoba mi się pomysł siedzenia tutaj i czekania, aż one postanowią wziąć nas pod straż.

— Zgodzę się pod warunkiem, że ty zgodzisz się zostać, jeśli znajdziemy coś naprawdę użytecznego. Nynaeve, nawet nie wiesz, jak bardzo chciałabym go zobaczyć, ale tutaj naprawdę możemy więcej zdziałać.

Nynaeve wahała się, zanim mruknęła:

— Zgoda.

Takie wyjście wydawało się dość bezpieczne. Jakoś nie umiała sobie wyobrazić, że rzeczywiście cokolwiek znajdą, skoro nie miały żadnego pomysłu, czego właściwie szukać.

O ile dotychczas dzień zdawał się upływać wolno, to teraz już prawdziwie się włókł. Stały w kolejce do jednej z kuchni po talerze z plasterkami szynki, rzepą i groszkiem. Słońce, jak się zdawało, osadziło się już na dobre na koronach drzew. Większość mieszkańców Salidaru kładła się wraz ze słońcem, ale w kilku oknach rozbłyły światła, między innymi w największym budynku wioski. Komnata wydała tego wieczoru ucztę na cześć Tarny. Z dawnej oberży napływały odgłosy muzyki wygrywanej na harfie; Aes Sedai znalazły jakiegoś harfistę wśród żołnierzy, kazały mu się ogolić i wbiły go w coś w rodzaju liberii. Przechodnie obrzucali ten budynek przelotnym spojrzeniem i natychmiast przyspieszali kroku albo starali się nie zauważać go tak usilnie, że praktycznie aż trzęśli się z wysiłku. Gareth Bryne stanowił wyjątek. Usadowiony na drewnianej skrzyni na samym środku ulicy, jadł swój posiłek; każda członkini Komnaty, która wyjrzałaby z okna, musiałaby go zobaczyć. Słońce, powoli, bardzo powoli, osuwało się za ścianę lasu. Ciemność zapadła nagle, nie poprzedzona zmierzchem, godnym tej nazwy, zaś ulice opustoszały. Raz jeszcze rozbrzmiały dźwięki melodii wygrywanej na harfie. Gareth Bryne nadal siedział na skrzyni, na skraju kałuży światła padających z okien izby, w której odbywał się bankiet. Nynaeve potrząsnęła głową; nie wiedziała, czy należy mu się podziw czy raczej trzeba go uważać za głupca. Podejrzewała, że po

trochu jedno i drugie.

Dopiero kiedy już leżała w łóżku z nakrapianym kamiennym *ter'angrealem* nanizanym na rzemyk na szyi, obok ciężkiego złotego sygnetu Lana, i właśnie zdmuchnęła świeczkę, przypomniała sobie o poleceniu Theodrin. No cóż, teraz już na to było za późno. Zresztą Theodrin i tak się nie dowie, że ona spała. Gdzie jest Lan?

Oddech Elayne uspokoił się, Nynaeve wtuliła się w małą poduszkę z cichym westchnieniem i...

...stała u stóp pustego łóżka i patrzyła na mglistą Elayne, spowitą w niby-światło nocy *Tel'aran'rhiod*. Nikogo, kto by je zobaczył. Gdzieś w pobliżu mogła się kręcić Sheriam albo ktoś z jej kręgu, również Siuan albo Leane. Prawda, obie miały prawo odwiedzać Świat Snów, wszakże podczas dzisiejszej wyprawy żadna nie miała chęci odpowiadać na pytania. Elayne najwyraźniej traktowała tę eskapadę jak polowanie; świadomie czy nie, odziała się podobnie jak Birgitte, w zielony kaftan i białe spodnie. Zamrugnęła na widok srebrnego łuku w swym ręku i za moment łuk zniknął, razem z kołczanem.

Nynaeve sprawdziła stan własnego odzienia i westchnęła. Suknia balowa z niebieskiego jedwabiu, haftowana w złote kwiaty przy głęboko wyciętym dekolcie i esy-floresy przy rąbku obszernej spódnicy. Na stopach czuła aksamitne trzewiki do tańca. Tak naprawdę to nie miało znaczenia, co się nosiło w *Tel'aran'rhiod*, ale co też ją opętało, że wybrała taki strój?

— Zdajesz sobie sprawę, że to się może nie udać? — spytała, odziewając się w dobre proste wełny z Dwu Rzek i mocne buty. Elayne nie miała prawa uśmiechać się w taki sposób. Srebrny łuk. Ha! — Powinnyśmy mieć przynajmniej jakieś pojęcie o tym, czego szukamy, coś o tym wiedzieć.

— Musi wystarczyć sama potrzeba, Nynaeve. Sama powtarzałaś, co mówiły Mądre: kluczem jest potrzeba, im silniejsza — tym lepiej, a my z całą pewnością czegoś potrzebujemy. W przeciwnym razie Rand, zamiast tej pomocy, jaką mu obiecałyśmy, otrzyma tylko to, co zechce mu dać Elaida. Ja do tego nie dopuszczę, Nynaeve. Nie dopuszczę.

— Przestań tak zadzierać podbródek. Ja też do tego nie dopuszczę, jeśli będę w stanie coś uczynić. Proponuję więc, żebyśmy zaczęły już działać. — Złączywszy ręce z Elayne, Nynaeve zamknęła oczy. Potrzeba. Miała nadzieję, że przynajmniej po części zdają sobie sprawę, czego naprawdę potrzebują. Może nic się nie stanie. Potrzeba. Nagle całe otoczenie jakby zawirowało powoli; poczuła, jak *Tel'aran'rhiod* kołysze się, a ona leci w dół.

Natychmiast otworzyła oczy. Odwołując się do potrzeby, każdy krok stawiało się na ślepo, z konieczności, i o ile każdy kolejny stopniowo przybliżał do celu poszukiwań, to przy okazji można było na przykład niechcący wpaść do dołu pełnego węży albo przeszkodzić w łowach lwu, który mógł odgryźć ci nogę.

Lwów tam wprawdzie nie było, niemniej jednak to, co zobaczyła, wzbudziło

niepokój. Sam środek jasnego dnia, ale nie to nią tak wstrząsnęło — czas tutaj płynął w odmienny sposób. Ona i Elayne trzymały się za ręce na samym środku brukowanej ulicy, przy której stały budynki zbudowane z cegieł i kamieni. Domy mieszkalne i sklepy były jednak udekorowane strojnymi gzymsami i fryzami. Dachy kryte gontami, jak również przerzucone nad ulicą kamienne albo drewniane mosty, niektóre sięgające drugiego albo trzeciego piętra, uwieńczone zdobnymi wieżyczkami. Ulicę zalegały stopy usypane z odpadków, starych ubrań oraz połamanych mebli i, gdziekolwiek się zerknęło, wszędzie grasowały wielkie stada szczurów; niektóre, wcale nie przestraszone ich widokiem, zatrzymywały się i popiskiwały wyzywająco. Pojawiali się i znikali ludzie, którzy wsnili się na obrzeża *Tel'aran'rhiod*. Jakiś mężczyzna spadł z donośnym krzykiem z jednego z mostów, ale zdążył rozpląnąć się bez śladu, zanim dotknął bruku. Kobieta w podartej sukni, krzycząc wniebogłosy, przebiegła kilkanaście kroków w ich stronę, po czym też się zdematerializowała. Ulice pobrzmiwały echem urywających się nagle wrzasków i krzyków, niekiedy chrapliwego śmiechu o obłąkańczym brzmieniu.

— Nie podoba mi się to — stwierdziła zmartwionym tonem Elayne.

W oddali, nad miastem, wznosił się trzon białej jak kość strzelistej konstrukcji górującej nad innymi wieżami. Znajdowały się w Tar Valon, w tej dzielnicy, w której ostatnio Nynaeve dostrzegła przelotnie Leane. Leane nie bardzo chciała mówić o tym, co tam robiła; twierdziła tylko z uśmiechem, że przyczynia się do nadania rozgłosu legendzie o pewnej straszliwej i tajemniczej Aes Sedai.

— To bez znaczenia — stwierdziła stanowczo Nynaeve. — W Tar Valon nie ma nikogo, kto by w ogóle wiedział o istnieniu Świata Snów. Nie wpakujemy się na nikogo. — Żołądek jej podskoczył do gardła, nagle bowiem zobaczyła jakiegoś mężczyznę, z twarzą zalaną krwią; szedł chwiejnie w ich stronę. Zamiast rąk miał tryskające krwią kikuty.

— Nie to miałam na myśli — odburknęła Elayne.

— Kontynuujmy. — Nynaeve zamknęła oczy. Potrzeba.

Zmiana.

Znajdowały się w Wieży, w jednym z obwieszonych gobelinami korytarzy. W odległości niecałych trzech kroków pojawiła się nagle pulchna dziewczyna odziana w strój nowicjuszek, z wielkimi oczyma, które na ich widok stały się jeszcze większe.

— Błagam — zapiszczała. — Błagam? — I znikła.

Nagle Elayne głośno zaparło dech.

— Egwene!

Nynaeve błyskawicznie okręciła się na pięcie, ale na korytarzu nie było żywej duszy.

— Widziałam ją — upierała się Elayne. — Z całą pewnością.

— Przypuszczam, że ona może podczas zwykłego snu dotknąć *Tel'aran'rhiod* tak jak każdy inny człowiek — odparła Nynaeve. — Róbmy dalej to, po co się tu

znalazłyśmy. — Powoli robiło jej się coraz bardziej nieswojo. Znowu połączyły ręce. Potrzeba.

Zmiana.

Nie był to zwykły magazyn. Ściany zawieszono półkami, które tworzyły również dwa niskie rzędy na posadzce; zastawiono je równo poukładanymi skrzynkami rozmaitych wielkości i kształtów, z nie dorobionego drewna albo rzeźbionymi i polakierowanymi. Zawierały różne przedmioty owinięte w tkaniny, posążki, figurki albo jakieś dziwaczne bryły, na pozór wykonane z metalu albo ze szkła, kryształu, kamienia tudzież glazurowanej porcelany. Nynaeve nie potrzebowała nic więcej, by wiedzieć, że to przedmioty wspomagające czerpanie Jedynej Mocy, najprawdopodobniej *ter'angreale*, być może nawet *angreale i sa'angreale*. Nic innego w Wieży nie mogło się składać na tak urozmaiconą kolekcję, tak porządnie poukładaną.

— Moim zdaniem nie ma sensu zapuszczać się dalej — powiedziała ze smutkiem Elayne. — Nie wiem, jakim sposobem mogłybyśmy coś stąd wynieść.

Nynaeve szarpnęła za warkocz. Jeżeli tutaj rzeczywiście znajdowało się coś, co mogło im pomóc — a musiało, o ile Mądre nie kłamały — to powinien też istnieć jakiś sposób na dobranie się do tego skarbcza w świecie jawy. *Angreali* i podobnych przedmiotów nie strzeżono specjalnie mocno; podczas jej pobytu w Wieży dostępu do nich bronił zazwyczaj zwykły zamek i jedna nowicjuszka. W tych drzwiach, zbudowanych z grubych bierwion, osadzono ciężką sztabę z czarnego żelaza. Sztaba bez wątpienia była teraz zasunięta, ale wyobraziła sobie, że jest inaczej i popchnęła drzwi.

Otworzyły się na wartownię. Pod jedną ścianą stały łóżka, ustawione jedno nad drugim, pod drugą stos halabard. Ciężki zniszczony stół otaczał pierścień krzeseł, a za nim znajdowały się jeszcze jedne drzwi, okute żelazem, z osadzoną w środku niewielką kratką.

Odróciła się w stronę Elayne i w tym momencie zauważyła, że drzwi są znów zamknięte.

— Skoro tutaj nie mamy dostępu, może powiedzie nam się w jakimś innym miejscu. Chcę powiedzieć, że może coś innego zastąpi to, czego nie zdobędziemy tu. A przynajmniej uzyskałyśmy jakąś wskazówkę. Moim zdaniem nikt dotąd nie odkrył sposobu, w jaki należy się posługiwać tymi *ter'angrealami*. To jedyny powód, dla którego są tak strzeżone. Nawet przenoszenie w ich bliskości mogłoby się okazać niebezpieczne.

Elayne spojrzała na nią z ukosa.

— A czy nie trafimy tutaj ponownie, jeśli spróbujemy raz jeszcze? Chyba że... Chyba że Mądre powiedziały ci, jak się wyklucza dane miejsce z poszukiwań.

Nie powiedziały — wcale się nie paliły, żeby jej w ogóle cokolwiek powiedzieć — ale wszystko było możliwe w miejscu, w którym wystarczyło sobie wyobrazić, że zamek jest otwarty i on zaraz się otwierał.

— Dokładnie coś takiego zrobimy. Skupimy się na myśli, że to, czego szukamy, znajduje się nie w Tar Valon, lecz gdzie indziej. — Popatrując krzywo na półki, dodała: — I założę się, że będzie to *ter'angreal*, o którym nikt nie wie, jak się nim posługiwać. — Niemniej jednak, nie umiała sobie wyobrazić, w jaki sposób miałby przekonać Komnatę do udzielenia poparcia Randowi.

— Musimy zdobyć *ter'angreal*, którego należy szukać poza Tar Valon — powiedziała Elayne takim tonem, jakby przekonywała samą siebie. — Bardzo dobrze. Idziemy dalej.

Wyciągnęła ręce i Nynaeve ujęła je po chwili. Nie bardzo rozumiała, jak do tego doszło, że to ona tak się upierała na kontynuowaniu poszukiwań. Chciała wyjechać z Salidaru, a nie szukać powodu do zostania. Ale jeśli dzięki temu Aes Sedai z Salidaru miały poprzeć Randa...

Potrzeba. Jakiś *ter'angreal*. Nie w Tar Valon. Potrzeba.

Zmiana.

Gdziekolwiek się znalazły, otaczające je, opromienione światem miasto to nie było Tar Valon. Niecałe dwadzieścia kroków dalej, przy szerokiej brukowanej ulicy, stał biały kamienny most z posągami przy obu końcach; biegł łukiem nad kanałem wyłożonym kamieniem. W oddali, w odległości pięćdziesięciu kroków, znajdował się jeszcze jeden. Wszędzie, gdziekolwiek spojrzęły, wyrastały smukłe wieże otoczone balkonami, podobne do włóczni wbitych w owalne plastry zdobnych koronek. Wszystkie budynki były białe, drzwi i okna wieńczyły wielkie spiczaste łuki, podwójne albo nawet potrójne. Okazalsze budowle zdobiły długie balkony z kutego żelaza pomalowanego na biało, przesłonięte misternymi żelaznymi osłonami, które miały chronić przebywających na nich przed wzrokiem ciekawskich; z balkonów roztaczał się widok na ulice, kanały i białe kopuły otoczone pasami szkarłatu albo złota i jak wieże zwieńczone ostrymi szpicami.

Potrzeba. Zmiana.

Inne miasto. Wąska uliczka z nierównym brukiem, z obu stron obrzeżona cztero- i pięciopiętrowymi budynkami; biały tynk złuszczył się w wielu miejscach i odpadł, odsłaniając cegłę. Żadnych balkonów. Słychać było głośnie brzęczenie wszechobecnych roi much, a kładące się po ziemi cienie nie pozwalały orzec, czy to nadal jeszcze świt.

Wymieniły spojrzenia. Tutaj raczej nie znajdą żadnego *ter'angreal*a, zbyt jednak daleko już zaszły, żeby się teraz zatrzymywać. Potrzeba.

Zmiana.

Nynaeve kichnęła, jeszcze zanim zdążyła otworzyć oczy, i potem jeszcze raz, kiedy już rozwarła powieki. Wystarczyło tylko poruszyć stopą, by zaraz wzniecić tuman kurzu. Magazyn zupełnie nie przypominał tamtego w Wieży. Niewielka izba, całkiem zagracona skrzyniami, pakami i beczkami, spiętrzonymi jedne na drugich; między nimi ledwie pozostawiono jakieś przejście, a wszystko okrywały grube pokłady kurzu. Nynaeve miała wrażenie, że zaraz spadną jej buty od tego

kichania — i nagle kurz zniknął. Wszystek. Na twarzy Elayne malował się uśmiešek pełen samozadowolenia. Nynaeve nic nie powiedziała, tylko zdecydowanie skupiła się na obrazie izby bez kurzu. Powinna była pomyśleć o tym wcześniej.

Ogarnęła wzrokiem ten galimatias i westchnęła. Izba nie była większa od tej w Salidarze, w której leżały ich uśpione ciała, ale przeszukanie wszystkiego...

— To potrwa kilka tygodni.

— Spróbujmy jeszcze raz. Może się dowiemy, co tu dokładnie trzeba przetrząsnąć. — W głosie Elayne pobrzmiwało takie samo zwątpienie, jakie przepełniło Nynaeve.

Mimo to pomysł był równie dobry jak każdy inny. Nynaeve zamknęła oczy i w tym momencie znowu zaszła zmiana.

Otworzyła oczy; stała na końcu biegnącego od drzwi pasa wolnej przestrzeni, zwrócona twarzą do kwadratowej drewnianej skrzyni sięgającej wyżej pasa. Żelazne okucia sprawiały wrażenie całkiem zardzewiałych, a sama skrzynia wyglądała tak, jakby przez ostatnie dwadzieścia lat walono w nią młotami. Zdaniem Nynaeve nie mogło istnieć nic mniej nadającego się do przechowywania czegokolwiek, zwłaszcza *ter'angreal*. Elayne stała tuż obok; też przyglądała się skrzyni.

Nynaeve przyłożyła dłoń do wieka — zawiasy pracowały swobodnie — i podniosła je. Ani zgrzytu. W środku znajdowały się dwa mocno skorodowane miecze i równie zbrązowiały napierśnik z wyżartą w środku dziurą; oba spoczywały na bezładnym stosie usypanym z owiniętych w tkaninę paczek, części starego żelazka oraz kilku naczyń kuchennych.

Elayne przejechała dłonią po małym imbryku z ułamanym dzióbkiem.

— Może nie kilka tygodni, ale w każdym razie do końca nocy.

— Jeszcze raz? — zaproponowała Nynaeve. — To nie zaszkodzi.

Elayne wzruszyła ramionami. Zamknęły oczy. Potrzeba.

Nynaeve wyciągnęła rękę i natrafiła na twardy, zaokrąglony kształt, pokryty zetlałą tkaniną. Kiedy otworzyła oczy, dłoń Elayne znajdowała się tuż przy jej dłoni. Uśmiech drugiej kobiety rozpromieniał jej twarz do granic możliwości.

Wydostanie go ze skrzyni nie okazało się łatwe. Przedmiot nie był mały, a poza tym musiały odsuwać podarte kaftany, pogięte garnki i paczki, które rozpadały się im się w rękach, ukazując figurynki, rzeźbione zwierzęta i wszelkiego typu rupiecie. Wyciągały go wspólnie: szeroki, spłaszczony krąg owinięty w zbutwiałą tkaninę. Po jej odwinięciu okazało się, że to płytką czarą z grubego kryształu, o średnicy ponad dwu stóp, ozdobiona głębokimi rzeźbieniami w kształty podobne do skłębionych chmur.

— Nynaeve — wolno powiedziała Elayne. — Moim zdaniem to jest...

Nynaeve wzdrygnęła się, omal nie wypuszczając misy z rąk, kiedy ta nagle nabrała barwy rozwodnionego błękitu, a rzeźbione chmury poruszyły się powoli. Mgnienie oka później kryształ na powrót stał się przezroczysty, chmury przystały. Tyle że już nie były takie same, co do tego nie było żadnych wątpliwości.



— To *ter'angreal!* — zawołała Elayne. — I założę się, że ma coś wspólnego z pogodą. Niestety, nie jestem dostatecznie silna, żeby posłużyć się nim w pojedynkę.

Nynaeve łapczywie wciągnęła powietrze i starała się uspokoić łomoczące serce.

— Nie rób tego! Czy do ciebie nie dociera, że jak będziesz się bawiła *ter'angrealem*, nie mając pojęcia, jakie jest jego przeznaczenie, to możesz się niechcący ujarzmić?

Elayne obdarzyła ją zdumionym spojrzeniem; nie dość, że głupia, to jeszcze bezczelna.

— Przecież właśnie z jego powodu znalazłyśmy się tutaj, Nynaeve. A tak w ogóle, to czy znasz kogoś, kto wie więcej o *ter'angrealach* niż ja?

Nynaeve pociągnęła nosem. Fakt, że ta kobieta miała rację, wcale jeszcze nie oznaczał, że nie należało jej ostrzec.

— Bynajmniej nie twierdzę, że nie byłoby cudownie, gdyby ten *ter'angreal* mógł coś zrobić z pogodą, ale nie pojmuję, dlaczego to właśnie jego miałybyśmy potrzebować. Przecież coś takiego w żaden sposób nie wpłynie na nastawienie Wieży względem Randa.

— Nie zawsze to, czego potrzebujesz, jest tym, czego chcesz — zacytowała Elayne. — Lini zwykła to wprawdzie powtarzać wtedy, kiedy nie pozwalała mi się przejechać na koniu albo wspinać po drzewach, ale może w tej sytuacji to powiedzonko ma jakiś sens.

Nynaeve znowu pociągnęła nosem. Może nawet tak i było, ale teraz chciała czegoś innego. Czy to aż tak wiele?

Czara zdematerializowała się na ich oczach i tym razem to Elayne drgnęła, mruczając, że nigdy się nie przyzwyczai. Poza tym skrzynia się zamknęła.

— Nynaeve, kiedy przeniosłam w czarę, czułam. . . Nynaeve, to nie jest jedyny *ter'angreal* w tej izbie. Moim zdaniem tu gdzieś jest ukryty jakiś *angreal*, może nawet *sa'angreal*.

— Tutaj? — spytała z niedowierzaniem Nynaeve, rozglądając się po zagrconym wnętrzu. No tak, ale skoro jeden, to czemu nie dwa? Albo dziesięć, może nawet sto? — Światłości, tylko już więcej nie przenoś! Co będzie, jeśli sprawisz, że jeden przypadkiem zadziała? Mogłabyś ujarzmić. . .

— Kiedy ja wiem, co robię, Nynaeve. Naprawdę wiem. Teraz przede wszystkim musimy się dowiedzieć, gdzie się dokładnie znajduje ta izba.

Co nie okazało się łatwym zadaniem. Drzwi nie stanowiły przeszkody, nie w *Tel'aran'rhiod*, mimo iż ich zawiasy zdawały się całe przeżarte rdzą. Kłopoty zaczęły się później. W ciemnym wąskim korytarzu było tylko jedno okno na samym końcu i nie zobaczyły przez nie nic oprócz obłąkającego, otynkowanego na białą muru po drugiej stronie ulicy. Nie zyskały nic, gdy zeszły na dół ciasną kamienną klatką schodową. Biegająca na zewnątrz ulica była wprawdzie pierwsza,

jaką zwiedziły w tej dzielnicy, ale. to nie miało znaczenia, ponieważ stojące przy niej budynki niczym się zasadniczo nie różniły. Maleńkim sklepikom brakowało jakichkolwiek szyldów, a pomalowane na niebiesko drzwi były jedyną rzeczą, jaka wyróżniała oberże. Czerwone z kolei oznaczały tawerny.

Nynaeve maszerowała dalej w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki, czegoś, co by z wystarczającą dokładnością określiło ich położenie, czegoś, co by powiedziało, co to za miasto. Wprawdzie każda ulica, do której doszła, zdawała się ostatnia, prędko jednak znalazła most zbudowany ze zwykłego kamienia, inny niż wszystkie, które do tej pory tu zobaczyła, i bez żadnych posągów. Ze środka łuku widziała kanał, z jednej i z drugiej strony łączący się z innymi, a także mosty i budynki pokryte odpadającym białym tynkiem.

Nagle zorientowała się, że jest sama.

— Elayne? — Cisza, tylko echo jej głosu. — Elayne? Elayne!

Za rogiem, blisko stóp mostu, pojawiła się nagle złotowłosa kobieta.

— Tu jesteś! — zawołała Elayne. — Labirynt króliczych nor, jednak wydaje się znakomicie zaplanowany. Na chwilę tylko odwróciłam głowę i natychmiast straciłam cię z oczu. Znalazłaś coś?

— Nic. — Nynaeve raz jeszcze spojrzała z wysoka na kanał, zanim przyłączyła się do Elayne. — Zupełnie nic, co by nam pomogło.

— Za to wiemy już dokładnie, gdzie jesteśmy. To Ebou Dar. Na pewno. — Krótki kaftanik Elayne i szerokie spodnie przemieniły się w szatę z zielonego jedwabiu, z koronkami spływającymi na dłonie, wysokim kołnierzem pokrytym skomplikowanymi haftami i wąskim dekoltem, tak głębokim, że ukazywał sporą część zagłębienia między piersiami. — Nie przychodzi mi do głowy żadne inne miasto, w którym byłoby tyle kanałów, z wyjątkiem Illian, a to z całą pewnością nie jest Illian.

— Mam nadzieję — odparła omdlałym głosem Nynaeve. Ani przez moment nie przyszło jej do głowy, że takie poszukiwania na ślepo mogą je zaprowadzić prosto do siedziby Sammaela. Zauważyła, że również jej odzienie się zmieniło na suknię z granatowego jedwabiu, odpowiednią na podróż, a do tego lniany płaszcz. Sprawiała, że płaszcz zniknął, ale pozostawiła resztę.

— Tobie Ebou Dar by się spodobało, Nynaeve. Nikt nie zna się na ziołach tak jak Rozumne Kobiety z Ebou Dar. Wszystko potrafią wyleczyć. Muszą, ponieważ mieszkańcy Ebou Dar potrafią się pojedynkować z powodu kichnięcia, czy to arystokracja, czy gmin, mężczyźni czy kobiety. — Elayne zachichotała. — Thom twierdzi, że żyły tam kiedyś pantery, ale wyniosły się, bo uznały, że nie mają ochoty mieszkać wśród tak drażliwych ludzi.

— No i co z tego? — odparła Nynaeve — Mogą się wzajem zadeptywać, jeśli o mnie chodzi. Elayne, chyba możemy już odłożyć pierścienie i przespać się normalnie. Nie potrafiłabym wrócić do tamtej izby nawet stąd, choćbym miała dostać za to szal. Żeby chociaż istniał jakiś sposób na sporządzenie mapy... —

Skrzywiła się. To jakby prosić o skrzydła w świecie jawy; gdyby mogły zabrać mapę z *Tel'aran'rhiod*, to mogłyby również zabrać czarę.

— W takim razie będziemy musiały wybrać się do Ebou Dar na poszukiwania — stwierdziła stanowczym tonem Elayne. — W prawdziwym świecie. Wiemy przynajmniej, w której dzielnicy szukać.

Nynaeve rozpromieniła się. Ebou Dar leżało nad brzegami Eldar, w odległości zaledwie kilkuset mil od Salidaru.

— To chyba całkiem niezły pomysł. I na dodatek znajdziemy się daleko, zanim wszystko runie nam na głowy.

— Jak możesz, Nynaeve? Czy dla ciebie tylko to jest ciągle najważniejsze?

— To jest ważne. Masz jakiś pomysł, co jeszcze mogłybyśmy tu zrobić? — Elayne potrząsnęła głową. — To w takim razie chyba możemy już wracać. Chciałabym zaznać dziś jeszcze trochę prawdziwego snu. — Trudno było określić, ile czasu upłynęło w świecie jawy, kiedy się przebywało w *Tel'aran'rhiod*; raz godzina tutaj równała się godzinie w rzeczywistości, innym razem trwała cały dzień albo i dłużej. Na szczęście tak raczej nie działo się w drugą stronę, a w każdym razie nie w odczuwalnym stopniu, inaczej człowiek zagłodziłby się na śmierć podczas snu.

Nynaeve wyszła ze snu...

...i natychmiast otworzyła oczy; patrzyła na poduszkę równie zlaną potem jak ona sama. Przez otwarte okno nie napływało ani jedno tchnienie powietrza. W Salidarze panowała cisza, najgłośniejszymi dźwiękami były ciche krzyki nocnych czapli. Usiadła, zdjęła rzemyk z szyi i zsunęła koślawy kamienny pierścień, nieruchomiejąc na chwilę, by przejechać palcem po grubym złotym sygnecie Lana. Elayne poruszyła się, po czym ziewając, usiadła i przeniosła, żeby zapalić ogarek świecy.

— Uważasz, że coś z tego wyjdzie? — spytała cicho Nynaeve.

— Nie wiem. — Elayne przestała przyciskać dłoń do ust, żeby stłumić ziewanie. Jak ta kobieta to robiła, że wyglądała tak ślicznie nawet wtedy, kiedy ziewała, z potarganymi włosami i czerwoną pręgą na policzku od odcisniętej poduszki? Była to tajemnica, którą powinny zbadać Aes Sedai. — Wiem natomiast, że z pomocą tej czary można chyba zrobić coś z pogodą. Wiem, że skrzynia, w której ukryte są *ter'angreal* i *angreal*, powinna trafić we właściwe ręce. Naszym obowiązkiem jest przekazanie jej Komnacie. A w każdym razie na pewno powinna dostać ją Sheriam. A jeśli za sprawą tego *ter'angrealu* nie udzieli wsparcia Randowi, to ja będę szukała dalej, tak długo, aż nie znajdę czegoś, co ich do tego nakłoni. I wiem też, że strasznie chce mi się spać. Czy mogłybyśmy porozmawiać o tym rano? — Nie czekając na odpowiedź, zgasła świeczkę, z powrotem zwinęła się w kłębek i ledwie dotknęła głową poduszki, zaczęła oddychać w głębokim, miarowym rytmie snu.

Nynaeve znowu się wyciągnęła na łóżku, zapatrzona na spowity w mroku

sufit. Dobrze chociaż, że niebawem wyruszą w drogę do Ebou Dar. Może już jutro. W każdym razie najdalej za dzień albo dwa, kiedy się przygotowują do podróży i uda im się zdobyć jakąś łódź. Przynajmniej. . .

Nagle przypomniała sobie o Theodrin. Jeżeli będą musiały przeznaczyć dwa dni na przygotowania, to Theodrin zażąda od niej dwóch sesji, pewne jak to, że kaczka ma pióra. A poza tym tamta oczekiwała, że Nynaeve nie będzie spała tej nocy. Nie miała jak tego sprawdzić, jednak. . .

Westchnawszy ciężko, wygramoliła się z łóżka. Nie było tu specjalnie przestrzeni do spacerowania, ale wykorzystwała całą, jaką dysponowała, z każdą minutą stając się coraz bardziej zła. Nie pragnęła niczego więcej, jak tylko uciec. Sama powiedziała, że nie jest najlepsza w sytuacjach wymagających okazania uległości, ale za to nabierała wprawy w uciekaniu. Tak byłoby wspaniale przenosić wtedy, kiedy tylko się zapragnie. Nawet nie zwróciła uwagi na łzy, które zaczęły spływać po jej policzkach.

## SNY I KOSZMARY

Na widok Nynaeve i Elayne Egwene nie wyszła ze snu — wyskoczyła wręcz. I nie wróciła do ciała, które spało w Cairhien — noc była jeszcze młoda — tylko przeniosła się do bezkresnej czarnej otchłani, wypełnionej migotliwymi, świetlnymi punkcikami, znacznie liczniejszymi od gwiazd na najczystszym niebie, o kon turach ostrych i wyraźnych, jak okiem sięgnąć. Pozbawiona cielesnej powłoki, dryfowała wśród nieskończoności dzielącej *Tel'aran'rhiod* i świat jawy, w wąskiej szczelinie między snem a rzeczywistością.

Serce łomotałoby jej jak oszalałe, gdyby obecna była tutaj ciałem. Uznała, że raczej jej nie zauważyły, ale na Światłość, co one tutaj robiły, w tej części Wieży, gdzie nie było nic interesującego? Podczas nocnych wypraw starannie omijała gabinet Amyrlin, kwatery nowicjuszek, nawet kwatery Przyjętych. To już się chyba stało regułą, że tam zawsze ktoś był; niekoniecznie Nynaeve albo Elayne, czy też obie naraz. Oczywiście do tych dziewcząt mogłaby podejść — one z pewnością potrafiły dochować tajemnicy — ale coś jej mówiło, że nie powinna tego robić; kilkakrotnie śniło jej się, że tak zrobiła i za każdym razem taki sen przeradzał się w koszmar. Nie tego rodzaju, z którego człowiek budzi się zlany zimnym potem, ale taki, co miota nim gwałtownie po łóżku. Te inne kobiety. Czy Aes Sedai z Salidaru wiedzą, że w Świecie Snów po Wieży chodzą sobie obce osoby? Obce jej, przynajmniej. Nie miała jak ich ostrzec, jeżeli nie wiedziały. Nie dysponowała takim sposobem. Ależ ją to wszystko przygnębiało!

Wokół niej wirował ogromny rozmigotany ocean mroku; zdawał się poruszać, kiedy ona nieruchomiała. Niczym ryba pływała bez lęku w jego głębinach, praktycznie bez udziału myśli. Te migotliwe światełka to były sny, sny wszystkich ludzi z całego świata. Z wszystkich światów, z miejsc, które nie należały do znajomego jej świata, ze światów, które zupełnie go nie przypominały. Pierwsza opowiedziała jej o nich Verin Sedai, Mądre to potem potwierdziły, a ona sama zaglądając do nich, widywała rzeczy, w które normalnie nie mogłaby uwierzyć, nawet we śnie. Nie koszmary — te zawsze były skąpane w czerwieni, błękicie albo mętnej szarości podobnej do głębokich cieni — ale rzeczy, które po prostu nie mogły istnieć. Wolała ich unikać; ostatecznie nie była mieszkanką tamtych światów. Gdy zaglądała do takiego snu, miała wrażenie, że osaczają ją nagle popękane

lustra; wszystko wirowało i nie sposób było odróżnić góry od dołu. Natychmiast wzbierała wtedy w niej ochota, by opróżnić żołądek; nie miała tutaj żołądka, więc musiałaby to zrobić po powrocie do ciała. A wymioty to nie najlepszy sposób na budzenie się.

Tą drogą nauczyła się samodzielnie kilku rzeczy, oprócz tych wszystkich, których nauczyły ją Mądre; zapuszczała się nawet tam, gdzie one zabroniły jej wstępu. A mimo to... Nie wątpiła, że dowiedziałyby się więcej, znacznie więcej, gdyby jakaś wędrująca po snach zaglądała jej przez ramię. To co, że stale by ją pouczała, że to jest zbyt niebezpieczne, a tamto całkiem zakazane, w ten sposób podpowiadały jej, czego właśnie powinna spróbować. Dawno temu uporała się z prostymi rzeczami, z łatwością je rozpracowała — cóż, może nie tak całkiem bez trudu — aż osiągnęła etap, w którym potrafiła sama przewidzieć, jaki powinien być jej następny krok, niemniej jednak zawsze dążyła śladami, które Mądre pozostawiły już bardzo dawno temu. W ciągu jednej nocy, godziny, mogły ją nauczyć każdej rzeczy, do opanowania której ona potrzebowała miesiąca. Kiedy stwierdzały, że jest gotowa. Nigdy wcześniej. Co strasznie działało na nerwy, bo ona nie pragnęła niczego innego, jak tylko się uczyć. Nauczyć się wszystkiego. Już teraz.

Światelka pozornie niczym się od siebie nie różniły, a mimo to rozpoznawała już spośród nich garstkę. Nie wiedząc bynajmniej, jak to robi, co irytowało ją bezgranicznie. Nawet Mądre nie potrafiły tego wytłumaczyć. A mimo to, jak już raz określiła, do kogo należy dany sen, to potrafiła potem odszukać sny takiej osoby niczym strzała swój cel, nawet jeśli dzielił je cały świat. Na przykład tamto światelko to były sny Berelain, Pierwszej z Mayene, kobiety, której Rand powierzył władzę w Cairhien. Od zaglądania do snów Berelain Egwene robiło się nieswojo. Zazwyczaj nie różniły się od snów innych kobiet — wszystkich kobiet zainteresowanych władzą, polityką i najnowszymi trendami mody — ale Berelain śniła czasami o mężczyznach, w tym również o mężczyznach, których Egwene znała i to w taki sposób, że czerwieniła się na samo wspomnienie.

A ta lekko przygaszona łuna to sny Randa strzeżone zabezpieczeniami utkanymi z *saidina*. Omal się nie zatrzymała — to bardzo działało jej na ambicję, że coś, czego nie mogła ani zobaczyć, ani poczuć, potrafiło odciąć dostęp niczym kamienny mur — ale ostatecznie pozwoliła łunie przemknąć dalej. Kolejna noc spędzona na jałowych staraniach nie miała w jej oczach żadnego powabu.

W tym miejscu odległości ulegały podobnym zniekształceniom jak czas w *Tel'aran'rhiod*. Rand spał w Caemlyn, chyba że wyprawiał się do Łzy — wiele by dała, żeby się dowiedzieć, jak on to robi — ale bardzo blisko jego snu Egwene znalazła jeszcze jedno znajome światelko. Bair, w Cairhien, oddalona setki lig od Randa; wiedziała z całą pewnością, że tej nocy Rand spał gdzieś indziej, nie w Cairhien. Jak on to robi?

Światelka zamazały się, kiedy Egwene umknęła przed snem jednej z Mądrych. Na widok Amys i Melaine może by nawet nie uciekała, ale jeśli pozostałe dwie

wędrujące nie spały i nie śniły, to mogły spacerować po snach. Jedna z nich mogła być tu, gdzie ona teraz, gotowa nawet rzucić się na nią i wywlec ze snu albo wciągnąć do snu wędrującej. Wątpiła, by potrafiła je powstrzymać. Raczej nie. Byłaby skazana na łaskę tej drugiej, stanowiąc zwykły element jej snu. Wystarczająco trudno było trzymać się siebie we śnie osoby, która nie miała o niczym pojęcia, aczkolwiek trudniej było się wydostać, do momentu, w którym taka osoba przestała o tobie śnić, a często następowało to dopiero wraz z przebudzeniem. W przypadku spacerującej po snach, równie świadomej własnych snów jak świata jawy, było to po prostu niemożliwe.

Przyszło jej do głowy, że zachowuje się głupio. Uciekanie nie miało żadnego sensu. Gdyby Amys albo Melaine ją znalazły, już od dawna by się znajdowała w zupełnie innym miejscu. Równie dobrze mogła wbiec prosto na nie. Pęd otaczających ją światelek nie spowolnił, zwyczajnie zatrzymał się bez ruchu. Tak to się tutaj odbywało.

Skonsternowana, zastanawiała się, co robić dalej. Oprócz badania różnych możliwości, jakie stwarzał *Tel'aran'rhiod*, głównym celem, dla którego odwiedzała to miejsce, było gromadzenie strzępków informacji dotyczących tego, co dzieje się w świecie. Niekiedy odnosiła wrażenie, że Mądre nie chcą jej nawet powiedzieć, że weszło słońce, musiała się o tym przekonywać na własne oczy. Twierdziły, że nie wolno jej się denerwować. A jak ona miała tego uniknąć, skoro tak się biedziła z tym, czego nie wiedziała? To właśnie robiła w Białej Wieży; starała się znaleźć jakieś wskazówki odnośnie do zamiarów Elaidy. A także Alviarin. Nic więcej prócz wskazówek znaleźć nie mogła, a i w tym przypadku nie mogła poszczycić się specjalnymi osiągnięciami. Nie cierpiała być ignorantką; jak czegoś nie wiedziała, to miała wrażenie, że nagle oślepla i ogłuchła.

No cóż, trzeba było zrezygnować z odwiedzania Wieży, praktycznie rzecz biorąc całej, bowiem nie było już żadnej pewności, w których jej partiach można się bezpiecznie poruszać. Z Tar Valon zrezygnowała dawno temu, po czwartej wyprawie, kiedy mało co, a byłaby weszła na miedzianoskórą kobietę, która kiwała z satysfakcją głową podczas — ciekawostka! — zwiedzania stajni, świeżo pomalowanej na niebiesko. Kimkolwiek była, nie wśniła się do *Tel'aran'rhiod* przypadkiem, na krótką chwilę; nie zniknęła, tak jak to się działo ze zwykłymi śniącymi i jej ciało zdawało się jakby zbudowane z mgły. Bez wątpienia posługiwała się jakimś *ter'angrealem*, a to z kolei oznaczało, że była najprawdopodobniej Aes Sedai. Egwene wiedziała o istnieniu tylko jednego *ter'angreala*, który umożliwiał wejście do Świata Snów bez przenoszenia, a miały go Nynaeve i Elayne. Tak czy owak, smukła kobieta nie była Aes Sedai od dawna. Całkiem urodziwa, ubrana w skandalicznie cienką suknię, wyglądała na rówieśniczkę Nynaeve; nie miała jeszcze na twarzy charakterystycznego piętna braku upływu lat.

Egwene mogła próbować ją śledzić — ostatecznie niewykłuczone, że była to któraś z Czarnych Ajah, one ukradły przecież *ter'angreal* snów — ale gdy ze-

stawiała ryzyko, że zostanie odkryta albo nawet pojmana do niewoli, z faktem, że nie będzie mogła wyznać nikomu, czego się dowiedziała, do czasu, zanim znowu nie porozmawia z Nynaeve i Elayne, o ile nie odkryje czegoś tak straszliwego, że wszystko będzie od tego zależało... Ostatecznie, Czarne Ajah to sprawa dla Aes Sedai, pomijając rozmaite inne powody, dla których musiała utrzymywać określone rzeczy w tajemnicy, nie mogła o tym powiedzieć byle komu. To nie był żaden wybór.

Zamyślona przyglądała się najbliższym światełkom migoczącym w czarnej otchłani. Żadnego nie rozpoznała. Otaczały ją pogrążone w całkowitym bezruchu lśniące gwiazdy, zastygłe na tle czystego czarnego lodu.

Ostatnimi czasy zbyt wiele obcych osób pojawiała się w Świecie Snów, by mogła zachować spokój ducha. Niby tylko dwie, ale to było o dwie za dużo. Miedzianoskóra kobieta i jeszcze jedna, o wyzywającej urodzie, niebieskooka, która poruszała się energicznymi ruchami z wyrazem determinacji na twarzy. Ta zdeterminowana kobieta — tak o niej myślała Egwene — wyraźnie potrafiła wchodzić do *Tel'aran'rhiod* na własną rękę, bo wydawała się materialna, a nie jakby wyrzeźbiona z mgły, i niezależnie od powodu, z jakiego to robiła, odwiedzała Wieżę częściej niż Nynaeve, Elayne, Sheriam i pozostałe razem więźne. Egwene spotykała ją praktycznie wszędzie. I omal nie wpadła na nią podczas ostatniej wyprawy do Łzy. Oczywiście nie działo się to w trakcie jednego z nocnych spotkań; kobieta spacerowała marszowym krokiem po Sercu Kamienia, mrucząc do siebie gniewnie. I była także w Caemlyn podczas ostatnich dwóch wypraw Egwene.

Prawdopodobieństwo, że ta zdeterminowana kobieta to Czarna Ajah, było równie duże jak w przypadku tej drugiej, ale z drugiej strony któraś mogła być z Salidaru. Albo obydwie, aczkolwiek Egwene ani razu nie widziała ich razem czy też w towarzystwie kogoś z Salidaru. Każda zresztą mogła być z Wieży, w której podziałów było dość, by istniała potrzeba szpiegowania się wzajemnie; Aes Sedai z Wieży musiały, prędzej czy później, dowiedzieć się o *Tel'aran'rhiod*, o ile już się nie dowiedziały. Te dwie obce nie niosły ze sobą nic oprócz pytań, na które brakowało odpowiedzi. Egwene nie potrafiła niczego w związku z nimi wymyśleć, z wyjątkiem tego, że powinna ich unikać.

Od jakiegoś czasu w ogóle starała się unikać wszystkich w *Tel'aran'rhiod*. Nabrała zwyczaju oglądania się przez ramię; wiecznie podejrzewała, że ktoś próbuje się do niej zniecka podkraść, coś jej się stale zwidywało. Że na przykład przelotnie, kątem oka, dostrzeżga Randa, Perrina, nawet Lana. Mogli, rzecz jasna, być tworem jej wyobraźni, a może przypadkiem dotykała ich snów, niemniej jednak to, na domiar wszystkiego, sprawiało, że zrobiła się nerwowa jak kot na podwórku pełnym psów.

Zmarszczyła czoło — albo raczej jego iluzję. Jedno ze światełek wyglądało... Nie znajomo, nie znała go. Ale zdawało się... ją przyciągać. Wzrok, w którąkolwiek stronę spojrziała, wracał stale do tego samego roziskrzonego punkcika.



Mogła podjąć kolejną próbę odnalezienia Salidaru. Musiałaby poczekać, aż Nynaeve i Elayne opuszczą *Tel'aran'rhiod* — rzecz jasna rozpoznawała ich sny na pierwszy rzut oka; przez sen, pomyślała, chichocząc bezgłośnie — a poza tym, jak dotąd, kilkanaście prób zlokalizowania Salidaru tą drogą przyniosło taki sam rezultat jak usiłowanie przebiccia się przez pas zabezpieczeń otaczających sny Randa. Tutaj odległość i położenie naprawdę nie miały żadnego związku z żadną konfiguracją tych wymiarów w świecie jawy; Amys twierdziła, że nie istnieje tu nic takiego jak odległość albo położenie. Z drugiej jednak strony ten sposób był równie dobry jak...

Z zaskoczeniem stwierdziła, że punkcik zaczyna dryfować w jej stronę, nabrzmiewając, aż w pewnym momencie, coś, co z początku przypominało odległą gwiazdę, stało się nagle podobne do księżyca w pełni. Poczuła, jak rozbłyska w niej iskierka strachu. Dotykane czyjegoś snu, zagładanie do niego, było sprawą prostą — tak samo palec mógł dotknąć delikatnie powierzchni wody i wcale jej nie zmącić — niemniej jednak to się powinno odbywać wyłącznie z jej woli. To wędrująca po snach szukała snu, a nie na odwrót. Próbowowała więc nakłonić go do odejścia, zmusić gwiazdzisty kształt do ruchu posłusznego jej pragnieniom. Ale to dziwne światło poruszało się, rosnąć, aż wreszcie wypełniło całe pole widzenia białym blaskiem.

Zdjęta trwogą usiłowała odeń uciec. Białe światło. Nic innego, tylko białe światło, światło, które wchłaniało ją...

Zamrugła, rozejrzała się zdumiona. Dookoła rozciągał się las wysokich białych kolumn. Większość zdawała się mglista, niewyraźna, zwłaszcza te w głębi, ale wśród nich dostrzegła sylwetkę Gawyna, o ostrych konturach, całkowicie rzeczywistą; biegł po wyłożonej białymi płytkami posadzce w jej stronę, w prostym zielonym kaftanie, z twarzą, na której malował się jednocześnie niepokój i ulga. W każdym razie to prawie była twarz Gawyna. Gawyn nie był może taki piękny jak jego przyrodni brat, Galad, wciąż jednak bardzo przystojny, a tymczasem teraz jego twarz zdawała się taka... pospolita. Usiłowała się ruszyć i nie mogła, ani na jotę. Stała wtulona plecami w jedną z kolumn, przykuta do niej łańcuchami.

To musiał być sen Gawyna. W mrowiu nieprzeliczonych świetlnych punkcików zatrzymała się właśnie obok jego snu. I jakimś sposobem dała się wciągnąć do środka. Jakim, to było pytanie na później. Teraz chciała się dowiedzieć, dlaczego jemu się śni, że trzyma ją w niewoli. Skupiła myśli na faktycznym stanie rzeczy. To tylko sen, czyjs cudzy sen. Była sobą, nie osobą przez niego wymyśloną. Nic w tym miejscu nie istniało w prawdziwym świecie. Nic tutaj nie miało na nią realnego wpływu. Powtarzała sobie te przykazania w duchu, niczym jakąś litanię. Co z kolei utrudniało jej myślenie o innych rzeczach, ale dopóki mocno się tych przykazań trzymała, dopóty mogła ryzykować i pozostawać w tym miejscu. Tak długo w każdym razie, aż się nie dowie, jakie to dziwactwa chodzą temu mężczyźnie po głowie. Ona niewolnicą!

Nagle spod płytek posadzki wykwitł ogromny pióropusz ognia, wokół zakłębił się duszący żółty dym. I z tego piekła wyłonił się Rand, odziany w królewską purpurę pokrytą złotym haftem; stanął przed Gawynem i w tym momencie ogień wraz z dymem zniknęły bez śladu. Tyle że ten ktoś prawie wcale nie wyglądał jak Rand. Prawdziwy Rand dorównywał wzrostem i posturą Gawynowi, ten mężczyzna natomiast przewyższał go o całą głowę. Z twarzy, o rysach znacznie toporniejszych i twardszych niż normalnie, ledwie przypominał Randa; to była zimna twarz mordercy. Gościł na niej szyderyczy grymas.

— Nie będziesz jej miał — warknął.

— A ty jej nie będziesz więził — odparł spokojnie Gawyn i nagle w rękach obu pojawiły się miecze.

Egwene wytrzeszczyła oczy. Gawyn jej wcale nie więził. Jemu się śniło, że ją uwalnia! Z rąk Randa! Najwyższy czas opuścić to szaleństwo. Skupiła myśli: jest na zewnątrz, jest z powrotem w ciemności, patrzy na to od zewnątrz. Nic jednak się nie zmieniło.

Rozległ się głośny szcęk stali uderzającej o stal i dwaj mężczyźni ruszyli w szaleńczy taniec. Śmiertelny, gdyby to nie był sen. Zupełny absurd. Żeby ze wszystkich rzeczy śnić o walce na miecze. I to wcale nie był koszmar; wszystko zdawało się normalne, nawet jeśli zamazane i nie nasycone barwą.

— Sny mężczyzny to labirynt, którego nawet on sam nie zna — powiedziała jej kiedyś Bair.

Egwene zamknęła oczy, skupiła całą siłę swego umysłu. Na zewnątrz. Jest na zewnątrz, zagląda do środka. W jej myślach nie ma miejsca na nic innego. Na zewnątrz, zagląda do środka. Na zewnątrz, zagląda do środka. Na zewnątrz!

Po raz kolejny otworzyła oczy. Walka osiągnęła punkt kulminacyjny. Miecz Gawyna przeszył pierś Randa, a kiedy ten zachwiał się na nogach, wyswobodzone stalowe ostrze zatoczyło lśniący łuk. Głowa Randa poturlała się po posadzce, prawie dotarła do jej stóp. Nie pohamowała się w porę i przeraźliwie krzyknęła. Sen. To tylko sen. Ale te martwe, wytrzeszczone oczy zdawały się bardzo prawdziwe.

A potem Gawyn stanął przed nią, z mieczem już schowanym do pochwy. Głowa i ciało Randa zniknęły. Gawyn wyciągnął rękę w stronę pęt i one też rozwiały się bez śladu.

— Wiedziałam, że przyjdiesz — powiedziała bez tchu i wzdrygnęła się. Jest sobą! Nie może ulec, nawet na chwilę, bo inaczej da się wciągnąć na dobre.

Gawyn z uśmiechem wziął ją w ramiona.

— Cieszę się, że o tym wiedziałas — powiedział. — Przyszedłbym prędzej, gdybym mógł. Nie powinienem był zostawiać cię tak długo w niebezpieczeństwie. Czy możesz mi wybaczyć?

— Wybaczę ci wszystko. — Były tam teraz dwie Egwene, jedna wtulała się z zadowoleniem w ramiona Gawyna, który niósł ją przez pałacowy korytarz obwieszony kolorowymi gobelinami i wielkimi lustrami w zdobnie złożonych ra-

mach, druga zagnieździła się w zakamarku umysłu tej pierwszej.

Sytuacja powoli stawała się poważna. Została tam, obserwując wszystko oczyma tej drugiej, jednocześnie co sił koncentrując się na tym, by znaleźć na zewnątrz. Pospiesznie stłumiła ciekawość tego, w jaki sposób śnił o niej Gawyn. Lepiej się nie interesować, to zbyt niebezpieczne. Nie zaakceptuje nic z otaczającego ją świata snu! A jednak nic się nie zmieniło.

Korytarz sprawiał wrażenie prawdziwego, to jednak, co widziała kątem oka, zdawało się jakby mgliste. Po drodze zauważyła własne odbicie w lustrze; normalnie obejrzałaby się, ale była tylko pasażerką w głowie kobiety ze snów Gawyna. W kobiecie, którą przelotnie zobaczyła w lustrze, rozpoznała siebie i choć nie mogłaby wskazać ani jednej rzeczy w tej twarzy i powiedzieć, że tym właśnie różniła się bodaj odrobinę od jej prawdziwych rysów, to jakimś niewytłumaczonym sposobem całość była... „Piękna” stanowiło jedyne określenie, jakie tu pasowało. Oszałamiająco piękna. Czy tak właśnie Gawyn ją postrzegał?

— Nie! Żadnej ciekawości! Na zewnątrz!

Między jednym krokiem a następnym korytarz przemienił się w zbocze wzgórze; wiatr roznosił woń porastających je polnych kwiatów. Prawdziwa Egwene wzdrygnęła się w myślach. Czy to jej własne dzieło? Bariera między nią a tą drugą Egwene słabła. Ogarnięta furią skoncentrowała się. To się nie działo naprawdę, nie akceptowała tego, była sobą. Na zewnątrz. Chciała być na zewnątrz, zaglądać do środka.

Gawyn ułożył ją delikatnie na kaftanie, jak to bywa we snach — zawczasu rozpostartym na zboczu. Uklękawszy obok, odgarnął pasemko włosów z jej policzka, po czym powiodł palcem do kącika ust. Bardzo trudno jej było skupić się na czymś innym. Mogła nie mieć kontroli nad ciałem, które ją tu wniosło, niemniej jednak czuła wszystko, co się z tym ciałem działo, a spod palców Gawyna zdawały się ulatywać iskierki.

— Moje serce należy do ciebie — powiedział cichym melodyjnym głosem — moja dusza, wszystko. — Kaftan miał teraz czerwony, ozdobiony złotymi liśćmi i srebrnymi lwami. Zamaszyście gestykulował rękoma, dotykając nimi to głowy, to serca. — Kiedy myślę o tobie, to brak mi już miejsca w głowie na inne myśli. Zapach twego ciała wypełnia mój umysł i sprawia, że burzy mi się krew. Serce łomocze tak głośno, że nie usłyszałbym, gdyby świat się rozleciał na kawałki. Jesteś mi słońcem i księżycem, gwiazdami, niebem i ziemią, bardziej mi droga niżli życie, oddech albo... — Urwał nagle, krzywiąc się. — Gadasz jak dureń — mruknął do siebie.

Egwene byłaby zaprzeczyła, gdyby miała władzę nad swoimi strunami głosowymi. Z przyjemnością słuchała wszystkich tych rzeczy, nawet jeśli była w nich odrobina przesady. Tylko odrobina.

Kiedy się skrzywił, poczuła nieznaczne rozluźnienie, ale...

Pstryk. Jakby od nowa...

Gawyn ułożył ją delikatnie na kaftanie, jak to bywa w snach — zawczasu rozpostartym na zboczu. Uklęknąwszy obok, odgarnął pasemko włosów z jej policzka, po czym powiódł palcem do kącika ust. Bardzo trudno jej było skupić się na czymś innym. Mogła nie mieć kontroli nad ciałem, które ją tu wniosło, niemniej jednak czuła wszystko, co się z tym ciałem działo, a spod palców Gawyna zdawały się ulatywać iskierki.

Nie! Nie mogła sobie pozwolić na zaakceptowanie czegokolwiek, co stanowiło element jego snu!

Twarz mężczyzny odzwierciedlała ból, jego kaftan całkiem zszarzał. Dłonie wsparte na kolanach zacisnęły się w pięści.

— Nie mam prawa przemawiać do ciebie tak, jakbym sobie tego życzył — powiedział sztywno. — Mój brat cię kocha. Wiem, że Galad umiera z miłości do ciebie. Jemu się zdaje, że zostałeś wykorzystana przez Aes Sedai do jakichś niecznych celów i przynajmniej po części z tego właśnie powodu został Białym Płaszczem. Ja wiem, że on... — Gawyn zacisnął powieki. — Och, Światłości, dopomóż mi! — jęknął.

Pstryk. I znów...

Gawyn ułożył ją delikatnie na kaftanie, jak to bywa we snach — zawczasu rozpostartym na zboczu. Uklęknąwszy obok, odgarnął pasemko włosów z jej policzka, po czym powiódł palce do kącika ust. Bardzo trudno jej było skupić się na czymś innym. Mogła nie mieć kontroli nad ciałem, które ją tu wniosło, niemniej jednak czuła wszystko, co się z tym ciałem działo, a spod palców Gawyna zdawały się ulatywać iskierki.

Nie! Traci tę odrobinę kontroli, jaka jej jeszcze została! Musi się stąd wyostać!

„No, czego ty się boisz?”

Nie była pewna, czy to jej własna myśl czy tej drugiej Egwene. Bariera między nimi stała się teraz cienka jak gaza.

„To jest Gawyn, Gawyn”.

— Kocham cię — powiedział z wahaniem w głosie. Znowu w zielonym kaftanie, nadal mniej przystojny niż normalnie, szarpnął za jeden ze swych guzików, zanim opuścił rękę. Spojrzał na nią takim wzrokiem, jakby się bał tego, co może zobaczyć na jej twarzy, próbując to ukryć, ale bez większego powodzenia. — Nigdy nie wyznawałem tego żadnej innej kobiecie, nigdy nie odczuwałem takiego pragnienia. Nie masz pojęcia, z jakim trudem mi to przychodzi. Co wcale nie znaczy, bym nie chciał — dodał pospiesznie, machając ręką w jej stronę — ale gdy tak to mówię, bez żadnej zachęty, to jakbym odrzucał miecz i obnażał pierś, wystawiając na ostrze. Nie żebym myślał, że ty... Światłości! Nie umiem powiedzieć tego, jak należy. Czy mam jakąś szansę, że ty... mogłabyś... kiedyś... zwrócić... na mnie... uwagę? Poczuc coś... więcej prócz przyjaźni?

— Ty słodki głuptasie — zaśmiała się cicho. — Kocham cię. — To „kocham

cię” powtórzyło się echem w tej jej części, która naprawdę była nią. Czuła, że bariera zanika, miała chwilę na to, by sobie uświadomić, że o to nie dba, i potem została już tylko jedna Egwene, uszczęśliwiona Egwene, która oplótła ramionami szyję Gawyna.

\* \* \*

Siedząca na zydlu przy mętym świetle księżyca Nynaeve stłumiła ziewnięcie, przyciskając wierzch dłoni do ust i mrugając oczyma, które szczypały jakby pełne piasku. Uda się, o tak, na pewno się uda. Zaśnie, kiedy będzie witała się z Theodrin, o ile nie wcześniej! Podbródek jej opadł na pierś i w tym momencie gwałtownie poderwała się na nogi. Zydel zdawał się wyciosany z kamienia — siedzenie jej całkiem zdrętwiało — ale dyskomfort najwyraźniej już nie pomagał. Może tak przejść się na spacer? Wyciągnąwszy ręce przed siebie, po omacku znalazła drogę do drzwi.

Nagle odległy krzyk wstrząsnął nocnym mrokiem i w tym momencie zydel z całej siły uderzył ją w plecy, ciskając na drzwi z nie heblowanych desek; sarna krzyknęła ze zdumienia. Oszołomiona, z jedną nogą wywichniętą, wpatrywała się w zydel, który leżał teraz na boku.

— Co się dzieje? — zawołała Elayne, siadając wyprostowana na łóżku.

Cały Salidar rozrętnił się wrzaskami i okrzykami, w tym niektóre dobiegały z wnętrza ich domu, a oprócz tego zewsząd słychać też było jakieś łomoty i zgrzyty. Puste łóżko Nynaeve zaszczekało znienacka, po czym przesunęło się na odległość stopy. Łóżko Elayne zakołysało się, omal jej nie zrzucając na posadzkę.

— Bańka zła. — Nynaeve była zaskoczona chłodnym tonem własnego głosu. Nie widziała wprawdzie żadnego sensu w podskakiwaniu i wymachiwaniu rękoma, ale w głębi duszy robiła właśnie coś takiego. — Trzeba zbudzić wszystkich, którzy jeszcze śpią. — Nie sądziła wprawdzie, by ktoś mógł jeszcze spać przy takim harmiderze, ale gdyby jednak spał, to umarłby, nie wiedząc nawet, co się dzieje.

Nie czekając na odpowiedź, wybiegła na zewnątrz i energicznym ruchem otworzyła najbliższe drzwi na oścież. I w porę uchyliła głowę. Biała umywalka, która przeleciała dokładnie przez to miejsce w przestrzeni, gdzie ułamek sekundy wcześniej znajdowała się jej głowa, roztrzaskała się o ścianę. Tę izbę dzieliły cztery kobiety; dysponowały tylko dwoma łóżkami, niewiele zresztą większymi od jej pośłania. Jedno z nich leżało teraz do góry nogami; dwie starały się spod niego wyczołgać. Na drugim leżały Emara i Ronelle, jeszcze jedna Przyjęta; ciasno oplecione prześcieradłem, miały się i wydawały zdławione okrzyki.

Nynaeve wywlokła pierwszą z kobiet spod przewróconego łóżka, chudą posługaczkę o imieniu Mulinda, i wypchnęła ją za drzwi.

— Biegnij! Pobudź wszystkich w domu, którzy jeszcze śpią i pomóż każdemu, komu możesz! Biegnij! — Mulinda wybiegła, potykając się, a Nynaeve postawiła jej rozdygotaną towarzyszkę łóżka na nogi. — Pomóż mi, Satina. Musimy coś zrobić z Emarą i Ronelle.

Pulchna kobieta trzęsa się, ale skinęła głową i dobrowolnie zabrała się do pomocy. Rzecz jasna, wcale nie wystarczyło odwinąć prześcieradła. Zdawało się ożywać, oplatało się wokół ich ciał niczym winorośl i zaciskało, jakby chciało zmiażdżyć to, co złapało w potrzask. A kiedy Nynaeve i Satina wspólnie oderwały je od gardeł obu kobiet, stojący na umywalce dzban podskoczył w górę i rozbił się o sufit; Satina podskoczyła i wypuściła swój róg prześcieradła. Płachta wyrwała się z rąk Nynaeve, wracając tam, gdzie była. Obie kobiety walczyły coraz słabiej, z gardła jednej dobywało się rżenie, druga nie wydawała żadnego dźwięku. Nawet w skąym świetle księżyca wlewającym się przez okno ich twarze zdawały się napuchnięte i pociemniałe.

Uchwyciwszy znowu prześcieradło obiema dłońmi, Nynaeve otworzyła się na *saidara*, ale nic nie znalazła.

„Poddaję ci się, a żebyś szczeł! Poddaję się! Potrzebuję Mocy!”

Nic. Łóżko objało się o jej nogi, a Satina tylko piszcziała przeraźliwie.

— No, nie stójże tak! — warknęła Nynaeve. — Pomóż mi!

Nagle prześcieradło raz jeszcze wyrwało jej się z rąk, ale zamiast na powrót opleść ciała leżących kobiet, poderwało się w górę z taką siłą, że w locie mignęła jej tylko biała plama. Obie z Satiną przewróciły się jedna na drugą. Zauważywszy na progu Elayne, Nynaeve gwałtownie zamknęła usta, głośno szcękając zębami. Prześcieradło zawisło u sufitu. Moc. No przecież.

— Wszyscy się obudzili — powiedziała Elayne, podając jej podomkę. Sama oczywiście zdążyła już wdziać swoją. — Kilka siniaków i zadrapań, jedna, może dwie paskudne rany, które zostaną opatrzone, gdy przyjdzie na to czas, i zapewne wszystkim będzie się źle śniło przez następne kilka dni, ale tak właśnie można podsumować dotychczasowe szkody. Proszę. — Noc nadal tętniła wrzaskami i krzykami. Satina znowu się wzdrygnęła, kiedy Elayne sprawiła, że prześcieradło oderwało się od sufitu, mimo iż tym razem zwyczajnie opadło na posadzkę i znie ruchomiło. Za to przewrócone łóżko przesunęło się, trzeszcząc głośno. Elayne pochyliła się nad jęczącymi kobietami, które leżały na drugim. — Chyba przede wszystkim zrobiło im się niedobrze. Satina, pomóż mi je podnieść.

Nynaeve spojrzała ponuro na podomkę. No cóż, nic dziwnego, że im niedobrze, skoro tak je wyobracało niczym baki. Światłości, żadnego z niej pożytku. Wpadła tu jak jakaś idiotka, z zamiarem przejęcia dowodzenia. Bez Mocy była zupełnie bezużyteczna.

— Nynaeve, może zechciałabyś mi pomóc? — Elayne podtrzymywała siania-

jącą się Emarę, a tymczasem Satina niemal niosła Ronelle do drzwi. — Moim zdaniem Emara zaraz będzie wymiotować, i lepiej, żeby to zrobiła na zewnątrz. Chyba wszystkie nocniki się potłukły. — Wiszący w powietrzu zapach dowodził, że miała rację. Porcelanowe skorupy chrzęściły na posadzce, próbowały się wyslizgnąć spod przewróconego łóżka.

Zezłoszczona Nynaeve wepchnęła ręce w rękawy podomki. Już czuła Źródło, ciepłą lunę tuż poza zasięgiem wzroku, ale zdecydowanie je zlekceważyła. Tyle lat obywatła się bez Mocy. Obejdzie się bez niej również teraz. Zarzuciwszy sobie rękę Emary na szyję, wyprowadziła jęczącą kobietę na ulicę. Prawie zdążyły.

Pomogła Emarze obetrzeć usta, po czym razem z nią wyszła na zewnątrz; pozostałe mieszkanki domu tuliły się w gromadce, odziane w podomki albo w to, w czym akurat spały. Księżyc, ciągle jeszcze w pełni, zalewał ziemię jasnym światłem z czystego nieba. Z pozostałych domostw wybiegali ludzie, zewsząd dookoła dobiegał tumult wrzasków i krzyków. W jakimś płocie zatrzeszczała deska, po chwili jeszcze jedna. Nagle przez ulicę przeleciało podskakujące wiadro. Fura z drewnem gwałtownie ruszyła z miejsca, ryjąc płytkie bruzdy w ubitej ziemi. Z domu stojącego nieco dalej zaczął unosić się dym, niemalże równocześnie rozległy się wołania o wodę.

Uwagę Nynaeve przyciągnął ciemny kształt leżący na ulicy. Był to chyba jeden z nocnych stróżów, sądząc po migoczącej latarni nieopodal jego wyciągniętej ręki. Zobaczyła wytrzeszczone oczy połyskujące w świetle księżyca, twarz zalaną krwią, wgniecenie w boku czaszki, jakby ślad po uderzeniu topora. Mimo to obmacała szyję, bezskutecznie szukając pulsu. Miała ochotę zawyć ze wściekłości. Ludzie powinni żyć długo i dopiero wtedy umierać, we własnych łóżkach, w otoczeniu rodziny i przyjaciół. Każda inna śmierć to marnotrawstwo. Czyste, bezsensowne marnotrawstwo!

— A więc znalazłaś tej nocy *saidara*, Nynaeve. No i bardzo dobrze.

Nynaeve podskoczyła w miejscu i zagapiła się na Anaię. Rzeczywiście obejmowała *saidara*, dotarło do niej. I nawet z nim nie mogła się do niczego przydać. Powstawszy zmęczonym ruchem, otrzepała kolana, starając się nie patrzeć na trupa. Czy coś by się zmieniło, gdyby była szybsza?

Anaię otaczała luna *saidara*, nie tylko ją zresztą — to samo światło spowijało także dwie inne Aes Sedai, odziane nieco bardziej przyzwoicie, Przyjętą w podomce i trzy nowicjuszki, w tym dwie w koszulach nocnych. Była wśród nich Nicola. Nynaeve widziała inne otoczone lunami grupki, w sumie kilkanaście, kręcące się po ulicy. Jedne zdawały się składać z samych Aes Sedai, pozostałe — mieszane.

— Otwórz się do połączenia — mówiła dalej Anaiya. — I ty też, Elayne, i... Co się stało z Emarą i Ronelle? — Dowiedziawszy się, że mają mdłości, mruknęła coś pod nosem, po czym kazała im znaleźć. jakiś krąg i połączyć się z nim, jak tylko poczują się lepiej. Pospiesznie wybrała cztery inne Przyjęte z grupki ota-

czającej Elayne. — Sammael, o ile to rzeczywiście on, a nie jakiś inny Przekłety, dowie się, że wcale nie jesteśmy bezradne. No, szybko. Obejmijcie Źródło, ale zatrzymajcie się na tej granicy. Bądźcie otwarte i uległe.

— To nie żaden Przekłety — zaczęła Nynaeve, ale zazwyczaj pełna matczynej wyrozumiałości Aes Sedai stanowczo jej przerwała.

— Nie klóć się, dziecko, tylko się otwórz. Spodziewaliśmy się ataku, nawet jeśli nie dokładnie takiego, toteż obronę zaplanowaliśmy zawczasu. Prędko, dziecko. Nie możemy mitrężyć czasu na czcze gadanie.

Zamknawszy usta, Nynaeve usiłowała umiejscowić się na tym skraju, gdzie się obejmowało *saidara*, w tym momencie, kiedy należało mu ulec. Co nie było łatwe. Dwukrotnie poczuła, jak Moc przepływa nie tylko do niej, ale przez nią do Anaiyi, i jak dwukrotnie się wyrywa. Anaiya zacisnęła usta, wpatrywała się w Nynaeve takim wzrokiem, jakby uważała, że robi to celowo. Za trzecim razem odniosła wrażenie, że coś ją chwyciło za kark. *Saidar* przemknął przez nią do Anaiyi, a kiedy próbowała się cofnąć — to ona sama, dotarło do niej, nie strumień — poczuła, że jej strumień został pochwycony przez większy i że teraz stapia się z nim.

Ogarnęła ją trwoga. Zorientowała się, że patrzy po twarzach pozostałych, zastanawiając się, czy one czują to samo. Była częścią czegoś, co przerastało ją samą, większego od niej samej. Nie samą Jedyną Mocą. W głowie kłębiły się emocje, strach, nadzieja, ulga — i... tak, trwoga, w znacznie większym natężeniu — a także opanowanie, którego źródłem musiały być Aes Sedai. Nie umiała nawet odróżnić własnych emocji od cudzych. Coś takiego powinno przejąć ją zimnym dreszczem, a mimo to miała wrażenie, że te kobiety są jej bliższe niż siostry, jakby wszystkie stanowiły jedno ciało. Szczupła Przyjęta o imieniu Ashmanaille uśmiechała się do niej ciepło, najwyraźniej odgadując jej myśli.

Nynaeve zapało dech, kiedy zrozumiała, że już nie jest zła. Gniew rozwiął się bez śladu, ustępując miejsca zadziwieniu. A mimo to strumień *saidara* utrzymywał się jakimś sposobem, od momentu, gdy kontrolę nad nim przejęła Błękitna siostra. Spojrzała na Nicolę, ale nie zobaczyła siostrzanego uśmiechu, tylko ten sam badawczy wzrok co zawsze. Odruchowo próbowała wyrwać się z połączenia, ale nic nie wskórała. Miała stanowić element kręgu dopóty, dopóki Anayia nie postanowi go przerwać.

Elayne połączyła się z większą łatwością, uprzednio wsunawszy srebrną bransoletę do kieszeni podomki. Twarz Nynaeve pokryła się zimnym potem. Co by było, gdyby Elayne weszła do połączenia już związana z Moghedien za pomocą *a'dam*? Nie miała pojęcia, a to sprawiało, że pytanie nasuwało tym bardziej ponure możliwości. Nicola przeniosła krzywe spojrzenie z Nynaeve na Elayne. Z pewnością nie była w stanie odróżnić jednych emocji od drugich, skoro sama Nynaeve nie potrafiła tego zrobić. Ostatnie dwie połączyły się równie sprawnie, Shimoku, piękna ciemnooka Kandoryjka, która została Przyjętą tuż przed rozła-



mem w Wieży, oraz Calindin, Tarabonianka z czarnymi włosami zaplecionymi w mnogość cienkich warkoczyków, Przyjęta od dobrych dziesięciu lat. Pierwsza z nich była kimś niewiele lepszym od nowicjuszki, druga z wielkim mozołem przyswajała każdy okrucuch wiedzy, a mimo to obie przyłączyły się bez żadnego trudu.

Nagle odezwała się Nicola, na poły śpiącym głosem:

— Miecz lwa, wierna włócznia, ona, która widzi na wskroś. Troje na łódce i ktoś, kto umarł, a mimo to żyje. Wielka bitwa skończyła się, ale świat jeszcze nie skończył z bitwą. Ziemia podzielona powrotem, na szalach służba i straż. Przyszłość huśta się na krawędzi ostrza.

Anaiya wbiła w nią wzrok.

— Co to było, dziecko?

Nicola zamrugła.

— Czy ja coś powiedziałam, Aes Sedai? — spytała słabym głosem. — Czuję się... dziwnie.

— Cóż, jeśli zbiera ci się na wymioty — powiedziała rzeczowym tonem Anaiya — to ulżyj sobie. Niektóre kobiety zachowują się śmiesznie przy pierwszym połączeniu. Nie mamy czasu na pieszczonienie się z twoim żołądkiem. — Podkasała spódnice i ruszyła w dół ulicy, jakby chciała to udowodnić. — Trzymajcie się blisko siebie, wszystkie. I krzyczcie, jeśli zauważycie coś, czym trzeba się zająć.

Z tym ostatnim raczej nie było problemu. Ludzie biegali po ulicach, głośno domagając się wyjaśnienia, co się właściwie dzieje, albo po prostu wołając o pomoc, a poza tym wciąż różne przedmioty poruszały się. Trzaskały drzwi i okna otwierały się z hukami, mimo iż nikt ich nie dotykał. Wnętrza domostw tętniły łomotem i wypluwały z siebie jakieś przedmioty. Na ulicy co chwila coś podskakiwało albo zaczynało gnać przed siebie: garnki, narzędzia, kamienie i co tylko jeszcze. Tłusta kucharka w koszuli nocnej z niemalże histerycznym śmiechem złapała wiadro, które wirowało w powietrzu, za to blademu, chudemu mężczyźnie, ubranemu w samą bieliznę, pękła z głośnym trzaskiem ręka, kiedy usiłował zatrzymać frunącą szczapę. Sznury oplątywały się wokół rąk i nóg, pełzły części ubrań. Nynaeve znalazła jakiegoś mocno owłosionego człowieka z głową szczelnie owiniętą koszulą; tak gwałtownie młócił ramionami, że nie dopuszczał do siebie nikogo, kto by próbował zerwać koszulę, zanim ta go udusi. Jakaś kobieta, której udało się wdziać suknię, ale już nie zdążyła zapiąć guzików, przywarła do skraj strzechy i wrzeszczała co sił w płucach, gdyż suknia usiłowała ją wywlec z domu, być może prosto do nieba.

Okazało się, że wcale nie jest trudniej radzić sobie z tymi rzeczami niż je znajdować. Strumienie Mocy, którymi — dzięki połączeniu — władała Anaiya, a także strumienie pochodzące z innych kręgów byłyby w stanie zatrzymać stado szarżujących byków, więc co tu mówić o zatrzymaniu imbryka, który zawziął się, że będzie fruwać. Poza tym każdy zatrzymany przedmiot, czy to Mocą czy

ręcznie, rzadko kiedy poruszał się ponownie. Cały problem polegał wyłącznie na tym, że tych przedmiotów było tak wiele. Z braku czasu kobiety przystawały po drodze i Uzdrawiały jedynie wtedy, gdy zagrożone było czyjeś życie; siniaki, krwawienia i połamane kości musiały poczekać, dopóki kolejna deska z płotu nie zostanie strącona na ziemię, zanim rozpołowi czyjąś czaszkę, dopóki kolejna beczułka nie znieruchomieje w samym środku dzikiego wirowania i nie złamie komuś nogi.

Nynaeve czuła, jak ogarnia ją zniechęcenie. Tyle rzeczy do opanowania; niby same drobiazgi, a jednak mężczyzna z twarzą roztrzaskaną przez patelnię albo kobieta uduszona własną koszulą byli równie nieżywi jak ktoś powalony Mocą. Nie tylko ją zresztą to przygnębiało; jej zdaniem zniechęcone były wszystkie kobiety uczestniczące w kręgu, nawet Aes Sedai. A mogła tylko maszerować z innymi i patrzeć, jak Anayia splata ich strumienie, zmagając się z tysiącem niewielkich niebezpieczeństw. Nynaeve dawała się prowadzić, całkowicie zaabsorbowana byciem z kilkunastoma innymi kobietami.

Anayia zatrzymała się wreszcie, marszcząc czoło; Nynaeve przeżyła przelotny wstrząs, gdy połączenie zostało przerwane. Przystanąła na chwilę, ślaniając się na nogach i tępo wytrzeszczając oczy. Zamiast wrzasków i krzyków teraz było słychać jęki i płacz; na całej długości ulicy oświetlonej bladym światłem pełni kręcili się ludzie, którzy usiłowali pomóc rannym. Sądząc po położeniu księżyca, nie minęła nawet godzina, a mimo to Nynaeve miała wrażenie, że musiało ich upłynąć dziesięć. Bolały ją plecy, szczególnie w tym miejscu, w które uderzył zydeł, trzęsły jej się kolana i miała wielką ochotę przemyć oczy. A od ziewania aż nadwreżyły jej się mięśnie żuchwy.

— Zupełnie nie tego spodziewałam się po Przeklętym — mruknęła Anayia, na poły tylko do siebie. Z brzmienia jej głosu wynikało, że też jest zmęczona, a jednak złapawszy Nicolę za ramię, zabrała się z miejsca za kolejną rzecz, którą należało zrobić. — Przecież ty ledwie stoisz. Do łóżka. Maszeruj, dziecko. Porozmawiam z tobą jutro rano, jeszcze przed śniadaniem. Angla, ty zostajesz; możesz się znowu połączyć i użyć trochę siły do Uzdrawiania. Lanita, do łóżka.

— To nie byli Przekłęci — powiedziała Nynaeve. A właściwie wybełkotała. Światłości, jaka ona była zmęczona. — To bańka zła. — Trzy Aes Sedai spojrzały na nią wytrzeszczonymi oczyma, podobnie zresztą jak Przyjęte, wszystkie z wyjątkiem Elayne, oraz nowicjuszek. Nawet Nicola, która jeszcze nie zdążyła odejść. Raz przynajmniej Nynaeve nie interesowało, że ta kobieta ją taksuje wzrokiem; była zanadto śpiąca, żeby ją to obchodziło.

— Widziałyśmy taką w Łzie — dodała Elayne. — W Kamieniu. — Co prawda wtedy widziały tylko skutki, ale nigdy wcześniej się nie spodziewały, że znajdują się aż tak blisko. — Sammael nie rzuciłby w nas patykami.

Ashmanaille wymieniła nieodgadnione spojrzenia z Bharatine, Zieloną, która jakimś sposobem potrafiła sprawić, że jej chude jak tyka ciało wyglądało smukło,

a długi nos elegancko.

Anaiya nawet nie mrugnęła.

— Zdaje się, że zostało ci jeszcze mnóstwo energii, Elayne. Ty też możesz dopomóc w Uzdrawianiu. A ty, Nynaeve... Znowu go wypuściłaś, prawda? Tak wyglądasz, jakby trzeba cię było zanieść do łóżka, ale niestety sama będziesz musiała znaleźć drogę. Shimoku, wstań i idź się położyć, dziecko. Calindin, ty idziesz ze mną.

— Anayia Sedai — zaczęła ostrożnie Nynaeve. — Elayne i ja znalazłyśmy coś tej nocy. Gdybyśmy tak mogły porozmawiać z tobą w cztery...

— Jutro, dziecko. Idź teraz do łóżka. Natychmiast, zanim się przewrócisz. — Anayia nawet nie zaczęła, żeby sprawdzić, czy jej usłuchała. Pociągnawszy za sobą Calindin, podeszła do jęczącego mężczyzny, który leżał z głową ułożoną na kolanach jakiejś kobiety i pochyliła się nad nim. Ashmanaille pociągnęła Elayne w drugą stronę, a Bharatine zabrała Anglę. Elayne obejrzała się przez ramię na Nynaeve i nieznacznie pokręciła głową, zanim zniknęła w tłumie.

Cóż, może nie był to ani czas, ani miejsce na rozmowy o czarze i Ebou Dar. Anaiya zareagowała dziwnie, wręcz jakby poczuła rozczarowanie, słysząc, że to wcale nie był atak Przekłętego. Dlaczego? Ze zmęczenia nie potrafiła myśleć sprawnie. Wprawdzie to Anayia kierowała splotami, ale *saidar* przepływał przez Nynaeve dobrą godzinę, a czymś takim zmęczyłby się nawet porządnie wyspany człowiek.

Nynaeve zachwiała się i w tym momencie dostrzegła przelotnie Theodrin. Kobieta Domani kuśtykała obok dwóch odzianych w biel nowicjuszek, zatrzymując się przy tych rannych, którym mogła dopomóc swymi ograniczonymi umiejętnościami w dziedzinie Uzdrawiania. Nie zauważyła Nynaeve.

„A właśnie, że pójde się położyć — pomyślała przekornie Nynaeve. — Tak mi kazała Anayia Sedai”.

Dlaczego Anayia wyglądała na rozczarowaną? Cały czas nie dawała jej spokoju jakaś myśl kołącząca się w zakamarku umysłu, ale ze zmęczenia nie potrafiła jej uchwycić. Powłóczyła nogami, prawie potykając się na równym gruncie. Pójdzie spać, a Theodrin niech sobie zareaguje, jak chce.

# GÓRA PIASKU

Egwene otworzyła oczy, mając wrażenie zawieszenia w pustce. Przez chwilę leżała na posłaniu, odruchowo gładząc pierścień z Wielkim Wężem, zawieszony na rzemyku oplatającym szyję. Noszenie go na palcu ściągało zbyt wiele dziwnych spojrzeń. Łatwiej było uchodzić za uczennicę Mądrych, jeśli nikt jej nie uważał za Aes Sedai. Którą, rzecz jasna, nie była. Była Przyjętą, ale od tak dawna już udawała Aes Sedai, że czasami wręcz zapomniała, że nią nie jest.

Pod klapą zasłaniającą wejście do namiotu przeciskała się do środka odrobina światła słonecznego, ledwie rozjaśniając wnętrze. Równie dobrze mogła wcale nie spać, czuła pulsowanie w skroniach. Od dnia, w którym Lanfear omal nie zabiła jej i Aviendhy, od dnia, w którym Przekłeta i Moiraine zabiły się wzajem, zawsze po wyprawie do *Tel'aran'rhiod* bolała ją głowa, aczkolwiek nigdy tak mocno, by stanowiło to problem. W każdym razie jeszcze w Dwu Rzekach Nynaeve udzieliła jej pani porad co do stosowania ziół; w Cairhien udało jej się znaleźć kilka właściwych gatunków. Od naparu z korzenia usypiajki zachce jej się spać — była taka zmęczona, że może nawet będzie spała przez wiele godzin — i z pewnością pozbędzie się bólu głowy.

Wstała, rozprostowała zmiętą, przesiąkniętą potem koszulę i podreptała po warstwach dywaników do umywalki, misy wyrzeźbionej z kryształu, w której kiedyś zapewne podawano jakiemuś arystokracie poncz. Niezależnie od pierwotnego przeznaczenia nadawała się do trzymania wody równie dobrze jak pokryty niebieską glazurą dzban; woda nie była chłodna, kiedy Egwene opryskała nią twarz. W małym lusterku w złożonych ramach wspartym o ciemną ścianę namiotu zobaczyła odbicie własnych oczu i wtedy się zaczerwieniła.

— No i co? I coś ty sobie właściwie wyobrażała? — wyszeptwała. Nigdy by nie pomyślała, że to będzie możliwe, a jednak twarz w lustrze stała się jeszcze bardziej purpurowa.

To był tylko sen, nie wyprawa do *Tel'aran'rhiod*, gdzie to, co się z tobą działo, po przebudzeniu okazywało się równie realne. A jednak pamiętała wszystko, jakby to się stało naprawdę. Miała wrażenie, że policzki zaraz jej spłoną. To tylko sen i na dodatek sen Gawyna. On nie miał prawa śnić o niej w taki sposób!

— Wszystko to jego sprawka — powiedziała ze złością do twarzy w lustrze.

— Nie moja! Ja nie miałam tu żadnego wyboru! — Rozgniewana zamknęła usta. Próbuje zwalić całą winę na sny jakiegoś mężczyzny. I gada do lustra, jak dziewczyna obdarzona gęsim mózdzkiem.

Podeszła do kłapy przestaniającej wyjście i, pochyliwszy się, wyjrzała na zewnątrz. Niski namiot rozbito na skraju obozowiska Aielów. W odległości jakichś dwu mil, na zachodzie wznosiły się na paśmie nagich wzgórz szare mury Cairhien; przed nimi nie było nic oprócz wstęgi wypalanej ziemi, tam gdzie kiedyś znajdowało się podgrodzie miasta zwane Przednią Bramą. Słońce musiało dopiero co wyrzeć znad horyzontu, sądząc po ostrym świetle, ale Aielowie już krzatali się wokół namiotów.

Nie wstanie wcześniej tego ranka. Po całej nocy spędzonej poza ciałem — znowu poczuła, jak palą ją policzki, Światłości, czy miała już do końca życia tak się czerwienić z powodu jakiegoś snu? — będzie spała do popołudnia. Zapach owsianki za nic nie pomagał na ociężałe powieki.

Półżywa padła z powrotem na koce i zaczęła masować skronie. Była zbyt zmordowana, żeby szykować teraz napar z korzenia usypiajki, uznała zresztą, że w tym stanie wcale go nie potrzebuje. Tępy ból zawsze zanikał po jakiejś godzinie, kiedy się obudzi powtórnie, już go nie będzie czuła.

Biorąc wszystko pod uwagę, nie było w tym nic dziwnego, że jej sny wypełnił Gawyn. Czasami śnił jej się któryś z jego snów, oczywiście nie dokładnie; w jej wersjach po prostu nie dochodziło do pewnych krępujących zdarzeń albo ich przebieg ulegał pewnym upiększeniom. Wspólnie oglądali wschody i zachody słońca, przy czym Gawyn recytował wiersze i obejmował ją czule. Nie jąkał się ponadto, kiedy wyznawał miłość. I był równie przystojny jak w rzeczywistości. Poza tym miała również własne sny. Pełne czułych pocałunków, które trwały całą wieczność. On klęczał, a ona tuliła jego głowę w dłoniach. Niektóre sny w ogóle nie miały sensu. Dwukrotnie, raz za razem, śniło jej się, że bierze go za ramiona i wbrew niemu usiłuje odwrócić jego twarz. Raz on brutalnie odepchnął jej rękę, innym razem ona okazała się silniejsza od niego. Te dwa sny zmieszały się ze sobą w mglistą całość. W innym on pchnął jakieś drzwi, które zaczęły się za nią zamykać, wiedziała, że gdy ta zacieśniająca się świetlna kreska zniknie, to ona umrze.

Sny kotłowały jej się w głowie, nie wszystkie o nim, i przeważnie koszmarnie.

Przyśnił jej się Perrin; stał nad nią, u jego stóp leżał wilk, na ramionach przypuły jastrząb i sokół, które obrzucały się wzajem groźnymi spojrzeniami. Wyraźnie nieświadomy ich obecności, starał się odrzucić topór, aż w pewnym momencie poderwał się i pobiegł; topór frunął przez powietrze, ścigając go. I jeszcze raz Perrin; uciekał przed jakimś Druciarzem, coraz szybciej, i nie chciał zawrócić, mimo że go wołała. Potem Mat; mówił jakieś dziwne słowa, których nie rozumiała — uznała, że to Dawna Mowa — dwa kruki przysiadły mu na ramionach i zatopiły szpony w ciele okrytym kaftanem. Zdawał się ich tak samo nie zauwa-

zać jak Perrin jastrzębia i sokoła, a mimo to przez jego twarz przemknął najpierw wyraz buntu, a potem ponurej akceptacji. W innym śnie kobieta, z twarzą skrytą w cieniu, nakłaniała go do wielce niebezpiecznego przedsięwzięcia. Egwene nie miała pojęcia, na czym owo niebezpieczeństwo polegało, tyle tylko, że było to coś potwornego. Kilka snów o Randzie, nawet nie takich koszmarnych, ale za to dziwnych. Elayne, która jedną ręką zmuszała go, by ukląkł. Elayne, Min i Avien-dha, siedzące wokół niego w milczącym kręgu; każda po kolei podawała się do przodu, by go dotknąć. On idący w stronę płonącej góry, coś chrzęściło mu pod stopami. Miotła się i pojękiwała; te chrzęszczące przedmioty to były pieczęcie więzienia Czarnego, rozpadały się pod każdym jego krokiem. Wiedziała to. Nie musiała ich widzieć, żeby wiedzieć, czym są.

Sny, nasycone strachem, stawały się coraz gorsze. Złapały ją te dwie niezna-jome kobiety, które widywała w *Tel'aran'rhiod*, i zawlekły do stołu, wokół którego siedziały inne kobiety z twarzami ukrytymi pod kapturami; kiedy je zdjęły, okaza-ło się, że każda z nich to Liandrin, Czarna siostra, która pojmała ją w Łzie. Jakaś Seanchanka o ostrych rysach twarzy podała jej srebrną bransoletę i naszyjnik, po-łączone srebrzystą smyczą, *a'dam*. Na ich widok głośno krzyknęła; Seanchanie ubrali ją kiedyś w smycz. Woląta umrzeć niż pozwolić, żeby to z nią zrobiono raz jeszcze. Znowu Rand; biegął po ulicach Cairhien i, głośno się zaśmiewając, wysa-dzał w powietrze budynki i ludzi przy pomocy błyskawic i ognia, a za nim biegli inni mężczyźni, którzy ciskali Mocą; w Cairhien obwieszczono tę jego okropną amnestię, ale przecież z pewnością żaden mężczyzna nie chciał przenosić z wła-snego wyboru. Mądre schwytały ją jak jakieś zwierzę w *Tel'aran'rhiod*, po czym sprzedały na ziemiach położonych za Pustkowiec Aiel; tak postępowały z Cair-hienianami znalezionymi w Pustkowiec. Stała obok własnego ciała i widziała, jak topnieje jej twarz, a czaszka pęka i otwiera się; jakieś postacie o niewyraźnych konturach szturchały ją twardymi kijami. Szturchały ją. Szturchały...

Usiadła, głośno łapiąc oddech, a Cowinde przykucnęła na piętach obok posła-nia, pochylając głowę skrytą w kapturze białej wełnianej szaty.

— Wybacz mi, Aes Sedai. Chciałam cię tylko obudzić na śniadanie.

— Ale nie musiałaś mi wywiercać dziury w żebrach — burknęła Egwene i natychmiast zrobiło jej się głupio.

Irytacja, która rozbłysła w ciemnoniebieskich oczach Cowinde, przygasła mo-mentalnie, chowając się za maską potulnej akceptacji, jak przystało na *gai'shain*. *Gai'shain* przysięgali, że będą pokornie okazywać posłuszeństwo i nie dotykać broni przez rok i jeden dzień; akceptowali wszystko, co im się przydarzało, czy to nieprzyjemne słowo, czy cios, nawet nóż wbity w serce. A przy tym — w przy-padku Aiela — zabicie *gai'shain* równało się zabiciu dziecka. Wymówki nie było; sprawca zostałby zgładzony przez własnego brata albo siostrę. A mimo to Egwene nie miała wątpliwości, że to, co widzi, to tylko maska. *Gai'shain* bardzo się stara-li o jej utrzymanie, ale ostatecznie byli Aielami, a mniej potulnych ludzi Egwene

nie umiała sobie wyobrazić. Nawet ktoś taki jak Cowinde, która nie chciała zrezygnować z bieli, kiedy jej jeden rok i jeden dzień dobiegły końca. Jej odmowa była aktem uporczywości, dumy i buntu, upodabniającym ją do mężczyzny, który nie chce ustąpić z pola walki nawet wtedy, gdy naciera nań dziesięciu wrogów. W takie to komplikacje wciągało ich *ji'e'toh*.

Z tego między innymi powodu Egwene starała się liczyć ze słowami, kiedy przemawiała do *gai'shain*, zwłaszcza takich jak Cowinde. Oni nie dysponowali niczym, czym mogliby się bronić, tak by jednocześnie nie naruszyć wszystkiego, w co wierzyli. Z drugiej zaś strony Cowinde była Panną Włóczni i miała nią zostać ponownie, kiedy już da się przekonać do zdjęcia szaty. Gdyby nie brać pod uwagę Mocy, najprawdopodobniej zdolna byłaby związać Egwene na supeł, jednocześnie nie przerywając ostrzenia włóczni.

— Kiedy ja nie chcę śniadania — powiedziała jej Egwene. — Odejdź, proszę, i daj mi spać.

— Nie chcesz śniadania? — spytała Amys, która właśnie wsunęła głowę do wnętrza namiotu, poszczekując naszyjnikami i bransoletami z kości słoniowej, srebra i złota. Nie nosiła pierścieni — żadna z kobiet Aiel ich nie nosiła — za to obwieszała się takimi ilościami innej biżuterii, że dałoby się obdzielić nimi trzy kobiety. — Myślałam, że odzyskałaś już apetyt.

Za nią do środka weszły Bair i Melaine, każda podobnie przystrojona biżuterią. Należały do różnych klanów, ale podczas gdy większość Mądrych, które przekroczyły Mur Smoka, trzymała się blisko swych szczepów, te trzy kazały rozbić swe namioty w jednym miejscu. Zasiadły na kolorowych, ozdobionych frędzelkami poduszkach u stóp jej posłania, poprawiając ciemne szale, bez których kobiety Aiel zdawały się nigdy nie obywać. A w każdym razie te, które nie należały do *Far Dareis Mai*. Amys była równie siwa jak Bair, o ile jednak twarz Bair pokrywały głębokie zmarszczki, o tyle Amys wyglądała dziwnie młodo, być może przez ten kontrast między włosami a twarzą. Twierdziła, że już jako dziecko miała równie bladą cerę.

Zazwyczaj to Bair albo Amys wodziły rej w tej trójcy, ale tego dnia pierwsza przemówiła Melaine, słonecznowłosa i zielonooka.

— Jak nie zaczniesz jeść, to nigdy nie wydobrzejesz. Zastanawialiśmy się, czy pozwolić ci wziąć udział w najbliższym spotkaniu z Aes Sedai. One za każdym razem się dopytują, kiedy ty przyjdiesz. . .

— I za każdym razem robią z siebie istne idiotki z bagien — wtrąciła zgryźliwie Amys. Nie była z natury złośliwa, ale zaczęła być jakby za sprawą Aes Sedai z Salidaru. A może tylko od samego spotykania się z nimi. Zgodnie z obyczajem Mądre ich unikały, zwłaszcza te Mądre, które potrafiły przenosić, jak Amys i Melaine. Ponadto bynajmniej nie były zachwycone faktem, że Aes Sedai zastąpiły Nynaeve i Elayne podczas tych spotkań. Podobnie zresztą jak Egwene. Wedle jej przypuszczeń Mądre uznały, iż wpoily tym dwóm respekt wobec *Tel'aran'rhiod*.

Z tych fragmentarycznych informacji, które słyszała o obecnych spotkaniach, wynikało, że Aes Sedai nie dały sobie wpoić niczego. Bardzo niewiele rzeczy wywierało wrażenie na Aes Sedai.

— Ale być może powinnyśmy przemyśleć to raz jeszcze — ciągnęła spokojnie Melaine. Przed jej ostatnim małżeństwem potrafiła dźgać słowem niczym krzew cierniami, obecnie jednak mało co potrafiło zmacić jej opanowanie. — Nie wolno ci wracać do snu, dopóki nie odzyskasz pełni sił.

— Masz małe oczy — zauważyła troskliwie Bair cienkim głosem, który znakomicie harmonizował z twarzą. Niemniej jednak pod wieloma względami była najtwardsza z tych trzech. — Czyżbyś źle spała?

— A mogła spać dobrze? — spytała gderliwym tonem Amys. — Trzykrotnie podczas ubiegłej nocy starałam się zajrzeć do jej snu i nic nie znalazłam. Ktoś, komu nic się nie śni, nie jest w stanie dobrze się wyspać.

Na krótką chwilę Egwene zaschło w ustach, język przywarł do podniebienia. Nadejdzie kiedyś taka noc, kiedy odkryją, że przez kilka godzin nie wracała do swego ciała.

Melaine zmarszczyła czoło. Nie patrzyła jednak na Egwene, tylko na Cowinde, która nadal klęczała ze spuszczoną głową.

— Obok mojego namiotu leży góra piasku — powiedziała głosem przypominającym jej dawny ostry ton. — Przeszukasz ją, ziarnko po ziarnku, aż znajdziesz jedno czerwone. Jeśli to nie będzie to, którego szukam, to będziesz musiała zacząć od nowa. Możesz odejść. — Cowinde ukloniła się tylko, tak głęboko, że aż dotknęła twarzą kolorowych dywaników, po czym wypadła pędem z namiotu. Melaine spojrzała na Egwene i uśmiechnęła się przyjaźnie. — Wyglądasz na zdziwioną. Jeśli ona z własnej woli nie postąpi właściwie, to ja ją do tego zmuszę. Nadal jestem za nią odpowiedzialna, ponieważ ona twierdzi, że wciąż mi służy.

Długie włosy Bair zakołysały się, kiedy potrząsnęła głową.

— To na nic. — Poprawiła szal na kościstych ramionach. Odziana w cienką koszulę Egwene cała się już spociła, mimo iż słońce jeszcze nie całkiem wzeszło, jednak Aielowie byli przyzwyczajeni do jeszcze większego skwaru. — Biłam Jurika i Beirę tak mocno, że aż mnie rozboleła ręka, ale choćbym nie wiem ile razy kazała im zdjąć biel, wdziewali szaty przed zachodem słońca.

— To obrzydliwe — mruknęła Amys. — Od czasu, kiedy wkroczyliśmy na mokre ziemie, jedna czwarta tych, których czas dobiegł końca, nie chce wrócić do swych szczepów. Oni wypaczają znaczenie *ji'e'toh*.

To było dzieło Randa. Ujawnił wszystkim to, o czym dotychczas wiedzieli tylko wodzowie klanów i Mądre, mianowicie że w dawnych czasach Aielowie nie dotykali broni i nigdy nie uciekali się do przemocy. Dlatego część uwierzyła, że wszyscy powinni być *gai'shain*. Inni natomiast z tego samego powodu nie chcieli uznać Randa jako *Car'a'carna* i codziennie kilku odchodziło do Shaido, obozujących w górach na północy. Niektórzy zwyczajnie odrzucali broń i znikali, nikt nie



wiedział, co się z nimi działo. Opanowani przez apatię, tak o tym mówili Aielowie. Dla Egwene najdziwniejsze w tym wszystkim było to, że z wyjątkiem Shaido żaden z Aielów nie winił Randa. Proroctwo Rhuidean twierdziło, że *Car'a'carn* zabierze ich z powrotem i zniszczy. Nikt raczej nie wiedział, dokąd ma ich zabrać, ale zapowiedź, że ich zniszczy w jakiś nieznany sposób, akceptowali z równym spokojem, z jakim Cowinde podjęła się swego daremnego trudu.

W tej chwili Egwene nic by nie obeszło, gdyby wszyscy Aielowie w Cairhien wdziali białe szaty. Co to będzie, jeżeli Mądre choćby nabiorą podejrzeń odnośnie do jej potajemnych dążeń... Przekopałyby pewnie sto gór piasku, i to z własnej woli, ale nie sądziła, że tak szczęśliwie by się to skończyło. Jej kara byłaby znacznie gorsza. Amys zapowiedziała kiedyś, że jeśli nie będzie robić dokładnie tego, co jej się każe — Świat Snów był zanadto niebezpieczny, więc musiała to obiecać — to przestanie ją uczyć. Inne bez wątpienia by ją poparły; takiej właśnie kary bała się najbardziej. Już lepiej tysiąc gór piasku pod palącym słońcem.

— A tobą co tak wstrząsnęło? — zachichotała Bair. — Amys wcale nie sierzdzi się na wszystkich mieszkańców mokradeł, a już z pewnością nie na ciebie, która jesteś nam tak bliska jak córka, wychowana w naszych namiotach. Tu idzie o twoją siostrę Aes Sedai. Ta, której imię brzmi Carlinya, zasugerowała, że być może trzymamy cię wbrew twojej woli.

— Zasugerowała? — Jasne brwi Amys niemalże zetknęły się z linią włosów. — Ta kobieta to powiedziała!

— I nauczyła się, że powinna lepiej strzec języka — zaśmiała się Bair, kołysząc się na szkarłatnej poduszce. — Założę się, że się nauczyła. Kiedy je opuszczaliśmy, ciągle jeszcze skomlała i strzepywała szkarłatne purchawy z sukni. Szkarłatna purchawa — powiedziała poufałym tonem do Egwene — przypomina czerwoną żmiję, jeśli masz oko równie mało spostrzegawcze jak mieszkanka bagien, ale wcale nie jest jadowita. Ale wije się, jeśli ją złapać.

Amys pociągnęła nosem.

— Znikłyby, gdyby tylko tego sobie w myślach zażyczyła. Ta kobieta niczego się nie uczy. Aes Sedai, którym służyliśmy w Wieku Legend, nie mogli być takimi durniami. — Mówiła to wszystko łagodniejszym głosem.

Melaine krztusiła się całkiem otwarcie, a Egwene mimo woli zachichotała. Dowcipy Aielów bywały niezrozumiałe, ale nie w tym przypadku. Carlinyę widziała tylko trzy razy, niemniej jednak wizja tej sztywnej, wyniosłej kobiety, jak podskakuje w miejscu, chcąc pozbyć się węży ze swej sukni... z trudem się powstrzymała, żeby nie wybuchnąć głośnym śmiechem.

— Przynajmniej masz dobry nastrój — stwierdziła Melaine. — Bóle głowy nie wróciły?

— Z moją głową wszystko w porządku — skłamała Egwene, a Bair pokiwała głową.

— To dobrze. Martwiłyśmy się, kiedy nie chciały ustąpić. Nie powinny ci

dokuczać, dopóki jeszcze przez jakiś czas powstrzymasz się od wchodzenia do snu. Nie obawiaj się, że pozostawią jakieś złe skutki, ciało wykorzystuje ból po to, by nam przypomnieć, że czas na odpoczynek.

Słyszac to, Egwene omal się znowu nie zaśmiała, mimo iż wcale jej to nie rozbawiło. Aielowie lekceważyli otwarte rany i połamane kości, przekonani, że lepiej ich wtedy nie nękać.

— Jak długo jeszcze nie wolno mi będzie tego robić? — spytała. Nie znosiła ich okłamywać, ale jeszcze bardziej nie znosiła nic nie robić. Przez pierwsze dziesięć dni po cięgach, jakie zadała jej Lanfear, czuła się dość paskudnie; wystarczy, że o czym zaczęła myśleć, a od razu pękała jej głowa. A kiedy bóle zelżały, to coś, co jej matka nazywała „swędzącymi rękoma próżniactwa”, zagnało ją do *Tel'aran'rhiod* za plecami Mądrych. Człowiek niczego się nie uczy w trakcie odpoczywania. — Najbliższe spotkanie, powiedziałyście?

— Być może — odparła Melaine i wzruszyła ramionami. — Zobaczymy. Ale musisz jeść. Jeżeli nie masz ochoty na jedzenie, to znaczy, że dzieje się coś złego, coś, o czym nie wiemy.

— Ależ ja mogę jeść. — Owsianka, którą gotowano przed namiotem, rzeczywiście pachniała znakomicie. — Ja się chyba po prostu rozleniwiłam. — Powstanie z łóżka bez skrzywienia się stanowiło dość trudne zadanie; jej głowie wcale się nie spodobało, że już ją ruszają. — Ostatniej nocy przyszły mi do głowy kolejne pytania.

Rozbawiona Melaine przewróciła oczami.

— Od czasu, gdy zostałam ranna, zadajesz pięć pytań na każde, jakie zadałam wcześniej.

A to dlatego, że sama próbowała rozwiązywać różne kwestie. Tego, oczywiście, nie mogła powiedzieć, więc wyciągnęła czystą koszulę z jednego z małych kuferek ustawionych rzędem pod ścianą namiotu i zastąpiła nią tę przepoconą.

— Trzeba pytać — powiedziała Bair. — Pytaj.

Egwene starannie dobierała słowa. I jednocześnie nadal się ubierała, starając się nie okazywać zdenerwowania drżeniem rąk, w taką samą białą bluzkę *algode* i obszerną wełnianą spódnice, jakie nosiły Mądre.

— Czy cudzy sen może nas wciągnąć wbrew naszej woli?

— Oczywiście, że nie — odparła Amys — chyba że w dotykaniu masz dwie lewe ręce.

Bair niemalże weszła jej w słowo.

— Tylko wtedy, gdy są w to zaangażowane silne emocje. Możesz zostać wciągnięta, jak będziesz próbowała obserwować sen kogoś, kto cię kocha albo nienawidzi. Albo jeśli to ty kochasz albo nienawidzisz śniącego. Dlatego właśnie my nie odważamy się obserwować snów Sevanny ani nawet rozmawiać z Mądrymi Shaido podczas ich snów. — Egwene do teraz nie przestała się dziwić, że te kobiety, a także inne Mądre, odwiedzały i rozmawiały z Mądrymi Shaido. Wprawdzie

Mądre miały być ponad waśniami krwi i bitwami, ale jej zdaniem Shaido swym sprzeciwieniem się *Car'a'carnowi*, przysięgami, że go zabiją, w takim stopniu pogwałcili obyczaje, że utracili prawo również do tej tradycji. — Opuszczenie snu kogoś, kto cię nienawidzi albo kocha — zakończyła Bair — przypomina próbę wydostania się z głębokiej jamy o stromych ścianach.

— Tak to jest. — Amys nagle jakby odzyskała humor, spojrzała z ukosa na Melaine. — Dlatego właśnie żadna spacerująca po snach nie popełnia tego błędu, jakim jest obserwowanie snów własnego męża. — Melaine patrzyła prosto przed siebie, z pociemniałą twarzą. — A w każdym razie nie popełnia tego błędu dwukrotnie — dodała Amys.

Bair uśmiechnęła się szeroko, przez co jej zmarszczki jeszcze bardziej się pogłębiły; wyraźnie omijała wzrokiem Melaine.

— To się może zakończyć prawdziwą katastrofą, zwłaszcza jeśli twój mąż jest na ciebie zły. Weźmy na przykład, ot z powietrza, taki przykład: *ji'e'toh* zabiera go daleko od ciebie, a ty zachowujesz się głupio jak jakieś dziecko i mówisz mu, że ma nie odchodzić, jeśli cię kocha.

— Odbiegasz o wiele za daleko od jej pytania — sztywno zauważyła Melaine z poczerwieniałą twarzą. Bair głośno zarechotała.

Egwene zwalczyła ciekawość i rozbawienie. Postarała się, by jej głos zabrzmiał jeszcze bardziej rzeczowo.

— A jeśli wcale się nie starasz zajrzeć do środka? — Kiedy Melaine obdarzyła ją spojrzeniem pełnym wdzięczności, poczuła wyrzuty sumienia. Ale nie dostatecznie silne, by wyzbyła się zamiaru rozpytywania o tę historię kiedy indziej. Wszystko, co sprawiło, że Melaine tak się czerwieniła, musiało być bardzo śmieszne.

— Słyszałam o takim przypadku — odparła Bair — kiedy byłam młoda i właśnie zaczynałam się uczyć. Moją nauczycielką była wtedy Mora, Mądra z Siedziby Colrada; twierdziła, że w przypadku bardzo silnych emocji, miłości albo nienawiści tak wielkiej, że brakuje miejsca na cokolwiek innego, wystarczy wiedzieć o śnie danej osoby, by dać się do niego wciągnąć.

— Nigdy o czymś takim nie słyszałam — rzekła Melaine. Amys zrobiła tylko minę wyrażającą powątpiewanie.

— Ja też słyszałam o tym wyłącznie z ust Mory — powiedziała im Bair — ale to była niezwykła kobieta. Kiedy zmarła od ukąszenia węża, mówiono, że miała niebawem ukończyć trzysta lat, a mimo to wyglądała równie młodo jak każda z was. Ja byłam wtedy młodą dziewczyną, ale pamiętam ją bardzo dobrze. Znała się na mnóstwie rzeczy i bardzo silnie przenosiła. Przychodziły się do niej uczyć Mądre z wszystkich klanów. Moim zdaniem rzadko się trafia miłość albo nienawiść tak wielka, niemniej jednak Mora twierdziła, że jej to się zdarzyło dwukrotnie, raz z pierwszym mężczyzną, którego poślubiła, i raz z rywalem jej trzeciego męża.

— Trzysta lat? — zakrzyknęła Egwene, w połowie przerywając sznurowanie buta. Nawet Aes Sedai z pewnością nie żyły tak długo.

— Przecież powiedziałam, że tak było — odparła Bair, uśmiechając się. — Niektóre kobiety starzeją się wolniej niż inne, jak na przykład Amys, a w przypadku kobiety takiej jak Mora, rodzą się legendy. Któregoś dnia opowiem wam o tym, jak Mora przeniosła górę.

— Innego dnia? — spytała Melaine odrobinę zbyt uprzejmie. Najwyraźniej ciągle jeszcze boleśnie przeżywała to, co jej się przytrafiło we śnie Baela, cokolwiek to było, a także fakt, że inne Mądre o tym wiedziały. — Nasłuchałam się opowieści o Morze, kiedy byłam małą; chyba wszystkich nauczyłam się na pamięć. Musimy dopilnować, by Egwene została nakarmiona, o ile ona kiedykolwiek skończy się ubierać. — Błysk w zielonych oczach mówił, że zamierza dopilnować, by każdy kęs trafił do żołądka Egwene, najwyraźniej nie wyzbyła się podejrzeń co do stanu jej zdrowia. — I musimy też odpowiedzieć jej na pozostałe pytania.

Spanikowana Egwene gorączkowo próbowała wymyślić jakieś inne. Zazwyczaj dysponowała całym wachlarzem pytań, ale po zdarzeniach tej nocy przychodziło jej do głowy tylko tamto jedno. Gdyby na nim poprzestała, wówczas mogłyby się zastanawiać, czy przypadkiem nie dlatego je zadała, bo wykradła się, żeby podglądać cudze sny. Jeszcze jedno pytanie. Nie dotyczące jej własnych, dziwnych snów. Niektóre z nich prawdopodobnie miały jakieś znaczenie, tylko niestety, na razie nie potrafiła ich rozszyfrować. Anaiya twierdziła, że Egwene jest Śniącą, zdolną przepowiadać przebieg przyszłych zdarzeń i razem z pozostałymi uważały, że to możliwe, jednak utrzymywały, że musi dojść do tego sama. Poza tym nie była pewna, czy rzeczywiście chce z kimś rozmawiać o swoich snach. Jak na jej gust, te kobiety wiedziały już za dużo na temat tego, co się działo w jej głowie.

— Aha... a co z tymi spacerującymi po snach, które nie są Mądrymi? Chce spytać, czy zdarza wam się spotykać inne kobiety w *Tel'aran'rhiad*?

— Czasami — odrzekła Amys — ale nie często. Bez przewodnika, który mógłby ją nauczać, taka kobieta może sobie nie zdawać sprawy z tego, co robi, i wierzyć tylko, że ma bardzo żywe sny.

— No i oczywiście — dodała Bair — przez to, że nie wie, jak jest naprawdę, może w takim śnie zginąć, zanim się nauczy...

Egwene odprężyła się, bo udało jej się oddalić od niebezpiecznego tematu. Uzyskała bardziej wyczerpującą odpowiedź, niż oczekiwała. Wiedziała teraz, że kocha Gawyna. „Czyżby? — szepnął jakiś głos. — A byłabyś gotowa przyznać się do tego?” A jego sny z pewnością oznaczały, że on kochał ją. Ale z kolei mężczyźni potrafili na jawie mówić rzeczy, które mijały się często z prawdą, a więc prawdopodobnie one mogły też im się śnić. Ale przecież uzyskała potwierdzenie Mądrych, że on kocha ją tak mocno, że aż pokonał wszystko, co ona...

Nie. Tym zajmie się kiedy indziej. Nawet nie wiedziała, w jakiej części świata on teraz przebywał. Najważniejsze, że wie już, na czym polega niebezpieczeństwo. Będzie potrafiła rozpoznać sny Gawyna następnym razem i dzięki temu ich uniknie. „O ile rzeczywiście tego chcesz” — szepnął cichy głos. Miała nadzieję, że Mądre wzięły ten pąs, który wykwitł na jej policzkach, za rumieniec zdrowia. Bardzo żałowała, że nie może się dowiedzieć, co znaczą jej sny. O ile cokolwiek w ogóle znaczą.

\* \* \*

Elayne, ziewając, wspięła się na kamienną werandę, dzięki czemu mogła się rozejrzeć ponad głowami tłumu. W Salidarze nie było tego dnia żołnierzy, ale ludzie bez reszty wypełnili ulicę, a także wywieszali się z okien, uciszali się wzajem i czekali z napięciem, wszyscy bez wyjątku wpatrzeni w Małą Wieżę. Słysząc było jedynie szuranie stóp i sporadyczne pokaskiwania powodowane przez unoszący się w powietrzu kurz. Upał wczesnego poranka sprawiał, że mało kto się w ogóle ruszał; tylko ten czy ów chłodził się za pomocą wachlarza albo kapelusza.

W przestrzeni między dwoma krytymi strzechą domami stała Leane, wsparta na ramieniu wysokiego mężczyzny o zaciętym wyrazie twarzy. Elayne nigdy go przedtem nie widziała. Bez wątpienia jeden z agentów Leane. Podczas gdy siatki szpiegowskie Aes Sedai składały się zasadniczo z samych kobiet, siatkę Leane zdawali się tworzyć przede wszystkim mężczyźni. Zazwyczaj nie afiszowała się z nimi publicznie, ale raz czy dwa Elayne zauważyła, jak klepała w policzek jakiegoś nieznanego albo jak uśmiechała się do pary obcych oczu. Nie miała pojęcia, jak Leane to robi. Była przekonana, że gdyby sama wypróbowała którąś z tych sztuczek Domani, to wbrew jej zamierzeniom taki mężczyzna pomyślałby, że ona obiecuje znacznie więcej, ci natomiast przyjmowali klepięcie i uśmiech od Leane, a zaraz potem odbiegali tak uszczęśliwieni, jakby dostali skrzynię pełną złota.

W innym miejscu Elayne wypatrzyła w tłumie Birgitte, roztropnie tego ranka trzymającą się od niej z daleka. Nigdzie natomiast nie widziała tej strasznej Areiny. Ta noc była bardziej niż szalona i Elayne położyła się spać dopiero wtedy, gdy niebo zaczęło już szarzeć. Tak naprawdę to w ogóle by się nie położyła, gdyby Birgitte nie powiedziała Ashmanaille, że jej zdaniem Elayne wygląda trochę mizernie. Nie chodziło zresztą o to, jak wyglądała; więc ze Strażnikiem działała w obie strony. No i co tego, jeśli była trochę zmęczona? Było mnóstwo rzeczy do zrobienia i nadal potrafiła przenosić silniej niż połowa Aes Sedai w Salidarze. A dzięki więzi dowiedziała się, że Birgitte w ogóle jeszcze nie kładła się spać!

Ją odesłano do łóżka jak jakąś nowicjuszkę, a tymczasem Birgitte całą noc nosiła rannych i usuwała zniszczenia!

Jedno spojrzenie upewniło ją, że Leane jest sama, że wciska się w tłum, szukając miejsca, skąd mogłaby lepiej wszystko obserwować. Wysoki mężczyzna zniknął bez śladu.

Tuż obok Elayne stanęła ziewająca Nynaeve; mimo zaspanych oczu skarciła wzrokiem jakiegoś odzianego w skórzaną kamizelę drwala, który usiłował wejść przed nią na werandę. Mężczyzna, burcząc coś do siebie, wcisnął się z powrotem w tłum. Elayne wołała, żeby Nynaeve tego nie robiła. To znaczy, żeby tak nie ziewała. Szczeka jej trzasnęła, zanim zdołała się powstrzymać. Birgitte miała może jakąś wymówkę, niewielką, ale nie Nynaeve. Theodrin raczej nie mogła od niej oczekiwać, że po takiej nocy nie będzie spała i Elayne na własne uszy słyszała, jak Anaiya kazała jej iść do łóżka, a mimo to, kiedy wróciła do izby, zastała Nynaeve balansującą na stołku z wywichniętą nogą, co dwie minuty kiwała głową i mruczała, że już ona pokaże Theodrin, w ogóle wszystkim pokaże.

Przez bransoletę *a'dam* do Elayne docierał strach, a także jakieś inne uczucie, być może rozbawienie. Moghedien spędziła całą noc pod łóżkiem, nietknięta, a ponieważ dobrze się ukryła, udało jej się nie podnieść ani jednego śmiecia. Wyspała się nawet całkiem nieźle, kiedy już całe zamieszanie się uspokoiło. Wychodziło na to, że dawne powiedzenie o szczęściu Czarnego czasem się jednak sprawdza.

Nynaeve znowu zaczęła ziewać, więc Elayne oderwała od niej wzrok. A mimo to musiała wepchnąć pięść do ust, niezbyt skutecznie starając się jej nie naśladować. Szuranie nóg i pokastywania nabrały niecierpliwego wydźwięku.

Zasiadające i Tarna ciągle jeszcze obradowały w Małej Wieży, ale deresz Czerwonej czekał już na ulicy przed dawną oberżą i kilkunastu Strażników w budzących niepokój, mieniących się płaszczach trzymało uzdy wierzchowców. Mieli towarzyszyć Tarnie podczas pierwszych mil podróży powrotnej do Tar Valon w charakterze eskorty honorowej. Tłum czekał na coś więcej niżli tylko odjazd emisariuszki z Wieży, a Elayne widziała, że większość ludzi jest równie zmęczona jak ona.

— Można by pomyśleć, że ona... ona... — Nynaeve popatrywała twardym wzrokiem zza swej dłoni.

— Och, krew i popioły — mruknęła Elayne, ale wszystko oprócz „och” zabrzmiało jak skrzek, stłumione przez pięść, którą wepchnęła do ust. Lini twierdziła, że tego typu uwagi to oznaka powolnego umysłu i kiepskiego poczucia humoru — a zaraz potem kazała przepłukiwać usta — ale czasami nie da się inaczej podsumować uczuć w kilku słowach. Powiedziałyby więcej, ale nie dano jej szansy.

— Czemu nie zorganizowały procesji na jej cześć? — warknęła Nynaeve. — Nie rozumiem, dlaczego robią tyle hałasu w związku z tą kobietą. — I znowu ziewnęła. Znowu!

— Bo to jest Aes Sedai, śpiochu — powiedziała Suan, przyłączając się do nich. — Dwa śpiochy — dodała, zerknąwszy na Elayne. — Jeszcze wam piskorze powpadają do ust, jak będziecie dalej tak ziewać. — Elayne zamknęła usta i obdarzyła kobietę najzimniejszym spojrzeniem, na jakie ją było stać. Które jak zwykle ześlizgnęło się po tamtej jak krople deszczu po glazurowanych dachówkach. — Tarna to Aes Sedai, moje dziewczątka — ciągnęła Suan, spoglądając na czekające konie. A może na uprzątniętą furę ustawioną przed jednym z kamiennych budynków. — Aes Sedai to Aes Sedai i nic tego nie zmieni.

Nie zauważyła spojrzenia, jakim obrzuciła ją Nynaeve.

Elayne cieszyła się, że Nynaeve poskromiła język; oczywista odpowiedź mogłaby się okazać brzemienią w skutkach.

— Jakie jest żniwo ubiegłej nocy?

Suan odpowiedziała, nie odrywając wzroku od miejsca, w którym miała pojawić się Tarna.

— Siedem ofiar tutaj, w wiosce. Prawie sto w obozowiskach żołnierzy. Przez te wszystkie walające się miecze i topory, których nikt nie mógł zatrzymać za pomocą przenoszenia. Są tam teraz siostry i Uzdrawiają.

— Lord Gareth? — spytała Elayne z pewnym niepokojem. Ten człowiek mógł traktować ją teraz chłodno, ale kiedyś, gdy była mała, uśmiechał się do niej ciepło i zawsze miał w kieszeniach karmelki.

Suan parsknęła tak głośno, że ludzie podwracali głowy w jej stronę.

— Ten — burknęła. — Rybolew połamałby sobie zęby na tym człowieku.

— Jak się zdaje, masz znakomity nastrój tego ranka — zauważyła Nynaeve. — Czyżbyś nareszcie się dowiedziała, jaka jest treść posłania z Wieży? A może Gareth Bryne ci się oświadczył? Albo ktoś umarł, pozostawiając ci w spadku. . .

Elayne robiła wszystko, żeby nie spojrzeć na Nynaeve; już od samego odgłosu ziewnięcia omal nie pękła jej szczęka.

Suan popatrzyła chłodno na Nynaeve, ale przynajmniej tym razem Nynaeve odwzajemniła się obojętnym spojrzeniem nieco tylko zażawionych oczu.

— Powiedz nam — wtrąciła pospiesznie Elayne, nie czekając, aż potracą przytomność od tego gapienia się na siebie — jeśli się czegoś dowiedziałaś.

— Kobieta, która twierdzi, że jest Aes Sedai, a nią nie jest — mruknęła Suan, jakby wypowiadała na głos coś, co jej przyszło na myśl bez żadnego powodu — po szyję zanurza się w kotle z wrzątkiem, to prawda, ale jeśli rości sobie przynależność do jakiejś konkretnej Ajah, to wtedy taka Ajah ma do niej prawo pierwszeństwa. Czy Myrelle opowiadała wam już o kobiecie, którą złapała w Chachin; o tej, która twierdziła, że jest Zieloną? Była nowicjuską, która nie zdała sprawdzianu na Przyjętą. Zapytajcie kiedyś Myrelle, jak będzie miała kilka wolnych godzin. Tyle czasu trzeba, żeby opowiedzieć tę historię. Zanim Myrelle skończyła, ta głupia dziewczyna zapewne żałowała, że jej nie ujarzmiła i nie ucięła głowy.

Z jakiegoś powodu pogrożka nie wywarła większego efektu oprócz groźnego spojrzenia ze strony Nynaeve, Elayne nawet nie przeszła dreszczem. Może obie były zbyt zmęczone.

— Powiedz mi, co wiesz — powiedziała cichym głosem Elayne — albo następnym razem, kiedy będziemy same, nauczę cię siadać prosto, a ty będziesz mogła biegać sobie ze skargą do Sheriam, jeśli będziesz chciała.

Siuana zmrużyła oczy i Elayne nagle jęknęła, przykładając dłoń do biodra.

Siuana cofnęła dłoń, którą ją uszczypnęła, nawet nie próbując tego ukryć.

— Nie lubię, jak mi się grozi, dziewczyno. Wiesz równie dobrze jak ja, co powiedziała Elaida; dowiedziałas się o wiele wcześniej niż ktokolwiek tutaj.

— „Wracajcie; wszystko wybaczone”? — spytała z niedowierzaniem Nynaeve.

— Mniej więcej. Była też mowa o tym, że Wieża powinna być teraz bardziej zjednoczona niż kiedykolwiek. I że nikt nie powinien się bać, jedynie te, które „wzięły udział w prawdziwej rebelii”. Zapewne tylko Światłość wie, co to oznacza, bo śliskie to jak piskorz; ja w każdym razie nic nie rozumiałam.

— Dlaczego one trzymają to w tajemnicy? — spytała Elayne. — Przecież chyba nie wyobrażają sobie, że ktoś wróci do Elaidy. Wystarczy zwykła wzmianka o Logainie. — Siuana nic nie powiedziała, tylko spojrzała ze zmarszczonym czołem na oczekujących Strażników.

— Nadal nie rozumiem, dlaczego one proszą o dodatkowy czas — mruknęła Nynaeve. — Wiedzą przecież, co powinny zrobić. — Siuana nadal milczała, za to Nynaeve powoli uniosła brwi. — Ty się nie dowiedziałas, jak brzmi ich odpowiedź.

— Teraz ją znam. — Siuana mówiła urywanymi słowami i dodała coś ledwie słyszalnie na temat „idiotek o miękkich kolanach”. Elayne zgodziła się z nią bez słowa.

Nagle frontowe drzwi dawnej oberży otworzyły się. Wyszło z niej pół tuzina Zasiadających, w szalach obrzeżonych frędzlami, po jednej przedstawicielce każdej Ajah; za nimi szła Tarna, a za nią pozostałe. Jeśli czekający ludzie spodziewali się jakiejś ceremonii, to gorzko się rozczarowali. Wspiąwszy się na siodło, Tarna powiodła powoli wzrokiem po Zasiadających, zerknęła na tłum z nieodgadniętą twarzą, po czym uderzyła wałacha piętami, ruszając truchtem. Otaczająca ją eskorta Strażników podążyła w ślad za nią. Od strony ustępującego im drogi tłumowi gapiów podniósł się szmer niepokoju, podobny do buczenia roju pszczoł.

Ten pomruk było słychać dopóty, dopóki Tarna nie zniknęła z pola widzenia, z wioski, a wtedy na furę wspięła się Romanda, gładkim ruchem poprawiając szal z żółtymi frędzlami. Zapadła martwa cisza. Zgodnie z tradycją obwieszczenia Komnaty wygłaszała zawsze najstarsza Zasiadająca. Romanda oczywiście nie poruszała się jak stara kobieta, a jej twarz, jak u wszystkich Aes Sedai, była pozbawiona znamion upływu lat, niemniej jednak podeszły wiek wyznaczały siwe



pasma; koczek nad karkiem Romandy był zupełnie biały, bez ani jednego ciemniejszego włosa. Elayne zastanawiała się, ile ona może mieć lat, ale rozpytywanie o wiek Aes Sedai poczytywano za całkowity brak ogłady.

Romanda utkała proste strumienie Powietrza, chcąc, by jej piskliwy sopran niósł się jak najlepiej; Elayne słyszała go tak dobrze, jakby stała tuż przed tą kobietą.

— Wielu z was niepokoiło się podczas ostatnich kilku dni, ale niepotrzebnie. Gdyby Tarna Sedai do nas nie przyjechała, same posłałybyśmy umownych do Białej Wieży. Ostatecznie raczej nie da się o nas powiedzieć, że ukrywamy się tutaj. — Urwała, jakby udzielała zebranych czasu na śmiech, ale oni tylko patrzyli się na nią. Poprawiła szal i ciągnęła dalej: — Cel naszego pobytu w tym miejscu nie uległ zmianie. Dążymy do prawdy i sprawiedliwości, pragniemy robić to, co słuszne...

— Słuszne dla kogo? — burknęła Nynaeve.

— ... i nie ugniemy się ani nie przegramy. Zajmujcie się przydzielonymi wam zadaniami tak jak dotychczas, ufni, że z naszych rąk otrzymacie schronienie, teraz i po naszym niechybnym powrocie na przysługujące nam miejsca w Białej Wieży. Oby Światłość opromieniała was wszystkich. Oby Światłość opromieniała nas wszystkie.

Znowu rozległ się szmer i gdy Romanda zesła z fury, stłoczeni ludzie zaczęli powoli się rozchodzić. Twarz Siuan mogła być wyrzeźbiona z kamienia, zaciskała wargi z taką siłą, że aż odeszła z nich cała krew. Elayne miała ochotę zadawać pytania, ale Nynaeve zeskoczyła z werandy i zaczęła się przepychać w stronę dwupiętrowego budynku. Elayne prędko ruszyła jej śladem. Ubiegłej nocy Nynaeve była gotowa wyrzucić z siebie wszystko, czego się dowiedziały, niczym się nie przejmując, mimo iż przecież musiały to przedstawić z najwyższą ostrożnością, jeśli chciały wpłynąć na decyzję Komnaty. A z całą pewnością wychodziło na to, że trzeba na nią wpłynąć. Obwieszczenie Romandy przypominało wóz, który wiezie powietrze. Siuan była najwyraźniej nim zdenerwowana.

Przeciskając się między dwoma zwałistymi mężczyznami, którzy patrzyli groźnie na plecy Nynaeve — podeptała ich stopy, żeby przejść — Elayne obejrziała się przez ramię i zauważyła, że Siuan obserwuje ją i Nynaeve. Tylko przez chwilę, kiedy zorientowała się, że ona na nią patrzy, udała, że zauważyła kogoś w tłumie i zeskoczyła z werandy, jakby zamierzała podejść do tej osoby. Elayne pospieszyła przed siebie ze zmarszczonym czołem. Czy Siuan denerwuje się czy nie? W jakim stopniu jej irytacja i niewiedza tak naprawdę były udawane? Pomysł Nynaeve, by uciec do Caemlyn — Elayne wcale nie była pewna, czy przyjaciółka rzeczywiście z niego zrezygnowała — był bardziej niż głupi, ale ona sama już nie mogła się doczekać wyprawy do Ebou Dar, możliwości zrobienia czegoś naprawdę użytecznego. Te wszystkie tajemnice i podejrzenia były jak swędzące miejsce, do którego nie można dosięgnąć ręką. Żeby tylko Nynaeve nie popełniła jakiegś

gafy.

Dogoniła Nynaeve w momencie, gdy ta złapała Sheriam, tuż obok fury, z której przemawiała Romanda. Była tam również Morvrin i Carlinya, wszystkie trzy w szalach. Wszystkie Aes Sedai nosiły tego ranka szale. Krótkie ciemne loki Carlinyi, podobne teraz do ciasnego czepka, stanowiły jedyną pamiątkę po tamtej niefortunnej wyprawie do *Tel'aran'rhiod*, która omal nie zakończyła się ich śmiercią.

— Musimy porozmawiać z tobą sam na sam — powiedziała Nynaeve do Sheriam. — Na osobności.

Elayne westchnęła. Nie najlepszy początek, ale też i nie najgorszy.

Sheriam przypatrywała się obydwóm przez chwilę, po czym zerknęła na Morvrin i Carlinyę i odparła:

— Proszę bardzo. W środku.

Kiedy się odwróciły, drogę do drzwi zagrodziła im Romanda, urodziwa ciemnooka kobieta w szalu z żółtymi frędzlami, całym pokrytym kwiatami i winoroślami, oprócz tego miejsca wysoko między łopatkami, gdzie znajdował się Płomień Tar Valon. Lekceważąc Nynaeve, uśmiechnęła się ciepło do Elayne, jednym z tych uśmiechów, których Elayne nauczyła się spodziewać i jednocześnie obawiać ze strony od Aes Sedai. Niemniej jednak na Sheriam, Carlinyę i Morvrin spojrziała z całkiem inną twarzą. Wpatrywała się w nie bez wyrazu, wysoko unosząc głowę, aż wreszcie dygnęły i wymruczały:

— Za twym pozwoleniem, Sostro.

Dopiero wtedy odeszła na bok, głośno przy tym pociągnąwszy nosem.

Zwykli ludzie niczego oczywiście nie zauważyli, ale Elayne pochwyciła strzępy komentarzy Aes Sedai na temat Sheriam i członkiń jej niewielkiej rady. Niektóre uważały, że one jedynie pilnują codziennych spraw Salidaru, tym samym odciążając Komnatę, by ta mogła zajmować się ważniejszymi sprawami. Inne wiedziały, że one wywierają znaczny wpływ na Komnatę, ale domniemany zasięg owego wpływu różnił się w zależności od tego, kto akurat o nim mówił. Romanda zaliczała się do tych, które uważały, że tamte zagarnęły dla siebie zbyt wiele; co gorsza, miały w swych szeregach dwie Błękitne, a za to ani jednej Żółtej. Elayne czuła na sobie jej wzrok, kiedy w ślad za nimi przestępowała przez próg.

Sheriam poprowadziła ich do jednej z prywatnych komnat, sąsiadujących z dawną główną salą, z boazerią przeżartą przez korniki i stołem zasłanym papierami. Uniosła wprawdzie brwi, kiedy Nynaeve poprosiła o nałożenie pasa zabezpieczeń przed podsłuchiwaniami, ale ostatecznie bez komentarza utkała go wewnątrz izby. Przypomniawszy sobie eskapadę Nynaeve, Elayne sprawdziła na wszelki wypadek, czy oba okna są szczelnie zamknięte.

— Spodziewam się usłyszeć co najmniej, że przybywa tutaj Rand al'Thor — oświadczyła sucho Morvrin. Pozostałe dwie Aes Sedai zamieniły między sobą szybkie spojrzenia. Elayne stłumiła oburzenie; naprawdę myślały, że ona i Nynaeve ukrywają coś na temat Randa. One i te ich tajemnice!

— Nie to — odparła Nynaevae — ale coś równie ważnego, choć w inny sposób. — I wyrzuciła z siebie opowieść o ich wyprawie do Ebou Dar i znalezieniu *ter'angreal* w kształcie czary. Nie przedstawiła wydarzeń w należytej kolejności i nie wspomniała wizyty w Wieży, ale zawarła wszystkie zasadnicze elementy.

— Jesteście pewne, że ta misa to *ter'angreal*? — spytała Sheriam, kiedy Nynaevae skończyła. — Że może wpływać na pogodę?

— Tak, Aes Sedai — odparła z prostotą Elayne. Najlepsze słowa to proste słowa, Morvrin jednak mruknęła coś z początku niewyraźnie; ta kobieta wątpiła we wszystko.

Sheriam skinęła głową, poprawiając szal.

— W takim razie dobrze się spisaliście. Poślemy list do Merilille. — Merilille Ceandevin była Szarą siostrą, wysłaną do królowej Ebou Dar celem jej przekonania do wsparcia Salidaru. — Będziecie musiały nam podać wszystkie szczegóły.

— Ona go nigdy nie znajdzie — wybuchnęła Nynaevae, zanim Elayne zdążyła otworzyć usta. — Elayne i ja możemy. — W oczach Aes Sedai pojawił się chłód.

— Ona zapewne nie da rady go znaleźć — wtrąciła pospiesznie Elayne. — My widziałyśmy miejsce, gdzie znajduje się misa, a mimo to nawet nam będzie ją trudno znaleźć. Niemniej jednak wiemy przynajmniej, co widziałyśmy. Opisanie tego w liście po prostu nie będzie tym samym.

— Ebou Dar to nie miejsce dla Przyjętych — rzekła chłodno Carlinya.

Morvrin przemawiała tonem nieco bardziej przyjaznym, aczkolwiek również gderliwym.

— Wszystkie powinnyśmy robić to, co potrafimy najlepiej, dziecko. Sądysz, że Edesina, Afara albo Guisin chciały jechać do Tarabonu? Jakim sposobem miałyby przywrócić porządek w tym niespokojnym kraju? Ale próbować trzeba, więc jednak pojechały. Kiruna i Bera prawdopodobnie właśnie teraz pokonują Grzbiet Świata, w drodze do Pustkowiecia Aiel, gdzie miały szukać Randa al'Thora, ponieważ kiedy je posyłałyśmy na tę wyprawę, myślałyśmy, tylko myślałyśmy, że być może tam właśnie uda się go znaleźć. Fakt, że nie miałyśmy racji, ponieważ on opuścił Pustkowie, nie sprawia bynajmniej, by ich wyprawa była bezcelowa. Wszystkie robimy to, co możemy, to, co musimy. Obie jesteście Przyjętymi. Przyjęte nie udają się na eskapady do Ebou Dar albo gdzie indziej. Obie natomiast możecie i musicie zostać tutaj i uczyć się. Gdybyście były pełnymi siostrami, to i tak bym was tutaj zatrzymała. Od stu lat nie było takiej, która dokonałaby podobnych odkryć co wy, zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę sam fakt, ile ich było w tak krótkim czasie.

Nynaevae, jak to Nynaevae, zignorowała to, czego nie chciała słyszeć i skupiła uwagę na Carlinyi.

— Dziękuję ci, ale znakomicie dawałyśmy sobie radę na własną rękę. Wątpię, by w Ebou Dar było równie niebezpiecznie jak w Tanchico.

Elayne nie sądziła, by Nynaevae zdawała sobie sprawę, że z całej siły ścisła

warkocz. Czy ta kobieta nigdy się nie nauczy, że zwykłą uprzejmością można czasem wygrać to, co z całą pewnością się straci przez bezwzględną szczerłość?

— Rozumiem waszą troskę, Aes Sedai — powiedziała Elayne — ale jakkolwiek to zabrzmie nieskromnie, prawda jest taka, że ja posiadam wyższe kwalifikacje do znalezienia *ter'angreala* niż ktokolwiek w Salidarze. A poza tym nie umiałybyśmy ująć na papierze wskazówek, gdzie go szukać. Jeśli nas wyślecie do Merilille Sedai, to jestem pewna, że pod jej kierunkiem prędko go znajdziemy. To tylko kilka dni wyprawy łodzią do Ebou Dar i z powrotem, oraz kilka dni w Ebou Dar pod okiem Merilille Sedai. — Z dużym wysiłkiem powstrzymała się, by nie zrobić głębokiego wdechu. — W tym czasie mogłybyśmy posłać wiadomość do jednej z agentek Suan w Caemlyn, dzięki czemu już by tam czekała na przybycie Merany Sedai i całej misji poselskiej.

— Dlaczego, na Światłość, miałybyśmy to zrobić? — zagrzmiała Morvrin.

— Myślałam, że Nynaeve ci powiedziała, Aes Sedai. Nie jestem pewna, ale wydaje mi się, że do prawidłowego działania misy potrzebny jest również przenoszący męczyzna.

Tymi słowami spowodowała nieznaczące poruszenie. Carlinyi głośno zapało dech, Morvrin mruknęła coś do siebie, a Sheriam aż opadła szczęka. Również Nynaeve wytrzeszczyła oczy, ale tylko na chwilę; Elayne widziała, że zdążyła się opanować, zanim inne zauważyły. Były zbyt oszołomione, żeby cokolwiek zauważyć. A było to kłamstwo, zwykłe, proste kłamstwo. Bo kluczem tutaj była prostota. Ponoć największe osiągnięcia Wieku Legend stanowiły dzieła wspólnie przenoszących mężczyzn i kobiet, prawdopodobnie połączonych. Najpewniej istniały jakieś *ter'angreal*e, do użycia których potrzebny był męczyzna. A w każdym razie, jeżeli ona nie potrafiła posłużyć się misą, to z pewnością nie potrafił tego zrobić nikt w Salidarze. Z wyjątkiem być może Nynaeve. Nie mogły zrezygnować z szansy zrobienia czegoś z pogodą, nawet jeżeli to wymagało udziału Randa, i zanim ona „odkryłaby”, że do kierowania misą wystarczyłyby krąg kobiet, Aes Sedai w Salidarze przywiązałyby się do Randa zbyt silnie, by móc się potem łatwo od niego uwolnić.

— No i bardzo dobrze — powiedziała w końcu Sheriam — ale to nie zmienia faktu, że jesteście Przyjętymi. Wystosujemy list do Merilille. Rozmawiano o was trochę...

— Rozmawiano — zachnęła się Nynaeve. — To jest wszystko, na co was stać, was i Komnatę! Rozmowy! Elayne i ja mogłybyśmy znaleźć ten *ter'angreal*, ale wy wolicie gdakać niczym kury niosące jaja. — Słowa, które padały teraz z jej ust, uderzały w każdą. Tak mocno ciągnęła za warkocz, że Elayne trochę się przestraszyła, że zaraz zostanie jej w rękę. — Siedzicie tutaj i liczycie, że Thom, Juilin i inni zapewnią was po powrocie, iż Białe Płaszczki nie runą na nas niczym dom, gdy tymczasem oni mogą wrócić z Białymi Płaszczkami depczącymi im po piętach. Siedzicie, babrzecie się w problemie z Elaidą albo niedołącznie gmeracie w prze-

szłości Randa, zamiast robić to, co obiecałyście. Czy zdecydowałyście nareszcie, jakie jest wasze stanowisko w stosunku do jego osoby? Przecież wasza misja jest już w drodze do Caemlyn! A wiecie, dlaczego tylko siedzicie i gadacie? Bo ja wiem! Wy się boicie. Boicie się rozłamu w Wieży, boicie się Randa, Przeklętych, Czarnych Ajah. Ostatniej nocy Anaiyi wymknęło się, że już opracowałyście plan na wypadek ataku Przeklętych. To łączenie się w kręgi, w samym środku wybuchu bańki zła. . . Uwierzyłyście w nią nareszcie? . . . Niedobre, przeważnie brało w nich udział więcej nowicjuszek niż Aes Sedai. Bo tylko kilka Aes Sedai wiedziało wcześniej, jak to się robi. Wy myślicie, że tu w Salidarze są Czarne Ajah. Bałyście się, że Sammael albo inny Przeklęty mógłby poznać wasz plan. Nie ufacie sobie wzajem. Nie ufacie nikomu! Czy właśnie dlatego nie chcecie nas posłać do Ebou Dar? Myślicie, że my jesteśmy Czarnymi Ajah albo że uciekniemy do Randa, albo. . . albo. . . ! — Zawiesiła głos, w samym środku wściekłego zapluwania się i dyszenia. W czasie całej tej tyrady ledwie zaczerpnęła oddechu.

Elayne skrzywiła się i w pierwszym odruchu chciała jakoś naprostować sytuację, ale nie, nawet nie próbowała szukać na to sposobu. Równie łatwe jak prostowanie łańcucha górskiego. Wystarczyło spojrzeć na Aes Sedai, by przestała się bać, że Nynaeve wszystko zepsuła. Te pozbawione wyrazu twarze, z oczyma, jak się zdawało, zdolnymi przejrzeć na wylot kamień, nie powinny były nic zdradzać. A mimo to coś zdradzały. I to nie zimny gniew, skierowany przeciwko komuś tak głupiemu, że odważył się pokrzykiwać na Aes Sedai. Gniew był tylko maską, a jedyną rzeczą, jaka się pod nią skrywała, była prawda, prawda, do której same przed sobą nie chciały się przyznać. One się bały.

— Skończyłaś już? — spytała Carlinya głosem, od którego słońce powinno zastygnąć w locie.

\* \* \*

Elayne kichnęła i z całej siły uderzyła głową o ścianę przewróconego do góry dnem kotła. Nos wypełniała jej woń przypalonej zupy. Słońce środka poranka rozgrzało ciemne wnętrze ogromnego garnca, przez co miało się wrażenie, że on nadal stoi na ogniu; pot spływał z niej grubymi kroplami. Nie, nie kroplami, strumieniami. Upuściwszy szorstki pumeks, wycofała się z kotła na czworakach i spojrzała spode łba na kobietę tuż obok niej. Czy raczej na tę jej część, która wystawała z nieco mniejszego kotła ułożonego na boku. Szturchnęła Nynaeve w biodro i uśmiechnęła się ponuro, usłyszawszy odgłos zderzenia głowy z żelazem i głośny jęk Nynaeve wypełzła z garnka ze złowróżbnym spojrzeniem, wcale nie skrytym za ziewnięciem, które zdusiła brudną dłonią. Elayne nie pozwoliła jej

nic powiedzieć.

— Musiałaś wybuchnąć, prawda? Nie potrafiłaś zapanować nad swoim usposobieniem nawet przez pięć minut. Miałyśmy już wszystko w ręku, ale ty musiałaś nas skopać po kostkach.

— I tak by nas nie puściły do Ebou Dar — mruknęła Nynaeve. — I to wcale nie ja kopałam po kostkach. — Komicznie zadarła brodę, przez co musiała zezować, żeby widzieć Elayne. — Aes Sedai panują nad strachem — powiedziała tonem, którym mogłaby łąć pijanego włóczęgę, gdyby taki wdarł się do jej domu — nie pozwalają, by on nimi zawładnął. Prowadźcie, a pójdziemy za wami z ochotą, ale wy musicie prowadzić, a nie czołgać się ze strachu, z nadzieją, że wasze kłopoty same się jakoś rozwiążą.

Elayne rozgorzały policzki. Wcale nie miała takiej miny. I z pewnością nie mówiła takim tonem.

— Cóż, może obie przekroczyłyśmy granice rozsądku, ale... — Urwała, słysząc czyjeś kroki.

— A więc cudowne dzieci Aes Sedai postanowiły zrobić sobie odpoczynek, czy tak? — Uśmiech Faolain był tak daleki od przyjaznego, jak to tylko było możliwe. — Nie jestem tutaj dla rozrywki, rozumiecie chyba? Zamierzałam spędzić ten dzień na własnej pracy, i to na czymś wcale nie gorszym od waszych dokonań, złote dzieci. A zamiast tego muszę pilnować Przyjętych, które szorują garnki za swoje grzechy. Pilnować, by chyłkiem nie uciekły niczym jakieś nędzne nowicjuszki, którymi zresztą obie powinnyście być. Natychmiast wracajcie do pracy. Nie wolno mi odejść, dopóki nie skończycie, ale ja nie zamierzam zmarnować tutaj całego dnia.

Ciemna, o kędzierzawych włosach kobieta była w takiej samej sytuacji jak Theodrin, więcej niż Przyjęta, a mniej niż Aes Sedai. Tym samym, kim byłyby Nynaeve i Elayne, gdyby Nynaeve nie zachowywała się jak kot, któremu ktoś nadepnął na ogon. Nynaeve i ona sama, przyznała z niechęcią Elayne. Sherriam powiedziała im to w trakcie mówienia, ile „wolnych godzin” mają spędzić w kuchniach, przy najbrudniejszych robotach, jakie im wynajdą kucharki. I żadnego Ebou Dar; to też zostało powiedziane jasno. List do Merilille miał być wysłany do południa, o ile już do niej nie wędrował.

— Bardzo... mi przykro — powiedziała Nynaeve, a Elayne zamrugła oczami. Przeprosiny Nynaeve były czymś równie rzadkim jak śnieg w lecie.

— Mnie też jest przykro, Nynaeve.

— O tak, na pewno jest wam przykro — powiedziała Faolain. — Sama widziałam, jak bardzo. Natychmiast wracajcie do pracy! Bo jeszcze znajdę powód, żeby odesłać was do Tiany, kiedy już tutaj skończycie.

Elayne spojrzała żałośnie na Nynaeve, po czym wpełzła z powrotem do kołta, atakując pumeksem przypaloną zupę i wyobrażając sobie, że jest to Faolain. W powietrze wzbija się fontanna kamiennego pyłu i szczątków szerniałych wa-

rzyw. Nie, nie Faolain. Te Aes Sedai, które siedziały zamiast działać. Zamierzała pojechać do Ebou Dar, zamierzała znaleźć *ter'angreal* i przy jego pomocy tak związać Sheriam i całą resztę, by można było je potem przekazać Randowi. Na kolanach! Kichnęła tak mocno, że omal nie spadły jej buty.

\* \* \*

Sheriam odwróciła się od szczeliny w płocie, przez którą obserwowała młode kobiety, po czym ruszyła w górę wąskiej alejki obrośniętej zwiedłymi chwastami i kikutami ściętych krzaków.

— Żałuję tego wszystkiego. — Przypomniały jej się słowa i ton Nynaeve, a także sposób, w jaki wyrażała się Elayne, to nieszczęsne dziecko! Dodała: — Z jakiegoś powodu.

Carlinya zrobiła szydery grymas. Na robieniu grymasów znała się znakomicie.

— Chcesz wyznać Przyjętej coś, o czym nie wiedzą nawet dwa tuziny Aes Sedai? — Zamknęła gwałtownie usta, skarcona ostrym spojrzeniem Sheriam.

— Uszy są tam, gdzie się ich najmniej spodziewamy — ostrzegła ją cicho Sheriam.

— One miały rację co do jednej rzeczy — zauważyła Morvrin. — Przez tego al'Thora wnętrzności zamieniają mi się w wodę. Co my właściwie z nim zrobimy, jaki mamy wybór?

Sheriam nie była pewna, czy przypadkiem chwila na dokonanie jakichkolwiek wyborów nie minęła już dawno temu. Szły dalej w milczeniu.

## NAKAZY KOŁA

Rand rozpiął się niedbale na Tronie Smoka, z Berłem Smoka ułożonym na kolanach. Czy raczej usiłował to robić. Tronów nie robiono po to, by służyły wypoczynkowi, a już najmniej ten, jak się zdawało; jednak to stanowiło zaledwie część problemu. Podobnie jak to uczucie stałej obecności Alanny, mimo iż stale go nękało. Gdyby powiedział o tym Pannom, to one... Nie. Jak w ogóle mogło mu coś takiego przyjść do głowy? Nastraszył ją dostatecznie, by trzymała się od niego z daleka; nie zrobiła nic, by wejść do Wewnętrznego Miasta. Wiedziałby o tym. Nie, w danym momencie Alanna stanowiła jeszcze mniejszy problem niż ta niewygodna wyściółka.

Nie czuł upału mimo niebieskiego haftowanego srebrem kaftana zapiętego po szyję — coraz lepiej mu szło z tą sztuczką, której nauczył go Taim — ale gdyby czyste zniecierpliwienie wywoływało pot, to byłby mokry, jakby dopiero co wyszedł z rzeki. Z zachowaniem spokoju nie miał kłopotu. Tylko nie potrafił usiedzieć spokojnie. Zamierzał ofiarować Elayne Andor, cały i nienaruszony; tego ranka miał uczynić pierwszy krok wiodący do tego celu. O ile tamci przyjdą.

— ... a na dodatek — ciągnął niemalże jednostajnym głosem wysoki kościsty mężczyzna stojący przed Tronem — tysiąc czterysta dwudziestu trzech uchodźców z Murandy, pięciuset sześćdziesięciu siedmiu z Altary i stu dziewięciu z Illian. O ile spis ludności w samym mieście jest aktualny, spieszę dodać. — Nieliczne siwe kosmyki na głowie Halwina Norry'ego jeżyły się niczym gęsie pióra, stosownie do tego, co przystoi głównemu rachmistrzowi Morgase. — Nająłem dwudziestu trzech dodatkowych urzędników do liczenia, ale wciąż ich zbyt mało, by...

Rand przestał słuchać. Wdzięczny, że ten człowiek nie uciekł, jak wielu innych, nie był pewien, czy poza liczbami zawartymi w księgach dla Norry'ego cokolwiek było realne. Ten człowiek potrafił wyrecytować liczbę zgonów z całego tygodnia i ceny rzepy zwiezionej ze wsi tym samym zakurzonym głosem, codziennie organizował pochówki uchodźców, pozbawionych grosza i przyjaciół, nie okazując więcej wzruszenia niż przy najmowaniu mularzy, którzy mieli sprawdzać ubytki w miejskich murach. Illian było dlań tylko jeszcze jednym krajem, nie domeną Sammaela, a Rand po prostu kolejnym władcą.



„Gdzie oni są — zastanawiał się rozzłoszczony. — Dlaczego Alanna nie starała się zbliżyć do mnie potajemnie?” Moiraine nigdy nie dałaby się zastraszyć tak łatwo.

„Gdzie są wszyscy zmarli? — szepnął Lews Therin. — Dlaczego nie mogliby zamilknąć?”

Rand zaśmiał się ponuro. To z pewnością miał być dowcip.

Po jednej stronie tronu, tuż przy podium siedziała Sulin, z drugiej rudowłosa Urien. Tego dnia dwudziestu *Aethan Dor*, Czerwonych Tarcz, czekało wśród kolumn Wielkiej Sali wraz z Pannami; niektórzy nosili czerwone opaski. Stali, kucali albo siedzieli, niektórzy cicho rozmawiali, ale jak zwykle wyglądali na gotowych w mgnieniu oka poderwać się, nawet ta Panna i dwóch *Aethan Dor*, którzy grali w kości. Przynajmniej jedna para oczu zawsze zdawała się obserwować Norry’ego, niewielu Aielów ufało mieszkańcowi mokradeł, który przebywał tak blisko Randa.

Nagle w wysokich drzwiach sali pojawił się Bashere. Nareszcie. Nareszcie, do licha. Zielono-biały chwost zakołysał się, kiedy Rand machnął kikutem seanchańskiej włóczni, ozdobionej wyrzeźbionym wizerunkiem smoka.

— Dobrze się spisałeś, panie Norry. Niczego nie przeoczyłeś w sprawozdaniu. Dopatrzę, by dostarczono ci to złoto, którego potrzebujesz. Ale jeśli mi wybaczysz, muszę teraz zająć się innymi sprawami.

Mężczyzna nie okazał śladu zaciekawienia ani urazy, że przerwano mu tak nagle. Zwyczajnie przestał mówić w pół słowa, skłonił się z: „Jak Lord Smok rozkaże”, wypowiedzianym tym samym suchym tonem i wycofał się na trzy kroki, zanim się odwrócił. Po drodze do wyjścia nawet nie zerknął na Bashere. Realne były tylko księgi.

Rand z niecierpliwością skinął głową w stronę Bashere, siedział teraz sztywno wyprostowany, jakby połknął kij. Aielowie umilkli, wykazując zdwojoną gotowość.

Saldaeanin nie wszedł sam. Tuż za nim kroczyło dwóch mężczyzn i dwie kobiety, w średnim wieku, w bogatych jedwabiach i brokatach. Próbowali udawać, że Bashere nie istnieje i prawie im się to udawało, ale czujni Aielowie wśród kolumn to była całkiem inna bajka. Złotowłosa Dyelin tylko raz zgubiła krok, ale Abelle i Luan, obaj już siwiejący, lecz o twardych rysach twarzy, patrzeli krzywo na postacie odziane w *cadin’sor* i instynktownie szukali mieczy, których tego dnia nie przypasali, podczas gdy Ellorien, pulchna, ciemnowłosa kobieta, która byłaby piękna, gdyby nie nieugięte kamienne oblicze, zatrzymała się jak wryta i rozejrzała gniewnym wzrokiem, po czym połapawszy się, co robi, biegnąc, dogoniła pozostałych. Gdy spojrzeli na Randa, zawahali się i wymienili szybkie, pełne niedowierzania spojrzenia. Może uważali, że powinien być starszy.

— Lordzie Smoku — zaczął głośno Bashere, przystając przed podium. — Panie Poranka, Księżę Świtu, Prawdziwy Obrońco Światłości, przed którym kłę-

ka zdjęty strachem świat, przyprowadzam ci lady Dyelin z Domu Taravin, lorda Abelle z Domu Pendar, lady Ellorien z Domu Traemane i lorda Pelivara z Domu Coelan.

W tym momencie czworo Andoran zwróciło głowy w stronę Bashere, zaciśnięte usta i obrzucając go z ukosa ostrymi spojrzeniami. To, co powiedział, tak zabrzmiało, jakby on przyprowadzał Randowi cztery konie. Niemal było widać, jak cali zeszywnieli, wpatrzywszy się w Randa. Przede wszystkim w Randa. Ich oczy jednak uciekały w stronę Tronu Lwa, połyskującego i iskrzącego się na piedestale za jego głową.

Na widok tych rozwścieczonych twarzy miał ochotę się roześmiać. Rozwścieczonych, ale także ostrożnych i chyba niechcący zdradzających wrażenie, jakie na nich wywarły powitalne słowa generała. Listę tytułów opracowali wspólnie, ale fraza o klękającym świecie była najnowszym dodatkiem autorstwa Bashere. A wykorzystał tu radę Moiraine. Niemalże zdawało mu się, że znowu słyszy jej srebrzysty głos.

„Ludzie najlepiej zapamiętują pierwsze wrażenie, jakie na nich zrobisz. Tak to już jest. Jeśli zejdziesz z tronu, a potem będziesz się zachowywał jak farmer w chlewie, to oni i tak jakąś swoją część zapamiętają, że zszedłeś z tronu. A jeśli najpierw zobaczą młodego wieśniaka, to później będą się oburzać, gdy on zasiądzie na tymże tronie, niezależnie od jego praw i przysługującej mu władzy”.

Cóż, wszystko będzie o wiele łatwiejsze, jeśli mogło się do tego przyczynić kilka tytułów.

„Ja byłem Panem Poranka — mruknął Lews Therin. — Ja jestem Księciem Świtu”.

Rand zachował niewzruszoną twarz.

— Nie powitam was, bo to wasz kraj, a ten pałac należy do waszej królowej, ale cieszę się, że przyjęliście moje zaproszenie. — Dopiero po pięciu dniach i zawiadamiając go z zaledwie kilkugodzinnym wyprzedzeniem, ale o tym nie wspomniał. Powstawszy, ułożył Berło Smoka na tronie, po czym zbiegł z podium. Z chłodnym uśmiechem — „Nie bądź nigdy wrogi, jeśli nie musisz — powiedziała mu Moiraine — i przede wszystkim nie bądź nigdy zbyt przyjazny. Nigdy nie okazuj gorliwości” — wskazał gestem pięć wygodnych wyściełanych krzeseł ustawionych w kręgu wśród kolumn. — Siadźcie ze mną. Pogawędzimy sobie przy schłodzonym winie.

Rzecz jasna, poszli za nim, przyglądając się zarówno jemu, i jak i Aielom z równą ciekawością, a być może także z równą wrogością, źle skrywając i jedno, i drugie. Gdy wszyscy zajęli miejsca, pojawili się milczący *gai'shain*, w białych szatach z kapturami, przynieśli wino i złote kielichy, już wilgotne od osiadającej na nich pary. Kolejni stanęli za każdym krzesłem i wachlarzami z piór delikatnie poruszali powietrze. Za każdym krzesłem, wyjąwszy siedzisko Randa. Zauważyli to, odnotowali brak choćby kropli potu na jego twarzy. Ale *gai'shain* też się nie

pocili, mimo swych szat, podobnie żaden z Aielów. Obserwował twarze arystokratów znad brzegu kielicha.

Andoranie byli dumni z tego, że są bardziej prostolinijni niż przedstawiciele innych nacji i skłonni się chełpić, że w ich kraju Gra Domów nie jest aż tak zakorzeniona jak gdzie indziej, a mimo to wierzyli, że potrafią grać w *Daes Dae'mar*, gdy zachodziła taka potrzeba. Istotnie, do pewnego stopnia potrafili, ale prawda była taka, że Cairhienianie, a nawet Tairenianie uważali ich za zbyt mało wyrafinowanych, gdy przychodziło do wykonywania subtelnych ruchów oraz kontraposunięć tej gry. Ta czwórka zasadniczo potrafiła zachować opanowanie, ale dla kogoś wyszkolonego przez Moiraine, kogoś, kto przeszedł jeszcze cięższą szkołę w Łzie i Cairhien, zdradzali wiele samym ruchem powieki, najlżejszą nawet zmianą wyrazu twarzy.

Najpierw dotarło do nich, że nie ma krzesła dla Bashere. Wymienili prędkie spojrzenia, rozjaśniając się nieznacznie, zwłaszcza kiedy zauważyli, że Bashere wychodzi z sali tronowej. Wszyscy czworo pozwolili sobie dosłownie odprowadzić go wzrokiem, z najbledszymi z uśmiechów zadowolenia. Obecność saldaeańskiej armii w Andorze musiała się nie podobać Naeanowi i jego otoczeniu. Teraz ich myśli stały się czytelne jak na dłoni: może wpływy tego cudzoziemca są jednak mniejsze, niż się obawiali. No jakże, Bashere został potraktowany nie lepiej jak starszy sługa.

Oczy Dyelin rozszerzyły się lekko, prawie w tym samym momencie co oczy Luana i tylko na chwilę wcześniej niż pozostałych dwojga. Stało się jasne, że unikają patrzenia na siebie wzajem, tak bowiem uważnie wpatrywali się przez chwilę w Randa. Bashere był cudzoziemcem, ale także marszałkiem-generałem Saldaei, po trzykroć lordem i wujem królowej Tenobii. Jeśli Rand traktował go jak sługę...

— Wyśmienite wino. — Luan, wpatrzony w swój puchar, zawahał się, po czym dodał: — Lordzie Smoku. — Jakby to z niego wywlekano za pomocą sznura.

— Z południa — powiedziała Ellorien, upiwszy łyk. — Z jakiejś winnicy na Wzgórzach Tunaighan. Aż dziw bierze, że o tej porze roku potrafisz w Caemlyn znaleźć lód. Słyszałam, że ludzie już nazywają ten rok „rokiem bez zimy”.

— Sądzicie, że marnowałbym czas i wysiłek na szukanie lodu — powiedział Rand — kiedy tyle kłopotów nęka świat?

Kanciasta twarz Abelle pobladła; wyraźnie się zmusił do upicia kolejnego łyka. Luan, przeciwnie, opróżnił swój kielich zdecydowanie i zaraz podał go do ponownego napełnienia *gai'shain*, którego zielone oczy błysnęły z wściekłością, kontrastując z łagodnym wyrazem ogorzałej od słońca twarzy. Usługiwanie mieszkańcom bagien równało się byciu sługą, a Aielowie gardzili już samym pojęciem sługi. Randowi nigdy nie udało się dojść, jakim sposobem takie nastawienie dało się godzić z pojęciem *gai'shain*, ale tak właśnie było.

Dyelin oparła podstawę swego kielicha na kolanach i od tego momentu już nie zwracała na niego najmniejszej uwagi. Z tak bliska Rand widział siwe pasma w jej złotych włosach; nadal była piękna, aczkolwiek nic oprócz tych włosów nie sprawiało, by przypominała Morgase albo Elayne. Jako następna w sukcesji do tronu musiała być przynajmniej ich kuzynką. Przelotnie skrzywiła się do niego i zdawało się, że zaraz pokręci głową, ale zamiast tego powiedziała:

— Martwimy się kłopotami świata, ale bardziej tymi, które nękają Andor. Sprowadziłeś nas tutaj, bo szukasz na nie remedium?

— A może wy jakieś znanie — odparł lakonicznie Rand. — Jeśli nie, to będę musiał go poszukać gdzie indziej. Wielu ludzi jest przekonanych, że znają właściwe lekarstwo. Jeśli nie uda mi się znaleźć takiego, jakie bym chciał, to wówczas rozważę najlepsze ze złożonych propozycji. — Te zaciśnięte usta. Bashere przeprowadził ich po posadzkach na dziedzińcu, na którym pozostawiono Arymillę, Lira i pozostałych, by dać im możliwość ostudzenia sobie pięt. Miało to tak wyglądać, jakoby korzystali ze swobody poruszania się po Pałacu. — Powiniennem myśleć, że chcecie na powrót zjednoczyć Andor. Czy słyszeliście moją proklamację? — Nie musiał mówić którą, do kontekstu pasować mogła tylko jedna.

— Nagroda ofiarowana za wieści o Elayne — rzekła obojętnie Ellorien, z twarzą, która stała się jeszcze bardziej kamienna — która ma zostać królową, teraz, kiedy Morgase nie żyje.

Dyelin przytaknęła.

— Mnie się to całkiem spodobało.

— Ale nie mnie! — zachnęła się Ellorien. — Morgase zdradziła przyjaciół i wzgardziła najstarszymi poplecznikami. Obyśmy byli świadkami końca panowania Domu Trakand na Tronie Lwa. — Jakby zapomniała o Randzie. Wszyscy jakby o nim zapomnieli.

— Dyelin — powiedział szorstko Luan. Ta potrzęsnęła głową, jakby nie raz już to słyszała, ale on mówił dalej: — To ona powinna rościć sobie prawo. Jestem za Dyelin.

— Dziedziczką Tronu jest Elayne — powiedziała im surowo złotowłosa kobieta. — Jestem za Elayne.

— Czy to ma znaczenie, za kim każde z was jest? — zapytał ostrym tonem Abelle. — Jeśli on zabił Morgase, to... — Urwał nagle, krzywiąc się, po czym spojrzał na Randa, może nie butnie, ale niewątpliwie prowokując go, by zrobił coś nieprzewidywalnego. I spodziewając się, że on to zrobi.

— Naprawdę w to wierzysz? — Rand spojrzał ze smutkiem na stojący na piedestale Tron Lwa. — Dlaczego, na Światłość, miałbym zabić Morgase, a potem oddawać ten tron Elayne?

— Mało kto wie, w co wierzyć — odparła sztywno Ellorien. Na twarzy wciąż jeszcze miała pąsowe rumieńce. — Ludzie mówią różne rzeczy, przeważnie głupie.

— Na przykład co? — Skierował to pytanie do niej, ale odpowiedziała Dyelin, patrząc mu prosto w oczy:

— Ze weźmiesz udział w Ostatniej Bitwie i że zabijesz Czarnego. Że jesteś fałszywym Smokiem, marionetką Aes Sedai, albo jednym i drugim. Że jesteś synem Morgase z nieprawego łoża, taireniańskim Wysokim Lordem albo Aielem. — Znowu przelotnie się skrzywiła, ale nie przestawała mówić. — Że jesteś synem Aes Sedai uwiedzionej przez Czarnego. Ze to ty sam jesteś Czarnym albo Stwórcą obleczonym w ciało. Że zniszczysz świat, uratujesz go, podporządkujesz, dasz początek nowemu Wiekowi. Tyle opowieści, ile ust. Większość twierdzi, że to ty zabiłeś Morgase. Wielu dodaje do tego Elayne. Twierdzą, że twoja proklamacja to maska, za którą kryjesz swe zbrodnie.

Rand westchnął. Niektóre z jej stwierdzeń były jeszcze gorsze od tych, które do niego dotychczas dotarły.

— Nie będę pytał, w co wy wierzycie. — Dlaczego ona tak krzywo na niego patrzy? Zresztą nie ona jedna. Luan też patrzył krzywo, natomiast Abelle i Ellorien ukradkiem posyłali w jego stronę te same spojrzenia, jakich nauczył się spodziewać od gromadki skupionej wokół Arymilli, kiedy im się zdawało, że on nie patrzy.

„Patrz. Patrz. — To mówił Lews Therin chrapliwym, chichotliwym szeptem. — Ja cię widzę. A kto widzi mnie?”

— Spytałem natomiast, czy pomożecie mi na powrót scalić Andor? Nie chcę, by ten kraj stał się drugim Cairhien albo by działo się w nim jeszcze gorzej, tak jak w Tarabonie albo Arad Doman.

— Znam trochę *Cykl Karaethoński* — oświadczył Abelle. — Wierzę, że jesteś Smokiem Odrodzonym, ale nie ma w nim ani jednej wzmianki o twoim panowaniu; jest tylko walka z Czarnym w Tarmon Gai'don.

Rand zacisnął dłoń na pucharze tak mocno, że wprawił ciemną powierzchnię wina w drżenie. O ileż byłoby łatwiej, gdyby ta czwórka przypominała taireniańskich Wysokich Lordów albo Cairhienian, a tymczasem ani jedno nie chciało zagarnąć więcej władzy, niż już posiadało. Choćby to wino było nie wiem jak mocno schłodzone, wąpił, by ci ludzie dali się zastraszyć Jedyną Mocą.

„Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa powiedzieliby mi, że mam ich zabić i obym za to szczeł!”

„A żebyś szczeł!” — odezwało się grobowe echo od Lewsa Therina.

— Ile razy mam powtarzać, że ja nie chcę władzy w Andorze? Opuśćcie Andor, kiedy Elayne zasiądzie na Tronie Lwa. I nigdy nie wróć, jeśli to będzie ode mnie zależało.

— Jeżeli komuś ten tron rzeczywiście się należy — rzekła ściśniętym głosem Ellorien — tą osobą jest Dyelin. Jeśli mówisz, co naprawdę myślisz, to dopilnuj, by ją ukoronowano i wyjedź. Wtedy Andor stanie się na powrót jednością i nie wąpię, że andorańscy żołnierze pójdą za tobą do Ostatniej Bitwy, jeśli zostaną

wezvani.

— Nadal odmawiam — odparła Dyelin stanowczym głosem, po czym zwróciła się do Randa: — Będę czekać i myśleć, Lordzie Smoku. Kiedy zobaczę Elayne żywą i koronowaną, a ty opuścisz Andor, pošlę swoją świtę za tobą, nie bacząc na to, czy inni w Andorze też tak postąpią. Ale jeśli czas będzie upływał, a ty wciąż tu będziesz panował, albo jeśli twoi barbarzyńscy Aielowie dopuszczają się tutaj tego samego, co, jak słyszałam, uczynili w Cairhien i Łzie... — tu spojrzała ze wzgardą na Panny i Czerwone Tarcze, a także na *gai'shain*, jakby już widziała, jak łupią i palą — ... albo jeśli wypuścisz na wolność tych... mężczyzn, których zgromadziłeś mocą swej amnestii, wówczas stanę przeciwko tobie, nie bacząc na to, czy ktoś jeszcze w Andorze postąpi tak samo.

— A ja przyłączę się do ciebie — oznajmił stanowczo Luan.

— I ja też — powiedział Ellorien, co niczym echo powtórzył Abelle.

Rand odrzucił głowę w tył i wbrew sobie roześmiał się, po części z rozbawienia, po części z frustracji.

„Światłości! A ja myślałem, że uczciwą opozycję stać na coś lepszego niżli knucie za moimi plecami albo lizanie mi butów!”

Patrzyli na niego niespokojnie, bez wątpienia przekonani, że właśnie dało o sobie znać jego szaleństwo. Może zresztą tak właśnie było. Sam już nie miał pewności.

— Przemysłcie to, co musicie przemysłec — powiedział im, wstając, na znak, że audiencja skończona. — Naprawdę powiedziałem to, co myślę. Ale weźcie pod uwagę jeszcze jedno. Tarmon Gai'don jest coraz bliżej. Nie wiem, ile macie czasu na zastanowienie.

Pożegnali się — staranny ukłón głową, jak między równymi, nawet bardziej jeszcze dopracowany niż powitalny — ale kiedy już odwrócili się w stronę wyjścia, Rand złapał Dyelin za rękaw.

— Chcę cię o coś spytać. — Inni się zatrzymali, częściowo zawracając. — To pytanie w prywatnej sprawie. — Po krótkiej chwili skinęła głową, a jej towarzysze oddalili się odrobinę w głąb sali tronowej. Obserwowali ich uważnie, ale nie znajdowali się dostatecznie blisko, by coś słyszeć. — Patrzyłaś na mnie... jakoś dziwnie. — „Ty i wszyscy arystokraci, jakich poznałem w Caemlyn. W każdym razie wszyscy Andoranie”. — Dlaczego?

Dyelin zerknęła na niego, po czym nieznacznie skinęła głową do jakichś swoich myśli.

— Jak ma na imię twoja matka?

Rand zamrugał.

— Moja matka? — Jego matką była Kari al'Thor. Tak właśnie o niej myślał; wychowała go od niemowlęcia, a potem umarła. Stwierdził jednak, że zdradzi jej tę samą zimną prawdę, jaką poznał w Pustkowiu.

— Moja matka miała na imię Shaiel. Była Panną Włóczni. Moim ojcem był Janduin, wódz klanu Taardad Aiel. — Uniosła brwi, z wyraźnym powątpiewaniem. — Przysięgnę to na wszystko, co zechcesz. Co to ma wspólnego z przedmiotem mojego pytania? Oni oboje od dawna już nie żyją.

Przez jej twarz przemknęła ulga.

— To chyba przypadkowe podobieństwo, nic więcej. Nie będę twierdzić, że nie znasz własnych rodziców, ale mówisz akcentem z zachodu Andoru.

— Podobieństwo? Wychowałem się w Dwu Rzekach, ale powiedziałem prawdę odnośnie do moich rodziców. Do kogo niby miałbym być podobny, że tak się na mnie patrzysz?

Zawahała się, a potem westchnęła.

— To chyba nie ma znaczenia. Któregoś dnia będziesz mi musiał powiedzieć, jak to się stało, że twoi rodzice byli Aielami, a wychowałeś się w Andorze. Ponad dwadzieścia pięć lat temu Dziedziczka Tronu Andoru zniknęła nocą. Zwała się Tigraine. Zostawiła męża, Taringaila, oraz syna, Galada. Wiem, że to tylko przypadek, ale w twojej twarzy dostrzegłam rysy Tigraine. Przeżyłam wstrząs.

Rand sam przeżył wstrząs. Zrobiło mu się zimno. W głowie zawirowały mu fragmenty opowieści zasłyszanej od Mądrych. . . „młoda złotowłosa mieszkanka mokradeł, w jedwabiach. . . syn, którego kochała, mąż którego nie kochała. . . Shaiel było imieniem, które sama dla siebie obrała. Nigdy nie zdradziła swego pierwotnego imienia. . . Masz coś z niej w rysach”.

— Jak to się stało, że Tigraine zniknęła? Interesuję się historią Andoru.

— Byłabym wdzięczna, gdybyś nie nazywał tego historią, Lordzie Smoku. Byłam młodą dziewczyną, kiedy to się stało, ale już nie dzieckiem i często bywałam w tym Pałacu. Któregoś ranka Tigraine zwyczajnie zniknęła ze swych komnat i już jej nigdy nie widziano. Niektórzy twierdzili, że widzieli w tym rękę Taringaila, ale ten omal nie oszalał ze smutku. Taringail Damodred najbardziej z wszystkiego pragnął, by jego córka została królową Andoru, a jego syn królem Cairhien. Taringail był Cairhieninem. To małżeństwo miało położyć kres wojnom z Cairhien i tak się też stało, ale w wyniku zniknięcia Tigraine nabrali przekonania, że Andor dąży do złamania traktatu. Dlatego właśnie zaczęli knowania, tak jak to zwykli czynić Cairhienianie, a to z kolei doprowadziło do zbrodni Lamana. Wiesz, rzecz jasna, jaki był tego koniec — dodała oschle. — Mój ojciec twierdził, że winna była Kitarą Sedai.

— Kitarą? — Dziwne, że nie powiedział tego zduszonym głosem. Nieraz już słyszał to imię. Była taka Aes Sedai nazwiskiem Kitarą Moroso, kobieta, która potrafiła Przepowiadać i obwieściła, że Smok się Odrodził na zboczach Góry Smoka, wyprawiając Moiraine i Siuan na długie poszukiwania. To właśnie Kitarą Moroso przed wieloma laty powiedziała „Shaiel”, że jeśli ona nie ucieknie do Pustkowiec, nie mówiąc o tym nikomu, i nie zostanie Panną Włóczni, wówczas Andor i świat czeka zagłada.

Dyelin przytaknęła odrobinę niecierpliwie.

— Kitara była doradczynią królowej Modrellein — rzekła rzeźkim głosem — ale spędzała więcej czasu z Tigraine i Lukiem, bratem Tigraine, niż z królową. Kiedy Luc odjechał na północ i nigdy nie wrócił, szeptano, że Kitara go przekonała, iż jego chwała albo los wiążą się z Ugorem. Inni twierdzili, że on miał tam znaleźć Smoka Odrodzonego albo że od jego wyprawy do Uguru zależą losy Ostatniej Bitwy. To wszystko działo mniej więcej na rok przed zniknięciem Tigraine. Ja osobiście wątpię, by Kitara miała coś wspólnego z Tigraine albo z Lukiem. Była doradczynią Modrellein aż do jej śmierci. Modrellein zmarła, bo pękło jej serce, gdy utraciła Tigraine, utraciwszy wcześniej Luka; tak twierdzono. I to, oczywiście, dało początek Sukcesji. — Zerknęła na pozostałych, którzy już niecierpliwie przestępowali z nogi na nogę i marszczyli się z podejrzliwością, ale nie potrafiła się powstrzymać, by nie dodać jeszcze kilku słów. — Gdyby nie tamte zdarzenia, sytuacja w Andorze wyglądałaby inaczej. Tigraine królową, Morgase jedynie Najwyższą Głową Domu Trakand, Elayne w ogóle by się nie narodziła. Bo widzisz, Morgase poślubiła Taringaila po zdobyciu tronu. Kto wie, co jeszcze by się zmieniło?

Kiedy patrzył, jak przyłącza się do pozostałych i odchodzi, przyszło mu do głowy, że wie, co jeszcze by się zmieniło. On nie trafiłby do Andoru, bo nigdy by się nie urodził. Wszystko by się cofnęło, w nieskończonej liczbie cykli. Tigraine udała się do Pustkowiec w tajemnicy, sprawiając tym samym, że Laman Damodred ściał *Avendoralderę*, podarunek Aielów, chcąc zeń zbudować tron, który to czyn z kolei sprawił, że Aielowie przeszli przez Grzbiet Świata, by go zabić — taki był ich jedyny cel, aczkolwiek inne kraje nazywały to Wojną o Aiel — a wśród Aielów pojawiła się Panna o imieniu Shaiel, która zmarła przy porodzie. Tyle żywotów zmienionych, przerwanych, żeby ona mogła go urodzić w odpowiednim czasie i miejscu. I umrzeć przy wydawaniu go na świat. Tą matką, którą pamiętał, nieważne, że niewyraźnie, była Kari al'Thor, ale żałował, że nie może spotkać się z tą Tigraine czy też Shaiel, jakkolwiek chciała się nazywać, choćby tylko na krótką chwilę. Żeby ją chociaż mógł zobaczyć.

Chyba że podczas snu. Ona od dawna nie żyła. Wszystko skończone. Czemu więc to go nadal nęka?

„Koło Czasu i koło człowieczego żywota obracają się jednak, bez współczucia ani litości” — mruknął Lews Therin.

„Czy ty naprawdę tam jesteś? — zastanowił się Rand. — Odpowiedz mi, jeśli tam jest coś więcej oprócz głosu i garści dawnych wspomnień! Jesteś tam?”

Milczenie. Teraz mógł zastosować radę Moiraine albo radę innej osoby.

Nagle dotarło do niego, że wpatruje się w ścianę Wielkiej Sali, wyłożoną białym marmurem, że patrzy dokładnie na północny zachód. W stronę Alanny. Opuściła „Psa Culaina”. „Nie! A żeby szeszła!”

Nie pozwoli, by miejsce Moiraine zajęła kobieta, którą stać na taki podstęp.



Nie mógł zaufać żadnej kobiecie ukształtowanej przez Wieżę. Z wyjątkiem trzech. Elayne, Nynaeve i Egwene. Miał nadzieję, że jeszcze może im ufać. Choćby tylko trochę.

Z jakiegoś powodu zadarł głowę w stronę wielkiego sklepienia komnaty i osadzonych w nim barwnych witraży ukazujących bitwy i królowe, na przemian z wizerunkiem Białego Lwa. Te kobiety wielkości większej niż naturalna zdawały się w niego wpatrywać z dezaprobatą, nie rozumiejąc, z jakiego powodu on się tutaj znalazł. Gra wyobraźni, to oczywiste, ale dlaczego? Bo dowiedział się o Tigraine? Wyobraźnia czy szaleństwo?

— Przybył ktoś, z kim chyba powinieneś się spotkać — odezwał się obok niego Bashere i Rand oderwał wzrok od patrzących nań z góry. Czyżby naprawdę toczył z nimi bitwę na spojrzenia?

Generałowi towarzyszył jeden z jego jeźdźców, mężczyzna wyższy od niego — co w przypadku Bashere nie było trudne — miał ciemną brodę i wąsy, i skośne zielone oczy.

— Nie spotkam się, chyba że to Elayne — powiedział Rand bardziej oschle, niż zamierzył — albo ktoś z dowodami, że Czarny nie żyje. Tego ranka wybieram się do Cairhien. — Dopóki te słowa nie opuściły jego ust, wcale nie miał takiego zamiaru. W Cairhien była Egwene. I nie było tam tych królowych ze sklepienia. — Od wielu tygodni nie odwiedzałem tego miasta. Jakiś lord albo lady zagarną za moimi plecami Słoneczny Tron, jeśli nie będę ich pilnował. — Bashere spojrzał na niego dziwnie. Za dużo tych wyjaśnień.

— Zrobisz, jako rzeczesz; ale najpierw musisz się zobaczyć z tym człowiekiem. Twierdzi, że przybywa od lorda Brenda i moim zdaniem mówi prawdę. — Aielowie w jednej chwili poderwali się na nogi, wiedzieli, kto się przedstawia tym imieniem.

Rand ze swojej strony zapatrzył się zdumionym wzrokiem na Bashere. Spodziewał się wszystkiego, tylko nie emisariusza od Sammaela.

— Wprowadź go.

— Hamad — powiedział Bashere, zrobiwszy gwałtowny ruch głową, i młodszy Saldaeańczyk wybiegł.

Kilka minut później Hamad wrócił z grupką Saldaean czujnie strzegących jakiegoś mężczyzny. Na pierwszy rzut oka nic w tym człowieku nie tłumaczyło ich ostrożności. Pozornie przynajmniej nie uzbrojony, był odziany w długi szary kaftan z podniesionym kołnierzem i zgodnie z modłą obowiązującą w Illian miał kędzierzawą brodę bez wąsów. A ponadto perkaty nos i szerokie, wyszczerzone w uśmiechu usta. Kiedy podszedł bliżej, Rand zauważył, że ten uśmiech w ogóle się nie zmienia. Cała twarz tego człowieka jakby zastygła w niezmiennym, pozbawionym wesołości wyrazie. Ciemne oczy, które wзираły z tej maski, ostro z nią kontrastowały — wydawały się wręcz ronić strach, niby lzy.

W odległości dziesięciu kroków Bashere podniósł rękę i straż zatrzymała się.

Illianin, wpatrzony w Randa, zdawał się tego nie zauważać, dopóki Hamad nie przystawił czubka miecza do jego piersi, sprawiając, że musiał się zatrzymać, bo inaczej zostałby nim przeszyty na wylot. Tylko zerknął na płomienistą głownię, po czym znowu zapatrzył się na Randa tymi przerażonymi oczyma osadzonymi w uśmiechniętej twarzy. Ręce zwisały mu u boków, drgając nerwowo, mimo iż twarz pozostała nieruchoma.

Rand zaczął zmniejszać dzielący ich dystans, ale nagle stanęli przed nim Sulin i Urien, nie zagrządzając mu co prawda drogi, w taki jednak sposób się ustawili, że musiałyby się przeciskać między nimi.

— Ciekawe, co mu uczyniono? — zapytała Sulin, przyglądając się mężczyźnie. Spomiędzy kolumn wyszło kilka Panien i Czerwonych Tarcz, niektórzy już osłonili twarze. — Jeśli nawet on nie jest jednym z Pomiotu Cienia, to Cień na pewno go dotknął.

— Taki jak on może zrobić coś, czego nie damy rady przewidzieć — powiedział Urien. Należał do tych, którzy obwiązywali skronie szkarłatnym paskiem. — Może zabija dotykami. Lepszego przesłania wrogowi nie pošlesz.

Żadne nie spojrzało na Randa, nie wprost w każdym razie, ale on i tak pokiwał głową. Może i mieli rację.

— Jak cię zwą? — zapytał. Sulin i Urien rozstąpili się na jeden krok, kiedy spostrzegli, że mężczyzna zamierza pozostać na swoim miejscu.

— Ja naprawdę przybywam od... od Sammaela — rzekł pusto brzmiącym głosem emisariusz, wciąż uśmiechając się szeroko. — Naprawdę przynoszę wiadomość dla... dla Smoka Odrodzonego. Dla ciebie.

Cóż, zabrzmiało to całkiem szczerze. Sprzymierzeniec Ciemności czy jakaś biedna dusza pojmana przez Sammaela w pułapkę jednego z jego obrzydliwszych splotów, o których opowiadał mu Asmodean?

— Cóż to za wiadomość? — spytał Rand.

Usta Illianina poruszyły się z wysiłkiem, po czym dobył się z nich głos, który nie miał nic wspólnego z tym, jak mężczyzna przemawiał dotychczas. Był głębszy, pełen pewności siebie, słyszało się inny akcent.

— Kiedy nastanie dzień Powrotu Wielkiego Władcy, będziemy stali po przeciwnych stronach, ty i ja, ale czemu mielibyśmy już teraz zabić się wzajem i pozwolić, by Demandred i Graendal stoczyli walkę o panowanie nad światem, stąpając po naszych kościach? — Rand znał ten głos, znał go z tych okruczeń wspomnień Lewsa Therina, które osiadły w jego umyśle. Głos Sammaela. Lews Therin szydził bez słów. — Już masz wiele do przetrwania — ciągnął Illianin głosem Sammaela. — Po cóż odgryzać więcej? Zwłaszcza, że przeżyć trudno, nawet jeśli Semirhage albo Asmodean nie zaatakują cię od tyłu, kiedy będziesz tym zajęty. Proponuję przymierze między nami, przymierze aż do Dnia Powrotu. Jeśli nie wykonasz ruchu przeciwko mnie, ja nie wykonam żadnego przeciwko tobie. Mogę się zobowiązać, że nie wyprawię się dalej na wschód niż do Równin Maredo, dalej

na północ niż Lugard na wschodzie albo Jehannah na zachodzie. Sam widzisz, że pozostawiam ci jak dotąd więcej w udziale. Nie twierdzę, że przemawiam w imieniu pozostałych Przeklętych, ale wiesz teraz przynajmniej, że nie musisz się obawiać żadnego zagrożenia ani z mojej strony, ani też z ziem, którymi władam. Zobowiążę się, że ani ich nie wesprę w niczym, co zrobią przeciwko tobie, ani też w obronie przed tobą, Jak dotąd całkiem nieźle sobie radziłeś w usuwaniu Przeklętych z pola walki. I nie mam wątpliwości, że tak będzie nadal, a nawet lepiej, bo wiesz teraz, że twoje południowe skrzydło jest bezpieczne i że inni walczą bez mojego wsparcia. Podejrzewam, że w Dniu Powrotu pozostaniemy tylko ty i ja, tak jak to powinno być. Tak jak to miało być. — Szczęki mężczyzny zamknęły się z głośnym trzaskiem, skrywając się za tym samym zamrożonym uśmiechem. Wyraz jego oczu był bliski szaleństwa.

Rand wytrzeszczył oczy. Przymierze z Sammaelem? Nawet gdyby miał podstawy do wiary, że ten człowiek dotrzyma danego słowa, nawet gdyby takie przymierze oznaczało przynajmniej jedno niebezpieczeństwo odsunięte na bok, dopóki nie rozprawi się z pozostałymi, to jednocześnie skazałby nieprzeliczone tysiące ludzi na łaskę Sammaela, a ten zdolności do okazywania łaski nigdy nie posiadał. Poczuł wściekłość sunącą po powierzchni Pustki i dotarło do niego, że objął *saidina*. Rwący potok przepalającej na wskroś słodczy i mroźnego brudu, który zdawał się niczym echo potęgować jego gniew. Lews Therin. Jak tu się dziwić, że był szalony; udzielało mu się szaleństwo tamtego. Echo rezonowało jego własną furją, tak mocno, że w rezultacie nie umiał odróżnić jednego od drugiego.

— Przekażesz Sammaelowi następującą odpowiedź — oznajmił chłodno. — Rzucam mu do stóp wszystkie śmierci, jakie spowodował od chwili przebudzenia i obarczam go odpowiedzialnością za nie. Rzucam mu do stóp każdy mord, jakiego kiedykolwiek dokonał albo spowodował i obarczam go za niego odpowiedzialnością. Uniknął sprawiedliwości w Rorn M'doi i pod Nol Caimaine i Sohadrze. . . — Znowu wspomnienia Lewsa Therina, ale ból po tym, co tutaj się stało, śmiertelny ból na widok tego, co zobaczyły oczy Lewsa Therina, przepalał Pustkę na wskroś, jakby Rand sam go doznał. — . . . Dopilnuję jednak, by sprawiedliwości stało się zadość. Przekaż mu: żadnych przymierzy z Przeklętymi. Żadnego przymierza z Cieniem.

Posłaniec uniósł owładniętą spazmatycznymi kurczami rękę, by otrzeć pot z twarzy. Nie, nie pot. Na rękę została krew. Z porów skóry tryskały szkarłatne krople, całe ciało trzęsło się, od stóp do głów. Hamad, któremu głośno zaparło dech, cofnął się na krok i nie on jeden zresztą. Wykrzywiony Bashere przejechał wierzchem dłoni po wąsach i nawet Aielowie wytrzeszczyli oczy. Illianin, cały zalany posoką, runął na posadzkę. Po chwili krew utworzyła ciemną, połyskliwą kałużę, rozmywaną przez targane konwulsjami członki.

Rand przypatrywał się umierającemu, zagrzebany głęboko w Pustce, zupełnie nic nie czując. Pustka odgrodziła emocje, a zresztą i tak nie mógł nic zrobić. Nie

sądził, by to potrafił zatrzymać, nawet gdyby się znał na Uzdrawianiu.

— Moim zdaniem — powiedział wolno Bashere — przez to, że ten człowiek nie wróci, Sammael otrzyma swoją odpowiedź. Słyszałem już o zabiciu posłańca, który przywiózł złe wieści, ale nigdy nie słyszałem, by jakiś został zabity, zanim zdążył powiedzieć, że wieści są złe.

Rand przytaknął. Ta śmierć niczego nie zmieniała; podobnie jak nowo nabyta wiedza o Tigraine.

— Niech się ktoś zajmie pochówkiem. Modlitwa nie zaszkodzi, nawet jeśli wcale nie pomoże. — Dlaczego te królowe z witraży wciąż zdawały się go oskarżać? Z pewnością za życia widywały równie złe rzeczy, może nawet w tej właśnie komnacie. Nadal potrafił wskazać Alanę, nadal ją czuł; Pustka nie stanowiła tarczy. Czy mógł zaufać Egwene? Ona potrafiła dotrzymać tajemnicy. — Noc spędzę chyba w Cairhien.

— Ponoć dziwna śmierć spotkała jakiegoś dziwnego człowieka — powiedziała nagle Aviendha, która właśnie wyłoniła się zza podium. Były tam niewielkie drzwi, przez które szło się do komnat służących za przebieralnie, a stamtąd do ciągnących się za nimi korytarzy.

Rand już miał zasłonić sobą to, co leżało na czerwono-białych płytkach, ale zatrzymał się. Aviendha rzuciła tylko jedno zaciekawione spojrzenie i więcej nie zwracała uwagi na ciało. W czasach, gdy była Panną Włóczni, z pewnością musiała widzieć wielu umierających jak on. Zapewne nie mała sama zabiła, zanim wyrzekła się włóczni.

To na jego osobie skupiła wzrok, omiatając go nim od stóp do głów, jakby się upewniała, że jemu nic się nie stało. Kilka Panien uśmiechnęło się do niej, po czym otwarło przejście dla Randa, w razie konieczności odpychając Czerwone Tarcze na bok, ona zaś pozostała na swoim miejscu, poprawiając szal i przyglądając mu się badawczo. Niezależnie od tego, co sobie wyobrażały Panny, dobrze że trzymała się go blisko tylko dlatego, że Mądre tak jej kazały, tylko dlatego że miała go szpiegować, bo on zapragnął ją objąć, właśnie tutaj. Dobrze, że ona go nie pragnęła. To on jej dał tę bransoletę z kości słoniowej, którą miała na rękę, splot z róż i cierni, które tak pasowały do jej charakteru. Była to jedyna ozdoba, jaką nosiła, z wyjątkiem srebrnego naszyjnika o skomplikowanym wzorze, który Kandoryjczycy nazywali płatkami śniegu. Nie wiedział, kto jej go dał.

„Światłości!” — pomyślał z obrzydzeniem. Pragnął Aviendhy i Elayne, wiedząc, że nie może mieć żadnej. — „Jesteś gorszy od tego, co sobie kiedykolwiek wyobrażał Mat”. — Nawet Mat miał dość rozsądku, by trzymać się z daleka od jakiejś kobiety, kiedy uważał, że może ją skrzywdzić.

— Ja też muszę jechać do Cairhien — powiedziała.

Rand skrzywił się. Jednym z powodów, dla których tak go kusiło spędzenie jednej nocy w Cairhien, była możliwość spędzenia chociaż jednej nocy bez jej towarzystwa w komnacie.

— To nie ma nic wspólnego z... — zaczęła ostrym tonem, po czym zacięła swe pełne czerwone usta, a w niebiesko-zielonych oczach pojawił się błysk. — Muszę porozmawiać z Mądrymi, z Amys.

— Jasne — odparł. — Dlaczego nie? — Zawsze jeszcze istniała szansa, że jakoś uda mu się wyjechać, pozostawiając ją za sobą.

Bashere dotknął jego ramienia.

— Tego popołudnia zamierzałeś się przyglądać, jak moi żołnierze ćwiczą jazdę. — Powiedział to zdawkowym tonem, ale wyraz skośnych oczu nadawał tym słowom dodatkowego znaczenia.

To było ważne, ale Rand czuł potrzebę wyjazdu z Caemlyn, z Andoru.

— Jutro. Albo pojutrze. — Musiał uciec gdzieś daleko przed wzrokiem królowych, zastanawiających się, czy ktoś z ich rodu... Światłości, naprawdę się z niego wywodził! Rozedrze ich kraj na strzępy, tak jak to już uczynił z tyloma innymi. Daleko od Alanny. Musiał wyjechać. Choćby tylko na jedną noc.

## KOŁO ŻYWOTA

Strumieniem uplecionym z Powietrza Rand porwał swój pas z meczem, nie zapomniawszy również o berle, i otworzył bramę dokładnie w tym miejscu, w którym stał, tuż przed podium; nagle nakreślona szczelina światła obróciła się, rozszerzyła i roztoczyła przed oczyma patrzących widok na pustą, wykładaną ciemnymi panelami komnatę znajdującą się w istocie sześćset mil od Caemlyn, w Pałacu Słońca, siedzibie królów Cairhien. Nie było w tym wnętrzu, wydzielonym na jego wyłączny użytek, żadnych sprzętów, za to ciemnoniebieskie płyty posadзки i drewniana boazeria ścian aż lśniły od częstego polerowania. A poza tym, mimo braku okien, pomieszczenie było rzęsiście oświetlone; osiem połączonych stojących lamp paliło się w nim dzień i noc, blask karmiących się oliwą płomieni pomnażały odbląsnice. Zatrzymał się na moment, by przypasać miecz, podczas gdy Sulin z Urieniem otworzyli drzwi wiodące na korytarz i poprowadzili zastęp Panien i Czerwonych Tarcz przodem.

Uznał ich ostrożność za przesadną w tym przypadku. W przestronnym korytarzu, jedynej drodze wiodącej do komnaty, tłoczyło się razem ze trzydziestu *Far Aldazar Din*, Braci Orła, oraz blisko dwa tuziny Mayenian, w polakierowanych na czerwono napierśnikach i podobnych do garnków hełmach z okapami zakrywającym cały kark. Jeżeli na całym świecie rzeczywiście istniało takie miejsce, gdzie Rand nie potrzebował umiejętności bitewnych Panien, to było nim Cairhien, nawet w jeszcze większym stopniu niż Łza.

Jeden z Braci Orła biegł już w głąb korytarza, w momencie gdy Rand pojawił się w drzwiach komnaty; śladem wysokiego Aiela podążał Mayenianin ściskający niezgrabnie włócznię i krótki miecz. W rzeczy samej *za Far Aldazar Din* ciągnęła niewielka armia: służący w liberjach najrozmaitszych barw, jakiś taireniański obrońca Kamienia w błyszczącym napierśniku i czarno-złotym kaftanie, cairhieniański żołnierz z czaszką wygoloną nad czołem, w jeszcze bardziej pogiętym napierśniku niżli Tairenianin, dwie młode kobiety Aielów w ciemnych grubych spódnicach i luźnych białych bluzkach, w których Rand natychmiast rozpoznał uczennice Mądrych. Wieści o jego przybyciu natychmiast się rozejdą. Zawsze tak było.

Przynajmniej Alanna była gdzieś daleko. Podobnie zresztą jak Verin, ale głów-

nie chodziło o Alannę. Wciąż wyczuwał jej obecność, nawet mimo odległości, w postaci niejasnego wrażenia, że oto gdzieś tam jest, na zachodzie. Jakby przecucie muśnięcia dłoni, która zatrzymała się o włos od karku. Czy istniał jakiś sposób, by się od niej uwolnić? Objął na chwilę *saidina*, znowu żadnej różnicy.

„Nigdy nie uciekniesz przed pułapkami, które sam na siebie zastawiasz. — W mamrotaniu Lewsa Therina słychać było konsternację. — Tylko większa potęga jest w stanie złamać inną potęgę, a wtedy znowu wpadasz w pułapkę. Schwytany na zawsze, więc nawet nie będziesz mógł umrzeć”.

Rand zadrzał. Czasami naprawdę wydawało mu się, że ten głos zwraca się bezpośrednio do niego. Gdyby wypowiedane przezeń słowa, choćby od czasu do czasu, układały się w jakiś zrozumiały sens, jego obecność w głowie stałaby się bardziej znośna.

— Widzę cię, *Car'a'carnie* — przemówił jeden z Braci Orła. Siwe oczy znajdowały się dokładnie na tej samej wysokości co oczy Randa, blizna przecinająca nos odznaczała się intensywną bielą na spalonej słońcem twarzy. — Jestem Corman z Mosaada Goshien. Obyś znalazł cię dzisiaj.

Rand nie zdążył nawet stosownie odpowiedzieć na powitanie, bo jakiś mayeniański oficer o zaróżowionych policzkach odepchnął Aiela na bok. Tak naprawdę, nie mógł tego zrobić — był zbyt drobny, żeby odepchnąć na bok mężczyznę o głowę wyższego i połowę bardziej barczystego, na dodatek Aiela, chociaż zapewne z racji młodego wieku wydawało mu się, iż warto spróbować — jednak w jakiś sposób wślizgnął się między Randa a Cormana. Pod pachą ścisnął pomalowany na czerwono hełm z pojedynczym cienkim piórem.

— Lordzie Smoku, jestem Havien Nurelle, Lord Porucznik Skrzydlatej Gwardii — po bokach hełmu miał wygrawerowane skrzydła — w służbie Berelain sur Paendrag Paeron, Pierwszej z Mayene. Oddaję się do twojej dyspozycji. — Corman spojrział na niego z rozbawieniem.

— Widzę cię, Havienie Nurelle — odparł Rand z całą powagą i chłopak zamrugał. Chłopak? Kiedy już się nad tym zastanowił, doszedł do wniosku, że zapewne wcale nie jest młodszy od niego. To dopiero! — Jeżeli ty i Corman zechcecie mi pokazać... — Nagle dotarło do niego, że Aviendha gdzieś zniknęła. To on tak unikał tej kobiety, że omal nie skręcił sobie karku, a tymczasem teraz, kiedy po raz pierwszy od wielu tygodni pozwolił jej dotrzymać sobie towarzystwa, ona umknęła dokądś, ledwie na chwilę spuścił ją z oka! — Zabierzcie mnie do Berelain i Rhuarka — burknął. — Jeżeli nie przebywają razem w tym samym miejscu, zaprowadźcie mnie do tego, które znajduje się bliżej i każcie odszukać drugie. — Bez wątpienia pobiegła do Mądrych, by im donieść o jego ostatnich poczynaniach. Naprawdę powinien ją był zostawić w Caemlyn.

„To, czego pragniesz, jest tym, czego nie możesz mieć. To, czego nie możesz mieć, jest tym, czego pragniesz”. — Lews Therin zaniósł się obłąkańczym śmiechem. Obecnie jego głos nie dokuczał już Randowi tak, jak to bywało niegdyś.

Nie było nawet porównania. Wszystko da się wytrzymać.

Po krótkiej dyskusji, by zdecydować, do kogo mają bliżej, Corman i Havien wysforowali znacznie przed swoich ludzi, tworzących całkiem sporą procesję, tyle bowiem Panien i Czerwonych Tarcz tłoczyło się w korytarzu o zwierciadlanym sklepieniu. Było tam dość ponuro i mroczno, pomimo zapalonych lamp. Być może przez nieobecność barw; cairhieniańscy dekoratorzy próbowali zapewne zastąpić ów brak w ten sposób, że nieliczne gobeliny powiesili wedle sztywnego układu: kwiaty do ptaków, jelenie i lamparty do scen myśliwskich, portrety arystokratów do bitew. Pierzchająca im z drogi cairhieniańska służba nie nosiła liberii i wyróżniała się jedynie kolorowymi paskami przy mankietach oraz godłami Domów, wyhaftowanymi na piersiach; czasami dochodziła jeszcze do tego kryza albo rękawy w barwach Domu, albo bardzo rzadko był to cały kaftan lub suknia. Tylko wyższej rangi służący mogli poszczycić się barwniejszymi strojami. Cairhienia nie lubili porządek, przepychu zaś nie znosili. W rzadko rozmieszczonych w ścianie niszach stały pojedyncze ozdoby, złota misa albo wazon Ludu Morza, jednak wszystkie cechowały się surowością wzoru, grawerowane prostymi kreskami, jakby ich twórcy ze wszelkich sił starali się zamaskować jakiegokolwiek krzywizny. Wszędzie tam, gdzie korytarz otwierał się na wytyczone z kwadratowych kolumn arkady, za którymi znajdował się ogród, można było być pewnym, że ścieżki tworzyć będą regularną sieć krzyżujących się linii, że wszystkie kwietniki będą jednakowej wielkości, że krzewy i małe drzewka będą rygorystycznie przystrzyżone i zasadzone w równych odległościach. Gdyby mimo tej suszy kwitły jakieś kwiaty, to bez wątplenia rosłyby w prostych szeregach.

Rand żałował, że Dyelin nie może zobaczyć tych wszystkich mis i wazonów. Shaido rabowali wszystko, co tylko mogli unieść, na całym terytorium Cairhien, a to, czego nie byli w stanie zabrać, w miarę możliwości palili, ale takie postępowanie oznaczało wszakże pogwałcenie *ji'e'toh*. Ci Aielowie, którzy poszli za Randem i uratowali miasto, również brali, ale zgodnie z wyznawanymi przez nich zasadami — kiedy zdobywali jakieś miejsce w wyniku stoczonych bitwy, zabierali jedną piątą jego majątności i ani srebrnej łyżeczki więcej. Jedynie w Andorze Bael zgodził się, z ogromną co prawda niechęcią, zrezygnować nawet z tej jednej piątej. Rand sądził jednak, że ktoś, kto nie posiadałby dokładnego spisu wszystkich przedmiotów, nigdy nie zorientowałby się, że w ogóle coś stamtąd zabrano.

Mimo zażartych dyskusji, Cormanowi i Havienowi nie udało się odnaleźć ani Rhuarka, ani Berelain, zanim oni nie odnaleźli się sami.

Oboje przyszli na spotkanie z Randem do jednej z kolumnad, bez żadnej świty, przez co miał wrażenie, że to on sam stoi na czele jakiejś parady. Rhuarc w swoim *cadin'sor*, z siwizną w ciemnorudych włosach, górował wzrostem nad Berelain, bladą, piękną i młodą, w błękitno-białej sukni z dekoltem tak głębokim, że Randowi aż zaschło w ustach, kiedy się przed nim pokłoniła. Rhuarc, w *shoufie* luźno oplatającej szyję, nie miał przy sobie żadnej broni prócz ciężkiego noża Aielów.



Ona zaś ustroiła głowę w Diadem Pierwszej, ceremonialną oznakę swej pozycji, w kształcie złotego jastrzębia w locie; spod diademu lśniące czarne włosy spływały jej falami na obnażone ramiona.

Może nawet dobrze się stało, że nie było przy nim Aviendhy; czasami nazbyt gwałtownie reagowała na kobiety, które jej zdaniem za bardzo mu się narzucały.

Nagle dotarło do niego, że Lews Therin nuci fałszywie. Coś go w tym mocno zaniepokoiło, ale dlaczego...? Nucił sobie — jak każdy mężczyzna podziwiający kobietę, która nie zdaje sobie sprawy z jego obecności.

„Przestań! — Rand krzyknął w myślach. — Przestań patrzeć moimi oczyma!” — Nie wiadomo, czy tamten usłyszał... czy rzeczywiście był tam w ogóle ktoś, kto mógł go usłyszeć?... niemniej jednak głos przestał nucić.

Havien przyklęknął na jednym kolanie, a Berelain kazała mu wstać, niemalże automatycznym gestem.

— Ufam, że wszystkie sprawy idą po twojej myśli, Lordzie Smoku, zarówno w twoim życiu, jak i w Andorze. — Taką barwą głosu z pewnością przyciągała uwagę mężczyzn. — I mam też nadzieję, że twoi przyjaciele, Mat Cauthon i Perrin Aybara, też się dobrze miewają.

— Wszystko dobrze — poinformował ją. Zawsze pytała o Mata i Perrina, jakkolwiek często jej powtarzał, że jeden znajduje się w drodze do Łzy, a drugiego nie widział od czasu opuszczenia Pustkowia. — A co u was?

Oboje właśnie zrównali się z Randem; Berelain spojrzała przelotnie na Rhuarka i dopiero wtedy, gdy wszyscy razem przeszli do następnej części korytarza, odparła:

— Wszystko w jak najlepszym porządku, Lordzie Smoku.

— Sprawy idą pomyślnie, Randzie al'Thor — oznajmił Rhuarc. Na jego twarzy trudno byłoby doszukać się jakichś wyraźniejszych uczuć, ale wszak bywało tak prawie zawsze.

Rand wiedział, że oboje rozumieją, dlaczego główną władzę nad Cairhien złożył w ręce Berelain. Powody były bezwzględnie jednoznaczne. Była pierwszą z rządzących, która dobrowolnie zaproponowała mu przymierze, mógł jej ufać, ponieważ go potrzebowała — w obecnej chwili bardziej jeszcze niżli kiedykolwiek od czasu wejścia z nim w alians — by chronił Mayene przed zakusami Łzy. Wysocy Lordowie zawsze usiłowali traktować Mayene jako prowincję swego kraju. A poza tym jako cudzoziemka, mieszkanka małego państewka położonego w odległości setek lig na południe, nie miała wyraźnych powodów do faworyzowania w Cairhien jakiejś szczególnej frakcji, nie żywiła żadnych nadziei na trwałe utrzymanie władzy i znakomicie się znała na kierowaniu państwem. Trudno byłoby coś zarzucić jego rozumowaniu. Biorąc pod uwagę stosunek Aielów do Cairhienian, oraz Cairhienian do Aielów, gdyby rządził tutaj Rhuarc, wcześniej czy później doszłoby do rozlewu krwi, a Cairhien z pewnością nie tego potrzebowało.

Ustanowiony przez niego porządek zdawał się nieźle funkcjonować. Podobnie

jak w przypadku Semaradrid i Weiramona w Łzie, Cairhienianie zaakceptowali Mayeniankę w roli gubernatora, w takiej samej mierze dlatego, że nie była Aielem, jak dlatego, że to Rand powierzył jej ten urząd. Berelain naprawdę wiedziała, co robi i na dodatek słuchała rad oferowanych jej przez Rhuarka, który przemawiał w imieniu tych wodzów klanów, którzy do teraz pozostali w Cairhien. Bez wątpienia miewała też do czynienia z Mądrymi — te chyba nigdy nie przestaną wtrącać się do cudzych spraw, a jeśli już, to nie wcześniej, niżli zrobią to Aes Sedai — ale jak dotąd o niczym takim nie wspomniała.

— A Egwene? — zapytał Rand. — Czy miewa się choć odrobinę lepiej?

Berelain nieznacznie zacisnęła usta. Nie lubiła Egwene. Zresztą Egwene też za nią nie przepadała. Nie miał pojęcia, skąd to się brało, ale sprawy rzeczywiście tak się miały.

Rhuarc rozłożył ręce.

— Wiem tyle, co mi powiedziała Amys. — Amys była nie tylko Mądrą, lecz również żoną Rhuarka. Jedną z jego dwóch żon; ten obyczaj, zdaniem Randa, zaliczał się do najdziwniejszych obyczajów Aielów, wśród wielu, które wprawiały go w zdumienie. — Mówi, że Egwene potrzebuje jeszcze trochę wypoczynku, nie męczących ćwiczeń, dużo jedzenia i świeżego powietrza. Myślę, że pozwalają jej trochę pospacerować pod koniec dnia, kiedy upał nieco łżeje. — Berelain spojrzała na niego krzywo; delikatna warstewka potu na twarzy ani trochę nie ujmowała jej urody, ale Rhuarc, rzecz jasna, nie pocił się wcale.

— Chciałbym się z nią zobaczyć — oznajmił Rand. — O ile Mądre pozwolą — dodał, Mądre były równie zazdrosne o swoje wpływy, jak wszystkie poznane przez niego Aes Sedai; zawsze dbały, by nie wtrącał się w nie żaden z wodzów szczepów, wodzów klanów, a zapewne w największym stopniu sam *Car'a'carn*. — Ale najpierw...

Kiedy zbliżali się do kolejnego miejsca, w którym ścianę korytarza zastępowała kolumnada z balustradą, dobiegł go znajomy, ledwie słyszalny dźwięk. Trzaski mieczy ćwiczebnych. Nie zatrzymując się, zerknął w tamtą stronę. A przynajmniej taki miał zamiar; to, co zobaczył w dole, sprawiło, że język mu zamarł, a stopy same chyba zwolniły kroku. Pod okiem wyprostowanego sztywno Cairhienianina w zgrzebnym kaftanie szarej barwy ćwiczyło kilkanaście złanych potem kobiet połączonych w pary, jedne w rozciętych sukniach do konnej jazy, inne w męskich kaftanach i spodniach. Większość wykonywała figury niezgrabnie, choć z dużym entuzjazmem, jednak niektóre zręcznie i gładko przechodziły od postawy do postawy, aczkolwiek wymachiwały mieczami z połączonych listewek z pewnych wahaniem. Na twarzach wszystkich malowała się zawzięta determinacja, niemniej jednak zdarzało się, że któraś, uświadomiwszy sobie, że właśnie popełniła błąd, wybuchała niewesołym śmiechem.

Mężczyzna klasnął w dłonie i zadyszane kobiety opuściły miecze, niektóre rozmasowywały dłonie najwyraźniej nienawykłe do takiego zajęcia. W tym

momencie, z jakiegoś miejsca, poza zasięgiem wzroku Randa, wybiegli służący; kłaniali się w lewo i prawo, podsuwając tace zastawione dzbanami i pucharami. Dziwne jednakże nosili liberie, zwłaszcza jak na cairhieniańska służbę. Wszystko bowiem, co mieli na sobie, było nieskazitelnie białe. Suknie, kaftany, spodnie. Wszystko.

— A cóż to takiego? — zapytał.

Rhuarc chrząknął z obrzydzeniem.

— Panny ewidentnie wywarły wrażenie na Cairhieniankach swym stylem życia — wyjaśniła z uśmiechem Berelain. — Zapragnęły zostać Pannami. Pannami miecza, nie zaś włóczni, jak przypuszczam. — Sulin aż zeszywniała z obrazy, zaś inne Panny rozgadały się w mowie gestów, wyraźnie zdradzając gniew. Niczym nie zrażona Berelain ciągnęła dalej: — Pozwalam im tu ćwiczyć, ponieważ ich rodzice z pewnością by się na coś takiego nie zgodzili. W mieście istnieje już co najmniej kilkanaście szkół, w których kobiety uczą się szermierki, przy czym nie jedna uczęszcza do nich po kryjomu. Oczywiście nie tylko kobiety uległy tej modzie. Aielowie zrobili wrażenie na całej cairhieniańskiej młodzieży, która stara się przyswoić sobie *ji'e'toh*.

— Oni je wypaczają — warknął Rhuarc. — Wypytyują nas o nasze obyczaje, a któż potrafiłby powstrzymać się przed ukazaniem temu, kto chce się uczyć, właściwego sposobu życia? Nawet jeśli to zabójca drzew. — Miał taką minę, jakby chciał splunąć. — Ale oni słuchają, co im mówimy, a potem wszystko przekręcają.

— Wcale niczego nie przekręcają — zaprotestowała Berelain. — Moim zdaniem oni to adaptują do innych warunków. — Rhuarc lekko uniósł brwi; widząc to, westchnęła. Oblicze Haviena, kiedy zobaczył, że ktoś ośmiela się sprzeciwić jego władczyni, można by uznać chyba za przykładowy wizerunek zniewagi. Ani Rhuarc, ani Berelain w ogóle nie zwrócili na niego uwagi; oboje nie spuszczały wzroku z Randa. On zaś odniósł wrażenie, że ten spór bynajmniej nie trwa od dziś.

— Wykoślawiają je — powtórzył z naciskiem Rhuarc. — Ci odziani na biało głupcy twierdzą, że są *gai'shain*. *Gai'shain!* — Pozostali Aielowie zaszemrali; Panny ponownie wymieniły jakieś uwagi w języku gestów. Havien wyraźnie się trochę zaniepokoił. — Podczas jakiej bitwy czy też napaści zostali oni pojmani? Czym jest *toh*, jakie winni spełnić? Utrzymałaś mój zakaz pojedynków w mieście, Berelain Paeron, ale oni pojedynkują się dalej, zawsze, jak im się zdaje, że nikt ich nie przyłapie, i przegrany przywdziewa biel. Jak jeden uderzy drugiego, podczas gdy obaj są uzbrojeni, to ten uderzony wyzywa tego pierwszego na pojedynek, a jeśli tamten mu odmówi, to przywdziewa biel. Co to ma wszystko wspólnego z honorem lub zobowiązaniem? Zmieniają wszystko i robią takie rzeczy, na których widok Sharamam by się zarumienił. Temu należy położyć kres, Randzie al'Thor.

Berelain z uporem zacisnęła usta, palce jej dłoni wczepiły się w suknie i zacisnęły w pięści.

— Młodzi mężczyźni zawsze wadzą się między sobą. — Mówiła tonem tak protekcyjnym, że doprawdy można było zapomnieć, iż sama jest przecież równie młoda. — Ale od czasu jak wprowadzili ten zwyczaj, przynajmniej nikt nie zginął w pojedynku. Ani jednej ofiary. Samo to warte jest przyzwolenia, by dalej się tak zabawiali. Poza tym musiałam już stawiać czoło różnym ojcom i matkom, niekiedy posiadającym znaczną władzę, którzy domagali się odesłania ich córek do domu. Nie odmówię teraz tym młodym kobietom tego, co im obiecałam.

— Trzymaj je tutaj, jeśli tego chcesz — powiedział Rhuarc. — Pozwól im nawet uczyć się walki na... miecze, jeśli taka twoja wola. Ale zabroń im udawać, że stosują się do *ji'e'toh*. Niech skończy się już to przywdziewanie bieli i mienienie się *gai'shain*. To, co oni robią, to zwykła obraza. — Spojrzenie chłodnych błękitnych oczu spoczęło na Berelain, jednak ona, wpatrzona niewzruszenie w Randa, nawet na niego nie zerknęła.

Wahał się jedynie przez moment. Pomyślał, że przecież w istocie rozumie, co tak popycha młodych Cairhienian w stronę *ji'e'toh*, Dwakroć pokonani przez Aielów w ciągu dwudziestu kilku lat, z pewnością musieli się zastanawiać, jaka też tajemnica stoi za sukcesami tamtych. Albo może doszli po prostu do wniosku, że ich porażki oznaczają, iż sposób życia Aielów jest zwyczajnie lepszy. Oczywiście Aielowie musieli być zdenerwowani tym, co uważali za szyderstwo z ich wierzeń, niemniej jednak niektóre z sposobów, w jaki sami mogli zostać *gai'shain*, wydawały się wcale nie mniej osobliwe. Ma przykład mówienie do jakiegoś mężczyzny o jego teściu albo do jakiejś kobiety o jej teściowej — czyli o drugim-ojcu i drugiej-matce, ujmując rzecz nazewnictwem Aielów — uznawane było za akt wrogości, dostatecznie poważny, by usprawiedliwiać dobytec broni, chyba że ci, do których się zwracano, sami ich pierwej wymienili. Jeżeli natomiast obrażony dotknął cię, po tym jak już powiedziałeś, co powiedziałeś, to zgodnie z *ji'e'toh* popełniał czyn równający się dotknięciu uzbrojonego wroga bez wyrządzania mu żadnej krzywdy. Zdobywało się przez to dużo *ji*, sprowadzało na tamtego mnóstwo *toh*, jednak dotknięty mógł domagać się statusu *gai'shain*, aby pomniejszyć honor drugiej strony i swoje własne zobowiązanie. Wedle *ji'e'toh* właściwie sformułowane życzenie zostania *gai'shain* musiało być honorowane, tak więc, ostatecznie, mężczyzna lub kobieta mogli zostać *gai'shain* tylko dlatego, że wspomnieli czyjąś teściową lub teścia. Niewiele głupsze od tego, co robili ci Cairhienianie. A właściwie wszystko sprowadzało się do jednego. Powierzył Berelain najwyższą władzę w tej krainie, musiał jej okazać swe poparcie. Nie mógł postąpić inaczej.

— Cairhienianie obrażają cię tym tylko, że są Cairhienianami, Rhuarc. Pozwól im być sobą. Kto wie, może w końcu nauczą się dosyć, dzięki czemu przestaniecie tak ich nienawidzić.

Rhuarc mruknął coś gniewnie, a Berelain uśmiechnęła się. Ku zaskoczeniu Randa, przez chwilę wyglądała tak, jakby chciała pokazać Aielowi język. Na pewno tylko to sobie wyobraził. Była od niego starsza zaledwie o kilka lat, ale już władała Mayene, kiedy on wciąż jeszcze pasał owce w Dwu Rzekach.

Rand odesłał Cormana i Haviena do ich oddziałów i ruszył dalej, z Rhuarkiem i Berelain po obu stronach, reszta też starała się trzymać blisko. Procesja. Brakowało tylko werbli i trąb.

Gdzieś z tyłu dobiegło go znowu trzaskanie mieczy ćwiczebnych. Kolejna zmiana, chociaż niewielka. Nawet Moiraine, która od jakże długiego przecież czasu studiowała Proroctwa Smoka, nie wiedziała, czy ponowne Pęknięcie Świata mające być jego dziełem, oznaczać będzie nowy Wiek; z pewnością jednak powodował zmiany, w taki czy inny sposób. Tyle samo zmieniało się przypadkiem, co w efekcie przemyślanego działania.

Gdy dotarli do drzwi gabinetu zajmowanego wspólnie przez Berelain i Rhuarka — znajdującą się na ścianach boazerię dekorowały symbole wschodzącego słońca, z czego zapewne należało wyciągnąć wniosek, iż dawniej komnatę wykorzystywali do jakichś celów królowie — Rand zatrzymał się, stając twarzą w stronę Sulin i Uriena. Jeżeli tutaj nie pozbędzie się swoich strażników, to już chyba nigdy mu się to nie uda.

— Zamierzam wrócić do Caemlyn jutro, mniej więcej w godzinę po wschodzie słońca. Do tego czasu odwiedźcie namioty, zobaczcie się z przyjaciółmi i spróbujcie nie wszczynać żadnej waśni krwi. Jeżeli bardzo wam na tym zależy, dwoje może kręcić się gdzieś w pobliżu na wypadek, gdyby zaatakowała mnie jakaś mysz, bo raczej nic większego nie zaczai na mnie się tutaj.

Urien uśmiechnął się nieznacznie i przytaknął, jednocześnie jednak wykonał gest ręką mniej więcej na wysokości przeciętnego wzrostu Cairhienianina i powiedział cicho:

— W tym miejscu myszy bywają całkiem duże.

Przez chwilę Randowi zdawało się, że Sulin zamierza się kłócić. Na szczęście tylko przez krótką chwilę wpatrywała się w niego zimnym spojrzeniem, po czym również skinęła głową. Nadal jednak zaciskała usta. Bez wątplenia usłyszy wszystko, co miała mu teraz do powiedzenia, kiedy w pobliżu będą same Panny.

Już po raz drugi zwiedzał ten gabinet, ale nawet teraz w oczy rzuciły mu się ostre kontrasty wystroju. Na wysokim zdobionym gipsowymi sztukateriami suficie proste linie i ostre kąty układały się w skomplikowane symetryczne wzory, podobne dekorowały ściany i szeroki kominek licowany ciemnoniebieskim marmurem. Na samym środku komnaty stał masywny stół zasłany dokumentami i mapami, które dzieliły go jakby na dwie części. Na parapetach dwu wysokich i wąskich okien po jednej stronie kominka stały gliniane misy; rosły w nich rośliny okryte drobnymi biało-czerwonymi kwiatkami. Po tej stronie stołu długi arras przedstawiał statki na morzu i ludzi ciągnących sieci pełne ryby olejowej

— źródło bogactwa Mayene. Na fotelu z wysokim oparciem leżał tamborek do haftowania, z igłą i czerwoną nitką wystającą z niedokończonego elementu; fotel był dostatecznie szeroki, by Berelain mogła się na nim zwinąć w kłębek, gdyby przyszła jej taka ochota. Posadzkę okrywał tylko jeden dywan o kwietnym wzorze utrzymanym w złocie, błękicie i czerwieni, a na małym stoliczku przy fotelu stał srebrny dzban z winem oraz puchary na srebrnej tacy, tuż obok cienkiej książeczki oprawionej w czerwone płótno z połączanym skórzanym elementem — to wszystko oznaczało domenę Berelain.

Posadzka z drugiej strony stołu była zaślana wielobarwnymi dywanikami, a także zielonymi, czerwonymi i niebieskimi poduszkami. Kapciuch na tytoń, fajka o krótkim cybuchu oraz para szczypiec leżały obok przykrytej mosiężnej misy, stojącej na maleńkiej okutej brązem skrzynce; w nieco większym okutym żelazem kufrze schowana była wyrzeźbiona z kości słoniowej figurka przedstawiająca zwierzę, które zdaniem Randa raczej nie istniało w rzeczywistości. Ponad dwadzieścia książek rozmaitych formatów, od na tyle małych, by pasowały do kieszeni kaftana, do tak wielkich, że nawet Rhuarc potrzebował obu rąk, by je podnieść, stało w schludnym rzędku na posadzce pod ścianą. Aielowie wytwarzali w Pustkowiu wszystko, co im było potrzebne do życia, z wyjątkiem książek; przyjeżdżający do Pustkowie handlarze potrafili zbijać fortuny na samych tylko książkach.

— A więc — powiedział Rand, kiedy drzwi za nimi zamknęły się i został sam na sam z Rhuarkiem i Berelain — jak naprawdę sprawy się mają?

— Już powiedziałam — odrzekła Berelain. — Dokładnie tak, jak należałoby oczekiwać. Na ulicach mówi się coraz więcej o Caralinie Damodredzie i Toramie Riatinie, jednak większość ludzi jest zbyt zmęczona, by pragnąć następnej wojny.

— Powiadają, że przyłączyło się do nich dziesięć tysięcy andorańskich żołnierzy. — Rhuarc upychał kciukiem tytoń w swojej fajce. — Płatki zazwyczaj po dziesięciokroć, po dwadzieściakroć mnożą stan faktyczny, ta jednak rodzi niepokój, o ile rzeczywiście jest prawdziwa. Zwiadowcy twierdzą wprawdzie, że ich siły nie są zbyt wielkie, ale kiedy pozwoli się im wzrosnąć, staną się czymś więcej niżli zwykłą niedogodnością. Żółta mucha jest niemalże zbyt mała, by ją dostrzec gołym okiem, jeśli jednak złoży jaja w twojej skórze, stracisz rękę albo nogę, zanim się wylęgną... o ile w ogóle nie postradasz życia.

Rand mruknął coś, nie przekonany. Rebelia Darlina w Łzie nie była jedyną, z którą musiał się zmierzyć. Domy Riatin i Damodred, ostatnie dwa, które rościły sobie pretensje do Tronu Słońca, zawzięcie rywalizowały ze sobą jeszcze przed pojawieniem się Randa i zapewne ich waśń rozpęta się na nowo, kiedy jego już nie będzie. Teraz jednak odłożyły wszelką rywalizację na bok — przynajmniej z pozoru tak się mogło zdawać, to, co działo się w głębi umysłów Cairhienian mogło całkowicie przeczyć pozorom, jakie stwarzali — i podobnie jak Darlin, który zbierał gdzieś swe siły, Toram i Caraline sądzili, że są całkowicie bezpiecz-

ni. Schronienia poszukali u podnóży gór zwanych Grzbietem Świata, tak daleko od miasta, jak tylko było możliwe, a jednak jeszcze w granicach prowincji. Pod ich sztandarami gromadziła się taka sama przypadkowa zbieranina jak pod sztandarami Darlina: szlachta, głównie średniej rangi, wypędzona ze swoich wiosek ludność prowincji, wyjęci spod prawa najemnicy, zapewne również niegdysiejsi bandyci. Podobnie jak w przypadku Darlina, zapewne i tu należało się doszukiwać śladów działalności Pedrona Nialla.

Podnóża tych gór nie były aż tak niedostępne jak Haddon Mirk, ale Rand wstrzymywał się z podejmowaniem jakichkolwiek działań — zbyt wielu miał wrogów, w zbyt wielu miejscach się gromadzili. Jeżeli choćby na chwilę przystanie, by zabić tę Rhuarkową żółtą muchę, być może okaże się, że w innym miejscu, za jego plecami czai się już pantera. Dlatego najpierw trzeba się zająć tymi panterami. Gdyby tylko wiedział, gdzie one się pochowwały.

— A co z Shaido? — zapytał, kładąc Berło Smoka na rozwiniętej do połowy mapie, która przedstawiała północne okolice Cairhien oraz góry zwane Sztyletem Zabójcy Rodu. Shaido mogli nie stanowić tak wielkiego zagrożenia jak Sammael, jednak z pewnością byli groźniejsi niż Wysoki Lord Darlin czy lady Caraline. Berelain podała mu tymczasem puchar z winem; podziękował jej. — Czy Mądre mówią coś o zamiarach Sevanny?

Sądził, że przynajmniej jedna lub dwie będą słuchać i rozglądać się dookoła, przynajmniej odrobinę, i śledzić losy jej wyprawy aż do Sztyletu Zabójcy Rodu. Założyłby się, że Mądre Shaido właśnie tak postępowały, kiedy schodziły niżej ku rzece Gaelin. Oczywiście o żadnej z tych rzeczy nie wspominał nawet słowem. Shaido mogli porzucić zupełnie *ji'e'toh*, jednak Rhuarc obstawał przy tradycyjnych metodach zwiadowczych. Stanowisko Mądrych było z kolei zupełnie inną sprawą, chociaż, ściśle rzecz biorąc, trudno byłoby powiedzieć, na czym dokładnie ono polega.

— Mówią, że Shaido budują siedziby. — Rhuarc urwał i przy pomocy pary szczypiec wyciągnął rozżarzony węgielek z wypełnionej piaskiem mosiężnej misy, a potem za jego pomocą zapalił fajkę. Kiedy już rozpałił ją na dobre, zaczął mówić dalej: — One przypuszczają, że Shaido już nigdy nie wrócą do Ziemi Trzech Sfer. Ja podzielam ich zdanie.

Rand palcami wolnej dłoni przeczesał włosy. Caraline i Toram knują przeciwko niemu, a teraz jeszcze Shaido zalegli po tej stronie Muru Smoka. To tworzyło znacznie bardziej niebezpieczną kombinację niżli Darlin. A nadto niewidzialne palce Alanny wciąż jakby wisały o kilka cali od jego karku. — Czy macie inne jeszcze, równie dobre wieści?

— W Shamara toczą się walki — powiedział Rhuarc, wydmuchując dym z fajki.

— Gdzie? — zapytał Rand.

— Shamara. Albo Shara. Te ziemie noszą wiele nazw. Co'dansin, Tomaka,

Kigali i jeszcze inne. Każda z nich może być prawdziwa, albo i żadna. Ci ludzie potrafią kłamać, nawet się nad tym nie zastanowiwszy. Handlując z nimi, musisz rozwijać do końca każdą bełę jedwabiu, w przeciwnym razie przekonasz się, że tylko zewnętrzna jej warstwa to jedwab. A jeśli podczas następnego spotkania handlowego zdarzy ci się spotkać człowieka, który wcześniej z tobą handlował, zaprzeczy, by kiedykolwiek widział cię na oczy, albo w ogóle z tobą ubijał jakikolwiek interes. Jeżeli będziesz obstawał przy swoim, pozostali zabiją tamtego, by dać ci satysfakcję, potem powiedzą, że tylko on, nikt inny mógł fałszować jedwab, a następnie będą chcieli sprzedać ci wodę, wmawiając, że to wino.

— Dlaczego walki w Shara miałyby stanowić dobre wieści? — zapytał cicho Rand. Tak naprawdę wcale nie chciał poznać odpowiedzi, gdyż spodziewał się, jak będzie brzmiała. Berelain jednak słuchała z zainteresowaniem. Nikt prócz Aielów i Ludu Morza nie wiedział prawie nic o tych niedostępnych ziemiach, położonych za Pustkowiec, ponad to, że stamtąd pochodzi kość słoniowa i jedwab. Tylko tyle. Pozostawały jeszcze opowieści zawarte w książce *Podróż Jaina Długi Krok*, zbyt jednak fantastyczne, by mogły być prawdziwe. Zastanowiwszy się nad tym, Rand przypomniał sobie, iż autor również wspominał o wrodzonej kłamliwości tych ludów oraz o rozmaitych nazwach krainy, a ponadto jego opowieści, na ile je pamiętał, nie dorównywały cudownością tym, którymi raczył go Rhuarc.

— W Shara nigdy nie toczono wojen, Randzie al’Thor. Powiadają, że walczone tam trochę podczas Wojen z trollokami. . . — Trolloki wtargnęły wówczas również do Pustkowiec Aiel, od tego czasu jednak tereny te w mowie trolloków nosiły miano Ziemi Śmierci — . . . ale jeśli od tego czasu stoczono tam choćby jedną bitwę, żadna wzmianka o niej nie dotarła do uszu handlarzy. Zresztą nawet słowo na temat tego, co się dzieje na zewnątrz, nie przenika poza mury, którymi odgradzili się od przybyszów z zewnątrz. Oni twierdzą, że świat był kiedyś jednością, nie zaś jak teraz podzielony na różne ziemie, i że wtedy zawsze panował pokój. Kiedy wyszedłeś z Rhuidean jako *Car’a’carn*, wieści o tym wydarzeniu rozniosły się szeroko, jak również imię, jakie nadali ci mieszkańcy mokradeł. Smok Odrodzony. Słowo o tych wydarzeniach podróżnicy przenieśli do handlowych faktorii wzdłuż Wielkiej Rozpadliny, aż po Zbocza Świtu. — Oczy Rhuarka pozostawały spokojne i niewzruszone, najwyraźniej te rzeczy nie były go w stanie poruszyć. — Ale teraz nadchodzą wieści poprzez Ziemię Trzech Sfer. W Shara toczą się walki, a Sharanie odwiedzający faktorie handlowe pytają, kiedy Smok Odrodzony sprowadzi Pęknięcie Świata.

Znienacka, wypity właśnie łyk wina nabrał kwaśnego smaku. Następne miejsce, jak wcześniej Tarabon i Arad Doman, które rozszarpie wojna tylko dlatego, że dotarły tam wieści o nim. Jak daleko sięgnie ta fala? Czy rozpęta wojny, o których on sam nigdy się nie dowie, na ziemiach, o których nigdy w życiu nie słyszał, mocą tylko własnego imienia?

„Śmierć siedzi mi na karku — wymamrotał Lews Therin. — Śmierć idzie



mym śladem. Ja jestem śmiercią”.

Czując przeszywające go dreszcze, Rand odstawił puchar na stół. Ile jeszcze wymuszą na nim Proroctwa, pełne zwodniczych wskazówek i, w dużej części, nieczytelnych fraz? Czy powinien dołączyć Sharę, czy też jakkolwiek brzmiała jej prawdziwa nazwa, do Cairhien i pozostałych ziem? Cały świat? W jaki sposób, skoro nie potrafił utrzymać w całości nawet Łzy czy Cairhien? To zabrałoby więcej czasu, niżli liczy życie pojedynczego człowieka. Andor. Jeżeli naprawdę przyjdzie mu zniszczyć każdy kraj, pograć w pochodze wojny cały świat, Andor pozostanie nie tknięty, dla Elayne. Musi się znaleźć jakiś sposób.

— Shara, czy też jak tam się nazywa, znajduje się daleko stąd. Trzeba działać krok za krokiem, a tym następnym musi być Sammael.

— Sammael — zgodził się Rhuarc. Berelain wyraźnie zadrżała na dźwięk tego imienia, opróżniła swój puchar z winem do dna.

Potem przez jakiś czas rozmawiali o Aielach, którzy wciąż maszerowali na południe. Rand zamierzał młot swych sił, który wykuł w Łzie, uczynić tak potężnym, by zmiażdżył wszystko, co Sammael mógłby postawić na jego drodze. Rhuarc wydawał się zadowolony; to Berelain skarżyła się, że więcej sił powinno zostać w Cairhien. Póki Rhuarc jej nie uciszył. Mamrotała jeszcze coś na temat tego, że jest nazbyt uparty, by wyszło mu to na dobre, niemniej przeszła do innej kwestii, a mianowicie wysiłków osadzenia z powrotem farmerów po wsiach. Przypuszczała, że już w następnym roku zniknie konieczność importowania ziarna z Łzy. Rzecz jasna, pod warunkiem, że susza się skończy. Jeżeli nie, Łza nie będzie w stanie wyżywić się sama, a co dopiero mówić o innych krajach. Powoli również odradzał się handel. Kupcy zaczęli przybywać z Andoru, Łzy i Murandy, a także z samych Ziem Granicznych. Tegoż ranka na rzece zarzucił kotwicę nawet statek Ludu Morza, co wydawało jej się dziwne, tak daleko od morza, niemniej jednak, było to jak najbardziej mile widziane.

Na twarzy Berelain pojawiło się skupienie, a jej głos nabrał energiczniejszego brzmienia, kiedy obeszła wokół stołu, aby wziąć z niego kartkę papieru, na której wyszczególnione było, co Cairhien powinno nabyć, a na co jest w stanie sobie pozwolić, co winno być sprzedane już teraz, co zaś za sześć miesięcy, za rok. Wszelkie kalkulacje, rzecz jasna, zależne były od pogody. Przeszła do porządku nad tą kwestią, jakby była zupełnie nieznacząca, jednak równocześnie obdarzyła Randa takim spojrzeniem, z którego jasno wynikało, iż jest przecież Smokiem Odrodzonym, więc jeśli istnieje jakikolwiek sposób na położenie kresu tym upałom, to on winien go znaleźć. Rand widział ją już w masce uwodzicielskiej piękności, widział ją przerażoną, wyzywającą, arogancko wyniosłą, ale takiej Berelain nie widział jeszcze nigdy. Wydawała się całkowicie inną kobietą. Rhuarc usiadł na jednej ze swych poduszek i pykał fajkę, najwyraźniej rozbawiony tym jej nowym wcieleniem.

— ... ta szkoła, którą założyłeś, może wreszcie zacnie przynosić jakiś po-

żytek — powiedziała, spoglądając spod zmarszczonych brwi na długą wstęgę papieru pokrytą elegancko wykaligrafowanymi słowami — pod warunkiem, że przestaną wreszcie wymyślać jakieś nowe rzeczy i chwilę choćby poświęcą na zrealizowanie już opracowanych projektów. — Przyłożyła palec do ust, z namysłem studiując rozmaite pozycje na liście. — Każesz mi dawać im tyle złota, o ile proszą, jeżeli jednak pozwolisz mi regulować te dotacje, przynajmniej dopóki oni rzeczywiście...

W drzwiach ukazała się puciołowata twarz Jalani — Aielowie nie wyznawali potrzeby pukania — i z miejsca oznajmiła:

— Jest tutaj Mangin; chciałby mówić z Rhuarkiem i z tobą, Randzie al'Thor.

— Powiedz mu, że będę szczęśliwy, mogąc porozmawiać z nim później — zdążył powiedzieć Rand, zanim Rhuarc wtrącił cicho:

— Powinieneś porozmawiać z nim od razu, Randzie al'Thor. — Oblicze wodza klanu nabrało ponurego wyrazu. Berelain odłożyła długi zwój na blat stołu i wbiła wzrok w posadzkę.

— Dobrze, porozmawiam — powoli odparł Rand.

Głowa Jalani zniknęła, a Mangin wszedł do środka. Wyższy jeszcze od Randa, był wśród tych, którzy przeszli wówczas przez Mur Smoka w poszukiwaniu Tego Który Przychodzi ze Świttem, jednym z garstki, która zdobyła Kamień Łzy.

— Sześć dni temu zabiłem człowieka — zaczął bez żadnych wstępów — mordercę drzew i muszę wiedzieć, czy mam względem ciebie *toh*, Randzie al'Thor.

— Względem mnie? — zapytał Rand. — Masz przecież prawo działać w obronie własnej, Mangin. Światłości, wiesz, że... — Na moment urwał, spojrzał w szare oczy tamtego, zobaczył w nich przygnębienie, a nawet śladu strachu. Ciekawość, być może. Z twarzy Rhuarka nie sposób było niczego wyczytać. Berelain wciąż unikała jego wzroku. — On cię nie zaatakował pierwszy, prawdaż?

Mangin ledwo dostrzegalnie pokręcił głową.

— Zrozumiałem, że zasłużył sobie na śmierć, więc go zabiłem. — Powiedział to takim tonem, jakby prowadził normalną towarzyską rozmowę: zauważył, że trzeba wyrzucić śmieci, więc zrobił to. — Ale ty powiedziałaś, że nie wolno nam zabijać krzywoprzysięzców, chyba że w bitwie, albo dopiero wówczas, gdy nas zaatakują. Czy więc mam względem ciebie *toh*?

Rand doskonale pamiętał, co wówczas powiedział...

„... tego powieszę”.

Poczuł ucisk w piersiach.

— Dlaczego uznałeś, że zasłużył sobie na śmierć?

— Miał na sobie coś, czego nie miał prawa nosić.

— Co miał? Co on miał na sobie, Mangin?

Odpowiedział mu Rhuarc, dotykając jego lewego przedramienia.

— To. — Miał na myśli wrytego w skórę Smoka, oplecionego wokół ręki. Wodzowie klanów rzadko je wystawiali na widok publiczny i rzadko też w ogóle

o nich wspominali; niemalże wszystko, co wiązało się z tym znamieniem, spowite było tajemnicą. Wszyscy chcieli, aby tak to zostało. — Zrobił to sobie, oczywiście za pomocą igieł i atramentów. — Tatuaz.

— Udawał, że jest wodzem klanu? — Rand zdał sobie sprawę, że za wszelką cenę poszukuje wymówki — „... tego powieszę”. Mangin był jednym z pierwszych, którzy opowiedzieli się po jego stronie.

— Nie — odparł tamten. — Był pijany i pokazywał wszystkim coś, czego pokazywać nie powinien. Widzę twe oczy, Randzie al’Thor. — Znienacka uśmiechnął się. — To jest dopiero zagadka. Miałem rację, zabijając go, ale teraz mam względem ciebie *toh*.

— Nie miałeś racji, zabijając go. Wiesz, jaka jest kara za morderstwo.

— Sznur na szyję, jak to robią ci mieszkańcy mokradeł — Mangin w zamyśleniu pokiwał głową. — Powiedz mi więc, gdzie i kiedy, to się tam stawię. Obyś znalazł dziś wodę i cień, Randzie al’Thor.

— Obyś i ty znalazł wodę i cień, Mangin — odrzekł ze smutkiem Rand.

— Przypuszczam, że on naprawdę z własnej woli uda się na miejsce swej kaźni — stwierdziła Berelain, kiedy drzwi za Manginem się zamknęły. — Och, nie patrz na mnie w ten sposób, Rhuarc. Nie miałam zamiaru obrazić ani jego, ani honoru Aielów.

— Sześć dni — warknął Rand, zwracając się do niej. — Wiedzieliście oboje, po co on się tu zjawiał. To wszystko stało się sześć dni temu, a wy zostawiliście to mnie. Morderstwo to morderstwo, Berelain.

Wyprostowała się, przybierając królewską postawę, jednak w jej głosie brzmiały obronne tony.

— Nie przywykłam do mężczyzn, którzy przychodzą do mnie i twierdzą, że właśnie popełnili morderstwo. Przekłete *ji’e’toh*. Przekłęci Aiele i ich przekłety honor. — W jej ustach przekleństwa sprawiały doprawdy dziwne wrażenie.

— Nie masz powodów, by się na nią gniewać, Randzie al’Thor — wtrącił Rhuarc. — Mangin miał *toh* wobec ciebie, nie wobec niej. Czy mnie.

— On ma *toh* względem człowieka, którego zamordował — zimno odparł Rand. Rhuarc wyglądał na wstrząśniętego. — Następnym razem, gdy ktoś popełni morderstwo, nie czekajcie na mnie. Postępujcie, jak nakazuje prawo! — Tym sposobem być może uda mu się uniknąć konieczności wydawania wyroku śmierci na kogoś, kogo znał i lubił. Ale zrobi to, jeśli będzie trzeba. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę i to go zasmucało. Kim też się stał?

„Koło ludzkiego żywota — wymamrotał Lews Therin. — Żadnej litości. Żadnego współczucia”.

# SMIAK SAMOTNOŚCI

Czy są jeszcze jakieś problemy, które chcecie, abym rozwiązał? — Z tonu głosu Randa wynikało jasno, że ma na myśli tylko te kwestie, które jego zdaniem dawno już powinny być rozwiązane. Rhurarc nieznacznie pokręcił głową, zaś oblicze Berelain odrobinę pokraśniało. — Dobrze. Ustalmy więc dzień, kiedy Mangin zostanie powieszony. . .

„Jeżeli za bardzo boli — zaśmiał się Lews Therin, okropnym, ochrypłym głosem — to spraw, by zabolalo kogoś innego”.

Odpowiedzialność. Obowiązek. Poczul, jak sztywnieje mu kark, jakby chcial za wszelka cene powstrzymac te przyslowiowa góre przed zmiadzzeniem go.

— Powiescie go jutro. Powiedziecie mu, ze tak przykazalem. — Zawiesil glos, popatrzyi na nich wscieklym wzrokiem i zdai sobie sprawe, ze czeka na komentarz Lewsa Therina, a nie na ich slowa. Czekal, by uslyszec glos dawno zmarlego czlowieka, dawno zmarlego szalenca. — Ja udaje sie do szkoly.

Rhurarc zwrócił uwagę, że najpewniej Mądre właśnie są w drodze ze swoich namiotów, chcąc się z nim spotkać, Berelain zaś zauważyła, że taireniańscy i cairhieniańscy dostojnicy będą się dopytywać, gdzie też schowali Smoka Odrodzonego. Rand oznajmił im jednak, iż mają powiedzieć tamtym prawdę. I zakazać udania się w ślad za nim; spotka się z nimi, kiedy wróci. Oboje mieli takie miny, jakby przyszło im właśnie przełknąć po kwaśnej śliwce, on jednak wziął tylko ze stołu berło Smoka i wyszedł.

W korytarzu Jalani oraz słomianowłosa Aiel z Czerwonych Tarcz, niewiele starszy od niej, poderwali się natychmiast na nogi, obrzucając się spiesznym spojrzeniem. Poza nimi korytarz był pusty, wyjąwszy kilku przemykających służących. Po jednym z każdej społeczności, jak się okazuje, pomyślał Rand i zastanowił się dalej, czy Urien musiał walczyć z Sulin, by zastosowała się do jego rozkazów.

Gestem dłoni kazał im pójść za sobą i ruszył prosto do najbliższej stajni, w której boksy wyłożone były tym samym zielonym marmurem, z jakiego zrobiono kolumny podtrzymujące wysoki strop. Główny stajenny, zdeformowany jakąś chorobą mężczyzna o odstających uszach, ze Wschodzącym Słońcem Cairhien wyszytym na krótkiej skórzanej kamizelce, był niepomiernie zdumiony na widok

Randa z eskortą złożoną jedynie z dwójki Aielów; ciągle spoglądał na drzwi stajni, spodziewając się ujrzeć kolejnych, i kłaniał się właściwie bez przerwy, przez co Rand zaczął się obawiać, że nigdy nie dostanie swego wierzchowca.

— Koń dla Lorda Smoka! — Sześciu stajennych skoczyło do boksu, by przygotować do drogi wysokiego wałacha o płomiennych oczach; nałożyli mu wędzidło ze złotymi frędzlami oraz inkrustowane złotem siodło, pod które położyli błękitną jak niebo derkę, również zdobioną złotymi frędzlami i symbolami wschodzących słońc.

Ponieważ uwinęli się naprawdę szybko, główny stajenny zniknął, gdy tylko Rand dosiadł wierzchowca. Najpewniej udał się na poszukiwanie świty, która musiała przecież otaczać Smoka Odrodzonego. Albo żeby donieść komuś, że Rand opuścił pałac niemal w pojedynkę. Cairhien takie właśnie było. Bułanek o lśniącej sierści najwyraźniej zamierzał z początku trochę pokaprysić, ale kiedy wciąż jeszcze próbował tańczyć, Rand puścił go zdecydowanym truchtem przez tereny otaczające pałac, obok zaskoczonych cairhieniańskich gwardzistów. Nie przejmował się wcale potencjalnymi zabójcami, którzy mogliby czyhać na niego w zasadzce, uprzedzeni przez stajennego; każdy kto chciałby zastawić na niego pułapkę, wkrótce przekona się, że przeliczył się z siłami. Jednakże choćby chwila zwłoki, osądził, a już zaroi się wokół niego od szlachty, a potem już nie można będzie właściwie się od nich opędzić. Dla odmiany dobrze było teraz trochę побыć samemu.

Zerknął na Jalani i młodego Aiela, którzy biegli truchtem obok jego wierzchowca. Dedrick, przypominał sobie, z Rozpadliny Jaern, Codara. Prawie sam. Wciąż czuł niewidzialny dotyk Alanny, a Lews Therin zawodził z oddali nad swą umarłą Ilyeną. Nigdy nie będzie mógł być całkowicie sam. Być może już do końca życia. Jednak nawet tyle samotności, ile udało mu się uzyskać po tak długim czasie spędzonym wśród ludzi, smakowało dobrze.

Cairhien zaliczało się do dużych miast, jego główne ulice były na tyle szerokie, by stłoczeni na nich ludzie zdawali się niepozorni. Każdą z ulic poprowadzono prosto jak strzełi; wcinęły się w zbocza wzgórz, poznaczone kamiennymi tarasami do tego stopnia, iż wydawały się w całości dziełem człowieka, przecinając się pod idealnie prostym kątem. Na obszarze całego miasta wznosiły się masywne wieże, otoczone drewnianymi rusztowaniami, za którymi niemalże zupełnie ginęły zdobnie wykonane na kształt łuków przypory, wieże te zdawały się godzić w niebo, a nawet jeszcze wyżej. Minęło dwadzieścia lat od czasu, kiedy słynne iglice Cairhien spłonęły niczym pochodnie podczas Wojny o Aiel; ich odbudowa wciąż jeszcze trwała.

Przeprawa przez tak gęste tłumy nie była łatwa, Aielowie i jego koń nie mogli już biec truchtem. Rand zdażył przywyknąć do tego, że ludzie rozstępują się na widok jego zwyczajowej eskorty, jednak tutaj — gdzie w tej wolno pełzającej cizbie widziało się setki odzianych w *cadin'sor* Aielów — dwójka nie wywie-

rała stosownego wrażenia. Wprawdzie niektórzy z tych Aielów rozpoznali go, przynajmniej tak mu się zdawało, jednak nie zwracali na niego uwagi, nie będąc przekonanymi, jak powinni zareagować, zwłaszcza że *Car'a'carn* miał przypasany miecz, oraz, co już przestało być tak oburzające, choć dalej niezbyt chwalebne, dosiadał konia. Dla Aielów wstyd i zmieszanie stanowiły rzeczy znacznie gorsze od cielesnego bólu, chociaż, rzecz jasna, kwestie związane z *ji'e'toh* komplikowały wszystkie sprawy w sposób nadal przez Randa mało zrozumiały. Aviendha z pewnością wszystko by mu wyjaśniła, jej chyba naprawdę zależało na tym, by on został Aielem.

Oprócz Aielów na ulicach tłoczyli się również przedstawiciele innych ludów, Cairhienianie w swych zwyczajowych brunatnych wełnach, a także w sfatygowanych jaskrawych barwach wyróżniających dawnych mieszkańców spalonej Przedniej Bramy, Tairenianie o głowę górujący nad resztą tłumu, prawie dorównujący wzrostem Aielom. Zaprzężone w woły i konie wozy przeciskały się przez ciżbę, ustępując jednak drogi zamkniętym lakierowanym powozom i lektykom, pysznącym się niekiedy sztandarem któregoś z Domów. Domokrażcy wykrzykiwali ceny towarów niesionych na tacach, handlarze zaś zachwalali swoje z ręcznych wózków; muzykanci, akrobaci i żonglerzy dawali przedstawienia na rogach ulic. Wszędzie widziało się zmiany. Kiedyś Cairhienianie byli ludem cichym, skromnym, dławionym butem swoich władców; nie odnosiło się to tylko do podgrodzian. Jakaś namiastka tej powściągliwości jeszcze w nich została. Godła sklepów wciąż były maleńkie, żadnych towarów nie wystawiano na zewnątrz. A jeśli nawet niegdysiejsi podgrodzianie zachowywali się hałaśliwie jak zawsze, śmiali się głośno, pokrzykiwali do siebie i kłócili na samym środku ulicy, to pozostali Cairhienianie obserwowali ich z wyraźnym niesmakiem.

Nikt prócz Aielów nie rozpoznał jeźdźca z obnażoną głową, odzianego w haftowany srebrem błękitny kaftan, chociaż od czasu do czasu ten czy ów rzucał uważniejsze spojrzenie na uprząż. Berło Smoka nie stanowiło jeszcze tutaj powszechnie znanego widoku. Nikt nie chciał ustąpić z drogi. Rand czuł, jak walczą w nim sprzeczne uczucia, z jednej strony zniecierpliwienie, a z drugiej zadowolenie, że tym razem nie stanowi celu niezliczonych ciekawskich spojrzeń.

Szkoła znajdowała się w posiadłości oddalonej o milę od Pałacu Słońca — stanowiącej kiedyś własność lorda Barthanesa, już nieżyjącego lecz niezbyt gorzko opłakiwanego. Budynek, w którym się mieściła, zbudowano z wielkich ociosanych w sześciany głazów, wyposażając go w wieżyce o ostrych kątach ścian i nieliczne balkony. Wysoko sklepione bramy prowadzące na wewnętrzny dziedziniec stały otworem, a kiedy Rand wjechał do środka, już go oczekiwano.

Idrien Tarsin, przełożona szkoły, stała po przeciwnej stronie dziedzińca na szerokich stopniach wiodących do budynku. Była kobietą dość potężnie zbudowaną, odzianą w prostą szarą suknię; trzymała się w sposób tak sztywny, że zdawała się o głowę wyższa niżli w rzeczywistości. Nie była sama. Co najmniej kilkadziesiąt

innych osób kłębiło się na kamiennych schodach, mężczyźni i kobiety, przeważnie odziani w wełny, a rzadziej w jedwabie, znoszone i na ogół bez ozdób. W większej części byli to starsi ludzie. Idrien nie była jedyna, której włosy gęsto przetykały pasma siwizny, wielu nie miało już żadnych włosów, albo tylko siwe, chociaż tu i ówdzie ciekawie spoglądały na Randa oczy z nieco młodszych twarzy. Lecz i ci byli co najmniej dziesięć, piętnaście lat starsi od niego.

Można było ich nazwać nauczycielami, w jakimś sensie tego słowa, ponieważ nie była to tak całkiem zwyczajna szkoła. Ludzie wprawdzie przybywali do niej po nauki — młodzi mężczyźni i kobiety, którzy teraz gapili się nań z każdego okna otaczającego dziedziniec — jednak ostatecznym celem Randa było stworzenie miejsca, gdzie gromadzona będzie wiedza. Odkąd sięgał pamięcią, właściwie zawsze słyszał, ile to też jej utracono od czasu Wojny Stulecia oraz od Wojen z Trollkami. Jak wiele musiało bezpowrotnie zagać podczas Pęknięcia Świata? Jeżeli pisane mu było sprowadzić następne Pęknięcie Świata, miał zamiar pierwaj stworzyć sanktuaria, gdzie wiedza zostanie ocalona. Kolejna szkoła rozpoczęła już swoją działalność w Łzie; chociaż stało się to dosłownie w ciągu ostatnich kilku dni, szukał już również odpowiedniego miejsca w Caemlyn.

„Nic nigdy nie dzieje się tak, jak tego oczekujesz — wymamrotał Lews Therin — Nie oczekuj więc niczego, a wówczas nie zostaniesz zaskoczony. Nie spodziewaj się niczego. Nie miej nadziei na nic. Na nic.”

Dławiąc w sobie ten głos, Rand zsiadł z konia.

Idrien podeszła bliżej i powitała go ukłonem. Jak zwykle, kiedy się wyprostowała, ze zdumieniem stwierdził, że sięga mu ledwie do piersi.

— Witamy w Szkole Cairhien, mój Lordzie Smoku. — Jej głos brzmiał zaskakująco melodyjnie i młodo, zdumiewająco kontrastując z mało delikatnymi rysami twarzy. Zdarzało już mu się zresztą słyszeć, jak potrafiła nadać mu znacznie ostrzejsze brzmienie podczas rozmów z nauczycielami i uczniami; Idrien krótko trzymała swoich podopiecznych.

— Ilu masz szpiegów w Pałacu Słońca? — zapytał łagodnie. Wyglądała na zaskoczoną, być może tym, że coś takiego w ogóle przyszło mu do głowy, ale znacznie bardziej było prawdopodobne, iż pytanie takie nie mieściło się w zakresie dobrych manier, które przestrzegano w Cairhien.

— Przygotowaliśmy małą wystawę.

Cóż, tak naprawdę to nie oczekiwał odpowiedzi. Zmierzyła wzrokiem dwójkę Aielów w taki sposób, w jaki kobieta mogłaby patrzeć na dwa wielkie i brudne psy, które w każdej chwili mogą ugryźć, ale ostatecznie poprzestała na głośnym pociągnięciu nosem. — Czy mój Lord Smok zechce pójść ze mną?

Poszedł, marszcząc brwi. Jaka wystawa?

Westybul szkoły mieścił się w wielkiej komnacie otoczonej ciemnoszarymi, wypolerowanymi kolumnami, z posadzką wyłożoną bladoszarymi płytami; otaczał ją balkon zbudowany z pożyłkowanego na szaro marmuru, o wysokości

trzech piędzi. Obecnie prawie w całości wypełniony... wynalazkami. Nauczyciele tłoczyli się za jego plecami, gdy podszedł, by przyjrzeć się wszystkiemu z bliska. Popatrzył na wystawę i nagle przypomniało mu się, jak Berelain mówiła coś o tym, że szkoła wytwarza różne przedmioty. Ale jakie?

Idrien wyjaśniała mu to — przynajmniej próbowała — w miarę jak wiodła go od jednego urządzenia do następnego, przy których stali ich twórcy i opowiadali o swoich dziełach. Część wyjaśnień udało mu się nawet pojąć.

Zestaw sit, skrobaków i rozwłóknaczy pełnych skrawków lnu wytwarzał znacznie cieńszy papier, niżli komukolwiek udało się do tej pory otrzymać, przynajmniej tak twierdził jego twórca. Potężny kadłubowaty kształt, składający się z dźwigni i wielkich płaskich tarcz, okazał się maszyną drukarską, znacznie sprawniejszą od obecnie używanych, przysięgał jego wynalazca. Dedric okazał temu urządzeniu zrozumiałe zainteresowanie, póki Jalani najwyraźniej nie zdecydowała za niego, że powinien raczej obserwować, czy ktoś nie chce przypadkiem zaatakować *Car'a'carna* — mocno nastąpiła mu na stopę, tak że aż zatoczył się na Randa. Na wystawie znajdował się także pług na kołach, przeznaczony do orania sześcioma lemieszami naraz — przynajmniej jego zastosowania Rand potrafił bez żadnych wyjaśnień się domyślić i uznał, że może w istocie działać — jeszcze jedno urządzenie z dołączoną końską uprzężą, które podczas żniw miało zastąpić ludzi z kosami. Wystawiono również także nowy rodzaj warsztatu tkackiego, ponoć łatwiejszego w użyciu, jeżeli wierzyć opinii człowieka, który go zbudował. Były tam też rzeźbione w drewnie i pomalowane modele akweduktów, które miały dostarczać wodę do miejsc, gdzie wysychały studnie, projekty nowej kanalizacji i ścieków dla Cairhien, nawet stół z ustawionymi maleńkimi figurkami ludzi i powozów, dźwigów i krążków, obrazujący, jak winno się budować i brukować ulice, by dorównywały wytrzymałością tym, które położono setki lat temu.

Rand nie miał pojęcia, czy którykolwiek z tych wynalazków będzie działał, niektóre jednak wyglądały obiecująco. Ten pług, na przykład, jak najbardziej przydałby się w Cairhien, które przecież musiało zacząć żywić się samo. Każę Idrian zbudować go. Nie, powie Berelain, by jej to zleciła.

„Zawsze na oczach innych posługuj się oficjalnymi hierarchiami władzy — mawiała Moiraine — chyba, że chcesz komuś podsunąć myśl, by je obalić”.

W gronie nauczycieli wypatrzył znajome oblicze Kina Tovere, krępego optyka, który nie przestawał ocierać pasiastą chustką spływającej potem łysiny. Oprócz tego, że budował szkła powiększające rozmaitych rozmiarów. — „Dzięki którym z odległości mili policzysz włosy w nosie oglądanego”, mawiał, w taki właśnie sposób dobierając słów — wytwarzał również soczewki o średnicy większej niż głowa, co więcej, zaprojektował szkło powiększające, w którym dałoby się takie zastosować, być może nawet większe; urządzenie miało sześć stóp długości, dołączono do niego wykresy obrazujące, jak przy jego pomocy oglądać różne przedmioty, między innymi gwiazdy. Cóż, Kin zawsze chciał się przyglądać rze-



czom znajdującym się daleko.

Na twarzy Idrien wykwitł uśmiech pełen satysfakcji, kiedy Rand pochylił się nad szkicami pana Tovere. Ona miała na względzie tylko praktyczne korzyści. Podczas oblężenia Cairhien sama zbudowała wielką kuszę, całą złożoną z dźwigni i przekładni, która miotała niewielkie włócznie na odległość mili, nadając im dostateczną prędkość, by potrafiły na wylot przebić człowieka. Gdyby pozwolić jej zarządzać szkołą wedle własnego uznania, wkrótce nikt nie traciłby czasu na nic, co nie było naprawdę solidne i praktyczne.

— Zbuduj to — powiedział Rand, zwracając się do Kina. Być może rzecz okaże się bezużyteczna, w przeciwieństwie do pługa, który z każdą chwilą przekonywał go coraz bardziej, jednak lubił Tovere. Idrien westchnęła i nieznacznie pokręciła głową. Tovere cały aż pojaśniał. — I zamierzam wypłacić ci nagrodę w wysokości stu złotych koron. To naprawdę wygląda interesująco. — Wśród zebranych przeszedł szmer, stawał się tym głośniejszy, im większe zdziwienie malowało się na obliczach Idrien oraz Tovere.

W porównaniu z pozostałymi przedmiotami zgromadzonymi na wystawie, projekty niedoszonego budowniczego dróg i monstualne szkło powiększające Tovere wyglądały niczym dzieła doprawdy naiwnych i prostych umysłowości. Mężczyzna o krągłej twarzy, wykorzystując krowie łajno, sprawiał, że na końcu mosiężnej rury płonął błękitnawy płomień; nawet on sam zdawał się nie mieć pojęcia, do czego można by to zjawisko wykorzystać.

Wychudzona młoda kobieta wystawiła kulę papieru, otoczoną sznurkami i utrzymywaną w górze przez ciepło unoszące się znad małego ognia płonącego w koszu. Mamrotała coś na temat latania — Rand pewien był, że właśnie o tym mówiła — oraz o rzeźbionych skrzydłach ptaków — miała przy sobie szkice ptasiej anatomii oraz czegoś, co wyglądało jak ptaki z drewna — niemniej była tak przejęta spotkaniem Smoka Odrodzonego, że zupełnie nie potrafiła wyartykułować choć słowa, które Rand by zrozumiał, Idrien zaś z pewnością nie miała najmniejszego zamiaru wyjaśnić mu, o co w tym wszystkim chodziło.

A potem był łysiejący mężczyzna z zestawem mosiężnych tulei i cylindrów, prętów i kół, rozłożonych na blacie ciężkiego drewnianego stołu, świeżo wyłobionego i zeszkobanego; niektóre z rys były tak głębokie, iż wydawało się, że jeszcze trochę, a dłuto przebiłoby się na drugą stronę. Z jakiegoś powodu połowa twarzy tamtego i jedna z jego dłoni zawinięte były w bandaż. Skoro tylko Rand pojawił się w korytarzu, zaczął nerwowo rozpalać ogień pod jednym z cylindrów. Kiedy Rand wraz z Idrien przystanęli przy jego stanowisku, poruszył jakąś dźwignią i uśmiechnął się z dumą.

Urządzenie zaczęło się trząść, z kilku miejsc wytrysnęły zeń strumienie pary. Syk przemienił się wkrótce w gwizd, cały zaś wynalazek zaczął rozpaczliwie dygotać. Maszyna dobywała z siebie dźwięk przypominający przenikliwe zawodzenie. Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej niezdolne dla uszu. Po chwili

urządzenie trzęsło się już do tego stopnia, że stół pod nim zaczął się poruszać. Łysy mężczyzna rzucił się, aby go przytrzymać, równocześnie wyciągając korek z jednego z cylindrów. Ten trysnął wielką chmurą pary i w tym momencie machina zamarła. Ssąc poparzone palce, mężczyzna zdobył się jeszcze na słaby uśmiech.

— Piękna robota w mosiądzu — powiedział Rand, nim pozwolił Idrien poprowadzić się dalej. — Co to było? — zapytał cicho, kiedy znaleźli się już dość daleko, by tamten nie mógł go usłyszeć.

Wzruszyła ramionami.

— Mervin nikomu nie chce powiedzieć. Czasami z jego izby dochodzą odgłosy wybuchów, tak głośne, że aż drzwi drżą, a on sam poparzył się już ze sześć razy, twierdzi jednak, że kiedy ukończy swoje dzieło, to zacznie nim nowy Wiek. — Niepewnie zerknęła na Randa.

— Jeżeli jest w stanie tego dokonać, proszę bardzo — odrzekł sucho. Może to urządzenie miało wygrywać jakąś melodię? I dlatego tak zgrzytało? — Nie widzę nigdzie Herida. Może zapomniał zejść na dół?

Idrien ponownie westchnęła. Herid Fel był Andoraninem, który z nieznanych powodów zaplątał się do tutejszej Królewskiej Biblioteki — sam siebie określał jako badacza historii i filozofii — trudno jednak było określić go jako osobę, do której przełożona szkoły, dysponująca przecież tak praktycznym nastawieniem, zapałałaby z miejsca sympatią.

— Mój Lordzie Smoku, on nigdy nie wychodzi ze swego gabinetu, wyjąwszy chwilę, gdy udaje się do Biblioteki.

Stwierdziwszy, że chcąc się stąd oddalić, powinien najpierw wygłosić chociażby krótką przemowę do tych ludzi, Rand stanął na stołku, z Berłem Smoka wspartym o zagięcie ramienia i pochwalił wszystkie ich wynalazki. Niektóre zresztą naprawdę mogły się okazać rewolucyjne, na ile się orientował. Potem wreszcie mógł się wyślizgnąć z tłumu, a Jalani i Dedric ruszyli w ślad za nim. Oczywiście towarzyszyli mu również Lews Therin i Alanna. Za swymi plecami słyszał jeszcze uradowane mamrotania. Zastanawiał się, czy komuś z nich prócz Idrien przyszło do głowy, by zabrać się za konstruowanie broni.

Gabinet Herida Fela mieścił się na najwyższym piętrze, widok z jego okna obejmował tylko ciemne dachówki szkoły i jedną kłocowatą wieżę o schodkowo biegnących gzymsach, która zasłaniała wszystko inne. Herid w każdym razie twierdził, że i tak nigdy nie wygląda przez okno.

— Możecie tutaj poczekać — powiedział Rand, dochodząc do wąskich drzwi; znajdujące się za nimi pomieszczenie było równie wąskie, i zaskoczyło go, że Jalani i Dedric zgodzili się bez wahania.

Dopiero teraz znalazł wytłumaczenie kilku „niedopatrzeń” ze strony tych dwojga. Jalani ani razu nie spojrzała z dezaprobatą na jego miecz, co kiedyś czytała bardzo często, od momentu gdy wyszedł ze spotkania z Rhuarkiem i Berelain.

Ani ona, ani Dedric nawet nie rzucili okiem na konia w stajni, nie poczynili też choćby jednej kąśliwej uwagi na temat tego, że własne nogi człowieka powinny mu w zupełności wystarczyć, czego przedtem regularnie można było od nich oczekiwać.

Jakby na potwierdzenie jego podejrzeń, Jalani porozumiewawczo zerknęła na Dedrica, kiedy Rand tylko odwrócił się w stronę drzwi. Było to spojrzenie przeletne, niemniej jednak wyrażało otwarte zaciekawienie, towarzyszył mu również uśmiech. Dedric zaś tak bezceremonialnie odwracał głowę w jej kierunku, że równie dobrze mógłby się przez cały czas gapić. Tak właśnie postępowali Aielowie, udając, że niczego nie dostrzegają, póki kobieta nie wyjaśniła, o co jej chodzi. Z pewnością ona postąpiłaby w taki sam sposób, gdyby to on zaczął pierwszy zdradzać zainteresowanie.

— Bawcie się dobrze — powiedział Rand przez ramię, za co otrzymał dwa zupełnie zaskoczone spojrzenia, a potem wszedł do środka.

Małe pomieszczenie w całości zastawione było książkami i zasłane zwojami, a także luźnymi kartkami papieru, przynajmniej tak się na pierwszy rzut oka wydawało. Ciasno ustawione półki otaczały pokój ze wszystkich stron, sięgając aż do sufitu, wolne były tylko te miejsca, gdzie znajdowały się drzwi i okno. Księgi i dokumenty zakrywały cały stół, który zajmował większą część izby, leżały w nieporządnym stosie na drugim krześle, a nawet tu i ówdzie na samej podłodze. Sam Herid Fel był człowiekiem krępej budowy ciała; wyraźnie zapomniał tego ranka przeczesać swe rzadkie, siwiejące włosy. W zębach ścisnął nie zapaloną fajkę, a cały przód wymiętego brunatnego kaftana miał ubrudzony tytoniowym popiołem.

Wbił wzrok w Randa, zamrugął, przyglądał mu się przez chwilę, aż wreszcie powiedział:

— Aha. Tak. Oczywiście. Właśnie miałem... — Zmarszczył brwi, przeniósł spojrzenie na trzymaną w dłoniach księgę, potem usiadł za stołem i zaczął przebierać w stercie luźnych kart papieru leżących przed nim, cały czas cicho coś do siebie mruczając. Potem wrócił do oglądania tytułowej stronicy trzymanej w rękach książki i podrapał się po głowie. Na koniec spojrzął ponownie na Randa i znowu zamrugął zaskoczony. — Ach, tak. O czym chciałbyś porozmawiać?

Rand przygotował dla siebie drugie krzesło, odkładając księgi i dokumenty na podłogę, o ten stos następnie wsparł Berło Smoka i usiadł. Próbował rozmawiać także z innymi, którzy znaleźli dla siebie miejsce w szkole, z historykami i filozofami, wykształconymi kobietami i uczonymi, ale za każdym razem przypominało to próbę wydobywania jakiejś konkretnej informacji od Aes Sedai. Pewni byli tylko tego, co zdołali w taki czy inny sposób potwierdzić w swoich dziedzinach wiedzy, ale gdy przechodzili do innych tematów, zasypywali go słowami, które mogły znaczyć dokładnie wszystko... i nic. Złościli się, gdy na nich naciskał — najwyraźniej sądzili, że podważa ich wiedzę, czym najwyraźniej czuli się

urazeni — lub zalewali go potokami słów, aż w pewnym momencie przestawał rozumieć połowę z nich. Potrafili też się przed nim płaszczyć, a wtedy mówili mu wszystko, co chciał usłyszeć, albo to, co im się wydawało, że chciał usłyszeć. Herid był inny. Jedną z rzeczy, o których najwyraźniej potrafił bez najmniejszego trudu zapomnieć, był fakt, że Rand jest Smokiem Odrodzonym, a jemu z kolei bardzo to odpowiadało.

— Co wiesz o Aes Sedai i Strażnikach, Herid? Na temat zobowiązania?

— Strażnicy? Zobowiązania? Przypuszczam, że wiem na ten temat tyle co każdy, kto nie jest Aes Sedai. Czyli niewiele. — Herid zaciągnął się wygasłą fajką, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że nie ma w niej żaru. — Co dokładnie chcesz wiedzieć?

— Czy zobowiązania mogą zostać zerwane?

— Zerwane? O, nie. Nie przypuszczam. Chyba że mówisz o śmierci bądź Strażnika, bądź Aes Sedai. Śmierć potrafi zerwać zobowiązania. Tak przypuszczam. Coś kiedyś słyszałem na temat tej więzi, ale nie potrafię sobie przypomnieć... — Herid spojrzął kątem oka na stos notatek leżących przed nim na stole, zaczął je przerzucać, a chwilę później zagłębił się już w lekturze, marszcząc brwi i kręcąc głową. Notatki najwyraźniej sporządzone zostały jego ręką, ale przyglądając mu się z boku, wydawało się, że zupełnie się nie zgadza z ich treścią.

Rand westchnął, wydawało mu się, że jeśli szybko odwróci głowę, dostrzeże jeszcze dłoń Alanny cofającą się od jego karku.

— A co z pytaniem, które zadałem ci ostatnim razem? Herid? Herid?

Krępy mężczyzna aż podskoczył.

— Och! Tak. Aha, pytanie. Ostatnim razem. Tarmon Gaidon. Cóż, nie mam pojęcia, jak będzie wyglądać. Trolloki, przypuszczam? Władcy Strachu? Tak. Władcy Strachu. Ale rozmyślałem na ten temat. To nie może być Ostatnia Bitwa. Nie przypuszczam, by to było możliwe. Być może każdy Wiek ma swoją Ostatnią Bitwę. Albo przynajmniej większość z nich. — Nagle zmarszczył brwi, zerknął do czaszy swej fajki, a potem zaczął przebierać w stosie papierów zaścielających stół. — Miałem tu gdzieś hubkę i krzesiwo.

— Co masz na myśli, mówiąc, że to nie może być Ostatnia Bitwa? — Rand próbował nadać swemu głosowi łagodne brzmienie. Herid zawsze w końcu przechodził do rzeczy, trzeba było tylko delikatnie naprowadzić go na właściwy temat.

— Co? Tak, dokładnie o to chodzi. To nie może być Ostatnia Bitwa. Nawet jeśli Smokowi Odrodzonemu uda się ponownie zapieczętować więzienie Czarnego, podobnie jak to niegdyś uczynił Stwórca. Czego zresztą, jak przypuszczam, nie jest w stanie dokonać. — Pochylił się do przodu i konspiracyjnie zniżył głos: — Wiesz sam przecież, że on nie jest Stwórcą, cokolwiek powiadają na ulicach. A jednak więzienie musi przez kogoś zostać zapieczętowane. Sam rozumiesz... Koło.

— Nie rozumiem... — Rand zawiesił głos.

— Tak, tak, rozumiesz. Byłby z ciebie dobry uczeń. — Wyciągnąwszy fajkę z ust, Herid zakreślił jej cybuchem krąg w powietrzu. — Koło Czasu. Wieki nadchodzą i mijają, na przemian, w miarę obrotów Koła. Cały ten katechizm. — Nagle wskazał gwałtownym ruchem któryś z punktów wymyślanego koła. — W tym miejscu więzienie Czarnego jest nie naruszone. W tym wywiercili w nim otwór, a potem zapieczętowali go powtórnie. — Przesunął koniec cybucha fajki wzdłuż niewidzialnego łuku, który zakreślił w powietrzu. — A w tym miejscu my się znajdujemy. Pieczęcie słabną. Ale to oczywiście nie ma najmniejszego znaczenia. — Cybuch fajki dokończył okrążenia. — Kiedy Koło na powrót obróci się tutaj, do miejsca, gdzie po raz pierwszy wybili otwór, więzienie Czarnego z powrotem będzie całością.

— Dlaczego? Być może następnym razem znowu przewiercą się przez plombę. Może właśnie w taki sposób dokonało się to poprzednim razem. . . przebili to, co Stwórca uczynił, mam na myśli. . . być może wybili Szyb przez wcześniejszą plombę, o czym my nie wiemy.

Herid pokręcił głową. Przez krótką chwilę wpatrywał się w swoją fajkę, zauważył, że znowu zgasła, a Rand pomyślał, że pewnie po raz kolejny będzie musiał naprowadzać myśli Herida na właściwe tory, ale ten tylko zamrugnął i podjął kolejny wątek:

— Ktoś kiedyś musiał to zrobić. Ten pierwszy raz, o to mi chodzi. Chyba, że twoim zdaniem Stwórca na samym początku zbudował więzienie Czarnego już z gotowym otworem i plombą. — Na samą tę myśl brwi uniosły mu się w zdziwieniu do góry. — Nie, na początku ono było całością i sądzę, że stanie się na powrót całością, kiedy raz jeszcze nastanie Trzeci Wiek. Hm. Ciekawe, dlaczego nazywają go właśnie Trzecim Wiekiem? — Pospiesznie schwycił za pióro i zaczął coś gryzmolić na marginesie otwartej książki. — Uff. Teraz mniejsza o to. Nie twierdzę, że Smok Odrodzony będzie tym, który uczyni je całością, przynajmniej nie musi się to zdarzyć z konieczności w tym Wieku, ale stanie się tak na pewno, zanim ponownie nadejdzie Trzeci Wiek, a nadto jeszcze musi minąć tyleż czasu od chwili, gdy więzienie uczynione zostanie całością. . . co najmniej więc Wiek. . . aby wszyscy zapomnieli o Czarnym i jego więzieniu. Aby nikt o nich nie pamiętał. Hm. Zastanawiam się. . . — Zerknął na swe notatki i podrapał się po głowie, potem z wyraźnym zaskoczeniem stwierdził, że użył do tego celu dłoni, w której trzymał pióro. Na jego włosach pozostała smuga atramentu. — Ostatecznie jest tak, że każdy Wiek, w którym pieczęcie słabną, musi jakoś pamiętać o Czarnym, ponieważ przed żyjącymi w nim ludźmi stoi zadanie pokonania go i zepchnięcia z powrotem do jego lochu. — Wetknął fajkę między zęby, potem próbował znowu coś zapisać, zapomniawszy umoczyć pierwej pióro w kałamarzu.

— Chyba że Czarny wydobędzie się na wolność — cicho powiedział Rand. — Wtedy zniszczy Koło Czasu, a potem ukształtuje i Czas, i świat na swój obraz i podobieństwo.

— O to właśnie chodzi. — Herid wzruszył ramionami, patrząc na swe pióro spod zmarszczonych brwi. Nareszcie przypomniał sobie o kałamarzu. — Nie wydaje mi się, abyśmy w tej kwestii, ty czy ja, byli zdolni cokolwiek począć. Dlaczego nie zostaniesz ze mną i nie poświęcisz się studiom? Nie przypuszczam, by Tarmon Gaidon miało nastąpić już jutro, a równie pożytecznie spędzisz czas przy...

— Czy przychodzi ci do głowy jakiś powód, dla którego ktoś mógłby zechcieć niszczyć pieczęcie?

Brwi Herida podskoczyły do góry.

— Niszczyć pieczęcie? Niszczyć pieczęcie? Dlaczego ktokolwiek — prócz szaleńca — miałby chcieć to uczynić? Czy one w ogóle mogą zostać zniszczone? Wydaje mi się, że gdzieś czytałem, iż jest to niemożliwe, ale nie przypominam sobie teraz, czy podano tam tego przyczynę. Co cię skłoniło do takich obaw?

— Nie mam pojęcia. — Rand westchnął. Gdzieś w głębinach jego umysłu Lews Therin zawodził:

„Zerwijcie pieczęcie. Zerwijcie pieczęcie i skończcie z tym wszystkim. Pozwólcie mi umrzeć na wieki”.

\* \* \*

Całkiem bezskutecznie wachlując się rogiem swego szala, Egwene patrzyła w obie strony skrzyżowania korytarzy, w nadziei, że tym razem uda jej się nie zgubić. Obawiała się jednak, że stanie się dokładnie odwrotnie, co w niczym nie sprzyjało poprawie jej nastroju. Korytarze w Pałacu Słońca ciągnęły się całymi milami; żaden z nich nie był obecnie chłodniejszy niżli otaczające go okolice, ona zaś spędziła w nich naprawdę zbyt mało czasu, by nauczyć się drogi na pamięć.

Wszędzie pełno było Panien, włóczyły się dwójkami i trójkami — było ich znacznie więcej niż zazwyczaj, gdy towarzyszyły Randowi podczas jego nieobecności w Cairhien. Niby przechadzały się zwyczajnie, jednak w jej oczach coś w ich zachowaniu zdawało się... jakiegoś ukradkowego. Wiele znało ją z widzenia, mogła więc oczekiwać od nich choćby pozdrowienia — w ogóle Panny uważały, że bycie uczennicą Mądrych znaczy o wiele więcej niżli bycie Aes Sedai, za którą ją pierwotnie uważały, posuwając się aż do tego, iż zapominały, że ona wcale nie jest Aes Sedai — kiedy jednak ją zobaczyły, wyglądały na zaskoczone, przynajmniej w takiej mierze, w jakiej Aielowie w ogóle są do tego zdolni. Skinienia głową, świadczące o tym, że ją rozpoznają, poprzedzała chwila konsternacji, potem przemykały obok niej, nie powiedziawszy ani słowa. To zachowanie nie skłaniało do pytania o drogę. Zamiast tego zmarszczyła groźnie brwi i spojrzała na spo-

conego służącego, z cienkimi błękitno-złotymi paskami naszytymi na bufiastych ramionach kaftana, zastanawiając się, czy może on wie, jak się dostać tam, dokąd chciała dotrzeć. Trudność polegała na tym, że nie była do końca pewna, dokąd właściwie chce się dostać. Na nieszczęście złożyło się tak, że mężczyzna doprowadzony był niemalże do skraju wytrzymałości psychicznej przez obecność tylu Aielów wokół siebie. Napotkawszy gniewny wzrok kobiety Aielów — większość z nich nigdy nie dostrzegała jej ciemnych oczu, jakich z pewnością żaden Aiel nie mógł posiadać — a głowę mając zapewne wypełnioną opowieściami o Pannach, odwrócił się tylko i uciekł, najszybciej jak potrafił.

Prychnęła z irytacją. Tak naprawdę to wcale nie potrzebowała, by ktoś jej wskazywał drogę. Wcześniej czy później dojdzie do jakiegoś miejsca, które uda jej się rozpoznać. Z pewnością nie ma najmniejszego sensu wracać tą drogą, którą przysła, w które jednak z trojga odgałęzień się skierować? Zdecydowała się na jedno z nich i ruszyła naprzód krokiem tak zdecydowanym, że nawet kilka Panien zeszło jej z drogi.

Była, prawdę powiedziawszy, w nie najlepszym humorze. Spotkanie z Aviendhą po tak długim czasie byłoby cudowne, gdyby tamta nie poprzestała tylko na chłodnym skinieniu głową i nie umknęła na jakąś prywatną konferencję w namiocie Amys. Prywatną, naprawdę, Egwene przekonała się o tym, kiedy próbowała pójść za nią.

„Nie zostałeś wezwana — ostro oznajmiła Amys, kiedy Aviendha mościła się ze skrzyżowanymi nogami na poduszkach, z uporem wbijając wzrok w spiętrzone dywaniki pod stopami. — Idź sobie na spacer. I zjedz coś. Kobieta nie powinna wyglądać jak suchy badył”.

W tym momencie zjawiły się, wezwane przez *gai'shain*, Bair i Melaine, jednak Egwene wykluczono ze spotkania. Nastrój trochę jej się poprawił, gdy zobaczyła szereg Mądrych, które również odprawiono, ale tylko odrobinę. Mimo wszystko była przyjaciółką Aviendhy, a jeśli tamta wpakowała się w jakieś kłopoty, Egwene chciała pomóc.

— Skąd tu się wzięłaś? — usłyszała nagle za sobą natarczywy głos Sorilei.

Egwene była dumna ze swej reakcji. Odwróciła się spokojnie, aby stanąć twarzą w twarz z Mądrą Siedziby Shende. Pochodząca z Jarra Chareen, Sorilea miała rzadkie białe włosy i twarz, która przypominała pomarszczoną skórę naciągniętą ściśle na czaszkę. Cała zresztą składała się niemal jedynie ze ścięgien i kości, a chociaż potrafiła przenosić, dysponowała Mocą w znacznie słabszym stopniu niżli większość kobiet w ogóle obdarzonych Talentem, które Egwene spotkała w życiu. W Wieży nigdy nie zostałyby nikim więcej jak nowicjuską, zanim nie odprawiono by jej ostatecznie do domu. Jednakże zdolność do przenoszenia nie znaczyła aż tak wiele wśród Mądrych. Jakikolwiek jednak były tajemnicze reguły rządzące ich społecznością, kiedy w pobliżu znajdowała się Sorilea, przewodnictwo spotkaniom zawsze powierzano jej właśnie. Egwene doszła do wniosku,

że tamta zawdzięcza to wyłącznie swej sile woli.

O dobrą głowę wyższa od Egwene, podobnie jak pozostałe kobiety Aielów, Sorilea patrzyła na nią zielonymi oczyma, których spojrzenie mogłoby byka zwalić z nóg. Poczowała nagły przypływ ulgi, to był zwyczajny sposób, w jaki Sorilea patrzyła na ludzi. Gdyby miała komuś coś za złe, wówczas ściany kruszyłyby się pod jej wzrokiem, a draperie stawały w ogniu. Cóż, w każdym razie tak to z pozoru wyglądało.

— Przyszłam zobaczyć się z Randem — powiedziała Egwene. — Wędrówka tutaj z namiotów wydawała mi się równie dobrym spacerem jak każdy inny. — Z pewnością znacznie lepszy był to pomysł niżli obejście szybko pięć, sześć razy dookoła murów miasta, co było równoznaczne z Aielowym łatwym ćwiczeniem. Miała nadzieję, że Sorilea nie zapyta jej, dlaczego tak jej się wydawało. Naprawdę nie lubiła okłamywać kórejś z Mądrych.

Sorilea patrzyła na nią przez chwilę, parsknęła coś niezrozumiale, następnie otuliła szalem chude ramiona i rzekła:

— Jego tu nie ma. Udał się do tej swojej szkoły. Berelain Paeron zasugerowała, że udanie się za nim nie byłoby najlepszym pomysłem, a ja się z nią zgodziłam.

Utrzymanie nie zmienionego wyrazu twarzy stanowiło dla Egwene doprawdy znaczny wysiłek. To, że Mądre staną po stronie Berelain, było ostatnią rzeczą, jaka jej się wydawała możliwa. Traktowały ją jak kobietę, której należy się szacunek, i której słowa trzeba poważać, co w ogóle dla Egwene było niepojęte, a działało się tak tylko z tego powodu, że Rand nadał jej najwyższą w mieście władzę. Z pozoru było to zupełnie absurdalne. Kobieta z Mayene chodziła wszędzie w swych skandalicznych sukniach i otwarcie z każdym flirtowała — o ile nie robiła czegoś więcej, o co Egwene gdzieś w mrocznych zakątkach duszy ją podejrzewała. W żadnej mierze nie była to kobieta, do której Amys mogłaby się uśmiechać jak do ukochanej córki. Nie mówiąc już o Sorilei.

Przez głowę przemknęły jej jakieś bezładne myśli na temat Gawyna. To był tylko sen, a na dodatek jego sen. Z pewnością nie przypominało to niczego, co robiła — na jawie — Berelain.

— Kiedy policzki młodej kobiety czerwieńszą bez jawnego powodu — oznajmiła Sorilea — zazwyczaj musi chodzić o mężczyznę. Któryż z mężczyzn ściągnął na siebie twe zainteresowanie? Czy mogę oczekiwać, że wkrótce złożysz ślubny wianek u jego stóp?

— Aes Sedai rzadko wychodzą za mąż — chłodno odparła Egwene.

Parsknięcie tej kobiety zabrzmiało niczym odgłos strzepnięcia mokrego materiału. Panny i Mądre, a tak naprawdę to właściwie każdy z Aielów, mogły zdecydować, że wcale nie jest już Aes Sedai, przynajmniej do czasu, póki pobiera nauki u Amys i pozostałych, jednak Sorilea posuwała się jeszcze dalej. Najwyraźniej sądziła, że Egwene stała się jedną z kobiet Aielów. A na domiar wszystkiego nie było takiej sprawy, w którą Sorilea nie czuła się uprawniona wściubiać swego



nosa.

— Zrobisz tak, dziewczyno. Nie jesteś jedną z tych, które stają się *Far Dareis Mai* i uważają mężczyzn za zwierzynę łowną. Te biodra stworzone zostały do rodzenia dzieci i ty będziesz je rodziła.

— Czy możesz mi łaskawie powiedzieć, gdzie mam zaczekać na Randa? — zapytała Egwene głosem znacznie słabszym niż zazwyczaj. Sorilea nie wędrowała po snach, nie była zdolna do pojęcia ich znaczenia, z pewnością nie dysponowała też talentem Przepowiadania. Potrafiła jednak wypowiadać swe myśli w taki sposób, że ich prawdziwość zdawała się nieuchronna. Dzieci Gawyna. Światłości, w jaki sposób miałyby mieć dzieci z Gawynem? W rzeczywistości Aes Sedai prawie nigdy nie wychodziły za mąż. Rzadkością byli mężczyźni, którzy zechcieliby poślubić kobietę posługującą się Mocą, zdolną poradzić sobie z nimi tak łatwo jak z dzieckiem.

— Chodźmy tędy — powiedziała Sorilea. — Czy to jest Sanduin, ten wielkolud z Prawdziwej Krwi, którego widziałam wczoraj w okolicach namiotu Amys? Dzięki tej bliźnie reszta jego twarzy wygląda jeszcze bardziej przystojnie...

Sorilea zaczęła dalej wymieniać imiona, prowadząc Egwene przez korytarze pałacu, za każdym razem sprawdzając kątem oka jej reakcję. Robiła też wszystko ze swej strony, aby jak najlepiej przedstawić wdzięki danego mężczyzny, a ponieważ najwyraźniej uważała, iż nie może się to obyć bez opisu, jak każdy z nich wygląda bez ubrania — mężczyźni i kobiety Aielów dzielili te same łaźnie parowe — Egwene z pewnością zdążyła się niejedną raz zaczerwienić, zanim dotarły do komnat, w których Rand miał spędzić noc.

Kiedy wreszcie tam się znalazły, Egwene z prawdziwą ulgą pospiesznie podziękowała tamtej, a potem zatrzasnęła za sobą drzwi do przedsionka. Na szczęście Mądra musiała mieć jakieś swoje sprawy do załatwienia, bo w przeciwnym razie zapewne chciałyby poczekać wraz z nią.

Zrobiwszy głęboki oddech, Egwene zaczęła wygładzać suknie i poprawiać szal. Nie potrzebowały tego, jednak czuła się tak, jakby przed chwilą zrzucono ją ze stoku wzgórza. Sorilea wprost uwielbiała bawić się w swatkę. Zdolna była sama upleść ślubny wianek dla jakiejś kobiety, potem zawlec ją, aby położyła go u stóp mężczyzny, którego Sorilea wybrała, i wykręcać mu rękę tak długo, póki nie podniósł wianka. Cóż, być może nie było to dosłownie wleczenie i wykręcanie ręki, ale wychodziło na jedno i to samo. Rzecz jasna, w jej przypadku Sorilea nie posunęłaby się tak daleko. Na myśl o tym zebrało jej się na śmiech. Mimo wszystko Sorilea nie myślała poważnie o tym, że ona zostanie kobietą Aiel; wiedziała wszak, że Egwene jest Aes Sedai, albo przynajmniej za taką ją uważała. Nie, oczywiście, że nie było powodów do przejmowania się czymś takim!

Zamarła na dźwięk cichych kroków w sypialni, trzymając wciąż w dłoniach końce szarej szarfy, którą przewiązywała włosy. Skoro Rand był zdolny przemieszczać się bez trudu z Caemlyn do Cairhien, to zapewne mógł również wsko-

czyć prosto do swej sypialni. A może ktoś — lub coś — czekał tam na niego. Na wszelki wypadek objęła *saidara* i uplotła zeń kilka paskudnych rzeczy, gotowych w każdej chwili do użytku. Z sypialni Randa wyszła kobieta *gai'shain*, z pełnym naręczem pościeli; na jej widok aż się wzdrygnęła. Wtedy Egwene wypuściła *saidara*, z nadzieją, że tym razem udało jej się nie zarumienić.

Niella była tak podobna do Aviendhy, że na pierwszy rzut oka potrafiła zaskoczyć, gdy ujrzało się ją w tych głęboko wyciętych białych szatach. Póki Egwene nie zdała sobie sprawy, że musiałaby dodać pięć lub sześć lat do oblicza, które miała przed sobą, nie mówiąc już o tym, że nie było tak smagłe jak u tamtej i być może nieco pulchniejsze. Siostra Aviendhy nigdy nie została Panną Włóczni; była zamiast tego tkaczką, odbyła już dobrze ponad połowę roku swej służby.

Egwene nie przywitała się z dziewczyną; tym tylko wprowadziłyby Niellę w zamieszanie.

— Czy można wkrótce spodziewać się Randa? — zapytała.

— *Car'a'carn* przybędzie tu, kiedy sam tak zdecyduje — odparła Niella z oczyma skromnie spuszczone. To naprawdę stanowiło dziwny widok; twarz Aviendhy, nawet jeśli odrobinę pulchniejsza, niezbyt dobrze zgadzała się z wyrazem skromności. — My musimy wyczekiwać w gotowości na czas, aż się pojawi.

— Niella, czy masz może jakieś pojęcie, dlaczego Aviendha miałaby się zamykać na osobności z Amys, Bair i Melaine? — Z pewnością nie miało to nic wspólnego z wędrowaniem po snach, Sorilea dysponowała w tej sprawie identycznymi zdolnościami jak Aviendha.

— Ona jest tutaj? Nie, nie znam żadnego powodu. — Ale błękitnozielone oczy Nielli zwięziły się odrobinę, kiedy to powiedziała.

— Na pewno coś wiesz — nalegała Egwene. Równie dobrze mogła skorzystać z posłuszeństwa okazywanego przez *gai'shain*. — Powiedz mi, o co chodzi, Niella.

— Wiem tyle, że Aviendha tak mnie każe wychłostać, że nie będę mogła siodać, jeśli *Car'a'carn* zastanie mnie tutaj z naręczem brudnej pościeli — odparła ponurym głosem Niella. Egwene nie miała pojęcia, czy w tę sprawę nie było jakoś zaangażowane *ji'e'toh*, jednak w jej obecności Aviendha zawsze traktowała swą siostrę znacznie surowiej niż pozostałych *gai'shain*.

Niella pospieszyła w stronę drzwi, wlokąc za sobą skraj szaty po wzorzystym dywanie, ale Egwene schwyciła ją w porę za rękaw.

— Czy zrzucisz biel, kiedy minie twój czas?

Nie było to stosowne pytanie, zaś skromność na twarzy tamtej zastąpiła duma, której nie powstydziałaby się żadna z Panien.

— Inne postępowanie oznacza szyderstwo z *ji'e'toh* — sztywno odparła Niella. Nagle na jej ustach zaigrał leciutki uśmiech. — A poza tym przyjdzie po mnie mój mąż. Nie byłby zadowolony, gdyby mnie nie spotkał. — Pozbawiona wyrazu maska powróciła na jej oblicze, znowu spuściła oczy. — Mogę już odejść? Skoro

Aviendha jest tutaj, będę starała się jej unikać, ile tylko w mojej mocy, ona zaś na pewno zajrzy do tych komnat.

Egwene pozwoliła jej odejść. Nie miała w każdym razie prawa pytać — mówienie o życiu *gai'shain* przed przywdzieniem bieli, lub po jej zrzuceniu, oznaczało wstyd dla tamtej. Sama poczuła się trochę zawstydzona, chociaż oczywiście nie musiała przestrzegać wymogów *ji'e'toh*. Starła się tylko być grzeczna.

Kiedy została sama, usiadła w suto rzeźbionym i złożonym fotelu; po tak długim okresie siadywania ze skrzyżowanymi nogami na poduszkach mebel wydał jej się osobliwie wygodny. Podkuliła nogi i zaczęła rozmyślać nad tym, o czym też Aviendha mogła rozmawiać z Amys i pozostałymi dwoma. Z całkowitą niemalże pewnością można było założyć, iż mówiły o Randzie. Jego osoba zawsze stanowiła główny przedmiot zainteresowania Mądrych. Nie dbały wcale o Proroctwa Smoka ułożone przez mieszkańców mokradeł, znały jednak dokładnie Proroctwo Rhuidean. On wreszcie zniszczy Aielów tak, że, zgodnie ze słowami Proroctwa, „niedobitki niedobitków” tylko ocaleją, one zaś chciały zadbać, by te niedobitki były tak liczne, jak tylko możliwe.

Właśnie dlatego upierały się, by Aviendha pozostawała w pobliżu niego. Tak blisko, że naruszało to wymogi przyzwoitości. Przed wejściem do komnaty była pewna, że zobaczy na posadzce posłanie przygotowane dla Aviendhy. A jednak Aielowie przecież inaczej podchodzili do tych spraw. Mądre chciały, żeby Aviendha nauczyła go obyczajów i tradycji Aielów, żeby przypominała mu, że jego krew jest krwią Aielów, chociaż nie wychował się wśród nich. Najwyraźniej uznali, że to przypominanie winno odbywać się przez całą okrągłą dobę, jednak biorąc pod uwagę wszystko, z czym przyszło im się mierzyć, nie mogła tak do końca mieć o to do nich pretensji. A jednak zmuszanie kobiety, by spała w jednym pomieszczeniu z mężczyzną, nie było przyzwoite.

Co więcej, nie potrafiła niczego wymyśleć w związku z problemem Aviendhy, zwłaszcza że tamta bynajmniej nie widziała w tym niczego zdrożnego. Wsparłszy się na łokciu, próbowała zaplanować, w jaki sposób ma potraktować Randa. Jej myśli błądziły, podsuwając kolejne pomysły, ale ostatecznie do niczego nie doszła, a on wreszcie się pojawił, mrucząc coś cicho do dwóch Aielów, z którymi rozstawał się w drzwiach komnaty.

Egwene skoczyła na równe nogi.

— Rand, musisz mi pomóc poradzić sobie z Mądrymi, one ciebie posłuchają — wybuchnęła, zanim zdążyła ugryźć się w język. Było to coś, czego właśnie za nic nie chciała powiedzieć.

— Również się cieszę, że cię znowu widzę — powiedział, uśmiechając się. Miał w dłoni tę długą seanchańską włócznię; od czasu jak ją widziała po raz ostatni, jej drzewce ktoś pokrył rzeźbionymi Smokami. Żałowała, że nie wie, skąd on to wziął; wszystko, co wiązało się z Seanchanami, przyprawiało ją o dreszcze. — Czuję się dobrze, dziękuję ci, Egwene. A ty? Znowu wyglądasz jak dawniej, jak

zawsze pełna animuszu. — Wyglądał na strasznie zmęczonego. I stanowczego na tyle, by uśmiech na jego twarzy zaczynał sprawiać dziwne wrażenie. Za każdym razem, gdy go spotykała, zdawał się coraz pewniejszy podejmowanych decyzji.

— Niech ci się nie wydaje, że jesteś zabawny — odparowała, zła na niego. Lepiej już ciągnąć dalej to, co zaczęła. Lepiej niżli się wycofywać i przepraszać, tylko jeszcze bardziej by się uśmieł. — Pomożesz mi?

— W jaki sposób? — Najwyraźniej czuł się tutaj jak u siebie w domu... no cóż, to były jego komnaty... położył ozdobioną chwostami włócznię na małym stoliku z nogami wyrzeźbionymi w pantery, a potem odpassał miecz i zdjął kaftan. Z jakiegoś powodu nie pocił się bardziej niż Aielowie. — Mądre wprawdzie mnie słuchają, ale słyszą tylko to, co chcą. Nauczyłem się już rozpoznawać to pozbawione wyrazu spojrzenie, jakim mnie traktują, kiedy stwierdzają, że opowiadam bzdury, a ponieważ nie chcą mnie tym zawstydzić, nie informują mnie o tym, ani też nie kłócą się, tylko zwyczajnie puszczają mimo uszu. — Przystawił sobie jeden ze złoconych foteli naprzeciwko niej, po czym rozparł się w nim, wyciągając obute nogi przed siebie. Nawet to udało mu się wykonać w jakiś wyjątkowo bezczelny sposób. Zdecydowanie zbyt wielu ludzi mu się kłaniało.

— Czasami rzeczywiście mówisz rzeczy pozbawione sensu — odburknęła. Z jakiegoś powodu to, że nie miała już więcej czasu na zastanawianie się, pozwoliło jej skupić myśli. Starannie poprawiła swój szal, usiadła wyprostowana naprzeciw niego. — Wiem, że chciałbyś usłyszeć, jak się miewa Elayne. — Dlaczego jego twarz tak nagle posmutniała, a jednocześnie nabrała wyrazu mroźniejszego niżli oddech zimy? Zapewne dlatego, że już od dawna nie miał wieści od Elayne. — Wątpię, by Sheriam przekazywała Mądrym jakieś przeznaczone dla ciebie wieści. — Na ile się orientowała, wieści nie było żadnych, chociaż on w sumie rzadko bywał w Cairhien, a tylko tu mógł się czegoś dowiedzieć. — Mnie Elayne zaufa, powierzy mi taką sprawę. Mogę więc przekazywać tobie wieści od niej, ale pod warunkiem, że uda ci się przekonać Amys, iż jestem dość silna, aby... aby wrócić do moich studiów.

Żałowała, że głos jej się załamał, jednak wiedział doprawdy zbyt wiele o wędrowaniu po snach, nie mówiąc już o samym *Tel'aran'rhiod*. Prawie wszystko, co dotyczyło wędrowania po snach, prócz samej nazwy chyba, stanowiło tajemnicę głęboko przez Mądre skrywaną, szczególnie przez te, które potrafiły to robić. Nie miała prawa zdradzać ich sekretów.

— Powiesz mi, gdzie jest Elayne? — Równie dobrze mógłby poprosić o filiżankę herbaty.

Zawahała się, ale porozumienie, jakie zawarły ona, Nynaeve i Elayne — Światłości, jak dawno to było? — wciąż obowiązywało. Rand nie był już dłużej chłopcem, z którym dorastała. Był mężczyzną, pełnym poczucia własnej wartości, a niezależnie do tego, jakim przemawiał głosem, te niewzruszone oczy w jego twarzy zwyczajnie domagały się odpowiedzi. Jeżeli podczas spotkania Aes Sedai

i Mądrych, można by rzec, sypały się skry, to gdyby doszło do spotkania między nim a Aes Sedai, to chyba wybuchłby istny pożar. Ktoś musiał stanąć między nimi i tylko one trzy nadawały się do tego zadania. Miała nadzieję, że przy okazji nie spłoną.

— Nie mogę ci tego powiedzieć, Rand. Nie mam takiego prawa. Nie wolno mi. — I to również była prawda. A zresztą i tak nie potrafiłaby mu przecież powiedzieć, gdzie się dokładnie znajduje się Salidar; wiedziała tylko, że gdzieś za Altarą, nad rzeką Eldar.

Z napięciem pochylił się do przodu.

— Wiem, że ona jest z Aes Sedai. Powiedziałaś mi kiedyś, że te Aes Sedai mnie popierają, albo że jest to przynajmniej prawdopodobne. Czy one się mnie boją? Mogę poprzysiąc, że będę trzymał się od nich z dala, jeżeli tak się sprawy mają. Egwene, zamierzam oddać Elayne Tron Lwa, a także Tron Słońca. Ma prawo ubiegać się o oba, Cairhien zaakceptuje ją równie łatwo jak Andor. Potrzebuje jej, Egwene.

Egwene już otworzyła usta — i nagle zrozumiała, że właśnie chciała powiedzieć mu wszystko, co wie na temat Salidaru. Na szczęście, zagryzła zęby tak silnie, że aż zabolą ją szczeka; otworzyła się na *saidara*. Wypełniło ją słodkie poczucie jedności z życiem, tak potężne, że przegnało wszelkie inne uczucia, pomogło; powoli pragnienie powiedzenia wszystkiego zaczęło zanikać.

Z westchnieniem opadł na fotel, ona zaś patrzyła nań szeroko rozwartymi oczyma. Co innego wiedzieć, że on jest najsilniejszym *ta'veren* od czasów Artura Hawkwinga, a całkiem co innego pozwolić, by on nad nią zapanował. Ledwie potrafiła się powstrzymać, by nie drzeć niepohamowanie i nie obejmować się ramionami.

— Nie powiesz mi — oznajmił. Nie było to pytanie. Energicznie potarł przedramiona, przez rękawy koszuli, czym jej przypomniał, że nadal obejmuje *saidara*; musiał to silnie odczuwać, jak mrowienie na skórze. — Czy sądziłaś, że chcę to z ciebie wydrzeć przemocą? — warknął, znieacka rozzłoszczony. — Czy jestem teraz w twoich oczach takim potworem, że aż musisz odwoływać się do Mocy, aby się ochronić przede mną?

— Nie potrzebuję niczego dla ochrony przed tobą — powiedziała tak spokojnie, na ile tylko było ją stać. Ciągłe jeszcze kotłowało jej się w żołądku. To był Rand, a jednocześnie był to mężczyzna, który potrafił przenosić. Jakaś część jej duszy pragnęła tylko jęczeć i zawodzić głucho. Wstydziła się tych uczuć, nie potrafiła ich jednak przegnać na dobre. Przy uwalnianiu *saidara* zawahała się na ułamek sekundy i zaraz tego pożałowała. Nie miało to jednak znaczenia; gdyby doszło do takiej walki, to musiałaby najpierw odgrodzić go jakoś od Źródła, bo w przeciwnym wypadku pokonałby ją bez większych kłopotów, jakby siłowali się na rękę. — Rand, przepraszam, ale nie mogę ci pomóc, naprawdę nie mogę. I na dodatek zamierzam raz jeszcze poprosić ciebie o pomoc. Wiesz przecież, że w ten

sposób sam sobie też pomożesz.

Jego gniew rozplynął się w szaleńczym uśmiechu; te błyskawiczne zmiany nastroju były naprawdę przerażające.

— „Kot za kapelusz albo kapelusz za kota” — zacytował.

„Ale nic za nic” — dokończyła w myślach. Słyszała to przysłowie, kiedy była mała; wymyślili je ludzie z Taren Ferry.

— Ty wkładasz swego kota do kapelusza, a potem jeszcze wpychasz go do kieszeni spodni, Randzie al’Thor — powiedziała chłodno. Jakoś jej się udało nie trzasnąć z całych sił drzwiami, niemniej miała wielką ochotę to uczynić.

Oddalała się szybko od jego komnat, zastanawiając się, co teraz ma zrobić. W jakiś sposób musiała przekonać Mądre, by pozwoliły jej wrócić do *Tel’aran’rhiod* — legalnie, można by rzec. Wcześniej czy później, on i tak będzie musiał spotkać się z tymi Aes Sedai z Salidaru, co ułatwione byłoby, gdyby wpierw udało jej się porozmawiać z Elayne lub Nynaeve. Była trochę zaskoczona, że Salidar jeszcze się do niego nie zwrócił; cóż powstrzymywało Sheriam i pozostałe? Nic, co w najmniejszym stopniu choćby zależało od niej, Elayne i Nynaeve zaś z pewnością lepiej wiedziały, w czym rzecz.

Spotkanie z Elayne stawało się coraz pilniejsze. Rand jej potrzebował. Kiedy o niej mówił, jego głos brzmiał tak, jakby znaczyła dla niego więcej niżli cokolwiek innego w świecie. To powinno rozproszyć resztki jej zmartwień co do tego, czy on ją jeszcze kocha. Żaden mężczyzna nie potrafił w ten sposób mówić o kobiecie, jeśli jej nie kochał.

\* \* \*

Przez kilka chwil Rand siedział jeszcze bez ruchu, wpatrując się w drzwi, które zamknęła za sobą Egwene. Tak bardzo zmieniła się od czasu, gdy była tą małą dziewczynką, z którą się wychowywał. W tym ubraniu Aielów stanowiła doskonałą kopię Mądrej — wyjąwszy w każdym razie wzrost; wyglądała więc jak niska Mądra o ciemnych oczach. Jednak tamta Egwene, którą pamiętał, wkładała we wszystko, co robiła, całe swoje serce. Teraz była chłodna jak inne Aes Sedai, ujęła *saidara*, kiedy tylko osądziła, że on jej zagraża. To było coś, o czym nie powinien zapominać. Niezależnie od tego, jakie miała na sobie suknie, chciała być Aes Sedai, i zatrzyma dla siebie tajemnice Aes Sedai, nawet po tym, jak przysiągł jej, że potrzebuje Elayne, by zapewnić pokój dwóm narodom. Trudno, trzeba o niej myśleć jako o Aes Sedai. To było naprawdę smutne.

Znużony podniósł się z fotela i z powrotem przywdział kaftan. Musiał się jeszcze spotkać z cairhieniańskimi arystokratami, Colavaere i Maringilem, Dobraine

i całą resztą. A także z Tairenianami; Meilan, Aracome i inni będą się zżymać, jeśli poświęci Cairhienianom choć odrobinę czasu więcej. Mądre też będą chciały odbyć z nim rozmowę, a także Timolan i pozostali wodzowie klanów, którzy jeszcze się z nim dzisiaj nie widzieli. Dlaczego w ogóle chciał opuścić Caemlyn? Cóż, rozmowa z Heridem była naprawdę sympatyczna, jednak kwestie, jakie z niej wyniknęły, nie należały do przyjemnych, a mimo to dobrze od czasu do czasu porozmawiać z kimś, kto nie pamięta, że on jest Smokiem Odrodzonym. A poza tym udało mu się chociaż na chwilę pozbyć się tej szajki Aielów, jaka zazwyczaj go otaczała; zamierzał odtąd częściej sobie na to pozwalać.

Dostrzegł swe odbicie w lustrze ze złoconymi ramami.

— Przynajmniej udało ci się ukryć przed nią, jak bardzo jesteś zmęczony — powiedział do lustra. To była jedna z najcenniejszych rad Moiraine.

„Nie pozwól im nigdy dostrzec, że tracisz siły”.

Właśnie zaczął myśleć o Egwene jako o jednej z nich.

\* \* \*

Sulin udawała, że pod oknami Randa al'Thora przycupnęła jedynie przypadkiem; wbijała raz za razem niewielki nóż w ziemię, jakby zabawiała się grą w pikietę. Kiedy usłyszała pohukiwanie sowy rozlegające się z jednego z okien, z cichym przekleństwem powstała szybko i natychmiast wsunęła nóż za pas. Rand al'Thor znowu opuścił swe komnaty. Czuwanie nad nim w ten sposób nie zdało egzaminu. Gdyby miała tu Enailę albo Somarę, wówczas one by musiały go pilnować. Normalnie jednak starała się chronić go przed tego typu bzdurami, dokładnie tak, jakby postąpiła w przypadku pierwszego brata.

Pobiegła do najbliższego wejścia, gdzie przyłączyły się do niej kolejne Panny — żadna nie przyszła tutaj razem z nią — i zaczęły przeszukiwać gęstwą korytarzy, starając się, żeby to tak wyglądało, jakby tylko spacerowały. Niezależnie od tego, czego chciał *Car'a'carn*, nic nie mogło się stać jedynemu synowi Panny, który do nich powrócił.

## KWESTIE TOH

Rand z początku zakładał, że tej nocy będzie spał dobrze. Był tak zmęczony, że zdołał zapomnieć o bezustannym dotyku palców Alanny, ponadto Aviendha nadal przebywała poza pałacem, w namiotach Mądrych, nie było więc tego roz-bierania się bez zwracania najmniejszej uwagi na jego obecność ani też zakłócania jego odpoczynku głośnym oddechem. A jednak coś sprawiło, że rzucał się po łóżku. Sny. Zawsze strzegł swoich snów, aby Przekłęci nie mogli się do nich dostać — a także Mądre — wszelkie zabezpieczenia jednak na nic nie mogły się przydać wobec czegoś, co już znajdowało się w środku. Dręczyły go sny o wielkich białych rzeczach, które niczym gigantyczne ptasie skrzydła, bez samego ptaka wszakże, płynęły skroś nieba; o wielkich miastach, w których ku niebu wznosiły się nieprawdopodobnie wysokie budynki, lśniące w słońcu, a po ulicach mknęły kształty przypominające żuki albo spłaszczone krople wody. Wszystko to już widział wcześniej, wewnątrz wielkiego *ter'angreal*a w Rhuidean, gdzie otrzymał Smoki zdobiące obecnie jego przedramiona, znał je też z obrazów namalowanych podczas Wieku Legend, jednak w jego śnie to wszystko wyglądało jakoś inaczej. Wszystko zdawało się wykoślawione, barwy zaś... niewłaściwe, jakby coś wypaczyło mu wzrok. Megaloty chwiały się i spadały, a każdy z nich zabierał ze sobą setki ludzi na pewną śmierć. Budowle roztrzaskiwały się niby szkło, miasta płonęły, łąd zaś kołysał się niczym szarpane sztormem morze. Co jakiś czas stawała mu przed oczyma złotowłosa kobieta, widział, jak jej oblicze pełne miłości przyobleka całun. Odległe zakamarki jego pamięci rozpoznawały ją. Częścią siebie pragnął za wszelką cenę ją uratować, przed Czarnym, przed wszelaką krzywdą, przed tym, co sam miał zaraz zrobić. Tak wiele sprzecznych myśli rodził jednocześnie jego umysł, jakby cały rozsypywał się powoli na połyskujące okruchy — a wszystkie one wyły.

Obudził się w ciemnościach, zlany potem, drżał. Sny Lewsa Therina. To się jeszcze chyba nigdy dotąd nie zdarzyło, żeby jednemu człowiekowi śniły się sny drugiego. Przez godziny, które jeszcze zostały do świtu, leżał tylko, wpatrując się w pustkę, obawiając się powtórnie zmrużyć oczy. Próbował pochwycić *saidina*, jakby jego mógł wykorzystać do walki z dawno zmarłym człowiekiem, ale Lews Therin milczał.



Kiedy w oknach rozbłysło nareszcie blade światło, jeden z *gai'shain* wślizgnął się cicho do komnaty, niosąc tacę przykrytą serwetą. Zobaczywszy, że Rand już nie śpi, nie odezwał się ani słowem, tylko ukłonił w milczeniu i równie cicho wyszedł. Dzięki wypełniającej go Mocy czuł wonie przyprawionego wina i ciepłego chleba, masła i miodu, gorącej owsianki, którą Aielowie jadali na śniadanie; wszystko to docierało do jego nosa tak wyraziście, jakby wetknął go pod tkaninę okrywającą strawę. Uwolniwszy Źródło, ubrał się i przypasał miecz. Nie dotknął nawet serwety, którą przykryte było śniadanie, w ogóle nie miał ochoty jeść. Umieścił Berło Smoka w zagięciu łokcia i opuścił swe pokoje.

W szerokim korytarzu czekały już na niego Panny pod dowództwem Sulin, a także Urien ze swymi Czerwonymi Tarczami. Za plecami gwardzistów ludzie tłoczyli się w korytarzu, zbici ramię przy ramieniu. A wewnątrz pierścienia jego straży czekał ktoś jeszcze: Aviendha z delegacją Mądrych — Amys, Bair i Melaine, oczywiście Sorilea, Chaelin, Mądra klanu Miagoma ze szczepu Dymiących Wód, z pasmami siwizny w ciemnorudych włosach, oraz Edarra z Neder Shiande, która nie wyglądała na znacznie starszą od niego, chociaż miała już w błękitnych oczach charakterystyczny niewzruszony spokój, a trzymała się równie prosto jak pozostałe. Przybyła również z nimi Berelain, ale nigdzie nie widział Rhuarka, czy też któregoś z pozostałych wodzów klanów. To, co miał im do powiedzenia, zostało już powiedziane, a Aielowie nie przeciągali niepotrzebnie spraw. Ale w takim razie cóż tutaj robiły Mądre? Albo Berelain? Biało-zielona suknia, którą włożyła dzisiejszego ranka, ukazywała znaczną część jej białego dekoltu.

Dalej, za pierścieniem utworzonym przez Aielów, stali Cairhienianie. Colavere, uderzająco piękna, mimo iż już w średnim wieku, z ciemnymi włosami w wyszukany sposób ułożonymi w wysoką koafiurę loków; jej suknię zdobiły poziome wycięcia, od zdobionego złotem kołnierza aż do samych kolan. Krępy Dobraine o kwadratowej twarzy, z czaszką wygoloną nad czołem, w kaftanie, na którym odznaczały się wytarcia od napierśnika. Maringil, prosty niczym ostrze miecza, z białymi włosami spływającymi na ramiona; ten nie golił czaszki, a jego kaftan z ciemnego jedwabiu, podobnie jak u Dobraine poznaczony rozcięciami niemalże do samych kolan, stosowny byłby raczej na bal. Co najmniej ponad dwudziestu innych skupiło się za tą trójką, w większości byli to młodzi mężczyźni i kobiety, kilkoro również przywdziało ubiory z wyciętymi paskami sięgającymi aż do bioder.

— Pochwalone niech będzie imię Lorda Smoka — wymamrotali, przykładając dłonie do serc i kłaniając się, a potem jeszcze raz: — Łaska sływa na nas wraz z obecnością Lorda Smoka.

Tairenianie również przysłali swoich przedstawicieli, samych Wysokich Lordów i Lady, bez pomniejszej szlachty; mężczyźni w szpiczastych aksamitnych kapeluszach i jedwabnych kaftanach z bufiastymi rękawami zdobionymi satynowymi paskami; kobiety w jaskrawych szatach z szerokimi pasmami koronki i ob-

cisłych czepeczkach naszywanych perłami i klejnotami. Wszyscy wyrażali swój szacunek słowami:

— Niech Światłość oświeca Lorda Smoka.

Meilan stał oczywiście na przedzie, szczupły i pełen stanowczości w postawie, z twarzą zupełnie pozbawioną wyrazu i z wystrzyżoną w szpic bródką. Zdecydowane oblicze i stalowe spojrzenie stojącej obok niego Fionndy jakoś nie przyćmiewały jej urody, chociaż daleko jej było do afektowanych uśmiechów wiotkiej niczym wierzba Anaiyelli. Z pewnością zaś żaden uśmiech, choćby najbardziej nikły, nie gościł na twarzy błękitnookiego — rzadkość wśród Tairenian — Maracconna, łysiego Gueyama, czy Aracome, który, choć przy masywnej postaci swego sąsiada zdawał się dwukrotnie co najmniej szczuplejszy, to jednak sprawiał wrażenie podobnie twardego. Oni wszyscy — a także Meilan — przyjaźnili się z Hearne i Simaanem. Rand nie wspomniał wczoraj o tamtej dwójce ani o ich zdradzie, pewien był jednak, że wśród zgromadzonych nie było takiego, który by doskonale nie znał całej sprawy, i że jego milczenie w tej kwestii zostało odmiennie zinterpretowane przez każde z nich. Od czasu przybycia do Cairhien mieli już sposobność przywyknąć do takiej polityki, a tego ranka patrzyli na Randa pełnym niepokojem wzrokiem, jakby w każdej chwili miał ogłosić nakazy ich aresztowania.

Zresztą wszyscy w tym towarzystwie w zasadzie cały czas się wzajemnie obserwowali. Wielu co rusz spoglądało nerwowo na Aielów, często ze zmiennym powodzeniem skrywając wyraźny gniew. Pozostali niemalże równie bacznie przyglądali się Berelain; zdziwił się, bo na twarzach mężczyzn, nawet na twarzach Tairenian, widział więcej namysłu i ostrożności niżli pożądania. Większość oczywiście obserwowała bacznie każdy jego ruch — był tym, kim był. Chłodne spojrzenie Colavaere powędrowało od niego do Aviendhy i w tym momencie rozgorzało; mnóstwo złych spraw zgromadziło się między nimi, o czym Aviendha chyba najwyraźniej zapomniała. Colavaere nigdy nie zapomni tych cięgów, jakie otrzymała od Aviendhy po tym, gdy ta odkryła ją w komnatach Randa, ani też nie wybaczy tamtej, że później cała ta sprawa stała się publiczną tajemnicą. Meilan i Maringil, każdy z osobna dawał wyraźnie do zrozumienia, iż zdaje sobie sprawę z obecności drugiego, tak ostentacyjnie bowiem się nawzajem nie zauważali. Obaj wysuwali pretensje do tronu Cairhien, jeden uważał drugiego za głównego rywala. Dobraine patrzył na Meilana i Maringila, chociaż dlaczego, pozostawało zagadką. Melaine bacznie przyglądała się Randowi, Sorilea obserwowała ją dla odmiany, zaś Aviendha spod zmarszczonych brwi patrzyła się na posadzkę. Jedna z młodych kobiet w grupie Cairhienian miała włosy rozpuszczone luźno i przycięte do ramion, a nie ułożone w zdobną koafiurę jak pozostałe, oraz miecz przypasany do ciemnej sukni do konnej jazdy, tylko z sześcioma kolorowymi pręgami. Wielu obdarzało ją otwarcie pogardliwym uśmiechem; ledwie to zauważała, na przemian patrząc na Panny z gorącym podziwem albo na Randa z wyraźną trwogą. Pamiętał ją. Selande, jedna z całego szeregu pięknych kobiet, z pomocą których Colavaere chciała

wciągnąć Smoka Odrodzonego do swych knoń, póki Rand nie przekonał jej ostatecznie, że nic jej tego nie wyjdzie. Na nieszczęście odbyło się to z udziałem nie proszonej o pomoc Aviendhy. Miał nadzieję, że Colavaere obawia się go w dostatecznym stopniu, by nie szukać pomsty na Aviendzie, a z kolei żałował, że nie udało mu się przekonać Selande, iż nie ma się czego obawiać.

„Nie zadowolisz wszystkich — mawiała Moiraine — Nie uspokoisz wszystkich”. — Twarda kobieta.

Aielowie ze swej strony obserwowali każdego w tym zgromadzeniu, prócz Mądrych oczywiście. I z jakichś powodów nie patrzyli również na Berelain. Zawsze spoglądali podejrzliwie na mieszkańców mokradeł, jeśli jednak sądzić po ich dzisiejszym zachowaniu, ona mogłaby być jedną z Mądrych.

— Wszyscy uczyniliście mi zaszczyt, przychodząc tutaj. — Rand miał nadzieję, że jego słowa nie zabrzmiały zbyt sucho. Z powrotem do przedstawienia. Zastanawiał się, gdzie też jest Egwene. Zapewne przewraca się w łóżku na drugi bok. Przez krótką chwilę rozważał pomysł odnalezienia jej i spróbowania jeszcze raz. . . Nie, jeżeli ona nie zechciała mu raz powiedzieć, nie miał pojęcia, jak mógłby ją do tego zmusić po raz drugi. Bardzo niedobrze, że bycie *ta'veren* nie przydaje się wtedy, kiedy jest naprawdę potrzebne. — Tak się nieszczęśliwie składa, że nie mogę dzisiaj z wami rozmawiać. Wracam do Caemlyn. — Teraz Andor stanowił główny problem, jakim należało się zająć. Andor i Sammael.

— Twoje rozkazy zostaną wykonane, Lordzie Smoku — powiedziała Berelain. — Tego ranka, możesz więc uczestniczyć w ich realizacji.

— Moje rozkazy?

— Mangin — rzekła tylko. — Został skazany dzisiejszego ranka. — Na twarzach większości Mądrych zastygły zupełnie pozbawione wyrazu maski, ale obliza Bair i Sorilei zdradzały otwartą dezaprobatę. Ku jego zaskoczeniu jej przedmiotem najwyraźniej była Berelain.

— Nie mam zamiaru uczestniczyć w kaźni każdego mordercy — zimno odrzekł Rand. Tak naprawdę to zapomniał, czy też raczej wyrzucił całą sprawę ze swej pamięci. Wydanie wyroku na człowieka, którego się lubiło, stanowi rzecz, o jakiej każdy chyba chciałby zapomnieć. Rhuarc i pozostali wodzowie klanów nawet nie wspomnieli o tym zajściu, kiedy z nimi rozmawiał. Kolejna rzecz polegała na tym, że nie powinien nadawać tej egzekucji jakiegoś specjalnego wymiaru. Aielowie muszą żyć zgodnie z prawem, tak jak wszyscy; Cairhienianie i Tairenianie powinni zobaczyć na własne oczy, że tak się dzieje, a wtedy zrozumieją, iż skoro Aielowie nie są jego faworytami, to z pewnością żadnych innych nie będzie szukał wśród nich.

„Wykorzystujesz wszystko i wszystkich” — powiedział do siebie w myślach i poczuł mdłości; przynajmniej miał nadzieję, że tak pomyślał. A poza tym nie miał ochoty przyglądać się, jak kogoś wieszają, zwłaszcza Mangina.

Meilan wyraźnie nad czymś się zastanawiał; kropelki potu zaperliły się też na

czole Aracome, aczkolwiek mógł to spowodować sam upał. Colavaere, z pobladłą twarzą, miała taką minę, jakby zobaczyła go po raz pierwszy w życiu. Berelain obdzieliła po równo Bair i Sorileę ponurymi spojrzeniami; pokiwały głowami. Czyżby ją uprzedziły, że on zareaguje w taki właśnie sposób? To nie wydawało się możliwe. Reakcje pozostałych odzwierciedlały najrozmaitsze odczucia, od zaskoczenia po satysfakcję, jednak szczególnie uderzył go wyraz twarzy Selande. Stała jak wmurowana, z szeroko rozwartymi oczyma, zupełnie zapomniała o Pannach. Jeżeli przedtem patrzyła na Randa z obawą, to teraz była śmiertelnie przerażona. Cóż, niech i tak będzie.

— Bezwzględnie wyruszam do Caemlyn — oznajmił im Rand. Wśród Cairhienian i Tairenian rozległ się cichy szmer, jakby wspólne westchnienie ulgi.

Nie zdziwił się, gdy wszyscy towarzyszyli mu aż do komnaty, którą przeznaczono wyłącznie dla celów jego Podróżowania. Panny i Czerwone Tarcze zazwyczaj nie dopuszczali do niego mieszkańców mokradeł — wyjątek tu stanowiła Berelain — a szczególnie nie lubili, gdy zbliżali się do niego Cairhienianie; tego dnia z zadowoleniem zauważył, że to samo spotkało Tairenian. Wielu patrzyło na niego niezbyt życzliwie, nikt jednak nie rzekł ani słowa, nie w jego obecności przecież. Nawet Berelain, która szła tuż za grupką Mądrych, i Aviendha; te dwie cicho o czymś rozmawiały, od czasu do czasu wybuchając przytłumionym śmiechem. To, że Berelain i Aviendha rozmawiały ze sobą, sprawiło, że aż włosy mu się zjeżyły na karku. I jeszcze się śmiały?

Przy wyrzeźbionych w geometryczne wzory drzwiach do komnaty Podróżowania, wbił wzrok w przestrzeń nad głową Berelain, kiedy ta składała mu głęboki ukłon.

— Będę dbała o Cairhien, bez strachu ani dla korzyści własnych, do czasu twojego powrotu, Lordzie Smoku. — Niezależnie od sprawy Mangina, całkiem możliwe, że tego ranka przyszła tylko po to, by to powiedzieć, zwłaszcza że musieli to usłyszeć pozostali arystokraci. Z jakiegoś powodu słowa te wywołały na ustach Sorilei pogardliwy grymas. Naprawdę powinien się jak najszybciej dowiedzieć, co się tutaj dzieje; nie wolno mu dopuścić, by Berelain dostała się pod wpływ Mądrych. Pozostałe Mądre odciągnęły właśnie Aviendhę na bok; tak to wyglądało, jakby każda z osobna miała jej coś do powiedzenia. Niestety, nie udało mu się wychwycić ani jednego słowa. — Kiedy zobaczysz następnym razem Perrina Aybara — dodała jeszcze Berelain — przekaż mu, proszę, moje gorące pozdrowienia. Matowi Cauthonowi również.

— Będziemy z niecierpliwością oczekiwać powrotu Lorda Smoka — skłamała Colavaere, nadając swej twarzy doskonale obojętny wyraz.

Meilan spojrział na nią, oburzony, że odważyła się odezwać pierwsza i rozpoczął kwiecistą przemowę, mówiąc w niej niewiele więcej niż ona, a którą Maringil oczywiście poczuł się zmuszony przebić, przynajmniej kwiecistością stylu. Fionda i Anaiyella okazały się jeszcze bardziej wylewne od tamtej trójki, wplatając

w swe pożegnania tyle komplementów, że z niepokojem aż zaczął badać reakcję Aviendhy, ale jej uwagę wciąż zajmowały Mądre. Dobraine zadowolili się krótkim:

— Póki mój Lord Smok nie powróci — natomiast Maraconn, Gueyam i Aracome wymamrotali coś nie do końca zrozumiałego, przez cały czas czujnie mu się przypatrując.

Doznał prawdziwej ulgi, gdy wreszcie mógł wejść do środka i nie musiał dłużej ich oglądać. Niespodzianka spotkała go w momencie, gdy zobaczył, że Melaine idzie za nim, wyprzedzając Aviendhę. Uniósł pytająco brwi.

— Muszę porozumieć się z Baelem w kwestiach dotyczących Mądrych — wyjaśniła mu nie znoszącym sprzeciwu tonem głosu, a potem natychmiast spojrzała ostro na Aviendhę, która miała tak niewinny wyraz twarzy, że Rand od razu pojął, iż musi coś ukrywać. Aviendha z różnymi minami potrafiła wyglądać naturalnie, ale nigdy z miną niewiniątka; nigdy nie była do tego stopnia niewinna.

— Jak chcesz — powiedział. Podejrzewał, że Mądre tylko czekały na szansę wysłania jej do Caemlyn. Któż lepiej zadba o to, by Rand nie wywierał złego wpływu na Baela niżli żona Baela? Podobnie jak Rhuarc, Bael posiadał dwie żony, o której to sytuacji Mat zawsze powiadał, że to albo spełnienie marzeń, albo koszmar, ale nigdy nie potrafił opowiedzieć się ostatecznie za którąś z tych dwu rzeczy.

Aviendha obserwowała go uważnie, kiedy otwierał bramę z powrotem do Caemlyn, do Wielkiej Komnaty. Zazwyczaj tak postępowała, choć oczywiście nie była w stanie dostrzec jego splotów. Pewnego razu samej udało jej się stworzyć bramę, ale działo się to w nieczęstej u niej chwili paniki; nigdy już potem nie przypomniawszy sobie, jak tego dokonała. Tego właśnie dnia, z jakichś tajemniczych powodów, obracająca się szczelina światła przypomniawszy jej, co zdarzyło się owej nocy; jej smagłe policzki pokraśniały i nagle z uporem patrzyła już w drugą stronę. Dzięki wypełniającej go Mocy czuł wyraźnie jej zapach, ziołową woń jej mydła, delikatny ton słodkich perfum, których nigdy wcześniej nie używała. Chociaż raz naprawdę, szczerze, pragnął tylko pozbyć się *saidina*, więc jako pierwszy wyszedł do przestrzeni pustej sali tronowej. I nagle poczuł z całą siłą, jak cios, obecność Alanny, zdała mu się tak bliska, jakby stała wprost przed nim. Ona płacze, pomyślał. Ponieważ odszedł tak daleko? A niech sobie płacze. Musiał jakoś się od niej uwolnić.

To, że przeszedł jako pierwszy, z pewnością nie spodobało się ani Pannom, ani Czerwonym Tarczom. Urien tylko chrząknął i z dezaprobatą pokręcił głową. Natomiast Sulin z zupełnie zbielełą twarzą podeszła do niego na czubkach palców, dzięki czemu jej nos znalazł się na poziomie jego nosa.

— Wielki i potężny *Car'a'carn* pozwolił, by *Far Dareis Mai* strzegły jego honoru — niemalże wysyczała niskim szeptem. — Jeżeli potężny *Car'a'carn* zginie w zasadzce, kiedy znajduje się pod ochroną Panien, *Far Dareis Mai* stracą wszelki honor. Jeżeli jednak niezwyknięty *Car'a'carn* nie dba o takie sprawy, to być

może Enaila ma rację. Być może wszechmocny *Car'a'carn* jest tylko zapalczym chłopcem, którego należy prowadzić za rękę, ponieważ w przeciwnym razie gotów w każdej chwili spaść z urwiska, tylko dlatego, że nie spojrzy pod nogi.

Randowi aż szczęka opadła. W sytuacjach całkiem prywatnych tylko zgrzytał zębami i nic nie mówił, gdy słyszał takie uwagi — zazwyczaj zresztą mniej złośliwe — ze względu na dług, jaki winien był Pannom. Jednak nigdy dotąd żadna nie zbeształa go otwarcie w obecności innych ludzi, nawet Enaila czy Somara. Melaine znajdowała się już w pół drogi przez komnatę, zebrała spódnice w dłonie i omalże biegła; najwyraźniej trudno jej było się doczekać chwili, gdy na nowo utrwali wpływ Mądrych na Baela. Nie potrafił powiedzieć, czy Urien słyszał tę przemowę, chociaż jakoś dziwnie nagle zainteresował się kierowaniem swych zamaskowanych *Aethan Dor*, którzy rozbiegli się wśród kolumnad w towarzystwie Panien, czyli czymś, co wcale nie wymagało nadzorowania. Aviendha zaś, zupełnie przeciwnie, z ramionami zaplecionymi na piersiach patrzyła na niego z taką mieszaniną przygany i zadowolenia, że nie miał najmniejszych wątpliwości, iż słyszała wszystko.

— Wczoraj poszło bardzo dobrze — odparł stanowczym tonem. — Od tej pory uważam więc, że dwójka strażników całkowicie mi wystarczy. — Oczy jej omalże nie wyszły z orbit, wyglądało jakby słowa zupełnie zamarzy jej w krtani. Teraz, kiedy już doprowadził ją do takiego stanu, nadszedł czas, by odrobinę ustąpić, zanim nie eksploduje niczym fajerwerki Iluminatorów. — Rzecz jasna, cała sprawa ma się inaczej, gdy będę opuszczał Pałac. Wówczas jak najbardziej stosowna będzie straż, którą mi przydzielisz, jednak tutaj albo w Pałacu Słońca, czy w Kamieniu Łzy, dwójka całkowicie wystarczy. — Odwrócił się od niej, mimo iż wciąż poruszała niemo ustami, próbując wykrztusić choć słowo.

Aviendha dogoniła go w momencie, gdy mijał podium, na którym stały trony, maszerując w stronę niewielkich drzwi ukrytych z tyłu. Przyszedł tutaj, zamiast udać się prosto do swoich komnat, w nadziei, że uda mu się ją zgubić. Nawet bez *saidina* potrafił wyczuć jej zapach, a może to było tylko wspomnienie. Żałował w każdym razie, że nie ma kataru; zanadto mu się ten zapach podobał.

Aviendha, w swym szalu ściśle owiniętym wokół ramion, patrzyła prosto przed siebie, jakby coś ją trapiło, nie zauważając nawet, że przytrzymał dla niej drzwi wiodące do wyłożonej płaskorzeźbami lwów gotowalni, coś, na co zwykle reagowała wybuchem złości albo przynajmniej jakimś złośliwym pytaniem, takim na przykład, jak, którą to właściwie rękę sobie złamała. Kiedy zapytał ją, o co chodzi, wzdrygnęła się.

— O nic. Sulin miała rację. Ale... — Nagle uśmiechnęła się dość niechętnie. — Czy widziałeś jej twarz? Nikt nigdy jej tak nie usadził od czasu... chyba nigdy, jak sądzę. Nawet Rhuarkowi to się nie udało.

— Jestem trochę zaskoczony, znajdując cię po mojej stronie. Spojrzała na niego tymi swoimi wielkimi oczyma. Potrafiłby spędzić cały dzień na zastanawianiu

się, czy są właściwie zielone czy niebieskie. Nie. Nie miał prawa myśleć o jej oczach. To, co zdarzyło się wtedy, gdy udało jej się stworzyć bramę — zresztą po to, by uciec przed nim — niczego nie zmieniało. Szczególnie o tym właśnie nie miał prawa myśleć.

— Przysparzasz mi tylu zmartwień, Randzie al'Thor — powiedziała głosem zupełnie wyzbytym emocji. — Światłości, czasami myślę, że Stwórca powołał cię na świat tylko po to, by przysporzyć mi zmartwień.

Chciał jej powiedzieć, że to przecież tylko jej wina — więcej niż raz proponował, że odeśle ją do Mądrych, chociaż oznaczało to zapewne, że ktoś inny pojawiłby się na jej miejsce — ale zanim zdążył otworzyć usta, przybyły Jalani i Liah, a tuż za nimi dwóch z Czerwonych Tarcz, w tym posiwiały mężczyzna, który miał na twarzy co najmniej trzykrotnie tyle blizn co Liah. Rand odesłał Jalani i człowieka z bliznami z powrotem do sali tronowej, co omalże nie doprowadziło do kłótni. Mężczyzna oczywiście nie zamierzał z nim polemizować, tylko zwyczajnie wzruszył ramionami, zerknął na swego towarzysza i odszedł, natomiast Jalani wglądała tak, jakby nie zamierzała ruszyć się z miejsca.

Rand wskazał drzwi wiodące do Wielkiej Komnaty.

— *Car'a'carn* oczekuje, że *Far Dareis Mai* będą słuchać jego poleceń.

— Możesz być sobie królem mieszkańców mokradeł, Randzie al'Thor, ale nie będziesz panował Aielom. — Markotna mina zepsuła nieco tę pełną godności postawę, jaką przyjęła Jalani, co przypomniało mu o tym, jaka ona jest młoda. — Panny nigdy nie zawiodą cię w tańcu włóczni, ale to nie jest taniec. — A jednak odeszła, wymieniwszy wcześniej kilka pospiesznych znaków w mowie gestów z Liah.

Rand ruszył szybko do swych pokoi, mając za towarzystwo jedynie Liah oraz Czerwoną Tarczę, szczupłego mężczyznę o słomianych włosach, imieniem Cassin, który był o dobry cal od niego wyższy. Oczywiście, Aviendha również poszła w ślad za nim. Jeżeli sądził, że te niewygodne spódnice nie pozwolą jej dotrzymać im kroku, to się srodze zawiódł. Liah i Cassin zostali w korytarzu przy drzwiach wiodących do salonu, wielkiej komnaty z marmurowym gzymsem przedstawiającym lwy i gobelinami na ścianach, na których zobrazowano sceny myśliwskie oraz zasnutę mgłą góry; Aviendha wszakże weszła za nim do środka.

— Czy nie powinnaś aby towarzyszyć Melaine? — zapytał. — Sprawy Mądrych i te rzeczy?

— Nie — ucięła krótko. — Melaine nie byłaby zadowolona, gdybym teraz wtrącała się w jej sprawy.

Światłości, on też nie będzie zadowolony, jeśli ona sobie nie pójdzie. Położył Berło Smoka na blacie stołu o rzeźbionych w winorośle nogach, odpiął miecz i powiedział:

— Czy Amys i pozostałe powiedziały ci, gdzie przebywa Elayne?

Przez dłuższą chwilę Aviendha stała tylko bez ruchu na samym środku wy-

łożonej błękitnymi płytkami posadzki i patrzyła na niego. Nie potrafił niczego wyczytać z jej twarzy.

— One nie wiedzą — odparła na koniec. — Pytałam. — Oczekiwał, że tak postąpi. Przedtem nie robiła tego przez całe miesiące, ale od kiedy po raz pierwszy przybyła do Caemlyn w jego towarzystwie, co drugie słowo, jakie słyszał z jej ust, stanowiło przypomnienie, że on należy do Elayne. W jej oczach właśnie tak wszystko wyglądało, a to, co zdarzyło się między nimi po drugiej stronie bramy, jak to jasno oznajmiła, niczego w tej kwestii nie zmieniało, a z pewnością zaś nie wydarzy się powtórnie, co równie jasno dała mu do zrozumienia. Zresztą jemu to również odpowiadało, wszakże okazałby się czymś gorszym od świni, gdyby tego żałował. Ignorując wspaniałe złocone fotele, usiadła ze skrzyżowanymi nogami na posadzce, wdzięcznie układając sobie suknie. — O tobie wszakże mówiły dużo.

— Dlaczego to mnie wcale nie dziwi? — odpowiedział sucho i zdziwił się, widząc, jak poczerwieniały jej policzki. Aviendha nie była kobietą, która się łatwo rumieniła, a to już był drugi raz tego samego dnia.

— Miały te same sny, niektóre z nich dotyczyły ciebie. — Mówiła nieco zdławionym głosem, więc przerwała i odkaszlnęła, a potem na powrót wbiła w niego nieustępliwe, zdeterminowane spojrzenie. — Melaine i Bair śniły o tobie na łodzi — ciągnęła dalej, ostatnie słowo wszakże dziwnie brzmiało w jej ustach, nawet mimo wszystkich miesięcy spędzonych na mokradłach — z trzema kobietami, których twarze nie potrafiły dostrzec, a rumpel kołysał się to w jedną, to w drugą stronę. Melaine i Amys śniły o człowieku stojącym przy twoim boku, który przykładał ci sztylet do gardła, ale ty go nie widziałeś. Bair i Amys śniły o tym, jak przecinasz mokradła mieczem na dwie połowy. — Na moment jej pogardliwe spojrzenie pomknęło ku schowanej w pochwie klindze ułożonej na Berle Smoka. Pogardliwe, a jednocześnie była w nim odrobina poczucia winy. Ona dała mu to ostrze, stanowiące kiedyś własność króla Lamana, wręczyła mu je tak starannie owinięte w koce, by nie można było rzec, iż go naprawdę dotknęła. — One nie potrafią zinterpretować tych snów, jednak myślą, że ty może będziesz wiedział, co znaczą.

Pierwszy był dlań równie niezrozumiały jak dla Mądrych, drugi jednak wydawał się oczywisty. Człowiek, którego on nie potrafi dostrzec, ze sztyletem, to musi być Szary Człowiek; nazywano tak tych, którzy dusze swe oddali Cieniowi — nie w zwykły sposób zaprzysięgli, lecz dosłownie oddali — potrafili być niezauważalni, nawet jeśli patrzyło się wprost na nich, a istnieli tylko po to, by mordować. Dlaczego Mądre nie potrafiły pojąć czegoś tak prostego? Ostatni sen był równie łatwy do zrozumienia. Już rozciął ziemię na dwie części. Tarabon i Arad Doman obrócone w gruzy, rebelie w Łzie i Cairhien mogły w każdej chwili stać się czymś więcej niżli tylko ponurą plotką, zaś Illian z pewnością odczuje ciężar jego miecza. Nie licząc Proroka i Zaprzysięgłych Smokowi w Altarze oraz Murandy.

— Nie dostrzegam nic tajemniczego w tych dwu, Aviendho. — Ale kiedy wy-



jaśnił, o co mu chodzi, spojrzała na niego powątpiewająco. Nic dziwnego. Jeżeli wędrujące po snach Mądre nie potrafiły zinterpretować snu, z pewnością nie mogło się to udać nikomu innemu. Mruknął coś niezadowolony, a potem podsunął sobie fotel i usiadł naprzeciwko niej. — O czym jeszcze śniły?

— Jest jeszcze jeden sen, o którym mogę ci opowiedzieć, chociaż być może cię nie zainteresuje. — Co oznaczało, że są jeszcze jakieś, o których mu nie opowie, a to z kolei skłoniło go do rozmyślań, dlaczegoż to Mądre omawiały je z nią, skoro nie była wędrującą po snach. — Wszystkie trzy miały ten sam sen, co czyni go szczególnie znaczącym. Deszcz — to słowo także wciąż wypowiadała niezgrabnie — padający z czary. Otaczają ją sidła i zapadnie. Jeżeli ujmą ją właściwe ręce, odnajdą skarb, zapewne równie wielki jak ta czara. W złych dłoniach świat zostanie skazany na zagładę. Żeby odnaleźć czarę, trzeba najpierw odnaleźć tego, którego już nie ma.

— W jakim sensie nie ma? — Ten sen z pewnością wydawał się znacznie ważniejszy niż pozostałe. — Masz na myśli kogoś, kto już nie żyje?

Ciemnorude włosy Aviendhy zafalowały, gdy energicznie pokręciła głową.

— Powiedziała ci wszystko, co wiedzą Mądre. — Ku jego zaskoczeniu, powstała zgrabnym ruchem, automatycznie wygładzając swe spódnice, jak to kobiety zwykły czynić.

— Czy... — Odkasznął rozmyślnie. „Czy musisz już iść?” — chciał zapytać. Światłości, naprawdę pragnął, żeby już sobie poszła. Każda minuta w jej towarzystwie była dlań torturą. A jak już jej nie było, to każda minuta bez niej... też stawała się torturą. Cóż, mógł zrobić tylko to, co było słuszne i co było dla niego dobre, podobnie zresztą jak i dla niej. — Czy chcesz wrócić do Mądrych, Aviendho? Dalej się uczyć? Przecież naprawdę nie ma najmniejszego sensu, byś dłużej przebywała blisko mnie. Nauczyłaś mnie już tyle, że mógłbym niemalże zostać już prawdziwym Aielem.

Z jej parsknięcia można było wiele wyczytać, ale oczywiście nie poprzestała tylko na nim.

— Wiesz mniej niżli sześciolatek chłopiec. Dlaczego mężczyzna powinien w pierwszym rzędzie słuchać swej drugiej matki, nie zaś pierwszej, a kobieta swego drugiego ojca bardziej niż pierwszego? Kiedy kobieta może poślubić mężczyznę, bez uplecenia ślubnego wianka? Kiedy pani dachu powinna okazać posłuszeństwo kowalowi? Dlaczego jeżeli zdobędziesz sobie na *gai'shain* złotniczkę, na każdy dzień, jaki odpracuje dla ciebie, musisz pozwolić jej pracować jeden dla samej siebie? Dlaczego to samo nie odnosi się do tkacza? — Gorączkowo zastanawiał się nad odpowiedziami, prawie już będąc gotów przyznać, że zwyczajnie ich nie zna, ale ona nagle zaczęła skubać rąbek szala, jakby zapomniawszy o jego obecności. — Czasami z przestrzegania *ji'e'toh* potrafią wyniknąć zupełnie śmieszne rzeczy. Sama bym się z nich śmiała, gdybym to nie ja odczuwała tak dotkliwie ich skutki. — Jej głos opadł aż do szeptu. — Sprostam jednak mojemu

*toh*.

Pomyślał, że ostatnie słowa wypowiedziała do siebie, jednak postanowił odpowiedzieć. Ostrożnie.

— Jeżeli chodzi ci o Lanfear, to nie ja cię uratowałem. To była Moiraine. Zginęła w naszej obronie. — Dar w postaci miecza Lamana sprawił, że pozbyła się jedyne*go toh*, jakie względem niego miała, chociaż tak naprawdę nigdy nie zrozumiał, na czym ono polegało. Jedyne zobowiązanie, o jakim wiedziała. Modlił się, by nigdy nie dowiedziała się o tym drugim; wówczas z pewnością nadałaby mu taki sam wymiar, aczkolwiek on widział to zupełnie inaczej.

Aviendha spojrzała na niego, z przekrzywioną głową i nieznacznym uśmiechem igrającym na ustach. Zdołała już zapanować nad sobą, przyjmując postawę, z której nawet Sorilea byłaby zapewne dumna.

— Dziękuję ci, Randzie al'Thor. Bair powiada, że dobrze jest od czasu do czasu przypominać sobie, iż mężczyźni nie wiedzą wszystkiego. Pamiętaj, by mnie powiadomić, kiedy będziesz kładł się spać. Nie chciałabym przyjść za późno i obudzić cię.

Kiedy już sobie poszła, Rand siedział przez chwilę, patrząc na drzwi, które zamknęły się za nią. Łatwiej było chyba zrozumieć Cairhienianina uprawiającego Grę Domów, niżli kobietę, nawet jeśli nie czyniła szczególnych wysiłków, by pozostać zagadkową. Podejrzywał nadto, że to, co czuł do Aviendhy — jakkolwiek to nazwać — jeszcze bardziej wszystko komplikowało.

„Niszczę to, co kocham — zaśmiał się Lews Therin. — Kocham to, co niszczyć”.

„Zamknij się!” — pomyślał ze złością Rand i słabe echo śmiechu zamarło. Nie wiedział, kogo kocha, ale wiedział doskonale, kogo ma zamiar ocalić. Przed wszystkim, przed czym się tylko da, a głównie przed samym sobą.

\* \* \*

Znalazłszy się w korytarzu, Aviendha oparła się bezwładnie o zamknięte przed chwilą drzwi, wciągając głęboko, uspokajająco, powietrze w płuca. Usilnie pragnęła się uspokoić. Jej serce wciąż próbowało wyrwać się z piersi. Przebywając w pobliżu Randa al'Thora, czuła się, jakby ją naga rozciągnięto na rozżarzonych węglach albo jakby ją łamano kołem, póki nie popękają jej wszystkie kości. Wiazało się to dla niej ze wstydem, o jakim sądziła, że nigdy go nie zazna. Wielki żart, powiedziała mu, i częścią swej duszy naprawdę miała ochotę się zaśmiać. Miała *toh* względem niego, ale w znacznie większej mierze wobec Elayne. On jej tylko uratował życie. Lanfear zabiłaby ją, gdyby nie on. Lanfear szczególnie chciała za-

bić ją, zabić zadając tyle bólu, ile tylko możliwe. W jakiś sposób Lanfear zgadła. Jednakże przy tym, jak czuła się wobec Elayne, *toh* względem Randa był niczym kopiec termitów obok Grzbietu Świata.

Cassin — z wykroju jego kaftana wynikało, że jest zarówno Goshien, jak i *Aethare Dor*; nie potrafiła jednak rozpoznać szczepu — tylko przelotnie spojrzała na nią, nie ruszając się z miejsca, gdzie przykucnął z włóczniami opartymi o kolana; on oczywiście o niczym nie wiedział. Ale Liah uśmiechnęła się do niej, z pewnością nazbyt porozumiewawczo jak na kobietę, której nie znała, ta z pewnością wiedziała aż za dużo. Aviendha przeżyła lekki wstrząs, kiedy przyłapała się na myśli, że Chareen, z których musiała pochodzić Liah, sądząc po kroju kaftana, często zachowywały się niczym podstępne koty; nigdy przedtem nie myślała o żadnej Pannie inaczej jak tylko o *Far Dareis Mai*. To Rand al'Thor tak działał na jej umysł.

A jednak jej palce zamigotały gniewnie.

„Z czego się śmiejesz, dziewczyno? Czy naprawdę nie potrafisz lepiej wykorzystać swego czasu?”

Brwi Liah uniosły się odrobinę, natomiast jej uśmiech przepełniło rozbawienie. Palce poruszyły się w odpowiedzi.

„Kogo nazywasz dziewczyną, dziewczyno? Nie jesteś jeszcze Mądrą, ale już nie jesteś Panną. Sądzę, że i tak wpleciesz swą duszę w wianek, aby złożyć ją u stóp mężczyzny”.

Aviendha, całkiem rozwścieczona, zrobiła krok w kierunku tamtej — niewiele było bardziej obraźliwych sugestii w mowie *Far Dareis Mai* — ale natychmiast się zatrzymała. Gdyby była odziana w *cadin'sor*, Liah przypuszczalnie nie dałaby jej rady, jednak w sukniach mogła zostać pokonana. Gorzej, Liah przypuszczalnie nie zgodziłaby się na uczynienie jej *gai'shain*; mogłaby tak postąpić, zgodnie z obyczajem, zaatakowana przez kobietę, która nie była Panną, ale jeszcze nie stała się Mądrą, w zamian domagając się prawa wychłostania Aviendhy przed dowolnymi przedstawicielami Taardad, jacy by się trafili. Hańba mniejsza wprawdzie od odmowy, w niewielkim jednak stopniu. A już najgorsze w tym wszystkim było to, że niezależnie od rezultatu starcia z Liah, Melaine z pewnością znalazłaby sposób na przypomnienie jej, że porzuciła włócznię, i to w taki sposób, który sprawiłby, iż pożałowałyby gorzko, że to nie Liah sprawiła jej chłostę w obecności całego klanu. W rękach Mądrych wstyd potrafił być znacznie bardziej palący, ogarniający całe jestestwo. Liah nie poruszyła nawet jednym mięśniem, wiedziała to wszystko, o czym wiedziała Aviendha.

— A teraz tylko gapicie się na siebie — zauważył zdawkowym tonem Cassin. — Pewnego dnia będę się musiał nauczyć tej waszej mowy gestów.

Liah spojrzała na niego i zaśmiała się perlistym śmiechem.

— Ślicznie będziesz wyglądał w spódnicach, Czerwona Tarczo, w dniu, kiedy przyjdiesz prosić, byśmy uczyniły cię Panną.

Aviendha zaczerpnęła pełen ulgi oddech, kiedy Liah przestała patrzeć jej w oczy; w istniejących okolicznościach nie mogłaby pierwsza spuścić wzroku i nie ponieść jednocześnie uszczerbku na honorze. Jej palce odruchowo uformowały stwierdzenie tego faktu, w pierwszym geście, jakiego uczyły się Panny, ponieważ była to fraza, której nowo przyjęte używały najczęściej.

„Mam wobec ciebie *toh*”.

Liah odpowiedziała jej bezzwłocznie:

„Bardzo niewielki, siostró włócznie”.

Aviendha uśmiechnęła się z wdzięcznością, ponieważ w wypowiedzi tamtej nie było zagiętego małego palca, który czyniłby z niej szyderstwo, zamierzone względem kobiet, które porzucały włócznie, a potem próbowały się tak zachowywać, jakby to w ogóle nie miało miejsca.

Przez korytarz biegł właśnie jakiś służący, mieszkaniec mokradeł. Starając się nie okazać na twarzy niesmaku, jaki poczuła na myśl o kimś, kto całe życie przeżył służąc innym, Aviendha ruszyła w przeciwną stronę, aby nie musiała przechodzić obok niego. Zabicie Randa al'Thora oznaczałoby wyjście na spotkanie jednemu z *toh*, zabicie siebie samej spełniłoby wymagania drugiego, jednak każde z *toh* stało na przeszkodzie rozwiązaniu drugiego. Niezależnie od tego, co mówiły Mądre, musiały w jakiś sposób stawić czoło obu.

ZE STEDDING

Rand właśnie nabijał swą krótką fajkę tytoniem, kiedy Liah wsunęła głowę przez drzwi. Zanim zdążyła powiedzieć choć słowo, dyszący ciężko mężczyzna o okrągłej twarzy, w czerwono-białej liberii przepchnął się obok niej i padł na kolana przed Randem. We wzroku Liah pojawiło się wyraźne zdumienie.

— Lordzie Smoku! — wybuchnął mężczyzna, a właściwie wyskrzecztał bez tchu. — Ogirowie przybyli do Pałacu! Jest ich troje! Zaproponowaliśmy im wino i inne jeszcze rzeczy, ale oni domagają się audiencji u Lorda Smoka.

Rand spróbował nadać swemu głosowi spokojne brzmienie, nie chciał go jeszcze bardziej nastraszyć.

— Od jak dawna jesteś w Pałacu...? — Kaftan od liberii pasował na mężczyznę doskonale, a on sam nie był już młody. — Przykro mi, ale obawiam się, że nie poznałem jeszcze twego imienia.

Kłęczący mężczyzna wybałuszył oczy.

— Moje imię? Bari, mój Lordzie Smoku. Och, to już dwadzieścia lat, mój Lordzie Smoku, minie tej Zimowej Nocy. Mój Lordzie Smoku, ogirowie?

Rand dwukrotnie odwiedzał *steddin* ogirów, ale nie miał pojęcia, jaka etykieta obowiązuje go w tej sytuacji. Ogirowie zbudowali większość wielkich miast, przynajmniej ich najstarsze dzielnice; również i teraz opuszczali od czasu do czasu swoje *steddin* w celu dokonywania okazjonalnych napraw, wątpił jednak, by

Bari byłby równie poruszony przybyciem kogoś mniej znacznego niż jakiegoś króla bądź Aes Sedai. Być może nawet w wymienionych przypadkach nie zareagowałby tak gwałtownie. Rand schował fajkę i kapciuch z tytoniem do kieszeni.

— Zaprowadź mnie do nich.

Bari poderwał się rażno na nogi, cały czas jednakże podskakiwał z niecierpliwości na palcach. Rand podejrzewał, że dokonał właściwego wyboru; mężczyzna nie okazał śladu zaskoczenia, że sam Lord Smok zamierza udać się do ogirów, miast kazać ich przyprowadzić do siebie. Zostawił w pokojach berło i miecz, na ogirach żadne z nich nie wywarłoby najmniejszego wrażenia. Liah i Cassin poszli, rzecz jasna, w ślad za nim, a po Barim widać było wyraźnie, że z ochotą pognałby naprzód, gdyby nie obowiązek dotrzymania kroku Randowi.

Ogiorowie czekali na dziedzińcu z fontanną, której basen wypełniony był kwiatami lilii i złotymi rybkami: siwowłosa mężczyzna w długim kaftanie zachodzącym na wysokie buty z wywiniętymi cholewami, oraz dwie kobiety, jedna wyraźnie młodsza od drugiej, w sukniach haftowanych we wzory z pnączy i liści, przy czym hafty starszej były w widoczny sposób bardziej zdobne niż w przypadku młodszej. Złote puchary, wykonane przecież dla ludzi, zdawały się bardzo małe w ich wielkich dłoniach. Kilka drzew na dziedzińcu zachowało jeszcze Nieliczne liście, zaś same mury Pałacu dawały cień. Kiedy Rand się pojawił, ogiorowie nie byli już sami; wokół nich tłoczyło się ponad dwadzieścia Panien, wśród nich Sulin oraz Urien i jeszcze jakichś pięćdziesięciu Aielów. Aielowie okazali się na tyle uprzejmi, że zamilkli na widok Randa.

Mężczyzna ogir powitał Randa wyszukaniem pozdrowieniem.

— Twoje imię śpiewa w mych uszach, Randzie al'Thor — oznajmił głosem, który brzmiał niczym basowy pomruk grzmotu, po czym tonem pełnym powagi dokonał prezentacji. On sam miał na imię Haman, był synem Dala, syna Morela. Starsza kobieta nazywała się Covril, córka Elli, córka Soong, młodsza zaś Erith, córka Ivy, córka Alar. Rand przypomniał sobie, że już raz spotkał Erith, w Stedding Tsofu, położonym w odległości dwu dni wyteżonej jazdy konno od Cairhien. Nie potrafił sobie jednak wyobrazić, jaki może być powód jej przyjazdu do Caemlyn.

Przy ogirach Aielowie zdawali się niewysocy; cały dziedziniec nagle zdał się niewielki. Haman był niemalże półtora raza wyższy od Randa i proporcjonalnie masywniej zbudowany, Covril była mniej niżli głowę — głowę ogira — od Hamana niższa. Nawet Erith przewyższała Randa o ponad półtorej stopy. Jednak wzrost stanowił tylko najmniej spektakularną różnicę między ogirami a ludźmi. Oczy Hamana były wielkie i okrągłe jak dwa spodki, szeroki nos niemalże zakrywał całą twarz, a na końcach sterczących uszu wyrastały mu siwe pędzelki. Miał brodę i długie opadające w dół siwe wąsiska, a krzaczaste brwi sięgały mu prawie do policzków. Rand nie potrafiłby dokładnie powiedzieć, czym różnił się od niego oblicza Covril i Erith — wyjąwszy to, że oczywiście nie miały brody i wąsów, zaś ich brwi nie były równie długie i krzaczaste — ale w jakiś sposób zdawa-

ły się bardziej delikatne. Niemniej jednak wyraz twarzy Covril w tej chwili był dosyć surowy — ona również z jakiegoś powodu wydawała mu się znajoma — natomiast Erith najwyraźniej czymś się martwiła, co podkreślały smutno obwisłe uszy.

— Wybaczcie mi na chwilę — powiedział Rand.

Sulin nie dopuściła go jednak do słowa.

— Przyszliśmy tutaj, żeby porozmawiać z Braćmi Drzew, Randzie al’Thor — oznajmiła zdecydowanie. — Musisz wiedzieć, że Aielowie od dawien dawna kultuwają przyjaźń wody z Braćmi Drzew. Często udajemy się do *stедding*, aby z nimi handlować.

— To prawda — wymruczał Haman. Ścisłej mówiąc, dla ogira było to mruczenie, w ludzkich uszach przypominało odgłos schodzącej gdzieś daleko lawiny.

— Pewien jestem, że pozostali rzeczywiście przybyli tutaj po to, by porozmawiać. — Rand zwrócił się do Sulin. Wystarczył mu jeden rzut oka, by wyszukać wśród zgromadzonych członkinie jego porannej straży, wszystkie co do jednej; Jalani splenęła głęboką czerwień. Natomiast oprócz Uriena nie było tutaj nikogo z Czerwonych Tarcz, którzy mu tego poranka towarzyszyli. — Nie podoba mi się myśl, że będę zmuszony prosić Enailę i Somarę, aby ciebie zaczęły prowadzić za rękę. — Smagła twarz Sulin aż pociemniała z oburzenia, przez co blizna, pozostałość po ciosie, który otrzymała, stając w jego obronie — stała się jeszcze bardziej widoczna. — Chcę pomówić z nimi na osobności. Zupełnie sam — powtórzył, mierząc wzrokiem Liah i Cassina. — Chyba że przed nimi również musicie mnie chronić? — Jeżeli coś mogło ją bardziej obrazić, to chyba tylko taka sugestia; zamigotała szybko palcami i pognała Panny, zachowując się w taki sposób, który u każdego, kto nie był Aielem, należałoby zapewne określić jako najwyższe rozdrażnienie. Niektórzy z Aielów chichotali, wychodząc; Rand przypuszczał, że mimowolnie udało mu się powiedzieć jakiś dowcip.

Kiedy wyszli, Haman pogładził swoją długą brodę.

— Ludzie nie zawsze uważali nas za niegroźne istoty, wiesz przecież. Hm, hm, — Jego pomrukiwania brzmiały jak buczenie jakiegoś ogromnego trzmiela. — To wszystko jest w dawnych zapiskach. Bardzo dawnych. Są to tylko fragmenty, ale datują się z czasów tuż po...

— Starszy Hamanie — wtrąciła grzecznie Covril — czy nie moglibyśmy trzymać się spraw, które nas tu sprowadzają? — Trzmiel w gardle tamtego zaczął wydawać z siebie wyższe tony.

Starszy Haman. Rand słyszał już kiedyś to imię i tytuł, ale gdzie? Każde *stедding* miało swoją Radę Starszych.

Haman westchnął ciężko.

— Cóż, dobrze, Covril, ale zdradzasz niezwykle doprawdy pospiech. Ledwie dałaś nam czas, by się umyć, po tym jak tu przybyliśmy. Przysięgamy, że zaczynamy skakać ostatnio niczym... — Rand dojrzał błysk w tych wielkich oczach,

ogir stłumił śmiech dłonią rozmiarów wielkiej szynki. Ogirowie uważali ludzi za strasznie pochopnych, zawsze na gwałt starających się wykonać na dziś coś, co najprawdopodobniej nie będzie miało najmniejszego znaczenia już jutro. Albo następnego roku. Ogirowie posługiwali się bardzo odległą perspektywą czasową. Sądził także, że to obraźliwe dla ludzi, jeśli ciągle im się przypomina, że w oczach ogirów ich pospiech przypomina bezsensowne skakanie. — To była bardzo uciążliwa podróż po Zewnątrz — ciągnął dalej Haman, jakby chciał wyjaśnić Randowi zachowanie tamtej — nie wspominając już o tym, że Shaido Aiel oblegali Al'cair'rahienallen... co już samo w sobie jest czymś doprawdy niezwykłym... oraz, że naprawdę byłeś tutaj, potem jednak odszedłeś, zanim zdążyliśmy z tobą porozmawiać i... Nie potrafię wyzbyć się wrażenia, że zachowujemy się niegrzecznie. Nie. Nie, ty przemów, Covril. To dla ciebie opuściłem moich uczniów, moje wykłady, aby włączyć się po świecie. W obecnej chwili w mojej klasie pewnie wybuchły już poważne niepokoje. — Rand omal się nie uśmiechnął; na ile znał obyczaje ogirów, klasa Hamana potrzebowała zapewne połowy roku na zrozumienie, że on naprawdę odszedł, a dodatkowy rok na podjęcie decyzji, co z tym zrobić.

— Matka ma przecież prawo się martwić — powiedziała Covril, strzygąc zakończonymi pędzelkami uszami. Najwyraźniej szacunek dla Starszego zmagął się w niej z zupełnie niepodobnym do ogirów zniecierpliwieniem. Kiedy zwróciła się do Randa, wyprostowała się, zastrzygła uszami i zadarła wysoko podbródek. — Co zrobiłeś z moim synem?

Rand wytrzeszczył oczy.

— Z twoim synem?

— Z Loialem! — Patrzyła na niego przerażonym wzrokiem. Erith przypatrywała mu się z niepokojem, przyciskając ręce do piersi. — Obiecałeś Najstarszemu ze Starszyny Stedding Tsofu, że będziesz się nim opiekował — ciągnęła dalej Covril. — Oni powiedzieli mi, żeś tak obiecał. Nie nazywałeś się wówczas Smokiem, ale to byłeś ty. Nieprawdaż, Erith? Czy Alar nie wymienił imienia Randal'Thor? — Nie dała młodszemu kobiecie czasu wszakże na nic więcej jak tylko skinienie głową. A w miarę jak mówiła coraz szybciej, Haman zdawał się cierpieć niemalże fizyczny ból. — Mój Loial jest zbyt młody, by w ogóle przebywać w Zewnątrz, zbyt młody, by biegać po świecie, robiąc te rzeczy, do których bez wątpienia go zmuszasz. Starszy Alar opowiedział mi o tobie. Co mój Loial ma wspólnego z Drogami, trollokami i Rogiem Valere? Proszę cię, oddaj mi go, to dopilnuję, by poślubił Erith. Już ona się zajmie jego swędzącymi stopami.

— On jest bardzo przystojny — bąknęła Erith. Uszy tak jej drżały z zażenowania, że ciemne pędzelki aż zamigotały. — I bardzo odważny, jak mi się wydaje.

Rand potrzebował chwili na pozbieranie myśli. Głos ogira przemawiającego tak zdecydowanie brzmiał tak, jakby gdzieś waliła się góra. Ogir tak zdecydowany i szybko mówiący...

Wedle reguł rządzących w społeczności ogirów Loial rzeczywiście był zbyt młody, by opuszczać samotnie *stedding*, nie miał bowiem jeszcze dziewięćdziesięciu lat. Ogirowie żyli bardzo długo. Od pierwszego dnia, kiedy Rand go spotkał, Loial, który aż się palił z pragnienia poznania świata, martwił się właściwie bez przerwy o to, co się stanie, kiedy Starsi zorientują się, że uciekł. A przede wszystkim martwił się, że jego matka zechce udać się na jego poszukiwana i weźmie ze sobą jego narzeczoną. Mawiał, że w tych kwestiach mężczyzna nie ma nic do powiedzenia wśród ogirów, choć dziewczyna również niewiele; wszystko spoczywało w rękach obu matek. I było zatem wielce prawdopodobne dowiedzieć się znieścacka, że jest się zaręczonym z kobietą, której nie spotkało się nigdy w życiu, dokładniej mówiąc — w dniu, w którym matka przedstawiała cię twej przyszłej żonie i teściowej.

Loial zdawał się sądzić, że małżeństwo oznaczać będzie dlań kres wszystkiego, a już z pewnością koniec wszystkich jego pragnień poznania świata, i niezależnie od tego, czy było tak rzeczywiście czy nie, Rand nie potrafiłby wydać przyjaciela na pastwę losu, którego ten najbardziej się obawiał. Już miał im oznajmić, że nie ma pojęcia, gdzie przebywa Loial oraz zaproponować, by wrócili do *stedding* i tam zaczekali na jego powrót — już otwierał usta, aby to powiedzieć, kiedy przyszło mu do głowy pewne pytanie. W tym samym momencie poczuł się zażenowany, że zapomniał o czymś tak istotnym, na pewno istotnym dla samego Loiala.

— Jak długo już on przebywa poza *stedding*?

— Zbyt długo — zagrzemiał Haman. Zabrzmiało to jak turkot głazów staczających się ze skały. — Chłopiec nigdy nie chciał się stosować do powszechnie obowiązujących zwyczajów. Wiecznie mówił o zobaczeniu Zewnętrzza, jakby coś tam naprawdę się zmieniło się w stosunku do tego, o czym piszą w księgach, które powinien studiować. Hm. Hm. Czy to naprawdę coś zmienia, że ludzie zmieniają kreski na swych mapach? Ziemia jest wciąż. . .

— Przebywał w Zewnętrzzu naprawdę już za długo — wtrąciła matka Loiala tak zdecydowanie, jak wbija się kilof w suchą glinę. Haman spojrział na nią, zmarszczył brwi, ona zaś spróbowała mu odpowiedzieć podobnie nieustępliwym spojrzeniem, jednak uszy aż drżały jej z emocji.

— Mija już ponad pięć lat — powiedziała Erith. Uszy jej oklapły na chwilę, ale zaraz uparcie powróciły do poprzedniej pozycji. I tonem naśladowującym głos Covril, dodała: — Chcę, żeby został moim mężem. Zrozumiałam to w momencie, gdy pierwszy raz go ujrzałam. Nie chcę, żeby umarł. Przynajmniej nie przez swą głupotę.

Rand i Loial rozmawiali ze sobą na różne tematy, a jednym z nich była Tęsknota, chociaż Loial nie lubił o niej mówić. Pęknięcie Świata sprawiło nie tylko, że ludzie rozpierzchli się we wszystkie strony w poszukiwaniu schronienia, lecz również przegnało ogirów ze *stedding*. Ludzie całymi latami tułali się po świe-



cie, którego oblicze czasami potrafiło odmieniać się z dnia na dzień, szukając bezpiecznej kryjówki; ogirowie również wędrowali, poszukując *stedding*, które zagubiły się wśród odmienionej postaci świata. To właśnie wówczas zrodziła się wśród nich Tęsknota. Ogir przebywający dłużej poza *stedding* odczuwał przemożną potrzebę powrotu. Kiedy jednak trwało to zbyt długo — umierał.

— Opowiadał mi o ogirach, którzy pozostawali dłużej jeszcze poza *stedding* — powiedział cicho Rand. — Dziesięć lat, taką liczbę chyba wymienił.

Zanim jeszcze skończył, zobaczył, jak Haman kręci swą wielką głową.

— To niemożliwe. Z tego, co wiem, pięcioro pozostawało w Zewnętrzzu tak długo i przeżyło, aby powrócić do *stedding*, przypuszczam, że wiedziałbym, gdyby przydarzyło się to innym. Takie szaleństwo stanowi rzecz, o której się dużo pisze i mówi. Z tej piątki troje umarło w ciągu roku, jaki upłynął po ich powrocie, czwarty został kaleką na resztę życia, z piątym zaś rzecz ma się niewiele lepiej, ponieważ potrzebuje laski, by w ogóle chodzić. Chociaż wciąż jeszcze pisze. Hm. Hm. Dalar ma dużo ciekawych rzeczy do opowiedzenia, zwłaszcza jeśli idzie o...

— Tym razem, kiedy tylko Covril otworzyła usta, szybko odwrócił głowę w jej stronę; popatrzył na nią, ciężkie brwi podjechały w górę, a ona ze złością zaczęła wygładzać suknie. Ale nie spuściła wzroku. — Pięć lat stanowi krótki okres, wiem — mówił dalej do Randa Haman, wciąż jednak spod oka rzucając ostre spojrzenia w stronę Covril — ale obecnie jesteśmy bardzo przywiązani do *stedding*. Nie słyszeliśmy w mieście żadnej pogłoski, która wskazywałaby, że Loial tu przebywa... a sądząc po podnieceniu, jakie wywołało nasze przybycie, przypuszczam, że o jego obecności również dowiedzielibyśmy się bez trudu... ale jeśli powiesz nam, gdzie on jest, wyświadczysz nam wielką przysługę.

— Jest w Dwu Rzekach — powiedział Rand. Uratowanie życia przyjacielowi nie mogło być przecież nazwane zdradą. — Kiedy ostatni raz go widziałem, tam właśnie się udawał, w dobrym towarzystwie, wśród przyjaciół. Dwie Rzeki to spokojne miejsce. Bezpieczne. — Teraz rzeczywiście takim było, dzięki Perinowi. — Działo się to kilka miesięcy temu. — Bode tyle właśnie zdążyła mu opowiedzieć, kiedy rozmawiał z dziewczętami na temat tego, co się dzieje w domu.

— Dwie Rzeki — wymruczał Haman. — Hm. Hm. Tak, wiem gdzie to jest. Kolejna długa podróż. — Ogirowie rzadko dosiadali koni, niewiele zresztą było wierzchowców zdolnych ich udźwignąć, a poza tym woleli własne nogi.

— Musimy zatem bezzwłocznie ruszyć w drogę — oznajmiła Erith zdecydowanym, choć stosunkowo wysokim basem. Wysokim, jeśli porównać go z głosem Hamana. Covril i Haman spojrzeli na nią zaskoczeni, a jej zupełnie oklapły uszy. Była, mimo wszystko, bardzo młodą kobietą, towarzyszącą tylko Starszemu oraz kobiecie, która posiadała chyba jakieś przywileje, co Rand wynioskował ze sposobu, w jaki natarła na Hamana. Erith przypuszczalnie nie liczyła sobie więcej jak osiemdziesiąt lat.

Uśmiechając się do tej myśli — a to młódka, może nawet miała tylko siedemdziesiąt — powiedział:

— Przyjmijcie, proszę, gościnę w pałacu. Po kilku dniach odpoczynku będziecie podróżowali jeszcze szybciej. I całkiem możliwe, że będziesz mógł udzielić mi pomocy, Starszy Hamanie. — Teraz sobie przypomniał; Loial stale opowiadał o swym nauczycielu, Starszym Hamanie, który jego zdaniem wiedział wszystko. — Muszę w jakiś sposób ustalić lokalizację Bram wiodących do Dróg. Wszystkich.

Wszyscy ogirowie próbowali mówić jednocześnie.

— Bramy do Dróg? — zapytał Haman, strzygąc uszami i unosząc brwi. — Drogi są niebezpieczne. Bardzo niebezpieczne.

— Kilka dni? — protestowała Erith. — Przecież mój Loial może właśnie umierać.

— Kilka dni? — niemalże równocześnie rzekła Covril. — Mój Loial być może... — Urwała, patrząc na młodszą kobietę, z zaciśniętymi ustami i drżącymi uszami.

Haman zmarszczył brwi, spojrzął na obie, z irytacją szarpiąc się za brodę.

— Nie mam pojęcia, dlaczego się na to zgodziłem. Powiniennem teraz znajdować się razem z moją klasą, uczyć ich, przemawiać przy Pniu. Gdybyś nie była tak szanowanym Mówcą, Covril... .

— Chciałaś powiedzieć, że gdybym nie była siostrą twojej żony — odparła zdecydowanie. — To Voniel kazała ci wypełnić swój obowiązek, Hamanie. — Haman słuchał tego i brwi opadały mu stopniowo, aż wreszcie ich długie końce dotknęły prawie policzków, jej uszy zaś niemal całkowicie zwiędły. — Chciałam powiedzieć, że ona cię poprosiła — ciągnęła dalej, bez zbytejnego pośpiechu i bez śladu wahania. — Na Drzewo i spokój, nie miałam zamiaru cię obrazić, Starszy Hamanie.

Haman chrząknął głośno — w wykonaniu ogira takie chrząknięcie brzmiało naprawdę bardzo głośno — a potem odwrócił się do Randa, obciążając poły swego kaftana, jakby nagle uznał, że jest wygnieciony.

— Pomiot Cienia wykorzystuje Drogi — oznajmił Rand, nim Haman zdążył przemówić. — Ustawiłem strażę przy tych Bramach, do których miałem dostęp. — Wliczając w to Bramę, która znajdowała w pobliżu Stedding Tsofu, już chyba po ich wyjeździe. Ta trójka nie zdążyłaby przecież pokonać całej drogi pieszo od czasu jego ostatniej bezowocnej wizyty. — Ale jest ich ledwie garstka. Wszystkich ich trzeba strzec, bo w przeciwnym razie Myrddraale i trolloki będą wypełzać na pozór znikąd, próbując złapać tych, których sobie zamierzeli. Ale niestety nie mam pojęcia, gdzie znajdują się pozostałe.

Oczywiście zostaną jeszcze bramy Podróżowania. Czasami się zastanawiał, dlaczego któryś z Przeklętych nie wpuścił jeszcze przez taką bramę kilku tysięcy trolloków do pałacu. Dziesięć tysięcy, dwadzieścia. Miałby przecież poważne kło-

poty z odparciem takiego ataku, o ile w ogóle by mu się to udało. W najlepszym razie wszystko skończyłoby się potworną rzezią. Nie mógł nic zrobić z bramą, jeśli nie znajdował się w jej wnętrzu. Mógł natomiast zaradzić niebezpieczeństwu, jakie stwarzały Bramy do Dróg.

Haman wymienił spojrzenia z Covril. Odeszli odrobinę na bok, zaczęli rozmawiać szeptem, o dziwo, dostatecznie cichym, by wszystkim, co mógł dosłyszeć, był tylko basowy pomruk, jakby wielkiego roju pszczół, gdzieś na dachu. Z pewnością miał rację co do poważania, jakim Covril cieszyła się wśród ogirów. Mówca, wręcz było można usłyszeć, jak to słowo zostało wymówione z dużej litery. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie pochwycić *saidina* — byłby wówczas zdolny usłyszeć, o czym mówią — ale odrzucił ten pomysł z niesmakiem. Jeszcze nie upadł tak nisko, by podsłuchiwać. Erith dzieliła swoją uwagę między swoich starszych a Randa, przez cały czas mimowolnie wygładzając spódnice.

Rand miał nadzieję, że nie zastanawiają się, dlaczego nie postawił tego pytania Radzie Starszych w Stedding Tsofu. Alar, Starszy tamtejszej Rady, był w tej sprawie stanowczy; Pień spotkał się, gdyż nic tak dziwaczego — tak osobliwego, że nigdy dotąd o tym nie słyszano — jak przekazanie kontroli nad Bramami do Dróg ludziom, nie mogło nastąpić, póki wszyscy z Pnia się nie zgodzą. To, kim był, nie znaczyło dla nich wiele, podobnie jak dla obecnej tutaj trójki.

Haman wrócił w końcu do niego, marszcząc czoło i ściskając poły kaftana. Covril również marszczyła brwi.

— To wszystko odbywa się w wielkim pośpiechu, zbyt wielkim — powiedział powoli Haman, co zabrzmiało jak dźwięk osypującego się żwiru. — Żałuję, że nie mogę omówić twej prośby z... Cóż, w tej chwili to niemożliwe. Pomiot Cienia, powiadasz? Hm. Hm. Cóż, dobrze, skoro trzeba się spieszyć, to będziemy się spieszyć. Nikt nie może powiedzieć, że ogir nie potrafi działać szybko, kiedy potrzeba tego wymaga, a zapewne tak właśnie jest teraz. Powinieneś zrozumieć, że każda Rada Starszych dowolnego *stedding* mogłaby ci odpowiedzieć negatywnie, podobnie jak i Pień.

— Mapy! — zawołał Rand tak głośno, że ogir aż drgnął. — Potrzebuję mapy! — Odwrócił się, szukając jakiegoś sługi, których tylu zawsze kręciło się w pobliżu, jakiegoś *gai'shain*, kogokolwiek. W drzwiach wiodących do dziedzińca ukazała się głowa Sulin. Po tym wszystkim, co jej powiedział, nigdy nie oddalała się zbyt daleko. — Mapy — warknął do niej. — Chcę, żeby mi przyniesiono wszystkie mapy, jakie znajdują się w Pałacu. A także pióro i atrament. Natychmiast! No, ruszaj wreszcie! — Spojrzała na niego niemalże z pogardą — Aielowie nie używali map, twierdzili, że wcale nie są im potrzebne — po czym odwróciła się. — Biegiem, *Far Dareis Mai!* — niemalże wyszczekał. Żałował, że nie widzi wyrazu swej twarzy, chętnie wykorzystałby go również przy innych okazjach.

Haman wyraźnie załamałby ręce, gdyby tylko godność mu na to pozwoliła.

— Tak naprawdę to zapewne niewiele jesteśmy w stanie ci powiedzieć po-

nad to, co już wiesz. Każdy *stedding* posiada jedną na Zewnątrz. — Pierwszych Bram do Dróg nie można było stworzyć wewnątrz *stedding* ze względu na to, że zdolność przenoszenia w nim była zablokowana; nawet kiedy ogirom podarowano Talizman Wzrostu i mogli sami dalej pobudzać Drogi, by kiełkowały z siebie nowe Bramy, wciąż zaangażowana była w to Moc, jeśli już nawet nie zdolność przenoszenia. — A także te wszystkie miasta, w których jest gaj ogirów. Chociaż wydaje mi się, że to miasto wrosło w swój gaj. A w Al'cair'rahienallen... — Urwał i potrząsnął głową.

Kłopotów mogło nastąpić już samo nazewnictwo. Trzy tysiące lat temu, mniej więcej, istniało miasto o nazwie Al'cair'rahienallen, zbudowane przez ogirów. Dzisiaj jednak nazywało się Cairhien, zaś gaj, który posadzili mularze ogirów, aby przypominał im *o stedding*, stanowił część posiadłości należącej ongiś do tego samego Barthanesa; w jego pałacu mieściła się obecnie szkoła Randa. Nikt prócz ogirów, oraz być może Aes Sedai, nie pamiętał już Al'cair'rahienallen. Nawet samo Cairhien.

Niezależnie od tego, w co wierzył Haman, wiele się zmieniło przez trzy tysiące lat. Wielkie miasta pobudowane przez ogirów zniknęły z powierzchni ziemi, po niektórych nie została nawet nazwa. A na ich miejscach powstały nowe miasta, do budowy których ogirowie nie przyłożyli ręki. Amador, którego budowę rozpoczęto po Wojnach z Trollokami, był jednym z nich, tak przynajmniej zapewniała go Moiraine, dalej Chachin w Kandorze, Shol Arbela w Arafel i Fal Moran w Shienarze. Bandar Eban, w Arad Doman, zbudowano na ruinach miasta zniszczonego podczas Wojny Stu Lat; nawet Moiraine nie pamiętała dokładnie jego pierwotnej nazwy — wymieniała trzy słowa, z których żadne nie było do końca pewne — ono zaś z kolei zostało zbudowane na miejscu bezimiennego miasta zniszczonego podczas Wojen z Trollokami. Rand wiedział, gdzie w Shienarze znajduje się Brama do Dróg; była to wiejska okolica w pobliżu niewielkiego miasteczka, które zatrzymało część swej nazwy po wielkiej metropolii zniszczonej przez trolloki. Jeszcze inna znajdowała się w Ugorze, w zgłodzonym przez Cień Malkier. A były też takie, które albo uległy wielkim zmianom, albo zwyczajnie zarosły roślinnością, jak to słusznie zauważył Haman. Tutejsza Brama, w Caemlyn, mieściła się w piwnicy. Ściśle strzeżonej piwnicy. Rand wiedział również, że w Łzie też jest Brama, tuż za miastem, na tych pastwiskach, gdzie Wysocy Lordowie wypasali stada swych słynnych koni. Jedna powinna znajdować się gdzieś w Górach Mgły, na terenie dawnego Manetheren, gdziekolwiek to miejsce było. Jeżeli zaś chodziło o położenie *stedding*, to wiedział tylko, jak znaleźć *Stedding* Tsofu. Moiraine nie uznała bowiem wiedzy *o stedding* ogirów za niezbędną część jego edukacji.

— Nie wiesz, gdzie znajdują się *stedding*? — zapytał z niedowierzaniem Haman, kiedy Rand skończył swe wyjaśnienia. — Czy to jest jakiś humor Aielów? Nigdy nie rozumiałem ich żartów.

— Nawet dla ogirów — delikatnie zauważył Rand — upłynęło dużo czasu, od

kiedy stworzono Drogi. Dla ludzi jest to naprawdę bardzo długi czas.

— Nie pamiętacie nawet Mafar Dadaranell, Ancohimy czy Londaren Cor, albo...

Covril położyła dłoń na ramieniu Hamana, ale litość, jaka rozbłysła w jej oczach, przeznaczona była dla Randa.

— On nie pamięta — wtrąciła cicho. — Ich wspomnienia zatarły się. — Powiedziała to w taki sposób, jakby oznaczało to największą z możliwych strat. Erith przyłożyła dłonie do ust i wyglądała tak, jakby zaraz miała się rozpłakać.

Tymczasem powróciła Sulin, zupełnie rozmyślnie chyba wcale się nie spiesząc, za nią zaś szła grupka *gai'shain*; nieśli zwinięte mapy wszystkich rozmiarów, niektóre tak długie, że ich końce wlokły się po posadzce. Jeden z odzianych w biel mężczyzn niósł wykładaną kością słoniową szkatułkę z przyborami do pisania.

— Wysłałam *gai'shain* na dalsze poszukiwania — powiedziała sztywno — również kilku mieszkańców mokradeł.

— Dziękuję ci — odparł. Twarz jej nieznacznie złagodniała.

Przykucnął i zaczął rozwijać mapy prosto na płytach posadzki, porządkując je jednocześnie. Na wielu przedstawiony był Andor, zarówno całe miasto, jak i jego poszczególne dzielnice. Szybko odnalazł tę, która przedstawiała pas Ziemi Granicznych; Światłość jedynie chyba wiedziała, coź ta mapa robiła w Caemlyn. Niektóre były stare i postrzępione, ukazywały granice, które już nie istniały, z nazwami państw, które odeszły w przeszłość setki lat temu.

Granice i nazwy stanowiły wystarczającą wskazówkę, by uszeregować mapy według wieku. Na najstarszych Harden graniczyło z Cairhien od północy, potem Harden zniknęło, granice Cairhien przesunęły się zaś w pół drogi do Shienaru, by następnie skurczyć się znów, kiedy stało się jasne, że Tron Słońca zwyczajnie nie jest w stanie utrzymać pod swym panowaniem tak wielkich obszarów. Maredo znajdowało się pomiędzy Illian i Łżą, potem Maredo zniknęło, granice Łży zaś i Illian spotkały się na Równinie Maredo, a potem powoli cofały się z takiego samego powodu jak w przypadku Cairhien. Caralain odeszło w przeszłość, zaś Almoth, Mosara i Irenvelle, a także wiele innych jeszcze, czasami wchłaniane były przez inne narody, najczęściej wszakże ostatecznie zamieniały się w ziemię niczyją i pustkowia. Te mapy opowiadały dzieje zaniku, zapoczątkowanego rozpadem imperium Hawkwinga, powolnego cofania się ludzkości. Druga mapa Ziemi Granicznych ukazywała jedynie Saldaę oraz, część Arafel, ale z kolei granica Ugoru znajdowała się na niej pięćdziesiąt mil dalej na północ. Ludzie wycofywali się, a Cień postępował naprzód.

W pewnym momencie na dziedziniec wbiegł jakiś łysy, kościsty mężczyzna, w nie dopasowanej pałacowej liberii, z kolejnym naręczem map; Rand westchnął tylko i dalej układał, odrzucając niepotrzebne.

Haman z wielką powagą zbadał zawartość szkatułki z przyborami do pisania,

którą podał mu jeden z *gai'shain*, potem z pojemnej kieszeni swego kaftana wyciągnął niemalże równie wielką, chociaż zupełnie pozbawioną zdobień. Wydobył z niej pióro osadzone w polerowanym drewnie, grubsze znacznie niżli kciuk Randa, ale na tyle długie, iż wyglądało na smukłe. Pasowało doskonale do grubych jak kiełbaski palców ogira. Haman opadłszy na czworaki, podszedł do map, które Rand wybrał, od czasu do czasu maczał pióro w trzymanym przez *gai'shain* kałamarzu, pisał jakieś notki, literami, które wydawały się zbyt wielkie, póki nie pojęło się, że dla niego są napisane maczkiem. Covrill stała tuż za nim, spoglądając mu przez ramię, nawet wtedy, gdy drugi raz zapytał ją, czy naprawdę wyobraża sobie, by mógł się pomylić.

Dla Randa było to bardzo kształcące doświadczenie, począwszy od siedmiu *stedding* rozproszonych na Ziemiach Granicznych. Trolloki bały się wchodzić do *stedding*; Myrddraale zdolne były zapędzić je tam tylko w przypadku naglącej konieczności. W Grzbiecie Świata znajdowało się ich aż trzynaście, włączywszy w to jedno na samym sztylcie Zabójcy Rodu, począwszy od *Stedding Shangtai* na południu, a skończywszy na *Stedding Qichen* oraz *Stedding Sanshen* na północy, oddalone od siebie o zaledwie kilka mil.

— Oblicze ziemi naprawdę się zmieniło od czasu Pęknięcia Świata — wyjaśnił Haman, kiedy Rand pozwolił sobie skomentować ten fakt. Nie przerywał jednak szybkiego zaznaczania na mapie, szybkiego jak na ogira. — Suchy ląd zamienił się w morze, morza wyschły, a ziemia się pofałdowała. Niektóre miejsca, niegdyś bardzo oddalone, zbliżyły się teraz do siebie, i na odwrót. Chociaż, oczywiście, dzisiaj nikt nie może powiedzieć, czy *Qichen* i *Sanshen* na pewno były daleko od siebie.

— Zapomniałeś o *Cantoine* — oznajmiła Covril, sprawiając, że kolejny służący w liberii aż podskoczył i upuścił świeży ładunek map.

Haman obdarzył ją stosownym spojrzeniem, a potem wypisał wymienioną nazwę tuż ponad rzeką *Iralell*, niezbyt daleko na północ od *Haddon Mirk*. W pasie na zachód od Muru Smoka, licząc od południowej granicy *Shienaru* aż do Morza Sztormów, były tylko cztery, wszystkie stosunkowo niedawno zasiedlone, przynajmniej wedle miary ogirów, co oznaczało, że były to te najnowsze, *Tsofu*, gdzie ogirowie wrócili około sześciuset lat temu, oraz pozostałe, gdzie zamieszkiwali nie dłużej niżli lat tysiąc. Położenie niektórych rzeczywiście zaskakiwało, począwszy od tych na Ziemiach Granicznych, przez sześć w Górach Mgły, a skończywszy na rozrzuconych na Wybrzeżu Cienia. Czarne Góry zostały również oznaczone, jak i forteca nad rzeką *Ivo*, oraz góry nad rzeką *Dhagon*, niedaleko na północ od *Arad Doman*.

Smutna była lista *stedding* porzuconych ze względu na to, że nazbyt spadła liczba ich mieszkańców. Grzbiet Świata, Góry Mgły i Wybrzeże Cienia znajdowały się na tej liście, podobnie jak *stedding* położone w głębi Równiny *Almoth*, w pobliżu wielkiej puszczy zwanej *Paerish Swar*, oraz jedno w niskich górach,

tuż przy północnej granicy Głowy Tomana, nad samym Oceanem Aryth. Być może najbardziej smutne było to, które zaznaczone zostało na samym skraju Ugoru w Arafel; Myrddraale mogły mieć opory przed wtargnięciem na tereny *stедding*, ale Ugór postępował naprzód, nieustannie, rok po roku, i pochłaniał wszystko na swej drodze.

Przerywając na chwilę oznaczanie, Haman powiedział z żalem:

— Sherandu zostało pochłonięte przez Wielki Ugór tysiąc osiemset i czterdzieści trzy lata temu, Chandar zaś lat temu dziewięćset i sześćdziesiąt osiem.

— Niech wspomnienie po nich pleni się i rozkwita w Światłości — wymruzczały razem Covril i Erith.

— Wiem o jednym, którego nie zaznaczyłeś — powiedział Rand. Perrin opowiadał mu o tym, jak pewnego razu tam się schronił. Wyciągnął jedną z map Andoru, przedstawiającą tereny na wschód od rzeki Arinelle i wskazał miejsce znajdujące się powyżej drogi wiodącej z Caemlyn do Białego Mostu. Nie było aż tak bardzo oddalone.

Haman skrzywił się.

— Tu miało powstać miasto Hawkwinga. Tam nikt się nigdy nie osiedlił. Wiele *stедding* zostało odnalezionych, ale nikt nigdy się w nich nie osiedlił. Próbujemy trzymać się z dala od siedzib ludzkich, na ile to tylko możliwe. — Wszystkie naznaczone przez niego punkty wskazywały miejsca w niedostępnych górach, takie, do których ludzie mieli utrudniony dostęp, albo po prostu bardzo oddalone od wszystkich ludzkich siedzib. Stедding Tsofu było położone bliżej obszarów zamieszkałych przez człowieka niżli którekolwiek z pozostałych, a nawet i ono, o czym Rand wiedział, znajdowało się w odległości dnia drogi od najbliższej wioski.

— Jest to temat na bardzo interesującą rozmowę, ale przy innej okazji — powiedziała Covril, kierując swe słowa do Randa, jednak najwyraźniej ich adresem miał być Haman, jak na to nieomylnie wskazywało spojrzenie, jakim go obdarzyła — ale przed zapadnięciem zmroku chcę się znaleźć tak daleko na północy, jak to tylko możliwe. — Haman westchnął ciężko.

— Z pewnością zostaniecie tu przez jakiś czas — protestował Rand. — Musicie być wyczerpani, skoro przeszliście pieszo całą drogę z Cairhien.

— Kobiety nigdy nie bywają wyczerpane — powiedział Haman — one tylko potrafią wyczerpać innych. To bardzo stare przysłowie mego ludu. — Covril i Erith parsknęły niemalże unisono. Mamrocząc coś pod nosem, Haman dalej kreślił swoją listę, ale teraz obejmowała ona miasta zbudowane przez ogirów, miasta, w pobliżu których rosły gaje, w każdym zaś znajdowała się Brama do Dróg, dzięki której ogirowie mogli przemieszczać się między poszczególnymi *stедding*, nie przemierzając tak często nawiedzanych przez kłopoty krain ludzkich.

Zaznaczył, oczywiście, Caemlyn i Tar Valon, Łzę, Illian, Cairhien, oraz Maradon i Ebou Dar. I to był koniec, jeśli brać pod uwagę miasta, które wciąż istniały,

przy czym Ebou Dar opatrzył nazwą „Barashta”. Być może zresztą ta Barashta zaliczała się do drugiej listy, obejmującej te miejsca, gdzie na mapach nie znajdowało się nic prócz jakichś wiosek, o ile w ogóle. Mafal Dadaranell, Ancohima, Londaren Cor, oczywiście, oraz Manetheren. Aren Mador, Aridhol, Shaemał, Deranbar, Braem, Condaris, Hai Ecorimon, Iman. . . W miarę jak lista wydłużała się, Rand zaczął dostrzegać mokre plamy na mapach, które Haman skończył oznaczać. Chwilę zabrało mu, zanim zorientował się, że Starszy ogirów płacze w absolutnej ciszy, pozwalając, by jego łzy spływały po policzkach, gdy oznaczał miasta dawno zniszczone i zapomniane. Być może opłakiwał ludzi, może wspomnienia. Jediną rzeczą, jakiej Rand mógł być pewien, było to, iż nie chodziło tu o same miasta, o zatracone dzieła mularzy ogirów. Dla ogirów prace kamienniarzkie stanowiły jedynie dodatkowe zajęcie, które podjęli po Wagnaniu, jakie bowiem dzieło wykonane z kamienia równać się mogło z majestatem drzew?

Jedna z tych nazw mocno poruszyła jakąś strunę w pamięci Randa, tak samo zresztą, jak położenie tego miejsca, na wschód od Baerlon, nad Arinelle, w odległości kilkunastu dni drogi od Białego Mostu.

— To tam też był gaj? — zapytał, palcem wskazując znak.

— W Aridhol? — zapytał Haman. — Tak. Tam też był. Bardzo smutna sprawa. Rand nie uniósł nawet głowy.

— W Shadar Logoth — poprawił Hamana po chwili. — Rzeczywiście bardzo smutna sprawa. Czy mógłbyś. . . czy zechciałbyś. . . pokazać mi Bramę do Dróg, gdybym cię tam zabrał?



## DO SHADAR LOGOTH

— Zabrałybyś nas tam? — zapytała Covril, marszcząc brwi i spoglądając groźnie na mapę w dłoniach Randa. — W ten sposób musielibyśmy znacznie zboczyć z drogi, jeżeli poprawnie zapamiętałam położenie Dwu Rzek. Nie będę marnowała kolejnego dnia, z których każdy może mnie przybliżyć do Loiala. — Erith zdecydowanie przytaknęła jej słowom.

Haman, którego policzki wciąż mokre były od łez, aż pokręcił głową na ich pochopność, lecz sam również oznajmił:

— Nie mogę się na to zgodzić. Aridhol... Shadar Logoth, jak właściwie je określiłeś... nie jest miejscem dla kogoś tak młodego jak Erith. Nawiasem mówiąc nie jest to miejsce także dla kogokolwiek innego.

Rand wyprostował się, pozwalając mapie opaść na posadzkę. Znał Shadar Logoth lepiej, niżby można było sobie tego życzyć.

— Nie straciecie czasu. W rzeczywistości zyskacie. Zabiorę was tam dzięki Podróżowaniu, przez bramę; w ciągu jednego dnia przebędziecie większość drogi do Dwu Rzek. Nie zabawimy tam długo. Wiem, że jesteście w stanie zaprowadzić mnie prosto do Bramy do Dróg. — Ogirowie potrafili wyczuwać Bramy, jeżeli nie znajdowały się zbyt daleko.

To z konieczności wywołało kolejną naradę przy fontannie, Erith domagała się, aby ją do niej włączono. Do Randa dochodziły jedynie strzępy dyskusji, ale widział, jak Haman kręci uparcie głową, najwyraźniej nie zgadzając się na jego plan, natomiast Covril — z uszami tak sztywno sterczącymi, że wydawało się, iż dzięki nim usiłuje uzyskać dodatkowe cale wzrostu — wyraźnie przy nim obstawała. Z początku Covril spod zmarszczonych brwi patrzyła tylko na Erith albo na Hamana; niezależnie od tego, jakie związki łączyły teściową i synową u ogirów, najwyraźniej uważała, że młodsza kobieta nie powinna się wtrącać do całej sprawy. Dość szybko jednak zmieniła zdanie. Obie kobiety ogirów osaczały Hamana, niezmordowanie przekonując go do swych racji.

— ... zbyt niebezpieczne. Zdecydowanie zbyt niebezpieczne — zabrzmiał podobny do odległego grzmotu głos Hamana.

— ... dzisiaj już prawie na miejscu... — Cichsze brzmienie głosu Covril.

— ... pospiech tylko szkodzi...

— ...mój Loial...  
— ...mój Loial...  
— ...Mashadar u naszych stóp...  
— ...mój Loial...  
— ...mój Loial...  
— ...jako Starszy...  
— ...mój Loial...  
— ...mój Loial...

Haman podszedł z powrotem do Randa, tak szarpiąc poły swego kaftana, jakby chciał rozerwać go na pół; tuż za nim szły kobiety. Covril o wiele lepiej panowała nad swoją twarzą niż Erith, która wyraźnie usiłowała ukryć uśmiech, jednak jej zakończone pędzelkami uszy sterczały radośnie, zdradzając przepełniającą ją satysfakcję.

— Postanowiliśmy przyjąć twoją propozycję — zaczął powściągliwie Haman.  
— Niech to bezsensowne wążesanie po świecie skończy się, bo będę wtedy mógł wrócić do mych uczniów. Oraz do Pnia. Hm. Hm. Dużo będzie do opowiadania przed Pniem.

Rand nie dbał o to, co Haman będzie miał do opowiedzenia przed Pniem na jego temat. Ogirowie trzymali się na ogół z dala od ludzi i odwiedzali ich siedziby tylko wtedy, gdy należało dokonać napraw ich starożytnych dzieł w kamieniu, nieprawdopodobne więc było, by ich opinia mogła wpłynąć na myślenie ludzi o nim, czy zaszkodzić jego sprawie.

— Dobrze — powiedział. — Poślę kogoś, by przyniósł wasz dobytek z gospody, w której się zatrzymaliście.

— Mamy wszystko ze sobą. — Covril przeszła na drugą stronę fontanny, pochyliła się i wyprostowała, trzymając w dłoniach dwa tobołki, ukryte wcześniej za cembrowiną basenu. Każdy z nich dla człowieka oznaczałby spore obciążenie. Podąła jeden Erith, zaś rzemień drugiego przeczuciła sobie przez głowę, tak że przecinał teraz jej pierś i przyciskał tobołek do pleców.

— Gdyby tu był Loial — wyjaśniła Erith, postępując podobnie ze swoim tobołkiem — bylibyśmy gotowi do wyruszenia natychmiast do Stedding Tsofu. W przeciwnym wypadku i tak mieliśmy zamiar ruszać w dalszą drogę. Bez zwłocznie.

— Tak naprawdę to chodziło o łóżka — wyznał Haman, rozkładając ręce na szerokość odpowiadającą wymiarom ludzkiego dziecka. — Kiedyś w każdej gospodzie w Zewnątrz były dwa lub trzy pomieszczenia dla ogirów, ale teraz trudno takowe znaleźć. Niełatwo mi to pojąć. — Popatrzył jeszcze na poznaczone mapy i westchnął. — Niełatwo mi to pojąć.

Rand zaczekał, aż Haman zarzuci na plecy swój tobołek, a potem pochwycił *saidina* i otworzył bramę tuż obok fontanny, otwór w powietrzu, za którym widać było zrujnowane, zarośnięte zielskiem ulice oraz rozpadające się budynki.

— Randzie al'Thor. — Sulin weszła na dziedziniec niemal spacerowym krokiem, na czele grupki obładowanych mapami służących *i gai'shain*. Towarzyszyli jej Liah oraz Cassin, którzy starali się udawać podobną obojętność. — Prosiłeś o kolejne mapy. — Przelotne spojrzenie, jakie rzuciła w stronę bramy, było niemalże oskarżycielskie.

— Potrafię ochronić samego siebie lepiej, niżli ty byś była zdolna — odpowiedział jej Rand lodowatym tonem. Nie miał zamiaru, żeby tak to zabrzmiało, ale otulony w Pustkę nie potrafił sprawić, by jego głos brzmiał inaczej. — Tam nie ma nic, z czym mogłyby poradzić sobie twoje włócznie, a jest za to parę rzeczy, względem których okażą się bezradne.

Kamienna twarz Sulin nadal przypominała maskę.

— To tylko dodatkowy powód, byśmy tam się znalazły. Takie postawienie sprawy nie miało przypuszczalnie sensu dla kogokolwiek innego, jak tylko Aielów, ale...

— Nie będę się z tobą kłócił — powiedział. Jeżeli jej nawet zabroni, to i tak będzie starała się pójść za nim; wezwie Panny, które będą próbowały przeska-kiwać przez bramę, nawet jeśli będzie się już zamykała. — Spodziewam się, że reszta dzisiejszej straży czeka gdzieś niedaleko. Zwołaj je. Ale wszystkie mają trzymać się blisko mnie i nie wolno im niczego dotykać. I zrób to szybko. Ja również chcę się z tym jak najszybciej uporać. — Wspomnienia, jakie wyniósł z Shadar Logoth, z pewnością nie należały do przyjemnych.

— Odesłałam je, tak jak nalegałeś — powiedziała z niesmakiem Sulin. — Policz powoli do stu.

— Do dziesięciu.

— Pięćdziesięciu.

Rand skinął głową. Palce kobiet zamigotały. Jalani natychmiast skoczyła do wnętrza pałacu, zaś dłonie Sulin zamigotały znowu. Trzy kobiety *gai'shain* wypuściły mapy z rąk i popatrzyły na nią zaskoczone — Aielowie nigdy, przenigdy nie wyglądali na tak zaskoczonych — po czym, zakasawszy swe długie białe szaty, zniknęły we wnętrzu Pałacu, i choć poruszały się nadzwyczaj szybko, Sulin natychmiast je wyprzedziła.

Kiedy Rand doliczył do dwudziestu, na dziedziniec zaczęli wpadać Aielowie; jedni wyskakiwali z okien, inni z balkonów. Omal nie stracił rachuby. Wszyscy mieli zamaskowane twarze i było wśród nich niewiele Panien. Rozglądali się dookoła zdumieni, że widzą na dziedzińcu tylko Randa i troje ogirów, którzy przypatrywali im się z ciekawością. Kilku zaczęło powoli opuszczać zasłony. Służba pałacowa zbiła się w ciasną gromadkę.

Aielowie nie przestawali wypełniać dziedzińca, nawet kiedy wróciła Sulin, bez zasłony, dokładnie w momencie, gdy doliczył do pięćdziesięciu. Natychmiast zrozumiał, że kazała roznieść wieści, iż *Car'a'carnowi* grozi jakieś niebezpieczeństwo, bo tylko w ten sposób była w stanie zgromadzić na czas odpowiednią

liczbę włóczy. Wśród mężczyzn przeszedł cichy, lecz wyraźnie pełen niezadowolenia szmer, większość jednak zdecydowała, że żart był niezły; niektórzy nawet śmiali się w głos i uderzali włóczniami o tarcze. Żaden jednak nie miał zamiaru teraz odejść; przyglądali się bramie i najwyraźniej zamierzali do końca uczestniczyć w całej przygodzie.

Dzięki temu, że Moc wyostrzyła mu zmysł słuchu, Rand usłyszał, jak jedna z Panien, o imieniu Nandera, koścista i żyłasta, lecz urodziwa mimo włosów już prawie całkowicie siwych, wyszeptwała do Sulin:

— Tak przemówiłaś do *gai'shain*, jakby to były *Far Dareis Mai*.

Spojrzenie błękitnych oczu Sulin, zupełnie pozbawione wyrazu, spoczęło na twarzy Nandere.

— Uczyniłam tak. Zajmiemy się tym, kiedy Rand al'Thor będzie już bezpieczny.

— Kiedy będzie bezpieczny — zgodziła się Nandera.

Sulin szybko wybrała dwadzieścia Panien, niektóre z nich zostały wcześniej wcielone do straży Randa na dzisiejszy ranek, inne zaś nie, ale kiedy Urien zaczął wybierać również spośród swych Czerwonych Tarcz, mężczyźni innych społeczności zaczęli się domagać, aby ich także włączono. Widoczne za otwartą bramą nieznane miasto sprawiało wrażenia miejsca, w którym aż roi się od wroga, a *Car'a'carna* trzeba było wszak chronić. Zresztą żaden Aiel nigdy nie uchylał się od spodziewanej walki, a im był młodszy, tym chętniej poszukiwał okazji do niej. Omalże nie rozpętała się kolejna kłótnia, gdy Rand oznajmił, że mężczyźni nie może być więcej niżli Panien — to byłoby dyshonor dla *Far Darei Mai*, wyjaśnił, ponieważ to one strzegą jego honoru — Panien zaś nie więcej, niż Sulin pierwotnie wybrała. Tak naprawdę zabierał ich przecież do miejsca, gdzie ich bitewne umiejętności nie zdadzą się na nic, a każdy dodatkowy człowiek będzie stanowił jednego więcej, którego będzie musiał strzec. Tego jednak nie wyjaśnił im na głos, trudno było przewidzieć, czyj honor mógłby zostać w ten sposób urażony.

— Pamiętajcie — powiedział, kiedy już udający się z nim zostali wybrani — nie dotykajcie niczego. Nie zabierajcie stamtąd również nic, nawet łyka wody. I zawsze trzymajcie się na widoku, pod żadnym pozorem nie wchodźcie do środka budynków. — Haman i Covril żywo przytakiwali jego słowom, co najwyraźniej znacznie większe wywierało wrażenie na Aielach niżli słowa Randa. Przynajmniej w tym stopniu, w jakim było to w ogóle możliwe.

Przeszli przez bramę do miasta wymarłego od dawien dawna, do miasta, które było bardziej niż martwe.

Złota kula słońca przebyła już więcej niż połowę drogi do zenitu, opromieniając ruiny dawnej świetności. Tu i ówdzie wielka kopuła wciąż stała nie tknięta na szczycie pałacu zbudowanego z jasnego marmuru, ale jego ściany już świeciły otworami, najczęściej jednak z budowli pozostały jedynie gruzy. Długie kolumnady wiodły ku wieżom równie wysokim jak wszystko, o czym kiedykolwiek śniło

Cairhien, albo ku ich odstrasżającym wrakom. Wszędzie widać było zwalone dachy; cegły i kamienie rozsypujących się domów i murów zaścięły popękane kamienie bruku. Strzaskane fontanny i zwalone pomniki zaznaczały każde skrzyżowanie. Z wielkich stosów gruzu wyrastały karłowate drzewa umierające od suszy. Zeschłe zielsko sterczało ze wszystkich szczelin w ścianach budynków. Nic się nie poruszało, żaden ptak nie przeleciał, żaden szczur nie przemknął pod stopami ludzi, nawet wiatr zamarł. Cisza spowijała Shadar Logoth. Shadar Logoth. Gdzie Czekasz Ciebie.

Rand pozwolił, by brama zniknęła. Wszyscy Aielowie zasłonili twarze. Ogirowie rozglądali się dookoła, z twarzami pełnymi napięcia i uszami przylegającymi płasko do czaszek. Rand przywarł do *saidina* w zmaganiu, o którym Taim powiedział, że dopiero wówczas mężczyzna czuje, że żyje. Nawet gdyby nie był zdolny do przenoszenia, a może szczególnie wówczas, potrzebował w tym miejscu takiego przypomnienia.

Za czasów Wojen z trollokami Aridhol było wielką stolicą, sojusznikiem Manetheren oraz pozostałych Dziesięciu Narodów. Kiedy walki trwały już tak długo, że przy nich Wojna Stu Lat zdawała się niewiele znaczącą potyczką, kiedy zdawało się, że Ciebie wygrywa na wszystkich frontach, zaś każde zwycięstwo Światłości stanowiło tylko odrobinę zyskanego czasu, człowiek imieniem Mordeth stał się doradcą w Aridhol i wymyślił taką regułę — aby zwyciężyć, aby przetrwać, Aridhol musi stać się bardziej jeszcze bezwzględne niżli Ciebie, okrutniejsze niżli Ciebie, bardziej podejrzliwe. Powoli wszystko więc zmierzało w tym kierunku, póki nie nadszedł kres. Aridhol stało się, jeśli nawet nie bardziej czarne niżli Ciebie, to przynajmniej równie mroczne. Podczas gdy wciąż szalała wojna przeciwko trollokom, Aridhol na koniec zajęło się wyłącznie sobą, zwróciło się ku sobie i ostatecznie pochłonęło samo siebie.

Coś jednak pozostało, coś, co trzymało z dala od tego miejsca wszelkie żywe istoty. Żaden kamień z tego miasta nie uniknął skażenia nienawiścią i podejrzliwością, które zamordowały Aridhol i pozostawiły na jego miejscu Shadar Logoth. Każdy kamień z tego miejsca potrafiłby nimi zarazić, gdyby zostawiło się mu dostatecznie dużo czasu.

A zostało jeszcze coś prócz samej skazy, chociaż i jej by starczyło, by wszelcy zdrowi na umyśle ludzie trzymali się z dala od tego miejsca.

Rand nie ruszył się z miejsca, tylko obrócił się powoli, patrząc na domy ziejące otworami po oknach, podobnymi do pustych oczodołów. Mimo iż słońce stało już wysoko, tak samo jak wtedy nie potrafił dojrzeć niewidzialnych obserwatorów, choć czuł na sobie ich wzrok. Kiedy był tutaj poprzednim razem, to wrażenie nie było tak silne, póki słońce na dobre nie zaszło. Po Aridhol pozostało bowiem coś znacznie większego niżli tylko skaza. Zginęła w nim cała armia trolloków, które tu obozowały; zniknęły bez śladu, pozostały po nich tylko rozpaczliwe przesłania, rozsmarowane krwią po murach, błagające Czarne o ratunek. Noc to nie był

czas, kiedy można było sobie pozwolić na przebywanie w Shadar Logoth.

„To miejsce mnie przeraża — wymamrotał Lews Therin poza granicą Pustki. — Czy ciebie ono nie przeraża?”

Rand wstrzymał oddech. Czy ten głos naprawdę zwracał się do niego?

„Tak, przeraża mnie”.

„Tutaj zgromadziła się ciemność. Czerń czarniejsza od najczarniejszego mroku. Jeżeli Czarny zdecyduje się żyć wśród ludzi, wybierze to miejsce”.

„Tak. Zapewne”.

„Muszę zabić Demandreda”.

Rand aż zamrugał.

„Czy Demandred ma coś wspólnego z Shadar Logoth? Z tym miejscem?”

„Pamiętam przynajmniej, jak zabiłem Ishamaela”. — W głosie słyszało się zdumienie, jakby wiedza o tym dopiero teraz została odkryta. „Zasłużył na śmierć. Lanfear również zasłużyła na śmierć, ale cieszę się, że to nie ja musiałem ją zabić”.

Czy to był tylko przypadkowy zbieg okoliczności, czy ten głos naprawdę zwracał się do niego? Czy Lews Therin naprawdę słyszał i odpowiadał?

„W jaki sposób ja... Czy to ty zabiłeś Ishamaela? Opowiedz, jak to zrobiłeś”.

„Śmierć. Pragnę umrzeć do końca. Ale nie tutaj. Nie chcę tutaj umierać”.

Rand westchnął. Tylko zbieg okoliczności. On również nie chciał tutaj umierać. Znajdujący się najbliżej pałac, ze strzaskanymi kolumnami frontonu, wyraźnie pochylał się w stronę ulicy. W każdej chwili mógł się zapaść i pogrzebać ich wszystkich.

— Prowadź — zwrócił się do Hamana. Aielom zaś rzekł: — Pamiętajcie, co powiedziałem. Niczego nie dotykajcie, niczego stąd nie zabierajcie i trzymajcie się na widoku.

— Nie przypuszczałem, że to będzie aż takie straszne — wymamrotał Haman. — Niemalże nie sposób wyczuć Bramy do Dróg. — Erith jęknęła, a Covril też wyraźnie miała na to ochotę. Ogirowie byli bardzo wrażliwi na atmosferę otaczającą dane miejsce. Wreszcie Haman wskazał dłonią. Pot zalewający mu twarz nie wynikał z panującego upału. — Tędy.

Popękane kamienie bruku chrzęściły pod butami Randa niczym miażdżone kości. Haman poprowadził ich za róg, a potem w głąb ulicy, mijali po drodze kolejne ruiny, jednak nie miał kłopotów z zachowaniem kierunku. Otaczający ich Aielowie skradali się na palcach. Oczy patrzące sponad czarnych zasłon nie przygotowały się do rychłego ataku, ale patrzyły tak, jakby walka się już rozpoczęła.

Niewidzialni obserwatorzy i strzaskane budowle nasunęły mu wspomnienia, jakich wolałby uniknąć. Tutaj Mat wstąpił na drogę, która powiodła go do Rogu Valere, na którejomalże nie postradał życia, być może tutaj właśnie rozpoczęła się droga, która wiodła do Rhuidean i do *ter'angreala*, o którym wolał nie mówić. Tutaj zniknął Perrin, kiedy zostali zmuszeni do ucieczki w samym środku nocy,

a kiedy wreszcie Rand zobaczył go powtórnie, daleko, daleko stąd, miał już złote oczy, smutek na twarzy i te sekrety, których Moiraine nigdy mu nie zdradziła.

On sam również nie wyszedł bez szwanku, chociaż Shadar Logoth nie odcisnęło na nim bezpośrednio swego piętna. Padain Fain doszedł za nimi wszystkimi aż tutaj, za nim, Matem i Perrinem, za Moiraine i Lanem, za Nynaeve i Egwene. Padan Fain, Sprzymierzeniec Ciemności. Obecnie znacznie więcej niżli tylko Sprzymierzeniec, ktoś znacznie gorszy, tak przynajmniej orzekła Moiraine. Padan Fain śledził ich aż do tego miejsca, ale to, co z niego zostało po wyjściu stąd, już dłużej nie było Fainem, było czymś więcej, albo mniej. Fain, na ile jeszcze był Fainem, chciał śmierci Randa. Groził, że zniszczy wszystko, co Rand kiedykolwiek kochał, jeżeli ten mu się nie podda. A Rand nie mógł tego zrobić. Perrin poradził sobie i uratował Dwie Rzeki, ale Światłość jedna tylko wiedziała, jak to bolało. Cóż właściwie Fain robił w towarzystwie Białych Płaszczy? Czy Pedron Niall mógł być Sprzymierzeńcem Ciemności? Jeżeli Aes Sedai mogły nimi być, dlaczegoż by nie Lord Kapitan Komandor Synów Światłości.

— Jest tutaj — powiedział Haman, a Rand aż się wzdrygnął. Shadar Logoth było doprawdy ostatnim miejscem na ziemi, gdzie można sobie pozwolić na zagubienie się w myślach.

W miejscu gdzie stał Starszy, znajdował się niegdyś przestronny plac; na jednym z rogów leżała sterta gruzu. Pośrodku placu, zamiast fontanny, wznosił się zdobny płot wysokości ogira, z jakiegoś błyszczącego metalu, nie naznaczony rdzą. Otaczał on coś, co z daleka wyglądało jak duży głaz, rzeźbiony w pnącza i winorośle, tak delikatnie odrobione, że można by wręcz oczekiwać, iż poruszą się za tchnieniem najlżejszego powiewu wiatru. Brama do Dróg, chociaż z pewnością nie przypominała żadnej bramy.

— Wycięli gaj, kiedy tylko ogirowie odeszli ze *stedding* — wymruczał ze złością Haman, długie brwi opadły mu w dół. — Nie minęło nawet dwadzieścia, trzydzieści lat, a rozbudowali miasto w tym kierunku.

Rand dotknął płotu strumieniem Powietrza, zastanawiając się, jak przejść na drugą stronę, i aż zamrugał, ponieważ cała konstrukcja rozpadła się nagle na dwadzieścia lub więcej kawałków, które runęły na ziemię z głośnym łoskotem. Ogirowie aż podskoczyli w miejscu. Rand pokręcił głową. Oczywiście. Metal, który przetrwał tak długo bez jednej chociaż plamki rdzy, musiał po prostu być wykuty Mocą, być może stanowił nawet pozostałość po Wieku Legend, jednak nity, które trzymały razem jego fragmenty, skorodowały już dawno temu, czekając tylko na jedno mocniejsze pchnięcie.

Covril położyła mu dłoń na ramieniu.

— Prosiłabym cię, abyś jej nie otwierał. Bez wątpienia Loial powiedział ci, jak to się robi... zawsze nadmiernie interesował się takimi rzeczami... ale Drogi są niebezpieczne.

— Potrafię ją zamknąć — oznajmił Haman — tak, że nie będzie można jej

otworzyć bez Talizmanu Wzrostu. Hm. Hm. Prosta sprawa, prosto zrobiona. — Nie wydawał się jednak szczególnie chętny. Z pewnością nie poruszył się nawet o cal w jej stronę.

— Być może kiedyś trzeba będzie z niej skorzystać, a nie będzie czasu na dokonanie jakichkolwiek napraw — odparł Rand. Całe Drogi być może trzeba będzie kiedyś wykorzystać, niezależnie od strachów, jakie się na nich załęgły. Gdyby tylko potrafił je jakoś oczyścić... To była niemalże równie pełna pychy myśl, jak wtedy, gdy przechwalał się przed Taimem, że oczyści *saidina*.

Zaczął oplatać *saidina* wokół Bramy do Dróg, używając wszystkich Pięciu Mocy, umieścił nawet fragmenty płotu na swoim miejscu. Wraz z pierwszym strumieniem skaza zaczęła jakby w nim pulsować powoli narastającą wibracją. Musiało to powodować zło samego Shadar Logoth, rezonans zła uderzającego o zło. Nawet otulony w Pustkę poczuł mdłości od tych drgań, cały świat zakółsał się pod jego stopami w ich rytm; sprawiały, że miał ochotę zwymiotować wszystko, co dotąd zjadł. A jednak nie poddawał się. Za nic nie rozstawiłby tutaj swoich ludzi na straży, za nic nie przysłałby ich tu na zwiady.

To, co splótł, a potem zawiązał, stanowiło naprawdę paskudną pułapkę, odpowiednią dla tak okropnego miejsca. Zabezpieczenie chyba najbardziej wstrętne ze wszystkich, jakie skonstruował w życiu. Ludzie mogli przez nie przejść bez najmniejszego uszczerbku, być może Przekłęci również — potrafił budować zabezpieczenia przeciwko ludziom albo Pomiotowi Cienia, jednak nie przeciwko jednym i drugim — ale nawet Przekłęty nie byłby w stanie jej dostrzec. Jeśli jednak którykolwiek z rodzajów Pomiotu Cienia wszedłby w nią... Na tym polegało paskudztwo. Nie umrą od razu, mogą nawet żyć do czasu, aż opuszczą mury miasta. Dostatecznie długo, by się oddalić od tego miejsca, nie odstraszać następnego Myrddraala, który będzie chciał tędy przejść. Dostatecznie długo, by mogła tędy przejść nawet cała armia trolloków, w miarę tego zarażając się własną śmiercią. Śmiercią dostatecznie okrutną, nawet jak na trolloki. Wykonanie tej rzeczy sprawiło, że poczuł się równie źle jak od skazy *saidina*.

Odcięcie splotów i uwolnienie *saidina* przyniosło jedynie nieznaczną ulgę. Pozostałość brudu, który zawsze zdawał się gdzieś w nim osadzać, wciąż jeszcze drażniła wnętrzości; czuł niemalże namacalnie, jak grunt pulsuje pod jego stopami. Bolały go zęby i uszy. Nie mógł już się doczekać, kiedy wreszcie opuszczą to miejsce.

Wziął głęboki oddech, przygotował się do ponownego przeniesienia, do otwarcia bramy — i nie zrobił tego, tylko zmarszczył brwi. Szybko policzył wszystkich, potem jeszcze raz, wolniej.

— Kogoś brakuje. Kogo?

Aielom naradzenie się zabrało jedynie chwilę.

— Liah — powiedziała Sulin przez zasłonę.

— Szła tuż za mną. — To był bez wątpienia głos Jalani.



— Być może coś dostrzegła. — Uznał, że to musiała powiedzieć Desora.

— Powiedziałem wszystkim, żeby trzymali się razem! — Gniew przesączył się przez Pustkę, niczym fala zalewająca przybrzeżny głąz. Jedna z nich zniknęła, właśnie tutaj, a oni starali się okazywać tylko tę swoją przeklętą obojętność Aielów. Stracił Pannę. Kobieta zginęła w Shadar Logoth.

— Kiedy ją znajdę...! — Cał po calu tłumił furję, która mogła pochłonąć otaczającą go próżnię. Miał ochotę tak skrzyczeć Liah, żeby aż zemdląła, a potem odesłać ją do Sorilei na resztę życia. Z gniewu miał ochotę mordować. — Podzielcie się w pary. Krzyczcie, zagładajcie wszędzie, ale nie wchodźcie do środka, pod żadnym pozorem. I trzymajcie się z dala od cienia. Tutaj możecie umrzeć, zanim się zorientujecie, co się dzieje. Wszyscy możecie zginąć zupełnie niezauważalnie. Jeżeli zobaczycie ją we wnętrzu budynku, nawet gdyby tak wyglądała, jakby się jej nic nie stało, znajdźcie mnie, chyba że sama do was wyjdzie.

— Moglibyśmy szukać szybciej, gdybyś nam pozwolił szukać w pojedynkę — powiedział Urien, a Sulin przytaknęła. Zdecydowanie zbyt wielu przytaknęło.

— Parami! — Rand musiał ponownie zwalczyć rodzący się gniew.

„Niech Światłość spali upór Aielów!”

— W ten sposób będziecie mieli kogoś, kto będzie strzegł waszych pleców. Raz chociaż zróbcie, jak wam każę, zróbcie to, co mówię, i wtedy, kiedy mówię. Byłem już tutaj; wiem trochę na temat tego miejsca.

Kilka minut później, które pochłonęły kłótnie, ilu ich ma zostać przy Randzie, dwadzieścia par Aielów rozproszyło się po mieście. Jedyńą, która z nim została, była Jalani, tak się Randowi przynajmniej zdawało, chociaż przez zasłonę trudno było stwierdzić na pewno. Raz chociaż nie wydawała się szczęśliwa, mogąc go strzec; w jej zielonych oczach zamarał wyraz smutku.

— Przypuszczam, że my dwoje możemy stworzyć jeszcze jedną parę — powiedział Haman, spoglądając na Covril.

Skinęła głową.

— A Erith może zostać z tobą.

— Nie! — zawołali niemal równocześnie Rand i Erith. Starsi ogirowie spojrzeli na niego z dezaprobatą.

Rand twardo wziął swe emocje w garść. Niegdyś wydawało mu się, że w Pustce nic nie czuje, wszelki gniew zdawał się tak daleki, związany z nim tylko cieniutką niteczką. Ten wszak, który odczuwał teraz, w coraz większym stopniu groził, że go zaleje, zaleje Pustkę. Co mogło skończyć się katastrofą. A mimo to...

— Przykro mi. Nie mam prawa krzyczeć na was, Starszy Hamanie, ani na ciebie, Mówco Covril. — Czy zwracał się do nich we właściwy sposób? Czy to w ogóle były jakieś tytuły? Z wyrazu ich twarzy nie sposób było nic wyczytać. — Byłbym wdzięczny, gdybyście zostali ze mną. Moglibyśmy wtedy poszukać jej razem.

— Oczywiście — oznajmił Haman. — Naprawdę nie wyobrażam sobie, w jaki sposób mógłbym zaofiarować ci lepszą ochronę, niżli sam jesteś w stanie sobie dostarczyć, ale decyzja należy do ciebie. — Covril i Erith z aprobatą pokiwały głowami. Rand nie miał pojęcia, o czym właściwie Haman mówi, jednak czas nie wydawał się szczególnie sprzyjający na roztrząsanie tej kwestii, skoro wszyscy troje najwyraźniej postanowili go chronić. Nie miał wątpliwości, że będzie w stanie ochronić wszystkich, póki trzymać się będą blisko niego.

— Póki sam przestrzegasz ustanowionych przez siebie reguł, Randzie al'Thor. — Zielonooka Panna wyraźnie nie zamierzała tu stać i tylko czekać. Rand miał nadzieję, że pozostali bardziej wzięli sobie do serca jego przestrogi co do tego miejsca.

Od samego początku poszukiwania były frustrujące. Wędrowali po ulicach, obserwowani przez niewidzialne oczy, czasami wspinając się na spiętrzone gruzy, na zmianę wołając:

— Liah! Liah! — Od krzyków Covril pochylone ściany zaczynały trzeszczeć; na głos Hamana wszystkie zaczynały złowieszczo postękiwać. Żadnej odpowiedzi. Jedyne odgłosy, jakie docierały do jego uszu, były okrzyki pozostałych grup poszukiwaczy i szydercze echo niosące się wzdłuż ulic. Liah! Liah!

Słońce stało już niemalże ponad ich głowami, kiedy Jalani powiedziała:

— Nie przypuszczam, by odeszła tak daleko, Randzie al'Thor. Chyba że specjalnie próbowała od nas uciec, a tego by przecież nie zrobiła.

Rand odwrócił głowę od ocienionej kolumnady na szczycie szerokich kamiennych stopni, której się właśnie przyglądał, próbując dostrzec coś w wielkiej komnacie znajdującej się za nią. Nie widział tam nic oprócz kurzu. Żadnych odcisków stóp. Niewidzialni obserwatorzy jakby zniknęli; nawet teraz wszakże nie do końca.

— Musimy jej szukać tak długo, jak tylko się da. Może ona... — Nie wiedział, jak skończyć. — Nie zostawię jej tutaj, Jalani.

Słońce wspięło się na szczyt swej drogi przez nieboskłon i zaczęło opadać, on zaś stał na ruinach tego, co ongiś stanowiło pałac, a może nawet cały zespół budowli. Teraz pozostało tylko wzgórze nadgryzione erozją lat, tak że tylko liczne pokruszone cegły i fragmenty obrobionego kamienia wystające spod wyschłej ziemi świadczyły, iż kiedyś coś tutaj było.

— Liah! — krzyknął, przykładając dłoń do ust. — Liah!

— Randzie al'Thor! — zawołała Panna ze znajdującej się poniżej ulicy, uchylając zasłonę tak, że mógł zobaczyć oblicze Sulin. Ona i druga jeszcze Panna, wciąż z zasłoną na twarzy, stały w towarzystwie Jalani i ogirów. — Zejdź na dół.

Gramolił się na dół w tumanach pyłu, strącając kawałki cegieł i kamienie; schodził tak szybko, że dwukrotnie omal nie upadł.

— Znalazłaś ją?

Sulin pokręciła głową.

— Już byśmy ją znalazły, gdyby żyła. Sama z siebie nie odeszłaby tak daleko. Gdyby ktoś chciał zawlec ją gdzieś, wówczas musiałby wlec martwą, jak przypuszczam; nie poszłaby z własnej woli. A jeśli poraniła się tak mocno, by nie móc odpowiedzieć na nasze wołanie, myślę, iż jest to także równoznaczne z tym, że nie żyje. — Haman westchnął ze smutkiem. Długie brwi kobiet ogirów opadły aż na policzki, z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu adresowali swe smutne, żalosne spojrzenia w kierunku Randa.

— Szukajcie dalej — powiedział.

— Czy możemy wchodzić do budynków? Jest w nich wiele pomieszczeń, których nie jesteśmy w stanie zobaczyć z zewnątrz. Rand zawahał się. Południe minęło niedawno, a już znowu czuł na swoich plecach wzrok niewidzialnych obserwatorów. Równie przenikliwy jak wtedy, o zachodzie słońca, gdy przebywał tu za pierwszym razem. W Shadar Logoth żaden cień nie był bezpieczny.

— Nie. Ale dalej będziemy szukać.

Nie miał pojęcia, jak długo chodził po mieście, wołając, przemierzając ulice, ale po jakimś czasie przed nim pojawili się Urien i Sulin, oboje mieli opuszczone zasłony. Słońce dotykało już szczytów drzew, krwistoczerwona tarcza na bezchmurnym niebie. Długie cienie kładły się wśród ruin.

— Mogę szukać tak długo, jak tylko będziesz sobie tego życzył — oznajmił Urien — ale z tego wołania i chodzenia nic nam już więcej nie przyjdzie. Gdybyśmy mogli poszukać wewnątrz budynków. . .

— Nie. — To słowo wyszło z gardła Randa niczym jakiś skrzek. Odkaslnął. Światłości, ale chciało mu się pić. Niewidzialni obserwatorzy wypełniali każde okno, każdą przestrzeń między domami, były ich tysiące, patrzyli, czekali, jeszcze trochę. . . A cienie powoli spowijały miasto. W Shadar Logoth cienie oznaczały zagrożenie, jednak ciemność przynosiła śmierć. Wraz z zachodem słońca budził się Mashadar. — Sulin, ja. . . — Nie potrafił zmusić się do powiedzenia, że trzeba zrezygnować, zostawić Liah, niezależnie od tego, czy już jest martwa, czy żyje jeszcze; a może leży gdzieś nieprzytomna, za jakimś murem albo pod stertą cegieł, która mogła obsunąć się na nią. Mogło i tak się zdarzyć.

— Cokolwiek nas obserwuje, czeka do zmierzchu, jak sądzę — powiedziała Sulin. — Zglądałam do okien, a stamtąd coś patrzyło na mnie, chociaż nie mogłam niczego dostrzec. Taniec włóczy z czymś, czego nie da się zobaczyć, z pewnością nie będzie łatwy.

Rand zrozumiał, że pragnie zapewnienia, iż Liah z pewnością nie żyje, że mogą spokojnie odejść. Liah mogła gdzieś leżeć nieprzytomna, ranna; to było możliwe. Musnął dłonią kieszeń kaftana — *angreal* w kształcie małego tłustego człowieczka zostawił w Caemlyn razem z mieczem i berłem. Nie miał pewności, czy po zapadnięciu zmroku udałoby mu się wszystkich ochronić. Moiraine sądziła, że zebrane razem Aes Sedai z całej Białej Wieży nie byłyby zdolne do zabicia Mashadara. Jeżeli w ogóle można było o nim powiedzieć, że jest żywy.

Haman odkaszlnął.

— Z tego, co pamiętam na temat Aridhol — zaczął, marszcząc czoło. — czy też Shadar Logoth, wynika. . . że jeśli słońce zajdzie, najprawdopodobniej wszyscy zginiemy.

— Tak — wyszeptał niechętnie Rand. Liah, być może jeszcze żywa. Wszyscy pozostali. Na uboczu Covril i Erith szeptały coś, pochyliwszy ku sobie głowy. Usłyszał tylko wymruczane kilkakrotnie imię: „Loial”.

„Obowiązek cięższy niż góra, śmierć lżejsza od pióra”.

Lews Therin musiał zapewne wygrzebać to gdzieś w jego pamięci — przez rozdzielającą ich umysły przegrodę wspomnienia najwyraźniej przenikały w obie strony — ale zablokował aż do żywego.

— Musimy już iść — oznajmił pozostałym. — Niezależnie od tego, czy Liah żyje czy nie, musimy. . . odejść. — Urien i Sulin pokiwali jedynie głowami, jednak Erith podeszła bliżej i poklepała go po ramieniu z zaskakującą delikatnością, jakiej trudno byłoby się spodziewać po uścisku dłoni, w której zdolna byłaby schować się jego głowa.

— Jeżeli wolno mi się wtrącić — powiedział Haman — to przebywaliśmy tu znacznie dłużej, niż pierwotnie zakładaliśmy. — Wskazał dłonią na zachodzące słońce. — Gdybyś wyświadczył nam tę przysługę i przeniósł nas poza obszar miasta w taki sam sposób, jak nas wprowadziłeś do środka, byłibyśmy bardzo wdzięczni.

Rand pamiętał las położony poza murami Shadar Logoth. Nie było w nim obecnie żadnych Myrddraali ani trolloków, niemniej jednak gęstwina była nieprzebyta, a Światłość zaś jedna tylko wiedziała, jak daleko jest do najbliższej wioski, albo w którym kierunku należy takiej szukać. — Mogę was szybko zabrać do samych Dwu Rzek.

Dwoje starszych ogirów pokiwało poważnie głowami.

— Niech błogosławieństwo Światłości spłynie na ciebie, a pokój zamieszka w twym sercu, za pomoc — wymruczała Covril. Uszy Erith aż wyprężyły się w oczekiwaniu, być może dlatego, że miała wkrótce spotkać Loiala, lub też, że opuszczała Shadar Logoth.

Rand wahał się przez chwilę. Loial z pewnością znajdować się będzie w Polu Emonda, ale tam nie mógł ich przenieść. Zbyt wielkie były szanse, że wieści o jego wizycie rozejdą się po całych Dwu Rzekach. A więc gdzieś na uboczu, dostatecznie daleko od wioski, by uniknąć także bliskości którejs z otaczających ją farm.

Pionowa szczelina światła pojawiła się w powietrzu i natychmiast poszerzyła, skaza rozlała się znowu w jego wnętrzu, gorsza niżli kiedykolwiek wcześniej; ziemia zdawała się nieomal uderzać w podeszwy jego butów.

Szóstka Aielów przeskoczyła na drugą stronę, a trójka ogirów podążyła za nimi z pospiechem, który tym razem bynajmniej nie dziwił, biorąc pod uwagę

okoliczności. Rand przystanął jeszcze na chwilę i spojrzął na zrujnowane miasto. Obiecał kiedyś Pantom, że pozwoli im umierać za siebie.

Kiedy ostatni z Aielów przeszedł już na drugą stronę, usłyszał syknięcie Sulin. Patrzyła na jego dłoń. Na wierzch jego dłoni, gdzie paznokcie drugiej otworzyły maleńką ranę; ciekła z niej teraz krew. Otulony w Pustkę miał wrażenie, że to ktoś inny odczuwa ten ból. Fizyczne rany nie miały znaczenia, goiły się. Wewnątrz miał inne, tam gdzie nikt nie mógł ich zobaczyć. Po jednej za każdą Pannę, która umarła — tym nigdy nie pozwoli się zagoić.

— Nic tu po nas — powiedział i przeszedł przez bramę do Dwu Rzek. Tętnienie pod stopami ustało, w momencie gdy brama rozwiała się bez śladu.

Rand usiłował się zorientować, gdzie się znaleźli. Precyzyjne umiejscowienie bramy nie było sprawą prostą, jeśli jej wyjście znajdowało się w miejscu, w którym nigdy się przedtem nie było. Jednak on wybrał takie, które znał wcześniej: zarośniętą zielskiem łąkę dobre dwie godziny drogi pieszo od południowego krańca Pola Emonda. W bladym świetle zachodzącego słońca dostrzegł spore stado owiec oraz chłopca z laską pasterską w dłoni i łukiem przewieszonym przez plecy, który przyglądał im się z odległości około stu kroków. Rand nie potrzebował wypełniającej go Mocy, aby stwierdzić, że chłopak wybałuszył oczy. Po chwili zobaczył, jak upuszcza laskę i rzuca się biegiem w stronę zabudowań farmy, której tu nie było w czasach, gdy Rand mieszkał jeszcze w Dwu Rzekach. Dach głównego domostwa pokrywały dachówki.

Przez chwilę Rand zastanawiał się, czy w ogóle trafił do Dwu Rzek. Jednakże atmosfera, jaką roztaczało wokół siebie to miejsce, jednoznacznie upewniała go, że się nie mylił. Zapach powietrza aż krzyczał, że oto znalazł się w domu. Wszystkich tych zmian, o których opowiadała mu Bode oraz reszta dziewcząt, tak naprawdę to nie przyjął do wiadomości; przecież nic nigdy nie zmieniało się w Dwu Rzekach. Czy on je powinien odesłać z powrotem, tutaj, do domu?

„Przede wszystkim powinieneś trzymać się od nich z daleka”. Myśl była pełna irytacji.

— Pole Emonda znajduje się w tamtym kierunku — powiedział. Pole Emonda. Perrin. W wiosce mógł także przebywać Tam, w gospodzie „Winna Jagoda”, razem z rodzicami Egwene. — To tam właśnie powinniście znaleźć Loiala. Nie mam pojęcia, czy zdążycie dojść przed zmierzchem. Możecie zatrzymać się na noc na jakiejś farmie. Jestem pewien, że pozwolą wam się gdzieś przespać. Nie mówcie im o mnie. Nie mówcie nikomu, w jaki sposób tutaj dotarliście. — Chłopiec widział, ale opowieść chłopca może zostać potraktowana jako zwykłe koloryzowanie, kiedy pojawią się ogirowie.

Haman i Covril poprawili tobołki, wymienili spojrzenia, a potem ona powiedziała:

— Nie powiemy nic o tym, jak tutaj dotarliśmy. Niech ludzie opowiadają sobie jakie chcą bajki.

Haman szarpnął bródkę i odkaszlnął.

— Nie wolno ci dopuścić do własnej zguby.

Nawet otulony w Pustkę, Rand poczuł zaskoczenie.

— Co?

— Droga, jaką masz przed sobą — zagrzmiał Haman — jest długa, mroczna i, naprawdę się obawiam, że przesiąknięta krwią. Boję się też bardzo, że zabierzesz nas wszystkich ze sobą, idąc swoim szlakiem. Ale musisz żyć, aby dojść do jej kresu.

— Będę żył — odparł lakonicznie Rand. — Powodzenia. — Próbował nasycić swe słowa choć odrobiną ciepła, jakimkolwiek uczuciem, ale nie miał pewności, czy mu się udało.

— Żegnaj, powodzenia — odpowiedział Haman, a kobiety powtórzyły echem jego słowa, a potem cała trójka odwróciła się w stronę zabudowań farmy. Jednak nawet w głosie Erith nie krył się choćby ślad wiary w to, co powiedziała.

Chwilę później Rand wciąż jeszcze stał w tym samym miejscu. Z domu wyszli ludzie, obserwowali zbliżających się ogirów, Rand jednak patrzył na północny zachód, nie w kierunku Pola Emonda, ale w stronę farmy, na której się wychował. Kiedy się odwrócił i otworzył bramę wiodącą do Caemlyn, to jakby odciął sobie rękę. Ten ból stanowił znacznie bardziej stosowny hołd pamięci Liah niżli tamto drobne skaleczenie.

## NA POŁUDNIE

Pięć kamieni tworzyło łagodnie wirujący krąg nad głową Mata, jeden czerwony, jeden niebieski, jeden jasnozielony, pozostałe zaś pasiaste, o bardzo ciekawym wzorze. Jechał przed siebie, prowadząc Oczko wyłącznie naciskiem kolan; włócznia o czarnym drzewcu wystawała za olster siodła, po przeciwnej stronie niżli drzewce łuku bez cięciwy. Kamienie sprawiły, że pomyślał o Thomie Merilinie, który nauczył go zonglować, i zadumał się, czy stary wciąż jeszcze żyje. Najprawdopodobniej nie. Czas, kiedy Rand posłał barda za Elayne i Nynaeve, wydawał się tak odległy. Miał niby opiekować się nimi. Jeżeli były na świecie jakieś dwie kobiety, które w mniejszym stopniu potrzebowały opieki, to Mat ich nie znał, żadne dwie inne jednak nie potrafiły szybciej doprowadzić mężczyzny do nieuchronnej zguby, ponieważ w ogóle nie słuchały głosu rozsądku. Nynaeve, czepiająca się wszystkiego, co człowiek zrobił albo powiedział, czy wreszcie choćby pomyślał, i przez cały czas szarpiąca groźnie ten swój warkocz, i Elayne, przekłeta Dziedziczka Tronu, która uważała, że wszystko będzie działo się po jej myśli, kiedy tylko zadrze ten swój nos do góry i oznajmi ci, jak powinno być. Robiła to w równie paskudny sposób, jak to zwykła czynić Nynaeve, z tym że Elayne była znacznie gorsza, ponieważ, jeżeli jej lodowate arystokratyczne sposoby zawodziły, uśmiechała się i błyskała dołeczkami w policzkach, oczekując, iż wszyscy padną przed nią na kolana, ze względu na jej nieodparty urok. Miał nadzieję, że Thomowi udało się jednak ocalić jakąś skórę w ich towarzystwie. Miał nadzieję, że one też mają się dobrze, ale nie miałby nic przeciwko temu, gdyby obie wylądowały w kotle z wrzątkiem, przynajmniej choć raz na cały ten czas, jaki upłynął od momentu, kiedy wyprawiły się, Światłość jedna wiedziała, dokąd. A niech zobaczą, jak to jest, kiedy jego nie ma w pobliżu, żeby wyciągnąć je z tarapatów, bo kiedy to dla nich robił, to nigdy nie usłyszał nawet słowa podziękowania. Nie musiał to nawet być szczególnie gorący wrzątek; wystarczy, jak pożałują, że nie ma przy nich Mata Cauthona, który znowu by je ratował jak jakiś idiota.

— A ty co o tym myślisz, Mat? — zapytał Nalesean, podprowadzając bliżej konia. — Zastanawiałeś się kiedykolwiek, co to znaczy być Strażnikiem?

Mat omal nie upuścił kamieni. Daerid i Talmanes patrzyli na niego, z twarzami

spływającymi potem, i czekali na odpowiedź. Słońce powoli zmierzało w stronę horyzontu, niedługo będą musieli się zatrzymać. Zmierzch zdawał się trwać coraz dłużej, w miarę jak ubywało dnia, niemniej jednak Mat bardzo chciał siedzieć już gdzieś wygodnie z fajką w dłoni. Poza tym na takim terenie, kiedy zaczynało brakować światła, konie łatwo mogły połamać sobie nogi. Ludzie zresztą również.

Za nimi podążał cały Legion, konnica i piechota wlokące za sobą ogromny ogon kurzu; sztandary powiewały na wietrze, za to bębny milczały. Pokonywali właśnie pasmo niskich wzgórz, porośniętych rzadkimi zaroślami i zagajnikami. Minęło jedenaście dni od opuszczenia Maerone, znajdowali się dokładnie w połowie drogi do Łzy, być może nawet odrobinę dalej, poruszając się szybciej, niż z początku Mat oczekiwał. I tylko jeden dzień pozwolili odpoczywać koniom. Z pewnością wcale mu się nie spieszyło, aby zająć miejsce Weiramona, nie potrafił jednak nie zastanawiać się, jaką odległość udałoby im się pokonać między wschodem a zachodem słońca, gdyby naprawdę musieli. Jak dotąd ich rekord wynosił czterdzieści pięć mil, przynajmniej tak wynikało z przybliżonych obliczeń. Rzecz jasna, tabory goniły ich przez pół nocy, za to piechota wzięła na ambit i pokazała, że potrafią dotrzymać kroku konnym, przynajmniej na długich dystansach, jeśli już nie na krótkich.

Odrobinę z tyłu, na wschodzie, zobaczył oddział Aielów rozproszony na porośniętym lasem wzgórzu, biegli ze swobodą i powoli zmniejszali dzielącą ich odległość. Najpewniej biegli truchtem już od wschodu słońca i będą tak biec do zapadnięcia zmroku, jeśli nie dłużej. Jeżeli uda im się dogonić Legion, zanim zapadnie zmrok, będzie to stanowiło dla nich dodatkową zachętę na jutrzejszy dzień. Za każdym razem, gdy Aielowie go mijali, zdawali się gotowi biec jeszcze przez kolejną milę albo dwie, następnego dnia.

Kilka mil od miejsca, w którym przebywali teraz, zagajniki na powrót przechodziły w gęsty las; trzeba będzie zbliżyć się do Erinin, zanim do niego dotrą. Kiedy wjechali na szczyt wzgórza, Mat mógł stamtąd zobaczyć wody rzeki oraz pięć wynajętych łodzi płynących w stronę Czerwonej Ręki. Cztery kolejne wracały właśnie do Maerone po następny ładunek, głównie obrok dla koni. Nie widział natomiast ludzi, ale wiedział, że oni tam są. Jedni wędrowali w górę rzeki, inni w dół, wszyscy jednak zmieniali kierunek swego marszu, gdy napotykali grupę prowadzoną przez kogoś dostatecznie wygadanego. Garstka jedynie posiadała wózki, które zazwyczaj sami ciągnęli, albo jakieś większe wozy, a przytłaczająca większość nie posiadała nic prócz tego, co nieśli na grzbietach; nawet najbardziej tępi na umyśle bandyci nauczyli się, że nie ma sensu zajmować się tymi ostatnimi. Mat nie miał pojęcia, dokąd oni zmierzają, oni zresztą również tego chyba nie wiedzieli, jednak było ich tylu, by stanowili uciążliwą zawadę na drodze biegnącej wzdłuż rzeki. Gdyby nie oni, Legion maszerowałby znacznie szybciej.

— Strażnikiem? — powtórzył Mat, chowając kamienie do torby przy siodle. Wszędzie mógł sobie znaleźć takie, te jednak podobały mu się ze względu na



kolory. W torbie miał ponadto pióro orła oraz fragment kamiennej płytki, białej jak śnieg, która tak wyglądała, jakby kiedyś pokrywały ją spiralne żłobienia. W miejscu, gdzie ją znalazł, widział także ogromny głaz, który jego zdaniem musiał niegdyś stanowić głowę posągu, ale zapewne potrzebowałby wozu, żeby go stamtąd zabrać. — W życiu. To sami durnie i nieudacznicy, którzy pozwalają Aes Sedai wodzić się za nos. Ale skąd wam to w ogóle przyszło do głowy?

Nalesean wzruszył ramionami. Cały ociekał potem, a mimo to nie zdejmował kaftana — tego dnia czerwonego w niebieskie paski — i pozostawiał go zapiętym aż pod szyję. Mat swój rozpiął, a i tak myślał, że zaraz się ugotuje.

— Przypuszczam, że to wszystko przez te Aes Sedai — powiedział Tairenianin. — A żeby mi dusza szczyła, trudno myśleć inaczej, nieprawdaż? A tak naprawdę, to o co im właściwie chodzi? — Miał na myśli te Aes Sedai z drugiego brzegu Erinin, o których donosili zwiadowcy.

— Lepiej o nich nie myśleć, takie jest moje zdanie. — Mat musnął przez koszulę srebrną głowę lisa; nawet z nią był zadowolony, że Aes Sedai znajdują się na drugim brzegu. Każdym z zaopatrujących Legion rzecznych statków podróżowała garstka jego żołnierzy, którzy zgodnie z jego rozkazem wysiadali na ląd przy wszystkich mijanych wioskach, aby przekonać się, czy nie usłyszą czegoś nowego. Jak dotąd, przynoszone przez nich wieści nie były szczególnie odkrywczymi, i rzadko kiedy zadowalające. Najmniej pomyślna była wieść o zgromadzeniu Aes Sedai.

— A niby jak tu o nich nie myśleć? — zapytał Talmanes. — Czy sądzisz, że Wieża naprawdę manipulowała Logainem? — Była to jedna z najnowszych wiadomości, pochodząca dokładnie sprzed dwu dni.

Mat ściągnął kapelusz, otarł czoło z potu i dopiero wtedy odpowiedział. Noc powinna przynieść z sobą trochę chłodu. Ale żadnego wina, żadnego *ale*, żadnych kobiet, nici z gry. Któż z własnej woli chciałby zostać żołnierzem?

— Moim zdaniem Aes Sedai wtrącają się prawie we wszystko. — Wsunął palec za szarfę na szyi i rozluźnił ją trochę. Jediną pozytywną rzeczą, którą można było powiedzieć o Strażnikach, przynajmniej tyle wyniósł z obserwacji Lana, to, że zdawali się nigdy nie pocić. — Ale aż do tego stopnia się nimi przejmować? Talmanes, można by pomyśleć, że sam byłeś kiedyś Aes Sedai. Nie byłeś, nieprawdaż?

Daerid aż zgiął się w pół ze śmiechu, a Nalesean omal nie spadł z konia. Talmanes zeszywniał z początku, ale po chwili też się uśmiechnął. Ten człowiek nie odznaczał się szczególnie dobrze rozwiniętym poczuciem humoru, ale jakaś odrobina gdzieś się tam w nim tłukła.

Szybko jednak spoważniał.

— A co z Zaprzysięgłymi Smokowi? Będą kłopoty, Mat, jeżeli to wszystko jest prawdą. — Śmiech pozostałych ucichł jak ucięty toporem.

Mat skrzywił się. To była najświeższa wieść czy też plotka — jak zwał, tak

zwał — postyszana wczoraj. Gdzieś w Murandy spalona została cała wioska. Gorzej, najprawdopodobniej wymordowano tam wszystkich, którzy nie chcieli złożyć przysięgi na wierność Smokowi Odrodzonemu, a razem z nimi ich rodziny.

— Rand zajmie się nimi. Jeżeli to prawda. Aes Sedai, Zaprzysięgli Smokowi, to wszystko jego sprawy, od których my powinniśmy trzymać się z daleka. Dbajmy lepiej o własne.

To oczywiście nie przegnało ponurego wyrazu z ich twarzy. Widzieli już zbyt wiele spalonych wiosek, a najprawdopodobniej wiele jeszcze mieli zobaczyć, zanim dotrą do Łzy. Któż chciałby być żołnierzem?

Na szczycie najbliższego wzgórza pojawił się jakiś jeździec; pędził galopem w ich stronę, nawet po drodze w dół zbocza raczej wolał przeskakiwać nad kępami krzewów, niżli je omijać. Mat dał znak, że mają się zatrzymać i powiedział:

— Żadnych trąb. — Słowo przeszło wzdłuż kolumny cichnym pomrukiem, ale on nie spuszczał oczu z jeźdźca.

Ocierając pot z czoła, Chel Vanin zatrzymał swego dereszowatego wałacha tuż przed Matem. W niezgrabnym szarym kaftanie, który wisiał na nim jak worek, siedział w siodle, które z jakichś powodów również przypominało worek. Vanin był gruby, ale bynajmniej się tym nie przejmował. Mimo nieprawdopodobnego wyglądu potrafił jeździć na wszystkim, co w ogóle dało się dosiąść.

O wiele wcześniej, zanim dotarli do Maerone, Mat zaskoczył Naleseana, Dairida i Talmanesa, wypytując ich o imiona najlepszych kłusowników i złodziei koni w ich szeregach, takich, których wina raczej nie ulegała wątpliwości, a którym jednak nie potrafiono niczego udowodnić. Dwaj arystokraci za nic nie chcieli przyznać, by ktokolwiek taki zagrzewał miejsce w ich oddziałach, jednak kiedy ich trochę nacisnął, podali mu imiona trzech Cairhienian, dwóch Tairenian i, ku jego zaskoczeniu, dwóch Andoran. Mat sądził, że wszyscy Andoranie przebywali z Legionem dostatecznie długo, by dać się poznać od tej strony, najwyraźniej jednak tym dwóm jakoś udało się zataić swe rzemiosło.

Tych siedmiu ludzi wziął na bok i poinformował, że potrzebni mu są zwiadowcy, oraz że od dobrego zwiadowcy wymaga się takich samych umiejętności jak od kłusownika czy złodzieja koni. Ignorując gwałtowne protesty, jakoby choć raz popełnili jakiegokolwiek przestępstwo — każdy z nich protestował jeszcze goręcej niżli Talmanes i Nalesean razem wzięci, równie elokwentnie, chociaż używając znacznie większej ilości przekleństw — zaproponował, że zapomni o ich wszystkich dotychczasowych przewinieniach, zapłaci potrójny żołd i nie będzie wnikał w szczegóły, póki będą mówić mu prawdę. A za pierwsze kłamstwo powiesi; wielu ludzi może bowiem zginąć, jeśli zwiadowca skłamie. Mimo groźby, wszyscy, jak jeden mąż, skwapliwie skorzystali z propozycji, przypuszczalnie większą rolę odegrała tu perspektywa możliwości poleniuchowania od czasu do czasu, niżli większej zapłaty w srebrze.

Ale siedmiu to było za mało, a więc zapytał ich z kolei, czy nie mogliby za-

proponować kogoś jeszcze, pamiętając przy tym, co powiedział na temat wymaganych umiejętności, jak również nie zapominając o fakcie, że to, czy dożyją, aby odebrać swą potrójną zapłatę, zależeć będzie w znacznej mierze od zdolności tych, których wymienia. Długo drapali się po brodach i spoglądali nań spode łba, niemniej jednak, naradziwszy się, podali mu jeszcze jedenaście nazwisk, przez cały czas zastrzegając się, że nic nie sugerują na temat tamtych ludzi. Jedenastu żołnierzy, którzy byli tak dobrymi kłusownikami i złodziejami koni, że ani Dairid, ani Talmanes, ani Nalesean o nic ich nigdy nie podejrzewali, za to nie dość zręcznymi, by uniknąć uwagi pierwszej siódemki. Mat złożył im taką samą propozycję i znowu wypytał o następne nazwiska. W chwili, gdy żaden nie potrafił mu podać dalszych nazwisk, dysponował już oddziałem złożonym z czterdziestu siedmiu zwiadowców. Ciężkie czasy sprawiły, że wielu ludzi wzięło się za wójczkę, porzucając rzemiosło, którym zajmowaliby się w normalnej sytuacji.

Jednym z ostatnich przesłuchiwanym przez Mata, okazał się właśnie Chel Vanin, mieszkaniec Andoru, który przedtem mieszkał w Maerone, ale grasował swobodnie na obu brzegach rzeki Erinin. Vanin potrafiłby ukraść jajka spod wysiadującej je kury, w taki sposób, by nawet nie drgnęła w swoim gnieździe, chociaż raczej w tym przypadku nie należało wątpić, że i ją również schowałby do worka. Potrafiłby też wykraść konia spod jadącego na nim szlachcica, w taki sposób, by tamten niczego nie zauważył przez następne dwa dni. Tak w każdym razie twierdzili ci, którzy go polecili, głosami pełnymi przestrochu przemieszanego z podziwem. Vanin, ze szczerbatym uśmiechem i wyrazem skończonej niewinności na okrągłej twarzy, początkowo protestował. Ależ skąd, był tylko stajennym, a czasami parą się weterynarią, jak dostał taką posadę. Ostatecznie zgodził się jednak na tę robotę, za poczwórny żołd. Jak dotąd okazał się wart wielokrotnie więcej.

Vanin wyglądał na mocno zaniepokojonego. Podobało mu się, że Mat nie lubi, jak się doń zwracać „mój panie”, ponieważ nie przepadał specjalnie za kłanianiem się przed kimkolwiek, niemniej jednak potarł czoło kciukiem, co zapewne miało stanowić jakiś rodzaj powitania.

— Myślę, że powinienesz to zobaczyć. Nie mam pojęcia, co o tym sądzić. Musisz zobaczyć na własne oczy.

— Zaczekajcie tutaj — zwrócił się Mat do pozostałych, a do Vanina rzekł: — Zaprowadź mnie.

Nie musieli daleko jechać, pokonali tylko dwa wzgórza, a potem jeszcze trochę w górę wijącego się strumienia, którego brzegi znaczyła wyschła glina. Zapach zdradził, co Vanin chciał mu pokazać, zanim pierwsze sępy wzbity się w powietrze. Pozostałe wykonały tylko kilka machnięć skrzydłami, potem na powrót sfrunęły na ziemię, przekrzywiając bezwłose łby i skrzecząc wyzywająco. A były tam jeszcze gorsze, takie, które nawet nie oderwały się od swego koszmarnego posiłku, podobne do rozedrganych brył ulepionych z zakrwawionych czarnych

piór.

Przewrócony wóz, maleńki domek na kółkach pomalowany na jadowite zielone, błękitne i żółte, wskazywał jednoznacznie, że to karawana Druciarzy, niewiele wozów zostało nie tkniętych. Na ziemi leżały ciała, w jaskrawych ubiorach, podartych i pociemniałych od plam zaschniętej krwi, mężczyźni, kobiety, dzieci. Mat, jakąś częścią umysłu, chłodno przeanalizował rozpościerający się przed nim widok; reszta jego osoby pragnęła tylko zwymiotować, uciec, zrobić wszystko, byle nie siedzieć tutaj na grzbiecie Oczka. Atakujący w pierwszej kolejności nadeszli od zachodu. Większość ciał mężczyzn i starszych chłopców znajdowała się tam właśnie, a wśród nich wały się szczątki ogromnych psów, jakby one próbowały uformować szereg, żeby odeprzeć napastników. Ciała kobiet i dzieci spoczywały w taki sposób, że widać było, iż próbowali z początku uciekać. Próba okazała się daremna. Ich ciała piętrzyły się jedne na drugich, tam gdzie dopadł ich drugi oddział napastników. Teraz w tym miejscu poruszały się tylko sępy.

Vanin splunął z niesmakiem przez szczelinę w uzębieniu.

— Przeganasz ich, bo ci wszystko ukradną. . . jak nie upilnujesz, to ukradną ci nawet dzieciaka i wychowają go potem jak własnego. . . na zakończenie możesz ich poczęstować kopniakiem, żeby szybciej uciekali, ale przecież nie robi się takich rzeczy. Któż byłby do tego zdolny?

— Nie wiem. Rozbójnicy. — Wszystkie konie zniknęły. Ale rozbójnikom zazwyczaj zależało na łupach, nie na zabijaniu, a żaden Druciarz nie opierałby się nawet wtedy, gdybyś mu zabierał ostatni grosz, albo obdzierał go z kaftana czy butów. Mat z wysiłkiem rozprostował dłonie zaciśnięte na wodzach. Nie sposób było spojrzeć w żadną stronę, by nie zobaczyć ciała kobiety, martwego dziecka. Temu, kto to zrobił, zależało, by nikt nie przeżył. Wolno objechał pozostałości obozowiska, starając się nie zwracać uwagi na sępy, które na jego widok skrzeczały i gwałtownie machały skrzydłami. Ziemia była zbyt sucha, by zostały na niej jakieś wyraźne ślady, aczkolwiek wydawało mu się, że konie rozjechały się we wszystkie strony. Po chwili wrócił do Vanina. — Mogłeś mi powiedzieć, co tu znajdziemy. Nie musiałem tego oglądać.

„Światłości, naprawdę nie musiałem!”

— Mogłem ci powiedzieć, że właściwie nie ma tu żadnych śladów — odparł Vanin, zawracając konia w stronę płytkiego strumienia. — Ale jest tu coś, co chyba powinieneś zobaczyć.

Ogień strawił większą część budy przewróconego na bok wozu, ale jego dno ocalało; sterczały z niego żółte koła z czerwonymi szprychami. Obok leżał mężczyzna w jasnoniebieskim niegdyś kaftanie; jedna z wyciągniętych rąk aż czarna była od krwi. Na tle drewna, z którego wykonano dno wozu, wyróżniał się wykonany chwiejną ręką napis:

POWIEDZCIE SMOKOWI ODRODZONEMU

„Powiedzieć mu, ale co?” — pomyślał Mat. Że ktoś wymordował całą karawanę Druciarzy? A może ten człowiek umarł i nie zdążył napisać wszystkiego, co chciał? Nie byłby to pierwszy raz, kiedy jakiś Druciarz miał do przekazania jakiejś ważnej informacji. W opowieści ten mężczyzna żyłby dostatecznie długo, by jednak nabazgrać to, co potem przyczyniłoby się do ostatecznego zwycięstwa. No cóż, już nikt nigdy się nie dowie, co to miała być za wiadomość.

— Miałeś rację, Vanin. — Mat zawahał się. Powiedźcie Smokowi Odrodzonemu. . . Tylko co? Lepiej nie pomnażać plotek; tyle już ich przecież krążyło. — Obejrzyj pozostałe wraki, zanim stąd odjedziesz. A jak ktoś będzie cię wypytywał, to nie widzialesz tu nic więcej oprócz całego mnóstwa trupów. — W tym również trupów kobiet i dzieci.

Vanin pokiwał głową.

— Wstrętne dzikusy — wymamrotał i ponownie splunął. — To mogli być jacyś rozbójnicy.

Dotarł do nich oddział Aielów złożony z trzystu, może czterystu ludzi. Zbiegli truchtem ze zbocza i pokonali strumień w odległości nie większej jak pięćdziesiąt kroków od wozów. Kilku uniosło dłoń w pozdrowieniu; Mat nie rozpoznał ich, ale wielu Aielów przecież słyszało o przyjacielu Randa al'Thora, który nosił taki kapelusz, i z którym lepiej było nie zasiadać do gry. Ruszyli w stronę następnego wzgórza, jakby te wszystkie ciała w ogóle nie istniały.

„Przekłęci Aielowie!” — pomyślał Mat. Wiedział, że Aielowie unikali Druciarzy, że ich lekceważyli, lecz nie wiedział dlaczego, jednak to. . .

— Nie sądzę — powiedział. — Spal to, Vanin.

Talmanes i pozostali, rzecz jasna, czekali tam, gdzie ich zostawił. Kiedy im opowiedział, co znajduje się przed nimi, i że trzeba wyznaczyć oddziały, które zajmą się pogrzebaniem ciał, ponuro pokiwali głowami. Daerid mruknął z niedowierzaniem:

— Druciarze?

— Rozbijemy tutaj obóz — dodał Mat.

Spodziewał się jakichś komentarzy — było na tyle widno, że mogliby pokonać kilka mil więcej, a ci trzej posunęli się do tego, że zakładali się, jak duży dystans przemaszeruje Legion kolejnego dnia — jednak Nalesean powiedział tylko:

— Poślę kogoś nad rzekę, by dał znak łodziom, że nie mają dalej płynąć.

Może czuli to samo co on. Jeżeli nie pójdą zupełnie nad samą rzeką, to może unikną przynajmniej widoku sępów krążących po niebie nad szczątkami pogrzebanych. Widok martwych ciał wcale nie należał do przyjemnych, nawet jeśli człowiek dość się już na nie napatrzył. Mat w każdym razie przypuszczał, że jeśli jeszcze raz choćby spojrzy na te ptaki, to z pewnością zbuntuje mu się żołądek. Rankiem będą tam już tylko groby, bezpiecznie skryte w ustronnym miejscu.

Wspomnienia jednak nie chciały go opuścić; nawet wtedy, gdy już jego namiot został rozbity na wzgórzu, gdzie docierałby do niego wiatr od rzeki, gdyby

wreszcie zaczął wiać. Ciała zasiekane przez morderców, podziobane przez sępy. Gorzej niż podczas bitwy o Cairhien, stoczonej z Shaido. Wprawdzie ginęły tam Panny, ale on żadnej nie widział, no i nie było tam dzieci. Druciarz nie walczyłby nawet w obronie swego życia. Nikt nie zabijał Ludu Wędrowców. Skubnął trochę wołowiny z fasolą, a potem najszybciej jak mógł wycofał się do swojego namiotu. Nawet Nalesean nie miał ochoty na rozmowę, a Talmanes zdawał się jeszcze bardziej ponury niż zazwyczaj.

Wieści o zbiorowym morderstwie szerzyły się szybko. Mat nie pamiętał, by kiedykolwiek w obozie panowała taka cisza. Zazwyczaj w nocnym mroku rozlegały się ochryple śmiechy, a niekiedy jakieś fałszującym głosem śpiewane pieśni, póki sierżanci nie zagnali garstki tych, którzy za nic nie chcieli przyznać, że są zmęczeni, pod koce. Dzisiejsza noc była taka sama jak wtedy, gdy znaleźli wioskę pełną nie pogrzebanych ciał, albo grupę uchodźców, którzy próbowali chronić resztki swego dobytku przed bandytami. Po czymś takim niewielu potrafiło się śmiać albo śpiewać.

Mat leżał na pościeli i palił fajkę, póki nie zapadła całkowita ciemność, jednak namiot znajdował się zbyt blisko, więc sen nie chciał nadejść, płoszyły go bowiem wspomnienia o martwych Druciarzach i jeszcze starsze wspomnienia dawniejszych śmierci. Zbyt wiele bitew, zbyt wielu poległych. Ujął włócznię w dłonie, przesunął palcami po inskrypcjach w Dawnej Mowie wyrytych na jej drzewcu.

*Tak brzmią słowa naszego traktatu; oto zawarliśmy umowę.  
Myśl jest strzałą czasu; pamięć nigdy nie ginie.  
To, o co się prosi, jest dane. Zapłacono cenę.*

On wyszedł najgorzej na tym interesie.

Po jakimś czasie wziął koc, a po chwili namysłu również włócznię, po czym wyszedł na zewnątrz w samej bieliźnie; srebrna głowa lisa na obnażonej piersi chwyciła światło księżyca. Wiał lekki wiatr, ledwie poruszając powietrze i przynosząc zaledwie ślad chłodu, prawie wcale nie poruszając sztandarem Czerwonej Ręki zwisającym z drzewca w białego w ziemię obok jego namiotu; w każdym razie teraz było nieco lepiej niż za dnia.

Rzucił koc na poszycie i leżał na plecach. Kiedy był mały, lubił przed zaśnięciem przypatrywać się gwiazdom; próbował wtedy nadawać ich konstelacjom różne nazwy. Na tym bezchmurnym niebie malejący księżyc dawał dosyć światła, by większość gwiazd zniknęła, jednak niektóre było jeszcze widać. Tuż nad głową Mata świecił Haywain, a zaraz obok Pięć Sióstr; dalej Trzy Gęsi wskazywały północ. Łucznik, Oracz, Kowal, Wąż. Tę ostatnią Aielowie nazywali Smokiem. Tarcza, zwana przez niektórych Tarczą Hawkwinga — na myśl o nim drgnął niespokojnie; w niektórych wspomnieniach naprawdę nie przepadał za Arturem Paendragiem Tanreallem — Jeleń i Wół. Puchar i Wędrowiec z wyraźnie odznaczającym się kosturem.

Nagle coś usłyszał. Gdyby noc nie była taka spokojna, to tak cichy dźwięk nie wzbudziłby jego podejrzeń. Któż mógłby chcieć się tutaj zakradać? Zaciekawiony wsparł się na łokciu — i aż zeszywniał.

Wokół jego namiotu niczym cienie poruszały się jakieś sylwetki. Księżycowa poświata zalała jedną z nich na tyle dokładnie, że mógł zobaczyć zasłoniętą twarz. Aielowie? Co, na Światłość? W całkowitej ciszy okrążyli namiot, podszli bliżej; jasny metal błysnął w ciemnościach nocy, szelest przecinanej materii, a potem zniknęli we wnętrzu. Chwilę później byli już na zewnątrz. I rozglądali się dookoła; było dość jasno, by mógł obserwować ich poczynania.

Podkurczył nogi. Może uda mu się jakoś przeczołgać tak, by tamci niczego nie dosłyszeli.

— Mat? — zawołał Talmanes ze szczytu wzgórza; było słychać, że jest mocno pijany.

Mat znieruchomiał; może Talmanes zawróci, jeśli pomyśli, że on śpi. Aielowie z pozorów zniknęli, pewien był jednak, że przypadli do ziemi, dokładnie tam, gdzie przedtem stali.

Szuranie butów Talmanesa było coraz bliższe.

— Mam tu trochę brandy, Mat. Chyba powinieneś się napić. Brandy pomaga w zasypianiu. Zapomnisz o nich.

Mat zastanawiał się, czy Aielowie usłyszą jego poruszenia poprzez krzyki Talmanesa, jeżeli będzie pełzył. W odległości nie dalszej niż dziesięć kroków powinni spać pierwsi żołnierze — Pierwszy Sztandar Konia, Pioruny Talmanesa, których tej nocy spotkał ten „zaszczyt” — mniej niżli w odległości dziesięciu kroków względem jego namiotu i miejsca, gdzie czaili się Aielowie. Byli szybcy, ale wystarczy, jak wyprzedzi ich o jeden czy dwa kroki, i już go nie dogonią, zanim nie znajdzie się w otoczeniu pięćdziesięciu żołnierzy.

— Mat? Nie wierzę, że śpisz, Mat. Widziałem twoją twarz. Od czasu do czasu dobrze jest przepędzić sny. Uwierz mi, ja wiem najlepiej.

Mat przykucnął, ścisnął włócznię i zrobił głęboki wdech. Dwa kroki.

— Mat? — Talmanes był coraz bliżej. Ten idiota w każdej chwili może wejść prosto na Aielów. Poderżną mu gardło i nawet nie westchnie.

„A żebyś szczeł — pomyślał Mat. — Potrzebowałem tylko tych dwóch kroków”.

— Wyciągać miecze! — krzyknął i wyprostował się — Aielowie w obozie! — Pognał w dół zbocza. — Wszyscy do sztandaru! Wszyscy do Czerwonej Ręki! Wstawać, psia kawalerio, ruszać się, hieny cmentarne!

Oczywiście pobudził wszystkich, ponieważ miotał się niczym byk w kolczastych zaroślach. Cały obóz rozteńnił się okrzykami; bębny zaczęły bić na zbiórkę, wściekle zawodziły trąby. Żołnierze z Pierwszego Konia, wygnani przez wrzawę ze swoich legowisk, biegli już w kierunku sztandaru, wymachując mieczami.

Aielowie mieli znacznie krótszy dystans do pokonania niż żołnierze. Poza tym wiedzieli, po co tu przyszli. Coś jednak — instynkt, być może szczęście *ta'veren*; z pewnością Mat nie mógł niczego usłyszeć w tym zamieszaniu — kazało mu się odwrócić dokładnie w tym samym momencie, gdy pierwsza zamaskowana postać rzuciła się na niego, wyskakując jakby spod ziemi. Nie miał czasu na zastanowienie. Zablokował cios włóczni drzewcem swojej, ale Aiel odbił jego ripostę tarczą i kopnął go w brzuch. Tylko desperacja sprawiła, że Mat utrzymał się na nogach, mimo iż nie mógł przez chwilę zupełnie oddychać; uskoczył przed ostrzem włóczni, które drasnęło mu żebra, swoim drzewcem zbił Aiela z nóg, a potem przebił jego serce. Światłości, miał nadzieję, że to był mężczyzna.

Uwolnił ostrze włóczni dokładnie na czas, by odwrócić się i stawić czoło następnym.

„Powinienem być uciec przy pierwszej lepszej, przeklętej okazji!”

Wymachiwał włócznią, jakby to była pałka, tak szybko jak mu się jeszcze nie zdarzyło w życiu, blokując dżgające go ostrza włóczni Aielów, nawet nie mając czasu odpowiedzieć ciosem na cios. Zbyt wielu ich było.

„Powinienem być zamknąć swoją przeklętą gębę i uciekać!”

Udało mu się wreszcie odzyskać oddech.

— Wszyscy tutaj, wy upstrzeni gołębim łajnem złodzieje owiec! Głusi jesteście? Oczyścić uszy i do mnie!

Zastanawiając się jakąś częścią umysłu, dlaczego właściwie jeszcze żyje — miał szczęście z tamtym pierwszym Aielem, ale nikt przecież nie mógł mieć tyle szczęścia, aby stawić czoło temu, co się tu działo — i nagle zdał sobie sprawę, że nie jest już sam. Kościsty Cairhienianin w samej białźnie padł niemalże pod jego stopy z przenikliwym okrzykiem, ale jego miejsce natychmiast zajął wymachujący mieczem Tairenianin w rozchełstanej koszuli. Powoli następni włączali się do walki, wykrzykując najrozmaitsze rzeczy, od: „Lord Matrim i zwycięstwo!”, przez „Czerwona Ręka!”, aż po „Zabić czarnopyską zarazę!”

Mat zrezygnował z dalszej walki, zostawiając ją swoim ludziom.

„Generał, który idzie w pierwszym rzędzie nacierających żołnierzy, jest głupcem”. — Ten aforyzm pochodził z jednego ze starych wspomnień; nazwisko autora dawno temu odeszło w niepamięć. — „Człowiek może dać się tutaj zabić”. — To już był czysty Mat Cauthon.

O ostatecznym wyniku starcia zdecydowała sama przewaga liczebna. Kilkunastu Aielów przeciwko, jeśli nie całemu Legionowi, to przynajmniej kilku setkom żołnierzy, którzy zdążyli dobiec do wzgórza, zanim wszystko się skończyło. Dwunastu martwych Aielów i półtora raza tylu martwych żołnierzy Legionu, a oprócz nich co najmniej dwa razy tylu całkiem zalanych krwią, pojękujących jednak, kiedy ich opatrywano. Mimo skromnego udziału w walce, Mat otrzymał kilka draśnięć; podejrzewał, że przynajmniej trzy rany będą domagały się szycia.

Włócznia posłużyła mu jako kostur; wsparty na niej pokuśtykał do ułożonego



na ziemi Talmanesa. Towarzyszący mu Daerid próbował właśnie zabandażować jego lewą nogę.

Biała koszula Talmanesa, nie zapięta, lśniła ciemno w dwu miejscach.

— Wychodzi na to — wydyszał — że Nerim, ten byk o łapskach jak szynki, będzie znowu próbował na mnie swych sił jako szwaczka. A żeby szczeł. — Nerim był służącym Talmanesa i równie często szył ciało swego pana jak jego odzież.

— Wyjdzie z tego? — zapytał cicho Mat.

Daerid wrzuszył ramionami. Miał na sobie tylko spodnie.

— Krwawi w mniejszym stopniu niż ty, jak mi się zdaje. — Podniósł głowę. Widać było, że nowa blizna miała uzupełnić kolekcję na jego twarzy. — Dobrze, że nie udało im się ciebie dostać, Mat. To oczywiste, że przyszli tu po ciebie. Mat odkaslnął.

— Też tak myślę — Zadygotał, gdy przed oczyma stanął mu obraz Aielów znikających w jego namiocie. Po co, na Światłość, Aielowie mieliby go zabijać?

Od strony, gdzie ułożono w rzędzie ciała Aielów, nadszedł Nalesean. Nawet teraz miał na sobie swój kaftan, ale tym razem nie zapięty; popatrywał krzywo na krwawą plamę na klapie. Może jego krew, a może nie.

— A żeby mi szczeła dusza, wiedziałem, że te dzikusy wcześniej czy później zwrócą się przeciwko nam. Podejrzewam, że to część tego oddziału, który nas dzisiaj minął.

— Wątpię — odparł Mat. — Gdyby tamci chcieli mnie dopaść, to już by mnie obracali na rożnie, zanim którykolwiek z was zdałby sobie w ogóle sprawę, co się dzieje. — Pokuśtykał z wysiłkiem do ciał Aielów, po czym przyjrzał się im uważnie w świetle latarni, którą wcześniej ktoś przyniósł, aby wzmocnić światło księżycy. Omal nie ugięły się pod nim kolana, z ulgi, że widzi same męskie twarze. Nie znał żadnego, lecz przecież wielu Aielów nie widział w życiu na oczy. — Podejrzewam, że to są Shaido — oznajmił, wracając z latarnią do pozostałych. To mogli być Shaido. Ale mogli to też być Sprzymierzeńcy Ciemności; kto jak kto, ale on doskonale wiedział, że wśród Aielów również można było spotkać Sprzymierzeńców Ciemności. A Sprzymierzeńcy Ciemności, rzecz jasna, mieli powody, by chcieć jego śmierci.

— Moim zdaniem powinniśmy jutro poszukać którejs z tych Aes Sedai z drugiego brzegu rzeki — stwierdził Daerid. — Talmanes będzie żył, chyba że wycieknie z niego cała brandy, jaką ma w żyłach, jednak niektórzy mogli mieć mniej szczęścia. — Nalesean nie powiedział nic, ale z jego mruknięcia wyczytać można było całe tomy; mimo wszystko był Tairenianinem i w jeszcze mniejszym stopniu niż Mat lubił Aes Sedai.

Mat zgodził się bez wahania. On sam z pewnością nie pozwoliłby żadnej Aes Sedai używać wobec siebie Mocy — w pewnym sensie każda jego blizna oznaczała małe zwycięstwo, kolejny raz, kiedy udało mu się uniknąć Aes Sedai — ale

nie mógł przecież pytać kogoś, czy chce umrzeć. A potem powiedział im, czego jeszcze od nich chce.

— Rów? — zapytał Talmanes pełnym niedowierzania tonem. — Dookoła całego obozu? — Naleseanowi aż zadrżała broda. — Każdej nocy?

— I palisada? — wykrzyknął Daerid. Rozejrzawszy się dookoła, zniżył głos. W pobliżu wciąż jeszcze kręciło się kilku żołnierzy, którzy odciągali na bok ciała poległych. — Zbuntują się, Mat.

— Nie, nie zbuntują się — powiedział Mat. — Rankiem wszyscy ludzie, co do ostatniego żołnierza, będą wiedzieli, że Aielowie przekradli się przez cały obóz, aby dostać się do mojego namiotu. Połowa nie będzie mogła spać, spodziewając się w każdej chwili obudzić z włócznią Aiela między żebrami. Wy trzej dopilnujcie, żeby wszyscy zrozumieli, iż palisada może powstrzymać Aielów przed powtórным dostaniem się do obozu. — A przynajmniej sprawi, że nie będą mogli zrobić tego odpowiednio szybko. — A teraz idźcie już, dajcie mi się trochę zdrzemnąć.

Po ich odejściu uważnie obejrzał swój namiot. Aielowie weszli do środka przez długie cięcia w ścianie, rozdymane teraz przez lekki wiatr. Westchnął i już miał powędrować po swój koc, wciąż leżący w zaroślach, ale zawahał się. Tamten dźwięk, który go zaalarmował. Potem Aielowie nie zrobili już żadnego innego hałasu, nawet nie zaszeptali. A więc, co to było?

Opierając się na włóczni, kuśtykał wokół namiotu, uważnie patrząc pod nogi. Nie miał zupełnie pojęcia, czego szuka. Miękkie buty Aielów nie zostawiały żadnych śladów, które dałoby się dojrzec w świetle latarni. Dwie z linek namiotu wisiały tam, gdzie zostały przecięte, ale... Postawił lampę na ziemi, wziął do ręki odcięte krańce. To mógł być dźwięk przecinania napiętej linki, tylko właściwie, po co miałyby to ktoś robić, skoro i bez tego można się było dostać do wnętrza? Coś w kącie przecięć, sposób, w jaki pasowały do siebie, zwrócił jego uwagę. Podniósł latarnię, poświecił dookoła. Gęste zarośla w niedalekiej odległości zostały z jednej strony przyszczyżone, cienkie gałęzie z drobnymi listkami leżały na ziemi. Bardzo zostały schludnie przyszczyżone, dokładnie na płask, miejsca przecięć były tak gładkie, jakby działał tu jakiś doświadczony stolarz.

Mat poczuł, jak jeżą mu się włosy. Ktoś otworzył tu — w przestrzeni — taką samą dziurę, jakimi posługiwał się Rand. Wystarczająco niepokojące było, że to Aielów przysłano, aby go zabić, na dodatek jeszcze zrobił to ktoś, kto potrafił stworzyć jedną z tych... bram, jak je Rand określał. Światłości, jeżeli nie był bezpieczny przed atakiem Przeklętych, mając wokół siebie cały Legion, to gdzie będzie? Zastanawiał się, czy w ogóle będzie się teraz wysypiał, i gdzie, może w namiocie otoczonym ogniskami i wartownikami; gwardią honorową, tak może ich nazwać, aby słowa trochę mniej bodły. Przecież następnym razem będzie to prawdopodobnie setka trolloków, albo tysiąc, zamiast garstki Aielów. A może jednak nie jest aż taki ważny? Jeżeli dojdą do wniosku, że jest nazbyt ważny, następ-

nym razem może to być któryś z Przeklętych we własnej osobie. Krew i popioły! Nigdy się nie prosił, by zostać *ta'veren*, nigdy nie chciał zostać przywiązany do przeklętego Smoka Odrodzonego.

— Krew i krwawe... !

Ostrzegł go zgrzyt kamieni pod czyimś butem; odwrócił się i zamachnął włócznią. W porę zatrzymał przecinające powietrze ostrze, Olver zaś wrzasnął i padł na plecy, wpatrzony w niego szeroko rozwartymi oczyma.

— Co ty tutaj robisz, na przekłątą Szczelinę Zagłady? — warknął Mat.

— Ja... ja... — Chłopak urwał, by przełknąć ślinę. — Powiadają, że pięćdziesięciu Aielów próbowało cię zabić we śnie, lordzie Mat, ale ty zabiłeś ich pierwszy, chciałem więc się sam przekonać, czy wszystko w porządku... lord Edorion kupił mi buty. Widzisz? — Uniósł obutą stopę.

Mamrocząc coś pod nosem, Mat pomógł Olverowi wstać.

— Nie to miałem na myśli. Dlaczego nie jesteś w Maerone? Czy Edorion nie znalazł nikogo, kto by się tobą zaopiekował?

— Ona chciała tylko pieniędzy lorda Edoriona, nie mnie. Miała szóstkę własnych dzieci. Pan Burdin daje mi dużo jedzenia, a ja w zamian mam tylko karmić i poić konie, a potem je czesać. To mi się podoba, lordzie Mat. Ale nie pozwala mi na nich jeździć.

Znowu przełknął ślinę.

— Lord Talmanes przysłał mnie tutaj, mój panie. — Nerim, niski nawet jak na Cairhienianina, był kościstym mężczyzną o szpakowatych włosach i pociągłej twarzy, która zdawała się mówić, że choć w danym momencie nic wprawdzie nie szło dobrze, ale zapewne okaże się kiedyś, że ten dzień był i tak lepszy od większości. — Jeżeli mój pan mi wybaczy, to chciałbym powiedzieć, że te plamy od krwi nigdy nie zejną z bielizny mojego pana, jeśli jednak mi pozwoli, może będę w stanie poradzić coś na te rany. — Pod pachą ścisnął pudełeczko z przyborami do szycia. — Ej, chłopcze, przynieś mi wody. Żadnego gadania. Woda dla mego pana, i to szybko. — Nerimowi jakoś udawało się jedną ręką nieść lampę i łuk. — Czy mój pan zechce wejść do środka? Nocne powietrze źle służy na rany.

I już po chwili Mat leżał obok swego posłania...

— Mój pan z pewnością nie zechce zabrudzić swych kocy. ... pozwalając Nerimowi zmyć zaschniętą krew i zeszyć rany. Talmanes miał rację; ten człowiek nie był szwaczką, tylko zwykłym rzeźnikiem. Niemniej jednak Olver przyglądał się całej operacji, nie miał więc innego wyjścia, jak tylko zacisnąć zęby i znieść wszystko.

Próbując zająć swe myśli czymś innym niżli igła Nerima, Mat wskazał wystrzępiony zwój materiału zwisający z ramienia Olvera.

— Co ty tam masz? — wydyszał.

Olver przycisnął zniszczoną torbę do piersi. Z pewnością zdawał się czystszy niż wówczas, gdy widzieli się ostatnio, nawet jeśli wcale nie wyładniał. Buty nosił

mocne, a wełniana koszula i spodnie wyglądały na nowe.

— To jest moje — powiedział, jakby się bronił. — Niczego nie ukradłem. — Po chwili otworzył torbę i zaczął wyjmować swoje rzeczy. Zapasowa para spodni, jeszcze dwie koszule i jakieś pończochy nie wzbudziły w Macie zainteresowania, ale słuchał uważnie, jak mały wymieniał pozostałe przedmioty. — To jest moje pióro czerwonego jastrzębia, lordzie Mat, a ten kamień ma dokładnie kolor słońca. Widzisz? — Pojawiła się mała sakiewka. — Mam pięć miedziaków i srebrnego grosza. — Zawinięta szmatka zawiązana sznurkiem i małe drewniane pudełko. — Moja gra w Węże i Lisy, ojciec zrobił ją dla mnie — wyciągnął planszę. Na moment jego twarz zadrżała, ale potem mówił dalej: — A widzisz, w tym kamieniu jest głowa ryby. Nie mam pojęcia, jak się tam dostała. A to jest moja skorupa żółwia. Błękitno-czarnego żółwia. Widzisz paski?

Mrugając od szczególnie mocnego ukłucia igły, Mat wyciągnął rękę i wskazał zwiniętą szmatkę. Było mu znacznie łatwiej, gdy oddychał przez nos. Dziwnie zachowywały się te dziury w jego własnej pamięci; pamiętał zasady gry w Węże i Lisy, ale nie pamiętał, czy kiedykolwiek w nią grał. — To jest naprawdę świetna skorupa żółwia, Olver. Sam też kiedyś taką miałem. — Wyciągnął rękę w drugą stronę i sięgnął po własną sakiewkę; wyłowił z niej dwie złote cairhieniańskie korony. — Wrzuć je do swojej sakiewki, Olver. Każdy mężczyzna powinien mieć trochę złota w swojej sakiewce.

Zesztywniały z obrazy Olver zaczął chować swoje rzeczy do torby.

— Ja nie żebram, lordzie Mat. Potrafię zapracować na swoją kolację. Nie jestem żebrakiem.

— Nawet przez chwilę nie myślałem, że jesteś żebrakiem. — Mat rozejrzał się dookoła gorączkowo, szukając czegoś, za co mógłby chłopcu zapłacić dwie złote korony. — Potrzebuję... potrzebuję kogoś, kto by przynosił mi wiadomości. Nie mogę o to poprosić nikogo z Legionu, są zbyt zajęci wojaczką. Oczywiście, sam będziesz musiał dbać o swojego konia. Nie mogę prosić nikogo, by to robił za ciebie.

Olver usiadł prosto.

— Dostanę własnego konia? — zapytał z niedowierzaniem.

— Oczywiście. I jeszcze jedno. Mam na imię Mat. Jeżeli jeszcze raz powiesz do mnie „lordzie Mat”, to zawiążę ci nos na supeł. — Jęknął i spróbował się podnieść. — A żebyś szczeł, Nerim, to ludzka noga, a nie jakiś przeklęty kawał wołowiny!

— Jak mój pan sobie życzy — wymamrotał Nerim — noga mego pana nie jest częścią wołu. Dziękuję memu panu, że mnie o tym poinformował.

Olver niepewnie potarł nos, jakby się zastanawiał, czy możliwe jest zawiązanie go na supeł.

Mat z jękiem położył się na powrót. Teraz jeszcze wziął sobie na barki chłopaka, a na pewno nie wyrządził tym dzieciakowi przysługi — przecież naraża go

na bezpośrednie niebezpieczeństwo, kiedy następnym razem Przekłęci spróbują zmniejszyć liczbę *ta'veren* wałęsających się po świecie. Cóż, jeżeli plan Randa się powiedzie, będzie o jednego Przekłętego mniej. Jeżeli jednak Mat Cauthon miałby w tej sprawie coś do powiedzenia, to trzymałby się z daleka od kłopotów i niebezpieczeństwa, póki na świecie nie byłoby już żadnego Przekłętego.

## POJAĆ PRZESŁANIE

Graendal udało się nie wybałuszyć oczu, kiedy weszła do pomieszczenia, ale jej uszyta ze streith szata zmieniła barwę i stała się matowo-czarna, zanim odzyskała panowanie nad sobą, by znowu uczynić z niej błękitną mgiełkę. Sammael zrobił wystarczająco dużo, by każdy zaczął się zastanawiać, czy to rzeczywiście Wielka Komnata Rady w Illian. Ale przecież, byłaby w równym stopniu zaskoczona, gdyby ktokolwiek i kiedykolwiek dostał się tak daleko bez specjalnego zaproszenia do apartamentów „lorda Brena”.

Powietrze było przyjemnie chłodne, w jednym z kątów pomieszczenia stał pusty cylinder wymiennika. Bańki jarzeniowe, dające jasne i stałe światło, czyniły dziwne wrażenie w porównaniu z ciężkimi, odlanymi ze złota kandelabrami, ale ostatecznie dawały znacznie lepsze światło niżli świece czy lampy olejne. Na marmurowym kominku stała niewielka pozytywka; tych cichych brzmień nie słyszano poza tą komnatą najprawdopodobniej od przeszło trzech tysięcy lat. Nadto rozpoznała kilka dzieł sztuki wiszących na ścianach.

Zatrzymała się przed „Tempem Nieskończoności” Caerana Tola. Nie była to kopia.

— Komuś mogłoby przyjść do głowy, że okradłeś muzeum, Sammaelu. — Starła się, by jej głos nie zdradzał zazdrości, a kiedy zobaczyła lekki uśmiech na jego twarzy, zrozumiała, że jej się nie udało.

Napełniwszy winem dwa kute srebrne puchary, wręczył jej jeden.

— To tylko szkatuła stagnacyjna. Przypuszczam, że w te ostatnie dni ludzie próbowali ratować, co tylko mogli. — Kiedy rozejrzał się błyszczącymi oczyma po całej komnacie, jego uśmiech zmarszczył tę okropną bliznę przecinającą mu twarz; ze szczególną czułością objął wzrokiem planszę do gry w zara, wyświetlającą w powietrzu na razie jeszcze puste przegródki. Zawsze przepadał za najbardziej brutalnymi gramami. Plansza do zara w tym miejscu oznaczała, rzecz jasna, że jego szkatuła stagnacyjna została wypełniona przez kogoś, kto oddawał cześć Wielkiemu Władcy; karą za posiadanie choćby jednego żywego pionka było więzienie, zgodnie z prawem obowiązującym dla jednej ze stron toczącej się wojny. Co jeszcze wpadło mu w ręce?

Popijając wino — i tłumiąc westchnienie, które nie powinno dziwić w tym

pomieszczeniu, sama miała przecież nadzieję odnaleźć delikatnego Satarę albo zupełnie wyjątkową Conolade — wygładzała suknię upierścienioną dłonią.

— Ja też jedną znalazłam, ale oprócz streith, zawierała jedynie same śmiecie. — Ostatecznie zaprosił ją tutaj i pozwolił jej wszystko obejrzeć, mogła więc nagrodzić go chwilą zwierzeń. Mało ważnych zwierzeń.

— Strasznie mi cię żal. — Znowu ten nieznacznym uśmiech. Musiał znaleźć jeszcze coś, prócz zabawek i artystycznych drobiazgów. — Z drugiej jednak strony — ciągnął dalej — pomyśl, jakie byłoby to okropne, gdyby otwierając wieko skrzyni, znalazło się gniazdo, powiedzmy, cazar albo jumara, czy też jedno z pozostałych stworzeń Aginora. Czy wiesz, że w Ugorze jumara żyją na wolności? W pełni rozwinięte, chociaż w obecnych czasach nie przechodzą metamorfozy. Nazywają je Czerwiami. — Zaśmiał się donośnie, potrząsając głową.

Uśmiech Graendal był znacznie bardziej ciepły niżli emocje, jakie wewnątrz niej pałały, a chociaż jej szata zmieniała barwę, to jedynie nieznacznie, o włos. Przydarzyła jej się kiedyś bardzo nieprzyjemna, w rzeczy samej nieomal śmiertelna, przygoda z jednym z tworców Aginora. Ten człowiek był na swój sposób genialny, jednak kompletnie szalony. Nikt prócz szaleńca nie stworzyłby gholam.

— Wydajesz się być w bardzo dobrym nastroju.

— Dlaczego miałbym się smucić? — zapytał wylewnie. — Lada chwila dostanę w swe ręce skrzynię pełną *angreali* i ktoś wie, czego jeszcze. Nie powinnaś być taka zaskoczona. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że próbujecie cały czas zaglądać mi przez ramię, w nadziei, że zawiodę was do niej. Cóż, nic wam z tego nie przyjdzie. Och, podzielię się z wami, ale dopiero gdy sam dokonam wyboru, przecież będzie moja. — Rozparł się wygodnie w bogato złoconym fotelu, być może zresztą w całości wykonanym ze złota, to byłoby do niego podobne. Wsparł obcas jednego z butów o czubek drugiego i gładził się po złotawej bródce. — Poza tym, wysłałem emisariusza do al'Thora. I odpowiedź była życzliwa.

Graendal omal nie rozlała wina.

— Doprawdy? A ja słyszałam, że on zabił twojego posłańca. — Jeżeli zasięgiem jej wiedzy w jakikolwiek sposób wywarł na nim wrażenie, nie dał niczego po sobie poznać. Nawet się uśmiechnął.

— Al'Thor nikogo nie zabił. Andris poszedł tam, żeby umrzeć; czy sądzisz, że miałem ochotę czekać na kurierów? Albo na gołębie? Ze sposobu w jaki umarł, wywnioskowałem charakter odpowiedzi al'Thora.

— Czyli? — zapytała ostrożnie.

— Pakt między nami.

Miała wrażenie, że jakieś lodowate szpony zatapiają się w jej czaszce. To nie mogła być prawda. Jednak wydawał się bardziej spokojny i zadowolony, niżli widziała go kiedykolwiek, nawet po przebudzeniu.

— Lews Therin nigdy by...

— Lews Therin od dawna już nie żyje, Graendal — wtrącił głosem rozbawionym, niemal szyderczym. Śladu gniewu.

Poczuła, że musi zaczerpnąć głęboki oddech, uczyniła to pod pozorem umoczenia ust w pucharze. A może naprawdę nie kłamał?

— Jego armia wciąż gromadzi się w Łzie. Widziałam ją. W moich oczach nieszczęśliwie przypomina to przymierze.

Sammael zaśmiał się zupełnie otwarcie.

— Zmiana kierunku, w jakim zdążają wojska, musi trochę potrwać. Wierz mi, jego armia nigdy nie wyruszy przeciwko mnie.

— Tak sądzisz? Wiem od moich maleńkich przyjaciół, że on chce twojej śmierci, ponieważ zabiłeś kilka jego pieszczołek, Panien. Na twoim miejscu poszukałabym sobie jakiegoś innego lokum, mniej rzucającego się w oczy, takiego, gdzie nie mógłby cię łatwo znaleźć. — Nawet nie zadrżała mu powieka. Jakby te wszystkie niewidzialne sznurki, które zazwyczaj zdawały się poruszać jego kończynami, zniecka zostały przecięte.

— No i co z tego, że kilka Panien zginęło? — Sądząc z wyrazu jego twarzy, autentycznie zdziwił się. — To jest wojna, żołnierze umierają na wojnie. Al’Thor może być sobie synem chłopca, jednak ma generałów, którzy staczają za niego bitwy i którzy mogą mu wszystko wyjaśnić. Wątpię zresztą, by w ogóle zwrócił na to uwagę.

— Ty naprawdę nigdy nie przyjrzałeś się dobrze tym ludziom. Zmienili się w takim samym stopniu jak ten kraj, Sammaelu. Nie tylko Aielowie. A reszta świata zmieniała się jeszcze bardziej. Ci żołnierze byli kobietami, a dla al’Thora ta różnica naprawdę ma znaczenie.

Wzruszył ramionami ze zniecierpliwieniem, ona zaś stłumiła w sobie pogardę, jej streith trwał, niezmiennie, w postaci spokojnej mgielki. On nigdy nie pojął, że trzeba najpierw zrozumieć ludzi, aby skłonić ich do postępowania w taki sposób, w jaki sobie życzysz. Przymus funkcjonował znakomicie, ale nie można użyć Przymusu względem całego świata.

Zastanawiała się, czy ta szkatuła stagnacyjna jest właśnie tą skrzynią, którą „już niebawem miał dostać w swe ręce”. Jeżeli miał chociaż jednego *angreal*. . . Jeżeli tak było, zapewne wszyscy się o tym dowiedzą, z pewnością jednak nie prędzej, niż jemu będzie odpowiadało.

— Przypuszczam, że powinniśmy się wreszcie przekonać, na ile zmyślał ostatnimi czasy nasz prymitywny Lews Therin. — Wątpiąco uniosła brew, udało jej się w miarę szczerze uśmiechnąć. Żadnej reakcji. W jaki sposób on zdołał opanować targające nim humory? Jeszcze niedawno samo imię Lewsa Therina wystarczało, by je spuścić ze smyczy. — Jeżeli nie uda mu się wypłoszyć cię z Illian z równą łatwością, z jaką cosa wspina się na drzewo, być może. . .

— Na to musielibyśmy czekać doprawdy nazbyt długo — wszedł jej w słowo, ale bardzo delikatnie. — Chcę powiedzieć, że zbyt długo ty musiałabyś czekać.



— Czy mam to rozumieć jako groźbę, Sammaelu? — Jej ubiór nabrał bladoróżowej barwy, ale zdecydowała, że taki pozostanie. Niech wie, że jest zła. — Przypuszczałam, że już dawno temu nauczyłeś się, iż ten, kto mi grozi, popełnia wielki błąd.

— Ja ci nie grożę, Graendal — odparł z całym spokojem. Wszystkie jego czułe miejsca najwyraźniej zniknęły, na pozór nic chyba nie mogło go wytrącić ze stanu tego chłodnego rozbawienia. — To są zwykłe fakty. Al’Thor nie zaatakuję mnie, ja nie napadnę na niego. I oczywiście, zgodziłem się nie udzielać pomocy żadnemu innemu z Wybranych, jeśli al’Thorowi uda się któregoś znaleźć. Wszystko w jak najlepszej zgodzie z przykazaniami Wielkiego Władcy, nieprawdaż?

— Oczywiście. — Rysy jej twarzy pozostały niewzruszone, jednak barwa strelith przybrała ciemniejszy odcień, tracąc nieco ze swej mglistości. Po części jej kolor wciąż znamionował gniew. W tej całej sprawie chodziło o coś jeszcze, tylko jak to sprawdzić?

— Co oznacza — kontynuował — że gdy nadejdzie Dzień Powrotu, najprawdopodobniej będę jedynym, który pozostanie na placu boju i stawi czoło al’Thorowi.

— Wątpię, by udało mu się pozabijać nas wszystkich — powiedziała, krzywiąc się kwaśno i jednocześnie poczuła kwas w żołądku. Zbyt wielu Wybranych już oddało swe życie. Sammael rzeczywiście znalazł sposób, by trzymać się na uboczu, aż do czasu, kiedy tylko on pozostanie żywy. To było chyba jedyne słuszne wyjaśnienie całej sprawy.

— Tak ci się wydaje? Nawet jeśli dowie się, gdzie wszyscy przebywacie? — Uśmiech na jego twarzy stał się jeszcze szerszy. — Pewien jestem, że wiem, co uknuł sobie Demandred, ale gdzie on sam się ukrywa? Gdzie jest Semirhage? Mesaana? Co z Asmodeanem i Lanfear? Moghedien?

Dotyk tych zimnych szponów znowu powrócił, czuła wyraźnie ich lodowaty nacisk na skórę głowy. W żadnym razie nie powinien tak tutaj się rozpierać i mówić w ten sposób — nie ośmieliłby się sugerować tego, co najwyraźniej wynikało z jego słów — chyba że...

— Asmodean i Lanfear nie żyją, jestem pewna, że Moghedien podzieliła ich los. — Była zaskoczona dźwiękiem własnego głosu, ochryplym i załamującym się. Wino zupełnie nie potrafiło zwilżyć jej wyschniętego gardła.

— A pozostali? — Zwyczajne pytanie, w jego głosie nie było śladu nalegania. A mimo to poczuła dreszcz przeszywający ją od stóp do głów.

— Powiedziała ci wszystko, co wiem, Sammaelu.

— To znaczy prawie nic. Skoro to ja jestem Nae’blis, sam wybieram tych, którzy stają tuż przede mną. A ten, kogo wybiorę, będzie żył i doczeka dotknięcia dłoni Wielkiego Władcy.

— Czy chcesz powiedzieć, że byłeś w Shayol Ghul? Że Wielki Władca obiecał ci...

— Dowiedcie się wszystkiego, kiedy nadejdzie czas, ani chwili wcześniej. Ale udzielię ci drobnej rady, Graendal. Przygotuj się już teraz. Gdzie oni są?

Jej umysł pracował teraz z opętańczą prędkością. Obiecano mu to. Na pewno. Ale dlaczego jemu? Nie, teraz nie czas na spekulacje. Wielki Władca wybiera według własnego upodobania. A poza tym Sammael znał miejsce jej pobytu. Mogła uciec z Arad Doman, zamieszkać gdzie indziej, to nie nastęczałoby szczególnych trudności. Zrezygnować ze swoich małych gier, które tam rozgrywała, a nawet poważniejsze rozdania wszakże można odłożyć — stanowiłyby niewielką stratę w porównaniu z tym, że al'Thor — czy też Lews Therin — mógłby przyjść i upomnieć się o jej życie. Nigdy nie zamierzała stawiać mu czoła bezpośrednio; skoro nie poradzili sobie z nim Ishamael i Rahvin, to ona na pewno nie będzie ryzykowała, przynajmniej bez odpowiednich przygotowań. Sammael musiał uzyskać obietnicę. Gdyby zginął teraz... Z pewnością trzymał *saidina* — w przeciwnym razie byłby szaleńcem, mówiąc takie rzeczy — więc natychmiast się zorientuje, gdy ona obejmie *saidara*. A więc to ona miała umrzeć. On na pewno otrzymał obietnicę.

— Ja... nie wiem, gdzie są Demandred i Semirhage. Mesaana... Mesaana przebywa w Białej Wieży. To wszystko, co wiem. Przysięgam.

Ucisk w piersiach rozluźnił się odrobinę, kiedy na koniec pokiwał głową.

— Znajdziesz dla mnie pozostałych. — To nie było pytanie. — Wszystkich, Graendal. Jeżeli chcesz, bym uwierzył, że któreś nie żyje, to pokaż mi trupa.

Nie odważyła się przemienić go w trupa i bardzo żałowała, że nie stać ją na taką odwagę. Jej szata zmieniała barwy w fioletowych odcieniach czerwieni, które niczym echem odzwierciedlały targające nią emocje — złość, strach i wstyd — w zupełnie nie kontrolowany sposób wylewające się na powierzchnię duszy. Bardzo dobrze, niech myśli, że w tym momencie stchórzyła. Jeżeli ma zamiar rzucić Mesaanę na pożarcie al'Thorowi, jeżeli ma zamiar rzucić ich wszystkich na pożarcie al'Thorowi... a więc niech tak będzie, przynajmniej do czasu, kiedy będzie powstrzymywał tamtego przed skoczeniem jej do gardła.

— Spróbuję.

— Zrób coś, a nie tylko się staraj, Graendal. Zrób coś wreszcie.

\* \* \*

Kiedy Graendal odeszła, a brama do jej pałacu w Arad Doman zamknęła się, Sammael pozwolił, by uśmiech zniknął z jego twarzy. Bolały już go szczęki, doprawdy wiele musiał znieść. Graendal miała zbyt bujną wyobraźnię. Przywykła, że wszystko zawsze robili za nią inni i dlatego nie potrafiła już wymyśleć, co mo-

głaby działać na własną rękę. Zastanawiał się, co też powie, jeśli kiedykolwiek odkryje, że manipulował nią tak zgrabnie, jak ona manipulowała w swoim czasie wieloma różnymi głupcami. Gotów był założyć się o wszystko, że ani przez moment nie rozpoznała, co jest jego właściwym celem. A więc Mesaana przebywała w Białej Wieży. Mesaana w Wieży, a Graendel w Arad Doman. Gdyby Graendel mogła teraz zobaczyć wyraz jego twarzy, poznałaby prawdziwy strach. Cokolwiek się wydarzy, Sammael miał zamiar być jedynym, który doczeka Dnia Powrotu, tym, który zostanie wyniesiony jako Nae'blis, tym, który pokona Smoka Odrodzonego.